4067/26

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

WARSZAWA.

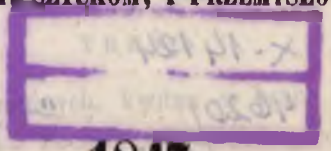
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POSWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.



1847.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXVI.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.
1847.

OBRAZ WIEKU
PANOWANIA ZYGMUNTA III
KRÓLA POLSKIEGO I SZWEDZKIEGO

CZYLI

OBRAZ STANU, NARODU I KRAJU WYSTAWIAJĄCY.

PRZEZ

Ks. Franciszka Siarczyńskiego (*).

Rozdział IX.

Rękodzieła, rzemiosła (o) *i sztuki. Stan budownictwa i ogrodów.*

TREŚĆ.

Opieką króla i możnych, kwitną w kraju rękodzieła, rzemiosła i sztuki. Początki ich wzięliśmy od Niemców.

(*) Ks. Franciszek Siarczyński umiérając, zostawił rękopis pod tytułem:

Obraz wieku panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego, czyli obraz stanu, narodu i kraju wystawiający w rozdziałach: I. Religia. II. Obyczaje. III. Nauki. IV. Prawo i prawodawstwo. V. Przewaga możnowładzców. VI. Wojsko. VII. Duchowieństwo. VIII. Rolnictwo. IX. Rękodzieła, rzemiosła i sztuki. X. Handel i kupiectwo. XI. Pobory, dochody państwa i króla, moneta. XII. Ludność i rozległość krajów polskich. XIII. Wiadomość o kopalniach krajowych za Zygmunta III. XIV. Związki z państwami obcemi. XVI. Osobiste przymioty i czyny króla, dwóch królowych i ich potomstwa. XVII Znaczniejsze zdarzenia fizyczne za panowania Zygmunta III.

Dzieła tego Nowa księgarnia wydała w 1843 r. tom piérwszy w 8ce. mający XI i 337 stron, i ten obejmuje tylko pięć rozdziałów podług powyższego podziału. Następne zaś tomy, dla niewiadomej przyczyny, dotąd nie wyszły. Z drugiego tomu, mając sobie udzielony ze Lwowa w odpisie z autografu rozdział IX, zawiérający rękodzieła, rzemiosła i sztuki, przesyłam go Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, aby raczyła umieścić go w swém piśmie, i uważać za artykuł dotąd nigdzie niedrukowany, a pod względem naukowym, za godny do ogłoszenia go drukiem.

D. 10 lutego 1847 r. *C. W.*

(o) Niewiele bacznі na właściwe znaczenie, często w używaniu jeden wyraz za drugi bierzemy, lub téż jednemu wyrazowi daje-

Starania rządu, aby rozmnożyć rękodzieła rynsztunków wojennych. Rękodzieła sukienników, złotników i kuśnierzów były najcelniejsze. Wyobrażenie rzemiosł, z wiadomości cechów znajdujących się podówczas w Krakowie, ich wyliczenie. Król wspiéra sztuki, rozkrzewia i darzy, zaprowadza w Polsce lepsze budownictwo przejęte od Włochów. Zachęceni przykładem króla, panowie możni wznoszą znamienite budowle. Ślady mianych dobrych malarzów, i biegłych w rzeźbie mistrzów. Wspomnienie bitych za Zygmunta III medalów. Wypisanie

my kilka znaczeń, chociażbyśmy na oddzielne ich oznaczenie osobne miéć mogli wyrazy. To nam wielce utrudnia mowę naszę, osobliwie gdy z całą dokładnością odróżniającą, rzeczy zbliżone do siebie, tłumaczyć chcemy. Tak, co łacinnicy zwali *fabrica, ars, artificium* lub *opificium*, czytamy w dawnych, a nawet świeższych pismach, że jednem słowem *rzemiosło* tłumaczą. Przydaliśmy później wyraz *rękodzieło*, a do znaczenia *fabrica*, utworzyliśmy wyrazy *rękodzielnia, wyrobnia*, chociaż wyrazy na *nia* zakończone, służą pospolicie do znaczenia miejsca jakiego, i raczéjby znaczyły to, co w łacinie *opificina*. Potrzebujemy zaś wyrazów oddzielnych, aby oznaczyć najprzód rzemiosło, które jeden człowiek z pomocą narzędzia ręcznego wyrabia, naprzykład szewstwo, krawiectwo, ciesielstwo. Powtóre *rękodzieło*, które prócz różnych narzędzi, wymaga *dzielnic*, z niemieckiego *warsztat* zwanych i wielu rąk do wyrobienia dzieła jakiego, jako: sukiennictwo, tkactwo, stolarstwo i t. d. Rękodzieło, wykłada wyraz łaciński *manufactura*. Potrzecie *sztuka*, w któréj przemaga więcéj umysł, jak w rękodziełach i lekką pracą się wykonywa, przeto po łacinie *ars liberalis*, u nas *sztuką wyzwoloną*, a z francuzkiego *piękną* jest zwana, jako: *malarstwo, rzeźba* i t. d. Pożyczony od Niemców wyraz *kunszt*, toż u nas znaczy co *sztuka*, lubo niekiedy i *rzemiosła* znaczenie zastępuje, lecz zupełnie niewłaściwie, bo *sztuka* jest wolna, i ustawom cechowym niepodległa. Płody rękodzieł i rzemiosł, dobrze nowym wyrazem *wyrób* się zowią. *Linde* uważa, iż zakończenie *stwo*, właśnie służy do wyrażenia rzemiosł, np. ślusarstwo, szklarstwo i t. d., lecz mylna to zdaje się zasada, gdyż więcéj bez porównania mamy słów na *stwo* zakończonych, które żadnego nie mają związku z rzemiosłami, jak: księstwo, duchowieństwo, gospodarstwo, krasomówstwo, myśliwstwo i t. d.

porządkiem lat wzniesionych w tym wieku zamków, kościołów, klasztorów, pałaców, i założonych celniejszych ogrodów, zwierzyńców.

* * *

Lubo co do tego względu, ani w tym wieku, ani w innych podobno niewiele się pochwalić możemy, przecież panowanie Zygmunta III ma niejaką w téj mierze zaletę i zasługę. I król i możniejsi, rękodziełom, rzemiosłom i sztukom opiekę swą i pomoc dawali. Zbytek i przepych wiele potrzeb utworzył, które je zasilały, mnożyły, podnosiły, i do kwitnącego stanu przywiodły. Przyznajmy, iż od Niemców piérwszą wszelkich rzemiosł wzięliśmy naukę. Sam język rzemieślniczy, jest i będzie na zawsze téj prawdy świadectwem i dowodem. Naród nasz na dwa prawie tylko stany od wieków się dzielił (a): rolniczy i wojenny. Ziemią lub orężem zajęci, obcym rękom rzemiosła oddaliśmy. Przyjmując do kraju naszego Niemców, nagrodzeni zostaliśmy, iż nam wprowadzili rozmaite rzemiosła, ku potrzebie i wygodzie życia. Jeszcze w wieku XV wypędzeni Hussyci, osiadłszy w miasteczkach naszych, wkrótce przerobili się na Polaków. I za panowania Zygmunta III, ościenne religijne wojny, zaludniły przybyszami miasta nasze. Spokojność, łatwość wyżywienia się, pewność zarobku, przywabiły ich do nas. Przybysze Niemcy, wyłącznie prawie aż do wieku XVII wiedli handle, sprawowali rzemiosła, trudnili się w kopalniach polskich górnictwem, a stając

(a) Na dwie części szlachtę i rolników dzielimy. Wiejskie osady, składają po większéj części przybysze, kupcy i rzemieślnicy, a ci są: Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy, Ormianie, Rossyanie, Grecy, Holendry, Węgry, Żydzi, Persowie i Szkotowie. Naszyńcy zaś Sarmaci, w małéj liczbie, bo oddanym Bellonie i Cererze, nie sprzyja Merkury, tak mówi: *Starowolski contra Obtrectatores C. l. St.*

się pożytecznymi w każdym rodzaju dla nowy ojczyzny obywatelami, grzeczniejszymi byli w Polsce, niżeli u naszych sąsiadów (b). „Cobyśmy poczęli? *pisze Górnicki*, gdziebyśmy wzięli koncyrze, szable, zbroje, pancerze, rusznice, tarcze, drzewca, siodła, munsztuki i inne rzeczy, gdyby nam ich nie dostarczali Niemcy? Oni rzemiosła i mury w Polsce rozmnożyli."

Sejm r. 1607 postanowił, aby z przyczyny potrzeb i niebezpieczeństw Rzplitéj, stan szlachecki w rynsztunki wojenne opatrzony został, o które w te czasy, w województwie mazowieckiém bardzo trudno było; aby *Warszawa*, *Łomża*, rzemieślniki do rynsztunków wojennych sposobne miały, i zawsze chować powinne były, a to pod winami. Sejm r. 1611, dodał miasto *Lublin*. Roku 1613 ustawa mówi: że gdy wiele Rzplitéj jako i na innych rzemieślnikach do rynsztunku wojennego, tak niemniéj na płatnerzach (c) zależy, o co miasta nasze główne staraćby się miały: gdyż na to i na pomnożenie inszych ozdób miejskich, dochody pewne i niemałe, z łaski przodków naszych i naszéj nadane sobie mają. W czém iż są niedbali, nakazały stany miastom *Wilnu* i *Kownu*, aby płatnerze do tych miast najdaléj do skoń-

(b) Naprzykład w Węgrzech tak opanowali Niemcy handle i rzemiosła, iż do żadnego cechu Słowian przyjmować nie chciano, dopiéro r. 1608, pozwolono mocą uchwały Słowianom różnych praw i swobód z Niemcami w bractwach cechowych używać; w Czechach także obwarowaném było, że tylko krajowiec, ktory z niemieckich i wolnych rodziców był zrodzony, mógł być do cechu przyjętym. Słowianie zaś, czyli Winnidy, równie jako i ludzie nieprawego łoża, na zawsze byli wyłączeni. *De contrib. Gorn. Reus.* l. 2.

(c) Zbroja pancerna, składa się z blach żelaznych, które w złéj łacinie zwały się *plata*; ztąd wyrabiający je rzemieślnik, *płatnerz* nazwany.

czenia r. 1613 z wszystkiemi do tego rzemiosła potrzebami sprowadzono, tak, iżby zaraz zbroje, i szyszaki nowe robione były. Dla tych płatnerzów slofarnią i mieszkanie zbudować i opatrzyć powinni mieszczanie. Ustawy te nie były bez skutku, pozostały w wielu miastach rękodzielne zbroje. Pożytkami zwabieni *rusznicarze*, *płatnerze*, *mieczniki*, *pancerzniki* w miasteczkach nawet osiedli (d). Słynęła w tym wieku zbrojarnia w *Samsonowie*, i utrzymywał ją w kwitnącym stanie Hieronim *Caccia* Włoch z Bergamu rodem, i podczas wojny moskiewskiéj, *rusznic*, *szabel* i wszelkiéj innéj zbroi królowi dostawiał, za co r. 1613 przywiléj dla swéj rękodzielni pozyskał. Wyrabiano téż wiele dobréj broni w *Korczynie* i we wsi *Świątnikach* pod Krakowem, gdzie Jerzy Radziwiłł biskup krakowski, rusznicarzów osadził. Tych potomki, w ślusarskich robotach znajdują korzystne dotąd utrzymanie. Rękodzielnie broni wszelkiéj, założone dawniéj przez Dziboniego, nie celowały dobrocią i kształtem roboty. Do potrzeb ważnych w kraju, rękodzielnie *sukiennicze* należą: kwitnęły oddawna *w Krakowie*, *Toruniu*, *Poznaniu*, *Lwowie*, *Wilnie*, *Sandomierzu*, *Warszawie* i innych miejscach. Nowe w tym wieku założone zostały w *Łukowie* (e), *Radomiu*, *Korczynie*,

(d) Naprzykład miasteczko w Galicyi Korczyna, miało wielu niegdyś pancerników, którzy druciane misiury i inne pancerze wyrabiali. Gdy tych z odmianą zbroi i wojen sposobu potrzeba ustała, upadło i rzemiosło.

Pancernicy przemienili się w druciarzów, którzy stłuczone skorupy, garnki, miski i t. d. drutem łatają. Liczą ich dotąd w tém jednem miasteczku 70 lub więcéj. Nie mogąc zaś w miejscu pomieszkania mieć dostatecznéj roboty, rozchodzą się po kraju i za granicę. Zachowują jednak pamięć tego, czém byli ich ojcowie, w nazwie dotąd trwającéj cechu *pancerniczego*.

(e) Starowolski w książce: Reformacya obyczajów, wspomina o jednem miasteczku w Podgórzu, nie wyrażając nazwy jego, któ-

Kaliszu, *Łowiczu*, *Lublinie*, i indziéj; klasztory téż mnichów same dla swéj potrzeby sukna wyrabiały. Przychodnie rzemieślnicy z Niemiec, Flandryi, Włoch i Francyi, oblekali się w suknie zakonne, i z pożytkiem do téj rękodzielni użyć się dawali. Lecz obce sukna *Luńskie*, *Falendysze*, *Karazye* (f) zyskowniejszy przecie od krajowych pokup miały. *Morawskie* za najlepsze lud pospolity poczytywał. *Szląskie* były tańsze, ale i podlejsze i krótsze dziesięcio łokciami postawy, niżeli morawskie. *Polskie* podług prawa trzymały łokci 30 wzdłuż, a 2 łokcie wszerz bez krajki.

Złotnicy, dostatkiem i zaletą swych robót odznaczali się, i mnogie w Polsce wieku tego znajdowali zatrudnienie. Niemcy zawsze w tém rzemiośle celowali. Szmelcowane roboty, lepiéj i drożéj nad inne się płaciły, lubo więcéj oszukaniu podlegały. Zyskowne bardzo było to rzemiosło, jako rzeczy należącéj do zbytku. Złotnicy z drogiego kruszcu, przez przymieszki podlejszego, po-

re 32 sukienników miało. Dziś ich tyle żadne tam nie ma. Erazm Domaszewski, koniuszy koron., sukienników z Niemiec do *Łukowca* sprowadził, pewny grunt dla nich kupił zwany *Ciężkowszczyzna*, który, stany użyteczne przedsięwzięcie wspierając, od poborów uwolniły r. 1609.

(f) *Luńskie*, czyli Lundysz, zwały się sukna holenderskie, zepsutym podobno przez żydów wyrazem, którzy Holandyą, językiem swym *Lunden* nazywali. Zwały się téż flamandzkie, czyli flamskie, od prowincyi Niderlandów Flandryi, jako i mechelskie, od miasta *Mechelen* w Niderlandach, po łacin. *Mechlinia*, po fran. *Malines*, zkąd rzeką *Skaldą* wypływały na morze okręta, tu suknami ładowane. Przednie zaś sukno, z słów *fein* i *laudisch*, utworzył się wyraz *Falendysz*. Nie były zaś te sukna wszystkie *holenderskie*, ale w większéj części angielskie, zwano je zaś dlatego *holenderskiemi*, iż przez Holandyą do nas przychodziły. Karyzya, był gatunek podłego sukna, może z dwóch wyrazów *kir* i *rasa* złożone; były to grube tkaniny wełniane. Szląskie najlepiéj płaciły.

żytki ciągnęli, i najłatwiéj zwodzili kobiéty, z któremi najwięcéj do czynienia mieli. Ale i polskich i obcych złotników, mówi Miczyński (g), żydzi w tych robotach ubiegli. Lubo ustawa Zygmunta III r. 1600, handlu złotem i srebrem, mianowicie robotę nową, pod karą konfiskaty, kupować żydom zabroniła, mieli oni przecie sposoby oszukania prawa i ludzi; że zaś *brant* olkuski (h) wystarczać nie mógł, który zakupowano na złotnicze roboty, ztapiali przeto czerwone złote, talary, półtalarki, potrójne i poszustne grosze, w czém ani co do próby złota i srebra, ani co do ceny urządzenia pewnego nie było, lubo dozór robót złotniczych, do urzędu podskarbich należał. Dochowane do czasów naszych z wieku tego roboty złote lub srebrne, okazują wielką pilność, pracowitość, i biegłość złotników naszych. Sam Zygmunt III znał się dobrze na tém rzemiośle, i z pomocą *Redura*, Wenecyana, nadwornego złotnika, jego były dziełem: *monstrancye, kielichy, lampy, lichtarze*, któremi kilka kościołów obdarzył.

Kuśnierskie rzemiosło, jedno było z najzyskowniejszych w tym wieku, godne, jak pisze o niém Miczyński, przednie nad innemi zajmować miejsce, jako to, które koronie, miastom i stanom wszelakim jest najpotrzebniejsze. *Kuśnierze* byli zawsze zamożni w wielkie bogactwa, z znacznym Rzplitéj pożytkiem, czego świadkami w Krakowie *Sukiennice, cekauzy i smatruz* (i), które za ich powodem stanęły. Futra dawały zysk największy, bo na

(g) Zwierciadło korony polskiéj, Seb. Miczyńskiego, 61 stron.

(h) Kruszec czysty, wytopiony, *brantein* się nazywał, lecz gdy się mówi *to brant olkuski*, srebro oznaczał. Inaczéj też zwało się *czarne srebro*, jakie z topienia wychodziło.

(i) *Smatruzy* zwano budy kupieckie wystawione wśród rynku krakowskiego, w których najwięcéj drobne *kupie* przedawano.

jedném futrze, pisze tenże, po kilkanaście złotych, a na sobolich, które są jak klejnoty drogie, po kilkadziesiąt zarabiają, zwłaszcza sprzedając futra gotowe, i po jarmarkach w kraju i za granicę rozwożąc. U nich zawsze znajdziesz gotowe *delie*, *kirye*, czapki męzkie i białogłowskie z bobrami; kupczyli oni futrami do Niemiec, Francyi, Turek i innych krajów, i ten bogaty handel, był podówczas prawie cały w rękach polskich kuśnierzów.

Wyobrażenie dokładniejsze rzemiosł, jakie w tym wieku u nas kwitnęły, da nam wiadomość opisanie cechów, które za panowania Zygmunta znajdowały się w Krakowie. Cechy, czyli bractwa rzemieślnicze, rządziły się u nas w większéj części podług ustaw i zwyczajów niemieckich. Listy nawet wyzwolenia, i mistrzowstwa, pospolicie niemieckim językiem pisane były. Obcato była ustawa przyjęta u nas, że człowiek z nieprawego łoża zrodzony, w cechu miejsca nie miał. Prócz trzech powyższych cechów, *sukienniczego*, *złotniczego i kuśnierskiego*, były następujące: cech *krawiecki*, w którym różniono tych, co przedają robotę, i tych, co prostą sporządzali odzież, od partaczów, którzy z parcia (k), podłe odzienia szyli. Cech *pasamoników* bardzo był liczny; używaną bowiem była ich robota do strojów męzkich i kobiécych, i rzadko kto bez niéj się mógł obejść. Zajmował tenże cech *szmuklerzów* i *haftarzów*.

Konwisarski (l), znaczył wiele przez używanie pospolicie naczyń cynowych, gdyż naczynia gliniane, fajanse

(k) *Paré* lub *Part*, grube płótno, którego lud pospolity na odzienie używał, zwał się ztąd *partacz*, *partolić portki* i t. d.

(l) Wyrazy *konwisarz*, przerobiony z niemieckiego *Zinngiesser*, tak jak *lodwisarz*, z niemieckiego *Glockengiesser*, służyć mogą za dowód, jak daleko słowa z obcego języka w naszym przekształcone być mogą.

i farfury jak i porcelana mało jeszcze były używane. Mieliśmy zaś podostatek cyny krajowéj, przeto obcéj wprowadzać nie było wolno.

Kotlarski, od roboty kotłów miedzianych wzięli nazwę kotlarze; miedziane nawet pieniądze kotliną były zwane. Prócz miedzi krajowéj, przywożono wiele miedzi węgierskiéj czarnéj, któréj kopalnie dzierżał tam dom *Fuggerów*: z niéj kuto blachy w Krakowie, i dopiéro do obcych krajów wysyłano.

Rusznicarski, dzielił się podług wielkich i małych rusznic; roboty téj Włochom, Moskwie i Turkom dostarczał, przeto w czasie wojny z temi sąsiady, wywóz do nich rusznic zakazanym był. Liczono w ten cech *puszkarzów*, którzy lali działa i osadzali rusznice, i *lodwisarzów*, którzy dzwony, lichtarze, i rzeczy mosiężne odlewali.

Ryngmacherowski, sama nazwa wydaje, z jakiego rodu rzemieślników się składał. Pierścienie, sygnety, spinki, manele, kanaki, naszyjniki i podobne rzeczy, w których drogie kamienie osadzano, co dziś do *jubilerów* należy, pierścienników było wówczas zatrudnieniem.

Pasnicy, od roboty pasów zwani, ale to nie były pasy miękkie, jedwabne, złotem lub srebrem przetykane, które dopiéro późniéj w używanie weszły, tylko rzemienne, okryte blachą, lub guzami, pospolicie ze srebra, albo téż z drutu spajanego w ogniwa, na przodzie na zameczek się zapinały.

Nożownicy, *szabelnicy* i *mieczniki*, nietylko wyrabiali noże, do pospolitego użycia krawacze, kosy ręczne, szable, miecze, koncerze i t. d. ale i *kandziary*, które przy boku zturecka za pas zakładano.

Ślusarski cech, obejmował rzemieślników, tak czarnéj jako i białéj roboty, nadto *szychterzów, zegarmistrzów* i t. d.

Kaletniczy, do tego rzemiosła należały *ładownice, szabeltasy, trzosy, juki* i t. d.; mieli miejsce uprzywilejowane w Krakowie *Smotrycz*, do przedawania swéj roboty. A że *kalety*, czyli worki skórzane, mieszkami zwano, przeto *kaletnicy* niekiedy *miesznikami* i *miechownikami* się zowią.

Szkatulnicy i *introligatory* jeden cech składali, bo tak jedni jak i drudzy deszczułek używali do swych robót. Za Zygmunta III nie znano innych introligatorów, jak tylko żydów. Dlatego cechów swych nie mieli, prócz *Krakowa* i *Warszawy*, gdzie byli chrześcianie, ale i ci obwiniali żydów, że im przeszkadzali; zajeżdżając w góry, drożyli deski do oprawy potrzebne.

Perukarze pociągani byli do cechu, lubo się nie przyznawali do rzemiosła, ale do przedniéj nad inne sztuki. Zatrudnienie ich było bardzo zyskowne.

Czapnicy w wielkich miastach oddzielali się od kuśnierzów, mając sami do czynienia z robotą czapek, które były rozmaite, jakoto: *sztyki, kołpaki, kapuzy, kuczmy, mycki, rogate, skrzydlate* i *kończate czapki*, zawsze okładane futrem, marmurkowe, sobolowe, bobrowe, krzyżakowe, barankowe, lisiurki i t. d.

Stolarze, w których cechu dzielili się rzemieślnicy, jedni co wyrabiali drobne, wykładane, i kwieciste roboty, drudzy byli którzy grubéj roboty pilnowali. Mieli zaś składy robót gotowych, ram, drzwi, stołów, listew i t. d. W tymże cechu mieścili się *tokarze* i *snycerze*, których, iżby właściwie zwać po polsku *obrażnikami* należało, już Mączyński w Słowniku swoim ostrzegał.

Szewski cech był prawie zawsze najliczniejszy. Szewcy co skóry *kordybanowe*, *safianowe żółte*, *czerwone* i *czarne*, jako i *czemsze* raczéj *zamsie* (ztąd *zamsikami* ich zwano) wyrabiali, za przedniejszych poczytani byli, i *szafiannikami* zwali się (1). Włoskiemi też nazywano tych, co robili trzewiki *bławatne*, *kordybanowe*, *skorzenki*, *kunowe pantofelki*, *muletki*, *papucie* z *safianu*; pospolitszych były robotą skornie, albo buty do pasa, inne do kroku albo do kolana, jako i *czoboty* z obwisłą lub krytą cholewą. Do szewców należał i handel skór i obucia; skarżyli się więc w tym wieku, że przywożono z Gdańska gotowe buty, trzewiki, mulety i pantofle, że żydzi przeszkadzali im w handlu safianów, capów, kordybanów i t. d.

Siodlarski, dostawiał pospolite kulbaki, łęki miękko okryte po tatarsku, i siodła droższe polskie, hiszpańskie, tureckie, włoskie, brunświckie. Siodlarze sprawowali nietylko całe siedzenie, ale cały rzęd ubioru konia, który jak bywał bogaty, świadczy przysłowie tego wieku w zbiorze *Rysińskiego* dochowane: *Przedał imienie, a kupił siedzenie.*

Stelmachski. Lubo rzemieślnicy byli sami Niemcy, jednak powozy robione były w kraju, i nie potrzebowano je sprowadzać z zagranicy. *Kolasy*, *kocze*, *rydwany*, *bryki*, *kolebki*, *karoce*, *wózki* w samych nazwach zbytku

(1) *Kordyban*, lub *korduan*, nazwę bierze od miasta hiszpańskiego *Korduby*; dlatego w instruktarzu celnym, po łacinie *pellis Cordubensis* tan gatunek skóry się zowie. Tam Maurowie niegdyś w wyprawie tych skór najdoskonalszemi byli; *safianu* zaś nazwa i sposób wyprawy, od Persów jest wzięty. *Zamsza*, którą wymawiano też *czemszciemiec* lub *cyniec*, a dziś pospolicie zowiemy *ircha*, jest skóra barania, na miękko wyprawna. W miastach większych, szewcy cech swój uzaciniają dotąd nazwą *safianniczego* cechu.

dowodzą. Stelmachy, których Mączyński po polsku *kołaśnikami* zowie, wspólny cech z *kołodziejami* mieli.

Rymarze, do których wszelakie z rzemienia roboty należały, a szczególniéj do użytku jezdnego, tak powszedniego rycerstwu polskiemu (m).

Garbarze, których po polsku *skórnikami kazemiakami* zwano, różnili się w tém rzemiośle. Inni byli *białoskórnicy*, przeto *zamesznicy* lub *ircharze* zwani; inni *garbarze czerwoni*, którzy *skóry czerwone*, inni *kordybanicy*, którzy *kordybany* wyprawiali. Przywileje ostatnich, nie dozwalały przywozić kordybanów z zagranicy, pod utratą połowy na Rzplitą, połowę na cech.

Piekarze wypiekali chléb polski i niemiecki; powszednim chléb był pszenny, białym pospolicie nazywany, którego jeżeli kształt był okrągły, *buła* lub *bochen*, jeżeli podługowaty, *kukla* czyli *kukiełka* się mówił. *Miejski* albo *kupiecki* zwał się, gdy był z mąki *pytlowanéj*, gdy z mąki na raz zmełty, *grysowy*. Pieczono prócz tego chleby *żytne* i *jęczmienne*, *kwaśne* i *praśne*. Chléb pszenny z przyprawą jaką, *kołaczem* się nazywał, a piekarze od ciast takich *kołaczniki*; ci co pierniki i miodowniki rozmaite na sprzedaj robią i pieką, *kichlarzów*, *piernikarzów* i *miodowników* nazwę mieli.

Rzeźniki, jedni bili duże bydło, i ci w jatkach mięso swe składali i przedawali, inni drobne, jakoto: cielęta, barany i t. d., o których mówi ustawa poborowa, iż na *sochaczki* bili, tojest, iż na *soszkach* ku sprzedaniu wieszali. W cechu rzeźniczym, żydzi wolni byli miéć na sprzedaj mięsa swego ośm jatek, lecz nie mogli chrze-

(m) Rzemień do piérwszych potrzeb odzieży ludzkiéj służący, i ręki ludzkiéj robotą, wprzód pewnie surowy, jak wyprawny, nie byłże i wyrazu i znaczenia rzemiosła początkiem?

ścianom sprzedawać, pod winą 5 grzywien i utraceniem mięsa; nie mogli zaś rąbać wielkiego bydła, jak na 8, a najmniejszego, jak na 4 ćwierci, i tak sprzedawać.

Piwowarski cech, albo *karczmarski*, zawiérał *niedowarów*, *pomocników browarnych*, *wodociągów*, *drążników*, *szynkarzów* i t. d. Słynęły w tym czasie z dobroci piwa *krakowskie*, ale za najlepsze miane były *proszowickie*, które szły na stół króla i Anny królowéj wdowy po Stefanie. Chwalono też piwa *grojeckie*, *wareckie*, *przemyślskie*, *piątkowskie*, *sandeckie*, *brzeżańskie*, *drzewieckie*, *piotrkowskie*, *garwolińskie* i t. d.

Kowalski, używał do robót swych żelaza, stali krajowéj, i wiele ich do obcéj ziemi wywożono.

Tkacki cech składał się z tkaczów płóciennych.

Barchaników co z przędzy bawełnianéj i lnianéj tkali. *Dreliszników* i t. d., także tych, co przędzy do roboty swéj używali, jako *sieciarzów*, *powroźników* i t. d.

Mularski cech, podzielony na majstrów i towarzyszów mularskich, obejmował także *kamieniarzów*, wyrabiających różne potrzeby z kamienia, i *kamienników*, którzy w górach łamią kamienie i one obciosują. *Garncarzów* czyli *zdunów*, *strycharzów*, *piecowników*, *kominiarzów* i t. d.

Cieśle, którzy także w swém rzemiośle uczeni być byli powinni, ustawom cechowym podlegali.

Rybacki cech nietylko zawiérał *rybitwów większych*, co z *sieciami*, z *włokiem*, i *mniejszych*, co z *małym niewodem*, *sakiem* lub *wędami* ryby łowią, ale i tych, co rybami przekupczą, do czego oddzielną ulicę w Krakowie wyznaczoną mieli.

Drukarze. Gdy Kraków w tym wieku miał razem 10 drukarń, dostateczną była liczba czeladzi, do utworzenia drukarskiego cechu. Prócz tych byli jeszcze: *mydla-*

rze, blacharze, bednarze, iglarze, grzebienicy, kartownicy i *papiernicy: rudnicy, dziegciarze, smolarze, popielarze, szmelcarze, węglarze, dymarze, kuźnicy, płukarze* i t. d. (n). Nie zbywało więc wiekowi Zygmunta III na wszelakich rzemiosłach, owszem starano się rozmnażać je i wydoskonalać. Założone r. 1629 w Warszawie bractwo ś. *Benona*, miało obowiązek utrzymywania domu miłosierdzia i pracy, ku ćwiczeniu się w różnych rękodziełach.

Od rękodzieł i rzemiosł, które opatrują potrzeby, przechodzimy do sztuk, które służą więcéj zbytkowi, wygodzie, oraz i ozdobie.

Wiek panowania Zygmunta III, przewyższył w tym rodzaju zalety wieków poprzednich. Wystawia nam dokładnie stan rzeczy, obraz jego przez *Possela* kreślony. Król Zygmunt zamek krakowski r. 1604 powiększył i wspaniale przyozdobił. *Łobzów*, pałac letni królewski, chłodnikami i ogrodami upiększył. Warszawę znaną dawniéj jako miejsce sejmów, nietylko mieszkaniem królewskiém, ale i wielą budowlami okazalszą sprawił, tak, iż zastawszy miasto drewniane, w murowane, czyli raczéj w marmurowe je przemienił, a choć pożarem zeszpecone zostało, jednak powtórnie ją odnowił. Za niego Warszawa, mówi tenże, tyle w ludność wzrosła, iż się mieszkańcami prawie zacieśnia. Nigdy w taką ludność Polaków, Włochów Francuzów, Niemców, Ormianów, i innych narodów nie obfitowała Warszawa. Przydać do tego dwór królewski, wojsko, gwardye nadworne i polne, panów, rycerstwa i dworzan znakomite orszaki, to wszystko panowaniu

(n) *Barwierze*, czyli *cyruliki*, tudzież *łaziebniki* nie mieli swego cechu, nawet niżéj rzemieślników poczytani byli, kiedy łaziebniczych i barwierskich dzieci, w rzemiosło przyjmować nie chciano.

Zygmunta zaszczyt przynosi. W tymto czasie powstało wiele miast, zamków, pałaców, kościołów, klasztorów, szpitalów, iż królestwo polskie ozdobną wcale postać przybrało. Nie zbywało krajowi na przednich rękodzielniach, na *posążnikach*, którzy posągi z miedzi lub mosiądzu odlewać, a z marmuru kować umieją. Mamy *malarzy*, *budowniczych*, *złotników*, i rozmaitych wytwornych sztukmistrzów tyle i tak doskonałych, jakich nigdy dotąd kraj nie miał. Królowi to winniśmy, iż i sam biegły wytwornych sztuk znawca, wiele je wspiérał, mistrzów szanuje i dobrze płaci, młodzież zachęca i utrzymuje. Szczególniéj zaś sztuki piękne ma w swéj opiece, uczonych względami zaszczyca, nagrodami i chwałą pociąga. Świadkiem są tego akademia *krakowska*, *zamojska* i *poznańska*, okazują to wspaniałe Jezuitów domy i szkoły, dowodzą pyszne kościoły w *Krakowie*, *Wilnie*, *Warszawie* i *Lwowie*, wszędzie w marmur, alabaster, i w ciosy z kamienia obfite, a których odkrycie, temu królowi kraj jest winien. Cóż mówić o bogactwach domu królewskiego, o drogich sprzętach, pysznych ozdobach, obiciach, pojazdach, a w tych wszystkich ledwie który panujący w Europie zrównać się może. *Budownictwo* w Polsce lepsze, trwalsze, i ozdobniejsze, od Zygmunta III przykład zachęcenia i pomnożenia wzięło. Sprowadziwszy biegłych budowniczych Włochów, piérwszą myśl obrócił ku ozdobie stolicy i mieszkania królów. Pisząc o tém Petrycy (o) tak się wyraża: „Kościół z pięknie ciosanych kamieni OO. Jezuitom buduje; zamek także królewski subtelnie malowanemi obrazy, pokoje rzezaniem kwiatów wiele możnie ozdabia, i odnawia.

(o) Petrycy: *Oeconomia Arist.* str. 68. *Nakielski Miechov.* str. 927.

Wieżę wielką przy *kurzéj nodze* postawił. Kaplicę także w kościele katedralnym z szczerego marmuru, godną królewskiego budowania zakłada; zamek w Warszawie wszystek znowu porządnie, rozrzuciwszy stare mury, znacznym kosztem buduje." Za tym przykładem poszli możniejsi, i tak liczne budowy nowe, piękne i okazałe dźwignęli, iż podług świadectwa Opalińskiego (p), znamienity budowniczy Włoch to o Polsce powiedział: „*że jeżeli daléj tak się ciągnąć będzie, nietylko wyrówna, ale i przeniesie kraj włoski.*" Że zaś ówcześni budownicy nasi ze szkoły włoskiéj być musieli, widzimy trwające dowody w budowlach wieku tego: domy tak miejskie, jako i wiejskie, dachy mają pospolicie płasko kryte, choć wcale dla kraju naszego niestosowne, okna wielkie, i częstokroć ku północy dla chłodu, na którym nam nie zbywa, obrócone, izby wysokie, drzwi ogromne i t. d. Błony pęcherzowe zamiast szyb szklanych używano do okien, ztąd i dzisiaj jeszcze szklarzów *błoniarzami* lud pospolity nazywa. Domy murowane na wsiach, nie zwano jeszcze pałacami i zamkami, jak późniéj, ale kamienicami. Tęż nazwę i domy w miastach wzięły, co dowodzi, iż naprzód z kamienia stawiane być musiały. Zamki powinny były być obronne okopami, basztami, oblane wodą i t. d. Pycha możnych, ledwie nie kurniki nazwiskiem zamków potém ochrzciła. Godne są pochwały, i panów możnych w tym rodzaju zasługi. *Jan Zamojski* kanclerz w. k. wiele pięknych pamiątek zostawił. Twierdza obronna *Zamoyść*, wspaniałe akademii collegium, domy dla nauczycielów, i kościół tamże, zamek w *Szarogrodzie*, wzniesione miasto *Tomaszów*, jego są dziełem.

(p) *Polonia defensa contra Barclaium* p. 55.

Mikołaj Wolski marszałek w. k., mistrzów biegłych w rozmaitych sztukach i rzemiosłach do Polski sprowadził, wspaniałe pałace w *Krzepicach*, *Kłobucku*, *Olkuszu*, *Rabsztynie* wystawił, a w *Bielanach* dla Kamedułów piérwszy dom w Polsce i kościół wielkim nakładem wyniósł. *Myszkowski* Zygmunt marsz w. k., ściągnął także umiejętnych mistrzów z Włoch, Francyi, Niemiec i Anglii. Dom jego w Krakowie, był składem najwyborniejszych dzieł ludzkiéj ręki, napełniony towarzystwem znakomitych mężów, sławnych z biegłości w naukach i sztukach. Książąt *Radziwiłłów* domy i zamki, ozdobami, wspaniałością i wytwornością sztuki, cudzoziemców nawet dziwiły. Oni pozakładali w Polsce, mówi Possel, najpiękniejsze ogrody, obfite w zagraniczne rośliny i wyborne owoce, jakie mało gdzie widziane być mogą. Stanisław książę *Lubomirski*, wojewoda krakowski, prócz wielu wspaniałych kościołów i klasztorów, niezmiernym nakładem wystawionych, wzniósł pyszne co do swéj wielkości, a warowne i rynsztunkiem wojennym opatrzone zamki w *Wiśniczu*, w *Połonnem* i *Łancucie*. Dotrwały naszych czasów i wielu innych dzieł podobnych pamiątki; ale nie doszły nas imiona budowniczych, których umiejętność te gmachy wywiodła. Podały nam przecie dzieje, imiona sławnych w tym wieku budowniczych wojennych, jakiemi byli: *Wilhelm Barbier* Francuz, *Teofil Schomberg* Niemiec, *Jan Deban* Wielkopolanin z Leszna.

Nie czytamy ani wzmianki o *malarzach* Polakach, lubo ani wątpić można, że byli; gdyż sam król znał się na téj sztuce, lubił piękne malowania, drogo je płacił, i miał nadwornych malarzów. Na Kalwaryi, założonéj w *Zebrzydowicach* przez *Zebrzydowskiego*, wojewodę

krakowskiego r. 1608, dają się widzieć trzy wielkie obrazy przedniéj sztuki, wystawiające: *przybicie do krzyża Chrystusa pana, podniesienie krzyża,* i *skonanie na krzyżu*, które malowane być miały przez jednego braciszka Bernardyna, a ten zwał się *Leksicki* Krakowianin. Obraz *ś. Jacka Odrowąża*, który *Zygmunt III* przez kardynała Maciejowskiego biskupa krakowskiego posłał w darze Grzegorzowi XIV pap., w Polsce był malowany, i tak wybornie, że przedni malarze włoscy, z podziwieniem sztukę chwalili.

I rzeźba miała tego wieku w Polsce w téj sztuce mistrzów. Król sam na kamieniu trafnie twarzy swéj obraz wyrzynać umiał, i swą robotą ludzi znakomitych obdarzał. Zręcznie i ze złota łańcuchy, drobne ozdoby, i kwiaty wyrabiał. W Gdańsku wyrabiano rozmaite sztuki z białego i żółtego bursztynu, które drogo płaciły. Król te roboty na dary dla dworów i posłów obcych zakupywał. Tak legat papiezki *Cajetano*, krucyfix, tackę do ampułek i inne do ołtarza sprzęty z bursztynu otrzymał. Książę *Zbaraski*, dał *sułtanowi* i *wezyrowi* zwierciadło w ramach bursztynowych, szachy, miednicę i nalewkę z białego bursztynu.

Liczne medale bite z różnych powodów za panowania Zygmunta III, umiejętności rzeźby są świadectwem. Wspomnę o tych, które nam czasy z tego panowania w istocie lub opisie zachowały.

Piérwszy medal bity r. 1587, wyrażał z jednéj strony twarz króla młodego, z drugiéj miecz obrócony końcem ostrym do góry, z napisem *pro jure et populo.* Oznaczał zaś pamięć szczęśliwie otrzymanego wyboru króla, i gotowość jego do bronienia go mocą orężа. Oddany

był Zygmuntowi w Gdańsku, gdy piérwszy raz dnia 1 październ. 1587, ze Szwecyi do Polski przybył.

Drugi r. 1592, w Krakowie bity, z powodu poślubienia Anny arcyksiężniczki, miał po jednéj stronie dwie gałązki pochylone ku sobie, i wierzchołkami się stykające, lubo wodą przedzielone od siebie, i napis: *Amor distancia jungit*, miłość rzeczy odległe łączy. Po drugiéj dwa orły cesarski i polski, i te słowa: *Ast animos sociasse juvabit*, zjednoczenie umysłów, wiele dobrego sprawia.

Trzeci z tegoż powodu miasto Gdańsk wybiło, wyraża on z jednéj strony twarze króla i królowéj, z drugiéj strony herby miasta i oznakę jego wierności: zwyczajem zaś swoim, jaki oddawna w okolicznościach wielkich zachowywało, ofiarowało królowi w puharze złotym sto sztuk takowych medalów, ktore fenikami złotemi zwano, a każdy z nich dziesięć czerwonych złotych ważył.

Czwarty medal, którego wiele złotych i srebrnych sztuk wybito, gdy po śmierci ojca 1593 objął Zygmunt koronę szwedzką, wystawiał dwie niewiasty: z tych *jedna* miała na głowie okręt, i w jednéj ręce trzymała trójząb, a drugą wylewała wodę z naczynia, o które się delfin przy jéj nogach wspierał. *Druga* niewiasta miała w prawéj ręce róg obfitości, w lewéj snop, a na głowie wieże. Napis: *Crescit geminatis gloria curis*, gdzie się troska podwaja, tam i chwała rośnie. Obie oznaczały morze i ziemię, czyli Zygmunta panem Szwecyi i Polski.

Piąty z okoliczności powtórnie zawartego ślubu z Konstancyą królową, która zmarłéj Anny siostrą była; na jednéj stronie dwie synogarlice zbliżone ku sobie, na drugiéj imiona i herby rodu obojga wyrażał, z napi-

sem: *Regnorum securitas*, bezpieczeństwo królestw. Takowe pieniądze, w mieście Krakowie, w dzień ślubu hojnie między pospólstwo rozrzucane były.

Szósty r. 1605, poświęcony był pamiątce założonego przez króla kościoła OO. Jezuitom, pod wezwaniem ś. Piotra w Krakowie r. 1597. Jedna strona medalu wyrażała twarz króla, druga napis w języku łacińskim, a który znaczył: *że Bóg Zygmunta królestwem obdarzył, król wdzięczny Bogu kościół wystawił* i t. d. Medal pod kamieniem węgielnym złożony został.

Siódmego przecznica okręgu medalowego 8 calów zawiéra, a 370 czerwonych złotych waży. Były i pomniejsze medale z tegoż powodu bite, lecz w odmiennym kształcie.

Ósmy imieniem miasta Gdańska r. 1614, ofiarowany królowi; na odwrotnéj stronie obraz twarzy króla, świadczył wierność i przywiązanie do tronu, miasta tego mieszkańców. Były to raczéj pieniądze fenikami złotemi zwane, złożone w podarunku królowi, z powodu narodzonego w tym roku królewicza Aleksandra.

Dziewiąty medal, bity był z powodu odniesionego nad Turkami zwycięztwa r. 1621, czyli raczéj szczęśliwie odpartéj ich potęgi, co nasi za wielkie poczytali zwycięztwo, i słusznie, bo odpór ten wielką klęskę od Polski odwrócił. Nie miał zaś ten medal znaku zwycięztwa, bo właściwie z obudwóch stron, niepokonane wojska rozeszły się. Albertrandy, jeden z najbieglejszych numizmatyków mniema, że znaczna tych medalów liczba bitą być musiała, gdyż były przeznaczone na nagrodę zasłużonym, i w 180 lat późniéj, wiele ich jeszcze dochowanych oglądał. Jedna sztuka sto czerwonych złotych ważyła.

Dziesiąty miał ten powód, iż gdy w czasie wojny przez Gustawa Adolfa króla szwedzkiego w Prusiech toczonéj, miasto Toruń zdradzić obowiązków swéj wierności dla króla polskiego nie chciało, oblężone będąc od *Wrangla* wodza szwedzkiego, ogniem zniszczone zostało. Jedna strona wystawia pożar miasta z przedmieściami, i napis: *Fides et constantia per ignem probata*, wierność i stałość, doświadczona ogniem. Druga, herb miasta, z napisem: *Torunia hostiliter oppugnata, et Dei auxilii fortiter a civibus defensa*, Toruń oblężony od nieprzyjaciół, a za pomocą Boską, mężnie od mieszkańców obroniony r. 1629.

Nie było wieku, ani przed panowaniem Zygmunta III, ani późniéj, w którymby Polska w liczniejsze budowle zakwitnęła. Co tylko znaczniejszych zamków, kościołów, klasztorów, domów, i teraz jeszcze kraj polski zdobi, są one po większéj części wieku Zygmunta III dziełem. Przykład króla stawiającego wspaniałe gmachy, zachęcił i możniejszych, aby potomnym trwałe swych imion pamiątki zostawili. Ile mogłem zebrać wiadomości lat, jak stawiane były, porządkiem tu je wymienię.

Roku 1580, Jan *Zamojski* kanclerz, hetman w. k., twierdzę *Zamość* dokończył, murem i okopami opasał; w dziele samém dowodzi, iż w napisie oświadczenie pobudki swego przywiązania ku ojczyznie zostawił.

R. 1590, Bernard *Maciejowski* biskup krakowski, dom z kościołem zgromadzeniu Jezuitów w *Lublinie* wystawił. *Zamojski* mury swéj akademii założył.

R. 1591, *Sieniński* wojewoda podolski, dwa zamki ku obronie Rusi w dobrach swych *Pomorzanach* i *Monasterzyskach* wzniósł i umocnił.

R. 1592, *Gostomski* Hieronim, wojewoda poznański, starosta sandomiérski, dom i kościół *Jezuitów*, a *Elżbieta z Sieniawskich* Gostomska marszałkowa w. k., kościół OO. Benedyktynów *w Sandomiérzu* wystawiła. Tam córka jéj piérwszą księnią, drugie dwie zakonnicami były.

R. 1593, w Jazłowcu, *Jazłowiecki* starosta śniatyński, klasztór *Dominikanów* założył. W Krokowie, blizko *Żarnowca* w Prusiech, *Krokowscy* wspaniały zamek zmurowali, i w nim wracającego ze Szwecyi Zygmunta, przez dni kilka przyjmowali. Przez wdzięczność, król nadał Krokowskim wolność łowienia ryb w morzu, o co była kłótnia z klasztorem panien żarnowieckich, mających dawniejsze prawo wyłącznego przy tychże brzegach połowu.

R. 1594. W *Piaskowéj Skale* stanął piękny zamek, nakładem Stanisława *Szafrańca*, wojewody sandomiérskiego.

R. 1595. Miasto *Tomaszów* na Rusi, *Jan Zamojski* w mieście zwaném niegdyś *Rogoźna* założył, które od herbu swego *Jelitów*, ale późniéj od imienia syna swego Tomasza z Barbary Tarnowskiéj zrodzonego, *Tomaszów* nazwane zostało.

R. 1596. Reformatów dopiéro sprowadzonych do Polski, król w *Wieliczce osadził* w tém miejscu, gdzie podług powieści gminu, ukazywało się widmo dwóch mnichów z koszturami chodzących (q). Pogorzały zamek krakowski król tenże podniósł, odnowił, i rozszerzył, dach blachą miedzianą z kopalni kieleckiéj pobił.

(q) Piérwszy raz zaprowadzone do Polski zakony za Zygmunta III są: Reformaci, Bonifratrzy i Karmelici bosi.

R. 1597, kościół ś. Piotra w *Krakowie*, na wzór tego, jaki ciż Jezuici mieli w Rzymie, król założył; kamień węgielny kładł z Jerzym księciem Radziwiłłem biskup. krakow.; złożył w nim i świadectwo przychylności Zygmunta III Jezuitom okazywane.

R. 1598. W *Latyczowie*, Jan Potocki starosta kamieniecki wymurował zamek, na który uczynionego nakładu powrót, Rzplita zapewniła mu na témże starostwie, które mu w przyznanéj summie 12,000 złp. na lat 50 wypuściła. W *Kaniowie* postawiony był zamek przez sługi księcia *Ostrogskiego Janusza*, kasztelana krakowskiego, starosty kaniowskiego, nakładem Rzplitéj, która w tym celu na to zezwoliła, aby kupcy wszelakiego narodu, pieniądze gotowe za granice koronne do Moskwy przez granice województwa kijowskiego wywożący, opłacali cła po groszy 6 polskich od 10 złp. przez lat 12. W *Barze*, zamek *Stanisław Koniecpolski* potém hetman w. k. wzniósł i obwarował; w *Gdańsku* Jezuitów, w *Bydgoszczy* Franciszkanek, Hieronim *Rozrażewski* biskup kujawski domy i kościoły z muru wystawił.

R. 1599. Król na miejscu zamku drewnianego, nowy z muru i ciosu stawiać począł w *Warszawie* nad Wisłą, przenosząc do tego miasta stolicę państwa z Krakowa, w którém mu nieprzychylna szlachta, a po większéj części nowowiercy, mocno dokuczali. Bliżéj też miał z Warszawy do Szwecyi. Tegoż roku we *Lwowie*, za przyłożeniem się *Solikowskiego* arcybiskupa lwowskiego, panny zakonne są fundowane.

R. 1600. Klasztory w *Janowie* Dominikanów *Gomulińskiego* biskupa chełms., w *Dąbrownie* lit. *Chlebowicza* nakładem stanęły.

R. 1601. Założono miasto i twierdzę *Szarogród*, od Saryusza przydomku *Zamojskich* nazwane, wśród obszernych stepów, które dawniéj należały do biskupa kamienieckiego, a które Białobrzeski biskup, z dozwoleniem stolicy rzymskiéj, za inne dobra pod Warszawą przy Pradze leżące zamienił. Najpiękniejszą przestrzeń niższém Podolem zwaną, przez tę zamianę nabytą, zajmowały włości Zamojskich. W tymże roku Ludwik *Mortęski* wojewoda pomorski, zamek warowny ku obronie kraju z pochwałą uchwały sejmowéj, tegoż roku w *Pokrzywnie* wystawił.

R. 1602. W *Paniowcach*, *Jan Potocki* wojewoda bracławski, zamek obronny sztuką, murem i wodą wzniósł, który, jak Piasecki pisze, Turcy z podziwieniem oglądali i próżno się o niego kusili. W *Wilnie* kościół ś. Kazimiérza *Zygmunt* założył i wystawił, a Lew *Sapieha* kanclerz w. ks. lit. wielce go przyozdobił. Późniéj król *dzwon* wielki dobyty w *Smoleńsku*, temuż kościołowi darował.

R. 1603. W *Sokalu* Bernardynów *Gomuliński* biskup chełmski, w *Łęczycy* Norbertanki *Szczawiński*, w *Warszawie* Dominikanów Abraham *Bzowski* tegoż zakonu, mąż z nauk teologicznych słynny, fundowali.

R. 1604. *Zygmunt* letnim pałacem *Łobzów* ozdobił. *Stefan Potocki* klasztór Dominikanów w *Potoku* wymurował.

R. 1605. W *Barze* temuż zakonowi *Golski* wojewoda ruski klasztór i kościół wystawił.

R. 1606. Stanęły domy i szkoły Jezuitów w *Krożach* na Żmudzi, przez *Chodkiewicza* het. w. ks. lit., w *Łucku* przez Marcina *Szyszkowskiego* biskupa, w *Brześciu* litewskiém przez *Wołuckiego* biskupa łuckiego wyprowadzone i nadane.

R. 1607. W *Szarawie*, stanął klasztór Dominikanów fundacyi *Pretficza*, wojewody podolskiego.

R. 1608. W *Busku* Dominikanów, przez Jerzego ks. *Wiśniowieckiego*, kasztelana kijowskiego; w *Józefowie* Bernardynów, przez *Potockich* dziedziców, klasztory i kościoły wystawione były.

R. 1609. Zamki obronne w *Lubowli* w ziemi Spiskiéj, iż na nim obrona granic od Węgier polega, w *Mozyrzu* w księztwie litewskiém, iż jest na wstręcie każdemu nieprzyjacielowi Rzplitéj:, nakładem skarbu publicznego wzniesiono i opatrzono; w *Żółkwi* hetman *Żółkiewski*, w *Krzepicach* Mikołaj *Wolski* marszałek w. k. zamki porządne i ochędożne wywiedli.

R. 1610. Tenże *Wolski* w *Bielanach*, czyli na *Srebrnéj górze* o milę od Krakowa, wspaniałe gmachy dla Kamedułów postawił. W *Jezupolu* Dominikanów Jakób *Potocki* wojewoda bracławski osadził. Król powiększył zamek warszawski i w nim mieszkać zaczął.

R. 1611. W *Wierzbowcu* na Ukrainie w dobrach królewskich, zamek warowny ku obronie porządnie wymurował i osadził żołnierzem Stanisław *Gorecki*, za co wdzięczna Rzplita, w nagrodę dziedzictwo téj włości mu nadała. W Chęcinach zamek staraniem i nakładem Stanisława *Branickiego* dźwigniony został, a Rzplita koszt uznany powróciła. W *Krakowie* kościół i klasztór Karmelitów bosych przez *Tylickiego* biskupa krakowskiego, w *Leżajsku* Bernardynów przez *Opalińskiego* marszałka w. k. przyprowadzono do skutku.

R. 1612. w *Prusiech* zamek *Gziński* przez Stanisława *Kostkę* wojewodę chełmskiego, w *Tylicy* przez *Tylickiego* kasztelana kijow. założone są. W *Krakowie* Bonifratrzy piérwszy raz do Polski wprowadzeni, przy kościele

ś. Urszuli, w *Latyczowie* i *Kamieńcu* Dominikanie *Potockiéj* wojewodziny bracławskiéj, w *Lachowcach* ciż. Krzysztofa *Sieniuty*, osadzeni są.

R. 1613. Maciéj *Konopacki* biskup chełmiński, w *Konopatach* włości dziedzicznéj, pałac wymurował, który herbami *Borgezych*, nadanemi domowi swemu od Pawła V. pap. ozdobił. W *Krasiczynie*, Marcin *Krasicki* wojewoda podolski, o milę od Przemyśla nad rzéką Sanem zamek warowny wystawił, o którym, sławny Marcina potomek *Ignacy* biskup warmiński napisał: „*Tego się znamieniem zwali, ci którzy go budowali.*"

R. 1614. W *Zalinie*, Maciéj *Zaliński* kasztelan gdański, pałac ochędożny, a Mikołaj z Kwocza *Wysocki*, w *Bohatynie*, klasztór Dominikanów z muru wywiódł.

R. 1615. W *Czemiernikach*, Henryk *Firléj* biskup płocki pałac, a kościół i klasztór OO. Dominikanom w *Jaworowie* zbudował.

W r. 1616 w *Łyszkowicach*, *Uniejowie*, *Chróślinie*, pałace prymas *Wojciech Baranowski* jedne wzniósł na nowo, drugie naprawił.

W r. 1617, domy z kościołami, w *Bydgoszczy* Jezuitom, przez *Kuczborskiego* biskupa chełmińskiego, a w *Usiatynie* OO. Benedyktynom przez Andrzeja *Potockiego* założone zostały.

W r. 1618, w *Nowogrodzie* siewierskim, Dominikanów *Zygmunt III*, a w *Szczebrzeszynie* tychże Tomasz *Zamojski* osadził.

W r. 1619, we *Lwowie* zakonnice Dominikanki pobożność kilku osób fundowała; zaś w *Szkłowie* Aleksander *Chodkiewicz* wojewoda trocki.

W r. 1620, *Krzysztof* zamek, wziął początek i nazwę od Krzysztofa *Ossolińskiego* założyciela, a któremu tę

dał Pulfendorf pochwałę, iż był jednym z najmożniejszych i najwspanialszych w Polsce. Kalwarya w *Zebrzydowicach*, od Mikołaja *Zebrzydowskiego* wojewody krakowskiego, licznemi kapliczkami i domkami podług rozmiarów w Ziemi Świętéj wziętych stawiona była, jakoby tą pobożnością mógł zgładzić winę sprawionego niecnym swym rokoszem zgorszenia, i tylu nieszczęsnych szkód zrządzonych krajowi.

W r. 1621, twierdza *Kamieniec*, z rozkazu i nakładem *króla*, przez Teofila *Szemberga* nowemi murami zmocniona. Klasztory Dominikanów w *Stopcach*, Aleksander *Słuszka*, a w *Ostrowie*, *Sapieha*, starosta orszański fundowali.

W r. 1622, w *Zakliczynie* Jan *Tarło* kasztelan sandecki Reformatów osadził, w *Brodach* Stanisław *Koniecpolski* dziedzic, zaprowadził szkoły.

W r. 1623, Andrzéj *Lipski*, biskup kujawski, w *Wolborzu* pałac, w *Chodczu* i *Wrocławku* Bernardynom klasztory wystawił.

W r. 1624, Stanisław *Lubomirski* wojewoda krakowski, pełniąc ślub uczyniony Bogu pod Chocimem, nietylko Karmelitów w *Wiśniczu* wspaniale fundował, ale tenże i w *Połonnem* kościoły farne, w Krakowie na *Żłobku* Bernardynów, w *Gródku* panny zakonne, w *Lublinie* Karmelitów, w *Łancucie* Dominikanów osadził, przytém w domy i kościoły opatrzył; nadto zamki w *Wiśniczu*, *Łancucie*, i *Połonnem*, działami po 80 w każdym obronne, puszkarzami i ludem zbrojnym po 400 w każdym osadzone, wszystkie zasobione na lat 3 w żywność, tegoż *Lubomirskiego* są dziełem.

W r. 1625, domy klasztorne Dominikanów w *Lubartowie*, Reformatów we *Wrocławku* przez prymasa *Lipskiego* wystawione były.

W r. 1626, w *Warszawie* król *Zygmunt* na pamiątkę odniesionego nad Szujskim zwycięztwa przez hetmana Żółkiewskiego, klasztór z kościołem z muru wyprowadził, Dominikanom oddał, i tamże zwłoki kniaziów Szujskich pogrzebać kazał.

W r. 1627, w *Zborowie* Bernardyni dom i klasztór od Jerzego ks. *Zbarazkiego* otrzymali.

W r. 1628, Agnieszka z Firlejów *Tęczyńska*, wojewodzina krakowska, w *Czerny* o 3 mile od Krakowa, Karmelitom bosym klasztór, eremitarzem, czyli pustelniczém mieszkaniem zwany, tak wspaniały i obszerny wystawiła, iż mury jego na milę się rozciągały, jak twierdzi Pruszcz, który sporządzony na blasze rys jego oglądał.

W r. 1629, w *Łomży*, *Nowodworski* bis. poznański, w *Jarosławiu* u Panny Maryi w polu Anna z Kostków ks. *Ostrogska*, w *Przemyślu Sieciński* biskup przemyślski, domy z kościołami hojnym nakładem zbudowali.

W r. 1630, w *Tyśmienicy* od *Mikołaja Potockiego* kasztelana krakowskiego, w *Śniatyniu* od *Jana Potockiego*, w *Siemianowie* od wdowy z Tarłów *Potockiéj* założone zostały klasztory Dominikanów, przez co wielce rozmnożył się ten zakon na Rusi. Tegoż roku w *Brzeżanach* Mikołaj *Sieniawski* krajczy koronny, zamek umocnił i kościół wymurował.

W r. 1631, dom Jezuitów w *Krośnie*, *Bal* podkomorzy sanocki dokończył. Eustachy *Wołowicz* biskup wileński Augustyanów do *Wilna*, *Czerleńkowski* podczaszy bracławski Dominikanów *do Winnicy*, tychże *Chodkiewicz* wojewoda wileński *do Nowogródka*, *Słuszka* kasztelan miński *do Rzeczycy*, zaprowadził.

W r. 1632, Stanisław *Warszycki* wojewoda mazowiecki, zamek w *Dankowie* wzniósł, opasał i osadził.

Także w *Zbąszynie* Abraham *Ciświcki* kaszt. Szrem. pod sprawą budowniczego wojennego *Dekana* wystawił.

W tym wieku, w którym włoszczyzna była najlepszego smaku wytworem i wzorem w budownictwie, trzymano się kształtu włoskiego.

Zygmunt, jako się wyżéj mówiło, nie innych jak tylko Włochów miał budowniczych; przez nich stawiane w Polsce budowle, zachowywały podobieństwo włoskich. Tak zamek królewski krakowski, przetworzono na wzór zamku ś. Anioła w Rzymie, kościół ś. Piotra w Krakowie, jak kościół OO. Jezuitów rzymskich i t. d. Dosyć jest widzieć stawiane w tym czasie gmachy, aby w nich dostrzedz smak włoszczyzny w wysokich izbach, drzwiach, i oknach wielkich; ledwie piecom niepotrzebnym we Włoszech, w domach polskich miejsca pozwolono. Nigdy te mieszkania wygodnemi co do ciepła być nie mogły. Od Włochów przejęliśmy oraz smak zakładania ogrodów, włoskiemi pospolicie, a wytworniéj *dziardynami* zwanych. Powiém o niektórych, ile mi się w pismach współczesnych doczytać o nich zdarzyło.

W *Przemyślu* na Rusi, był wielki i rozległy ogród i zwierzyniec królewski, napełniony zwiérzem wszelkiego rodzaju (r); dziś ani ślad miejsca nie pozostał.

W *Radłowie*, mieszkanie Opalińskiego marszał. w. k., było zachwalone z przyjemności położenia przez Stan. Sarnickiego; był tu dom i ogród ozdobiony najwytworniejszéj sztuki pięknościami, iżbyś mniemał, mówi on: że to jest ogród Lukulla (s).

(r) *Hortus ingens regnis omni terrarum genere refertus.* Gwagnin.

(s) *Locus amaenus et refertus omni genere elegantiarum et Luculli hortum putes.* Sarnicki.

Nieporęt, wieś blizko Warszawy, miała dom królewski drewniany, postawiony od Zygmunta III, ozdobny, kształtny i tak obszerny, że cały dwór królewski i przybywających panów, wygodnie mógł mieścić, nie biorąc wygody z teraźniejszego wieku znaczenia. Przy nim była kaplica i ogród włoski, z którego możniejsi brali wzór do zakładania swych wiejskich ogrodów. Ale nic równego w Polsce widzieć nie można było, jak ogrody w *Nieświeżu* książąt Radziwiłłów, którzy w nich przepychem bogactw, wytwornością sztuki, naśladujących to, co w obcych krajach najpiękniejszego widzieli, tu razem połączyli. Obfitowały one w zagraniczne rośliny, najznakomitsze owoce i w rozliczne ich odmiany, i już znane były szklarnie, ogrodowe cieplice i zimowe przechówki. Nieświeżkie ogrody były najpierwszemi ogrodami na Litwie. W *Słupi* znajdował się najpyszniejszy dom i ogrody tak kształtne i obszerne, iż zdaniem Sarnickiego, z najpiękniejszemi ogrodami w tym wieku równać się mogły. W *Krzepicach*, w Sieradzkiém, prócz pięknego zamku, w którym Władysław IV czasem przesiadywał, były ogrody, a przytém przyległy zwierzyniec założony przez Mikołaja Wolskiego marszał. w. k., co prócz rozmaitego zwierza, samych danielów 1600 zawiérał. Rozciągał się wzdłuż na trzy ćwierci, a wszérz na pół mili; wokoło otoczony był wysokim parkanem, do którego utrzymania, za dozwoleniem króla Zygmunta, wyznaczeni byli zagrodnicy z wsiów starostwa krzepickiego, jakiemi były: Iwanowice, Złochowice, Opatów i Dankowice, którzy podług podziału w latach przepisanych *przęsła* stawiać powinni byli. Piękność położenia nad rzéką Liswartą, gaje drzew rozlicznych, rozkoszne łąki, przerzynające i wiłżące je strumienie, kształtne domki, altany, strzelnice, przyczy-

niały się wiele do ozdoby tego wielkiego ogrodu. Również rozkosznym musiał być ogród Sieniawskich w *Brzeżanach* za Lwowem, czego samo nazwisko *Raju* jest dowodem. Wszystko tu przyrodzenie i sztuka połączyły, co do przyjemności ogrodu należy. Gaje, wytryski wód, szumne ich spadki, chłodniki i spoczynki, przyozdobiono posągami rozlicznemi, a między temi piérwszych rodziców, aby usprawiedliwić dane mu *Raju* nazwisko. W *Białéj* na Podlasiu, zwierzyniec książąt Radziwiłłów do 1000 jeleni, łosiów, sarn i danieli utrzymywał. Nie było możnego domu, któryby zwierzyńca swego, czyli jak Petrycy wyraża: *obory zwiérząt nie miał.* W *Rembielicach*, niedaleko od Krzepic, słynął w tymże czasie dom i ogród Stan. Warszyckiego wojewody podlaskiego, który dla przyjemności i wygody wykopać kazał rów długi dla wprowadzenia weń wody z rzéki Liswarty; był równie i drugi ogród tegoż w *Dankowie*, wielkiemi drzewami wspaniały. W *Falentach* blizko Warszawy, zalecony był dom Opackich dziedziców téj włości, z wygody, ozdób i ogrodów, które przyjemnością położenia, wesołością gajów i łąk, wielością strumieni, zwabiały z stolicy lubowników wiejskiéj rozkoszy. W *Łobzowie*, ogród upiększony łąkami kwiatów, gajami drzew, rozmaitemi kamiennemi chodnikami i wodami, Zygmunta III był dziełem. Tu lubił sam cieniowe i owocowe drzewa sadzić, siać kwiaty, rozmnażać rośliny, pielęgnować melony i t. d.

Zabawa w letniéj porze, najprzyjemniejszą tu była dla niego rozrywką.

MAHMUDEK.

Powieść

PRZEZ

Władysława Strzelnickiego.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Nocny wędrownik. Dwaj bracia.

W roku 1841, Szamacha została podniesiona do godności generalnego miasta. Przez to i handel jéj się ożywił, i ludność wzrosła, i stosunki z Rossyą, z Europą nabrały większéj siły. Cechy azyatyzmu, zaczęły jedna po drugiéj ścierać się i ginąć. Surowa przedtém Muzułmanka, przybiéra postać zalotną, przykrzy sobie w tajemnicy i wstydzie, odchyla czadrę; ściany swoje, te ściany co tak jeszcze niedawno, szare, nieme, ślepe, stały jak zagadki przed okiem cudzoziemca, bieli i mnóstwem okien dziurawi; dachy maluje, drzwi od ulic robi! Wkrótce jéj nie poznasz; na starém tle przyjęły się stubarwne cętki obczyzny, cętki się powiększą, tło zaginie!

Cóż wtedy będzie? Oto teatra, przechadzki publiczne, bale, ożywią gród Szyrwan-Szachów, oto córki proroka, zamiast tych nieznośnych czader, pokazywać nam będą swoje śliczne buziaki, wyzywające oczy i obnażone ramiona; zrodzą się miłostki jednodniowe, ściskania rączek, pokątne szepty, szczęśliwe gachy, małżonkowie zdradzeni.... Oto w przybytkach poświęconego Bogu (meczetach), zabrzmi huczna orkiestra, i długobrody Chadzi, stanie do mazura z żoną piérwszego Achunda...

Ani wątpić, że cywilizacya wiele wygra na tém. Bo naprzód, pozbędzie się swojéj odwiecznéj nieprzyjaciołki,—tajemniczości; powtóre, z wyzwoleniem kobiét, świéży, mocny prąd wpłynie w jezioro społeczne, jezioro tym prądem poruszone, nabierze jakiegoś życia. Potrzecie...

Ale czy wygra poezya?

My, bajarze i rymokleci, mamy dziwne gusta. Jeden mędrzec nazwał nas uszczypliwie niedoperzami umysłowego świata, niby dlatego, że my podobamy sobie w ciemnościach. Możnaby mu odpowiedzieć, naśladując jego jarmarkowy sposób tłumaczenia się, że w jasny dzień lada kiep pójdzie i nie zbłądzi, albo, że kwiat paproci, który posiadaczowi swemu szczęście zapewnia, o północy tylko się zbiéra..... Ale jako żywo, my nie lubimy ciemnoty. Niemowlęctwo ludzkie, czas, kiedy syn Adamowy nie wyrosł jeszcze z bydlęcia, jest nam szpetny i niepoetyczny. Prawda, że z drugiéj strony i światło lipcowe szkodzi oczom naszym. Kiedy trawa żółknie, zdroje wysychają, a kłos dojrzały upada pod sierpem tłustéj żniwiarki, poezya wówczas chroni się pod krzak róży omdlewającéj, z kwiecia już ogołoconéj, która jéj jednak przypomina rozkosze maju.

Gdybyście wy zdobyć się mogli na wyrozumiałość, panowie arcyrabini téj arcymądréj synagogi, i nam profanom, do waszych drzwi niecisnącym się wcale, nieuczonym w talmudzie ani w kabbali, dali święty pokój! To co się u was cywilizacyą zowie, ma aż nadto dosyć poganiaczy w was samych, w damach, w machinistach, publicystach i t. d.

* * *

Zostawiwszy teraźniejszość i przyszłość tym wychowawczym potęgom, cofniemy się w owe czasy tak niedawne jeszcze, a tak niezwrotnie ubiegłe, kiedy Szamacha była miastem ściśle prawowiernem i wschodniém.

Nie widziałeś wówczas tych tysiąca okien o dużych szybach, tych drzwi gotowych otworzyć się na oścież przy piérwszém zapukaniu, nie słyszałeś na ulicach tego turkotu powozów; domy głuche i bez okien, wyglądały jak pudła z herbatą zewsząd szczelnie zamknięte, a tak były kształtem podobne i pozłączane, że wlazłszy na jeden, mogłeś sobie bez żadnych skoków użyć długiéj przechadzki. Ulice prawie puste, bazar tylko szumiał, kipiał i pienił się jak kocioł na ogniu. Powiedziałbyś, że wszystka krew téj śpiącéj niedźwiedzicy zlała się razem do serca.

To w dzień. A jakież były nocy? - Wonne, srebrzyste jak teraz, ale nie tak gwarliwe jak teraz. Ludzie spali albo tonęli w rozkoszach, a marzenia zpod tronu Dżin-Padiszacha (króla duchów), rojami spływały na nich, bo ich żaden hałas nie płoszył. Świateł nie rzęsisto: tam gwiazda spadająca biały szlak wypaliła na niebie, tu latarnia mignęła w ręku spóźnionego wędrowca, albo łuna z ognia rozłożonego na dachu, wiatrem podsycona buchnęła i położyła się milczkiem na ziemię.... Samotny

przybysz błądził po ulicach, i nic nie widział, jak cień swój, nic nie słyszał, jak tętent swoich własnych kroków, i pytał zdziwiony: gdzież są czary Wschodu?

Ale jeżeli z nim była jego wyobraźnia, ten śmiały nurek co wszędzie dna dostanie, ileż rzeczy mógł widzieć i słyszeć!..

* * *

W jednę z takich nocy, rozbójnik Harun wchodził do Szamachy. Miał na sobie żebraczą sukmanę, zpod której jakby z ciekawości, wyglądały dwie główki źle zakrytych pistoletów i rękojeść kinżała, w ręku niósł dwie długie kule, na których się jednak nie opierał. Wstąpiwszy na wzgórek gdzie stoi cmentarz, zatrzymał się, spojrzał na miasto oblane światełkami niezakrytego nieba, i zwiesił głowę. Spokój sumienia, spokój pożycia, nocy rozkoszne po dniach nieburzliwych, w jasnym, pełnym przynęty obrazie stanęły przed nim.

Poszedł daléj. Zstąpiwszy z pagórka, zaczął się przemykać po wyższych i ciemniejszych uliczkach. W jednéj już miał się spotkać z obchodem nocnym, a to groziło kordygardą, bo nie mając latarni, tego koniecznego paszportu wędrowników nocnych, mógł łatwo wpaść w podejrzenie. Przylgnął do ziemi w załamie muru, wziął w rękę pistolet, odwiódł kurek: niebezpieczeństwo minęło. Trzeba było przejść koło skarbowego budynku. „Kto idzie!?" zawołał szyldwach. Nie odebrawszy odpowiedzi, powtórzył zapytanie, a za trzecim razem dodał groźbę: „mów, strzelę!" Ale nie było do kogo strzelać, postać mignęła i przepadła, żołnierz ziewnął, zażył tabaki i ciągnął daléj swoję długą przechadzkę.

Na dachu jednego domu, przy ogniu, siedziało kilku ludzi zajętych rozmową; któryś z nich zobaczył Haruna i nacbyliwszy się powiedział:

— Zaczekaj tam na mnie, ja nowinki przyniosę.

* * *

Zpomiędzy siedzących na dachu, dwóch prowadzi dosyć ożywioną rozmowę, inni rzadko im przerywają. Patrzą na płomień i zdają się drzymać, choć oczy mają otwarte. Chrapliwy kalijan (*), z rąk do rąk, z ust do ust przechodzi, jak kolejna czasza; jego dymek siwy, to lekko ochmurzy brodate twarze, opromienione łuną ogniową, to się rozkłębia i ginie bez znaku.

— Ej, Kyzył-Begu, rzekł jeden z rozmawiających, ty jak ja widzę drwisz sobie z naszych bród; gdyby to prawda była, to i do raju nieśma po co śpieszyć: w raju tego nie znajdzie co w twojéj Warszawie. A też panny! Jabym za parę takich oddał wszystkie Huri białe, różowe, żółte i zielone. I jeszcze mówisz że przepadały za tobą?

— No, dosyć już o téj Warszawie, przerwał znajomy nasz derwisz Mustafa. Co o niéj mówić? Dzięki Ałłachowi, że cię widzimy Kyzył-Begu, bo tu wszyscy mieli cię za zabitego pod Gandżą. Powiédz nam, jak się to stało żeś ożył?

— Wiécie, że byłem topczi (artylerzystą) w wojsku Abbas-Mirzy. Biliśmy się pod Gandżą. Ja dostałem ranę z samego początku, więc jako niezdatny do boju, chciałem odejść i położyć się gdzie w chłodku między ciurami. Topczi-Baszi, widząc że umykam, kazał mię zawrócić. Powiadam że jestem raniony. Opatrują ranę, krwi nieśma. A trzeba wiedzieć, że to najcięższe rany, z których krew nie ciecze. Ale nie uwierzyli temu, nazwali mię tchórzem, mnie, Kyzył-Bega! i dla zapewnienia się nadal że będę mężniejszy, przywiązali mię sznurem do ar-

(*) Narzędzie do kurzenia tytoniu, u spodu napełnione wodą, przez którą dym przechodzi bełkocąc.

maty. Niebawem nasi zaczęli uciekać: ja chcę za nimi, sznur nie puszcza. Targam się, skaczę, wszystko daremne, trudno było urwać sznur, a armatę pociągnąć jeszcze trudniéj. Musiałem zostać i zazdrościć innym, osobliwie konnicy, co tak żwawo, tak lekko przemykała po stepie, niby stado dżejranów (antylop). Obejrzałem się jakoś za siebie — aż tu las ruskich bagnetów. Targam znowu sznur, natężam siły i padam bez zmysłów. Kiedym się ocucił, byłem już jeńcem. Wielu téż innych ta koléj spotkała. Byliśmy pewni, że jeżeli nam głów nie poodcinają, to przynajmniéj nosy, ale nadspodziewanie dobrze się z nami obeszli, nawet po kilku dniach niektórzy odzyskali wolność, i ja z nimi.

Otóż powiém wam otwarcie, że nic mię nie nęciło do Szamachy: przedałem tu dom przed wyjściem, innego majątku nie było. Brat mój w koczowisku mógł się obejść bezemnie; cóż miałem robić? zwłaszcza że grosiwo moje zakute w obcasie prawego buta i w talizmanach pozaszywane, ocalało podczas niewoli. Powałęsałem się jakiś czas po świecie, byłem w Tyflisie i w Achałcychu, ktoś mi powiedział że zbiérają pułk do Warszawy, nie wiele myśląc kazałem się zapisać.

— A tu w twoim domie coś go sprzedał, tyle teraz odmian, tyle przepychu że ani poznasz, powiedział derwisz, Musi to być wielki bogacz ten Mahmud-Beg. Czy nie zechcesz go odwiedzić?

— Ja prawie nie znam tego Mahmud-Bega. Kiedym mu dom przedawał, kto inny robił ugodę i płacił pieniądze. Był to, jeśli pamiętam, jakiś Ali-Aga.

— Jednakowoż, odwiédź Mahmud-Bega, odezwał się ktoś inny, kto wié czy nie poznasz w nim Ali-Agę. Między nimi jest jakaś plątanina.

— Coś to mi o tém dzisiaj prawili na popasie w Achsu. Ale po co się mam wikłać w cudze sieci. Jutro o świcie wyjadę do brata.

Derwisz wstał, zapalił latarnią, polecił całe grono opiece proroka, i zlazłszy po drabinie na ulicę, poszedł śpiesznym krokiem do domu Ali- Agi.

* * *

Harun dostał się bez wypadku pod mur otaczający jakieś obszerne mieszkanie. Chciał zastukać w furtkę, ale postrzegłszy szczelinę przez którą przekradało światełko z podwórza, stanął; przyszła mu chętka zobaczyć naprzód co się wewnątrz dzieje.

Oko ludzkie w każdym obrazie przedewszystkiém dostrzeże ludzi. Harun zobaczył dwoje: kobiéta w pąsowych z białemi kolorach, siedziała na murawie u brzegu małéj, krągłéj sadzawki, oblewającéj kolumnę wodotrysku, mężczyzna leżał i głowę miał opartą o jéj kolana. Nad nimi strzępiły się rószczki gęsto nasadzanych krzewów, stulistéj róży, akacyi, berberysu o drobnych kędziorach. Tu i owdzie migotały pozawieszane na gałęziach latarnie z różnobarwnych szkiełek; ich połysk pieszczony, wpół przygasły, podobny był do spojrzenia dziewczyny omdlewającéj w rozkosznym uścisku. Wietrzyk kołysał latarnie, i kulki rosy zdmuchiwał z liści i bukietów, i pieścił szklane łono sadzawki, to marszczył, to wygładzał. A liście szemrały półgłosem, jak rozmowa miłosna, i wodotrysk szemrzał, rozpryskując wokoło dészczyk mieniących się kropli.

Patrzał na to rozbójnik, jak patrzy kot na ptaszynę przez zagrodę klatki. Krew w nim kipiała, serce biło gwałtownie, pragnieniem i zazdrością. Miał on przed sobą obraz rozkoszy, jakiéj sam nigdy przez sen nawet nie

doznawał; w tym obrazie latały przed nim duchy pokusy, czepiały się gałęzi, pływały w falach powiewu, migotały w kroplach wodotrysku, z łudzącym podszeptem o zapomnieniu się, o szczęściu, o miękkiém łożu Hurysek, a on tymczasem musiał stać u furtki, w żebraczych łachmanach, on, odrzutek ludzi, skazany na wieczne tułactwo, pośród dostatków nabytych krwią i niepokojem duszy!

Ile razy kobiéta z czulszym giestem nachylała się do mężczyzny, albo nurzając bielutkie palce w kędziorach jego brody, zaczynała cichą rozmowę, Harun marszczył brwi, ściskał pięści, i zbiérał się do stukania w furtkę, potém znowu rękę spuszczał i patrzał. Ale cierpliwość podobnych mu ludzi, niedalekie ma granice, i im dłużéj dotrzymywana, tém gwałtowniejszym kończy się wybuchem. Mężczyzna wstaje, odpowiada umizgiem na umizg, obwija ręką kibić swojéj Huri. Harun uderza w furtkę z taką mocą, że aż sąsiedzi, co spali twardo na swoich dachach, budzą się i pytają jeden drugiego, zwiesiwszy głowę na ulicę: *bu kim diur?* Kto to?

Odaliska pierzchnęła jak spłoszona jaskułka, mężczyzna zerwał się, postąpił do furtki i nie otwiérając zapytał:

— Co ty za jeden?

Zamiast odpowiedzi, Harun podwoił szturm pięściami i nogami.

— Stój, stój, otworzę, wołał gospodarz, widząc że niéma innéj rady. Ale nim otworzył, prysnęły zawiasy i zamek, furtka wysadzona z trzaskiem upadła na niego,

— Harun-Aga zapomina, powiedział spokojnym głosem poznawszy gościa, że nad nim stryczek buja, i lada chwili może się ściągnąć na jego szyi, i o tém zapomina, że w jego brata wpatruje się tysiąc ocz szpiegujących.

Harun-Aga słynie z przezorności i rozumnéj odwagi, a postępuje jak dziecko.

— Harun-Aga? czemu nie powiész Harun pies, twój pies legawy, co nie ma prawa zajrzéć ci w oczy kiedy ty bankietujesz. Wiész co Ali-Aga?

— Ja się nazywam Mahmud-Beg, prosiłem cię już tyle razy.

— Wiész co Ali-Ago, jedno nas łono nosiło, nośmyż jednę dolę. Zostań rozbójnikiem.

— Ja, rozbójnikiem?

— Zostań rozbójnikiem, mówię ci, morduj kogo spotkasz, jak ja morduję, przepędzaj nocy bezsenne, jak ja przepędzam, nie między temi kwiatami, ale w puszczy, na słocie i zawieruchach przepędzaj nocy Ali-Ago. Bój się własnego głosu, uciekaj przed własnym cieniem, nie miéj komu powiedzieć dobranoc, dzieńdobry. Na dzieńdobry słuchaj płaczu ludzkiego, a przekleństw na dobranoc. Zostań rozbójnikiem Ali-Ago!

— Nie rozumiém ciebie Harunie!

— Nie rozumiész? o ty nie rozumiész! Tyś poczciwy i niewinny człowiek! A ja ciebie rozumiałem, kiedyś mi dawał polecenia: tego tam sprzątnij Harunie, tę karawanę obedrzyj i przywieź łupy, jam ciebie rozumiał, kiedyś napadnięty od straży zawołał, ratuj!..... Teraz koléj na ciebie, zostań Kanly-Harunem..... A ja zostanę Ali-Agą; wezmę postać nabożną, będę dni trawił na gawędzie z przyjaciołmi, a nocy na pieszczotach.

— Powtarzam ci bracie, że nie rozumiém twojéj mowy. Ty, coś tak lubił swoje życie najezdnicze, coś nieraz mówił, że nie oddasz swoich stepów za dworzec chana, ty mi teraz prawisz o gawędzie i pieszczotach. A, domyślam się: wrogów, co na zemstę czyhają, na-

mnożyło się, czujność wszędzie podwójna, niebezpieczeństw coraz przybywa, a odwaga nie kamień, uprzykrzyła sobie w sercu Harun-Agi i poleciała jak wróbel.

— Milcz gadzino! nie drażnij mię, nie zapominaj z kim mówisz, bo jak ja się zapomnę, to twoja Maleka téj jeszcze nocy będzie musiała Szach-Hussejna (*) wzywać.... Słuchaj Ali, wszystkom utracił z twojéj łaski, i serce, i rozum, i spokoj, zostało mi jednak to przekonanie, że mój włos jeden więcéj wart od ciebie i tobie podobnych.....

Ali chciał zarzutem tchórzostwa odwrócić brata od jego marzeń idyllicznych, ale spostrzegłszy że za mocno ugodził, odmienił ton, postanowił wysłuchać go cierpliwie do końca, a tymczasem w myśli zbudował inną taktykę. Zaczął poufaléj i łagodniéj.

— Ej bracie, ja zażartował, a ty się już srożysz. Uspokój się, powiédz o co ci idzie. Siądźmy sobie ot tu na murawie. Hej kalijan!

Przybiegło dwóch nukierów, jeden przyniósł kalijan i tytuń, drugi wodę i węgle, nałożyli i podali.

— Co masz na sercu, dżaném, moja duszo? zapytał Ali pociągnąwszy i oddając bratu. Bądź otwarty. Przecie wiész, że Ali-Aga kocha brata nad wszystko.

— Ali-Aga miał brata jastrzębia, powiedział Harun spokojniéj, trzymał go na pałeczce, w kapturze, wypuszczał na łowy kiedy chciał, a karmił odrobinami jego własnéj zdobyczy. Tak było dotąd, prawda Ali-Ago?

— Nie, wszystko mieliśmy wspólne. Tyś mi przynosił część swojego zarobku, a ja za to zasłaniałem cię

(*) Szyici przy pogrzebach wzywają Szach-Hussejna, bijąc się w piersi.

w dywanie. Kto wié coby z tobą było bez moich wpływów.

— Mnie się zdaje, że ty z swemi wpływami prędzéj odemnie wpłyniesz na szubienicę. Ale mniejsza o to. Mówię ci, że miałeś brata jastrzębia, co sobie szpony krwawił dla twojéj usługi. Teraz okoliczności muszą się odmienić.

— Może mój śmiały jastrząb sprzykrzył sobie te miejsca, i chce jeszcze gdzieindziéj pobujać, w Persyi, albo w Dagestanie? Będzie czas.....

— Nie, chcę mieć spokojne gniazdo. Krótko mówiąc, ja myślę odmienić życie.

— Odmienić? Niepodobna, niepodobna!

Harun zerwał się z ziemi.

— Niepodobna? Nie powtarzaj mi tego słowa, w tém słowie jest śmierć moja i twoja.

Zaczął chodzić wzdłuż muru, rumieńce na bladych zwykle policzkach, trudny oddech i kroki nierówne, dawały poznać, że w tym momencie przynajmniéj, nie jest idyllicznie usposobiony. Tak przeszło kilka minut. Ochłonąwszy stanął przed Ali-Agą, skrzyżował ręce na piersi i powiedział prawie spokojnie:

— Utrzymujesz że niepodobna? Mnie, twemu bratu niepodobna już być szczęśliwym? Więc mam na całe młode życie wyrzec się nadziei osiągnienia tego, co innym tak łatwo przychodzi? Więc twoja rzecz używać, a moja służyć tobie, nurkować we łzach i we krwi za złotem dla ciebie, za perłami dla twojéj Maleki? Być wiecznym tułaczem, nędzarzem, straszydłem gościńców?

— Szachem gościńców! Tak siebie sam nazywałeś dotąd, taki obrałeś zawód Harunie. Wilk nie może podłém jagnięciem zostać.

— Ani jaszczurką podobną do ciebie. To prawda, a jednak.....

— A jednak, gdybyś się lepiéj wpatrzył w to co nazywasz mojém szczęściem, pewniebyś mi nie pozazdrościł. Przeciwnie, iluż jest takich co zazdroszczą tobie, tobie, wolnemu jak jeleń, groźnemu jak wicher stepowy! tobie, co masz dwudziestu zuchów gotowych sto razy rzucić się na śmierć za piérwszém twojém skinieniem! Ktoby nie zapragnął miéć w swoich żyłach choć jednę kropelkę krwi Harunowéj, kipiącéj, bujnéj, odważnéj!

— Ja też ci mówię, zostań tém czém ja jestem. Będą i tobie zazdrościć.

— Alboż możesz powiedziéć lampie łojowéj: zostań dniem i świéć całemu światu? Ile razy słyszę jak opowiadają sobie nasze mieszczuchy o twoich dzielnych nabiegach, serce we mnie rośnie, ale wzdycham, dlaczego mi los nie pozwala pochwalić się przed nimi, że jestem twoim bratem; wzdycham i ledwo nie płaczę, dlaczego sam nie jestem tobą? Ale kiedy tak podobało się Bogu, zlać na ciebie wszystkie swoje dary, a mnie ukrzywdzić! Z jednego pnia wyrosły dwie gałęzie, jedna wybujała w górę, zakwitła, druga pozioma i sękata, czołga się po ziemi....

Godny braciszek zapłakał rzewnemi łzami. Harun patrzał na niego jakiś czas z dziwném uczuciem, mieszaniną wstrętu i politowania, potém usiadłszy zaczął:

— No, słuchajże po co przyszedłem.

— Mów, niechaj wiém, w czém będę mógł dopomódz memu Harunowi, panu duszy mojéj.

— Początek wiész z opowiadania Mustafy na bazarze.

— Wiém, co za śmiałość rzucać się na całe koczowisko, i to gdzie, o jeden dzień drogi od Szamachy!

— Otóż, wpadłem za Bała-Begiem do jego namiotu...

— Pamiętam, musiałeś go już uderzyć, cóż cię wstrzymało?

— Ta dziewczyna.

— Cha, cha, cha!

— Śmiejesz się?

— Jakże się nie śmiać, dziewczyna go wstrzymała, dziewczyna! Cha, cha, cha!

— Wiész co, Ali, nie śmiéj się nigdy ze mnie. Ja nie lubię twojego śmiechu, bracie. Słuchaj, ile razy idę do ciebie, taki miewam natłok myśli, tak mi wesoło, i nie wiém dlaczego, ale zawsze wracam ze ściśnioném sercem. Ty musisz być wielki niegodziwiec, Ali. Co? spojrzyj mi w oczy.... nie, dobrzy ludzie tak nie patrzą. Prawda że i ja niegodziwiec, ale ja nie muszę miéć takiego wzroku. Mnie coś ciągnie do ludzi. Jabym chciał, żeby mię ściskali za rękę, nazywali bratem, zapraszali w goście i do mnie przychodzili, chciałbym żeby mię prosili o co, potém dziękowali. A przecież, jestem wrogiem wszystkich. Nie mam do kogo przemówić po ludzku. Ty, ty jeden mógłbyś mi dobrze życzyć. Ja dlatego tylko wypełniam wszystkie twoje żądania, żeby choć z tobą jednym żyć w zgodzie....

— Ty mię nie zgadujesz Harunie, ty nie widzisz, jeden Bóg widzi, ile ja łez wylewam nieraz nad tobą. Oddałbym wszystko co mam, żeby cię widziéć dalekim od niebezpieczeństwa. Ale cóż, kiedy to być nie może. Nam trzeba bogactwa, wielkiego bogactwa, wiész jakiego jesteśmy pochodzenia. Dorabiajmy się, ty po swojemu, ja po swojemu, byleby takiemi drogami, żeby się nie spo-

dlić, bo zapewne sam to czujesz, że nam nieprzystoi trudnić się handlem, albo rolą, a tém mniéj jakiém rzemiosłem. Kiedy zbierzemy dosyć, przeniesiemy się w inne strony i będziemy żyli przyzwoicie. Spuść się na mnie w tém wszystkiém; ty jeszcze dziecko, ja dwa razy starszy od ciebie, i wiém co masz robić dla swojego własnego dobra. Potém mi sam podziękujesz. Tymczasem kończ swoję powieść.

— Dziewczyna wstrzymała mię, kiedym miał zarąbać Bała-Bega. Była to jego córka, jak mi potém powiedzieli. Chciałem ją odepchnąć i skończyć, wiész że nie lubię cofać się, ale sił niestało. Kinżał ręki nie słuchał, a ręka nie słuchała woli. Bała-Beg spostrzegłszy to, rzucił się na mnie, byłby mię zgniótł bez oporu, i dziewczyna zawisła na jego ramieniu, i ja żyję z jéj łaski, ja, com się skąpał we krwi jéj pokolenia, com niósł śmierć jéj rodzonemu ojcu.

— Widać, że piękna Peri umiała się poznać na swoim Rustemie. Bo téż walny z ciebie chłopak; każda inna to samoby zrobiła. Ale mów daléj, porwałeś i uniosłeś.

— Gdzie tam, zgłupiałem przy niéj. Długo, długo staliśmy oboje patrząc jedno drugiemu w oczy, a Beg trzeci, patrzał to na córkę, to na mnie i nie wiedział co robić. Wtém z za namiotu dał się słyszéć jęk konających, ona skinęła, wyskoczyłem, wstrzymałem swoich od rabunku, potém na koń i daléj w góry.

— I na niczém się skończyło, nie uniosłeś jéj, nie zabrałeś zdobyczy?

— Nie.

— To źle, to bardzo źle, tém gorzéj, żeście zapewne dużo straty ponieśli?

— Sześciu mi zostało z dwudziestu.

— Otóż masz! Sześciu tylko, i ci zapewne zniechęceni?

— Ej mniejsza o to. Ale dlaczegom jéj nie porwał?

— Nie rozumiém.

— Mówię ci żem zgłupiał....

— Cóż teraz zamyślasz?

— Nic nie zamyślam. Przyszedłem do ciebie żebyś mi poradził. Ty taki rozumny, Ali, ty na wszystko wynajdujesz sposoby, poradźże mi co mam robić. Gdyby chodziło tylko o porwanie, nie radziłbym się ciebie, ale ja nie śmiém; boję się żeby mię znowu nie odurzyła, przytém, jéj ojciec mógłby w obronie jéj zginąć, a ja nie chcę żeby on zginął, płakałaby. Ja chcę się ożenić i żyć jak porządni ludzie, jak ty ze swoją Maleką.....

— Ależ uważaj.....

— Znowu uwagi. Ja nic nie uważam, ja ci tylko mówię, że tak musi się stać koniecznie. Rozumiész? Prędzéj stepy nasze porosną górami, a góry w ziemię zapadną, prędzéj ty zginiesz i twoja Maleka, niim ja odstąpię od swego postanowienia. Rozumiész? Miéj to sobie za pewne, że brat twój Harun ożeni się i zaprzestanie rozbojów. Jeżeli ty nie poradzisz, to ja sam sobie poradzę. Ale kto na tém najgorzéj wyjdzie?...

Zapukano do furtki, i cicho, bez gwałtu, wszedł derwisz; pociągnąwszy kalijanu, opowiedział o przybyciu Stanisława i jakie słyszał powątpiewania względem osób Mahmud-Bega i Ali-Agi. Łatwo się dorozumieć, jak przyjął wiadomość tę Ali. Chodził, zacierał ręce, bił się po głowie, mruczał sam do siebie, tysiączne plany snuł i odrzucał. Zatrzymał się wreszcie na jednym.

— Nie, innego środka niéma. Ty tylko Harunie możesz mię wyplątać, w tobie jedyna nadzieja.

— A, teraz i ja mogę się przydać. A dawnoż mi powtarzałeś: niepodobna, niepodobna. Otóż i ja mówię że niepodobna. Niech cię wieszają, mnie nic do tego.

— Jeszcześmy sobie potrzebni, Harunie.

— Ja się obejdę bez ciebie.

— Oj nie wiém! a twój interes?

— Poradzisz?

— Poradzę.

— Pewnie?

— *Wałłah billah*! (dalibógże). Zrobię że się połączysz ze swoją piękną, zamieszkasz gdzie sam zechcesz, i nikt cię nie zaczepi.

— Z nią się połączyć!... Z nią dni i nocy przepędzać!...

— Aż póki ci się nie sprzykrzy. Ale trzeba sprzątnąć....

— Całować ją w oczy, w usta, w piersi, tulić do serca, mocno, mocno....

— Mówię ci że to wszystko nastąpi. Ale słuchaj jaki warunek podaję. Trzeba zasiąść na drodze, gdzie ten Kyzył-Beg będzie przejeżdżał....

— Zasiadał ja już nieraz. Przyrzekasz mi, że będę miał taki dom jak twój, z ogrodem, z fontanną, że mię nikt już nie zaczepi ani ja nikogo, że Bała-Beg odda za mnie córkę, że molły przestaną obwoływać z meczetów: oto tyle a tyle za głowę Kanly-Haruna?

— Słuchajże waryacie! Wszystko to nietrudno, bylebym ja ocalał, a ocalenie moje od ciebie zależy. Ten Kyzył-Beg musi zginąć, i Mahmudek także.

— Tyle szczęścia za życie dwóch błaznów! A ileżto ich darmo z mojéj ręki przepadło!...

— Więc zgoda?

— Jakiżto Kyzył-Beg i jaki Mahmudek, żeby się nie pomylić?

— Mustafa derwisz pokaże ci obu. Dobrze Mustafo?

— Ja cały należę do ciebie, Mahmud-Begu, odpowiedział derwisz. Do kogoż mam należeć? albożem nie twój niewolnik? Ma się rozumieć że dopóki płacisz. Jutro o świcie bądź Harun-Ago na połowie drogi do Kazdyczaju, właśnie tamtędy Kyzył-Beg ma przejeżdżać. A Mahmudka sam już widziałeś.

— Możem i widział, ale nie znam. To ten zapewne, co mię o niego dawno już Ali dokucza?

— Ten sam, powiedział Ali-Aga. Szkoda żeś z nim nie skończył piérwéj, dopóki jeszcze nie był sługą policyjnym. Niktby się nie spostrzegł.

— Przypomnij sobie essauła, co dziś na rynku upadł z osła. Sam mu strzemię przytrzymywałeś.

— A, ten siedzi w worku, z tym nietrudno będzie.

— W jakim worku?

Harun opowiedział swoję podróż z Mahmudkiem.

— Doskonale się rzeczy składają, powiedział Ali-Aga ściskając brata, nie można lepiéj. Harunie, będziesz szczęśliwy. Ale przedewszystkiém pamiętaj o Kyzył-Begu; ten niebezpieczniejszy.

Pomówili jeszcze trochę i rozeszli się, każdy pełen projektów i kontent z siebie, nie wyłączając derwisza, który w swojéj roli pośrednika, faktora i szpiega, umiał z podobnych okoliczności drogi kruszec wyciskać. Byłto prawdziwy alchemik, ten derwisz Mustafa.

IX.

Mahmudek djabłem.

Wróćmy do Mahmudka, któregośmy zostawili w tak przykrych interesach.

Wiémy z jego pięknéj improwizacyi, jaki obiecywał sobie nocleg w piérwszéj wsi do któréj miał dojechać, i jak ostrzył apetyt na miskę tłustego pławu; ale niestety, kiedyż się sprawdzają marzenia ludzkie! za całą wieczerzę napołykał świéżego powietrza, a czy nocleg miał wygodny, niechby ten osądził, komu się zdarzyło kiedy w ciasnym worku, jak on, przenocować.

Kiedy go zdjęto z wielbląda, odzyskał przytomność, i niezadługo uczuł że się podnosi wysoko, wysoko..... Dorozumiewał się w czyjém jest ręku i coto za jeden ten Harun, młodszy brat Naiba, który go nibyto ratował od pogoni; ale dokądże mię oni windują, pomyślał sobie, pewnie że nie do raju? Może windują na skałę i ztamtąd zepchną jak to robili nasi chanowie z winowajcami.... Na tę myśl znowu zemdlał.

O! jakże byłby szczęśliwy, gdyby w tym stanie zupełnéj niewiadomości o sobie mógł pozostać, dopókiby go trąba Izrafila nie przebudziła na sąd ostateczny! Ale inaczéj było napisano: miał wrócić do zmysłów, dlatego, żeby cierpiéć męki gorsze od piekielnych, dlatego, żeby poznać całą ciasnotę swojego worka!

Przyszedłszy powoli do siebie, nieprędko jeszcze upamiętał się gdzie jest i co się z nim dzieje; w długiém omdleniu stracił pamięć przeszłych wypadków. Czuł tylko że mu bardzo ciasno, słyszał śmiéch i głosy gdzieś daleko w dole, potém i to umilkło, nastąpiła cisza, tajemnicza, grobowa..... Mahmudek myślał, rozmyślał, zgadywał, dlaczego nie może ruszyć ani ręką ani nogą? Co to za głosy pod nim? Przyszło mu do głowy, że zapewne umarł i leży w grobie. Ale nie przypomniał sobie żeby go chowano?

* * *

Tymczasem chłop, właściciel burki, worów i wielbląda, zwijał się po stepie i lamentował. Po długich poszukiwaniach znalazł przecie wielbląda, daleko od miejsca na którém go był zostawił odchodząc, i jeden wór, bo drugiego wyszukać nie mógł. Polecił go tedy Ałłachowi, razem z burką która także przepadła, wrócił, zapalił fajkę i już się miał położyć na spoczynek, wtém księżyc wychodzi z za obłoku, oświeca drzewo, i chłop spostrzega że jego zguba wisi na gałęzi. Sądził, że to musi być figiel jakiego pastucha z okolicy, włazi na drzewo i dobiéra się do worka żeby go spuścić na ziemię; wtém i burkę swoję spostrzega z wierzchu, ciekawa rzecz na coby oni wór z mąką okrywali i okręcali sznurem? czy nie włożyli tam jeszcze czego: rozsuwa sznury, wkłada rękę pod burkę i znajduje głowę ludzką.

Tego było dosyć, żeby najśmielszemu z chłopów szyrwańskich krew w żyłach zamrozić! Właściciel worka rzuca się nazad, zeskakuje z gałęzi na gałąź, dopada ziemi i zmyka, wrzeszcząc z całéj mocy: Szejtan! Szejtan!

* * *

Syn Abdułły miał się za zgubionego, kiedy uczuł rękę na swojéj twarzy, ale przestrach chłopa obudził w nim trochę myśli, a szeleszczące gałęzie, nasunęły mu różne obrazy jeden po drugim, tak, że powoli wyszedł z odurzenia. Przypomniał sobie drzewo, koło którego przejeżdżał, daléj pasł się wielbląd, przy tym wielbłądzie leżały owe przeklęte worki.... Otóż i jest w domu! Teraz wié wszystko! A ten co go macał po twarzy? Tu już nietrudna była konkluzya, że to nie mógł być kto inny, jak właściciel worka; chciał zapewne dowiedzieć

się co w nim jest, włożył rękę, i nastraszył się, sądząc że namacał Szejtana.

Ta okoliczność wlała nieco otuchy w serce Mahmudkowe. Poznał że nie jest strzeżony od rozbójników, i że niéma przyczyny lękać się o siebie, kiedy owszem sam komuś takiego strachu napędził. Zaczął więc wołać że się nazywa Mahmud-Beg, że jest synem Abdułły-Bega i essaułem szyrwańskim a nie djabłem. Wołał i przestawał kilką nawrotami. Potém naprężył się ze wszystkiéj siły, chciał wór rozerwać; gdyby był wiedział jaki wątły ma grunt pod sobą, zapewneby tego nie robił, ale jemu się zdawało, że jest na ziemi. Cały oddany mocowaniu się z upartym worem nie uczuł nawet, że pływa po powietrzu jak wahadło zégaru. Widząc że tak niczego nie dokaże, sprobował przynajmniéj zrobić okienko w worze, użył zębów i palców i dopiął swego.

Jakże się rozrzewnił, spojrzawszy na boży świat, osrebrzony promieniem nocnym, połyskujący od świéżéj rosy, a taki wielki, taki wygodny! Obłoczek płynął gdzieś po podniebiu, po ziemi wietrzyki bujały, a nikt ich nie zatrzymywał i w wór nie pakował! Mahmudek westchnął, był on poetą w téj chwili; zajrzał naturze jéj swobody, zatęsknił w worze swoim. Lecz ach! cóż to za przepaść widzi przed sobą, i co za liście naokoło? Poznaje okropną prawdę że wisi na gałęzi, że usiłując rozsadzić wór, sam sobie gotował zgubę! I jeszcze Bóg wié jaka gałąź, może tak cienka że ją najmniejszy powiéw wiatru przełamie! Przyczaja się, nie śmié się ruszyć, nie śmié całą piersią odetchnąć!

Przed rankiem wiatr powstał, z początku mały, potém coraz silniejszy i silniejszy; syn Abdułły rzucany z je-

dnéj strony na drugą, co moment uderzany o gałęzie, w mękach bólu i strachu resztę nocy przepędził.

O świcie nowy przedmiot nawinął się oczom jego: był to jego osiołek szczęśliwszy od swego pana, nawet szczęśliwszy od wiatrów i obłoków; miał oprócz bezwarunkowéj swobody, tuż pod nogami obfity zapas pokarmu, téj głównéj podniety życia dla osłów i ludzi. Mahmudek z niewymówną tęsknotą patrzał na niego, jak się to zbliża, to oddala, wybiérając sobie na śniadanie co pożywniejsze łodygi, i płonął zazdrością. Nakoniec zawołał przeciągłym, płaczliwym, gdzieś aż zpod duszy wydobytym głosem:

— Allach! alikper Allach! czemużem i ja osłem się nie urodził!

X.

Bała-Beg i jego rodzina.

Koczowisko Czyndar, od napadu Kanly-Haruna, nie wyruszało znad Kazdy-Czaju. Niestawało bydląt pod ciężary, ludzie także dużo ucierpieli; rzadki namiot zachował cało wszystkich swoich mieszkańców, trzeba było zająć się pogrzebem kilku poległych, i ranionym dać pomoc. Te przeszkody nie pozwalały taborowi posuwać się daléj, a z drugiéj strony samo miejsce nęciło do zostania; miało podostatkiem wody i pastwiska niezgorsze, czegoż więcéj trzeba dla nomadów. Bała-Beg postanowił odbyć *ejlach* (letnie koczowanie) nad Kazdy-Czajem.

Ale zaraz po zniknieniu Haruna i jego bandy, ludność czyndarska o niczém nie myślała, jak tylko żeby się postawić w możności odporu przeciwko nowemu napadowi, którego téj jeszcze nocy spodziéwano się. Tłusty Ba-

ła-Beg dawał rozkazy, krzątał się i sapał więcéj niż kiedykolwiek w życiu swojém. Kazał rozbić namioty tak gęsto, że jeden o drugi się ociérał, naokoło wał wysypać, a że kamieni, najwłaściwszego na to materyału nie można było zebrać tyle naprędce, to ich miejsce zastąpił różny sprzęt: bebechy, kociołki, juki napakowane, konie i osły zabite i t. d. Nie jedna stepowa dama patrzała na to ze smutkiem, jak ze szczegółów jéj sypialni, pozbijanych nielitościwie w jednę massę, rośnie forteca; nie jedna była przymuszona spędzić noc bezsenną na rozpamiętywaniu wczorajszych wygódek.

Ale ta mała niedogodność nocna, niczém była w porównaniu do tego, co ucierpiały nazajutrz po owym dniu pamiętnym, żony, siostry i córki poległych. Musiały z przenikliwym wrzaskiem powtarzać imię Szach-Hussejna, i bić się w piersi, targać włosy, drapać policzki!

Czy wszystkie przejęte były tak wielką rozpaczą? nie wiadomo, ale zwyczaj każe rozpaczać i koniec. Zwyczaj każe więcéj za mężem rozpaczać, jak za ojcem lub bratem; biada wdowie, która po skończonym pogrzebie, nie będzie miała poranionéj twarzy, piersi zsiniałych, od uderzeń i pełnéj garści włosów natarganych: stanie się celem pogardy, ofiarą obmów i szyderstwa. To téż żony najpiérwszą grały rolę w téj tragikomedyi. Łez żadna nie wylewała, bo zwyczaj tego nie wymaga.

Mężczyzni nie rozpaczali, ale za to całą noc przepędzili na czuwaniu i robotach koło warowni, a z rana grzebali ciała i oczyszczali obóz z zabitego bydła. Ku południowi obawa napadu zmniejszyła się znacznie, nad wieczorem znikła zupełnie, zwłaszcza kiedy kilkunastu zbrojnych przybyło na pomoc z Szamachy; koczowisko

Czyndar odzyskało swój rodzinny popęd do niedbalstwa i pewność siebie. Zrujnowano okop, wypędzono bydło na dalsze ugory, ludność zaczęła się rozłazić jak mrówki po dészczu. Mężczyzni pozasiadali sobie tu i owdzie na wolném powietrzu i zajęli się ulubioném swojém nic nierobieniem, a choć żywszéj rozmowy nie usłyszałbyś między nimi, z niewielu słów rzucanych przypadkowo na pastwę nieuwadze, z krótkich konceptów co jeszcze krótszy śmiéch wywoływały, można było poznać, że pamięć klęski przeszła. Jéj ślady zostały na długo, to prawda, ale cóż robić? widać że tak było napisano, a co jest napisano, mówi przysłowie, tego i nożem nie wyskrobiesz i językiem nie zliżesz. Nikt nie myślał w koczowisku o wczorajszych wypadkach i nikt nie rozprawiał, chyba jaki śmiałek odezwał się czasem z utyskiwaniem, że rozbójnicy nie powtórzyli napadu, boby ich można było do reszty wytępić.

Najwięcéj rozprawiał o tém stary wąsacz Mechti, który cały czas potyczki przepędził w betach swojéj żony. Inny junak upewniał, że niczego tak bardzo nie pragnie, jak spotkać się jeszcze z tym synem Szejtana, Harunem, oko w oko, tak jak piérwszą razą. Temu ktoś z boku przypomniał, jak się we wczorajszéj bitwie stoczył w jar, kiedy Kanly-Harun naciérał na niego.

Kobiéty nie dzieliły kiejfu. Te co należały z rana do pogrzebu, szwędały się tylko z kąta w kąt, smutne, blade, podrapane, żywe pamiątki nieszczęścia, ale za to inne skoczne, wesolutkie, poiły słodyczą oczy i uszy synów stepu, nie przestając także pracować za nich: one i koło gospodarki się krzątały, i koło robót ręcznych. Małobyś tam znalazł regularnych twarzy z białą cerą, z pieszczonym zarysem, ale dużo oczu czarnych, pełnych, ognistych.

Nie zakrywały się tak jak mieszczki, nie stroniły od mężczyzn, owszem, były ich duszą i życiem. Dziwne bo to stworzenia te kobiéty! Prawda że się często uprzykrzają, osobliwie stare, jednakowoż zdaje się, że bez nich świat nie miałby przyjemnego kiejfu, kto wié nawet, czyby na wieki wieków nie zasnął! Muzułmanie koczujący śmieją się z mieszczan, którzy zamknęli swoje żony w haremach, bo, jak mówią, nic to nie pomoże, zdrada przeciśnie się przez dziurkę od klucza. Przytém mniemają, że zamknięcie kobiét sprowadza mieszczanom dwie straty: pozbawieni są ich pomocy w robotach, i nigdzie za ścianami swoich domów nie słyszą ich pustéj paplaniny, co tak rozwesela i śmieszy. Kobiéty w koczowiskach, od obcych tylko powinny stronić; jak się która spotka z mężczyzną nienależącym do koczowiska, a szczególnie z giaurem, musi odwrócić się od niego, przysiąść do ziemi, ukryć głowę między kolana i tak przeczekać, aż nim dobrze nie odejdzie. Stare i brzydkie zachowują ten zwyczaj jak najświętsze prawo, co do młodych, wiemy z doświadczenia, że niéma takiéj kobiéty, któraby przy piérwszéj lepszéj okazyi nie przymiliła się cudzoziemcowi i nie pokazała mu ząbków.

Ale dosyć tych szczegółów. Przydamy tylko, że powierzchowność taboru, nic pociągającego w sobie nie miała, nawet dla miłośników patryarchalnéj prostoty. Ludzie podobni do Faunów greckich, kobiéty w pozszywanych bez ładu różnéj barwy łachmanach, tu i owdzie roje dzieciaków obojéj płci, bosych, w krótkich po pas koszulach i bez spodenek, nakoniec szałasy, te przybytki nędzy przestającéj na swojém, czarne, okopcone, oto jest, co na piérwszy rzut oka daje się postrzegać, jak w czyndarskim, tak i w innych koczowiskach.

Trzeba jednak z tego, co tu w ogóle powiedziano, zrobić wyjątek. Jeden namiot, stojący w pewném oddaleniu, celował przed innemi i rozmiarem swoim, i schludniejszą powierzchownością, a wewnątrz miał dosyć porządku, nawet, według miejscowych środków, przepychu. Było to mieszkanie Bała-Bega, jego żony i dzieci. W członkach téj rodziny, wszystko, od pantofli do głów, napiętnowane było jakąś wyższością, co zdradzała jéj arystokratyczne położenie względem reszty. Sam pękaty Bała-Beg, którego fizycznie na trzech zwyczajnych begów możnaby łatwo rozdzielić, był niby punktem stałym, osią całego koczowiska; każdy, najmniéj trafny postrzegacz, od razu mógł poznać, że ten brzuch straszny jak beczka Danaid, te rumiane policzki jaśniejące zdrowiem i wyrazem szczęśliwéj obojętności, nie mogą należéć do kogo innego, jak do człowieka, dla którego jedyném zadaniem życia, jest pożywać i trawić dary boże. Jego połowica nazywała się Fatima-Chanym. Byłato osoba chuda, z dużym garbatym nosem, z oczami wypukłemi, niby gwałtem proszącemi się na wiérzch, pomarszczona, zgoła brzydka jak większa część starych Muzułmanek. Ani pstry ubiór, jaki zwykła nosić, złożony z błękitnéj w pasy katanki, pąsowéj koszuli i żółtych szarawarów, ani policzki bogato umalowane, ani mnóstwo muszek po twarzy, nie mogły zastąpić tych powabów, które zacna Chanym utraciła razem z wiosną swoją. Wszystkich to dziwiło, że Bała-Beg nie bierze sobie innéj żony, albo nawet dwóch innych, przy takiéj zamożności i środkach wykarmienia; ale Bała-Beg w powtórne związki nie wchodził przez lenistwo, a stare cierpiał z nałogu. Przytém był jeszcze silny węzeł, który łączył to stadło i mógł służyć za rękojmią, że się niero-

złączy do grobu,—najsłodszy węzeł rodzicielskich uczuć; mieli kilkoro dzieci, między któremi piętnastoletnia Nizza, owoc ich piérwszych zapałów, zwracała na siebie oczy i hołdy wszystkich stepowych Amadysów z okolic. Jeden z nich, jak widać człowiek dobrego tonu, nie próżny światowości perskiéj, nazwał Nizzę cukierkiem swojego serca; inny jeszcze lepiéj, bo pestką w jagodzie duszy swojéj: napróżno jednak kołatali o jéj rękę, ani ten pestki, ani tamten cukierka nie dostał. Gdyby chodziło tylko o zezwolenie Bała-Bega, Nizza mogłaby już dotąd dwa razy wyjść za mąż i dwa razy owdowiéć; ale Fatyna-Chanym, dama miejskiego pochodzenia, ułożyła sobie nie prędzéj wydać córkę, aż kiedy się zjawi jaki pretendent z miasta. Miała zaś przewagę nad mężem, więc się stawało według jéj woli.

Nawiedziny zbójców większą zrządziły rewolucyą w jednem sercu Nizzy, niż w całém koczowisku. Odmieniły się obejście jéj i humor; zauważali to wszyscy i każdy tłumaczył jak umiał, ale prawdy nikt podobno nie doszedł. Nawet stroje Nizzy, nigdy nie były tak świetne i tak starannie ułożone, jak nazajutrz po tym wypadku. Kibić jéj wysmukłą jak derbencka topola, obciskał parczowy archałuch ze złotą łamówką naokoło, u piersi wycięty, tak, że dwa pączki białéj róży i jedna koszulka z białego atłasu, zakrywała ją od motyli—oczu ludzkich. Obłoczek ciemnéj gazy, upstrzonéj w gwiazdeczki ze srebra, od warkocza spadał na ramiona, szyję zdobiły dwa sznurki dukatów. Poczciwa matka nie posiadała się z radości patrząc na to; chciała jeszcze namówić Nizzę do różu i bielideł.

— Pozwól, mówiła, niech cię pomaluję, czoło bielidłem, policzki i koniec nosa czerwoną farbą, brwi połą-

czę nad nosem, a z wierzchu pododaję błękitne listeczki, żeby z nich na czoło wychodziły niby z girlandy; w rzęsy napuszczę *surmy*, to oczy lepiéj się zaiskrzą, gdzie niegdzie muszki ponakalam, oj to toż będziesz śliczna! jak te woskowe Chanym, co to jakiś Freng pokazywał w Szamasze za pieniądze, szesnaście lat temu.... pozwól!

— Nie chcę, nie chcę, powtarzało uparte dziecko.

— No, to i nie trzeba tymczasem. Ale przyjdzie do tego, że będziesz musiała malować się, bo w mieście inaczéj nie można, a ja cię wydam za mąż do miasta, Nizzo, chcę żebyś była szczęśliwą tak jak ja byłam za młodu. Urodziłam się i wyrosłam w Szamasze, a nie znałam ani jednéj ulicy szamachańskiéj. Nikt mię nigdy nie widział za wrotami Saralu; chodzę, bywało, od zwierciadła do zwierciadła, to coś nowego przyczepię do sukien, to nową muszkę wykolę na twarzy, to włosy poprawię, i o nic nie dbam. Ktoby mi był wtenczas przepowiedział, że kiedyś mam wałęsać się, chodzić wolno po świecie z odkrytą twarzą, jak ostatnia chłopka!...

Wychowanka stepów nie zrozumiała miejskiego szczęścia, i nie zazdrościła matce tych wspomnień; podług jéj sposobu widzenia, ściany haremu były bardzo smutnym pobytem. Nie robiła jednak zarzutów, milczała ciągle.

Co téż się z Nizzą zrobiło od wczorajszego wypadku! Przedtém, wesolutka i zwinna jak młoda sarneczka, a gadatliwa jak.... jak młoda dziewczyna, napełniała sobą całe koczowisko, a teraz, zkąd u niéj ten statek, gdzie jéj figlarny uśmiéch, swawola oczu, gdzie wyraz twarzy zawsze pogodny, jasny, szczęśliwy jak niebo? O czém ona teraz bez przerwy duma tak poważnie, czy nie o losach Szyrwanu? Dlaczego Nizza nie przewraca koziołków z małemi braciszkami, nie harcuje z nimi na capie?

Wszystko dlatego, żeby pięknych sukień nie pomiąć, tak sobie tłumaczyła Fatyma. Ojciec zaś uważał, że Nizza bezustanku wypatruje czegoś na górach, a zawsze w jednéj stronie. Nie był on z rzędu tych ludzi, co to lubią każdą rzecz odnieść do jakiegoś początku, na ten raz jednak zrobił wniosek, że lękliwa dziewczyna dotąd jeszcze nie ochłonęła z przestrachu, i patrzy czy znowu rozbójnicy nie nadskoczą.

— Nie bój się, moja dziéwko, my im na wieczne czasy dali pamiątkę. Teraz żaden nie będzie śmiał o dwa agacze zbliżyć się do nas.

Tak perswadował Bała-Beg, ale Nizza nie wiedziała sama, czy pragnie, czy się lęka nowego napadu. Domyślała się ona zapewne, dlaczego to jéj serduszko bije tak żwawo; może nawet tajemnie wyglądała gościa, bo cóżby znaczyły te stroje? ale gdyby nagle pożądany gość ukazał się przed nią, tak piękny i straszny jak piérwszą razą, podobnoby ona nie była ostatnią do ucieczki, i chyba z najgłębszéj kryjówki namiotu, przez szparę ośmieliłaby się spojrzéć na niego. Wczoraj trzymała go za rękę, patrzała mu w oczy, wtenczas co innego, jéj chodziło o życie ojca, a teraz.... o, niech już nigdy nie przychodzi, to jakiś zły człowiek....

Więc na cóż ta parca ze złotemi pręgami, i ta powiewna obsłonka, i ten atłas srebrzysty? Skinęłaś ręką, Nizzo, i krwawy gość ustąpił z namiotu, dlaczegoż nie skiniesz żeby i z serca ustąpił?

XI.

Warszawianin. Trudna sprawa z djabłem.

Bała-Beg wstał o świcie podług zwyczaju. Kiedy wyszedł z namiotu, jeden z nukierów zbliżył się do niego i powiedział oddawszy zwyczajny ukłon:

— Ago, twój sługa dziwne rzeczy widział téj nocy.

— A?

— Twój sługa widział djabła.

— Kłamiesz, jész glinę....

— Co ja za pies, żebym kłamał przed moim panem. Ale źle mówię żem widział, ręką go namacałem.

Nukier opowiedział ze szczegółami, jak wracając z Szamachy chciał zanocować na połowie drogi, więc puścił wielbląda na paszę, a sam poszedł po wodę, jak przyszedłszy nie znalazł jednego ze swoich worów, gdzie go potém odszukał i jak się przekonał, że w nim djabeł obrał sobie mieszkanie.

— Bach, bach! (patrzaj, patrzaj), to go trzeba było wyrzucić, a wór odwiązać.

— Djabła wyrzucić!

— A tak, wyrzucić na ziemię żeby sobie wszystkie kości połamał. Niechby się dowiedział syn piekła, jak to kraść kosze nukierom Bała-Bega.

— Ależ to djabeł, Ago. Gdybym go był sprobował wyrzucić, tobym swojemi kościami za to zapłacił.

— Ej, tchórz z ciebie jak widzę. No, kiedy się sam boisz, to weź z sobą kilku ludzi i zrób jak powiedziałem. Gdyby się nie dawał, to drzewo podpalić, zobaczymy jak sobie podoba w płomieniach. Niechaj i mołła idzie z wami, on, co o djabłach więcéj wié jak ja o swoim rodzonym bracie, da i temu rady.

Wysapawszy się po takiém rozporządzeniu, patryarcha Czynaru odbył krótki namaz nad rzéką, potém zasiadł sobie na grubo wyścielonych kobiercach u wejścia do swego namiotu. Niebawem i cała rodzina przyłączyła się do niego, bo wieść o niebezpiecznéj wyprawie na djabła, gruchnęła zaraz po całym taborze i wszystkich pobudziła. Słońce tylko co weszło, mgła z dolin piętrząc się coraz daléj, kłębami zalegała wąwozy, na bokach gór rozstrzępiła się jak kaszemirskie runo. Wierzchołki sterczały jeszcze jakiś czas, potém znikły, został tylko jeden wyższy od innych, cały w purpurze od słonecznych promieni, i bujał wśród tumanów jak korab' nad potopem. Na nim wisiała jakaś plamka czarna, ruchoma. Było to daleko, daléj niż oko zwyczajne dosięgnąć może, nikt téż jéj nie widział oprócz Nizzy. Ruchoma plamka nie mogła miéć żadnych zarysów w takiém oddaleniu; może to był orzeł albo zwiérzę drapieżne, jednak Nizza spostrzegłszy ją, dostała żywych rumieńców. Ona przeczuciem patrzała.

Plamki nie stało, szczyt góry osamotniał i wkrótce nakrył się tumanem. Ale w téj saméj stronie dało się słyszéć echo wystrzału, potém kilku razem. Nizza pobladła.

— Co tobie takiego?

— Tam strzelają, odpowiedziała niespokojnie.

— Ej, wstydź się być taką przepiórką. Ani znać po tobie żeś moje dziecko. Cóż z tego że strzelają, zapewnie nasi zwiérza gdzie wytropili.

Ledwie tego Bała-Beg domówił, spostrzegł sam, że jakieś niewyraźne postaci przez tuman się przedziérają, i pędzą prosto na koczowisko. Raz, dwa, trzy, trzech

jeźdźców. Do broni! zagrzmiał i z lekkością tancerza drapnął w głąb' szałaszu.

Wkrótce jednak dano mu znać, że jeźdźcy nię mają złych zamiarów, o czém sami uprzedzili machając zdaleka czapkami. W jednym z mniemanych najezdników, Bała-Beg poznał rodzonego brata, dwaj inni byli jego nukiery.

— Zbliżaliśmy się już, opowiadał Kyzył-Beg po skończonych przywitaniach, do téj wysokiéj góry, gdzie się wąwóz zakręca i na równinę wychodzi, patrzymy, aż z wierzchołka zjeżdża do nas jakiś zuch na koniu; podjechawszy pozdrawia i zapytuje kto ja taki? Ledwiem wymówił swoje imię, syn grzechu chwyta za pistolet, pstryk, nie spaliło mu na panewce. To szczęście, bo byłby mię na miejscu położył.

— Cóż się z nim stało? zapytała żywo Nizza.

— Z nim? z trzech kul cośmy mu w odpowiedzi posłali, musiała choć jedna do serca się dopytać, bo się zachwiał i nie mógł już drugiego pistoletu dobyć.

— Ja potém widziałem najwyraźniéj, że koń pobiegł bez jeźdźca, odezwał się jeden z nukierów.

— Dzięki Bogu! zawołał Bała-Beg, a jak ten rabuś wyglądał?

— Z twarzy młody i piękny, zbroja cała w srebrze, koń karabadzkiéj rasy.

Z tego opisania wszyscy zaraz poznali, że to był sam Kanly-Harun, dusza rozbojów, postrach i nieszczęście okolic. Trudno sobie wystawić, jakie ukontentowanie wieść o jego śmierci wzbudziła w całém koczowisku. Mężczyzni powtarzali *Alla szekiur* (dzięki Bogu). Baby biegały od namiotu do namiotu, udzielając sobie radosnéj nowinki, nie było bahora coby nie skakał i nie klaskał

w ręce. Jedno tylko serce nie dzieliło powszechnéj radości.

Kiedy to ucichło, Kyzył-Beg opowiadał rodzinie swoje przygody warszawskie, jak się bawił, jak wszystkich zachwycał rozumem i udatnością swoją, ile miał kochanek między żonami Agów, Chanów i Sułtanów tamtejszych, i jak wyjeżdżając ledwie się od nich odpędził; chciały bowiem jechać z nim i zamieszkać w taborze Bała-Bega. Potém kazał rozpakować juki, i rozdał gościńce. Bała-Beg otrzymał zégarek z kukułką, pierścień grający i kilka szali na kuszaki; Nizza zdjęła z szyi dukaty, a natomiast zawiesiła granatki i korale. Fatyma-Chanym między innemi drobiazgami otrzymała słoiczek różu; ten dar kosztowny pogodził ją z Polkami, o których przedtém niebardzo pochlebne miała wyobrażenie.

— Widzę, rzekła, że i te poganki mają rozum, kiedy to wymyśliły.

I o dziatwie nie zapomniano, zgoła, każde z rodzeństwa miało udział w jego darach.

* * *

Trochę z boku od drogi po któréj Kyzył-Beg nadjechał, kilku chłopów na niezmiernie długich postronkach wlekli za sobą ogromne drzewo. Jakże się zdumiał Bała-Beg, poznawszy między gałęziami worek, zapewne ten sam, co o nim była mowa przed kilką godzinami.

— Aj wy głupcy, krzyknął do zbliżającego się orszaku, kto wam kazał sprowadzać go tutaj? Jeszcze mi tego nie stawało do moich kłopotów, żebym się z djabłami za łby miał wodzić. Precz z nim natychmiast. Mówiłem strącić na ziemię, albo podpalić.

— Bylibyśmy zrobili jak kazałeś, odpowiedział skrobiąc się w głowę właściciel worka, ale Kerim-Mułła nie pozwolił, bo to jakiś prawowierny djabeł.

— Jakto prawowierny, wy sobie drwicie z mojéj brody czy co?

— Słyszeliśmy jak wzywał Allaha, narzekając że nie jest osłem.

— Co ty nam powiész mołło?

— Ja mówię, odezwał się mołła wystąpiwszy naprzód, że w jednym Bogu jest siła i mądrość, i wiedza skrytych rzeczy. Nic tajno jemu co się kryje w łonie matki i co się ma narodzić. On stworzył siedm nieb i siedm ziem. On urównoważył dwa morza, i oddzielił przegrodą z ziemi, żeby się nie mieszały. On jest panem. Muhamed prorokiem jego, Muhamed pieczęcią proroków.

— Dajże nam pokój z tą arabszczyzną, rzekł Kyzył-Beg, my chcemy się dowiedzieć o tym djable czy ośle, czy jak go tam uważasz.

— Co uszy moje słyszały, to rozum mój rozumiał. Ja nie prosty mołła, ja się djabłów nie lękam. Po narodzeniu Muhameda, potęga ich upadła. Jeden tylko przyleciał był do nieba i podsłuchał rozmowę między aniołami, ale Allach rzucił na niego ogniste pociski. Niémasz Allahów nad jednego Allaha. Umié on rzucać pociski z ognia bez dymu i z dymu bez ognia. Skończyłem.

— Ale cóż twój rozum zrozumiał?

— Że ten co siedzi w worku jest tylko potępieńcem a nie djabłem; prawdziwy zaś ojciec grzechu, w postaci osła, pasł się niby, nie opodal od niego. Tamten skazany będąc na męki wieczne, zazdrościł losowi swojego prześladowcy; taki jest tajemniczy sens wyrazów słyszanych z worka: „o dlaczegoż ja nie osłem jestem!" Kto przeliczył głoski w nieomylnéj księdze, przed tym żadna zagadka nie ukryje się.

— Po cóż ci było wtrącać się w te djable interesa?

— Poszedłem z rozkazu Bała-Bega, żeby drzewo, na którém wór wisiał, podpalić. Ale tajemny głos proroka przemówił do mnie: Kerim, mołło, wydrzyj szejtanowi jego ofiarę, każ podciąć to drzewo jak najostrożniéj, tak, żeby pochyliło się zwolna i gałęzi z worem nie uderzyło o ziemię; potém każesz zaciągnąć to wszystko do taboru i oddasz pod rozporządzenie Bała-Bega, mojego sługi. Tak się téż stało. Kiedy drzewo podcinali, ja w dogodném zaciszu o kilkaset kroków odmawiałem modlitwy i wzywałem proroka. Skutek uwieńczył pobożne chęci. Szatan, osioł, nie mógł się nam sprzeciwić, bośmy byli silni pomocą Muhameda, strzygł tylko uszami ze złości, i z oczu jego całe piekło buchało.

Poczytujemy sobie za obowiązek uprzedzić czytelnika, że prorok bynajmniéj się nie mieszał do téj sprawy, i nie myślał dyktować molle jak ma postąpić z worem. Mołła tchórzył, żeby djabeł nie wyskoczył ze swego ukrycia i nie obrócił zemsty na niego, jak go zrzucą na ziemię, albo podpalą; chciał odpowiedzialność za wszystko oddalić od siebie a skierować na Bała-Bega, i w tym celu, kazał podcięte drzewo razem z worem na długich sznurach przyciągnąć do taboru.

— Dajcieno pokój tym bredniom, przerwał Kyzył-Beg zniecierpliwiony, lepiéj zobaczymy co tam jest. Hej, wy, odwiążcie postronki.

Od samego początku téj sceny, większa część ludności czyndarskiéj znikła, i tylko z mnóstwa nosów i oczu wyglądających przez dziury namiotów, można było poznać że w ziemię nie zapadła. Rozkaz Kyzył-Bega i resztę wypłoszył, tak, że ci tylko co przyciągnęli drzewo, jako więcéj już oswojeni z niebezpieczeństwem, pozo-

stali na placu, ale i oni nie śpieszyli z wykonaniem rozkazu; każdy spojrzał tylko na kosz i poskrobał się w głowę.

— Daléjże do roboty, słyszeliście com powiedział? Mołło, ty powinieneś mieć więcéj odwagi, przecież ty z Allahem i prorokiem masz dobre zachowanie. Weź kinżał i poobcinaj postronki.

— A kto modlić się będzie? zarzucił przestraszony mołła, i odszedł, odmawiając w głos: *La elah ella Allah, u Muhamed rasul Allah.* Sąto słowa skuteczne przeciw sile złego ducha.

Kyzył-Begowi nie zostawało, jak samemu wystąpić i zabrać się do roboty, ale i on nie więcéj od innych miał odwagi. Kyzył-Beg był ateistą w całém znaczeniu tego wyrazu; długoletnie obcowanie z giaurami, zrobiło go obojętnym na przepisy koranu, przestał wierzyć w Allaha i jego proroka, w modlitwy, jałmużny, post Ramadanu i pielgrzymkę do Mekki, jednak djabeł zachował moc swoję nad jego umysłem. Jestto choroba wspólna wszystkim niedowiarkom, że łatwiéj im przychodzi wyrzec się tego co istotę wiary stanowi, niż duchów ciemności i ich podziemnego orszaku. Wszakże sam Wolter, ten wielki mistrz wszystkich *mocnych głów* naszego planety, ku końcowi życia miał miéwać wizyty z piekła, możnaż mieć za złe Kyzył-Begowi, że się nie ośmielił przystąpić do worka?

Mahmudek znajdował się w niebezpieczeństwie zostania w worku aż do końca świata. Nieborak ani wątpił, że jest w ręku rozbójników, milczał więc od samego początku swojéj podróży, pełen najokropniejszéj obawy i niepewności. Z głosów, których słyszał takie straszne mnóstwo przed sobą i za sobą, niczego dowiedzieć

się nie mógł, bo w drodze szelest gałęzi trących się o ziemię głuszył wyrazy, a potém rozmawiający stali w znacznem oddaleniu.

Szczęściem, Kyzył-Beg wynalazł plan łatwiejszy do wykonania, przez co i synowi Abdułły oszczędził dłuższéj męczarni, i sam wyszedł zwycięzko ze swojéj roli, bo na niego patrzano jako na jedyną osobę zdolną rozwiązać ten ciekawy dramat.

— Wlézcie, rzekł, na ten przyskałek, wziąwszy z sobą dwa końce postronków, i windujcie worek do góry; jak się podniesie do pewnéj wysokości, dosyć będzie wstrząsnąć parę razy, żeby ten djabeł, czy kto w nim jest, wypchnięty własnym swoim ciężarem, na ziemię wyleciał. Czyście mię tylko zrozumieli, gliniane głowy? No, nie zwlekać.

Jak powiedział, tak zrobiono. Skała choć nie wysoka ale stroma i na wiérzchołku dużemi kamieniami okryta, dawała ciągnącym sznury jakąś rękojmią bezpieczeństwa od piekielnéj siły, przynajmniéj na piérwszym razie.

Po piérwszém zaraz wstrząśnieniu, rogoża i tak już znacznie osłabiona przez tarcie się o ziemię, zaczęła pękać; na spodzie zrobiła się dziura, przez którą wypadły Mahmudkowe pantofle. Cisza, śmiertelna cisza zalegała koczowisko, we wszystkich piersiach, wzdętych oczekiwaniem i trwogą, oddech nawet zaniemiał, i nie dziw: za jednę chwilę miał się ukazać rogaty nieprzyjaciel ludzkości.....

Po drugiém wstrząśnieniu, Mahmudek po pas wyzwolony z worka, zaczął nogami w powietrzu wypisywać różne kabalistyczne cyfry; na ten widok szmer powstał

w namiotach, ale głuchy jeszcze i stłumiony, niby zpod ziemi.

Po trzeciém, syn Abdułły wyskoczył już cały. O, jakiż go hałas powitał! Kilkaset głosów grubych i piskliwych, męzkie Allah! i kobiéce *aj budzi!* zlały się w jednę tajemniczą nutę przestrachu, psy odpowiedziały jéj choralném wyciem i szczekaniem. Chłopi, stojący na skale, rzuciwszy sznury jęli co tchu uciekać.

Wprawdzie mniemany djabeł stuknął się o ziemię tą częścią ciała, któréj rany nie bywają śmiertelne; jednakże z jednéj strony ból, z drugiéj odurzenie i przestrach, pozbawiły go przytomności.

— To nie djabeł, zawołał Kyzył-Beg, patrzcie jaki biały!

— Jaki biały! rozeszło się po taborze i ludność zaczęła wyłazić ze swoich kryjówek.

— E, i rogów nie ma.

— I rogów nie ma, powtórzyły znowu różne głosy.

— To trup, nie rusza się i nie krzyczy, zauważali niektórzy.

— Tak, teraz trup, rzekł Kyzył-Beg opatrując już zblizka przedmiot domysłów, ale byłby żył jeszcze długo, gdyby nie wasze głupie zachody. O wy barany, synowie i wnucy baranów, zabiliście człowieka! Jeszcze oddycha. Hej, wody, wodą go polać.

Jedni przed drugiemi na wyścigi przybieżeli z cebrami. Polany obficie Mahmudek otworzył oczy.

— No, dosyć już dosyć, ożył dzięki Bogu. Teraz pozrywajcie z niego te łachmany.

Posadzono chorego na murawie, oparłszy plecami o kamień. Przyszedł hakim (lekarz), obłożył mu stłuczone części ciała gorącém ciastem, a w gardło wpakował

ogromną jak kartacz pigułkę. Zaczęły się sypać zewsząd pytania, kto on taki, zkąd, jak się nazywa, ale Mahmudek sam nic nie wiedział o tém. Wpatrywał się to w jednę to w drugą z otaczających twarzy, z wyrazem największego zadziwienia, a na każdéj długo i nieruchomie wzrok zatrzymywał, i milczał.

— On niemy i głuchy, zapewniał lekarz.

— A pewniéj głupi, wtrącił ktoś inny.

— Zobaczymy, powiedział Kyzył-Beg. Może ja potrafię przy pomocy Allaha przywrócił mu słuch, mowę i rozum. Hej nukiery, dostać mi z juków czworograną flaszę.

Czworogranna flasza mieściła w sobie płyn wyklęty od proroka. Jak go tylko zakosztował syn Abdułły, uchwycił flaszę oburącz i byłby do dna wychylił, gdyby mu pozwolono.

— Dysyć tymczasem. Teraz powiédz, co ty za jeden?

— Dobra wódka, wyśmienita! te były piérwsze słowa Mahmudka.

— A, odzyskałeś mowę. Powiédzże jak się nazywasz? to dam więcéj.

— Jak się nazywam? Mahmudek. Dajże wódki.

— Na, ale się nie upij. Oho, ty widzę ciągniesz jak pompa. Hola, hola, zostaw na potém.

— Nazywam się Mahmud-Beg, rzekł po drugim hauście Mahmudek, wstając. Przewyborna, czysta kizlarka. Jestem essa.... Ale gdzież mój papiér? O proroku! gdzie mój papiér?

— Czy nie ten, zapytał jeden z gawiedzi, był w spodniach twoich.

— A, ten sam. Aj, aj, cały mokry i podarty! Patrzajcie kto ma oczy.

Kyzył-Beg wydobył list z koperty, i przebiegłszy oczami piérwszą stronnicę, daléj czytał w głos co następuje:

„Obiecałeś mi udzielić winogradu, dobrze zachowanego przez zimę, posyłam pod dwa osły, jednego na drugim; możesz oba objuczyć, albo jednego, który ci się wyda mocniejszy do niesienia ciężaru. Zostawiam także na twój wybór, który z nich ma z powrotem drugiego pilnować, bo oba równie głupi."

Zamiast podpisu pieczęć szamachańskiego naiba.

— Pieczęć naiba! zawołał wziąwszy się pompatycznie pod boki Mahmudek.

— Mniejsza o to, rzekł Kyzył-Beg oddając mu list, mnie się zdaje że ja ciebie kiedyś widziałem, Mahmudku czy Mahmud-Begu. Na, wypij resztę, to ci się lepiéj język rozplącze.

— Ja jestem, zaczął syn wymiatacza śmieci, trzęsąc wypróżnioną flaszą, ja jestem Mahmud-Beg, syn Abdułły-Bega, najlepszy essauł i piérwszy faworyt naiba, a ten pies jest Ali-Aga a nie Mahmud-Beg.

— Ali-Aga? czy nie ten co u mnie kupił dom przed wojną perską?

— U ciebie? To ja kupiłem, to mój dom a nie Ali-Agi. Śmiesz temu zaprzeczyć? Co? Kto powié że Ali-Aga jest Mahmud-Begiem a nie Ali-Agą, temu łeb tą flaszą roztrzaskam i skalam mogiłę jego pradziadów.

— Oho, tu się coś ciekawego odkryje.

Skutki czworogrannéj flaszy coraz widoczniejsze się stawały. Mahmudek przestał odpowiadać na zapytania, złorzeczył Ali-Adze, wyśpiewywał różne trele i skakał ile pozwalały nogi, które niemniéj od głowy uczuły wpływ lekarstwa. Potém zażądał pławu i czureków, ale idąc do szałasu, gdzie go miano ugościć, potoczył się, upadł na ziemię i w ten moment zasnął.

XII.

Potomek Szachów.

Ali-Adze nie przychodziło do głowy, żeby zasadzka na Kyzył-Bega mogła się nie udać. Mądry potomek Szachów, po tylu trafnie obmyślanych i szczęśliwie dokonanych przedsięwzięciach, tą razą trochę zanadto swojéj gwiaździe zaufał. Upatrzył zwierzynę, wziął na cel, wypuścił brata jak strzałę z łuku i podobny do myśliwego któremu setne tryumfy nadały niezachwianą pewność siebie, widział w myśli krew i śmiertelne drganie swojéj ofiary. Układał już sobie, jak po usunięciu tego jednego cienia który mu tak przykrym sposobem przyszłość zasłaniał, innych się pozbyć? Do liczby zaś innych należeli ci wszyscy, co albo wiedzieli o jego łotrostwach, albo czynny udział w nich mieli, mianowicie derwisz, nukiery... a brat? ten będzie tymczasem narzędziem przeciwko tamtym, a potém koléj i do niego dojdzie. Zostanie jedna jeszcze istota, na tych ruinach zostanie jeden obelisk, pomnik całéj smutnéj przeszłości, ulany ze zbrodni i fałszu, a uzłocony urodą niebianek. Ale piękny obelisk ma serce żyjące, w które może się wcisnąć zgryzota sumienia, ma nadto język niewieści. Czy nie lepiéj będzie jeżeli i on legnie, jeżeli ta ostatnia pochodnia, zdolna prawdę wyświecić, zagaśnie także na wieki wieków? Co za szczęście, nie mieć kogo się lękać, pewnym być siebie, trawić życie w niedbałéj spokojności, głuchéj i ciemnéj jak noc? Ali spojrzał na Malekę. Śliczna jak palma wychowanka szyrwańskich ogrodów, oczy ma do gwiazd majowych podobne, a łono, białe, pełne, wydymające się lubieżnie, do morskiéj piany, co się pieści wybrzeżem.

Ale gdzie idzie o dokonanie wielkiego zamiaru, czy się godzi powaby kobiéce kłaść na szali z potrzebą? Potrzeba długo potrwa, a te powaby..... Teraz nawet, połysk tych oczu, nie jest taki, jak był przed kilką latami, widoczny zmarszczek! Tak jest Maleko, jużeś stara, ten jeden ledwie dostrzeżony zarys daje świadectwo przeciwko tobie, sprawa twoja, o życie lub śmierć, wzięta dziś pod rozbiór, a lekkiego wyroku spodziéwać się nie możesz, bo sędzią twoim przesyt. Umrzesz Maleko!

Na tych rozmyślaniach, Ali-Aga spędził resztę nocy po rozstaniu się z bratem. Już poranek zaziernł w stubarwne okienka jego sypialni, już mołłowie z meczetów nucili swoje *alikper Allah*, budząc do modlitwy tych co spali, kiedy znużone jego powieki zaczęły się kleić. Po takich marzeniach na jawie, jakież sny mogły nastąpić? Zdawało się Ali-Adze, że widzi przed sobą wzgórek, nie wysoki, ale skalisty i stromy, i że na tym wzgórku znajduje się jakiś przedmiot niewiadomy a ciekawy, rozwiązanie zagadki całego jego życia. Zaczął się gramolić, a kiedy doścignął wierzchołka, wszystek we krwi i w pocie, piérwsza twarz co go tam z *selam-alejkium* spotkała, była złowróżba twarz Kyzył-Bega. Jakto, zawołał przejęty zadziwieniem i trwogą, czy ty żyjesz jeszcze Kyzył-Begu? Żyję, odpowiedział tamten. Prorok zachował mię dotąd, żebym cię na tém miejscu powitał, i żebym ci przewodniczył w dalszéj drodze twojéj. Chodź ze mną, pokażę ci twoje nowe mieszkanie, przestrone jest, niezakryte od słońca, niezamknięte od wolnego powietrza. Otośmy przyszli. Czy widzisz? Ali-Aga zobaczył dwa wysokie słupy, złączone w górze poprzeczną belką, na któréj wisiał postronek długi, i u końca w kółko zwinięty.

Słupy i postronek przetwarzając się w coraz dziwniejsze obrazy, znikły, a z niemi Kyzył-Beg i cały świat urojeń.

Ale przed otwarciem powiek, Ali miał inne widzenie. Śniło mu się, że leży w jakiemś ciasném, ciemném, duszącém ukryciu. Ratunku! zawołał poznawszy że jest w grobie; niktże mi nie da ratunku? niktże nie przyjdzie żeby przynajmniéj twarz moję ku stronie Mekki obrócił? O! gdzież są moje bogactwa. Bogactwa przeszły do prawego posiadacza, odpowiedział wchodząc munkir, (anioł śmierci, z postaci i ubioru zupełnie podobny do derwisza Mustafy), teraz nic nie masz, oprócz tych łachmanów co okrywają twoje grzeszne ciało, nim cię pożrą gady. Tymczasem powiédz mi *jaki był twój Bóg, twój prorok, twoja wiara*? Milczysz? Złoto było Bogiem twoim, rachuba zysku prorokiem, a wiarą szalbierstwo; wszak prawda? Prawda, odpowiedział grzesznik. Odbierzże nagrodę. To rzekłszy, sędzia umarłych odwinął rękę, miał mu dać tęgi policzek. Ali-Aga otworzył oczy.

O dwa kroki od niego stała taż sama postać.

— Czy ja śpię jeszcze? rzekł przecierając sobie oczy, o, jaki ciężki sen!

— Nigdy Ormianin nie czuwał lepiéj licząc pieniądze, odpowiedział derwisz.

— A, to nasz Mustafa. No, mów jak wam poszło?

— Pojechało na koniu *dżanym*, i to galopem.

— Więc dobrze. Bogu dzięki.....

— Nie dziękuj póki nie dostaniesz. Pojechało twoje nieszczęście.

— Zmiłuj się mów jaśniéj.

— Mówię ci, że twoje nieszczęście w postaci Kyzył-Bega, pojechało całe i nieuszkodzone tam, gdzie zamierzyło sobie jechać, a my z Harun-Agą zjedliśmy błoto.

— Ha, oblicze proroka odwróciło się na ten raz ode mnie, wiernego sługi. Ale co się dziś nie udało, to jutro może udać, mój Harun znajdzie sposoby. Wiész co, trzeba mu powiedzieć....

— Ale.....

— Słuchajże! trzeba mu powiedzieć, że Kyzył-Beg pojechał do koczowiska w zamiarze ożenienia się z tą jego kochanką, jak się ona nazywa? to chłopak góry poprzewraca, żeby go dostać i zgładzić. Co, jak myślisz?

— Myślę że łatwiéj jest poprzewracać góry, niż Harun-Adze powiedzieć teraz coś takiego, coby zrozumiał. Leży bez pamięci z ogromną raną w boku.

— Otóż masz! Może śmiertelna rana? Czy niéma już środków?

— Środki sąto jaja wiezione na bazar. Jeżeli się nie potłuką w drodze, to się przedadzą.

— Mustafo, moja duszo, niech nie umiera! Och, jeszcze nie teraz! trzeba go wyleczyć, trzeba zwołać wszystkich lekarzy!....

— Wszystkich? jednego będzie dosyć, jeżeli chcesz braciszka z łoża boleści przenieść na szubienicę. Ale powiadasz że jeszcze nie teraz, tojest, że ci jeszcze potrzebny?

— Prawda, lekarz mógłby wydać.

— Właśnie. Więc jak nie będzie już potrzebny, to niech sobie umiera?

Derwiszowi przyszło na uwagę jego własne położenie. Dopóki wścibstwem swojém pomaga Ali-Adze, póty jest w łasce u niego, ale potém kiedy Ali wydobędzie się z przykrego położenia, czy nie zechce obrócić oręża przeciw człowiekowi, który wié o wszystkiém i wszystko odkryć może?

Nie, derwisza nie w ciemię bito, da on sobie rady.

— Wiész, że ja się znam na lekarstwach lepiéj, niż wszystkie wasze hakimy. Trzeba ich tylko dostać, a dostać nie można bez piéniędzy.

— Na brodę proroka, dostawaj wszystkich ziół jakie tylko rosną w Szyrwanie i w Iranie, ja kieszeni nie zamknę.

— Hm, a moje zarobki? Co dzień zarabiam po kilkanaście abazów od głupców co im plotę androny o Iskenderze, Rustemie i Nuszyrwanie; ziółka z Meszedi i Kerbełaju, które za czyste pieniądze pobożnym rozdaję, przynoszą mi drugie tyle, dodaj do tego talizmany i różne inne przedmioty..... Zresztą, ty wiész co to jest być derwiszem, przecież sam wykręcałeś młynka na jednéj pięcie zamłodu, przypomnij to sobie Mahmud-Begu..... Wtenczas nie przychodziło ci jeszcze do głowy zostać Mahmud-Begiem i wielkim panem..... Owoż teraz, jeżeli zacznę chodzić koło chorego, wszystkie moje zarobki upadną.

— Odemnie dwa razy więcéj dostaniesz.

— To dobrze, ale któż mię zapewni, że ty nie umrzesz tymczasem, albo nie stracisz swoich pieniędzy? Na jutrze nikt ryżu nie sieje, to niepewna rola.

— Któż ci mówi o jutrze, bierz dzisiaj, natychmiast. Ali z ukrytéj w ścianie framugi, wydobył garść złota.

— Czy dosyć?

— Tymczasem.

— Śpiesz że do chorego i staraj się żeby wyzdrowiał, o resztę nadzieja w Bogu. Niémasz Boga oprócz niego. Co napisano to się stanie. Ty rób swoje.

XIII.

Narzeczony.

We dwa tygodnie potém, kilku konnych wjeżdżało do Szamachy po bakińskiéj drodze. Dwóch jechało na przedzie, jeden w mundurze konno-muzułmańskiego pułku, a drugi w zwyczajnéj narodowéj czusze. Ostatni był najznakomitszą z całego pocztu figurą, przynajmniéj tak potrzeba było wnosić i z jego czuchy, obramowanéj szerokim srebrnym galonem, i z butnéj miny, która mówiła wyraźnie każdemu: dlaczego mi się nie kłaniasz, marny prochu! Nawet jego rumak, duży, biały, z grzywą i ogonem ufarbowanym czerwono, zdawał się być przejęty godnością swojego pana, bo wyżéj nad inne głowę zadziérał i szerzéj stąpał.

— Ślicznie mi wyglądasz, odezwał się do niego tamten, całe miasto wytrzeszczy oczy na ciebie, jak na zamorskie zwiérzę.

— Całe miasto?

— Oprócz ślepych i tych co będą spali.

— A Ali-Aga?

— Ali-Aga skurczy się ze strachu, jak wypróżniony bordiuk. Wiész, co mi przychodzi do głowy, trzeba będzie i jego zaprosić.

— I jego? Ma się rozumiéć że trzeba, ja o tém dawno myślałem, tak trzeba i jego. Ale na co?

— Zobaczymy czy przyjmie zaprosiny.

— A jeżeli przyjmie? Jeżeli przyjdzie? Oj, Kyzył-Begu, to zły człowiek, ty jego nie znasz. Żeby czego nie nabroił.

— Naprzykład, żeby nie połknął ciebie żywcem? Nie bój się, Ali-Aga ścisły muzułmanin, a twoje mięso zakazane w koranie.

Wjechali do miasta. Syn wymiatacza śmieci (czytelnik musiał go poznać), oglądał się pompatycznie naokoło, wyszukiwał oczyma znajomych, i darzył każdego leciuchnym ukłonem. Chciałby szczérze pogadać z nimi, oznajmić im swoję obecną wielkość, oddałby za to czuchę i galony, ale nie mógł żadną miarą pospolitować się tak przy Kyzył-Begu. Oni patrzyli na niego z osłupieniem, ale żaden nie śmiał przystąpić i zacząć rozmowy. Przyjaciele Mahmudka należeli do téj klassy, która z galonami nie miewa zażyłości.

Wśród bazaru, Kyzył-Beg zatrzymał się, żeby spojrzéć na walkę dwóch zapamiętałych kogutów. Tłum ludzi otaczał miejsce potyczki, koniec był ciekawy, bo chodziło o wielki zakład. Tymczasem Mahmudek spostrzegłszy starego piekarza Jurifa, siedzącego z czurekami na tém samém miejscu, gdzie i on miał zwyczaj z nim razem przesiadywać, kiedy jeszcze przedawał winograd, popędził do niego kłusem.

— *Selam alejkium.*

— *Alejkium selam.*

— Słuchaj stary, ja się żenię. Bała-Beg oddaje mi córkę, Bała-Beg ma rozum, nie oddałby córki lada komu, Kyzył-Beg wziął na siebie żeby odebrać dom mój, ten narożny, od Ali-Agi, będę miał żonę, dom i pieniądze. A ty, jak wychodzisz na swoich czurekach? Rób lepsze, to i ja będę kupował, my panowie nie lubimy takich czarnych. Bądź zdrów.

— Stój stój, niechże się napatrzę na ciebie. Co ty pleciesz o jakimś Bała-Begu i jego córce? Powiédz prawdę, czy nie zwaryowałeś znowu.

— Jak się ty ważysz mówić takie rzeczy, gołyszu! Kyzył-Beg porozumiał się już z mirzami względem mego in-

teresu, i nawet był u komendanta, ale to jeszcze sekret. Bała-Beg chciał wesele odłożyć na potém, ale Fatyma-Chanym uparła się żebym się piérwéj ożenił. Stara także niegłupia, myśli że kiedy dom odbiorę, to jéj córki nie zechcę, i dlatego przyśpiesza wesele, boi się stracić takiego zięcia, a wié, że drugiego takiego nie znajdzie w całym Szyrwanie. Przyjechaliśmy z Kyzył-Begiem sprosić gości i nakupić czego trzeba; wesele u nich będzie, bo ja nie mam jeszcze domu, to jest mam, ale Ali-Aga w nim mieszka. Kyzył-Beg chce Ali-Agę także zaprosić, niech sobie sam do niego idzie, ja nie pójdę, nie dlatego żebym się bał, o, wcale nie, ale nie dowierzam sobie, mógłbym zapomnieć się i wleb mu wypalić.

— Nic nie rozumiém. Ale na wszelki wypadek, i mnie zaprosisz nie prawdaż? przypomnij sobie żeśmy byli kiedyś przyjaciołmi, nieraz darmo zjadałeś moje czureki, jak nie było czém płacić.

— Ciebie zaprosić? prostego chama?

(Dokończenie nastąpi).

DYMITR I MARYA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM.

PRZEZ

I. Korzeniowskiego.

(Dokończenie).

AKT III.

(Pokój w domu Maryi; z lewéj okno, nieco daléj zbroja, hełm, pałasz na ścianie zawieszone, z prawéj obrazek Matki Boskiéj).

SCENA I.

OJCIEC i MARYA.

Marya (*wchodząc*).

Co każesz ojcze?

Ojciec.

Nie mam téj śmiałości.
Cóżbym rozkazał żonie mego pana?

Marya.

Ojcze! ja cierpię, a tyś bez litości.

Ojciec.

Córko! ty cierpisz w taką cześć odziana?
Tego nie pojmie nigdy moja głowa!

Marya.

Nie z serca twego płyną twoje słowa;
Znasz swoje dziécię. Wiész żem nie pragnęła
Jego znaczenia, jego pańskiéj dłoni:
Tkliwość mię jego, i dobroć ujęła,
Miłość miłością serce me natchnęła.

Ojciec.

Czegoż się troszczysz? Czy ten dziedzic młody,
Dając ci rękę, dał zaszczytu mało?

Chceszże, by siwe czoło wojewody,
Przed tronem wdzięków twoich się schylało?
Aby z synowskim godząc się wyborem,
Przyszedł cię uczcić z całym swoim dworem?
Nie troszcz się próżno. Wkrótce tu przybędzie,
I orszak jego przyjdzie pod tę strzechę;
Za honor syna mnie dziękować będzie,
Mnie serca swego wynurzy pociechę,
Wkrótce usłyszysz jego słodką mowę. *(Zbliża się do niéj i mówi cicho)*
Lecz słuchaj córko! nie przejmuj się strachem,
Gdy u nóg jego ujrzysz moję głowę,
I płomień wzbity nad ojcowskim dachem.

Marya.

Ojcze! miéj litość!

Ojciec.

Z jego szczodréj ręki
Inszych nie czekaj darów i podzięki.

Marya.

Biada mi!....

Ojciec.

Płaczesz?

Marya.

O! dlaczegoż muszę
Z ust twoich ojcze, takie groźby słyszéć?
Ty, cobyś umiał wzmocnić moję duszę,
I trwogi moje uśpić i uciszyć,
Ty je rozbudzasz o mój sen niedbały,
By w dzień i w nocy dziécię twe szarpały?

Ojciec.

Cicho! coś słyszę, jakiś tętent zdala,
Może Tatarów tuman najezdniczy;
Już ich dłoń naszéj łakoma zdobyczy,
Jeńców krępuje i dachy zapala.

Damyż się niszczyć, jak bezsilne stado,
I czekać będziem, aż nam na kark wjadą? (*Zdejmuje zbroję która na ścianie z lewéj strony wisi*)
Pójdź dawna zbrojo! Wdzieję cię choć stary,
Aby pierś młodszych równa chęć przebodła;
Posłucham jeszcze, jak szumią sztandary:
Koń mój odwykły wędzidła i siodła,
Udźwignie przecież żelaza ciężary.
Żonę i dzieci piersią swą zasłonię,
Im się obrona odemnie należy,
Dom ten ocalę nim w pożarach spłonie,
Nim nieprzyjaciel na próg jego wbieży.
Wolę na placu głowę swą położyć,
Niż hańby żony, wstydu córek dożyć.

Marya.

Ojcze mój drogi! co się tobie stało?
Drży twoja ręka, mocy pozbawiona;
Hełm już za twardy na twą głowę białą,
Pancerz do twego nie przystanie łona;
O! zostaw młodszym tę męzką ochotę,
Bo wiek i siły zdradzą twoję cnotę.

Ojciec.

Czekaj, coś mi się pomieszało w głowie;
Ach! zapomniałem że już nie mam żony,
Żem słaby starzec. Ona mię w połowie
Drogi odbiegła, a ten rój pieszczony
Córek i synów, burza rozsypała.
Tyś mi podobno, ty jedna została—
I ty nie moja!

Marya.

Biada nędznéj! biada!

Ojciec (*patrzy w okno*).

Uciesz się, przybył, ale cały zbrojny.
Ja się gotuję, on gotów do wojny.

Marya.

Kto ojcze?

Ojciec.

Wróg mój, ty mu będziesz rada.

Marya.

Kogoż tak zowiesz?

Ojciec.

Niewiniątko! proszę!
To jeszcze nie wiész kto mi sen odebrał?
Kto mi dał kamień, co mi serce ciśnie?
Za czyją sprawą tak do ziemi noszę
Głowę schyloną, jakbym grobu żebrał?
Zaraz przed tobą jego pancerz błyśnie. (*Zaczyna opatrywać zbroję*).

SCENA II.

MARYA, DYMITR, OJCIEC.

Dymitr.

Cóż ci to Maryo? Tyś łzami zalana?

Marya.

Ty uzbrojony? i z twojego czoła
Nie zeszła trwoga....

Dymitr.

Nie, Maryo kochana!

Marya.

Rzucasz mię?

Dymitr.

Idę, powinność mię woła.
A chmurę, którą moja skroń oblana,
Czas tylko jeden zdjąć i rozwiać zdoła.

Co robisz ojcze? na co ci ta zbroja?
Nie do oręża pierś i ręka twoja.

Ojciec.

Od dzid pogańskich zbroja mię zasłoni;
Ta twarda ściana szable ich odbije;
Ale są wrogi, przeciw których broni
Tarcza za słaba, pancerz nie okryje.
Uśmiéch układny, mowa gładka, śliska,
Ostrze zatrute i pod zbroję wciska.

Dymitr.

Słuchaj mię ojcze! córka twa niewinna,
A ty ją trapisz, wzruszasz tak głęboko;
Łza którą otrzéć ręka twa powinna,
Z twojéj przyczyny jéj zalewa oko.
Nie mścij się ojcze w ciosach dolegliwych,
Żeś nam pozwolił kilka chwil szczęśliwych.
Idę na wojnę, nie wiém co mię czeka;
Może nie wrócę: jutro nam nieznane;
Na cienkim włosku wiszą dni człowieka,
Ustawną burzą ciągle kołysane.
Chwila radości późna i leniwa,
Na skrzydłach orlich nieszczęście przybywa.
Wiész o tém dobrze starcze doświadczony!
Nie trujże bardziéj godzin pożegnania;
I gdy ze drżeniem ściskam rękę żony,
Niech wiém przynajmniéj, że gdy głowę skłania
Na twoje łono, ty ojcowskim głosem
Uśpisz jéj boleść, zgodzisz ją z jéj losem.

Ojciec.

Ja mam ją bronić? ręka moja drżąca;
Każda godzina z siły mię wyzuwa.

Widzisz tę chmurę? ciężka i grożąca,
W czarnych się kłębach nad mój dach nasuwa.
Ty ją przeżegnaj; przez ciebie ściągniona,
Przeciw jéj gromom niech ją pierś twa broni.
Strzała do mego serca wymierzona
Nie chybi celu, wiém że mię dogoni.
Ja was ratować, cieszyć was nie mogę,
Idźcie gdzie chcecie, znacie waszę drogę. (*Wychodzą*).

SCENA III.

MARYA, DYMITR.

Marya.

O mój Dymitrze! to nad siły moje.

Dymitr.

Nie miękcz mię żono! męztwa nam potrzeba.
O! nie wiész jeszcze jakie niepokoje
Dręczą mię, jak nas doświadczają nieba!

Marya.

Czy jeszcze mało? nie mówże mój drogi!
Teraz przynajmniéj nie mów co mię czeka.
Na czole twojém czytam wyrok srogi:
Niech ta godzina długo się odwleka,
W któréj się dowiém żem cię utraciła.
Zawsze ten piorun zbudzi mię zawcześnie;
O! jeśli można, pozwól umrzéć we śnie.

Dymitr.

Maryo! patrzaj jak mi głowa pała.
Przez ten mur lśniący słyszysz serca bicie,
Pod tém żelazem troska zamieszkała,
Tu weszły trwogi co mię trawią skrycie,
Tyżbyś mi jeszcze ich przyczyniać chciała?

Marya.

Ja?

Dymitr.

Dni twych pokój, serca twego ciszę,
Radbym połową godzin mych opłacić.
Znasz mię, niech przeto próżnych skarg nie słyszę:
Nie mów mi nigdy, byś mię mogła stracić —
Z życiem mię stracisz; póki duch w mém łonie,
Bronić cię będę i pewno obronię.

Marya.

Daruj Dymitrze! ciężkom wykroczyła;
Wina to serca, serce niech przebaczy.
Niestety! wszelka mię odbiega siła,
Gdy widzę ojca we łzach i rozpaczy;
Jak mię on czasem dziwi, jak mię trwoży!
Zwątlony umysł słyszę w jego głosie.
Moim cierpieniom kiedyś kres położy
Śmierć lub cierpliwość; ale w jego losie,
Widzę dla siebie karę zasłużoną.
Ach! on mię nie chciał widzieć twoją żoną.

Dymitr.

Słuchaj mię Maryo! Chwile rozliczone,
Każą być krótkim. Miałem dziś rozmowę
Z ojcem, i długą. Już sobie synowę
A mnie przeznaczył bez méj wiedzy żonę.

Marya.

Pewnie bogatą.

Dymitr.

Jakakolwiek, mniejsza.
Niech żadna trwoga myśli twéj nie truje;
Może być dobra, zacna, najpiękniejsza,
Śmierć tylko jedna ręce me rozkuje!
Ty jesteś moją.

Marya.

Więc twój ojciec nie wié?
Powiédz otwarcie.

Dymitr.

Cóż powiedzieć mogę?
Rozprawiał długo, mówił mocno, w gniewie,
I dziwną czasem dał mi uczuć trwogę.
Wié że cię kocham. Lecz i to widziałem,
Że coś ukrywał. Nieraz groźne lice
Błysnęło dziwnym ogniem i zapałem,
Ilem czuł, jakież usta wytłumaczą!

Marya.

Nie mów Dymitrze! Ach! i tak się czuję
Blizką rozpaczy.

Dymitr.

Precz mi, precz z rozpaczą!
Jeszcze pierś moja dosyć sił znajduje;
Chcę, muszę walczyć. Gniéw mnie nie zachwieje,
Upór i duma męztwa nie odbiorą.
Dzisiaj mi ojciec wszystkie wziął nadzieje,
Jutro méj duszy hartem i pokorą
Da się zwyciężyć. Jesteś, będziesz moją
Póki te oczy dojrzą tkliwość twoją.
Lecz wprzód nim rękę zajmie inna sprawa,
Nim tarczą piersi ziemię tę zasłonię,
Spełnię powinność drogą mi jak sława,
Droższą niż życie—ciebie wprzód ochroni ę;
Aby twojego nie przelękła lica,
Nagłego gniewu, nagła błyskawica.
Tu nie zostaniesz. Dom ten niedaleki
Gdzie matka moja w samotności żyła;
Gdzie świat i syna żegnała na wieki,

I na nieludzkość męża się żaliła,
Co jéj nie kochał, choć aniołem była.
Moja to własność. Ściany te umieją
Chować co dla mnie najdroższe na ziemi;
A jeśli wichry od zamku powieją,
Cień mojéj matki skrzydły potężnemi
Pęd ich zatrzyma. Tam będziesz spokojna.
Mój ojciec nie śmié tych przestąpić progów;
Tam on występny, tam go czeka wojna
Z własném sumieniem.

Marya.

Mam ja innych wrogów:
Łzy mego ojca i zgryzoty moje.

Dymitr.

Zgryzoty? Maryo!

Marya.

Nie dziw się mój luby.
Miłości naszéj gorzkie to jest żniwo.
Mnie nie zastraszy wyrok mojéj zguby,
Ale mój ojciec! Oni ręką mściwą
Pomiatać będą jego głową siwą.
Biédnego starca nic ztąd nie oddali;
Najpiérwsza burza w jego próg uderzy;
Jego spytają, gdzieście mię schowali.
Któż jego słowu, jego łzom uwierzy?
Wiek jego słaby, rozum już mdlejący,
On umrze z bólu, Boże Wszechmogący!

Dymitr.

Czegoż chcesz? powiédz, mamże oręż rzucić,
Zdjąć to żelazo, zdeptać swoje imię;
Podłością syna pierś ojca zasmucić,
Sprawdzić wyrzuty że w gnusności drzymię?
Pragniesz—zostanę.

Marya.

Nie, mój mężu drogi!
Ja pragnę tylko końca téj niedoli.
Niestety! samiż dręczym się nawzajem?
Czyliż nam dzisiaj niezgody przystoją?
Idź, ale powróć. Trwogi ukojone,
Zamknięte w sercu znikną z ust i czoła.
Ani się gniewaj że się ojca losem
Za nadto zajął umysł mój zlękniony.
Już nie przemówię więcéj córki głosem,
Obaczysz tylko posłuszeństwo żony.
Każ, wszystko zrobię, na wszystkom gotowa.

Dymitr.

Maryo! Maryo! nie bądź tak surowa,
Srogo mię karzesz.

Marya.

Téj nie miałam chęci.

Dymitr.

Wybacz mi krótkie żalu uniesienie;
I niech na zawsze zatrze się w pamięci,
Téj smutnéj chwili obraz i wspomnienie.
Wszystko cię czeka w mojéj matki domu.
Dzisiaj cię z Anną przeprowadzić każę;
Wychodź ztąd w nocy, cicho, po kryjomu,
Ja wszędzie czujne porozstawiam straże,
Aby ta droga smutna i konieczna,
Była niestraszna, krótka i bezpieczna.
Bądź zdrowa. Gdzież jest Anna? Jéj powierzę
Całe staranie o podróży twojéj;
Ona ci smutek, ona strach odbierze,
Przeczucia twoje zniszczy i ukoi.
I ojca twego chcę uściskać dłonie,

I zgasłą ufność zatlić w jego łonie.
Bądź zdrowa Maryo! Przebóg! cóż to znaczy?
Zbladłaś tak mocno? Milczysz, cała drżąca?

Marya.

Bądź zdrów mój drogi! Ta boleść milcząca,
Jest tylko żalem, niéma w niéj rozpaczy.
Chciałam coś mówić, ale nikną słowa,
I lepiéj, możeby cię zasmuciły,
Jam spełnić każdy rozkaz twój gotowa.
Nie bój się mężu, ja mam dosyć siły,
I teraz tylko w pożegnania chwili
Daruj mi... tak nas wcześnie rozdzielili.....

(Dymitr odchodzi do drzwi. Marya zostaje na miejscu, płacząc. Dymitr nagle wraca, ściska ją i śpiesznie się oddala. Marya powoli idzie przed obraz, klęka i modli się cicho, po chwili wchodzi Anna).

SCENA IV.

MARYA i ANNA.

Anna.

Maryo! Maryo! O niewierna żono!
Łzami wygaszasz ognie twego oka,
Smutkiem wysuszasz twoję twarz pieszczoną.
Tożeś przyrzekła? I cóż mąż twój powié
Gdy cię tak znajdzie?

Marya *(przybliża się).*

Ach! czy już odjechał?

Anna.

Alboż nie musiał?

Marya.

A ojciec spoczywa?

Anna.

Twój ojciec poszedł.

Marya (*strwożona*).

Dokąd?

Anna.

Nieszczęśliwa!
Cóż ci odpowiém? Mogłażem wybadać?
Nieraz pytałam, nie chciał odpowiadać.
Z posępną twarzą, z nachylonym wzrokiem,
Poszedł powoli nie patrząc przed siebie,
Wkrótce znikł z oczu, skryty nocy zmrokiem.
Pewnie gdzie w lesie smutek swój zagrzebie.

Marya.

O! zła to przyjaźń, która ciesząc zwodzi.
Powiédz, czy udał się ku Bugu stronie?

Anna.

Co za myśl!

Marya.

Żadna myśl mi nie przychodzi.
I patrzaj, serce nie drży w mojém łonie.
Powiédz mi przecież, by oczy zroszone
Wiedziały, w którą się obrócić stronę.

Anna.

Zabijasz siebie.

Marya.

Ufaj mojéj sile,
Mów.....

Anna.

Wierz mi, inszą on się udał drogą.

Marya.

Dosyć już Anno, zostaw mię na chwilę.
Wkrótce przybędę. (*Anna odchodzi*).

Marya (*sama po chwili*).

Muszę więc porzucić,
Twe nizkie progi, domku ukochany!

Pójdę samotna, pójdę, by nie wrócić,
Obca, nieznana, pod dach zakazany.
Lecz na cóż łzami całą żałość cucić?
Dość łez widziały te rodzinne ściany,
Wśród których niegdyś słodkie pieśni brzmiały,
Co do mych powiek sen przywoływały.
Czas ten upłynął; dziś okropnie, srogo
Mścisz się fortuno za twój umizg lichy;
Chciałaś ozłocić tę strzechę ubogą,
A zgubę niesiesz z górnych siedlisk pychy.
Byłam spokojną, wiek mi płynął błogo,
Jak strumień skromny i jak strumień cichy;
Teraz zaledwieś ręką mię dotknęła,
Jużeś mi radość, już i pokój wzięła.
Gdziekolwiek spojrzę, chmura niedaleka,
Gdziekolwiek stąpię, wszędzie grunt tak śliski;
Tam duma na mnie z groty swemi czeka,
Tam zemsta krwawe gotuje pociski.
Kochanek w boju rzuca mię, ucieka
Ojciec w rozpaczy i już grobu blizki.
Samą zostawia niepewności, trwodze,
I błogosławić nie chce mojéj drodze.
Stało się przecież. Czas mi, czas pośpieszać.
Czém mię obdarzysz moja chatko miła?
Ty, Matko Boga, ty mię racz pocieszać,
Do ciebie matka moja się modliła,
Zła myśl nie śmiała jéj modlitwy mieszać,
Gdy na twe lice wzrok swój podnosiła.
Tu cię na sercu moja dłoń położy,
Ty mię zasłaniaj gdy mię wróg zatrwoży (*zdejmuje obrazek Matki Boskiéj i chowa*).
Bywaj zdrów ojcze, puszczasz swoję dziécię,

Niepewne życia i zalane łzami;
Wy kwiaty moje, jak wy cicho śpicie!
Oblane jutro słońca promieniami
Próżno do okna pani swéj zajrzycie;
Już mnie nie będzie, ja się żegnam z wami.
Wy wszystkie świadki smutków i wesela,
I wzrok i dusza z wami się rozdziela. (*Odchodzi*).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

(Las).

SCENA I.

DYMITR *(leży pod drzewem)*, DWORZANIN i ŻOŁNIERZ, *(później)* CYGANKA i INNI ŻOŁNIERZE *(w głębi)*.

Dworzanin.

Słońce już zeszło, a nasz wódz spoczywa.

Żołnierz.

Strudził się drogą i zbroja mu cięży.
Młody to kosarz; gdy przyjdzie do żniwa,
Odzyska siły: trud i sen zwycięży.

Dworzanin.

Nie wiém jak prędko użyje ramienia.

Żołnierz.

Miałeś nam wskazać ślad nieprzyjaciela.
Tyś nasz przewodnik.

Dworzanin.

Może się wymknęli.
Któż wié, gdzie teraz są nieprzyjaciele.

Żołnierz.

Na cóżeś straszył?

Dworzanin.

Wiedzieć chcesz za wiele.
Jutro zapewne rzecz usłyszysz nową.
Teraz powstrzymuj język niespokojny,
Bo lepszy Tatar niż za prędkie słowo.

Żołnierz.

Więc już nie będzie zdobyczy ni wojny?

Dworzanin.

Często wieść płonna umyślnie się szerzy;
Mądry z niéj zysk ma, a głupi jéj wierzy. (*Cyganka zbliża się*).
Lecz patrzno. Któż to do nas się przybliża?
Jeszczem takiego nie widział straszydła.
Braknie jéj tylko skrzydeł niedoperza.

Żołnierz.

Mów ciszéj, może jaka czarownica.

Dworzanin (*do Cyganki*).

Jak przeszłaś czaty? Czego chcesz przebrzydła?
Ustąp! w dzień swego nie pokazuj lica.

Żołnierz.

Piekielne oczy! jakby dwa ogniska.

Dworzanin.

Idź i przepadnij na rozstajnych drogach.
Tam wódz spoczywa, nie przystępuj zblizka.

Cyganka.

Gdy człowiek we śnie, wtenczas złe na nogach.
Żołnierz spać może, wódz niech nie zamyka
Bacznéj powieki.

Żołnierz.

Na wskróś mię przenika.
Rozumnie mówi.

Dworzanin (*do niéj*).

Czy ty umiész wróżyć?

Cyganka.

Jeżeli pragniesz, mogę ci usłużyć.

Dworzanin.

Zbliż się a cicho; abyś nie zbudziła
Młodego pana.

Cyganka.

Za długo spoczywa.
Lecz jeszcze chwila jego nie wybiła.
Daj rękę.

Żołnierz.

Śmiało Cyganko kłamliwa.

Dworzanin (*daje rękę*).

Jeśli przed tobą jutro niezamknięte,
Powiédz co widzisz? (*Cyganka przypatruje się i potrząsa głową*).

Żołnierz.

Coś zła tajemnica.

Cyganka.

Mój przyjacielu, już te sosny ścięte,
Z których dla ciebie będzie szubienica.

Dworzanin (*wyrywa rękę*).

Zgiń i przepadnij.....

Żołnierz.

Na moje sumienie,
Zna dobrze jutro jak ja swe kieszenie.

Dworzanin.

Precz czarownico! nie ujdziesz mi kary.

Cyganka (*podnosi się*).

Milcz! nie do ciebiem przyszła.

Żołnierz.

Patrz, na Boga!
Co to za postać wyniosła i sroga.

Cyganka (*przystępuje do Dymitra i potrąca go nogą*).

Powstań rycerzu! sen za nadto długi,
Ciężko jak ołów spadł na twe powieki.

Dymitr (*zrywa się*).

Tyżeśto wróżko? po co po raz drugi
Stajesz przedemną?

Cyganka.

Wróg już niedaleki,
Tyś wódz i we śnie?

Dymitr.

Gdzieżeś go widziała?

Cyganka.

Tam gdzie myśl twoja i dusza została.

Dymitr.

Proroctwo klęski w oczach twych jaśnieje.
Czego się wleczesz za mojemi kroki?

Cyganka.

Czyja dłoń wiedzie zdroje przez opoki,
By tam wytrysły gdzie wędrowiec mdleje?
Kto niesie chmurę gdzie spragniona niwa
Bez sił żywotnych rosy niebios wzywa?
Znaszże tę rękę?

Dymitr.

Chcesz być mym aniołem
Stróżem? weź postać godniejszą ufności.

Cyganka.

Nie gardź młodzieńcze! pooraném czołem.
Zima lat siwych matką jest mądrości.
Ty mi nie wierzysz, że znikły powaby,
Co niegdyś także lice me zdobiły;
Głos mój chrapliwy, chód złamany, słaby,
Lecz moje oko pełne orléj siły.
Widzę twe serce od trwogi szarpane,
I twoje ręce w sidła uplątane.
Gonisz za wiatrem który zgina łany,
I sen nieczynny oczy twe zamyka;
A strzała leci, już jéj cel wybrany,
Swiszcząc w powietrzu serca już dotyka. (*Wskazuje na Dworzanina*).

Patrz, jak ten zdrajca blady i zmieszany,
W nim otrzymałeś zguby przewodnika;
On chytrym głosem z drogi cię sprowadza,
I nie on jeden zwodzi cię i zdradza.

Dymitr.

Co się tu dzieje? Czemu tak drżysz cały?
Prawdęż ogłasza ten szatan wcielony?
Gdzież nieprzyjaciół ognie i zagony?
Odpowiédz, gdzie ich oczy twe widziały?

Żołnierz (*występuje naprzód, Cyganka cofa się*).

Bądź co bądź panie! ja się tu odważę
Mówić. Coś złego knuje jego głowa.
Dziś gdyśmy razem odbywali straże,
Z jego ust wyszły obosieczne słowa,
Z których ja widzę że zdrada gotowa.
Tatarów niéma, to mi sam powiedział.

Dymitr.

Zdrajco! tyś skłamał? Milczysz? głos ci wzięła
Podłość i bojaźń?

Cyganka (*w głębi*).

Wracaj, wracaj, wracaj! (*Uchodzi*).

Dymitr.

Słyszę cię, słyszę; gdzieżeś się wymknęła?... (*Po chwili*)
Zpod ziemi wyszła, pod ziemią zginęła.
Konia!— Wy, idźcie gdzie się wam podoba.
Niéma już wojny, choć dzień będzie krwawy.
Inna was czeka klęska i żałoba,
I wódz wasz inne przedsięwziął wyprawy.
On tam śmierć znajdzie, lecz nie znajdzie sławy.
Konia! Gdzie koń mój? (*Wybiega, inni za nim*).

SCENA II.

(Ogród w domu Dymitra).

ANNA i MARYA.

Marya.

To nasza twierdza.

Anna.

O! dziękujmy Bogu,
Żeśmy stanęły w tym bezpiecznym progu.
Wkrótce twój Dymitr okryty laurami,
Powróci z wojny i złączy się z nami.

Marya.

Jakże się łatwo serce twoje łudzi!
Lecz tyś niewinna. Ja inaczéj czuję;
Mnie grozi niebo, grozi zemsta ludzi,
I rozpacz ojca zgubę mi rokuje.

Anna.

Pomnisz Cygankę?

Marya.

Drżę na jéj wspomnienie;
Jeszcze ją widzę, wróżba jéj sprawdzona.
Źle człowiekowi znać swe przeznaczenie;
Zgubne to światło gdy wejdzie do łona,
Radość umiéra i nadzieja kona.
Przeczucie samo daje dość cierpienia.
Wierzysz w przeczucie?

Anna.

Nigdym nie wierzyła.

Marya.

Szczęśliwa! nie wiész co to głos sumienia.
Nigdy cię trwoga ze snu nie budziła;
Gdziekolwiek stąpisz, ziemia ci rozkwita,
I cisza niebios w łonie twém odbita.

Ja tylko mieszam twoję młodość błogą.
Anno! ty dobra i wspaniała duszo!
Zostaw mię samą, nie idź moją drogą.
Wyroki moje dopełnić się muszą,
I twoja przyjaźń, łzy twe nie pomogą.

Anna.

Wstydź się że muszę płakać z twéj przyczyny.

Marya (*bierze jéj rękę*).

Daruj mi, daruj moja Anno miła!

Anna.

Także cię prędko ufność opuściła?

Marya.

Niech o mnie nizko serce twe nie trzyma.
Wiém ja na jakim mię postawił szczycie;
Już ziemia dla mnie milszych darów nie ma,
I nic wyższego już mi nie da życie.
Czuję kto jestem, i byłabym zdolną,
Stracić to dobro jedyne i drogie,
Byle ta strata była dobrowolną,
Bylem rzec mogła: „zatrzymać go mogę,
„I sama spełniam obowiązki święte,
„Wracam go ojcu." Lecz gdy sen tak miły,
Być rozbudzoną, by oczy ocknięte
Na gwałt, na wzgardę i na śmierć patrzyły,
Z ich wzgardą zginąć, to nad moje siły.
Lecz na cóż próżną chlubię się ochotą
Gdy już zapóźno? Wtenczas pora była,
Okryć się chwałą i poszczycić cnotą,
Gdy miłość piérwszym kwiatem mię wabiła,
I słodką czarę podając mi zdradnie,
Gorzki ostatek utaiła na dnie.

Przestrogi ojca wyszły mi z pamięci.
O! gdybym była kratą się zamknęła,
Murami własne ogrodziła chęci,
W okowy wiary serce swe ujęła,
Byłoby lepiéj. Teraz przeminęła
Chwila wielkości, pora poświęcenia,
Przyszedł czas kary, smutku i cierpienia.
Cóż to za tętent? co za krzyk się wzmaga?
Czy słyszysz Anno?

Anna.

Słyszę i drżę cała.

Marya.

Zbladłaś? gdzież twoje męztwo i odwaga?
Potrzebaż, abym ja cię umacniała?

Anna.

Nie o mnie idzie. Tobie grożą. *(Wybiega na prawo i po chwili wpada przestraszona).* Uchodź!
Tam wojewoda. Dom twój otoczony.
Ratuj się! ratuj!

Marya *(spokojnie).*

Niéma już obrony.
Tak być musiało.

Anna.

Uchodź nieszczęśliwa!

Marya.

Dokąd? do Bugu! już nas okrążają.
Tam dzidy błyszczą, tu miecze błyskają.
Wzniosła się ręka szybka i surowa,
Ołtarz już gotów, ofiara gotowa.

Anna *(pogląda na prawo).*

Patrz, on tu idzie.

Marya *(z trwogą chwyta rękę Anny).*

Pójdźmy więc ztąd, pójdźmy. *(Wychodzą na lewo).*

SCENA III.

WOJEWODA, *(potém)* STEFAN.

Wojewoda *(wchodzi zwolna).*

Nigdy pod zbroją wśród krwi i płomienia,
Pierś moja równéj burzy nie doznała.
Dawniejsze walki wyszły z odrętwienia,
I dawna zbrodnia z swéj mogiły wstała.
Ja tu oddycham powietrzem więzienia,
Tu z mojéj winy tyle lat wzdychała
Najczystsza dusza! ztąd wyprawiam inną,
Może jak tamta piękną i niewinną.
Dziki to zamiar dręczy mię i trawi,
Prędko poczęty, prędko się dokona;
Lecz długie ślady w sercu mém zostawi,
Silnie się wryje w głąb mojego łona.
Któż mój przeciwnik?— bezbronna kobiéta
Tarczą niewinnych uczuć osłoniona,
Zbroją skromności i prośby okryta.
Teraz ją ujrzę w postaci anioła,
Z rękami kornie na krzyż złożonemi;
Wkrótce ją inszą sumienie wywoła,
Wkrótce zjeżona wężami mściwemi,
Jak groźna furya wyjdzie do mnie z ziemi.
Niewdzięczny synu!

Stefan.

Panie! co rozkażesz? *(Ukazuje na lewo)*
Synowa twoja.....

Wojewoda.

Precz mi z tym wyrazem.
Na co gorącém budzisz mię żelazem,
Jeszczem nie zdrzymał....

Stefan.

Panie! ja ci radzę,
Nie patrzaj w oczy téj kobiécie.

Wojewoda.

Czemu?
Czy już o mojéj zwątpiłeś odwadze?
Czy twarz jéj groźna będzie sercu memu?
Nie bój się. Droga moja przepaścista,
Żadna mię ręka na niéj nie zatrzyma.
Niech będzie piękna i jak anioł czysta,
Próżno, słabości w sercu mojém niéma.
Jużem się zniżył, a od poniżenia
Blizko do zbrodni. Dzięki twéj pomocy,
Dni me skazane na pastwę sumienia,
A na bezsenność nieskończone nocy.
Cóż więcéj stracę? Jeszcze jednéj straty
Mógłbym się lękać. Lecz to płonna trwoga.
Gdybym wszelako, obarczony laty,
Został sam jeden... O! wtenczas, na Boga!
Drżyj ty doradzco! Żaden kraj na ziemi
Skryć cię nie zdoła. Ale dość, niech przyjdzie.
Zostaw nas samych.

SCENA IV.

WOJEWODA, MARYA, ANNA, *(potém)* STEFAN.

Marya.

Anno! ty mię wspieraj.
Ziemia się chwieje pod stopy mojemi.

Wojewoda *(spojrzawszy nagle, odwraca się).*

Drżysz, czujesz wielkość swego przewinienia.

Marya.

Przed tobą panie! wielka moja wina,
Lecz nie przed Bogiem i sądem sumienia.

Wojewoda.

Mówią że jesteś żoną mego syna,
Jaki masz dowód?

Marya.

Ten, że się znajduję
Pod jego dachem.

Wojewoda.

Twojéjto niecnoty
Może być sprawa.

Marya.

Przemoc twoję czuję.
Życie i los mój trzymasz w ręku swojém.
Lecz nie poniżaj bezbronnéj sieroty.
Twój syn nazwiskiem mię przyodział twojém,
Szanuj je we mnie, jeszcze niesplamione.

Wojewoda.

Nie może zdobić dobro ukradzione.

Marya.

Dał mi je syn twój.

Wojewoda.

Mój ci skarb nieprawnie
Oddał. Występném wzięłaś go nabyciem.

Marya.

Wzięłam przed Bogiem i utracę z życiem.

Wojewoda.

Niech i tak będzie.

Marya.

Umrę więc?

Wojewoda.

Niebawnie.
Gotuj się na śmierć.

Marya.

Dawnom już gotowa.
Jestem niewinna.

Wojewoda.

Nadzieja jedyna
Mojego serca, mego domu głowa,
Mój syn jest twoim. Wydarłaś mi syna.
Zdeptałaś prawa przez naturę dane
Ojcu nad dzieckiem; na mój wiek niepomna,
W sidła rozpusty skromnie nawiązane,
Ujęłaś młodość jego. Wiarołomna!
Oblicz się z sobą. I ten żebrak stary,
Niechaj się także z sercem porachuje.
Dotąd znał tylko ręki mojéj dary,
Teraz jéj ciężar i jéj moc poczuje.

Marya (*przystępuje śmiało*).

O! nie dotykaj jego staréj głowy,
Nie on mię oddał w ręce twego syna.
Moja to wola, moja to jest wina.
Nieszczęsny starzec miał jedyne dziécię,
I to mu wydrze pocisk twojéj dłoni.
Włos jego biały, krótkie jego życie;
Niech nad mym grobem resztę łez wyroni.
Dość go ukarze przewinienie moje,
Pohamuj zemstę, zamknij groty twoje.
Tyś także syna jednego wychował.
Gdybyś ze łzami, okryty żałobą,
Skarb swój najdroższy w łono ziemi chował,
Któżby się wówczas mógł pastwić nad tobą?
Syn twój śmiertelny! O! pomyśl nad sobą. (*Klęka*)
Niechaj cię wiek mój i niewinność wzruszy,
Nie szukaj we mnie zbrodni któréj niéma;

Pomnij, że prośba ukorzonéj duszy,
Przebije niebo i zemstę otrzyma.
Najczystsza miłość całą zbrodnią moją,
Jam nie pragnęła być synową twoją.

Wojewoda (*nagle*).

Ale nią jesteś, i to cię zabija. (*Wychodzi*).

Marya (*zrywa się z rozpaczą*).

O! niechże śmierć już skrzydła swe rozwija,
Niech mię porywa i unosi z ziemi,
Gdzie ojciec pastwi się nad dziećmi swemi!

Anna.

Maryo! Maryo!

Marya (*chwyta jéj rękę*).

Anno ulubiona!
Nie waż się płaczem męztwa mi odbiérać;
Wiosna dni moich zwiędła, już skończona,
Reszta jest zimą, czas mi, czas umiérać.

Anna.

O dniu okropny!

Marya.

Słuchaj Anno miła!
Jeśli go kiedy oko twe zobaczy,
Powiédz mu, powiédz, żem mężnie skończyła.
Niech i on grzesznéj chroni się rozpaczy.
Wspomnij mu także, lecz nie w piérwszéj chwili,
Nie Anno! wtenczas gdy już w jego łonie
Obraz mój zniknie, boleść się przesili,
Wspomnij o wiośnie którąśmy przeżyli,
O méj miłości i o moim zgonie.
Teraz bądź zdrowa. (*Ściskają się*).

SCENA V.

MARYA, ANNA, STEFAN i DWORZANIN.

Dworzanin (*do Anny*).

Skończcie pożegnanie.
Pójdź panno!

Anna.

Dokąd?

Dworzanin.

Z ludźmi cię innemi
Odeślę.

Anna.

Na śmierć?

Dworzanin.

Czy ci pilno z ziemi?
Pójdziesz do zamku, nic ci się nie stanie.

Anna.

Biédna ofiaro!

Marya (*cichym głosem*).

Idź już! bądź powolna.

Anna (*z rozpaczą*).

O! czemuż z tobą umiérać nie mogę! (*Wychodzi z Dworzaninem*).

Marya.

Żegnam cię ziemio! wkrótce będę wolna. (*Do Stefana*)
Zabij mię teraz, skróć już moję drogę.

Stefan.

Ja cię ratować myślę, chcę, i mogę.
Maryo! słuchaj, jeszcze w mojém łonie
Dawna chęć żyje, dawny ogień płonie.

Marya (*odstępuje*).

Szalony!

Stefan.

Prawda, miłością szaloną
Kocham cię, możnaż kochać cię inaczéj?

Marya.

Wspomnij zuchwalcze! z czyją mówisz żoną.

Stefan.

Daremny gniéw twój, próżny krzyk rozpaczy.
Tu jesteś moją, tu mnie poślubioną.
Tam już nie żyjesz. Tam już Bugu woda
Szumi nad tobą falami bystremi.
Tam jest zabójcą twoim wojewoda,
Taki się odgłos rozlegnie po ziemi.
Ty uchodź ze mną.

Marya.

Wolę śmierć, niż ciebie!

Stefan (*bierze jé rękę*).

Nie truj pogardą serca uniesienia.
Pomnij, że dość mi słowa lub skinienia,
A w zimnych nurtach rzéka cię zagrzebie.
Nad głową twoją zamkną się jéj koła,
Ztamtąd cię żaden anioł nie wywoła,
Ani twój Dymitr.

Marya.

On mię znajdzie w niebie,
A ty mię zabij....

Stefan (*puszcza jéj rękę*).

Niechże i tak będzie.
Oddaj się Bogu. Tyś sama szalona
Wydarła całą miłość z mego łona.
I nie masz po co przebywać na ziemi.
Twój mąż w dalekiém polu się ugania.
A ten dym widzisz co kłęby czarnemi
W chmurę się zbiéra i nad lasem zwija?
On się nad głową ojca twego wzbija,
I nagie reszty waszych ścian pochłania.

(*Marya patrzy przez chwilę, wydaje jęk głęboki i pada bez zmysłów przy nogach Stefana. Stefan patrzy na nią dziko i w milczeniu*).

Cygánka (w głębi).

Zbliża się chwila! Złoczyńco bez duszy,
Wkrótce gdzieindziéj spotkamy się z sobą.
Tam dzikiéj furyi prośba nie poruszy,
Tam się na wieki nie pożegnam z tobą.
Tymczasem dokończ, u nóg twych ofiara,
Niechaj i twoja się dopełni miara.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

(Miejsce nad brzegiem Bugu. Noc. Grzmi i błyska).

SCENA I.

CYGANKA, *(potém)* DYMITR.

(Cyganka siedzi na skale; słychać śpiéw oddalony).

Piękne serce ją zdobiło,
Śliczne lice miała,
Każde oko ją wielbiło,
Każda dusza ją kochała,
Nim na wieki z ziemi,
Poszła z wdzięki swemi.

(Dymitr w chełmie wchodzi szybko i staje słuchając).

Dymitr.

Zdawało mi się że tu głos słyszałem!
Nie, własnéj głowy płonne przywidzenie,
Nadaję życiem i okrywam ciałem.
Wszędzie ruina, pustka i milczenie.
Czegoż się jeszcze błąkam? jakim głosem,
Jakiéj nadziei daję się uwodzić?
Byłoby godniéj walczyć niż uchodzić,
Ależ z kim walczyć? Stwórco! jakim ciosem
I czyjéj ręce dałeś mię ugodzić? *(Odpina szyszak i odrzuca).*
Precz z tém żelazem, już mię nie obroni;
Nikt mojéj głowie mieczów nie gotuje.
Tu nieprzyjaciel co za sercem goni,
I ziarno życia wypija i psuje.
Od jego żądła zbroja nie zasłoni.
A ty pójdź ze mną mieczu nieużyty,
Zwrócę cię rękom które mi cię dały.

Groźny w mój dłoni i krwią wrogów zmyty,
Dałbyś mi wieniec honoru i chwały.
Dzisiaj niestraszny, rdzom na łup oddany,
Pójdziesz ozdabiać ojca mego ściany. (*Spostrzega Cygankę*).

Cyganka (*która się zbliżyła*).

I cóż młodzieńcze? Prawdem ci mówiła.

Dymitr.

Ob! tak, w twych słowach gorzka prawda była.

Cyganka.

Więc niéma wojny?

Dymitr (*z goryczą i ironią*).

Tam? tam ciche niwy
Kwitną, i wioski brzmią wesołém pieniem.
Tam rolnik w polu, a pastérz szczęśliwy
Pod starym lasów odpoczywa cieniem.
Na bujnych łanach zboża dorastają,
I w miastach ludzie śmiało się krzątają.
Tam wszędzie pokój, nigdzie śladów trwogi (*z mocą*)
Bo wróg, odwiedził tylko moje progi.
Mój dom w ruinach, i przy grobie matki,
Dymią się jeszcze smutnych ścian ostatki.
A ich siedliska napróżno szukałem.
Pustka gdzie był ich ogród, gdzie był domek,
Gdziem ją obaczył, gdzie ją pokochałem.
Żaden gruz, żaden nie poświadczy złomek,
Że tam mieszkanie dobrych ludzi było,
Że tam kto płakał, że tam serce biło.
Dom, wieś i ogród z wiatrami rozwiane,
I głucho leży pole poorane.
Coś tam się widać bezbożnego stało. (*Chwyta Cygankę za rękę*)

Co? czemuż milczysz? los mój już spełniony
Widzę: lecz powiédz, gdzie grób mojéj żony?

Cyganka.

Gdziekolwiek stąpisz, wszędzie grób być może.
Chcesz więcéj wiedzieć, idź zapytaj daléj:
Ztąd niedaleko płynie Bugu łoże.
Przemów do jego nieujętéj fali,
Może tam dobro twoje pochowali.

Dymitr.

Tam mówisz? Słuchaj! wczoraj ją widziałem,
Na jawie, we śnie, nie wiém. Ale wdzięki
Jéj lica, bladość okryła grobowa;
Wzrok jéj był zimny i postać surowa;
Od serca białéj nie odjęła ręki,
I tak patrzała niema, niewzruszona.
Oh! co się działo w głębi mego łona! (*W téj chwili daje się słyszéć pieśń za sceną, w głębi przesuwa się postać Maryi w bieli z twarzą ku Dymitrowi obróconą*).
Lecz cóż to? (*Obraca się, postrzega cień żony i cofając się z przerażeniem chwyta rękę Cyganki*).
Patrzaj, taką... taką była
Gdy mi się wczoraj na chwilę zjawiła. (*Postać uchodzi*)
Znika. O! Boże! cóż się ze mną dzieje? (*Patrzy znowu ku téj stronie. Po chwili*)
Niéma cię! byłaś snem, widziadłem drogiém!
Próżno umarłą ożywiasz nadzieję!
Tyś poszła z ziemi, ty przebywasz z Bogiem!
O! idź, za tobą i ja spieszyć muszę! (*Wchodzi ojciec Maryi, Cyganka ukazuje go Dymitrowi*).

Cyganka.

A tegoż widzisz?

Dymitr (*po chwili*).

Tę zbolałą duszę
Jam rozdarł. Torba, kij, ten łachman szary,
Moje to dzieło, moje to są dary,

Lecz nie chęć moja i nie moja wina.
Występek ojca jest przekleństwem syna.
I on jéj szuka; daléj starcze! daléj!
Tam wspólne dobro nasze pochowali. *(Odchodzi na bok, opiera się o drzewo i tak słucha).*

SCENA II.

DYMITR, CYGANKA, OJCIEC.

Ojciec.

Znowu śpiéw słyszę, czy się znowu zwodzę.
Tu las samotny, tu szumiąca rzéka.
Już po raz drugi w to miejsce zachodzę,
Zawsze z tym głosem ucho się spotyka.
On jak płacz dziecka do méj duszy wnika.

Cyganka *(z boku).*

O! jak płacz dziecka!

Ojciec.

Któż tu? któż tu mówi?
Czy ty straszliwa? twojeż to są czary?

Cyganka.

Nie ja śpiéwałam.

Ojciec.

Twojemu głosowi
Pieśń nie przystoi: już on nadto stary.

Cyganka.

Po coś tu przyszedł?

Ojciec.

Czegoż się mam wstydzić,
Powiém ci prawdę, ja do zamku idę.
Ty z mojéj nędzy nie powinnaś szydzić;
Na tobie także widać wiek i biédę.

Pójdź, tam nas hojnie szczodry pan obdarzy.
Dom mój téj nocy napadli Tatarzy.
Wszystko co miałem, w gruzach i perzynie,
Jeszcze się reszta mojéj pracy żarzy,
Jeszcze się można ogrzać przy ruinie.
Wczoraj ostatnie mi umarło dziécię!
Płakałem długo, i zasnąłem z płaczem.
Płomień i łoskot zbudził mię o świcie,
Ległem sierotą, powstałem tułaczem.

Cyganka.

Idź ztąd, tu cmentarz.

Ojciec.

Dokąd? w jakie strony
Udam się? żebrak wszędzie uprzykrzony.
Wieśniak da mało, a do łaski nieba
Odeśle możny. Tyś żebraczka biedna,
Nędza u nędzy niech litość wyjedna.
Nic dziś nie jadłem, daj mi trochę chleba.

Cyganka.

Mnie już oddawna pokarmu nie trzeba,
Żyję pamięcią i karmię się jadem.
Uchodź ztąd starcze.

Ojciec.

Jakąś dziwną siłą
Dwakroć w to miejsce wracam własnym śladem!
Tu mi tak dobrze i tak sercu miło.
Tu mi o dzieciach słodko się marzyło.
I jam był ojcem, i ja dzieci miałem.
Teraz już nie mam! Dziś o rannéj porze,
Usiadłem drżący na tym pięknym brzegu,
Myślałem, jakto musi szumić morze,
Gdy mała rzéka w jednostajnym biegu,

W pianę się zmąca, bijąc o swe łoże.
Wtém coś ciężkiego do wody rzucono
Ztąd niedaleko. Wstrzęsło się jéj łono,
Aż do mnie srebrne krople jéj bryznęły,
Aż do mnie przyszły koła rozpierzchnięte.
Wkrótce spokojne fale się zamknęły,
Odbiły niebo w czysty kryształ ścięte;
A z moich oczów gorzkie łzy płynęły.
Miałaś ty dzieci?

Cyganka.

Miałam.

Ojciec.

Gdzież są?

Cyganka.

W grobie.

Ojciec.

Któż ci je wydarł?

Cyganka.

Tenże sam co tobie.

Ojciec.

A dom?

Cyganka.

Zniszczony ogniem i żelazem.

Ojciec.

Pójdź biédna matko! będziem płakać razem.
Ale tam nie idź gdzie zbójcy zuchwali,
Siedlisko moje objęli płomieniem;
Tam pożar grozi śmiercią i zniszczeniem.
Słyszysz jak belki trzeszczą, dach się wali?
Za chwilę runie w gruzach i popiele.
Tędy uciekaj; tam nieprzyjaciele,
Patrz, jak ich wiele! (*Ucieka*).

Cyganka.

Błąkaj się starcze nad brzegi własnemi!
Wkrótce ten pożar co w twéj głowie płonie,
W tych nurtach zgaśnie, na ich dnie ochłonie.
Tam znajdziesz pokój, jakiego na ziemi
Nie znajdzie nigdy dobry między złemi.

Dymitr (*podnosi głowę*).

Ha! to okropnie. (*Zbliża się*) Słyszysz jak tu głucho!
Ten starzec poszedł, zgasły jego kroki,
I znikł rozpaczy jego jęk głęboki,
A przecież jeszcze słyszy moje ucho
Prośbę daleką. Prośba to straszliwa,
Głos upomnienia co mię z ziemi wzywa. (*Bierze jéj rękę*)
Cyganko! pomnisz, tyś mi kiedyś rzekła:
„W gorszéj się jeszcze obaczym godzinie."
Gorszéj nie będzie chociaż wiek przeminie.
Gdzież jest ten balsam któryś mi przyrzekła?
Ran moich bóle wielkie, niewymowne;
O! daj lekarstwo; ale niechaj będzie
Jak gniéw ojcowski prędkie i gwałtowne.

Cyganka.

Pójdź za mną. (*Odchodzi szybko*).

Dymitr.

Idę, prowadź mię szatanie,
Gdzie mię ostatnie czeka pożegnanie. (*Wychodzą*).

SCENA III.

(Ciemna sala w zamku wojewody).

WOJEWODA, (*potém*) CYGANKA.

Wojewoda (*siedzi przy stole*).

Unikam siebie i jak zwiérz raniony,
W skrwawionéj piersi ból i grot unoszę. (*Odsuwa puhar*).

Od ciebie nawet trunku przechwalony,
Strudzonym myślom ulgi nie wyproszę;
Łzę w tęskném oku ogień twój osuszy,
Na lekkie rany wielka twoja siła;
Ale nie umiész ukołysać duszy,
Którą na wieki zbrodnia rozbudziła.
Z rąk mych zginęła niewinna kobiéta.
Któż stłumić zdoła to serca wołanie?
Zetrze te słowa, które oko czyta
Na każdéj twarzy i na każdéj ścianie?
Czemuż się dręczę? Kto wié co zasiéwa,
Wié także jaki plon mu się urodzi.
Jam z swego ziarna już doczekał żniwa.
Daléj rolniku! niech cię zysk twój cieszy;
Nie szuka życia, kto na bój wychodzi,
Nie zaśnie więcéj, kto do zbrodni spieszy.

Cyganka (*w głębi*).

Nie zaśnie więcéj.....

Wojewoda.

Któż tu mówi do mnie?
Kto jesteś? po coś przeszła moje progi?

Cyganka (*zbliża się*).

Także to prędko zapomniałeś o mnie?
Przypatrz się lepiéj.

Wojewoda.

Zetrzyj śmierci piętno
Z twojego lica. Zamknij wzrok ten srogi.
Precz, znam cię.....

Cyganka.

Pomnisz tę chwilę pamiętną,
Tę chwilę zgrozy, płaczu i zniszczenia,

Gdy prośba matki była ci natrętną,
Kiedy krzyk siwych starców pokolenia,
Nie mógł się przedrzeć do twojego ucha?
Teraz pierś moja nieczuła i głucha.

Wojewoda.

Widmo bez ciała! serca w tobie niéma,
Twoje się życie oręża nie boi;
Weź inną postać, przybierz kształt olbrzyma,
Odziéj się murem nieprzebitéj zbroi,
Rzucę się śmiało na pociski twoje.
Lecz precz z tym wzrokiem.

Cyganka.

Pomnisz prośbę moję?
Wiatr ją unosił. Jęk mój nie oddalił
Razów, co we krwi naszéj się pławiły;
Nie stłumił ognia który domy palił,
I trawił starców pozbawionych siły,
Których do reszty rózgi nie dobiły.

Wojewoda (*rzuca się w krzesło*).

Okropnie!

Cyganka.

Chwila zemsty się zbliżyła.
W domu, przy tronie i u stóp ołtarzy,
Wszędzie mię znajdziesz; i na mojéj twarzy
Tę łzę ognistą, co daremną była.
Będziesz samotnym. Ruina zeszpeci
Ten gmach, na którym klątwa już wyryta.
Gdy jęk puszczyka uszu twych doleci,
Pomnij to głos mój który cię zapyta:
Dumny zabójco! gdzie są twoje dzieci? (*Znika*).

Wojewoda.

Byłaż to prawda? byłoż to marzenie?
Czuję krew ściętą, serce ledwie bije,
I głowa swemi myślami nie włada.
Krzywda nie ginie. Ciężkie to nasienie,
Ciężko, głęboko w rolę swą zapada.
Choć pogrzebane w utajeniu żyje,
Choć drobnym listkiem zwolna się wykrada,
Gdy się raz wzmoże, gdy się w kłosy zwije,
Grad je nie zniszczy, burza nie rozwieje,
Zrodzi truciznę, temu co go sieje.
„Będziesz samotnym." Straszna przepowiednio!
Zbudziłaś trwogę, co więcéj nie zaśnie;
Czém ją utulę, gdzie się skryję przed nią?
Więc ten blask cały zamgli się i zgaśnie,
I syn mój, nieba! mam jednego syna!
I ten w rozpaczy, i to moja wina!

SCENA IV.

WOJEWODA, STEFAN, *(później)* DYMITR.

Stefan.

Panie!

Wojewoda.

Tyś pobladł? prędzéj, cóż się stało?

Stefan.

Spojrzyj w to okno.

Wojewoda.

Światła nad brzegami.
Co znaczą?

Stefan.

Pogrzeb.

Wojewoda.

Czyj?

Stefan.

Synowéj twojéj.

Wojewoda.

Czy łoże Bugu przyjąć jéj nie chciało?

Stefan.

Śmierć dumnych chęci sercu jéj nie wzięła.
Po zgonie dążąc do własności swojéj,
Pod mury zamku twego wypłynęła;
Chciałem by w grobie ciaśniejszym spoczęła.

Wojewoda.

Żaden grób dla niéj nie jest dość głęboki.
Przenikła wodę i ziemię przebije,
Rozłamie ścianę warownéj opoki,
Która jéj ciało zamknie i okryje.
Ciało jéj schowasz, lecz jéj pamięć żyje.

Stefan.

Nie teraz pora myśléć o tém panie,
Już syn twój.....

Wojewoda.

Gdzież jest?

Stefan.

Spotkał żony zwłoki.

Wojewoda.

Cóż daléj? prędzéj!

Stefan.

Lice miał wybladłe,
Czoło okryte nieporządnym włosem,
Oczy zmienione i pod brew zapadłe.
Długo w nią patrzył; potém cichym głosem
Kazał nieść daléj i przy matki grobie
Schować. Spieszyłem, aby cię uprzedzić.
Bądź gotów panie, ujrzysz go przy sobie,
I ujrzysz wkrótce....

Wojewoda.

Cóż mi radzisz?

Stefan.

Panie!
Chwila to będzie ciężka. Jakaż rada,
Jaka obcego namowa lub zdanie
Nauczy ojca co czynić wypada?
W swém sercu panie, znajdziesz myśl gotową.

Wojewoda.

Mam więc dokończyć moją własną głową
Coś swoją zaczął? Dobrze, tak się stanie. (*Klaszcze, dwóch ludzi wchodzi*).
Tego złoczyńcę wtrącić do więzienia
Skoro ztąd wyjdzie. Idzie tu o życie.
Jeśli się wymknie, głową odpowiécie.

Stefan.

Cóż to?

Wojewoda.

Zuchwalcze! tyś mię rady swemi
Skłonił, żem kłamstwem spodlił mą siwiznę;
Tyś mi dał chciwość, kazał grzebać w ziemi,
Przyrzekłeś złoto, znalazłem truciznę.
Teraz umywasz ręce, teraz skrycie
Chcesz mię odstąpić? Do zysku połowy
Musisz należéć. Los nasz jednakowy.
Gdy mój szczep zwiędnie, ty utracisz życie.
Precz, zejdź mi z oczu.

Stefan.

Pięknie i wspaniale
Płacisz zasługi. To jest wdzięczność wasza.
Lecz jeszcze słowo nim się ztąd oddalę
I pójdę na śmierć, co mię nie zastrasza. (*Dymitr wchodzi z głębi i słucha*).

Czy rozumiałeś żem ja tobie służył?
Starcze bez serca! gruby błąd cię zwodził.
Tyś był narzędziem, jam twéj mocy użył,
Abym swéj krzywdzie, zemście swéj dogodził.
Już jad rozpaczy syna twego truje,
Com ja czuł on już doznaje i czuje.
Za moje trudy on mi już nagrodził.

Dymitr (*rzuca się na niego z orężem*).

Złoczyńco! teraz płacę ci raz drugi! (*przebija Stefana*).

Stefan.

Ostry masz oręż lecz mię on nie boli.
Słodko umiérać sprawcy twéj niedoli.
Próżno twe ucho czuwa na me jęki,
Dzięki ci, dzięki! (*Kona*).

SCENA V.

DYMITR, WOJEWODA.

Wojewoda.

Synu mój!

Dymitr.

Ojcze!

Wojewoda.

Nikczemnego sługi
Życie, niewarte było twojéj ręki.
Wyrok był dany, na coś go uprzedził?

Dymitr.

Ojcze! wiész dobrze, nie moja to wina,
Żem próżno innych nieprzyjaciół śledził.
Tatarów niéma. Moje tylko progi
Zniszczył, spustoszył wróg mściwy i srogi.
Znaszże go ojcze?

Wojewoda.

Ja tym wrogiem byłem,
Który to mówię; ja ci wziąłem żonę,
Własnemi usty śmierć jéj wymówiłem.
Mścij się swéj krzywdy; ojciec twój bezbronny,
Twój oręż we krwi i do mordu skłonny.

Dymitr (*odrzuca oręż*).

Do tegoż przyszło? ciężka to godzina!
Czemuż twe serce o mnie zapomniało?
Lecz już cię niebo srogo ukarało.
Spojrzyj mój ojcze na twarz twego syna. (*Wojewoda odwraca się zakrywając twarz*)
Nie możesz? nie śmiesz? wierzę; moje lice
Ma w sobie napis wyryty głęboko:
Jego myśl twoje zrozumiało oko.
On jak dym gorzki wcisnął się w źrenicę. (*Wlewa w puhar truciznę*)
Zetrzéć go trzeba! Ojcze! ojcze! wspomnij
Na żonę twoję. Piękność i dostatki,
Imię i dobroć, wszystko posiadała.
Byłżeś szczęśliwym obok mojéj matki?
A ona wieleż dni pogodnych znała?
Wiele bezsennych nocy przepłakała?
Chciałżeś, mój ojcze, los i szczęście moje
Zdać na niepewne? Chciałżeś, bym po tobie
Zabrał w puściznie wszystkie walki twoje,
I twe dni w chmurnéj spędzone żałobie?
I po toś stanął przy twéj żony grobie,
Byś zabił moję? Więc te święte szczątki,
Pocisku z ręki twéj nie wytrąciły?
Więc twych przewinień echa i pamiątki,
Ust nie zamknęły, serca nie zmiękczyły?
Miałżeś mój ojcze! miałżeś tyle siły?
Żegnam cię, żegnam!

Wojewoda.

Jakież masz zamiary?

Dymitr.

Zamiary? na to potrzeba rozumu,
A w mojéj głowie śpi ten sternik stary.
Łódź myśli zbita falami dzikiemi,
Błądzi samopas wśród głuchego szumu.
Nie wiém doprawdy jakie mam zamiary.
To wiém, że w domu i w ojczystéj ziemi
Zostać nie mogę, tu mi serce pęka.
Wrócę tu może, jeśli czasu ręka
Slad okrucieństwa zetrze z twego czoła,
A z mojéj piersi tę boleść wywoła.
Nie broń mi ojcze dłoni uściśnienia.
Byłeś okrutnym dla twego imienia;
Nim więc ztąd pójdę gdzie mi serce bije
Ciężko i w bólu, żegnam cię i piję,
Piję za zdrowie twego pokolenia! (*Wypija*).

Wojewoda.

Wzrok twój okropny! Synu! coś uczynił?

Dymitr.

Ten puhar ojcze wychyliłem do dna.
Każ go postawić w dawnych sprzętów rzędzie;
Już żaden wnuk twój z niego pić nie będzie.
(*Chwieje się i pada*)
O wróżko! jakżeś wierna i prawdziwa! (*Kona*).

Wojewoda.

Synu! o synu!

(*Cyganka wchodzi, staje przy Dymitrze patrząc na Wojewodę*).

Wojewoda.

Tyżeś to straszliwa!
Nie patrz tak; jasna twoich oczu mowa.
O! nadto prędko dotrzymałaś słowa!

KONIEC.

Wspomnienie

ALEXEGO NENDZYŃSKIEGO.

Mężowie charakteru prawego, niezachwiani w cnocie, wierni przyjaciele, światli przewodnicy, jakiż żal zostawialiby po zgonie, gdyby przykład ich życia nie był bogatym spadkiem dla następców, którym sama wdzięczność z chlubą wspominać każe te szanowne imiona, i pamięć ich w najpóźniejsze wieki przenosić. W poczet tych imion zapisać należy Alexego Nendzyńskiego, którego tak prywatne jako i publiczne życie było prawdziwie wzorowém, i który jako autor, przy sprzyjających sobie okolicznościach, z nauką którą posiadał, zająłby był w literaturze naszéj miejsce znakomitego filologa.

Urodził się Alexy Nendzyński dnia 14 lipca 1800 roku, w majętności rodzinnéj Nendza w W. Ks. Poznańskiém, powiecie ostrzeszowskim. Odebrawszy początkowe nauki pod okiem rodziców, w r. 1814 zapisany został w poczet uczniów owoczesnéj szkoły departamentowéj w Kaliszu, w któréj, po zamianie jéj na wojewódzką, złożył examen dojrzałości w r. 1820, i w któréj przez rok następny pełnił obowiązki pomocnika uczących. Naczelna władza oświeceniem w kraju kierująca,

chcąc dopomódz Nendzyńskiemu do wyższego udoskonalenia się w nauczycielskim zawodzie, następnego roku ułatwiła mu sposobność korzystania z filologicznego wydziału w uniwersytecie warszawskim. W ostatnim roku swojego pobytu w uniwersytecie, wypracował on obszerny komentarz do mowy Cycerona za Marcellem (*Commentarius perpetuus et plenus in orationem M. T. Ciceronis pro M. Marcello*), dotąd w rękopisie zostający, niżeli dnia 10 lipca 1824 roku, zdawszy z trzechletniego biegu słuchanych przedmiotów publiczny examin, jako magister nauk i sztuk wyzwolonych, ten tak uśmiechający się życiu przyjaciela oświaty uniwersytecki zawód opuścił, ażeby do trudów pełnego nauczycielskiego powrócił.

Ale Nendzyński już w młodym wieku nie miał odpowiedniego swoim przedsięwzięciom zdrowia. Z przyczyny słabości uwolniony na lat dwa od obowiązków służby które tylko co objął, poświęcił ten czas dwom ważnym naukowym pracom. W roku 1825 wydał przypisami i postrzeżeniami własnemi udokładniony, znany atlas do geografii starożytnéj, pod tytułem: *Atlas orbis antiqui constans decem et quatuor tabulis geographicis, additis observationibus et tabulis historicis, secundum quintam editionem e Germanico Latinus factus.* W roku 1826, na zadanie wydziału nauk i sztuk pięknych król. warsz. uniwersytetu: „*Colligantur et illustrentur singulis locis propositis observationes interpretum de stylo Livii,*" odpowiedział z godłem: „*Facilius est apta dissolvere, quam dissipata connectere;*" a ta praca jego na publiczném posiedzeniu uniwersytetu, dnia 15 lipca 1826 roku, złotym medalem większym uwieńczoną została.

Od końca roku 1826, Nendzyński pełnił z najprzykładniejszą gorliwością obowiązki nauczycielskie w różnych tutejszych instytutach publicznych. Jako zastępca professora w liceum warszawskiém, ogłosił w programacie téj szkoły na rok 1829, swoję rozprawę *O przymierzu Rzymian z Sabinami* (*).

Władza rządowa nad oświeceniem w kraju czuwająca, pragnęła męża tak odznaczającego się w swojéj hierarchii nauką, odpowiednio użyć, zachęcić go, podwyższyć. Nendzyński w roku 1833 mianowany był inspektorem szkoły w Wieluniu, ale nauce jedynie oddany, tylko spokojności dla niéj szukając, wolał powrócić do stopnia professora gimnazyum w Warszawie. Jakoż niedługi nawet czas ubiegł, a okazało się, że rada i bliższa pomoc ludzi, tak jak Nendzyński doświadczonych i światłych, były potrzebą téj władzy. Nendzyński wezwany do udzielenia uwag nad wartością dotychczasowych książek elementarnych, dopełnił tego w sposób najchlubniéj stwierdzający przekonanie powszechne o głębokości nauki jego i prawości zdania. Objawił je tak co do samych książek dotąd w instrukcyi szkolnéj używanych, jako i co do sposobu dopełnienia dawniejszych, poprawienia ich lub zastąpienia innemi. Tegoż roku dokończył przekładu na język polski historyi rzymskiéj Eutropiusza (*Eutropii breviarium historiae Romanae*), zbogaciwszy tę ze wszech miar ogłoszenia godną pracę, objaśnieniami historycznemi i grammatycznemi.

(*) Professor Szwaynic w swojéj Historyi narodu i państwa rzymskiego, powołuje się na tę Nendzyńskiego rozprawę. Wynalezioną między papierami autora, z poprawami jego i dopełnieniami, ogłaszamy w piśmie naszém tém chętniéj, że program szkolny, którą ją w stanie pierwotnym obejmował, dziś mało jest znany. *P. R.*

Gdy z mocy upoważnienia Rady Administracyjnéj Królestwa z d. $\frac{21 \text{ kwietnia}}{6 \text{ maja}}$ 1834 r. ustanowiono w Warszawie Komitet Examinacyjny do oceniania uzdatnień osób ubiegających się o posady nauczycielskie w szkołach publicznych obwodowych lub gimnazyach, Nendzyński powołany był na członka stałego w tym Komitecie. Od 1837 professor literatury łacińskiéj i języka greckiego w otworzonych wtedy, tak nazwanych Kursach Dodatkowych, a razem professor gimnazyum, Nendzyński i wśród tego zbiegu pracowitych obowiązków, nie rzucił trudu literata: wygotował pod wpływem mozolnéj praktyki grammatykę łacińską, zastosowaną do użycia w szkołach krajowych, która dotąd w rękopisie zostaje.

Po zamianie Kursów Dodatkowych na Pedagogiczne, powierzono Nendzyńskiemu w roku 1842 wykład pedagogiki w tych ostatnich, dodając w rok późniéj obowiązek wykładania tamże języka łacińskiego, w zamian za ulżony trud przez uwolnienie go od obowiązku professora gimnazyum.

Zbogacony doświadczeniem i postrzeżeniami w ciągu przeszło dwudziestoletniéj pracy nauczycielskiéj zebranemi, Nendzyński wziąwszy w pomoc dzieła Niemeyera, Schwarza, Benekego, Fritza i innych znakomitych pedagogów tak niemieckich jako i francuzkich, nie przywiązując się jednak do żadnego z nich niewolniczo, ale za własném przekonaniem idąc, wygotował zupełny kurs pedagogiki, odznaczający się doskonałym układem, gruntowną znajomością rzeczy i jasném jéj przedstawieniem. W upłynionym roku zaczął ten kurs na nowo przerabiać, dopełniać w zamiarze ogłoszenia go drukiem, gdy choroba a następnie śmierć, pracę jego przerwały i może pozbawiły nas dzieła, które mogłoby być najdo-

kładniejszém między stanowiącemi ten oddział w literaturze naszéj.

Nendzyński odznaczał się nadewszystko prawością charakteru jako człowiek, a najsurowszą akuratnością w dopełnianiu obowiązków jako nauczyciel. Zalety te, trudne zaiste do połączenia, nie uchodziły téż baczności rządu. Nendzyński otrzymywał reskrypta pochwalne, wynadgrodzenia szczególne; był zaszczycony tytułem radcy honorowego. Umarł d. 9 grudnia 1846 roku. Prócz wyżéj wymienionych prac naukowych, zostało jeszcze po nim mnóstwo przygotowanych materyałów do przekładu na język polski dzieł Horacyusza, Wirgiliusza, Sarbiewskiego i niektórych Cycerona.

A. W.

O PRZYMIERZU RZYMIAN Z SABINAMI.

Przypis do księgi I, rozd. 13 Historyi Rzymskiéj Liwiusza.

PRZEZ

Alexego Kendzyńskiego.

Chcąc dostatecznie wyjaśnić okoliczności wojny, którą Rzymianie za panowania Romulusa prowadzili z Sabinami pod dowództwem T. Tacyusza, warunki przymierza, które jéj koniec położyło i sposób, jakim oba ludy w jeden połączyły się naród; osądziłem być rzeczą potrzebną zasięgnąć samego początku historyi piérwszego z tych ludów. Jeżeli bowiem jakiego narodu, tedy zapewne Rzymian, pierwiastkowe dzieje tak są ważne, iż nie zgłębiwszy ich należycie lub mylne powziąwszy o nich wyobrażenie, ani kroku prawie nie można daléj uczynić bez popadnięcia w najgrubsze błędy. Prawdę tego twierdzenia aż nadto udowodnioną, znajdujemy w większéj części dzieł późniejszych o historyi rzymskiéj.

A gdy początki Rzymian są tak ważne we względzie poznania ich dalszych dziejów, dziwić się prawdziwie przychodzi, iż dotąd nie są dostatecznie wyjaśnione, zda-

je się nawet, iż dalekimi jesteśmy jeszcze od stanowczego w téj mierze rozwiązania. Rozmaite były i są może po dziśdzień przyczyny, które należytemu rozwinięciu stały na przeszkodzie. Krytyka o pisarzach historyi rzymskiéj, mówi uczony Eggo, jakiéj się trzymał wiek zeszły, odnosi się bez wątpienia więcéj do ówczesnego stanu rzeczy, aniżeli do historyi Rzymian (1). Wiek dziewiętnasty nie rozwinął jeszcze należycie dążności i prac swoich. Wiadomo atoli, iż na początki Rzymian gruba zasłona rzuconą została przez usunięcie pierwiastku albańskiego, a przyjęcie opinii, jakoby Rzymianie od Etrusków pochodzili. Mamy zaiste najpiękniejsze prace, które zalecając się niepospolitą krytyką i całéj starożytności rzymskiéj prawdziwie mistrzowskiém zgłębieniem, okazują dowodnie zupełną mylność nowéj hypotezy: ztémwszystkiém widzimy, jak trudno jest wyrzec się swoich pomysłów, jakkolwiek bezzasadnych, ale raz utworzonych i od wielu skwapliwie przyjętych. Chociaż bowiem zasady, na których opiérała się hypoteza w pierwszém wydaniu, w części sam jéj autor rozrzucił i zniszczył w drugiém, nie mógł się przecież ulubionéj swojéj myśli zupełnie pozbyć. Chociaż *Caere*, miasto etruskie, któremu Rzymianie mieli być winni swoję liturgią religijną czyli ceremonie, nie ma już tego, co dawniéj, znaczenia; chociaż Tarkwiniusz Stary nie wyprowadza już rodu swojego od Etrusków, ale od Latynów; chociaż wszystko, zacząwszy od najdrobniejszych szczegółów aż do wspaniałego Kapitolium, nie nosi już na sobie cechy etruskiego pochodzenia: mimo to jednak nie znajdujemy w tém powtórném wydaniu (r. 1827), aby pospolita

(1) *Der Untergang der Naturstaaten. Berlin*, 1842, na str. 176.

i dawna opinia przywróconą była. Czytamy owszem na str. 183: „Gdyby badanie we względzie osady trojańskiéj w Lacyum miało na celu rozstrzygnąć z historycznem do prawdy podobieństwem podług świadectw i znaków, czy ona w rzeczy saméj usadowiła się na tém pobrzeżu, rozsądny badacz uchyliłby się od niego (1)." Nierozsądny więc jest zdaniem autora każdy, który usiłuje wybadać pochodzenie Rzymian! Alić jak można, bez przyzwoitego poprzednio wyśledzenia i rozwinięcia początków jakiego narodu, rozprawiać o jego instytucyach, charakterze, cywilizacyi, prawodawstwie tak religijném jako i cywilném? Niepodobna jest wtenczas dostrzedz cechy prawdziwie narodowéj, ani téż pojąć i zrozumieć czyny i postępki znakomitych mężów. Odmiany polityczne w państwie rzymskiém i cała jego historya, jak najściślejszy mają związek z charakterem pokoleń czyli pojedynczych ludów, z których się utworzył naród rzymski. Nie postrzegł tego autor hypotezy i nie postrzeże, jeżeli, jak to właśnie uczynił, odrzuci najważniejszy pierwiastek. „Zpomiędzy pisarzy rzymskich, mówi on (na str. 216), którzy nas doszli, jeden tylko Sallustyusz niewątpliwie i wyraźnie idzie za tém zdaniem, które początki Rzymu aż do czasów trojańskich odnosi, zapewne dlatego tylko, aby wystawić Romulusa i bajeczną cudowność. Charakterystyczném jest, iż on z tego powodu równie niehistoryczną osadę Eneasza za rzeczywistą uważa." Wiele uchybił autor, że frygijski pierwiastek wyrugował: niéma bowiem pokolenia albo

(1) Römische Gesch. Berlin 1827. — Hätte die Untersuchung über die troische Colonie in Latium zur Aufgabe, mit historischer Wahrscheinlichkeit, nach Zeugnissen und Kennzeichen, zu entscheiden, ob jene wirklich sich an dieser Küste niedergelassen habe, so würde ein besonnener Forscher sie ablehnen.

raczéj narodu, któryby tę przerwę zapełniał. Etruskowie odpadli. Sabinowie mają historyczną ważność, niekiedy nawet zdają się być narodem, który wraz z innym jakimsi dał początek Rzymianom. „Jeżeli powstanie Rzymian z Sabinów i innego ludu można uważać za podanie godne wiary, tedy dawne rozumienie, iż po złączeniu się obywatale obu miast przeszli do dwóch *tribus*, ma przeważające do prawdy podobieństwo (1)." Podług tego zdaje się, iż Sabinowie byli najgłówniejszą częścią narodu rzymskiego. Ale zważywszy znowu, co autor mówi na inném miejscu (2): „Daléj, że *tribus* odpowiadały okolicom (regiones) rozumiéć należy i o tych miastach, które musiały przyjmować osady, i gdzie jaka okolica zaginęła, tam i odpowiadające jéj *tribus* zniszczone zostało. Podobną zagubę sprawić mogła osada sabińska. Rzym mógł już przedtém być kolonią, złożoną z jednego panującego *tribus* i dwóch pomniejszych; zgasło mogło być jedno z tych ostatnich:" zważywszy to mówię, sądzić wypada, że Sabinowie byli tylko podrzędnymi. Jakoż dowodzi tego i nieco poźniéj mówiąc (3): „Piérwsze pokolenie musiało miéć koniecznie jakąś wyższość, i to zgadza się z powszechnym biegiem historyi. Tak w Kolonii (*Cölln*) piętnaście rodzin miały większe od innych znaczenie. Nazwisko *decem primi*, które w senacie Latynów, jeszcze przed wielką wojną i we wszystkich osadach i municypiach natrafiamy, okazuje bardzo naturalnie komitet z dziesięciu, z których każdy był piérwszym w swojéj dekuryi. Tacy dziesięć piérwsi znajdowali się w senacie rzymskim. Byli oni zapewne ci sami, którzy po jednemu z każdéj dekuryi, tworzyli decem-

(1) Na str. 308. (2) Na str. 310 i 311. (3) Str. 315 i 316.

wirat bezkrólewia. Wspominają także, iż przedtém sądy kryminalne były przy najczystszém pokoleniu: i jakkolwiek się istotnie ma i z tą ciemną rzeczą, bo że Tacyensowie, chociażby nawet nie mieli żadnego udziału w sądzeniu kryminalném niższych rodzin, nie mogli być bez niego we względzie swoich własnych towarzyszów, o to nie masz pytania; było nawet, o czém już napomknąłem, dwóch sędziów kryminalnych: nie można jednak w tém nie upatrywać podania o piérwszeństwie wyniosłych Ramnensów." O wyższości innego narodu nad Sabinami czytamy i na str. 340: „Między prawami piérwszeństwa, których Ramnensowie przeciw innym patrycyuszom domagać się mieli, według powieści, która zapewne wykrywa stosunek Lucerów, jest i to, ażeby obcych przyjmować jak klientów (1)." Wreszcie na str. 354, gdzie autor mówiąc o bezkrólewiu po Romulusie, tak się wyraża: „Podanie Liwiusza ściąga się do piérwszeństwa Ramnensów, i okazuje *decem primos*, dziesięciu, z których każdy był piérwszym w swojéj dekuryi; możemy bezpiecznie pójść za niém." W takiém położeniu rzeczy, gdy Sabinowie zdają się być raz główną i zasadniczą częścią ludu rzymskiego, drugi raz niższą i niejako podwładną; gdy daléj inny jakiś naród (którego nazwiska wcale nie znajdujemy) ma sobie przyznaną wyższość i piérwszeństwo; nie pozostaje tylko szukać tego narodu, abyśmy mogli rozbroić dziwne takiego wykładu sprzeczności i przystąpić nakoniec do objaśnienia owego miejsca Liwiusza (2): „Ta okoliczność wzrusza żołnie-

(1) Dionys. Halic. II, 62, p. 123 b. Θεραπεύεσθαι προς τῶν ἐτηλύδων.

(2) Liv. lib. I. 13. Movet res tum multitudinem, tum duces. Silentium et repentina fit quies. Inde ad foedus faciendum duces prodeunt: nec pacem modo, sed et civitatem unam ex duabus fa-

rzy i wodzów: następuje uciszenie i nagła spokojność. Potém wodzowie występują do zawarcia przymierza; i czynią nietylko pokój, ale i z dwóch miast jedno: łączą królestwo i wszelką władzę przenoszą do Rzymu. Gdy tak Rzym podwojony został, aby się jednak Sabinom coś dostało, nazwano ich *Kwirytami* od miasta *Kures*."

Jakiż więc może być ten naród? Chcąc go odkryć należałoby zapewne zgłębić piérwéj instytucye religijne Rzymian, podać główne ich rysy, wystawić chociaż krótki, ale treściwy obraz zwyczajów i obyczajów tego ludu, nareszcie wspomnieć przynajmniéj o przeświadczeniu, jakie sami Rzymianie mieli o pochodzeniu swojém i odległym podali potomkom.

Wszelkie instytucye religijne Rzymian i połączone z niemi urządzenia polityczne, dwojaki mają charakter. Jedne cechuje jakowaś ostrość i surowość połączona z nadzwyczajną stałością w przedsięwzięciach, pewna dążność arystokratyczna, niczém niepohamowana, i wszystkim obrzędom religijnym towarzyszy wielka okazałość, wystawa, przepych, i że tak powiém, szumność; drugie wystawiają obraz łagodniejszy. Odznaką ich jest umiarkowanie, większa wyrozumiałość i powolność tak w zaprowadzeniu, jak i przyjmowaniu odmian w rzeczypospolitéj, większa skłonność do zrównania członków całego narodu w obliczu prawa i pomoc w dźwiganiu plebejuszów. Rzućmy tylko okiem na pole historyi rzymskiéj, a ujrzymy na niém stałych i niezgiętych Romulów, Tullów, Appiuszów, Horacych, obok łagodnych i łatwych Numów, Anków, Serwiuszów, Publikolów. Każdy z nich

ciunt: regnum consociant, imperium omne conferunt Romam. Ita geminata urbe, ut Sabinis tamen aliquid daretur, Quirites a Curibus appellati.

miał właściwy sobie charakter, i ten starał się wycisnąć na reszcie mieszkańców w czasie swojego urzędowania. Cecha ta polityczna każdego w szczególności, była dziełem osobnych instytucyj religijnych, obrządków, do których się poczuwał i w których był wychowany. Wiadomo jest dostatecznie, iż łagodność była główną oznaką religii sabińskiéj, i że zpośrodka tego narodu Numa na tron rzymski powołany, uchodził za wychowańca Pytagorasa, który przecież późniéj dopiéro naukę swoję rozkrzewiał. Sabinowie jedném słowem, kto tylko z uwagą przebiegnie wszelkie ustawy i odmiany, jakie bądź pod rządem królów, bądź w czasach rzeczypospolitéj, za ich wpływem zaprowadzone zostały, postrzeże, iż okazywali szczególną dążność do coraz większéj łagodności i do zrównania praw, swobód i przywilejów. Gdy zaś obok tych charakterów widzieć się dają inne z popędem zupełnie przeciwnym, z skłonnościami wcale różnemi i odwrotnemi, przychodzi naturalnie pytać się: jakiéj religii i jakich zasad byli ci, którzy ten drugi pierwiastek stanowili? Nie byli nim Etruskowie, gdyż ci, stosownie do zapatrywania się samego autora, dopiéro od czasów panowania Tarkwiniusza Starego zaczynają mieć polityczne znaczenie w państwie rzymskiém. I w rzeczy saméj nie byli oni tym pierwiastkiem; ich bowiem sława i wielkość zniknęły już oddawna, gdy tymczasem Rzym wznosił się z małych swoich początków. Już oni byli niedołężnym i zniewieściałym narodem, gdy Rzymianie w całéj sile czerstwości i wieku występowali na scenę polityczną: już Mars nie zagrzéwał Etrusków do boju, gdy Rzymianie cześć mu składali, i jego ożywieni duchem, przeciw ludom sąsiedzkim obracali zaczepny swój oręż.

Niémasz, krótko mówiąc, ani cienia podobieństwa między Etruskami a owymi mężami rzymskimi, których imiona przytoczyliśmy wyżéj.

Przebiegając baczném okiem dzieje rzymskie widzimy, iż królowie ich co rok składali ofiary bogom w Lawinium; widzimy, iż i po zmianie zaszłéj w kształcie rządu, obowiązek królów w tym względzie pełnili konsulowie, pretorowie i dyktaturą zaszczyceni (1). Podobną cześć oddawano także wielkim bogom, *magnis diis*, i boginí ognia, Weście, która między bóstwami rzymskiemi zajmowała jedno z miejsc głównych (2).

Podróże te religijne królów i najpiérwszych urzędników państwa, nie były bez wątpienia odbywane w celu przejechania się tylko i sprawienia sobie przyjemności; lecz raczéj wykazują one związek religijny, jaki zachodził między jednym a drugim narodem, wykrywają powinowactwo obu tych ludów i wspólność ich pochodzenia. Czyliż te pielgrzymki roczne i ofiary składane przez naczelników rzeczypospolitéj przy obejmowaniu urzędów nie są dostatecznym dowodem, iż rozpoczęcie wszelkich czynności urzędowania poprzedzić było powinno złożenie czci bogom ojczystym? Nie jest więc płonne podanie Warrona: „W mieście Lawinium, mówi on, które było piérwszym zakładem szczepu rzymskiego w Lacyum,

(1) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 115. Non multo post, cum Romulo (ut ferunt nonnulli) profectus (Tatius) Lavinium sacrorum causa, quae reges oportebat diis patriis pro salute Urbis facere, coortis in eum caesorum legatorum amicis ac cognatis, ante aram cultrorum et veruum ictibus confectus est.

(2) Et Vestam, quam de numero Penatium aut certe comitem eorum esse, manifestum est, adeo, ut et Consules, Praetore seu Dictatores cum adeunt magistratum, Lavinii rem divinam faciunt Penatibus pariter ac Vestae. *Macrob. Sat.* III, c. 4.

są nasi penatowie (1). Jakim zaś sposobem te opiekuńcze bóstwa Samotracyi i Rzymu do Lawinium sprowadzone zostały uczy Festus. „Krytolaus powiada, iż Saon z Samotracyi razem z Eneaszem, który bogów penatów do Lawinium wprowadził, ustanowił Saliów (2)." Rozpatrując się daléj w dziejach i obrządkach religijnych Rzymian; rozbiérając ich obchody uroczyste, ich modły i ofiary publiczne; zastanawiając się nad obrzędami pogrzebów i zaślubin i nad ofiarami sprawianemi przez pojedyncze familie widzimy, że te są takie same, jakie w Lawinium, Albie i w Rzymie. Powinowactwo tych trzech ludów jest tak wielkie i oczywiste, iż nie można ich nie uważać za jeden ród rozgałęziony w tych plemionach. Są zaś nim bez wątpienia Frygijczykowie, którzy już wcześnie bardzo usadowili się byli w Italii, czego niewątpliwe ślady znajdujemy w Serwiuszu. „Powiadają, mówi on, że Korybantes jakiś przybył do Italii i osiadł w tych miejscach, pośród których jest teraz miasto Rzym, i że ludy, które od niego wywodzą swój początek, nazwano Sakranami, tojest, poświęconymi, dlatego, iż Korybanci byli poświęceni, *sacrati*, matce bogów (3)." Pomnożenie téj osady nastąpiło późniéj przez frygijskich Trojan pod dowództwem Eneasza, którego

(1) Varro lib. IV de LL. Oppidum, quod primum conditum in Latio stirpis Romanae, Lavinium, ibi penates nostri.

(2) Festus pod wyrazem *Salios*. Critolaus Saonem ex Samothrace cum Aenea deos penates, qui Lavinium transtulerit, Saliare genus instituisse, a quo appellatos Salios.

(3) Servius ad VII. v. 796 Aeneid. *Sacranae acies*. Dicunt quemdam Corybantem venisse ad Italiam, et tenuisse ea loca, quae nunc urbi vicina sunt, et ex eo populos ducentes originem Sacranos appellatos: nam sacrati sunt matri deum Corybantes.

przybycie do Italii zaświadcza cała starożytność religijna Rzymian, a pieczęcią niejako tych świadectw jest owa powszechna wiara w narodzie, iż Trojanie dali początek miastu Lawinium, Albie i Rzymowi (1). Zwracając następnie uwagę na dążność i ducha religii i obrządków frygijskich przekonywamy się słusznie, iż jéj wychowańcy co do charakteru i postępowania swojego w sprawach publicznych nie mogli być innymi, tylko takimi, jakimi nam historya wystawia Romulusów, Tullusów, Horacych i tych wszystkich, którzy pochodzili z rodu albańskiego.

Kto tylko wolny od uprzedzenia, powodowany jedynie miłością prawdy, szczerze pragnie wyśledzić pochodzenie ludu rzymskiego, ten znajduje zawsze niezliczone dowody, zdolne utworzyć w nim owo niemylne przekonanie, iż panującym pierwiastkiem w historyi i narodzie rzymskim są Albanie. Oni stanowią ową główną część ludu rzymskiego, któréj Niebuhr do Rzymu, jak niegdyś Juno Eneasza i towarzyszów jego do Italii, przypuścić nie chce, i woli błądzić w ciemnościach zamętu, który raz sobie utworzył z początków Rzymian, wywodząc ich pochodzenie od Etrusków i zaprzeczając przybycie Trojan na brzegi lawińskie. „Pasterze, mówi on na str. 227, ich (Romulusa i Rema) dawni towarzysze, byli pierwszymi ich obywatelami; o Albanach, którzy się do nich przyłączyć mieli, a nawet o szlachcie trojańskiéj, dawna powieść zapewne nic nie wiedziała: Juliuszowie i tym podobne familie zjawiają się dopiéro po zburzeniu Alby.“ Moglibyśmy tu już wyrzec nasze

(1) Gruntowną rozprawę o przybyciu Eneasza do Italii napisał dr. i prof. Szwaynic. Znajduje się w programmacie Szkoły Wojewódzkiéj ks. Pijarów z roku 1827.

ostateczne zdanie o jednorodności Rzymian i Albańczyków, sądząc, iż nas do tego upoważniło owo zadziwiające podobieństwo trzech ludów we względzie religijnym, któreśmy nieco wyżéj przedstawili: lecz wstrzymujemy się jeszcze dla okazania piérwéj, że i podanie bynajmniéj nie milczy o Albanach i piérwszéj klassie Trojan, którzy byli uczestnikami przedsięwzięć i zakładów Romulusa. I tak mamy naprzód niewątpliwe podanie o wychowaniu bliźniąt, Romulusa i Rema. Odebrali je w Gabiach od kapłanów latyńskich: ćwiczono ich we wszystkich naukach, które teokratom do kierowania sprawami religijnemi i politycznemi są użyteczne i potrzebne (1). Postępując daléj, podanie robi Rzymian *Wernami. Vernae*, mówi Festus, *qui in villis vere nati..... Romanos-vernas appellant.....* Porównawszy z tém słowa Noniusza, który powiada, iż *vernae* byli właściwie tylko ci, *qui vere sacro nati essent*, łatwo dorozumiéć się można, jakiego rodzaju był ten zakład Albańczyków w Rzymie (2). Przyczyny i okoliczności jego podaje Dyonizyusz z Halikarnassu (3). „Skoro tylko Numitor po śmierci Amuliusza odzyskał naj-

(1) Zobacz *Corradini Vetus Latium, lib. I. cap.* 12.

(2) Kto chce powziąć dokładne wyobrażenie, co było *ver sacrum*, niech czyta pod tym napisem rozprawę dr. i prof. Szwaynica, umieszczoną w programmacie Szkoły Wojew. ks. Pijarów roku 1828.

(3) Dionys. Halicarn. lib. I. pag. m. 72. Defuncto Amulio Numitor quam primum instauravit imperium, vitiatamque diutina tyrannide formam reipublicae in pristinam integritatem restituit: mox cogitavit de paranda juvenibus propria dicione, novaque urbe in hoc condenda: simulque urbanam multitudinem vehementer auctam numero, minuendam censebat, semotis potissimum adversae factionis hominibus, ut liber a suspicione degeret. Itaque communicato cum juvenibus consilio, postquam et ipsis idem placuit, dat eis agros ubi educati fuerant in pueritia: populi

Biblioteka Sejmu Śląskiego

wyższą władzę i rzeczpospolitą z stanu bezprawia, w którym poprzednio zostawała wydobył i na dawny sposób urządził, zaraz począł myśléć o osobném dla młodzieńców (Romulusa i Rema) państwie, i o założeniu w tym celu nowego miasta. Sądził oraz, iż należało zbyteczną ludność Alby zmniejszyć przez oddalenie tych szczególniéj, którzy należąc do przeciwnego stronnictwa, budzili w nim podejrzenie. Otworzywszy więc młodzieńcom swój zamiar, gdy i onym się podobał, dał im owe pola, na których się w dzieciństwie chowali i tę część ludu, która mu była podejrzaną, aby znowu kiedy nie pokusiła się o zmianę i nowości. Pozwolił oprócz tego przyłączyć się do niéj wszystkim ochotnikom, między któremi było wielu z pospólstwa, jak zwyczajnie w mieście poruszoném, i podostatkiem przedniejszych obywateli: z Trojańskiego zaś pokolenia wszyscy, którzy szlachetnością i urodzeniem celowali. Niektóre z nich familie, w liczbie około pięciudziesiąt, były jeszcze za moich czasów. Opatrzył młodzieńców w pieniądze, broń, żywność, niewolników, bydło juczne i w to wszystko, co tylko do budowania miasta było przydatne. Młodzieńcy wyprowadziwszy lud z Alby i połączywszy się z pozostałymi na górze Palancyum i około Saturnii krajowcami, podzielili cały ogół na dwie części."

quoque suspectam partem, ne quando res novas moliretur, et si quibus sponte migrare libebat, eis attribuit. In his erat magna plebis pars, ut fieri solet in migrationibus; non pauci etiam ex optimatibus nobiles; Trojani quoque generis nobilissimi quique; ex quibus aliquot gentes ad nostram aetatem supersunt, quinquaginta ferme familiae. Acceperunt autem juvenes pecuniam, arma, frumentum, mancipia jumenta deportandis oneribus, et si quid aliud ad urbis aedificationem erat accommodum. Educto ex Alba populo miscuerunt quotquot circa Palantium et Saturniam reliqui erant indigenae, divisa in duas partes omni multitudine.

Obok tych apodyktycznych dowodów, wziąwszy na uwagę ówczesny stan polityczny Alby, który już i w przytoczoném miejscu Dyonizyusza dostatecznie wykryty widzimy, łącząc z tém podaniem inne, jakie znajdujemy porozrzucane w autorach starożytnych, a mianowicie w Plutarchu o życiu Romula i w Liwiuszu, gdzie ten historyk trafny daje obraz Alby w opisie przygotowania jéj do wojny z Rzymianami i saméj wyprawy, gdy naród, a podobno samo tylko wojsko po śmierci Kluiliusza obiéra dyktatorem Fuffecyusza, zkąd wyraźnie się okazuje, iż panowanie kapłanów w Albie ustało; zastanawiając się daléj nad wypadkami, które zaburzyły dom panujący, i nad wydzieraniem sobie tronu przez Amuliusza i Numitora: zważywszy, mówię, to wszystko, bezstronny czytelnik i znawca nie może nie przyznać, iż w takiém położeniu rzeczy, teokracya straciwszy zupełnie swoje znaczenie w Albie, musiała myśléć o nowém dla siebie panowaniu. Początkiem jego było niezawodnie założenie Rzymu pod naczelnictwem Romulusa i Rema.

Posłuchajmy także, co uczony Feodor Eggo mówi przeciw opinii Niebuhra (1): „Mniemanie Niebuhra, są słowa jego, jakoby podług dawnéj poezyi ludu żadni Albańczykowie nie przenieśli się do Rzymu, jest zupełnie dowolnie przyjęte, nie mające żadnéj zasady, oparte li tylko na podobieństwie do prawdy, które sobie sam utworzył, jest przeciwne najoczywistszym świadectwom, które każdemu są znane i których ci przypominać nie potrzebuję. Najlepiéj je zaś zbijają poezye o pochodzeniu niektórych familij i pewnych rodzajów obrządków religijnych."

(1) *Der Untergang der Naturstaaten* str. 178 i następ.

„Być to zaiste może, iż później wymyślone zostały niektóre szczegóły o pochodzeniu pewnych rodzin, mimo to jednak żadnym sposobem przypuścić nie można, iżby myty o przodkach szlachty, które w czasie, kiedy już jasne przeświadczenie zostało obudzone, i gdy zwłaszcza nie wierzono już w exystencyą dawnego szlachectwa a nawet i w bóstwa, mogły zasługiwać na powszechną wiarę, były płodem saméj tylko imaginacyi i zmyślenia. Tém bardziéj zaś, nie przypuściwszy zarazem, iż życie ludzkie i cała historya są tylko próżnemi marami i czczych cieniów igraszką, nie mającą w gruncie odpowiedniéj prawdy rzeczywistéj, nie można przyjąć tego podobieństwa, iżby opinia narodu względem najściślejszych stosunków życia mogła być zwodniczą i błędną. Dlatego ani mnie, ani tobie, przyjacielu, stosownie do naszego sposobu myślenia, poema o familii Nautyuszów, któréj przodkowie, jako towarzysze Eneasza, mieli przynieść do Lacyum posąg Minerwy i za to odziedziczyć kapłaństwo téj bogini, żadnym sposobem nie może nam się wydawać płonną baśnią, nie mającą za podstawę historycznéj myśli (1). Tak to, jak inne rozmaite poemata o wczesnéj czci bóstw albańskich w Rzymie, do których należała i Westa, najwyższa bogini, uczą, że już najdawniejsze podania musiały mówić o założeniu Rzymu przez Albańczyków, i że właśnie dlatego już za czasów Romula pierwiastek albański znajdował się w życiu Rzymian (2)."

Bynajmniéj się także nie sprzeciwia pochodzeniu Rzymian od Albańczyków owo twierdzenie, jakoby Alba od chwili założenia Rzymu zupełnie zniknęła w historyi.

(1) Dionys. Halicarn. l. 6. c. 69.
(2) Livius l. l. c. 7. 20. Dionys. Halicarn. l, 2. c. 64, 65, 66.

Gdyby nawet tak było, naówczas to samo zniknięcie przemawiałoby jeszcze za tém, iż Rzym Albie winien jest swój początek. Ale i tu inaczéj rzeczy się mają i Niebuhr walczy znowu przeciw wszelkim w téj mierze podaniom starożytnych.

„Jeżeli autor utrzymuje, mówi uczony Eggo (1), iż Alba zniknęła z historyi w chwili, kiedy Rzym założony został aż do czasów Tulla Hostyliusza, tedy twierdzeniu jego sprzeciwia się wprost zeznanie źródeł. W naglącéj potrzebie Rzymu, dla wojny z Sabinami, Albańczykowie przysłali posiłki w ludziach, a co się tyczy losu Alby po wygaśnięciu rodziny królewskiéj, to wszakże mamy dochowane w téj mierze podania, które co do istoty rzeczy wcale nie są przeciwne duchowi najdawniejszego życia politycznego miast włoskich, podług którego, jak w Grecyi każde miasto tworzyło osobne dla siebie wolne państwo, tak téż naturalnie i Alba nie zależąc od Rzymu, zostawała pod rządem obiéranych przez siebie dyktatorów. Że zresztą pod spokojném panowaniem Numy, Alba nie ukazuje się w historyi, nie ma nic dziwnego, gdyż Rzym mało się natenczas mieszał do stosunków zewnętrznych."

Mając takie źródła i dowody, nader zadziwiającą jest rzeczą słyszéć wołającego dotąd Niebuhra (2). „Kto szuka prawdy historycznéj a przeto i związku w historyi piérwszego wieku rzymskiego, temu zdawać się musi rzeczą zupełnie niepojętą, iż Alba w chwili założenia miasta całkowicie znika. Wszakże podanie nic nie wspomina o pomocy miasta macierzyńskiego w grożącém niebezpieczeństwie Rzymu, ani jakim spo-

(1) *Der Untergang der Naturstaaten* str. 181 i nast.
(2) *Römische Geschichte, I. Th. 2 Ausg. Berlin* 1827 str. 359.

sobem Romulus po wygaśnięciu na Numitorze familii Eneasza, od tego tronu został usunięty. Tu mowa i milczenie potwierdza, jakiego rodzaju jest to, co nam historyą nazywają. Alba i Rzym były dla siebie zupełnie obce; w podaniu o upadku owego miasta nie panują tam żadni Silwiuszowie, tylko K. Kluiliusz jako dyktator, pretor albo król."

Że Alba i Rzym bynajmniéj dla siebie obcemi nie były, wiadomo już dostatecznie. Nie podpada także wątpliwości, iż Albańczykowie posiłkowali Rzymian w wojnie ich z Sabinami. Dłuższe rozwodzenie się nad tém byłoby z ubliżeniem dla prawdy. Pomijając przeto dalsze w téj mierze uwagi, choć kilka słów powiedzieć nam koniecznie wypada, dlaczego Romulus po śmierci Numitora nie starał się o objęcie najwyższéj władzy w mieście macierzyńskiém.

Rozwiązanie tego zagadnienia nie jest trudne i dalekie. Aby usunąć wszelką pod tym w głędem wątpliwość, dosyć jest zwrócić uwagę na ówczesny stan Alby, na zamieszanie wynikłe ze wstrząśnienia teoarystokracyi, na nową formę rządu (czego dowodem jest ów Kluiliusz z niepewnym niby tytułem dyktatora, pretora czy króla), na dążność teoarystokratów, którzy w takiém rzeczy położeniu woleli już sprzyjać zupełnie ulubionemu Rzymowi, aniżeli wyrodzonéj Albie. Nie wypadało oczywiście Romulusowi sięgać zaraz wówczas po tron albański, bo tym sposobem byłby się zdawał uchylać zpod władzy i polityki teoarystokratów, a przeto w samym zawiązku niszczyć ich dzieło. Wszakże Alba, obaliwszy dawne formy rządu, chwiejąca się i niepewna, przedstawiała i tak niechybną z siebie zdobycz dla Rzymu, co téż w rzeczy saméj nastąpiło po urządzeniu wewnętrznem

miasta i dostatecznem ustaleniu jego bytu. Dla Tulla Hostyliusza zostawionem było jéj zwycięztwo i zburzenie.

Wszystko więc za tém mówi, że pierwiastek albański jest nietylko owym szukanym i pożądanym w historyi rzymskiéj pierwiastkiem, ale nadto Albanie są najgłówniejszą częścią narodu rzymskiego. Nie należy także powątpiéwać, iż Sabinowie stanowią drugą część główną, a trzecią ludy znane w rocznikach Rzymu pod nazwiskiem *Luceres*.

Wypada i tu odrzucić wszelkie hypotezy, które jako bezzasadne utrzymać się nie mogą, i wrócić do pospolitéj opinii, któréj napastować nie przystało. Bądźmy więc z uczonym Eggo jednego zdania, który na str. 181 tak mówi: „Widzimy się więc koniecznie zmuszeni zostawić dawną opinią przy swojéj godności i powadze, według któréj trzy różne pokolenia, albańskie, sabińskie i etruskie zlały się w jedno życie za Romulusa, i tym sposobem państwo Rzymskie zostało utworzone," i t. d. Wszelkie podania są rękojmią prawdziwości téj opinii. Gdyby jednak przyszło wykazać szczegółowo okoliczności i środki, które sprawiły połączenie tych trzech pokoleń; należałoby piérwéj wyśledzić i oznaczyć z pewnością topograficzne położenie każdego zosobna ludu, którego były cząstkami; roztrząsnąć dokładnie wszelkie wiadomości, jakie nas o nich doszły; rozgatunkować rozmaite drobne osady, zamieszkałe około góry Palancyum i Saturnii; zgłębić nareszcie myty i podania religijne. Lecz to nie wchodzi do zamiaru naszego, ten bowiem ogranicza się tylko wykazaniem ściślejszego zjednoczenia się Albańczyków z Sabinami.

Dostrzedz można, że te dwa ludy w albańskim Rzymie wcześnie już bardzo dążyły do utworzenia jednego na-

rodu; ale stosunki, w jakich jeden względem drugiego zostawał, nie są bynajmniéj oznaczone i trudno w tym razie odezwać się głosem wyroczni. Jeżeli zaś z jednéj strony niełatwo jest odgadnąć i rozwiązać węzeł, który je późniéj łączył, tedy z drugiéj śmiało twierdzić można, iż widoki jakie nam autor w ostatnim swoim rezultacie przedstawił, wcale nie są zaspokajające. Opinia, jakoby Sabinowie mieszkali w *Quirium*, Rzymianie (czy jakby ich tam nazwać) w Rzymie (*Roma*), nie ma żadnéj zasady i pewności: jest przeciwna podaniom i świadectwom starożytnych, które wcale co innego wskazują.

„Nierównie ważniejszém od Rzymu," mówi autor na str. 299 i nast. „było miasto na wzgórku, który dawniéj agoniskim zwano, bo *arx* jego uważać można za kapitoliński... Jeżeli szukać będziemy właściwego nazwiska tego miasta, tedy sądzę, iż bez namysłu przyjąć można, że niém było *Quirium*, gdyż obywatele jego nazywali się *Quirites*. Wywód od *Cures* idzie źle, a od *quiris* wcale nic; późniejsze nazwisko góry *Quirinalis*, poszło od imienia miasta."

Wolno jest tworzyć domysły w rzeczach ciemnych i zawikłanych: wiémy o tém i znawcy chętnie je przyjmują. Ale czyliż znaczenie samo wyrazu nie okazuje, iż to, czego chcemy, ma być wyprowadzone z pewnego, że tak powiém, fundamentu i materyału, a nie zaś czystym tylko utworem imaginacyi i zmyślenia? A wszakże hypoteza Niebuhra o mieście *Quirium* ma właśnie ten ostatni charakter. Dlatego też wątpić należy, aby pozyskała jakich zwolenników. Zgodzą się zaiste wszyscy, iż *Quirites* ani od *Cures*, ani od *quiris* wywodzić nie należy, bo nazwania te mają początek wyższy i źródło daleko szlachetniejsze, niż wielu dotąd mniemało. Ale na to

podobno nie tak łatwo przystaną, iż późniejsze nazwisko góry *Quirinalis* poszło od *Quirium*. Dosyć jest otworzyć Festa, aby się przekonać o mylności tego zdania; a lubo i on przytacza pospolite mniemanie, zaraz przecie dodaje i drugie, które odpowiada zupełnie i duchowi owych czasów i wyobrażeniom religijnym, o ile starożytni lubili nadawać miejscom imiona bóstw, którym szczególną cześć wyrządzali. Sam nawet skład wyrazu jak jest przeciwny tamtemu zapatrywaniu się, tak zupełnie odpowiada drugiemu źródłosłowowi, który Festus przytacza: „Pagórek Kwirynalski (1), mówi on, dlatego tak nazwany, iż Sabinowie, którzy przybyli z miasta *Kures*, na nim osiedli: chociaż inni mniemają, iż nazwisko to wziął od świątyni Kwiryna." Festus więc zupełnie jest przeciwny mniemaniu Niebuhra, a jak odrzucić należy to, co przytacza o Sabinach z Kures, tak znowu przyjąć trzeba drugie zdanie, które jedynie jest prawdziwe. Jeżeli tak, miasto *Quirium*, dowolnie utworzone, w żaden sposób utrzymać się nie może, tém bardziéj wniosek, który czytamy na str. 301: „*Roma* i *Quirium* były dwa miasta zupełnie osobne, jak greckie i hiszpańskie *Emporiae*, oddzielone jako narody i murem: jak Fenickie *Tripolis* Sydończyków, Tyryjczyków i Aradyów, jak w średnich wiekach Stary i Nowy Gdańsk i trzy niepodległe miasta Królewca, które stykając się murami, wojnę między sobą prowadziły: jak Getulickie *Gadames*, od dwóch nieprzyjaznych sobie pokoleń, przedzielonych wprawdzie, ale w obrębie tych samych murów zamieszkałe." Że taka podwójność istnieć nie mogła, okazał już dostatecznie

(1) *Festus.* Quirinalis collis dictus est, quia in eum commigraverunt Sabini Curibus venientes: quamvis alii a templo Quirini dictum putent.

uczony Eggo (1). I inne domysły Niebuhra nasunięte w miejsce dowodów nie są tego rodzaju, aby mogły za sobą pociągnąć przekonanie znawców. Ważniejsze z nich są: „Gdy oba miasta równością połączone zostały, na ulicy od Kwirynalu do Palacyum wybudowały niejako bramę podwójnéj granicy, przedzielającéj ich terrytorya, podwójnego Janusa, ku każdemu miastu jedną bramą obróconego. Stał otworem w czasie wojny, ażeby jedno od drugiego pomocy zasięgać mogło; zamknięty w pokoju, bądź dlatego, aby nie dopuścić zbytniego z sobą przestawania, zkąd mogły wynikać kłótnie i utarczki, bądź jako symbolum połączonéj rozdzielności. Oddzielność obu miejsc należało oznaczyć przez *viam sacram*, która spuszczając się z pagórka Welia, idzie między Kwirynalem i właściwym Palatynem, a potém nieco w bok między tą i Kapitolińską górą aż do świątyni Westy, zkąd obracała się w poprzek przez *Comitium* ku bramie Palatynu. Zdaje się, iż była przeznaczoną do zobopólnych ofiar."

„Przypomnieniem dwoistego królestwa był podwójny tron, który Romulus zatrzymał po śmierci Remusa (2). Jako symbolum dwoistego państwa można tak-

(1) *Feodor Eggo.* Der Untergang der Naturstaaten p. 192. Dass nämlich die alten Hetruscer und die Sabiner noch lange Zeit hindurch zwei verschiedene Staaten gebildet hätten, für diese Vermuthung wird auch nicht der geringste Schein eines erfahrungsmässigen Beweises aus Zeugnissen der Geschichtschreiber durch Niebuhr geliefert, noch lässt sich ein solcher Beweis überhaupt führen. Beispiele von Königsberg hergenommen, können aber natürlicherweise auf das alte Rom keine Anwendung finden. Da also weder irgend eine Begründung jener Ansicht dargeboten wird, noch auch sich anderswoher findet, so ist nichts vorhanden, wogegen man streiten kann.

(2) Servius ad Aen. I. 276.

że uważać, jak już starożytni czynili (1), głowę Janusa, wytłaczaną od najdawniejszych czasów na assach rzymskich, gdzie okręt odnosi się do tyreńskiego panowania na morzu (2)."

Lubo już dla tego samego, iż dwoiste królestwo w dwóch oddzielnych miastach nie istniało, powyższe domysły upaść muszą, nie zawadzi jednak rzucić jeszcze kilka uwag względem Janusa, drogi świętéj, owego podwójnego tronu, który Romulus po śmierci Remusa zatrzymał.

Janus był jedném z najdawniejszych bóstw italskich; był wspólnikiem rządów Saturna, i w nim wielka liczba narodów Italii uważała swojego prawodawcę. Był zaś szczególniéj bogiem Lacyum. „Piérwszego dnia stycznia, mówi Korradyn (3), obchodzono w Lacyum uroczyste

(1) Servius ad Aen. I. 294.

(2) Niebuhr Römis. Gesch. 2te Ausg. pag. 302 sq.

(3) *Corradin.* Vetus Latium. T. I. pag. 329. Hujus (Januarii) Calendis solemne fuit in Latio Jani festum, in quo erant vetustissimae Jani aedes Laurenti et Albae.— Verumtamen et Bifrontem Janum priscos Latinos in aedibus laudatis coluisse constat, et meminit Virgilius lib. 7 Aencidos his versibus:

Mos erat Hesperio in Latio, quem protinus urbes
Albanae coluere sacrum, nunc maxima rerum
Roma colit, quum prima movent in proelia Martem:
Sunt geminae belli portae (sic nomine dicunt)
Religione sacrae, et saevi formidine Martis.

His carminibus Poëta prodidit Laurenti fuisse aedem Jano Bifronti sacram. I na str. 331. Quin Virgilius eodem lib. 7 Aeneidos Regiam Pici Latinorum Regis describens, ejusque Progenitores, ita canit:

Quin etiam veterum effigies ex ordine avorum
Antiqua ex cedro, Italusque, paterque Sabinus,
Vitisator, curvam servans sub imagine falcem,
Saturnusque senex, Janique bifrontis imago,
Vestibulo adstabant, aliique, ab origine reges,

quo fit eundem, uti Donatus ibidem perhibet, Janum bifrontem Laurenti cultum putasse.

święto Janusa, którego najdawniejsze świątynie były w Laurencie i w Albie.... Dawni Latynowie czcili go w tych świątyniach z dwiema twarzami, o czém wspomina i Wirgili w księdze VII Eneidy, mówiąc:

Był zwyczaj w hesperyjskiém Lacyum przyjęty,
Czciły albańskie miasta ten obrządek święty:
Dziś Rzym, pan świata, przyjął za prawidło swoje.
Czyto, gdy Getom niesie opłakane boje,
Czy Hyrkanom, Arabom, czy mężne orszaki
Wiedzie na Wschód, i Partom każe wrócić znaki.
Dwoiste są drzwi wojny, otacza je trwoga,
Którą świętość i groźba tchnie strasznego Boga.
Dmochowski.

W tych wiérszach okazuje poeta, iż w Laurencie miał świątynią Janus z dwiema twarzami.

W téj saméj księdze VII Eneidy, Wirgiliusz opisując pałac Pikusa, króla Latynów i posągi jego przodków, tak śpiéwa:

Z cedru posągi dziadów w przysionku świątnicy:
Italus, ojciec Sabin, zaszczepca winnicy.
Luba mu kosa w życiu i w obrazie dana,
Stary Saturn, i postać dwuczelnego Jana.
Dmochowski.

Był przeto i Wirgili, jak Donat uważa, tego rozumienia, iż w Laurencie czczono Janusa z dwiema twarzami. Gdyby więc Janus podwójny, jak go Niebuhr nazywa, który był i poczwórny (1), miał mieć polityczne

(1) Servius ad lib. VII. Aeneid. v. 607. *Sunt geminae belli portae.* Sacrarium hoc Numa Pompilius fecerat circa imum Argiletum, juxta theatrum Marcelli, quod fuit in duobus brevissimis templis. Duobus autem propter Janum bifrontem. Post ea captis Faliscis civitate Thusciae, inventum est simulacrum Jani cum frontibus quatuor. Unde quod Numa instituerat, translatum est ad forum transitorium et quatuor portarum unum templum est institutum. Janum sane apud aliquos bifrontem, apud aliquos quadrifrontem esse non mirum est: nam allii cum diei dominum volunt, in quo ortus est et occasus. Hortat. *Matutine pater seu Jane libentius audis.* Alii anni totius, quem in quatuor tempora constat esse divisum. Anni autem esse Deum illa res probat, quod ab eo prima pars anni nominatur: nam a Jano Januarius nuncupatus est.

znaczenie w Rzymie, musiałby je mieć dla téj saméj przyczyny i w Laurencie i w Albie i w całém Lacyum. Nikt przecież nie śmiałby utrzymywać, iż każde z tych miast składało się z dwóch państw oddzielnych, dlatego, że Janus z dwiema twarzami miał w nich swoje świątynie.

Nie ma téż podobieństwa do prawdy owo mniemanie, jakoby droga święta stanowiła mur przedzielający te dwa miasta i ludy, bo to, co nam Festus w téj mierze podał, ma wcale inne brzmienie, i okazuje właściwie czém ona była i dlaczego ją tak nazywano (1). „Jedni utrzymują, mówi on, iż droga święta od tego była nazwaną, że na niéj zawarte zostało przymierze między Romulem i Tacyuszem: inni dlatego, iż kapłani udawali się nią do Kapitolium dla sprawienia Jowiszowi ofiar zwanych *idulia*. Nietylko więc ta jéj część, jak pospólstwo rozumie, ma być nazywana świętą, która idzie od pałacu królewskiego do domu króla nad ofiarami, lecz i ta, która od domu króla do kaplicy Strenii i znowu od pałacu królewskiego aż do Kapitolium. Nie powinna się téż nazywać, jak twierdzi Werryusz złącznie, ale rozłącznie, tak, jak inne drogi, Flamińska, Appijska, Latyńska, tak dalece, iż nawet nie należy mówić Nowadroga, ale nowa droga." Mamy więc w najdrobniejszych

(1) *Festus.* Sacram viam quidam appellatam esse existimant, quod in ea foedus ictum sit inter Romulum ac Tatium: quidam, quod eo itinere utantur sacerdotes, idulium sacrorum conficiendorum causa. Itaque ne eatenus quidem, ut vulgus opinatur, sacra appellanda est a regia ad domum regis sacrificuli, sed etiam a regis domo ad sacellum Streniae et rursus a regia usque in arcem. Nec appellari debere ait Verrius, sed disjuncte, ut ceteras vias, Flaminiam, Appiam, Latinam, ut ne Novamviam quidem, sed novam viam.

nawet szczegółach opisane znaczenie drogi świętéj. W tym jednakże opisie nie znajduje się nic takiego, coby mogło służyć na poparcie opinii Niebuhra.

I ów tron podwójny Romulusa nie ma téj myśli, jaką autor do niego przywiązuje: niepodobna téż wydobyć ją z przytoczonego podania Serwiusza (1). Tron ten jest, albo allegoryczny, o ile Romulus i Remus były dwa indywidua, do których wiążą się wyobrażenia astronomiczne, albo historyczny, uważając, że Romulus i Remus, wychowani w Gabiach, założywszy miasto Rzym, mogli rzeczywiście panować razem. Znajomi starożytności nie znajdą tego bezprzykładném w rzeczach pospolitych teoarystokratycznych, w których często widzieć można rządy dwom królom powierzone, a nawet i w Rzymie późniéj tak było, iż dwaj konsulowie na wzór Romulusa i Rema najwyższą władzę sprawowali. Ale trudno jest oczywiście dzielić autora zdanie względem Romulusa i Rema. „Remus i Romulus, mówi on, są tylko dwie formy jednego imienia: Grecy na odgłos powieści o bliźniętach, wybrali piérwsze imię zamiast mniéj brzmiącego Remus (2)." Romulusa i Rema brać historycznie za dwie formy jednego imienia, sprzeciwia się wszelkim w téj mierze podaniom starożytnym, jakie tylko czasów naszych doszły. Możnaby ich wprawdzie uważać za jedno indywiduum, ale naówczas trzeba się z nimi odnieść

(1) Servius ad Aencid. I. v. 276. *Romulus excipiet gentem.* Remo scilicet interemto: post cujus mortem natam constat pestilentiam, unde consulta oracula dixerunt, placandos esse manes fratris extincti. Ob quam rem sella curulis cum sceptro et corona et ceteris regni insignibus semper juxta sancientem aliquid Romulum ponebatur, ut pariter imperare videretur: unde, *et Remo cum fratre Quirinus Jura dabunt.*

(2) *Niebuhr Römisch. Gesch.* str. 304.

do wyobrażeń astronomicznych, biorąc *Roma* czyli *Rema* za słońce zimowe zawarte w Romulusie, słońcu całego roku. Jednak nie należy w ten sposób tłumaczyć ów tron podwójnego królestwa. Wszelkie zatém domysły, podane przez autora dla utrzymania hypotezy (jeżeli się tak nazwać godzi) o oddzielném mieście *Quirium* ostać się w tym charakterze nie mogą; służą one raczéj do poparcia dawnéj opinii, i ta jest jedna, za którą idąc, można zrozumiéć i objaśnić zlanie się różnych pokoleń głównych w jeden naród rzymski.

Chociaż zaś przeciw *Quirium* Niebuhra wszystko mówi, nie idzie jednak za tém, żeby połączenie Sabinów z Rzymianami nie miało nastąpić; a jeźli historya tego połączenia więcéj podpada wątpliwości, niż inne podania owych czasów, to pochodzi ztąd, iż zapewne mniéj była połączona z podaniami religijnemi (1). Mówimy tu o zjednoczeniu, które nastąpiło za porwaniem Sabinek. Znaleźli się autorowie, którzy ten cały wypadek do wątpliwości policzyć chcieli. Jest bowiem podanie, jakoby wojna ta była pośrednim skutkiem niedostatku kobiét. Nie można przecież sądzić, żeby familiom rzymskim patrycyuszów odmówioną była wolność zawiérania związków małżeńskich z podobnymi sobie w Lacyum, Albie i między Sabinami. Dowodem jest mowa Fuffecyusza, dyktatora albańskiego, który u Dyonizyusza z Halikarnassu tak mówi (2): „Ród Albańczyków, jaki był pod zało-

(1) Histoire Romaine par A. E. de Zinserling. pag. 113.

(2) Dionys. Halicarnas. III. pag. m. 146 sq. Albanorum genus quale olim sub Urbis conditoribus fuit, tale usque ad nostra tempora permansit, nec ulla ostendi hominum natio potest, praeter Graecos et Latinos, quae jus civitatis apud nos adepta sit. At vos exquisitum reipub. genus apud vos corrupistis, Etruscis et Sabinis in eam receptis, aliisque multis barbaris sine lare vagantibus:

życielami miasta, takim do naszych czasów pozostał, i niemasz żadnego pokolenia, prócz greckiego i Latynów, którebyśmy prawem obywatelstwa nadali. Wy zaś najprzedniejszy rodzaj obywateli skaziliście przyjęciem do siebie Etrusków i Sabinów i bardzo wielu innych wygnańców i tułaczów obcych, tak dalece, iż mało jest u was rodowitych Alban, którzy od nas wyszli; liczba zaś cudzoziemców i przychodniów jest nierównie większa. Jeżeli więc ustąpimy wam pierwszeństwa, podejrzanego urodzenia nad szlachetnymi, cudzoziemcy nad greckiém pokoleniem, przybysze nad krajowcami panować będą. Nie możecie albowiem powiedzieć, żeście usunęli przychodniów od urzędów publicznych, i że sami tylko rodacy władacie rzecząpospolitą: owszem wy nawet królów obiéracie zpomiędzy cudzoziemców i większa część senatu waszego z przychodniów jest złożona. Ale rzeczecie zapewne, iż to wszystko dzieje się mimo woli waszéj; któryż bowiem dobry pozwala chętnie przewodzić nad sobą gorszemu? Wielkiém zaiste byłoby szaleństwem i niegodziwością, gdybyśmy sami dobrowolnie przyjęli to co wy, jak powiadacie, jesteście przymuszeni znosić.

ita ut germani generis nostri exiguus apud vos sit numerus, multipliciter superantibus exteris et adscititiis. Itaque si vobis principatum cesserimus, germanis praecerunt supposititii, Graecanicis barbari, indigenis adscititii. Non enim potestis dicere, quod advenarum turba exclusa ab administratione reipub., ipsi indigenae retinueritis civitatis gubernacula: imo etiam reges creatis peregrinos, et senatus major pars constat ex advenis: quorum nullum dicatis contigisse vobis volentibus. Quis enim potior sponte ferat deterioris imperium? Magnae igitur insaniae et improbitatis fuerit, quae non potestis negare vos pati coactos, ea nos sponte admittere. Postrema ratio est, quod in Albana civitate, nulla civium pars in reipub. forma quidquam mutat; sed jam per octodecim aetates, ex quo condita est urbs, patrias consuetudines omnes decenter observat.

Ostatnia nareszcie przyczyna jest ta, iż w rzeczypospolitéj albańskiéj żadna część obywateli bynajmniéj się nie kusi o zmianę w formie rządu; ale przez ośmnaście już wieków, jak miasto założone stoi, wszystkie zwyczaje ojczyste należycie zachowuje." Mowa ta jakkolwiek ma charakter krasomowski, wykrywa jednak dowodnie jakimi byli Albańczykowie w udzielaniu obcym praw obywatelstwa, i że nie wolno im było zawiérać ślubów małżeńskich ze zbiegami i tym podobnym rodzajem ludzi. Ten zwyczaj i to prawo wspólne im było z innemi narodami, a tém samém i z Sabinami. Sami nawet rodowici Rzymianie nie spokrewniali się z temi, którzy im pochodzeniem a przynajmniéj prawami obywatelstwa nie byli równi. Mając na uwadze te okoliczności, łatwo jest pojąć, dlaczego naród, który, oprócz Alban pochodzących z krwi trojańskiéj, był wreszcie mieszaniną ludzi różnego gatunku, których do niego zwabiło utworzone *asylum*, w zawiéraniu związków małżeńskich doznawał trudności a nawet i zupełnego odmówienia. Nic przeto dziwnego, iż Rzymianie udali się w téj mierze do gwałtu, i czego prośbami nie mogli, tego przemocą dokazali. Nastąpiło porwanie kobiét; i zdaje się być rzeczą niezawodną, że porwane były właśnie z owych narodów, które Liwiusz wymienia. Wypadek ten potwierdza szczególniéj owa różność pokoleń składających ludność Rzymu. Upada tu wszelki zarzut, jakiby mogli uczynić ci, którzy w Rzymie nie chcą widziéć, tylko jaskinię łotrów. Powyższe rzeczy wystawienie dostatecznie, jak nam się zdaje, wykazało, komu właściwie Rzym winien swój początek i od kogo istotnie zależał jego kierunek. Wszakże, gdyby ich zdanie było prawdziwe, Rzymianie nie mieliby

uroczystości religijnych; nie obchodziliby Konsualiów, a przeto nie byłaby nastąpiła i owa pielgrzymka ludów. W starodawnych wiekach podobne uroczystości były wspólne wielu narodom. Że sąsiedzkie ludy mimo gniéw Rzymian przeciw sobie, nie obawiały się jednak udać na ogłoszone igrzyska, to pochodziło ztąd, iż pod tarczą opiekuńczego bóstwa na którego uroczystość przybyły, sądziły się bezpieczne od wszelkiéj krzywdy. Atoli potrzeba zgwałciła prawa narodów i świętéj gościnności. Ztémwszystkiém zemsta i zadosyć uczynienie, jakich za ten postępek na Rzymianach poszukiwano, zdają się usprawiedliwiać owo zdanie, że wojna ztąd wynikła nie była wojną całych narodów przeciw narodowi, ale iż raczéj obrażone tylko familie, uniesione piérwszém wrażeniem niesprawiedliwości, porwały się do oręża. Dlatego téż niéma jedności w ich planie i działaniu. Wysuwają się naprzód Ceninowie, potém Antemnaci, następnie Krustuminowie a nakoniec Sabinowie. Ztąd owe łatwe nad nimi zwycięztwa Romulusa. Z ostatnimi tylko trudną była rozprawa, zkąd wnosić wypada, że i uraza była większa i liczba porwanych Sabinek znaczniejsza. Być nadto może, iż i ci Sabinowie, którzy już przed tém zdarzeniem połączeni byli z Rzymianami, nie mając jeszcze zadowalającego uczestnictwa w sprawowaniu rzeczypospolitéj, podżegali w tém przedsięwzięciu obrażonych ziomków, aby potém, gdy nadejdzie czas pojednania i połączenia się dwóch ludów w jeden naród, mogli uzyskać dla siebie pomnożenie przywilejów i większe znaczenie w senacie. Zdaje się albowiem, iż niektórzy patrycyuszowie sabińscy należeli już przed rozpoczęciem téj wojny do senatu, i że nawet jak z jednéj strony przypisać należy téj okoliczności bój zacięty

i niepewny, tak z drugiéj ściślejsze związki między temi dwiema pierwiastkami. Jakoż po obustronném wysileniu, po wielkich niebezpieczeństwach dla Rzymu, stanął nareszcie pokój pod warunkami wyżéj z Liwiusza przytoczonemi, które potrzebują jeszcze objaśnienia.

Że pierwiastek sabiński nabrał odtąd wiele znaczenia, wątpliwości nie podpada. Dowodem tego pomnożenie jego członkami senatu rzymskiego (1), przypuszczenie T. Tacyusza, ich wodza, do uczestnictwa rządów i ofiar; dowodem cześć bogów sabińskich, która teraz publicznie do Rzymu zaprowadzoną została (2).

Atoli jakkolwiek te dwa ludy więcéj się teraz do siebie zbliżyły i mocniejszym spoiły węzłem, nie można przecież rozumiéć, iżby Sabinowie mieli już odtąd zupełnie zrównoważyć pierwiastek albański. Są bowiem dowody, że jeszcze i po tym wypadku byli ludem podrzędnym. Bezkrólewie po Romulusie i panowanie Numy

(1) Dionys. Halicarn. II. pag. m. III. Jamque ordinatis rebus visum est regibus, quando turbae multitudine magnopere crevisset civitas, duplicare patriciorum numerum, aequali numero e novis incolis ad priores familias illustres adlecto, quos patricios vocarunt. Atque ita ex his centum viros curiarum suffragiis electos ad veterem senatorum numerum adscripserunt.

(2) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 114. Exstructis quoque templis aras consecraverunt diis quibus in pugna voverant; Romulus, Jovi Statori, apud portam Mugoniam, quae in Palatium e via sacra ducit, quod Deus exauditis ipsius precibus, exercitum fugientem stare fecisset, et uti viribus: Tatius vero, Soli et Lunae, Saturno et Rheae, praeterea Vestae et Vulcano, Dianae et Quirino, aliisque diis quos nominare Graecis non est facile. In omnibus etiam curiis mensas Junoni Quiritiae posuit, quae ibi sitae sunt nostro quoque tempore. Ofr. et S. Augustinus *de Civitate Dei*, IV. 23. Ut quid ergo Romulus constituit Romanis deos, Janum, Jovem, Martem, Picum, Faunum, Tiberinum, Herculem et si quos alios? Ud quid T. Tatius addidit Saturnum, Opem, Solem, Lunam, Vulcanum, Lucem, et quoscunque alios addidit. etc.

zdają się potwierdzać tę podrzędność, a Serwiusz niewątpliwie zachował nam o niéj podanie w przypisie do Eneidy Wirgiliusza, księgi VII w. 709: „Po porwaniu Sabinek (1), mówi on, i zawarciu przymierza między Romulusem i T. Tacyuszem, Sabinowie przyjęci zostali do miasta, pod tym jednak warunkiem, aby używali wszelkich praw obywatelstwa rzymskiego, oprócz głosowania: albowiem nie należeli do wyboru urzędników wyższych."

Podanie to jest nader ważne: rzuca ono wielkie światło na ówczesne stosunki między temi dwiema pierwiastkami, wykrywa w jakim stopniu nadane było Sabinom prawo obywatelstwa rzymskiego. Taka zaś podrzędność nie sprzeciwia się bynajmniéj, aby zpomiędzy Sabinów nie mieli być wybiérani członkowie senatu, jeźli tylko zechcemy dostatecznie zrozumiéć attrybucye i władzę tego zgromadzenia. Z podaniem Serwiusza połączyć należy i drugie, które nam przekazał Plutarch w życiu Romulusa: „Królowie, mówi on, nie zaraz wspólnie się z sobą naradzali, ale w początkach każdy z swoimi stoma osobne miewał narady, potém dopiéro wszyscy razem się zgromadzali (2)." W żaden zaś sposób z wyrazów tych nie można tworzyć domysłu o oddzielném mieście *Quirium*, jak to zrobił Niebuhr, ani téż, „że każde miasto miało swojego króla i swój senat ze stu mę-

(1) *Postquam in partem data Roma Sabinis.* Hoc de alia traxit historia. Nam post Sabinarum raptum et factum inter Romulum et T. Tatium foedus recepti in urbem Sabini sunt, sed hac lege, ut in omnibus essent cives Romani, excepta suffragii latione, nam magistratus non creabant. Servius.

(2) Plutarch in Vita Romuli Ἐβουλεύοντο δὲ οἱ βασιλεῖς οὐκ ἐθὺς ἐν κοινῷ μετ ἀλλήλων, ἀλλ ἑκάτερος πρότερον ἰδίᾳ μετά τῶν ἑκατόν, εἶτα οὕτως εἰς ταυτὸν ἅπαντας συνῆγον.

żów (1)." Chociaż bowiem Plutarch czyni wzmiankę niby o radzie stu, to wiadomo już, jak ją rozumieć trzeba; ale nigdzie nie znajdujemy skinienia, aby obok Rzymu drugie miasto exystowało, o co właściwie idzie. Że stosunki Sabińczyków względem Rzymian nie były jeszcze dostatecznie rozwinięte, i polityczne ich znaczenie jeszcze niezupełnie umocowane, dowodem owo długie bezkrólewie po zejściu Romulusa, spory i utarczki dwóch pierwiastków względem wyboru nowego króla (2), które wreszcie na tém się skończyły, iż oba ludy wezwały do tronu tego, który był więcéj, aniżeli tém, czego strony życzyć sobie mogły, bo był zwolennikiem nauki Pytagoresa i za ucznia jego uchodził. Numa przez bezinteresowne swoje pośrednictwo, i jako mniemany uczeń Pytagoresa, zjednoczył wyraźnie te dwa pierwiastki, jak świadczy Festus. *Vernae*, są słowa jego, *qui in villis vere nati, quod tempus, duce natura, faeture est: et hunc rem divinam instituerit Marti Numa Pompilius, pacis concordiaeve obtinendae gratia inter Sabinos Romanosque, ut vernae vincerent. Romanos enim vernas appella-*

(1) Niebuhr. Römis. Gesch. pag. 301.

(2) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 123. Post Romuli obitum cum per integrum annum penes senatum esset potestas publica, ipsi inter se patres dissidere coeperunt ac de praerogativis et aequalitate contendere: dum Albani generis patres, ex iis qui cum Romulo coloniam deduxerant electi, tam in sententiis dicendis, quam in capiendis honoribus praerogativam sibi usurpant, et obsequium a noviciis postulant: nihil concedentibus iis qui posterius in patrum ordinem e novis colonis adscripti erant, et par honorum ac ceterorum commodorum jus sibi vindicantibus, praecipue vero Sabinis, qui ex foedere inter Romulum et Tatium inito, civitatem sibi ex aequo cum antiquis urbis habitatoribus communicatam esse dictitabant... *Numa* patricium ordinem pacavit, dum prioribus nihil ademit eorum quae a condita urbe fuerant adepti, et novellis colonis alios honores attribuit ἑτέρας τινάς ἀποδοὺς τιμάς.

bant, id est, ibidem natos, quos vincere perniciosum arbitrium Sabinis, qui conjuncti erant cum populo Romano. To tak ważne miejsce stanie się zagadką niepodobną do rozwiązania, jeżeli przypuścimy, że Sabinowie już pod panowaniem Romulusa zrównali się zupełnie w znaczeniu z Rzymianami. Widać usiłowania czcicieli Wulkana, widać dążność i zwolenników Marsa: i lubo równość praw dwóch pierwiastków już od Numy datowaćby można, supremacya przecież Albańczyków i tu się jeszcze postrzegać daje. Sam Numa przez ofiarę (o której prostą tylko mamy wzmiankę) sprawioną dla Marsa, przyznał pierwszeństwo temu pokoleniu, któremu jedynie Rzym winien był swoje powstanie.

Jeden nam jeszcze punkt pozostaje do objaśnienia: tym jest, iż Rzymianie, po złączeniu się z nimi Sabinów, nazwani zostali *Kwirytami*, od *Kures*, miasta sabińskiego.

Gdyby w rzeczy samej tak było, niepospolity zaszczyt spłynąłby na rzymskich Sabinów, zaszczyt, który musiałby był od razu pociągnąć za sobą i przewagę ich w Rzymie, której przecież, że nie mieli, wątpić nie można. Taka powolność w przyjęciu obcego nazwiska jeżeli we wszystkich, tedy szczególnie w starożytnych czasach byłaby nader uderzającą i podobno bezprzykładną. Dalekimi więc jesteśmy od tego rozumienia, iż nazwisko Kwirytów przez Sabińczyków narzucone było Rzymianom. Urosło już w nas to przekonanie, iż Rzymianie jeszcze przed porwaniem Sabinek nosili imię Kwirytów, ale nie Rzymianie pospolici, nie plebejuszowie, tylko ci, których patrycyuszami zwano, którzy byli w posiadaniu świętości, którzy mieli prawo sprawiania ofiar i obrzędów religijnych. Twierdzenie to nie jest bez zasady, opiéra ono

się na dowodach, których dostarcza historya. I tak wiadomo dostatecznie, że Janus miał imię Kwiryna, że Romulus, jako słońce, był Kwirynem, Romulus jako król, był kapłanem Kwiryna, Mars czczony w obrębie miasta nazywał się Kwirynem, Salii byli kapłanami Kwiryna. Miejsca publicznych narad, ponieważ miały charakter religijny, nazywały się kuryami albo kwiryami. Nie sąże to dostateczne dowody, iż Rzymianie piérwéj niż Sabinów do miasta przyjęli, byli już Kwirytami? Próżną byłoby rzeczą okazywać mylność owego rozumienia, iż kurye od porwanych Sabinek otrzymały nazwiska: bo i pochodzenie mają świętsze i podanie niesie, iż kurye były i miały już swoje nazwiska przed zawarciem przymierza. Krótko mówiąc, Kwirytes sąto czciciele słońca; takimi mogli być i byli w rzeczy saméj Sabinowie. Wzmianka więc tego nazwiska nie co innego ma znaczyć tylko to, iż Sabinowie we względzie religijnym zostali takimi, jakimi byli przedtém, i że w téj mierze z Kwirytami rzymskimi równe im służyły prawa.

KRONIKA LITERACKA.

Moje wędrówki po obczyznie. Paryż, przez Kajetana Niepowie.

Jestto ostatnia praca Kajetana Niepowie, albo raczéj Karola Frankowskiego, bo już dziś pseudonim niepotrzebny, gdy mamy ocenić płody literackie zmarłego zawcześnie dla literatury pisarza. Ostatnia praca drukiem ogłoszona, ale najpiérwsza z porządku w czasie. Zanim wskażemy jakie miejsce zająć miał i był powinien Karol Frankowski w piśmiennictwie naszém, wspomnimy pokrótce i przebieżymy karyerę życia jego. Żadne dotąd pismo nie poczuło się do obowiązku ogłoszenia choć w kilku ustępach biografii Frankowskiego; a przecież to przedmiot nader obfity, a przecież zasługi, prace i zdolności zmarłego liczne są, dosyć znane i nie bez owoców dla kraju. Trzy ważne i odmienne epoki znamienują jego życie pełne trudu i ruchu. Od roku 1811 po koniec roku 1831, służył wojskowo, od 1842 do 1846 w wydziale naukowym, w służbie cywilnéj. W kilku wreszcie ostatnich latach życia, wolne chwile od obowiązków urzędu poświęcał literaturze. W zawodzie wojskowym, męztwem i odwagą zdobył stopień pułkownika, szybko przebiegając stopnie niższe aż do sztabs-oficerskiego. W zawodzie cywilnym przyjmując kierunek nowo rodzącéj się szkoły Realnéj, umiejętnie, gorliwie i z zamiłowaniem spełniał i roz-

wijał plany władzy edukacyjnéj, która w utworzeniu téj instytucyi, najzupełniéj odpowiadającéj potrzebom kraju, probowała nadać nowy zwrot wychowaniu, albo raczéj wykształceniu młodzieży, potrzebującéj natychmiast po odbyciu kursów, urzeczywistnić zdobyte w szkole usposobienia i zbiérać z niego owoce. Gimnazyum realne osięga prawdziwie cele, jakie mu władza naznaczyła: przygotowuje bowiem krajowi ludzi specyalnie wykształconych i co rok stom młodzieży podaje trwałe i obfite środki utrzymania i zapewnienia bytu. Frankowski zrozumiał dobrze cele i zasady realnych zakładów i z największém zamiłowaniem i znajomością rzeczy, pomagał szybkiemu wzrostowi szkoły. Publiczne sprawozdanie jego z 1845 roku w Bibliotece Warszawskiéj ogłoszone, najlepiéj dowodzi jak pojął znaczenie specyalnych zakładów w Europie i zastosowanie ich w naszym kraju. Nie miejsce tu dziękować władzy za jéj opiekę i inicyatywę. Władza ma nagrodę i dziękczynienie w owocach swoich starań, my nadmienić tylko mamy mówiąc o Karolu Frankowskim, ile gorliwość jego i światło przyłożyły się do podniesienia i szybkiego rozwinięcia realnego gimnazyum. Wysłany kosztem rządu za granicę wspólnie z professorem chemii Zdzitowieckim, tak chlubnie znanym naukowemu światu, starał się poznać gruntownie organizacyą gabinetów w zakładach specyalnych, i zaszczepić ją u nas. Stanowcze środki i hojne pomoce postawiły zakład na tym stopniu, że po kilku latach istnienia, kraj zbogacony został instytutem jednym z najlepiéj urządzonych i najbogatszych przy doborowym składzie nauczycieli, których imiona albo już znane były na polu naukowém, albo dopiéro poznane być mogą, wnosząc z usposobień i zdolności rozwiniętych gruntownie na uniwersytetach. Kierunek takiéj szkoły, potrzebował praktycznego i wielostronnie ukształconego przewodnika.

Przy zakładzie realnym, techników po większéj części usposabiającym, szkoła sztuk pięknych była konieczną do uzupełnienia instytucyi, i tę poruczono Frankowskiemu. Wszy-

stko co kraj znakomitszego i w talent wzbogaconego posiadał, weszło w skład nauczycieli, i dziś wydziały malarstwa szczególnie i rzeźbiarstwa, należą do najcelniejszych, jakie kiedykolwiek w kraju naszym istniały. Dosyć wspomnieć imiona Kaniowskiego, Piwarskiego, Hadziewicza i innych, aby nie wątpić o téj prawdzie, która wkrótce w owocach zapewne najświetniéj się objawi.

Zaszczytne było położenie Frankowskiego. Uwaga rządu i ważność instytucyi, upomniały go jakby nieustannie do czuwania i ruchu. Umysł jego był rzeczywiście pełen ruchu; znajomość skarbów naukowości i stopnia oświaty, do jakiego cudzoziemcy przyszli już na téj drodze, wspomagały go i podnosiły wzmagając energią i zamiłowanie. Światła zaś instrukcya przy troskliwéj opiece kuratora okręgu JW. generała-lejtnanta Okunewa, ta główna i silna podstawa wzrostu i pomyślności zakładu, znajdując w Frankowskim gorliwego i umiejętnego tłumacza i wykonawcę zasad i planów do specyalnych instytucyj, musiała wydać owoce pożądane i spodziewane.

Potrzebowaliśmy słów kilka powiedzieć o realnych zakładach w Królestwie, już dlatego, że one dziś coraz niezbędniejszemi i użyteczniejszemi się stają, już wreszcie dlatego, że piérwszego i najcelniejszego w tym rodzaju zakładu przewodnikiem bezpośrednim i zręcznym był autor Wędrówek, którego prace literackie oceniając, nie mogliśmy pominąć naprzód zasług jego na drodze prawdziwéj użyteczności bezpośrednio korzyść krajowi przynoszącéj.

Najpiérwsza praca w zawodzie literackim Frankowskiego ukazała się we francuzkim języku. Mała broszurka pod tytułem: *Paris*, była próbą pod dwoma względami zajmującą: raz, jako dowód i przepowiednia żywéj zdolności, postrzegawczego umysłu i obfitéj imaginacyi, drugi raz, jako dowód wielkiéj łatwości tłumaczenia się w obcym języku. Wprawdzie język francuzki był prawie dla Frankowskiego jakby jego własnym językiem; w nim się wyrażał samodzielnie, swobodnie, i z całą pewnością, jaką grunt znajomości nadaje; przecież uczył go się, jak wszyscy prawie

uczymy się, dopiéro w młodzieńczym wieku i kształcił nie za granicą ale w liceum *Richelieu*, w Odesie. Odbywszy kampanie za granicą w 1811, 12, 13 i 1814 roku, które zatarły prawie zupełnie używalność własnego języka, Frankowski za powrotem do kraju, służąc w pułku gwardyi ułanów, na nowo po polsku uczyć się zaczynał. Dzienniki francuzkie o stylu Frankowskiego mówiły z największemi pochwałami. Nie zdradzał tam żaden frazes charakteru i ducha tego języka; był to styl francuzki, a jednak różny co do formy i zwrotów przy największéj swobodzie i wybitnéj oryginalności, od toku mowy Dumasów, Balzaków i t. d. Żywość umysłu i imaginacyi Frankowskiego i zawód wojskowy, w obozach i kampaniach rozwinięty, nadały ten charakter energii, i że tak powiémy, gwałtowności w wyrażeniu myśli.

Drugą pracą na polu literackiém, była jeszcze książka francuzka i jeszcze o tym Paryżu, pod tytułem: *Fizyonomia wielkich stolic Zachodu*, których szereg *Paryż* otwiérał. Tu widać talent na większą skalę rozwinięty, umysł badawczy, dostrzegający często bardzo szczęśliwie i trafnie, a zawsze z zupełną oryginalnością w wyrażeniu myśli. I o téj książce, duży *in octavo* tom składającéj, najzaszczytniéj wspominały dzienniki francuzkie, a między innemi *Journal des Débats*, poważny i najlepiéj redagowany. *Jules Janin*, jedyny feliotonowy krytyk energicznie wystąpił z pochwałą dla naszego ziomka, przyznając mu talent niezwykły i w rzędzie lepszych po francuzku piszących autorów zamieszczając. Tak tedy piérwsze wystąpienia Frankowskiego w literaturze, odbyły się na polu najobszerniejszém, gdzie tyle znamienitości pisarskich dobija się o sławę, i jeśli ją zyska, ta sława europejską się staje.

Już odtąd Frankowski wyrzekł się obczyzny, bo się usposobił tyle w języku ojczystym, że mu nie brakło odwagi wejść na pole obfitego dziś bardzo i najznamienitszemi talentami rozwiniętego piśmiennictwa. Piérwszy krok uczynił w dramacie pod tytułem: *Gra namiętności*, którego rozbiory podały ówczesne czasowe pisma: *Biblioteka Warszawo-*

ska, Przegląd Naukowy i Dziennik Krajowy. Jakiekolwiek były zdania krytyków, żaden przecież nie odmówił Frankowskiemu wyższych zdolności, które czas i dłuższe doświadczenie, byłyby bez wątpienia najkorzystniéj dla piśmiennictwa naszego rozwinęły. Myśl do dramatu wzięta z romansu francuzkiego słynnego naówczas p. t. *Matylda*, wdzięcznie przez panią Ludwikę Szymańską na język polski przełożonego. Myśl obca w charakterze, musiała i w rozwinięciu zachować wszystkie te cechy nieswojskości. Jeszcze znać było niewprawne pióro do obrotów w polskim języku, ale wprawną myśl w przebiegu i wyrazie namiętności, które główne miały stanowić zadanie dramatu. Rozległy rozmiar nie pozwalał przedstawić dramatu tego na scenie, który przecież w zastosowaniu większém do perspektywy teatralnéj, mógłby silne sprawić na słuchaczach wrażenie.

Po tém wystąpieniu, zachęcony przychylném przyjęciem, pisał Frankowski wiele artykułów do pism czasowych w różnych przedmiotach i językach. Zawsze treść tych artykułów była z użytecznym połączona celem, a obrobienie pełne życia i barwistości. Pole dramatyczne na tak obszerną skalę uprawiane we Francyi, najbardziéj drażniło i podniecało jego zdolności i dumę pisarską. Pojmujemy ten pociąg, bo kto rzeczywiście w dramatycznéj formie, zdolnie potrafi myśl swą rozwinąć, dla tego trudności wszystkie wszystkich form w poezyi już są przełamane i dostępne. *Upadek wielkiego domu w Polsce*, dramat w pięciu aktach w rękopiśmie dotąd zostający, miał przedstawić w zupełném rozwinięciu talent Frankowskiego i zadecydować o możności jego służenia scenie krajowéj. Przedmiot dramatu z żywiołów własnych, okazuje w autorze wyraźną dążność do uprawy ojczystéj tylko, umysłowéj niwy. Nie oceniamy tego utworu, bo sędzią opinii naszéj nie mogłaby być powszechność; wszakże na własną odpowiedzialność oświadczyć możemy, że język i użycie jego, dotąd najgłówniejszą zawadę stanowiące dla autora w rozwinięciu jego talentu, zyskały wiele bardzo na swobodzie i łatwości w obrotach, zyskały nawet na przyswojeniu niektórych form dotąd mu

obcych a jednak koniecznych, w miarę jak postępują wyobrażenia, kształcą się umysły i nauki.

Ostatnia praca w języku polskim na świat wydana, o któréj właśnie kilka słów powiedzieć mamy, nie jest zupełną nowością w literaturze, lubo po raz piérwszy ukazała się po polsku. *Wędrówki po obczyznie* są po większéj części z niektóremi zmianami, przekładem z francuzkiéj książki, o któréj na początku wspomnieliśmy, po francuzku wydanéj przez Frankowskiego. Zmieniony tytuł, zmieniony układ; lecz w wielu ustępach barwa i dążenie okazują zawsze tegoż samego *Kajetana Niepowie*, pseudonima pochlebnie przyjętego od żurnalistyki paryzkiéj. Przekładem i przerobieniem obyczajowo-filozoficznego zarysu o Paryżu, mógł się zająć tylko sam autor. Oryginalność i rzadka kwiecistość na śmiałych często przenośniach oparta, stanowi odrębny i Frankowskiemu tylko właściwy sposób pisania. Przekład czyjkolwiek bądź, choćby najdokładniejszy i najzręczniejszy, zatarłby niewątpliwie tę cechę stylu i wyrażenia, które główną prawie stanowią wartość książki obyczajowo-filozoficznéj, jakeśmy ją nazwali. *Moje wędrówki po obczyznie* dwie księgi zawiérają, czyli dwa główne poglądy na Paryż z różnych dwóch stanowisk do jednego zawsze prowadzących wypadku. Piérwsza księga nosi tytuł: *Paryż w grzechu*, druga: *Paryż w stanie łaski*. Oba tytuły malują jasno zapatrywanie się autora na tę stolicę najruchliwszą, i najczynniejszą w świecie. Paryż *w grzechu przedstawiony* odbija w sobie wszystko to, co główną stanowi ponętę dla podróżnika. Jestto Paryż w całéj swéj żywości i zmienności, szale, lekkości, rozrywkach i wreszcie egoizmie, wyrodzonym z przemysłu na niezmierną skalę rozwiniętego. W téj księdze autor najszczęśliwszym jest postrzegaczem obyczajów, znawcą ich głębokim i wielostronnym. Może nie zawsze zgodzilibyśmy się z jego opinią i widokami, może nie zawsze Frankowski sprawiedliwym jest sędzią błędów i grzechów Paryża; niezgodność ta spoczywa w różności usposobień autora i czytelników. To jednak co przedstawia, jest wierne, nadzwyczaj żywe i pełne trafności. Wnioski z obra-

zu tak wiernie przedstawionego, należą do czytelnika. Autor nie znieważa, nie narzuca swojéj opinii; w wyrażeniu jéj wszakże jest stanowczym i energicznym. Na opinie jego wpływały nadzwyczaj różnorodne okoliczności: to niepomiarkowane uwielbienie dla Francyi, to znowu zwrot i przychylność do domowych naszych zagród. Nigdy nie mógł się postawić w oderwaném, samoistném stanowisku, bo pamięć to sławy Francyi, to klęsk wielkich, to wpływu jéj cywilizacyi na ostatnich czasów cywilizacyą naszę, to nakoniec antagonizm jako żołnierza w przeciwnych szeregach walczącego, niszczyły wyraźną nieraz chęć wyzwolenia się z tych wpływów, aby uważać Paryż niezależnie od osobistych wrażeń i wypadków strategiki wojennéj. *Paryż w grzechu* z całą sympatyą i przejęciem się autor maluje; wyrażając jednak na każdéj niemal karcie wstręt i odrazę do téj rozhukanéj społeczności, która w samych błędach i rozwolnieniu obyczajów, objawia dziwne umysłu zdolności, niepojętą wytrwałość przy znamiennéj i nieodłącznéj od charakteru lekkości; głębokość i filantropią przy egoizmie i zobojętnieniu we wszelkich domowych i publicznych stosunkach. Pod względem téj rozmaitości, najwybitniéj malującéj Paryż i Francyą, Frankowski jest wybornym szkicownikiem, choć często nadto śmiało, ufny w moc siły, wyrokuje o dziś i o jutrze, które jakkolwiek dostępne w badaniu dla każdego, wyrokom stanowczym i śmiałym podlegać nie mogą. *Paryż w stanie łaski* ma przedstawiać dobrą, moralną stronę téj stolicy. Przecież jak w złém umysł badawczy potrafi i dobre dojrzéć, tak w dobrém i złego nie pominie. W księdze moralną stronę Paryża przedstawiającéj, maluje autor z największym zapałem siłę intelligencyi umysłowéj Francyi, maluje w uniesieniu, które nie zwyczajne wyrazy i wytarte zwroty pochwalne objawiają, ale język pełen świeżości, barwy, ognia i gwałtowności. Gwałtowność huraganiczna, to cecha jedyna stylu autora i najwyższa zaleta książki. Cenimy tu formę wyrażenia, oddzielając od myśli, często spaczonéj, i oryginalnością tylko zalecającéj się. Uważny czytelnik, potrafi w chemiczno-kry-

tycznym, że tak powiémy, rozbiorze, odosobnić myśl od jéj szaty. Myśl czasem trafna, śmiała, świeża, czasem jednostronna i powierzchowna: szata jednak zawsze świetna, zawsze barwista, śklniąca, a słowo gorące, palące. Karabinowy, ciągły ogień, zdajemy się słyszéć, czytając głośno *Wędrówki Frankowskiego.* Ta oryginalność i żywość, zwrotność i śmiałość, wyradzają się nieraz w przesadę, rzadko jednak niesmaczną i odrażającą. Brak ostatecznego wyrobienia i swobody języka, psuje często harmonią stylu i zaciemnia obrazy. Jestto błąd nie myśli, ale braku używalności mowy z natury swéj najzdolniejszéj do jasnego i energicznego zarazem tłumaczenia myśli i kréślenia obrazów. *Wędrówki po obczyznie* tę główną noszą cechę, że jeszcze w nich nie widzimy ostatecznie zdecydowanéj sympatyi lub antypatyi, czy do obczyzny czy do swojszczyzny; opinia tam nie zawsze jedna i nie zawsze na jednych oparta zasadach. Pochodzi to z późnego wzięcia się do pracy czysto umysłowéj, która wymaga przedewszystkiém wyrobionego, krytycznego sądu o zasadach, których naturę i fizyonomią autor chce malować. Niedostateczności te nie niszczą wcale zajmującéj, pełnéj rozmaitości, prawdy i żywości w opisach książki, owszem czytamy ją z prawdziwą przyjemnością, do któréj często i korzyść łączyć się może. Zawsze umysł czytelnika doznaje roztargnienia i wzruszenia. Zawczesna śmierć pozbawiła nas dobrego, oryginalnego w przyszłości pisarza, którego głównéj zasługi jako piérwszego szkoły realnéj przewodnika, niepamięć nasza ogarnąćby nie powinna.

K. W.

Odpowiedź autora na artykuł umieszczony w Przeglądzie Naukowym pod napisem: Pedagogika, czyli Nauka Wychowania, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego.

W nrze 2gim tegorocznego *Przeglądu Naukowego* (str. 56—60), wydawca i redaktor H. Skimborowicz umieścił

ze swoim podpisem *recenzyjkę* wydanéj przezemnie w roku zeszłym *Pedagogiki* czyli *Nauki Wychowania.* Na taką recenzyą nie miałem odpowiadać, ale miłość prawdy i słuszności, przeważyła wszystkie inne względy i zniewoliła mię do oczyszczenia mojego dzieła z narzutów przeglądacza. Czuję, jak we mnie, zabiérającym się do odpowiedzi, sprawiedliwe oburzenie i ledwo nie boleść serca ustępują zwolna spokojnéj i zimnéj rozwadze.

A naprzód wiernie przywiodę częściami (nie fałszując przywodzeń, jak to uczynił recenzent), cały wstęp do recenzyjki, zajmujący stronnicę 56, i załączę nad tym wstępem moje uwagi.

„W wieku naszym, gdzie się tak szybko tworzą i przesilają wyobrażenia, niéma zapewne żywotniejszego i bliżéj społeczność dotykającego przedmiotu, jak nauka wychowania."

Prawda, że wyobrażenia szybko się tworzą, albo raczéj roją się szybko i przesilają w słabych głowach, ale w możnych zwolna się tworzą i wzmacniają i krzewią, nie podlegając zgubnemu przesileniu: tu recenzent miał na myśli, aby wiek nasz pochwalić, a zganił go, sam o tém nie wiedząc, wrzuconém na los szczęścia wyrażeniem: *szybko się przesilają.* Nie mogę także pominąć błędu językowego w tym piérwszym peryodzie: wyraz *gdzie* niewłaściwie użyty, jest zfrancuzka zamiast *gdy* albo *kiedy*, jako wyraźnie ściągający się nie do miejsca ale do czasu.

„Pojęcia pedagogiczne, będąc wynikłością ogólnego postępu społeczności dzisiejszéj, muszą iść społem i w równi ze wszystkiemi teoryami; inaczéj zostaną po za wiekiem."

A jeżeli nie *wszystkie* teorye w dziełach pedagogicznych podane zgadzają się z sobą, jakże w takim razie nasze pojęcia pedagogiczne mogą *iść społem i w równi ze wszystkiemi teoryami*? tu recenzent wymaga rzeczy niepodobnéj, albo raczéj sam nie wié, czego chce, aby nie zostać *poza wiekiem.* Nie mogę téż pominąć podwójnego błędu pisarskiego w wyrazie *teorijami*: po *r* nigdy się u nas nie pisze *i*, nawet w wyrazach z cudzoziemskiego języka przy-

branych bez żadnéj zmiany zakończenia, a wyrazy *Julia, historya, teorya* i t. p. najpewniéj z łacińskiego nie z rossyjskiego wzięte, nie mogą się kończyć na *ja*. Czemuż mamy wprowadzać w naszę polską pisownią nowe cudzoziemczyzny, albo raczéj błędy zasadzone na zwyczaju przyjętym u postronnych?

„Pojmuje dziś każdy, że po człowieku wymaga się wyższéj wiekowi odpowiedniéj doskonałości, zamiłowania szczęścia bliźnich."

Tu podług wyrażenia recenzenta, mowa jest nie o autorze dzieła pedagogicznego, ani o *przewodniku dzieci*, ale ogólnie o człowieku i o jego *doskonałości* moralnéj, jaką jest chrześciańska miłość bliźniego wyrażona dziwacznie przez *zamiłowanie szczęścia bliźnich*; ten więc środkowy peryod ani z poprzedzającym ani z następującym żadnego nie ma związku. Owoż gruby błąd przeciwko logice. Nie mogę téż pominąć błędu w wyrazie nieokréślonym *każdy*, bo tylko każdy zdrowo myślący to pojmuje, żeśmy powinni miłować się i wspiérać nawzajem: owoż drugi błąd przeciwko logice w jednymże peryodzie.

„Tłumaczem wymagań społeczeństwa jest przewodnik dzieci. Z ciekawością więc i upragnieniem oczekujemy wszelkiego zjawiska piśmienności pedagogicznéj, tém bardziéj zjawiska ogarniającego całą sferę téj nauki, która obecnie stała się tak żywym przedmiotem powszechności myślącéj."

Między temi dwoma peryodami, chociaż połączonemi przymuszonym spójnikiem *więc*, znowu niémasz żadnego związku logicznego; bo *przewodnik dzieci*, nie zawsze być może i jest autorem dzieła pedagogicznego: a recenzent te dwie często odrębne osoby za jednę tu bierze: jeszcze fałszywie powiada, że przewodnik dzieci jest tłumaczem *wszystkich wymagań społeczeństwa*. W drugim téż peryodzie źle są użyte wyrazy *z ciekawością i upragnieniem*, bo z recenzyjki widać, że *ciekawość* była może i wielką w przeglądaczu, ale *upragnienie* wcale nie wielkie. Toż w wyrażeniu: *z upragnieniem oczekujemy wszelkiego zjawiska pi-*

śmienności pedagogicznéj szumu wiele, a prawdy ani krty; bo wyraz *wszelkiego* zadaje fałsz temu oświadczeniu.

„Pedagogika p. Sierocińskiego, samą nazwą zapowiedziała nam rozwinięcie tak ważnego przedmiotu, w sposób odpowiedni jego naturze, zwłaszcza gdy wychodzi z pod pióra autora, który sam w myśl oświaty ogólnéj to wielkie uskutecznia dzieło."

Jaką *nazwą*? czyż ja dałem mojéj Pedagogice jakie nazwanie albo *epitet*? wszak w samym tytule czyli napisie dzieła jest po prostu wydrukowano: *Pedagogika* bez żadnego przydatku *nowa, oryginalna, dzisiejsza*. Czemuż utrzymuje recenzent, że samą nazwą swojéj Pedagogiki *zapowiedziałem rozwinięcie tak ważnego przedmiotu w sposób odpowiedni jego naturze*? A niedawno dał mi poznać myśl swoję bez żadnego zapewne przekonania, że wbrew naturze przedmiotu, najwięcéj się gruntującego na doświadczeniu zbyt okrzyczaném w naszych czasach pod wzgardliwém *empiryi* nazwaniem, powinienem był cudownie zgodzić moję Pedagogikę ze wszystkiemi *teoryami*. Niechże nam raczy objawić pojmowaną przez siebie osobliwszą jakąś *naturę* pedagogiki i jéj przedmiotu. Nie pojmuję téż, co myślał recenzent o Pedagogice i o jéj autorze, pisząc: *zwłaszcza gdy wychodzi z pod pióra autora, który sam w myśl oświaty ogólnéj to wielkie uskutecznia dzieło*. Mnieżto chwali, przyznając *że w myśl oświaty ogólnéj to wielkie uskuteczniam dzieło*? powiedzmy raczéj, jak jest w istocie, że tu piszący co innego myślał, a co innego napisał; bo miał na myśli, że chciałem uskutecznić to wielkie dzieło, a nie potrafiłem tego zrobić. Unikając tedy grubiaństwa, napisał nieprawdę przeciwko własnemu nawet pomyśleniu. Tak zwykle bywa, kiedy kto naoślep sądzi i biedzi się sam z sobą i ze swojemi myślami bez żadnego przekonania: co się jaśniéj jeszcze pokaże w dalszym ciągu mojéj odpowiedzi, a nawet przy rozbiorze tuż zaraz następującego peryodu.

„Pomijając jego własne przyznanie się do eklektyzmu, który dziś *pod żadnym względem* w piśmiennictwie miejsca miećby nie powinien, pomijając, że autor szanowny cu-

dzą pracą (Bronisława Ferdynanda T.) większą część dzieła swego kompilacyjnego zapełnił i wiele ważnych poczynił opuszczeń, przystępujemy do króciutkiego poglądu na jego utwór, i mielibyśmy, zdaje się, prawo wymagać, aby sam korpus systematu (do str. 174) był jeżeli nie *samodzielnym*, to przynajmniéj w ostatnim razie składnie i harmonicznie ułożonym.”

Oświadczyłem się być eklektykiem otwarcie, głośno, publicznie, w przedmowie do mojéj Pedagogiki, bo uważałem eklektyzm w nauce najwięcéj na doświadczeniu zasadzonéj za rzecz najlepszą i najstosowniejszą, zwłaszcza gdy kto ma na głównym względzie cel powszechniejszego użytku; a recenzent moje oświadczenie publiczne, nazywa *przyznaniem się do eklektyzmu* niby do jakiéj winy skrycie popełnionéj, i powiada półdyktatorskim tonem, że dziś *pod żadnym względem* w piśmiennictwie eklektyzm miejsca *miéćby nie powinien*. Nie dość na tém, zarzuca mi przywłaszczenie cudzego dzieła, z którego obszerne wypisy załączyłem osobno i nawet odmiennym drukiem, na co czcigodny autor sprawiedliwie posiadający europejską sławę, dotychczasowém milczeniem swojém oczywiście przyzwolił. Nie dość jeszcze i na tém, recenzent w sprzeczności sam z sobą, tylko, co powiedziawszy, żem zapełnił cudzą pracą większą część mojego dzieła *kompilacyjnego*, poczytuje mi za złe, żo w wypisach *wiele ważnych poczyniłem opuszczeń*, jak gdybym mógł bez braku wypisywać i to, co nie wchodziło w plan dzieła. Zarzuca mi nareszcie brak systematyczności w układzie, z czego się pokazuje, iż nawet nie przeglądał spisu umieszczonego zaraz na początku dzieła. Abym się oczyścił z zarzutu o eklektyzm, dość mi przywieść słowa poważnego autora umieszczone w wypisach na stron. 170.

Pierwsza część dyktatyki trudniąca się zewnętrzną osobą nauczyciela czyli nauczycielem, tojest, stosunkiem jego do społecznego świata, obowiązkami jego powołania i t. p. jest od pedagogów niemieckich szczególniéj od Niemajera tak wyczerpana, że nam tu nic innego prawie nie pozostaje, prócz skrócenia rzeczy i lepszego uporządkowania przygoto-

wanych nam materyałów. Tu całą naszą zasługą będzie szczęśliwa kompilacya. Czynimy więc tę kompilacyą, a czytelnik niechaj nam tego za złe nie bierze, bo my tu mamy na celu jedynie jego pożytek. Pod tym względem mniejsza o to, kto piérwszy to lub owo uczynił spostrzeżenie, dość że je przytaczamy. Wszakże pod względem umiejętności i sztuki, wszystko za mało znaczące, lubo z innéj strony nader pożyteczne fraszki. W pedagogice nie zawsze można być oryginalnym, bo to umiejętność, którą wieki budują, nie rujnując dawniejszéj pracy ludzkiéj, ale ją pomnażając i coraz więcéj doskonaląc. Gdybyśmy tylko filozofowali nad pedagogiką, byłaby rzecz inna; lecz my wykładamy pedagogikę istną, a tém samém mnóstwo starych przestróg i spostrzeżeń. Wreszcie i tu nawinie się niejedna sposobność do oryginalnego wystąpienia.

„Autor rozkłada *swą myśl* na dwa główne działy, biorąc za zasadę dwie panujące strony doskonałości ludzkiéj, serce i rozum, czyli jak sam nazywa 2 cele, umoralnienie i uzdatnienie. Dział 1szy nazywa kształceniem się, dział 2gi nauką."

Uroił sobie chyba recenzent, że ja nie naukę wychowania, ale *myśl swoję* rozkładam na dwa działy, biorąc za zasadę podziału dwie strony doskonałości ludzkiéj: *serce i rozum*, czyli dwa cele, umoralnienie i uzdatnienie; że nareszcie nazywam dział 1szy *kształceniem się*, a drugi *nauką*. Na dowód nierzetelności recenzenta przywiodę tu dosłownie, com napisał o podziale Pedagogiki. „Gdy główny cel wychowania, jakim jest umoralnienie i uzdatnienie wychowańca osiągnąć się daje w zupełności przez kształcenie i naukę, ztąd wynikają dwa wielkie działy pedagogiki, z których piérwszy obejmuje kształcenie, a drugi naukę."

Czyliż podług słów dopiéro tu przywiedzionych biorę za zasadę podziału *serce i rozum*, albo *umoralnienie i uzdatnienie*? Albo, czy uważałem gdzie *za dwie strony doskonałości ludzkiéj serce i rozum*? Godziłoż się tak pofałszować przywodzenia, aby pokazać, że niémasz systematyczności w układzie wydanego dzieła?

Pomijam pofałszowane na str. 57 oznaczenie *kształcenia i nauki*, lubo recenzent, udając ścisłość w przeglądaniu, umieścił między nawiasami liczbę stronnic obejmujących dział 1szy i 2gi, w czém jednak pomylił się o dwie stronnice. Nie mogę zaś pominąć podjazdowych uwag przeglądacza o *ukształceniu* zamiast o *kształceniu*, gdzie znowu fałszywie bez ładu i składu wspomniawszy o *dziwacznych* podług niego nazwach *dorostek* zamiast *podrostek* i *wyrostek*, tudzież o łączeniu wychowania umysłowego z fizycznem, i o tak zwanéj przez siebie *teoryi zmysłów*, wnosi z tych pofałszowanych przywodzeń, że to są *najempiryczniejsze przestrogi, nie dla nauczycieli, ale dla piastunek*, i że dział 1szy *właściwiéj nazwaćby można teoryą niańczenia*; lubo dział ten rzeczywiście obejmuje cały system nauki o wychowaniu fizycznem i umysłowém, z któréj piastunki nasze ledwie tysiączną część mogłyby pojąć i zrozumieć, gdy zachodzi mowa o pokarmach, odzieży, pomieszkaniu, śnie i ruchu. Fałszywie też powiada autor, że ja *podaję za nowość przepisy oddawna znane i dowiedzione*; jednakże ich opuścić nie mogłem bez nadwerężenia całości organicznéj dzieła, obejmującego nie samo tylko wychowanie umysłowe, ale i fizyczne.

Pomijam znowu na téjże stronnicy umieszczone płaskie koncepta i drwinkowania, podające w pośmiewisko ważne przestrogi o kształceniu zmysłów wzięte z dzieł najsławniejszych pedagogów niemieckich. Pomijam podjazdowe wspomnienia na str. 58méj o kształceniu władzy poznawania; lecz nie mogę pominąć, jak przeglądacz zarzuca mi, *że wyjąłem żywcem wiele myśli* z dzieła Bronisława Ferdynanda T. i z innych pisarzy, *których nazwiska przepomniałem wymienić*, co wszakże wyraźnie i otwarcie ogłosiłem w przedmowie. Na domiar wszystkiego powiada przeglądacz, *iż w rozbiorze władz umysłowych, jestem bezwzględnym Kizewettera naśladowcą, od niepamiętnych czasów w pedagogice już zapomnianego*, a Kizewetter, o ile mi wiadomo, żadnego dzieła pedagogicznego nie wydał. Następnie wykrzykuje: „I godziż się przywłaszczać miano eklektyka temu, co za-

dnéj nowéj teoryi, ani psychologii, ani logiki nie zbadał? co żadnego z dzieł od lat kilku w wychowaniu przyjętych nie zbadał? Najlepszym tego dowodem są grube błędy i niewiadomość w rzeczach dotyczących organizacyi pojęć. Gdzież szanowny nasz autor wyczytał, że w dzieciach tworzą się najprzód pojęcia, potém sądy, a nakoniec wnioski? Czyż można mniemać, że umysł dziecka jest to logika Kizewettera?"

Mamże odpowiadać na te prawdziwie dziecinne i napastliwe wykrzykiwania? uczynię to chyba dla nauki i przestrogi, jakiéj potrzebują u nas pisarze i autorzy dzieł osobno wydrukowanych, u których *postęp*, *wyższe pojęcie rzeczy*, *samodzielność*, a nawet *bezstronność*, *bezinteresowność*, *zamiłowanie szczęścia bliźnich*, są tylko w ustach albo na końcu pióra. Zkądże mój recenzent mógł wiedzieć, *żem żadnego z dzieła od lat kilku przyjętych w wychowaniu nie zbadał*, a których nawet nie wymienia, bo sam ich najpewniéj nie czytał. Prawda, że wszystkich dzieł nowych nie miałem i nie mogłem miéć pod ręką przy najszczerszéj chęci czytania. A jeżelim nie głosił w przedmowie o czytanych przez siebie dziełach i nie podał żadnych przywodzeń w przypiskach do mojéj książki, nie jest to żadną winą, owszem zasługą: bo uniknąłem samochwalstwa, i oszczędziłem drogiego czasu swoim czytelnikom. Po tém szczerém i sumiennem wyznaniu, z którém nie widziałem potrzeby występować w przedmowie ani w przypiskach, niechaj czytelnicy sami osądzą, czy mógł autor umieścić na str. 59 fałszywe twierdzenie jak następuje: „Dział 2gi o *naukach* jest częścią przepisany z Kizewettera (jak dział 1szy z Br. Ferd. Tr.), częścią zawiéra dość mierne, a wszędzie empiryczne uwagi o naukach czyli uczeniu."

Co do wytkniętéj przez Kizewettera drogi albo raczéj wskazanego porządku, jakim idą po sobie działania rozumu, że nietylko *w dzieciach* ale i w ludziach dojrzałych i zdrowych na umyśle tworzą się najprzód pojęcia, z pojęć zaś powstają sądy, a z sądów dopiéro wyprowadzają się wnioski: tego recenzent nieszczęśliwie sam na sobie do-

świadczył, gdy nie pojąwszy należycie tego o czém chciał wyrokować, fałszywie osądził i z mylnych sądów błędne wyprowadził wnioski: nie wiém także, czy można policzyć pomiędzy *wady przeciw polszczyznie* użyty przezemnie wyraz *rozumkowanie*? A co do przyrównania umysłu dziecinnego do logiki Kizewettera, to koncept jałowy, o którym pewnie i wspomnieć nie warto.

Daléj znowu na str. 58 tak pisze recenzent: „Któż zapewni pisarzowi zyskanie sobie zwolenników do takiéj estetyki, gdzie (§ 49) zamiłowanie porządku, ochędóstwa, należy do uczucia estetycznego? I ową *wzniosłą* człowieka *cząstkę*, co go porywa w *górne nadzmysłowe sfery*, Szan. Autor zowie *uczuciem przyjemności*, albo *obiecującém przyjemność*. Więc chwila zamknięcia *bramy szkolnéj* jest estetyczną, bo dzieciom *obiecuje przyjemność*." (Jak gdyby dzieci dziećmi wychodzili ze szkół)!

Tu zamiast odpowiedzi na zarzut, tak szumnie wydany, przywiodę z mojéj książki dwa oddzielne peryody, które pofałszował recenzent i konceptem jałowym znowu zakończył. Tak napisałem na str. 81: „Trzeba też jak najwcześniéj przyzwyczajać dzieci do zamiłowania ochędóstwa i porządku, a przytém chronić je od wykwintności i przysady, które są przeciwne naturalności wykształconéj." A na str. 83: „Pod uczucie estetyczne podciągnąć się dają wszelkie uczucia, sprawujące nam lub tylko obiecujące jaką przyjemność, które po większéj części należą do uczuć zmysłowych: trzeba je wszystkie trzymać na wodzy, a pozwalając sobie niewinnych na wolną chwilę uciech, chronić się najmniejszego w nich nadużycia."

Pomijam też umieszczone na całéj prawie stronnicy 59téj przy urywkowych przywodzeniach drwinkowania, któremi recenzent, nie wiedząc o tém, wyszydza najzawołańszych pedagogistów niemieckich: bo z nich właśnie wyjąłem żywcem postrzeżenia i uwagi chociaż dość powszechnie znane, ale należące do całości ograniczonéj dzieła. Przywiodę tu jedynie wstęp do owych we środku i na końcu pofałszo-

wanych przytoczeń. Oto są właśnie słowa mojego recenzenta: „Następnie rozwija pan T. S. myśli swoje o *ukształceniu woli*, ale nie wiémy czyli *swoje myśli*, bo to wszystko znane, jak mówi stary Horacy, *lippis et tonsoribus*."

Wreszcie zarzuca mi recenzent *styl przeciągły i bez najmniejszego smaku*, powiedziawszy piérwéj jakby na śmiéch, że *mój styl w miejscach zkądinąd przepisanych czysty a nawet wzniosły*: na dowód czego przywodzi jeden peryod wyrwany ze środka dzieła i tak kończy: „jakiż cel takiego pisma i takiego rozumowania, kiedy ludzie najpospolici nieobeznani z naukowością tak samo rozumują?" Wymaga więc po mnie oczywiście, abym był wydał pedagokikę nie *ułożoną* skromnie przez siebie jako nauczyciela, ale *utworzoną* z własnych moich gienialnych pomysłów, pedagogikę zupełnie *nową*, *oryginalną* choćby i *szaloną*. Ten wyraz *szaloną*, przejąłem od poważnego u nas niegdyś krytyka M. Gr. który tak nazywa dzisiejszą, albo raczéj wczorajszą, czyli niedawną literaturę francuzką (extravagante).

Nie mogę pominąć zarzutu, jaki mi czyni recenzent, że w jednym peryodzie przez niego, bez sfałszowania przecież przywiedzionym, niémasz związku pomiędzy myślami, bo mówię razem o *utworach dowcipu* i *imaginacyi*, o *rodzaju satyrycznym* i *wzniosłym*, jak gdyby nie można było mówić razem o dwóch rzeczach cale od siebie odmiennych, a równie użytecznych lub szkodliwych.

Com napisał o wprawie stylu, że ta rozwija w wychowańcu nietylko dar wynalezienia, ale go oraz sposobi na dobrego czytelnika, mam za prawdę niezaprzeczoną, z którą publicznie wystąpiłem w osobnéj rozprawie o *oryginalności* jeszcze r. 1818, w jedném ówczasowém piśmie peryodyczném wydanéj, a w długoletnim zawodzie nauczycielskim, miałem czas na moich uczniach o tém się przekonać: niepotrzebny tedy znak zapytania umieszczony obok słów przywiedzionych.

Nie mogę i tego pominąć, że recenzent sfałszował urywkowy wypis ze stron. 84, kładąc wyraz *uczucie* zamiast *uznanie*. Aby tu odeprzéć napastliwy zarzut, przywiodę ca-

ły i niesfałszowany wypis ze str. 84: „Na równąż pieczołowitość zasługuje uczucie honoru, wcześniéj i częściéj objawiające się w młodzieży męzkiéj niż w żeńskiéj, a które daje początek żądzy znaczenia i sławy. Uczucie to zasadza się na sprawiedliwém uznaniu własnéj godności i zasługi, a skoro uznanie jest mylne, tak zaraz sprowadza nas na drogę fałszywego honoru."

Mamże nie wspomnieć, że recenzent, zarzucając mi *wady przeciw polszczyznie*, wymienia tylko wyrazy jakby niepolskie: *zachcenie*, *rozumkowanie*, *gadatliwcy*, *łakotliwość*, *przeceniany*, *samochętny* i wyrażenie z ostatniéj potrzeby użyte *wprawa stylu*; a sam tak nielogicznie i źle pisze po polsku, jak się to pokazało w recenzyjce.

Jeszcze przy końcu swojéj recenzyjki nie dość mając na tém recenzent, że zadawał mi już fałszywie, jakobym „*zapełnił* moje dzieło *cudzą pracą* (Br. Fr. T.) i *wiele ważnych poczynił opuszczeń*, zarzuca znowu *przedruk* tegoż *cudnego dzieła*. Zarzut ten chociaż zgodny z prawdą, jednak jest niesprawiedliwym. Bo czyliż można poczytać mi za winę, że dzieło autora wielkiéj zasługi i sławy, dla saméj już obszerności swojéj i innych względów, nie będzie w ręku naszych czytelników, o którém z rozbioru ks. Hołowińskiego każdyby powziął bardzo niedokładne wyobrażenie, dałem bliżéj poznać w osobno załączonych wypisach? Miałem ja załączyć dla użytku czytelników wypisy z wszystkich najcelniejszych pedagogistów niemieckich; ale, widząc w nich wielką odmienność i co do rzeczy i co do stylu, wolałem wybrać jednego, który innych przeczytał i osądził.

Tak się kończy recenzyjka; „To wszystko cośmy w krótkości powiedzieli o *wadach dzieła*, zupełnie nie ma dotykać szanownego ze wszech względów autora, i jego indywidualności w żaden sposób uwłaczać nie może: (jakże to nielogicznie; wszak z dzieła autor się poznaje). Autor *niezawodnie* o tym przedmiocie, w którym dzieło wypracował, ma pojęcia *wysokie* i *postępowe*, o tém *nie wątpimy*: szkoda tylko, że ich w piśmie swém *nie starał się wyrazić*." Bo nie miał na względzie próżnéj chluby, ale powszechniejszy użytek.

Poprzestając na tém, rad będę oczekiwał światłego recenzenta, któregoby postrzeżenia i uwagi posłużyły mi do drugiego wydania mojéj Pedagogiki.

Teodozy Sierociński.

Mappografia dawnéj Polski, przez Edwarda barona Rastawieckiego. *Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda.* 1846 *roku.* 8*ka. X. dwie karty i* 150 *stron.*

Dopóki nie będziemy mieli uzupełnionéj bibliografii, mianowicie co do dzieł drukiem ogłoszonych, opisu płodów sztuk pięknych w kraju polskim dokonanych, jakoto: dzieł pędzla, dłuta, tudzież gmachów architektonicznych dawniejszych, tak publicznych jak prywatnych, jako też dziejów muzyki kościelnéj i światowéj, teatrów, niemniéj losu i położenia społecznego osób temi przedmiotami zajmujących się, równie jak wszelkich okoliczności okazujących ogładę narodową i wpływ nań wywierających, dopóty o dziele podającém wierny obraz nietylko stanu piśmiennictwa, ale i całéj cywilizacyi krajowéj pomyśleć trudno. Obrobienie pojedynczych gałęzi należy do właściwych znawców, których prace od mniéj więcéj troskliwie nagromadzonych i opisanych materyałów zawisły. Wszelkie więc starania w zebraniu i objaśnieniu tych drobniejszych materyałów podjęte, są chwalebne i użyteczne, jako przyczyniające się do wzniesienia z czasem całkowitego gmachu, czyli wystawienia w rezultacie stanu nauk i oświecenia krajowego w różnych epokach.

Co u nas, a nawet za granicą uczyniono we względzie geografii, a raczéj samych kart geograficznych dawnéj Polski, zamierzył p. baron Rastawiecki przedstawić w spisie mapp krajów dawną Polskę składających, bądź w ogóle, bądź w szczególe co do pojedynczych prowincyj.

Za poprzedników w tego rodzaju poszukiwaniach, miał autor *Chromińskiego* w Dzien. Wil. z r. 1806, *Bentkowskiego* w drugim tomie Hist. literat., a nadewszystko *Janockiego* Spis mapp księgozbioru Załuskich r. 1775 sporządzony.

Opisawszy w przedmowie rękopism Janockiego, wziął go p. R. za zasadę swego spisu i odznaczył go w ciągu dzieła odmiennym drukiem od wiadomości przez siebie zebranych. Tym sposobem okazuje się widocznie, o ile szperania p. R. pomnożyły spis Janockiego, nietylko po roku 1775, ale i w czasach dawniejszych ważnemi odkryciami. Nie wiémy dlaczego p. R. spis Janockiego nazywa (na k. III) spisem krytycznym, kiedy prócz tytułu każdéj mappy, rzadko w całym spisie znajdujemy ocenienie lub zdanie o jéj wartości wewnętrznéj, częściéj zaś tylko o zalotach zewnętrznych. Opowiada także autor w przedmowie, co w kraju uczyniono dla wygotowania mapp bądź całéj Polski, bądź prowincyj pojedynczych. Następnie w jedenastu oddziałach, wylicza ryciną upowszechnione mappy, a mianowicie:

W oddziale I Sarmacyi europejskiéj, przytacza mapp	20.
W II oddziale, Polska cała, mapp.	176.
III, Wielkopolska.	17.
IV, Prusy.	45.
V, Małopolska.	14.
VI, Ukraina	43.
VII, Litwa.	31.
VIII, Inflanty, Kurlandya	31.
IX, Mappy kościelne.	10.
X, Mappy geologiczne i plany kopalniane.	26.
XI, Mappy wodne	11.
	424.

Nie sądziłem wcale, aby tak znaczna ilość mapp, zwłaszcza oddziału drugiego czyli dawnéj Polski (przed 1771 rokiem), do liczby 176 doprowadzić się dała. Widoczna jest, jak troskliwie badał p. R., aby spis swój uczynić jak najzu-

pełniejszym. Jednakże postrzegamy, że niektóre uszły przed jego poszukiwaniem, jakoto:

1) Mappy do Naruszewicza Hist. Nar. Pol. tomu II należące. Wystawiają one, piérwsza, *Polskę za Mieczysława I*, druga z napisem *Mappa objaśniająca panowanie Bolesława Chrobrego.* Obie te mappy (a zwłaszcza druga), jako rezultat głębokich badań, są bardzo nauczające, ponieważ zawiérają nazwę okolic i ludów, krainy ówcześnie polskie i sąsiednie zamieszkujących, gdy tymczasem wszystkie mappy, które podług Ptolomeusza tak zwaną Sarmacyą europejską wystawiają, prócz kilku rzék i Kalisza, nie mają nic polskiego, ani geograficzno-historycznego.

2) Mappa Bern. Zajdlera, którą wygotował według opisu poddania przez Mieczysława I swojéj krainy opiece stolicy apostolskiéj, i do wykładu téj donacyi (w Pamiętniku Warszaw. Bentkowskiego z r. 1820, T. XVII, 387) dołączył wylitografowaną.

3) Do dziełka Historya Polska potocznie opowiadana, w Warsz. 1829, przyłączony jest atlasik z 12 mapp w ćwiartce małéj, z oznaczeniem kolorami granic Polski w różnych epokach. Mappy tego rodzaju objaśniają i ułatwiają wielce naukę saméj historyi. Szkoda tylko, że obecne, skréślone są na skalę bardzo drobną.

4) *Kriegstheater oder neueste Karte von Polen und Lithauen, sammt den österreich. russischen und preuss. Antheilen und den übrigen angränzenden Ländern. Anno* 1792. Wielki arkusz. Prócz tego tytułu, wewnątrz ramek jest napis u góry nad ramkami: *Theâtre de la guerre, ou Carte générale et nouvelle de toute la Pologne....* u dołu *zu finden in Wien bei Artaria Comp. Kunsthändlern auf d. Kohlmarkt.* A pod ramką u dołu *F. Müller fecit in Wien.* Mappa ta musiała być w r. 1793 uważana za jednę z lepszych, jak wnoszę z téj okoliczności, że ją widziałem w aktach dyrektoryalnych berlińskich, dołączoną przy odezwie drukowanéj króla pruskiego do mieszkańców polskich z d. 25 marca 1793, oznajmującéj wcielenie do Prus téj części Polski, jaka przez wkraczające wojska pruskie pod wodzą ge-

nerała Möllendorfa miała być zajęta, a któréj granice na téj mappie kolorem oznaczone były, i na sejmie grodzieńskim d. 25 września 1793 zatwierdzone zostały.

5) *Polens Umwandlungen von* 1772 — 1809. *Leipzig in der Dyckschen Buchhandlung.* Prócz tego napisu, wewnątrz następujący tytuł: *Das Herzogthum Warschau errichtet und mit dem Königreich Sachsen verbunden im J.* 1807. Oznaczone są na téj mappie wielkoarkuszowéj rozgraniczenia z r. 1772, 1793, 1795, 1807 i 1809. Może należała ta mappa do dzieła *Sirisy*, u p. R. pod nr. 170 przytoczonego, tylko że księgarz na blasze, w miejsce dawnego tytułu wyskrobanego, położył ten nowy, jak to częstokroć z mappami księgarze robią.

6) Wejmarski instytut geograficzny pod kierunkiem Bertucha i Zacha około r. 1790 utworzony, wydawał w księgarni wejmarskiéj (*Industrie Comptoir*) mappy i atlasy, w których zapewne i mappa całéj Polski z lat różnych, a mianowicie z r. 1795 znajdować się musiała, tu niewymieniona, gdy z wejmarskich mapp jednę tylko pod nr. 169 przytoczoną znajduję. Lecz nazwisko wydawcy *Grüssefeld* poprawić trzeba na *Güssefeld.*

7) *Atlas historique de la Pologne, accompagné d'un tableau comparatif des expéditions militaires dans ce pays, pendant le XVII, XVIII et XIX siècle, par le Comte Stanislas Plater. Posen* 1827. *Imprimerie de Guil. Decker*, in fol. obl. Jest tu 10 mapp Polski, czyli raczéj jedna tylko podług różnych granic illuminowana, a mianowicie jaka była Polska w roku 1625, 1655, 1683, 1701, 1757, 1792, 1794, 1806, 1809 i 1812.

Zapewne i w geograficzno-historycznym atlasie Sprunera (*K. v. Sprunor's historisch-geographischer Handatlas zur Geschichte der Staaten Europas vom Anfange des Mittelalters bis auf die neueste Zeit. Gotha b. Perthes.* 1846, *fol.*) z 73 kolorow. mapp złożonym, znajdują się mappy wystawiające dawną Polskę podług jéj granic w różnych epokach.

Mając ten spis mapp o ile można zupełny, idzie teraz o ocenienie ich wewnętrznéj wartości. Bardzo zmaleje

wówczas ich liczba, upadną bowiem proste księgarskie przedruki czyli przesztychy dla prostego zysku przedsiębrane. Odpadnie i mappa kapit. Folino z cztérech dużych arkuszy składająca się (u p. Rast. pod n. 139 przytoczona), jako uformowana z dróżników wojskowych, gdzie reszta położenia miast, równie jak południki i równoleżniki na oko tylko, podług chybił trafił pomieszczone.

Żadna z mapp dawnéj Polski nie zbliża się do pewnéj przynajmniéj doskonałości, gdy trygonometryczny pomiar kraju nie służył żadnéj za podstawę. Dlatego téż i najobszerniejsza ks. Józ. Jabłonowskiego, pospolicie mappa Zanoniego zwana, więcéj niż wszystkie inne jako na mniejszą skalę rysowane mappy, obejmuje widocznych uchybień, które zwłaszcza przy demarkacyi 1775 roku najjawniéj się okazały. (Ob. Siarczyńskiego traktaty europ. w Warsz. 1789. T. IV. 307).

Król Stanisław August pełen najlepszych chęci i chwalebnych dla kraju zamiarów, chciał téj gwałtownéj potrzebie zaradzić. Jakoż pułkownik Karol de Perthes z polecenia i nakładem jego, przygotował mappę całéj Polski pojedynczemi województwami rozłożoną i wydawaną od r. 1784. Zdaje się, iż pomiary tylko topograficzne służyły do sprostowania pomyłek mappy Zanoniego, gdyż śladu nie ma żadnego, aby pomiar trygonometryczny przez Perthesa miał być przedsiębrany, a dodać także należy, że Czacki i Śniadecki w r. 1790, wystąpili z projektem do trygonometrycznego pomiaru jako rzeczy wcale nowéj, przez p. Rastawieckiego obszernie wyłożonéj. Lecz projekt Czackiego dla czasowych okoliczności nie przyszedł wcale do skutku. Tym czasem rysunki mapp Perthesa przenosił rylcem na miédź sztycharz Tardieu w Paryżu, i mappy te u p. Rastawieckiego przytoczone są w dziale III. nr. 15, 16, 17, w dziale IV, nr. 11 do 14. Po roku zaś 1795, rysunki Perthesa dalszych województw, jako téż blachy nieukończone i pozostałe w Paryżu u sztycharza Tardieu, z polecenia N. Cesarza Alexandra zostały nabyte, i wykończone w Petersburgu.

Zadziwia prawdziwie, iż między mappami duchownemi, niéma żadnéj przedstawiającéj podział kraju kościelny na dyecezye, dekanaty i t. d. Żaden więc arcybiskup gnieźnieński jako prymas Królestwa, lub biskup krakowski, oba tak hojnie uposażeni, nie zdobył się na wydanie takowéj mappy w ciągu trzech wieków od upowszechnienia sztycharstwa. Mappy zaś takowe z różnych epok, byłyby częstokroć ważną pomocą historyczną. Przytacza p. Rastawiecki tylko mappy pojedynczych zakonów śgo Franciszka, Karmelitów, Trynitarzy i t. d.

Powstaje teraz pytanie, jak dalece spis samych mapp krajów dawnéj Polski, bez przytoczenia dzieł geograficznych, zaspokoić może miłośnika dziejów ojczystych? Mappy i pisma geograficzne i topograficzne, objaśniają i uzupełniają się wzajemnie. Po tak staranném więc przygotowaniu materyałów przez p. Rastawieckiego, wypadałoby aby jakowy miłośnik dziejów ojczystych, zajął się wygotowaniem *Historyi geografii dawnéj Polski*, nie przepominając korzystania z dzieł *Büschinga* geografii powszechnéj.

Może sam p. R. dziełem takowém się zajmuje, które niniejszym spisem uprzedził, aby dalszemi ziomków wiadomościami uzupełnić materyał. Jeżeli tak jest w istocie, niech w przedsięwzięciu swojém nie ostygnie, a do wdzięczności rodaków nowego nabędzie prawa. *F. B.*

---

*Lettre à Mr le docteur Enoch à Varsovie sur le traitement des maladies chroniques par la purification du sang et le rétablissement des organes digestifs au moyen d'un procédé inventé et mis en pratique par Jean Schroth à Lindewiese près de Freiwaldau dans la Silésie autrichienne par ***. Varsovie* 1847. 8vo *maj.* (List do doktora Enocha w Warszawie o leczeniu chorób chronicznych oczyszczeniem krwi i wzmacnianiem organów trawienia według metody Jana Szrota w Lindewiese przy Freiwaldau w Szlązku austryackim. Przez *** Warszaw. 1847, 8ka więk.).

Niémasz w dziedzinie nauk przedmiotu większéj liczbie sędziów poddanego, nad teorye leczenia chorób. Mnogość tych teoryj i powstawanie jednéj po drugiéj, niezaprzeczonym są dowodem niepewności wielu prawd składających podstawę nauk lekarskich. Która z nich jest lepsza, która gorsza, o tém cały świat rozprawia z takiém ożywieniem i zajęciem, jak o polityce lub o wydarzeniach w domu sąsiada. I nic sprawiedliwszego nad to. Jak leczącym pozwolilibyśmy wszelkiemi sposobami leczyć byleby wyleczyli, tak nie możemy wzbraniać leczonym mówić co tylko chcą o leczeniu, bo to idzie im o życie. Lecz i ci i tamci działają z dobrem społeczności. Tamci wymyśleniem nawet najdziwaczniejszéj teoryi taką przynajmniéj korzyść przynieść mogą sztuce, jaką alchemia przynosiła chemii; ci utrzymują interes przedmiotu, nie dozwalając mu nigdy obojętnością zaledz. Jeżeli nawet z tych ostatnich obiorą się ludzie zdolni myśléć i myśli wyrażać, pojęcia ich o sposobie leczenia nowo objawionym, wyłożone zrozumiale, udzielają się światu uczonemu, i albo nową przydają gałąź drzewu naszych wiadomości, albo ożywiają starą.

Mówimy to z okoliczności nowéj metody leczenia, zaczynającéj wsławiać imię Jana Szrota w Lindewiese koło Freiwaldau w Szlązku austryackim, a bardziéj z okoliczności drukiem ogłoszonego u nas listu do dra Enocha w Warszawie, jasne dającego wyobrażenie o téj metodzie. Autorem

listu jest jeden ze znakomitych urzędników tutejszych, który udawał się do Szrota i na miejscu jego sposób leczenia poznał. Z pisma tego dowiadujemy się, że Szrot jest prostym włościaninem, ale oraz człowiekiem u którego zdrowy rozum osiągnął najwyższy może wykształcenia stopień. „Moralny i religijny (mówi autor Listu, str. 16) mocą rozwagi doszedł on do zadania sobie najoderwańszych pytań, do wyobrażeń których wierność i głębokość podziwiać trzeba i zdumieć się słysząc je wykładane językiem, który nic nie utracił z wiejskiéj ziemianina prostoty." Wyjątek ten dostateczne podaje nam wyobrażenie jakim jest Szrot między kapłanami Eskulapa (*). Autor Listu, zajmującego 25 stron. in 8vo maj. w druku, wykłada wcale nie profana lecz umiejętnego fizyologa językiem, zasady jego leczenia, sposoby jakich w swojém leczeniu używa, wymienia naostatek wiele osób, między któremi są znakomite, wyleczonych przez Szrota z ciężkich i zadawnionych chorób. Łatwo się domyślić, że wyobrażenia mało uczonego wieśniaka, nie zawsze się zgodzą z przyjętemi w umiejętności. Tak, gdy Szrot swoje postępowanie z ciałem człowieka którego leczy, objaśnić chce przez analogią z tém co dzieje się z ziemią, wyobraża sobie o téj ostatniéj, że *gdy rozgrzana ciepłem dnia, wystawi się potém na chłodność wieczora, wilgoć którą ma w sobie, przyciągniętą zostaje do jéj powierzchni* i t. d. (str. 6), i nie poznaje, że ta wilgoć spada wtedy z powietrza.

Książeczkę obejmującą list do dra Enocha, na któréj końcu są jeszcze dodane w języku niemieckim świadectwa osób znanych i wiarogodnych, jako tą metodą uleczonemi zostały, z przyjemnością przeczyta każdy dla kogo ważną jest rzeczą odzyskanie zdrowia. Nikogo więc nie potrzebujemy zachęcać do jéj przeczytania, tém bardziéj, że została wydaną w celu dobroczynnym, i przedaje się na korzyść ubogich gminy ewangielickiéj w Warszawie. *A. W.*

(*) Poniżéj czytamy, że Szrot ma przeciwnika w znanym Pryśnicu w Grefenbergu, lubo niegdyś byli kolegami szkolnymi w wiejskiéj szkółce.

ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

(Z muzyką).

Jeśli w ogóle po całéj Słowiańszczyznie pieśni i obrzędy weselne z wyłącznem zamiłowaniem bywają obchodzone, to przedewszystkiém w Polsce stanowią one najcelniejszą epokę uroczystości familijnych włościanina. Wielokrotnie już opisywano obrzędy weselne u nas; w każdym niemal zbiorze pieśni ludu jaki się pojawił (*), znajdujemy znakomitą ilość tego rodzaju śpiewów, do żadnego jednak tyle tu potrzebnéj muzyki nie dołączono. A wszakże każdy chętnie przyzna, że ta ostatnia jest niejako koroną godnie wieńczącą dzieło; bez niéj, tekst jest jakoby ciało bez duszy; z nią, całe bogactwo poezyi sielskiéj tak prostéj a tak silnéj, pełnéj ułudy i niewysłowionego uroku, zawsze świéżéj, bo niepodlegającéj zmianom mody, i może niegdyś przy kołysce słyszanéj, odradza się w naszéj wyobraźni. Zatém, gdy muzyka jest tu z tekstem nierozdzielną (bo bez niéj żadne wesele nie ma miejsca), przedsięwziąłem skréślić pieśni weselne z melodyami, jakie mi się w różnych okolicach kraju naszego słyszéć zdarzyło, oraz wykazać (ile można) ich waryanty, przerabiania, wyskoki, różnorodne napływy, nawet zwichnienia. Przekształcenia takowe spowodowały tysią-

(*) Zbiory Wójcickiego, Żegoty Pauli, Wacława z Oleska, Lipińskiego, Konopki, Przegląd Naukowy z r. 1843 i t. d.

do № 3.

Allegro non troppo. M.M. ♩ = 100.

piu vivo

Z tam tej stro-ny mły-na zie-lo-na ol-szy-na trzeba by-ją wy-rą-bać Dadzą ci ją dadzą sa-mi od-pro-

Pedale.

tempo 1º.

Vivo.

wa-dzą tyl-ko trzeba czę sto-wać Na pierwsze za-lo-ty prze-pi-łem tam zło-ty i tak mi jej niechcą dać. Dadzą ci ją

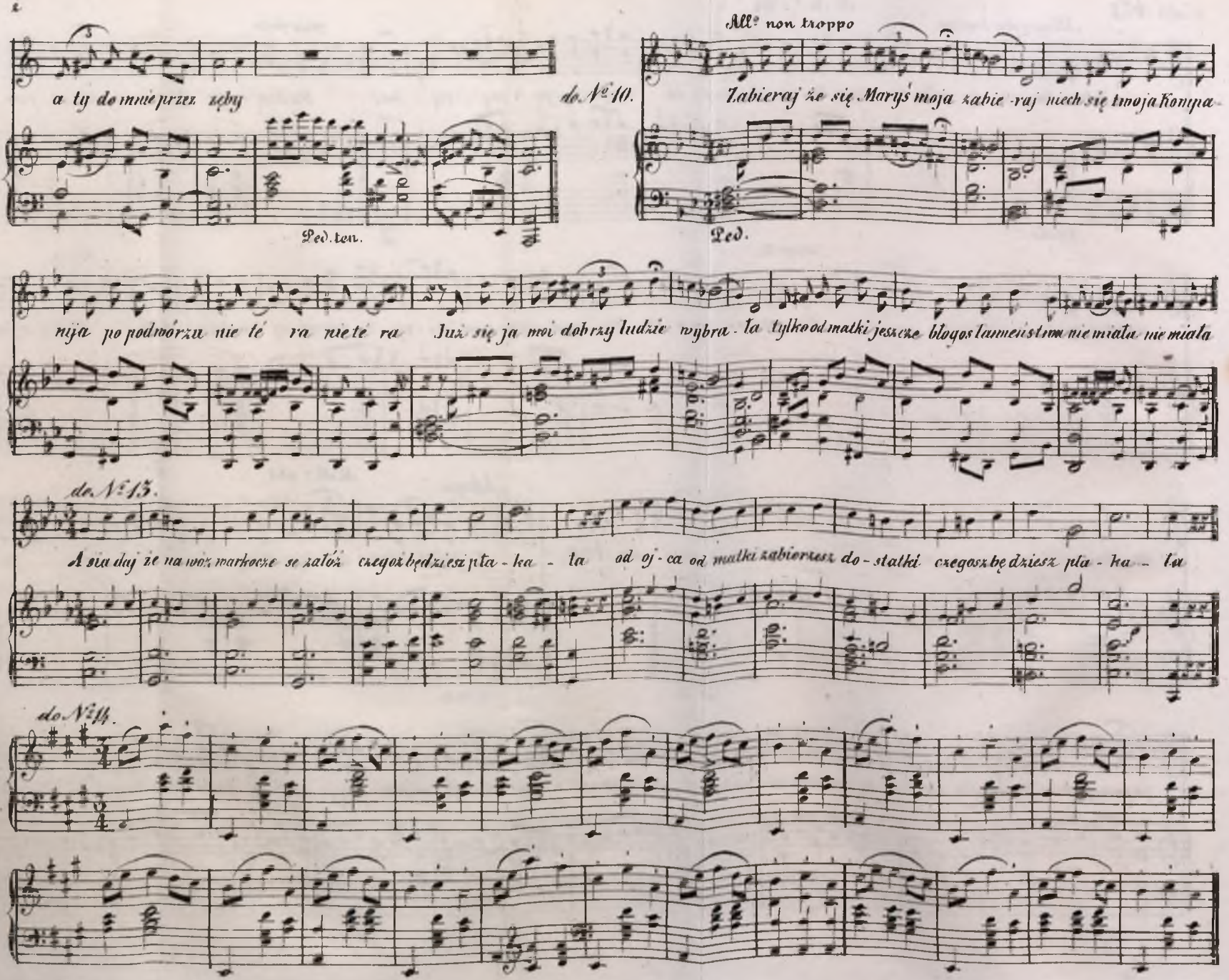
Adagio. M.M. ♩ = 80.

da-dzą sami od-pro-wa-dzą tylko trzeba często - - wać do № 9.

A już dobranoc ej moja Maryś mi-jam twoje wro - - - ta

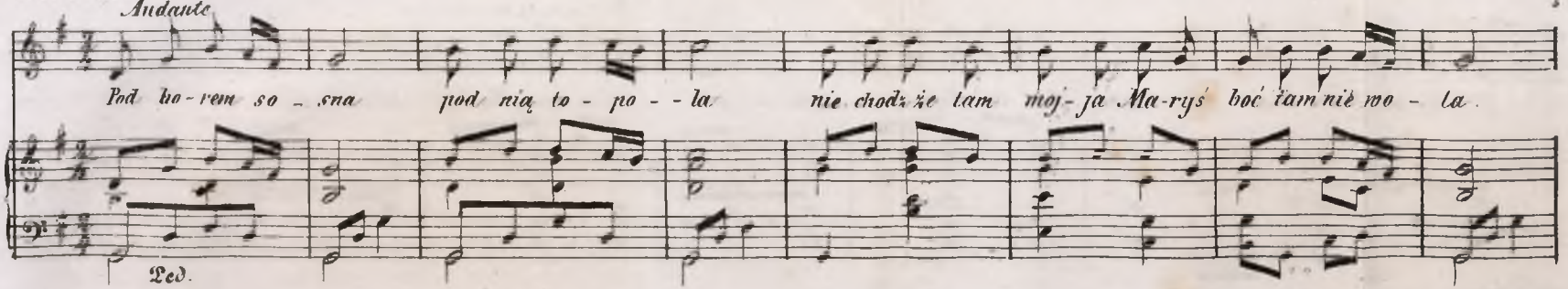
Pedale.

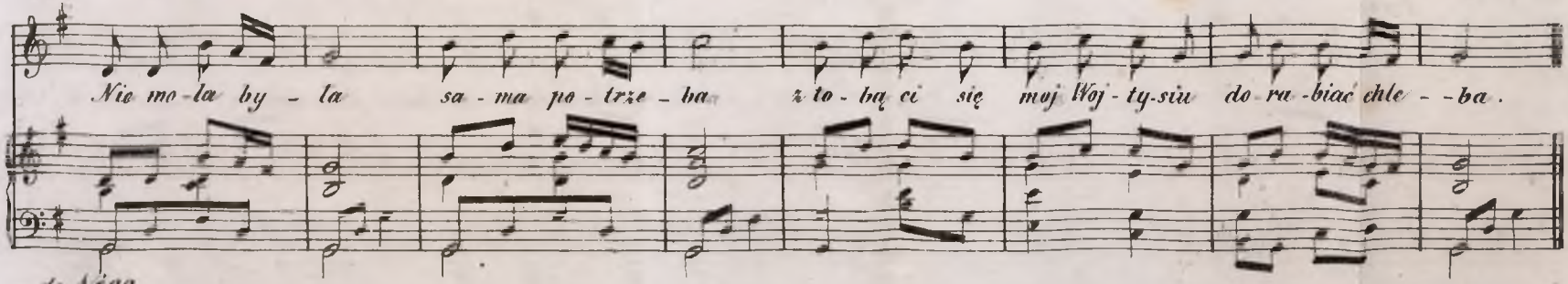
ja mese lu-chny ja we seludny a ty smutna sie ro ta A już dobranoc o moja Maryś mijam twoje szy-by ja do ciebie łagodnym słoneczkiem


a ty do mnie przez zęby
Ped. ten.
do № 10.
All.o non troppo
Zabieraj że się Maryś moja zabie-raj niech się twoja Kompa-
Ped.
nija po podwórzu nie té ra nie té ra Już się ja moi dobrzy ludzie wybra-la tylko od matki jeszcze błogosławieństwa nie miała nie miała
do № 15.
A sia daj że na wóz markocze se załóż czegoż będziesz płta-ka-la od oj-ca od matki zabierasz do-statki czegoszbędziesz pla-ka-la
do № 16.

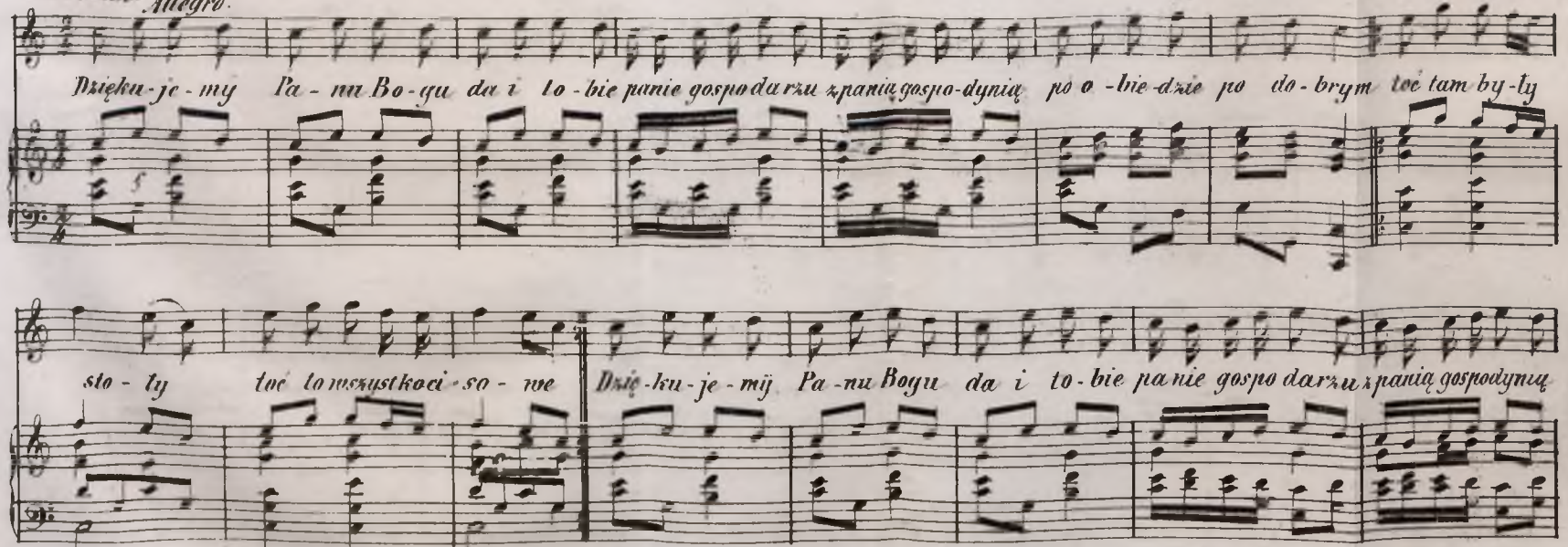
do № 15.

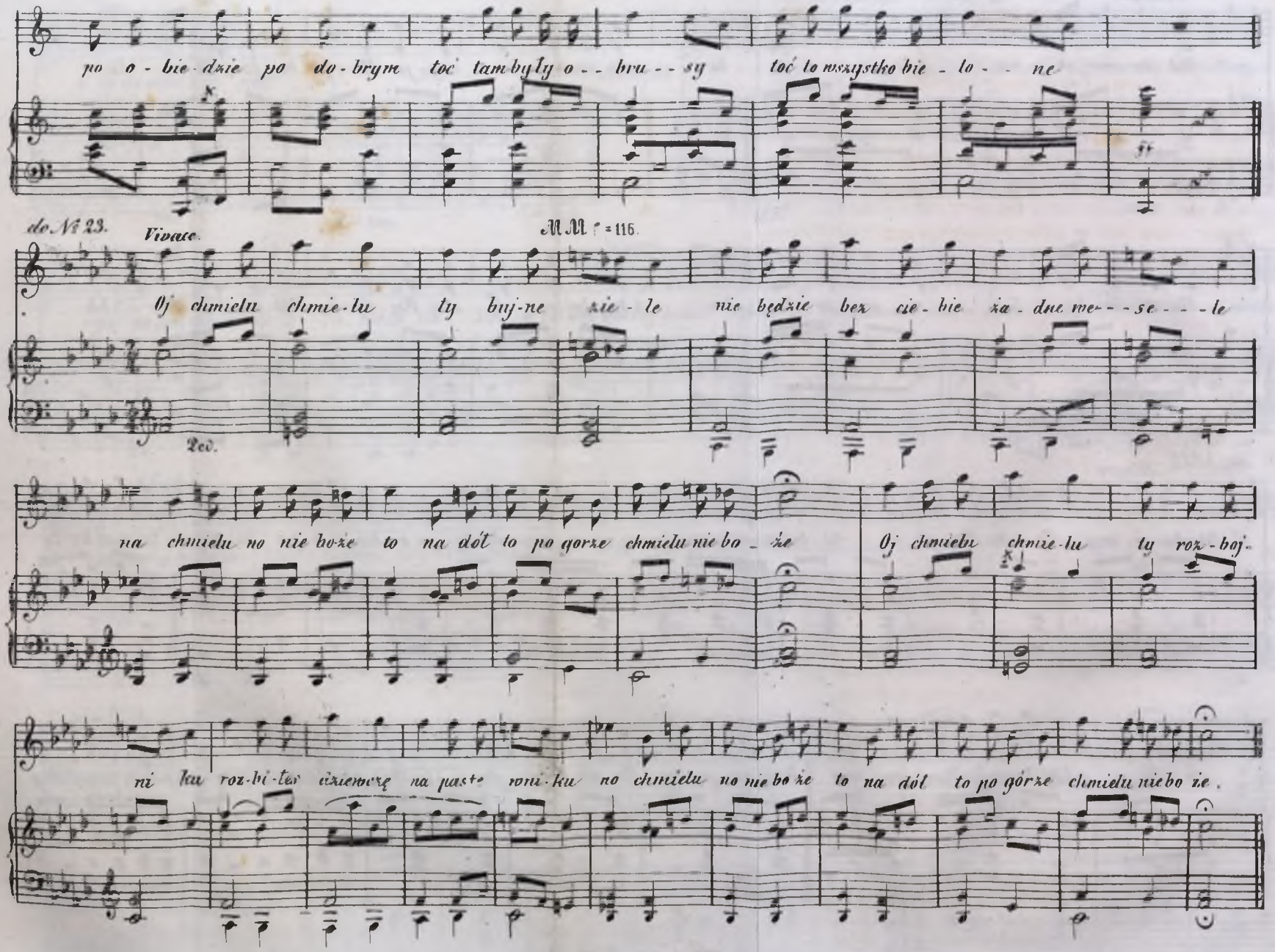
Andante





do № 22. Allegro.




po o - bie - dzie po do - bryn toć tam były o - - bru - - sy toć to wszystko bie - lo - - ne
do № 23.
Vivace.
M. M. ♩ = 116.
Oj chmielu chmie - lu ty buj-ne zie - le nie będzie bez cie - bie za - dne we- - - se - - - le
Ped.
na chmielu no nie boże to na dół to po górze chmielu nie bo - że
Oj chmielu chmie - lu ty roz - boj -
ni ku roz-bi-tes dziewczę na pasie roni-ku no chmielu no nie bo że to na dół to po górze chmielu nie bo że.

ce okoliczności i stosunków, których drobiazgowe śledzenie, mozolną, niewykonalną, wreszcie niepotrzebną byłoby pracą. Oddaję je przeto jakiemi są ludowi, od którego je wziąłem; a rozwijając jedne po drugich obrzędy weselne z różnych mianowicie oddalonych od siebie stron, najlepiéj przez porównanie ich między sobą, rozróżnić co w nich pierwotnego a co było napływowego z innych pieśni lub okolic, odgadnąć wzajemny wpływ jaki na siebie wywierały, i ocenić ich wartość poetyczną będziemy w możności.

I.

Z powiatu Opoczyńskiego. Wsie Rdzuchów, Sady, Przystałowice, Nieznamierowice, Rusinów, Sulgostów, Potworów, Kłudno, Grzmiąca, Piastów, i t. d. a raczéj okolice miast Drzewicy, Przysuchy, Przytyka, Odrzywoła i Nowegomiasta nad Pilicą.

Kiedy się młody wieśniak zamyśla żenić, a wysłana wprzódy (w tym celu) na wywiady baba, czyli dziewosłębina, wróżyła mu pomyślne przyjęcie, udaje się we czwartek wieczorem lub nocą w towarzystwie dziewosłęba i swatów do chaty swojéj kochanki, do któréj, stanąwszy podedrzwiami, samych tylko wpuszcza dziewosłębów; ci na progu odśpiewują:

(1) 1. Oj! przyjechali starsi swatowie zdaleka,
I przywieźli oni chorągiewkę ze złota;
A na téj chorągiewce pisanie,
Jakież to będzie Maryś z matulą rozstanie?
2. Oj! przyjechali starsi swatowie zdaleka,
I przywieźli oni chorągiewkę ze złota;
A na téj chorągiewce pisanie,
Jakież to będzie Maryś z tatulem rozstanie?
I jakież będzie z całą rodziną rozstanie?

Wchodzą do izby uzbrojeni we flaszkę wódki, kłaniają się czapkami do kolan, i powitawszy dom zwykłém: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", po odpowiedzi gospodarstwa: „Na wieki wieków amen", proszą o podanie kubka.

(2) A dajcie nam tu kubeczka,
Podobała nam się wasza dziéweczka.
Prawą nóżką przez próg,
Będzie szczęście dalibóg.

Dawajcie nam—a nie zwlekać,
Nie dajcie nam długo czekać.

Jeżeli dziewczyna wezwana o podanie kubka długo takowego szuka, ale znaléźć go nie mogąc znika wreszcie z chałupy, jest to znak odmowny (co wszakże nader rzadko się zdarza, rzecz bowiem bywa już poprzednio ułożoną); w przeciwnym zaś razie, podaje lub stawia kubek na stole, a sama umyka za piec. Wtedy ukazuje się jéj przyszły, wita rodziców i odbiéra wzajemne pozdrowienie; swatowie piją w ręce rodziców, na co ciż dziękując odpowiadają. Dziewosłąb wyprowadza gwałtem z za pieca pomieszaną i zapłonioną dziéwkę, zmusza ją niejako do przyjęcia i wychylenia kubka, czego taż w kącie obróciwszy się plecami do towarzystwa, niby od niechcenia dopełnia; poczém starszy swat wynurza się i prosi o rękę ich córki dla obecnego tu młodziana, na co rodzice przystają i zobopólna ugoda ma miejsce. W następującą niedzielę pan młody albo któren z dziewosłębów daje do kościoła na zapowiedzi, sprasza przyjaciół i kumów do chaty rodziców panny młodéj lub do karczmy, gdzie się odbywają zaręczyny. Goście zasiadają ławy, biesiadują; starszy swat wiąże chustką lub wstęgą ręce narzeczonych i przemawia do nich stosownemi słowy; daléj tańce, śpiewy i żarty, kraszą powszechną ochotę. Pan młody chciałby co najrychléj swoję lubkę wyściskać, i w tym celu daje się słyszéć z następującemi żalami, na które swachny śmiejąc się chórem odśpiewują:

(3) 1. Z tamtéj strony młyna — zielona olszyna,
Trzebaby ją wyrąbać.
Spodobała mi się — u młynarza córka,
Żeby mi ją chcieli dać.
Dadzą ci ją dadzą — pięknie odprowadzą,
Nie trzeba się frasować,
Tylko trzeba częstować.

2. Na piérwsze zaloty — przepiłem tam złoty,
I tak mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Nie trzeba się frasować,
Tylko trzeba częstować.

3. Przepiłem i drugi — to nie wielkie długi,
I tak mi jéj nie chcą dać.

Przepiłem i trzeci — to nie wielkie rzeczy,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

4. Przepiłem i talar — kęs'em nie oszalał,
I tak mi ją nie chcą dać;
Przepiłem i dukat — kęs'em nie ogłupiał,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

5. Przepiłem i woły — co chodziły w roli,
I tak mi jéj nie chcą dać.
Przepiłem i konie — co chodziły w bronie,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

6. Przepiłem i cielę — dyć tego za wiele,
I tak mi jéj nie chcą dać.
I dwie owce składne — dyć ja ich nie kradnę,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

7. Przepiłem i trzodę — a za jéj urodę,
I tak mi jéj nie chcą dać,
I trzodę i pługi — i zabrnąłem w długi,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

8. Przepiłem sukmanę, — w koszuli ostanę,
I tak mi jéj nie chcą dać;
Przepiłem ci i wóz, — na tyłkum się przywiózł,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.

9. A na święty Jacek — we Skrzynnie jarmacek,
Dali mi ją wiezie mać.
A ja jéj też nie chcę — wedle innéj drepcę,
Wtenczas mi ją było dać.

Po dwóch lub trzech tygodniach, w poniedziałek poprzedzający dzień ślubu (który się w niedzielę zwykł zawiérać), państwo młodzi w towarzystwie kilku parobków i dziewcząt, obchodzą od chaty do chaty imieniem rodziców, zapraszając przyjaciół i drużbę do domu lub karczmy na gody weselne; zapro-

siny te powtórzyć należy później jeszcze po raz drugi we czwartek, do czego następująca służy oracya:

4. Przyśliśmy tu do jéjmości prosić o drucheneczki,
Ażeby się przygotowały,
Spodniczki wyfałdowały,
Fartuszki wymaglowały,
Trzewiczki wysmarowały,
Pończoszki popodwiązywały.
Żeby w akcie weselnym panu młodemu i pannie młodéj wstydu nie narobiły.
A my się też będziemy znać,
każemy grać,
w szałamaje i dudy,
aż się będą trzęsły kolana i udy.
Niémasz-ci to nie ma jak starszemu drużbie,
Pójdzie se do kuchni i pieczeni urznie;
i do komory się wtłoczy,
i piwa utoczy.
Teraz prosiemy państwa na te parę kokoszy
jeśli ich jastrząb nie rozpłoszy,
i na parę kuropatw
co pan młody pannie młodéj we fartuszku dopadł.
Przepraszamy państwa teraz,
przepraszamy drugi raz,
bośmy się tego nie uczyli w szkole
tylko u ojca cepami w stodole.

W sobotę rano, tojest w wigilią ślubu, pan młody w towarzystwie drużby i wesołka czyli skrzypka, po raz trzeci zaprosiny wznawia; tymczasem zaś panna młoda z rodzicami zajmują się przygotowaniami na przyjęcie gości. Ci też niebawem schodzą się, zbiérają w gromadki, gawędzą, i biorą potém posiłek wśród gwaru i oświadczyn życzliwości; wesołość wzrasta, grajek przygrywa, a przy muzyce i śpiewach drużbów, druchen, swatów i swachen, zabiérają się do rozplatania warkocza pannie młodéj. Wtedy starsza druchna zaczyna w jéj imieniu:

5. Oj nieskutecznie mój mocny Boże na świecie,
Któż mi teraz złoty warkoczyk rozplecie?

Inna odzywa się:

Da chodzi ono starszy drużebka po sieni,
Oj nosi on szczotkę, grzebyczek w kieszeni.

Starszy drużba odpowiada:

A ja-ci to moja Maryś służka twój,
Da rozpletę ja, rozczesę ja warkocz twój.

Na co starsza druchna w imieniu panny młodéj:

Nie będziesz ty go starszy drużebko rozplatał,
Oj da boś ty się mego tatula nie pytał.

Starszy zaś drużba zwracając się ku rodzicom:

A czy z wolą tatuleńka czy nie z wolą,
Da czy rozpleść, czy rozczesać pannę młodą?
Oj czy z wolą matuleńka czy nie z wolą,
Da czy rozpleść, czy rozczesać pannę młodą?
Oj czy z wolą wszystka rodzina czy nie z wolą,
Da czy rozpleść czy rozczesać pannę młodą?

Ojciec na to mówi:

Da usiądź-że moja Maryś na dzieży,
Oj niechże ci się złoty warkoczyk rozpierzy.

Poczém starszy drużba zbliża się do panny młodéj, sadza ją na dzieży, rozplata jéj warkocz, czesze i wiąże wstążką a matka wśród tego przyśpiewuje:

6. Powoli ją rozplatajcie,
Warkoczka jéj nie targajcie,
Wam się nudzi że powoli,
A Marysię główka boli.

Daléj zaś jedna z druchen śpiewa:

7. Usiadła Maryś na białym kamieniu,
I rozpuściła warkocz po prawém ramieniu.

Starsza druchna:

Ładno ci mój Wojtysiu na mój warkocz patrzyć,
Będzie ci jeszcze miléj jak go przyjdzie płacić.

Po odbytych rozplecinach następuje wieczerza. Kiedy się już towarzystwo nabawiło i posiliło do woli, przed rozejściem się do domu wszystkie druchny śpiewają chórem:

8. Hej zaśpiewajmy se o téj dobréj przygodzie,
A siła nas jutro do kościoła pojedzie?
Oj pojedzie nas koni dwanaście, wozów sześć,
Będzie miała panna-młoda z druchniczkami kędy sieść (usiąść).
Oj pojedzie nas koni dwadzieścia, sto wronych,
Wszystko to pana młodego w zieleni (zielono ubrani).
Oj tętniały kowane wozy, tętniały,

Kiedy one z panną młodą do kościoła jechały.
Oj zarżały kare koniki, zarżały,
Kiedy one z panną młodą do kościoła jechały.
Oj nie rżyjcie kare koniki, nie rżyjcie,
Popasiemy was na Kiwowskiém polu, na życie.
Da pomale wy Sadowianie pomale,
Oj powięzną wam kare szkapiny na kale.
Da Rdzuchowianom dobrym ludziom nasielnikami brząkają,
Oj da bo ony goły owiesek jadają.
Da już ci czas panno młoda do dom spać,
Bo ci już czas twoją głowiczkę fryzować.
Da jużci czas panie młody do dom spać,
Bo ci już czas konikowi obrok dać.
Da jużci czas wy druchniczki do dom spać,
Bo wam się trza o różowe wstążeczki postarać.
Oj już my się u pani starościny starały,
Żebyśmy se różowych wstążeczek dostały.
Da jużci czas wy drużebkowie do dom spać,
Bo wam się trza o siwe czapeczki postarać.
A już my się u pana starosty starali,
Żebyśmy se siwych czapeczek dostali.
Da jużci czas wy swatowie do dom spać,
Bo wam się trza o tabaczkę postarać.
A już my się u pana starosty starali,
Żebyśmy se proszkowéj tabaczki dostali.
Da jużci czas wy swachniczki do dom spać,
Bo wam się trza o czépeczki postarać.
A już my się u pani starościny starały,
Żebyśmy se ładnych czépeczków dostały.
Da jużci czas panie wesoły do dom spać,
Bo ci trza jutro raniuśko pannie młodéj ładnie grać.

Rozchodzą się. Pan młody pozostaje niekiedy w tyle i w towarzystwie kilku z drużby i wesołka, podchodzi pod okienko swojéj lubéj, gdzie jeszcze na dobranoc rodzaj serenady wykonywają w tych słowach:

9. O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weź-że se pana Jezusa na pomoc.
O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weź-że se Matkę Najświętszą na pomoc.
O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weź-że se wszystkich świętych na pomoc.
O już dobranoc moja Maryś — mijam twoje wrota,
Ja weseluchny, ja weseluchny — a ty smutna siérota.

O już dobranoc moja Maryś — mijam twoje szyby,
Ja do ciebie łagodném słówkiem — a ty do mnie przez zęby.
Da i wyszła sobie — stanęła sobie
Da i pod jaworem w chłodzie.
Wygląda Wojtysia — wygląda Wojtysia,
Da z któréj strony przyjedzie.
Oj jedzie jedzie — mój kochaneczek,
Da i po moście od bora.
Da i rozpuścił-ci — te strusie piórka,
Co mu je dałam z wieczora.
Nie tak-ci mi żal — strusich pióreczek,
Da i com ci ich rozpuścił,
Da jak mi ciebie — moja Marysiu.
Da com cię marnie opuścił.
Cóżeś za tęgę — cóżeś za tęgę,
Do siebie Maryś miała,
Coś ty odemnie — coś ty odemnie,
Da i podarunki brała.
Wiernie ci służył — na ciebiem się dłużył,
I podarunkim kupował;
Wiedzieli ludzie — i sam Pan Jezus,
Żem ciebie wiernie szanował.
Cobym ja wiedział — cobym ja wiedział,
Którędybyś chodzić miała,
Kopałbym dołki — stawiałbym stołki,
Ażebyś szczęścia nie miała.

Nazajutrz w dzień ślubu, gdy już goście zebrani, druchny ubiérają pannę młodą w białą lub jasną sukienkę. Uczesawszy jéj głowę, zdobią ją wstążkami i kwiatami, wplatają we włosy rozmaryn i rutę, panu młodemu przypinają do boku równiankę z rozmarynu związaną białemi i czerwonemi wstążkami, a drużby stroją swe czapki w kogucie lub pawie piórka. Przed samym wyjazdem druchny śpiewają:

10. A zabiérajże się Maryś moja, zabiéraj,
Niech się twoja kompania po podwórzu nie téra.
Już-ci ja się moi dobrzy ludzie wybrała,
Tylkom od matki jeszcze błogosławieństwa nie miała.
A upadnijże już Maryś moja przez progi.
A obejmijże już twoję matuleńkę za nogi.
A zabiérajże się Maryś moja, zabiéraj,
Niech się twoja kompania po podwórzu nie téra.

Jużci ja się moi dobrzy ludzie wybrała,
Tylkom od ojca jeszcze błogosławieństwa nie miała.
A upadnijże już Maryś moja przez progi,
A obejmijże już twego tatula za nogi.

A zabiérajże się moja Maryś, zabiéraj,
Niech się twoja kompania po podwórzu nie téra.
Jużci ja się moi dobrzy ludzie wybrała,
Tylko od wszystkiéj rodziny błogosławieństwa nie miała.
A upadnijże moja Maryś przez progi,
A obejmijże już twoję rodzineczkę za nogi.

Podziękuj w izbie — podziękuj w sieni,
podziękujże w komorze.
A podziękujże tym wszystkim ludziom,
co tu stoją na dworze.

Panie ojcze, serce moje,
Pobłogosław dziatki swoje:
Do kościoła, do Bożego,
I do stanu małżeńskiego.

Pani matko, serce moje,
Pobłogosław dziatki swoje:
Do kościoła, do Bożego,
I do stanu małżeńskiego.

A już jedziemy — już wyjeżdżamy — z nami Marysia nie chce,
O moja matulu — moja kochana, błogosławże mnie jeszcze.
A już jedziemy — już wyjeżdżamy — z nami Marysia nie chce,
O moja rodzino — moja kochana — błogosławże mnie jeszcze.
Rozgłaszajże ty panie wesoły — rozgłaszaj, rozgłaszaj (głośniéj graj),
I ty Wojtysiu — swego tatula — przepraszaj, przepraszaj.
Rozgłaszajże ty panie wesoły — rozgłaszaj, rozgłaszaj,
I ty Wojtysiu — swoją rodzinę — przepraszaj, przepraszaj.

11. Przede wroty — kwiatek złoty,
lilija — lilija,
Prowadźże nas do kościoła,
Marya — Marya.
Marysia idzie — lilija stoi,
mija ją — mija ją;
Matula idzie — a opłakuje,
Zbiéra ją — zbiéra ją.

Oj pieją kury, pieją kapłony,
da i wysoko na śliwie,
Oj prowadźże nas, mój mocny Boże
do kościoła szczęśliwie:
Do kościoła do Bożego
I do stanu małżeńskiego.

Tak się prosi o błogosławieństwo jeżeli są rodzice, jeżeli ich nie ma, tak:

12. Pozna sierotę — pozna,
Bo ojca, matuli nie ma;
Ona chodzi kole płota,
Płacze, krzyczy bo sierota.
Powstańże ojcze z grobu,
Błogosław dzieciom do ślubu.
Ciężko mnie ciężko z grobu wstać,
Błogosławieństwo dzieciom dać.
Są ci tam ludzie na świecie,
Pobłogosławią sierocie.

Podczas tych pieśni, państwo młodzi padają do nóg rodzicom i przepraszają ich, ci zaś im błogosławią; wtedy wszędzie pełno płaczu i łkania. Drużbowie dają znać że już czas w drogę.

13. A siadajże na wóz — warkoczki se załóż,
czegoż będziesz płakała?
Od ojca od matki — zabierzesz dostatki,
czegoż będziesz płakała?

Potém sadzają pannę młodą z druchnami na wóz, muzyka rozpoczyna marsza lub wesołą przygrywkę (14), drużbowie wsiadają na koń, i cała gromada cwałem do kościoła pogania. Starszyzna niekiedy pozostaje w domu oczekując powrotu młodéj pary. Obrzęd ślubny powinien się koniecznie przed ukończeniem nabożeństwa rannego odbyć; jeśli się bowiem spóźnią, kapłan odkłada ceremonią na następną niedzielę. Nim wejdą do świątyni, druchny śpiewają a drużbowie im odśpiewują:

15. Pod borem sosna, pod nią topola!
Nie chodźże tam moja Maryś, boć tam niewola.
Niewola była, sama potrzeba.
Z tobą-ci się mój Wojtysiu, dorabiać chleba.
Powiédz-że mi raz, powiédz drugi raz,
Ten wianeczek, ten ruciany, komuż ty go dasz?

Tobie Wojtysiu, tobie najmilszy,
Jak klękniewa przy ołtarzu w kościele przy mszy.
Tam nam będą grać i ślub nam dawać,
Tam będziewa moja Maryś, nad sobą płakać.
Powiédz jeszcze raz, powiédz drugi raz,
Ten wianeczek, ten ruciany, jeśli mnie go dasz?
Dam go Wojtysiu, dam go najmilszy,
Jak klęknieva przy ołtarzu w kościele przy mszy.
Moje drużbeczki, dajcie chusteczki,
Da skoczę ja, da otrę ja, Marysi oczki,
Będziesz ucierać, ja płakać będę,
Bo jużci się i na wieki, wianka pozbędę.
Kiedy przed wiankiem, organy grają,
Już-ci się go i na wieki dziéwki zbywają.
Bodajże bodaj być dziéwką sobie,
Niźli służyć mój Wojtysiu, niż służyć tobie.
Moje drużbeczki, dajcie chusteczki,
Da skoczę ja, da otrę ja, Marysi oczki.
Ja jéj ucieram, ona wciąż płacze,
Da jużci ja moja Maryś wianek zapłacę.
Toć pójdę za cię, toć Boska wola,
Pod borem sosna, pod nią topola!

Po otrzymaniu błogosławieństwa kapłańskiego i wyszedłszy z kościoła, rzucają orzechy laskowe dzieciom na pamiątkę. Jeżeli się panna młoda wezwana do spowiedzi z wyjściem ociągała, druchny zaczynają nucić:

16. A gdzież nam się panna-młoda podziała?
A w kościele za ołtarzem została.
Do koła starszy drużebko, do koła,
Wyprowadźże pannę-młodą z kościoła.
Żałować ją drucheneczki żałować,
Złożyć jéj się na war piwa, darować.

Wracają jak przyjechali, szumno i gwarno. Przed wrotami zatrzymują się. Nim swachy puszczą do karczmy lub do chaty gdzie się rozpoczęło wesele, gromada śpiewa prośbę o wpuszczenie. Warstwę (strofę) śpiewają, warstwę wesołek gra.

17. Prowadź-że nas Panie Boże,
Oj do dworu na podwórze,
Bo tam pięknie podmiatają,
Bo się gości spodziewają.
Nie tak gości, byle gości,
Ale samego Boga z wysokości.

A mój ojcze wyjdź-że do nas,
Jak nie wyjdziesz, cóż-że po nas.

Wyglądasz mnie pani matko,
Wyglądasz-ci mnie z kościoła;
Cóż po twojém wyglądaniu,
Da kiedy ja już nie twoja.
Szeroki liść na kalinie,
Moja młodość marnie ginie,
Jeszcze szerszy na jaworze,
Wspomóż-że nas mocny Boże!

Oj-że jeno rozmaryonie,
Siewałam cię po zagonie,
Któż cię teraz siewać będzie,
Kiedy Maryś za mąż idzie?
Jest-ci jeszcze siostra młodsza,
Da ta ona nie dorosła,
Da ta ona siewać będzie,
Kiej Marychna za mąż pójdzie.
Ostań z Bogiem i ty progu,
Idę za mąż chwała Bogu,
I wy stoły i wy ławy,
Gdzie siadały grzeczne damy.

Pomaga Bóg! matko moja,
Kędyć-że to córka twoja?
Ona stoi przede wroty,
Rozczesuje warkocz złoty.
Pomaga Bóg! matko moja,
Kędyć-że to córka twoja?
Ona stoi przede wroty,
Opłakuje swojéj cnoty.
Pomaga Bóg! matko moja,
A kędy-że córka twoja?
Ona siedzi za stołami,
Pije piwko z pachołkami.

Puszczają ich. „Niech będzie pochwalony" i t. d.

Stąp prawą nogą na progu,
Będzie szczęście chwała Bogu.
Czyście nam radzi czy nie radzi,
Kłaniamy całéj czeladzi.
Całéj kompanii!
Całemu domowi!

W czasie powitań, starszy swat przyjmuje państwa młodych u progu chlebem i solą, poczém wprowadza ich do komory, gdzie oboje skosztować winni jaglanéj kaszy z mlékiem i sérem umyślnie dla nich przyrządzonéj, a to jak powiadają baby dlatego, żeby dzieci mieli białe. Daléj idzie gawęda, tną żarty i w pląsy aż do obiadu; gdy zasiądą do stołu, starszy drużba niosąc barszcz przemawia.

18. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Łaskawi przyjaciele,
Jadę do was śmiele,
Nie kolasą nie wozem,
Ale z darem Bożym.
Żebyście radzi pożywali,
Głodu nie zamierali.
Bo jak jeść nie będziecie,
Wszystkiego pozbędziecie.
Bo dziad stoi za drzwiami,
Z cielęcemi torbami,
Będzie zabiérać przed wami.

Siada wtedy wraz z innemi i zaczynają jeść barszcz (lub rosół), różne mięsiwa, jako flaki, kiełbasy, gęś, drób, prosięcinę i t. d. do tego kaszę jaglaną lub jęczmienną; wreszcie druchny wnoszą ogromną misę grochu, do którego (posługując godownikom) przyśpiewują:

19. Rośnie nam groszek przy drodze,
Co się nam plącze po nodze.
Koło niego swatuszkowie jechali,
I ku niemu czapeczek uchylali.
Tylko jeden nie uchylał,
Bo on w tym groszku przebywał,
A w tym groszku słonina,
Dla panny-młodéj nowina;
Będzie miała groszek ze słoniną,
Białe łóżeczko z pulchną pierzyną.
A w tym groszku jagły w nim,
Boże go rozmnażaj, jedzmy w nim.
W stodole go młócą, na stole go jedzą,
Trzeba go i tym dać co za piecem siedzą.

Resztki chleba i grochu dają dzieciom i ubogim, wtedy drużbowie powstają i wnoszą kołacz upieczony przez pannę-młodą, dzielą go między obecnych, a druchny siadając śpiewają:

20. A witajże z nami,
Kołaczu rumiany,
Od Pana Jezusa i Najświętszéj Panny,
Do starszéj swachny zesłany.
Swachny go pokrajcie,
Gościom go rozdajcie,
Niech go pożywają,
Panu Jezusowi i Matce Najświętszéj
Cześć i chwałę dajcie.

Po skończonym obiedzie, starszy swat wzywa śpiewem do powstania:

(21) Powstańcie drużbowie z za stoła,
Podziękujcież Panu Bogu i Matce Najświętszéj z obiada.
A drużbowie i swatowie powstali,
Panu Jezusowi i Matce Najświętszéj cześć i chwałę oddali.

Teraz druchny i drużbowie intonują:

(22) 1. Dziękujemy panu Bogu — da i tobie panie gospodarzu
Z panią gospodynią po obiedzie — po dobrym.
Toć tam były stoły — toć to wszystko cisowe,
Toć tam były ławy — toć to wszystko dębowe.
2. Dziękujemy panu Bogu — da i tobie panie gospodarzu
Z panią gospodynią po obiedzie — po dobrym.
Toć tam były obrusy — toć to wszystko bielone,
Toć tam były i szklanki — toć to wszystko zielone.
3. Dziękujemy i t. d.
Toć tam była gorzałka — toć to sama majchlarka,
Toć tam były i piwa — toć to wszystko z jęczmienia.
4. Dziękujemy i t. d.
Toć tam były łyżki — toć to wszystko cynowe,
Toć tam były chleby — toć to wszystko pytlowe,
5. Dziękujemy i t. d.
Toć tam były miski — toć to wszystko gliniane,
Toć tam były placki — toć to pszenne nie inne.
6. Dziękujemy i t. d.
Toć tam była cebula — toć to wszystko z Torunia,
Toć tam była pietruszka — toć to wszystko ze Gdańska,
Toć tam były przyprawy — toć to wszystko z Warszawy.
7. Dziękujemy i t. d.
Toć tam były pieczenie — toć to wszystko jelenie,
Toć tam była kapusta — toć tam była rozpusta,
I za stoły i za ławy,
I za przepyszne potrawy,
Za wszystko wam dziękujemy,
Tylko jeszcze piwka chcemy.

Teraz do tańca pójdziemy,
Daléj panie wesoły!

Obracając się do starszego drużby, który taniec z panną-młodą powinien rozpocząć:

Oj nie raźny starszy drużba — nie raźny,
Bo druchniczki za stołem pomarzły.
Sam se starszy drużba, sam se rad,
Ono chodzi po zapiecku kieby dziad.

Wtedy rzucają się rzeźko w taniec mężczyzni nasunąwszy czapki na ucho, dobierają sobie pary i kręcą się ruchem wirowym wkoło nakształt walca, lecz w odwrotnym kierunku, czyli na lewo: jestto obertas z miejscowemi modyfikacyami. Niekiedy tańczą krakowiaka a starzy poloneza. Polonez ten jednak zwany tu *pieszkiem*, albo *wielkim*, inaczéj się nieco tańczy jak w zgromadzeniach szlacheckich, bo tancerz jedną ręką objąwszy kibić tancerki, drugą wolną podnosi do góry i tak przed siebie sunie się potupując i podrygając. Wśród tańca, ten i ów wyrywa się z ucinkiem lub dwójznacznym konceptem do muzyki. Panuje tam gwar powszechny, żarty, śmiechy, uściski, oświadczenia, pijatyka. Ochota przeciąga się późno w noc, poczém przystępują do oczepin panny-młodéj. Wówczasto druchny i drużba zaczynają znaną piosnkę o chmielu.

(23). Oj chmielu, chmielu, ty bujne ziele,
Nie będzie bez ciebie, żadne wesele.
No chmielu, no nieboże,
To na dół, to po górze,
Chmielu nieboże.
Żebyś ty chmielu na tyczki nie lazł,
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast.
No chmielu i t. d.
Ale ty chmielu na tyczki włazisz,
Nie jedną pannę wianeczka zbawisz.
No chmielu i t. d.
Oj chmielu, chmielu, ty rozbójniku,
Zdradziłeś pannę na pastewniku.
No chmielu i t. d.
Oj chmielu, chmielu, na tobie rosa,
Nie jednego ty wytrząśniesz grosza:
Czyto chłopek — czyto panek,
Lubi wypić piwa dzbanek.
No chmielu i t. d.

W ciągu owego śpiewu, zasadzają pannę-młodą na stołku. Kiedy ją druchny rozbierają, swachna starsza wziąwszy siatkę, obchodzi towarzystwo, prosząc gości o jaki datek pieniężny na czépek, do czego druchny przyśpiewują:

24. Moje miłe sąsiadeczki,
Nie żałujcie téj siateczki.
Wyjadłyście, wypiłyście,
Na czépeczek nie dałyście.
Maryś siedzi między wami,
Jako kołek ociosany,
Trzeba jéj dać na czépeczek,
Bo straciła swój wianeczek.
Trzeba jéj dać na garnuszek,
Bo jéj się stłukł bębeluszek.
Trzeba jéj dać na łyżeczkę,
Trzeba jéj dać na miseczkę,
Trzeba jéj dać nie żałować,
Trzeba się nad nią zlitować.
Trzeba jéj dać na sitko,
Trzeba jéj dać na wszytko.

Starsza druchna imieniem panny-młodéj śpiéwa rzewnie:

25. Moja matulu, moja kochana — biorą mi wianeczek;
Moja matulu, moja kochana — kładą mi czépeczek:
Moja matulu, moja kochana — biorą mi ruciany,
Moja matulu, moja kochana — kładą mi niciany.

Nie chciałaś chodzić moja Marysiu w wianeczku,
Oj chodźże teraz moja Marysiu w czépeczku.
Nie chciałaś chodzić moja Marysiu w rucianym,
Oj chodźże teraz moja Marysiu w nicianym.

Oj dalekoż mnie moja matulu,
da i od siebie wydajesz,
Oj niedaleczko — oj przez poleczko,
oj da i tylko za wieś.
Obiecałaś mnie moja matulu,
da i w daleki kraj wydać;
Zapowiadałaś — upominałaś,
żeby u ciebie nie bywać.

Potém druchny do panny-młodéj obróciwszy się:

26. Jużto precz Marysiu — jużto precz!
Porzuć wstążki na gałązki — wdziéj czépiec.
Oj zrobię ja swéj matuli uciechę,
Porzucę ja swój wianeczek na strzechę.

Otóż tobie pani matko uciecha,
Nachodzi się w moim wianku i strzecha.

Po oczepinach, wykręciwszy się w tańcu ze swachną, drużbą, dziewosłębem i innemi, dostaje się nareszcie do rąk pana-młodego, którego dotąd starannie unikała; lecz wtedy nie mogąc się wymknąć, udaje kulawą i opór stawia; on zaś rozdąsany nie uznając jéj za swoję i utrzymując że to jakaś szkaradna baba a nie jego Maryśka, oddaje ją swachnie i ustępuje na stronę. Druchny śpiewają:

27. Gdzież się podział nasz pan-młody,
Obiecał nam ceber wody,
Oj nie wody, gorzałeczki,
Nie damy mu Marysieczki.
A gdzieżeś ty niezdarzony,
Nie godzieneś takiéj żony,
Daj nam gorzały z baryły,
By ci się chłopcy darzyły.

Scena ta kilka razy się powtarza: pan-młody udobruchany chciałby wykupić swoję lubą, szuka jéj, lecz swachna mocno ją trzyma śpiewając:

Póty Marysi nie wydam,
Póki piweczka nie zyskam;
A ja to mówię nie na żart,
Bo to Maryś toć to skarb.

Pan-młody pije w ręce swachny, oddaje jéj flaszkę i szklankę, a sam odbiéra pannę-młodą, i wtedy już w najlepsze z nią bez żadnéj przeszkody wywija. Taniec trwa do białego dnia.

Na trzeci dzień, gdy zeszedł cały czas na biesiadach, tańcach i śpiewach (niemających wszakże bezpośredniéj styczności z weselnemi), kiedy radanierada wyprowadzoną bywa nowozaślubiona z mieszkania rodziców celem udania się do mężowskiego, towarzyszące druchny śpiewają jeszcze w progu na odchodném następującą pieśń:

28. Dobranoc ci panie ojcze,
Wydałeś mnie w cudze ręce;
Kogóżci wydawać będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?
Dobranoc.
Dobranoc ci pani matko,
Chowałaś mnie zawsze gładko,

Kogóż teraz chować będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?
Dobranoc.
Dobranoc ci miły bracie,
Nieraz się na mnie gniéwacie,
Na kogóż się gniewać będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?
Dobranoc.
Dobranoc ci młodsza siostro,
Coś mi się stawiała ostro,
Komuż tak stawiać się będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?
Dobranoc.
Dobranoc wam miłe ściany,
I ty piecu malowany,
Któż cię tam malować będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc wam i wy stoły,
Com was myła co wieczory,
Któż was teraz mywać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc i wy podwoje,
Wspiérały się ręce moje,
Któż się teraz wspiérać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc wam i wy progi,
Co chodziły moje nogi,
Któż tu teraz chodzić będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc wam i wy łyżki,
Jadały tu towarzyszki,
Któż tu teraz jadać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc wam wy talerze,
Jadały tu kawalerze,
Któż tu teraz jadać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?
Dobranoc.
Dobranoc ci i ty dzbanie,
Byłeś u mnie na wydanie,

Po piweczko do karczemki,
Już tu niéma Marysieńki,
Dobranoc.

W imieniu rodziców śpiewają na zakończenie wszyscy pieśń pożegnania, polecając pannę-młodą opiece Boskiéj:

A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże se Pana Jezusa na pomoc.
A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże se Matkę Najświętszą na pomoc.
A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże wszystkich świętych na pomoc.

Na tém się kończy obrzęd weselny w tych stronach.

(d. c. n.). *Oskar Kolberg.*

Der Starost und sein Nachbar *i* Die Reise ohne Ziel, *powieści Fr. hr. Skarbka, niemiecki przekład Edwarda von Lossow. Berlin.* 1845.

Piśmiennictwo krajowe, wzbogacane od pół wieku dziełami, którym powszechnie przyznano wartość i postawiono obok najcelniejszych, jednak nie doszło jeszcze tego rozwinięcia wszechstronnego, jakiém literatury narodów przodkujących w sprawie cywilizacyi odznaczają się; nie posiada ono tyle zasobów źródłowych i żywotnych, aby niemi obcych, nie mówię, zasilać mogło, lecz przynajmniéj nie tak wiele od nich brać potrzebowało. Jak więc za rzecz zwyczajną uważa się u nas widziéć przekłady dzieł obcych, tak przeciwnie za osobliwą i rzadką poczytują się przekłady dzieł naszych na którykolwiek z zachodnich języków. Dlatego każde obznajamianie zagranicznych czytelników z polskiemi dziełami, jest rzeczywistą i nieobojętną dla nas przysługą. Zdoła ona z czasem postawić nas w wyobrażeniu obcych pisarzy na tym znakomitym stopniu postępu, do jakiego czujemy już miéć prawo, pomimo odzywającego się jeszcze gdzieniegdzie zaprzeczania lub niechętnego przyznawania.

Niemiecka czytająca publiczność, lubo nam sąsiednia, należy przecie do najmniéj z pismami naszemi obeznanych. Z przyjemnością więc przychodzi nam donieść o powziętém przed parą laty w Berlinie przedsięwzięciu wydawania niemieckich z polskiego tłumaczeń, pod napisem: Biblioteki tłumaczeń pism wyborowych tegoczesnéj polskiéj literatury (*Uebersetzungs-Bibliothek ausgewählter Schriften der modernen polnischen Literatur*). Ze zbioru tego, mamy pod ręką tłumaczenia wyszłe w r. 1845 dwóch znanych i oddawna cenionych powieści Fr. hr. Skarbka, pod napisem *Pan Starosta* i *Podróż bez celu*. Cieszymy się że, tłumacz niemiecki p. Edward von *Lossow*, obrał sobie za przedmiot pracy dzieła pisarza, który przez łatwe, prawdziwe a zarazem obrazowe malowanie krajowych położeń towarzyskich, zyskał nader zasłużone imię jednego ze znakomitych naszych powieścio-pisarzy. Niedawno ogłoszone przez hr. Skarbka *Pamiętniki Seglasa*, dostatecznie utwierdziły publiczność czytającą w zdaniu, że pochwycenie charakterów wieku i społecznych wydatności, główną, prawie wyłączną jego zaletą zawsze pozostanie; prowadzi ona do przekonania, że nie należy za konieczny warunek dobréj powieści, uważać dramatyczności położeń lub rażącéj jaskrawości wypadków; bo i owszem, skoro zadanie powieści polega na oddaniu w mocnych i śmiałych rysach najwydatniejszych cech pewnego stanu społeczeństwa w czasie oznaczonym, potrzeba tylko uchwycenia i nakréślenia obrazu tego wypadkami prawdziwemi i pełnemi życia, przeplatając je niekiedy głęboko pomyślanemi uwagami nad społecznością, która jest przedmiotem powieści. Wiémy, że co do tego zdania, można liczne napotkać zaprzeczenia, oparte na przykładach obcych romanso-pisarzy, w innym zupełnie kierunku postępujących; niemniéj jednak znajdujemy tę pociechę, że niemiecki *Pana Starosty* i *Podróży bez celu* tłumacz, zapatrywał się na powieści hr. Skarbka ze stanowiska dopiéro przez nas oznaczonego. W przedmowie bowiem do piérwszego tomu swego wydania mówi: „Gdyby czytelnik szukał w téj książce (Pan Starosta) natłoku naprężonych idei i nienatu-

ralnych obrazów, jakie w dzisiejszych romansach zbyt często napotykają się, ten w oczekiwaniu swém zupełnie byłby zawiedziony..... Tu przedstawiają się tylko wypadki ze zwykłego pożycia ręką mistrzowską i z prawdą, wybornie przez hr. Skarbka skréślone, i dlatego każdy, kto nie ma zepsutego lub spaczonego smaku, pewnie bez zupełnego zadowolnienia dziełka tego z ręki nie wypuści." Poprzednio już w r. 1844, wyszło niemieckie tłumaczenie, wzorowéj tegoż autora powieści: *Życie i przypadki Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego* przez p. A. Mauritius; zapowiedziane oraz było drugie dzieła tego tłumaczenie przez pastora Gizewiusa. Gdybyśmy radzić mogli niemieckim tłumaczom dalszy wybór w powieściach hr. Skarbka, zalecilibyśmy im wspomniane wyżéj Pamiętniki Seglasa. Malując doskonale Warszawę i część kraju w czasie gdy pod panowaniem rządu pruskiego zostawała, dla czytelników niemieckich podwójne nastręczyłyby zajęcie. O tłumaczeniu samém powiedzieć można, że jest łatwe i wierne; a niektóre usterki gdzieniegdzie natrafiające się, po większéj części pochodzą z niedostatecznego znania miejscowości. Zawsze jednak od miłośników polskiego piśmiennictwa należy się wydawcom niemieckim wdzięczność, za przeniesienie do zachodnich sąsiadów naszych, celniejszych płodów lekkiéj tutejszéj literatury.

Ig. S.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Często się trafia, że konduktory elektryczne na domach urządzane, w czasie burzy zawodzą a nawet przyczyniają się do większych zniszczeń. Przyczyny tego szukać należy, albo w piérwotném niestosowném ich ustawieniu, albo w nadpsuciu niektórych części wchodzących w skład całego łańcucha metalowego, wyprowadzającego elektryczność z ziemi. To ostatnie mniemanie poparte zostało ściślejszém wyśledzeniem drogi jaką przebiegała iskra piorunowa, spadła na gmachy złemi konduktorami zabezpieczone. Po większéj części iskra spływając po prętach i dachach metalowych, jeżeli w skutek wyżarcia przez rdzę, napotka w pewném miejscu konduktora silny opór, wtedy przeskakuje do przyległych we wnętrzu gmachu znajdujących się metalowych części, zapalając napotkane na drodze drzewa lub inne łatwo palne ciała. Taki nieszczęśliwy przypadek miał niedawno miejsce przy zapaleniu Ausgari wieży w Bremen.

Opiszemy tu nowe urządzenie konduktorów, projektowane przez p. Wagner dla zakładu głuchoniemych w Frankforcie nad Menem. (Niedawno piorun uderzył w ten gmach odosobniono stojący i znaczne w nim porobił zniszczenia). Ta nowa budowa konduktorów tém się szczególniéj zaleca, iż z łatwością pręty mogą być poddane próbie sprawdzającéj możność ich działania w czasie burzy.

Oprócz zwykle praktykowanéj kombinacyi żelaznych prętów i ich osadzenia, znanych pod ogólną nazwą konduktorów, na wspomnionéj budowli, pod pokryciem dachu (w téj budowli dach jest płaski), znajduje się drut miedziany, łączący dwa przeciwległe rogi dachu. Te druty osadzone są w mosiężne (na 3 cale) grube, smołą powleczono pręty, które następnie blizko muru spuszczając się, zakończają się w ziemi podwójnym krzyżem poziomym z walcowanego ołowiu. Chcąc poznać, czyli koło między temi podwójnemi konduktorami, u góry przez zlutowania, u dołu zaś przez pośrednictwo ziemi utworzone, nie przedstawia przerwy dla przepływu iskry, wykręca się mała część pręta nie wysoko nad ziemią będąca i naumyślnie opatrzona śrubami z obu stron. Końce tak przerwanego konduktora, łączą się z biegunami stosu galwanicznego; biegun ujemny z częścią w dół idącą, a dodatni z częścią do góry wznoszącą się. Następnie z dwóch innych prętów wchodzących w skład konduktora gmachu, łączy się jeden z spiralną obwijającą kawał żelaza, drugi zaś służy do tego, aby przez zbliżenie do spiralnéj, żelazo w elektromagnes zamienić. Igiełka magnetyczna zawieszona w pobliskości powyższego elektromagnesu, skoro jest przyciąganą przez niego w chwili zamykania stosu, świadczy o przepływie strumienia elektrycznego po całéj kombinacyi drutów składających konduktor gmachu. Jeżeli bowiem strumień galwaniczny w skutek wielkiego oporu np. rdzą zjedzonego druta krążyć po konduktorze nie może, wówczas i igiełka magnesowa nie zboczy: ztąd łatwo wnieść, że piorun spływając po podobnym konduktorze, stopi miejsce opór jego przepływowi stawiające i przeskoczy do blizko leżącego dobrego przewodnika w wnętrzu gmachu. Proste to doświadczenie ze stosem galwanicznym wypada powtarzać co wiosna, aby się przekonać czyli w czasie zimy przez słoty nie nastąpiło przerwanie kommunikacyi z ziemią. (*Annalen der Physik und Chemie. Poggendorf.* 1846 *n.* 12).

* Od chwili gdy w meteorologii oceniono ważność dokładnie, regularnie, w pewnych epokach dnia czynionych obserwacyj klimatologicznych, poznano zarazem wielką ulgę

jakaby pośrednio dla téj nauki spłynęła z urządzenia aparatu zdolnego do zapisywania niektórych zmian stałych w naszéj atmosferze. Liczne też były podobnych instrumentów próby. W Warszawie pod zégarem w gmachu bankowym, daje się widzieć wielka tablica stanowiąca zewnętrzną część registratora klimatologicznego, podobno tylko zaczętego przez sławnego w dziejach przemysłu inżyniera-mechanika Girarda.

Przed podaniem wiadomości o zbudowaniu nowego instrumentu tego rodzaju, wspomnę parę słów o celu, warunkach i głównéj korzyści dla nauki z tych apparatów.

Same nazwiska meteorografów, atmosferycznych registratorów i t. p. (niéma dotąd ustalonego nazwania, bo i brak dokładnego instrumentu), wskazują, że celem tych instrumentów, ma być zapisywanie ciągłe zmian niektórych pojawów atmosfery, jakoto: ciśnienia powietrza, temperatury, wilgoci, kierunku i siły wiatru, mocy parowania wody i t. d. Naturalną jest rzeczą, że im większą liczbę zmian podobny instrument może notować, tém odpowiedniejszym jest swemu przeznaczeniu. Zwykle przy tych instrumentach znajduje się zégar, tak dla uzupełnienia obserwacyi, jak i dlatego, że jego mechanizmu najlepiéj użyć można do obrotu cylindrów, z których jedne odwijają a drugie na siebie nawijają ciągłe arkusze papiéru. Na przesuwającym się papierze, ołówek kréśli linie krzywe lub kropki wytyka.

Jak wiadomo, żaden mechanizm, nawet najdokładniejszy, nie jest w stanie z ścisłością wymaganą dziś od obserwacyj klimatologicznych zapisywać zmian różnych fenomenów. Oko i uwagę obserwatora trudno bardzo zastąpić sztucznym mechanizmem. Każda więc zanotowana przez meteorograf obserwacya, jest złączona z błędem, będącym głównie wynikłością dość skomplikowanego mechanizmu. Idzie tylko o to, żeby meteorograf przedstawiał wypadki zanieczyszczone błędami stałemi, te bowiem przez kilkakrotne porównanie z dokładnemi instrumentami właściwemi do każdego pojawu, łatwo poznanemi, a następnie do rachunku wprowadzonemi być mogą. Rozpoznana zaś w po-

kazaniach instrumentu bytność błędów przypadkowych, odejmując zaufanie w wypadkach, czyni tém samém instrument mało pożytecznym w nauce. Taki błędny apparat służyć zaledwie może do przybliżonego oznaczenia w pewnéj chwili różnych pojawów atmosfery; przynajmniéj do dziś dnia (o ile nam wiadomo), zapisywanie zmian w atmosferze przytrafianych, zwykle na obserwatoryach czynione, przez żaden meteorograf zastąpionem być nie może.

Są przypadki, w których na powyższy sposób mechanicznie czynione obserwacye, mają piérwszeństwo przed obserwacyami zwykle w podobnych razach przez interpolacyą branemi. Przytrafiają się różne chwilowe np. ogniowe lub inne meteory w czasach środkujących pomiędzy raz przyjętemi na obserwatoryach epokami; takie fenomena nie posiadają tém samém jednoczesnych obserwacyj innych pojawów lub może raz zanotowane. Meteorograf w tym razie wskazując odpowiedni stan barometru, termometru i t. d. może podać zarazem, co najważniejsza, raptowne ich zmiany w ciągu trwania całego zjawiska zachodzące. I to stanowi główną zaletę tych instrumentów. Dowiadujemy się, iż p. Dolond urządził meteorograf zapisujący aż ośm pojawów atmosferycznych; notuje barometr, termometr, hygrometr, elektrometr, udometr, ilość wyparowanéj wody, siłę i kierunek wiatru, i czas. Następujące szczegóły o swym instrumencie podał towarzystwu angielskiemu:

Barometr, termometr mają zapisywać swe zmiany ciągle; hydrometr wskazuje wielką zmianę od największéj suszy do największéj wilgotności; elektrometr złączony z konduktorem gmachu, notuje wszystkie błyskawice i najmniejsze pojawy elektryczne: udometr ma wskazywać każdą kroplę dészczu, i mierzyć ilość wody spadłéj na każdy cal powierzchni, przytém tak jest urządzony, że gdy woda wzniesie się w naczyniu do wysokości cala, wtedy apparat się wypróżnia i zaczyna swe działanie dla innego cala wysokości. Mierzenie wyparowanéj wody ma miejsce na wolném powietrzu, i odbywa się proporcyonalnie do pewnéj powierzchni, nadto tak jest zabezpieczony, że żadna kropla dészczu

wniknąć weń nie może. Siła wiatru oznaczoną jest za pomocą ciężarów, od jednéj uncyi do 30 funtów, wyobrażających parcie powietrza na deszczułkę powierzchni stopy kwadratowéj. Kierunek wiatru najtrudniejszy do ciągłych obserwacyj, okazywanym jest na papiérze przez koła, które na piérwsze wejrzenie wszelkie zmiany przedstawiają; np. gdy wiatr zmienia się z północnego na południowy lub z wschodniego na zachodni, chwila w któréj zaszła zmiana, oznaczoną jest punktem zwrotu, w którym ołówek kréślący koła z jednego kierunku w drugi się zwraca. Zapytany o cenę swego instrumentu (jeden podobny już ukończony działa w Camberoell) p. Dollond odpowiedział, iż każdy kosztować będzie około 6,000 złp. (150 f. szter.). (*L' Institut n.* 678. 1846 *Decembr.*).

* Prof. Schonbein (w Bazylei), przyrządza papiér łatwo przez potarcie elektryczność wzbudzający. To odkrycie z wielką korzyścią użytém zapewne będzie przy robieniu maszyn elektrycznych, i elektroforów; zniknie potrzeba wielkich tafli i walców szklanych, kosztownych a prędkiemu zepsuciu podległych.

Papiér elektryczny datuje swe istnienie od połowy zeszłego wieku; wykryto bowiem, iż optyk i mechanik w Bern nazwiskiem Mumenthaler, w roku 1778 zbudował maszynę elektryczną, w któréj tafla szklana zastąpioną była przez inną z papki papiérowéj stosownie przyrządzonéj, nie wymagającéj ani amalgamatu, ani innych pomocniczych środków do wzbudzenia elektryczności. (*Annalen der Phy. Poggendorf.* 1846, *n.* 12). *S. P.*

CHEMIA.

Przed kilku laty zwracał uwagę publiczną Gmelin, na niebezpieczeństwa wynikające z używania papiéru zielonego, zafarbowanego solami arszenikowemi i miedzianemi. Nowsze spostrzeżenia udzielone przez powyższego uczone-

go professora, kommissyi zdrowia W. ks. Badeńskiego, przywodzą się do następującéj treści:

Już Liebig w r. 1836 zastanawiał się nad szkodliwym wpływem na zdrowie, rzeczy kolorem zielonym pomalowanych. Gmelin zaś teraz przytacza przykłady niebezpieczeństwa, wynikłego z sypiania w pokojach wyklejonych papierem zielonym, któreto niebezpieczeństwo dla zdrowia ustało, ze zmianą sypialnego pokoju. Nadmienia nadto, że w pokojach z ścianami pięknym kolorem zielonym pomalowanemi, czuć się częstokroć daje woń odrażająca, która niezawodnie pochodzi od wyziewów arszenikalnych, może nawet połączonych z istotami organicznemi. Radzi więc nadawać kolor zielony ścianom pokojów wystawionych jedynie na południe, oprócz tego należycie je przewietrzać i w właściwym czasie ogrzewać; przy omiataniu zaś ścian zatykać sobie nos i usta.

Jakkolwiek zaś wydawca pisma z którego niniejsza wiadomość jest wzięta, zdaje się powątpiewać o niezawodności powyższych skutków; oświadcza jednak, że to tak nadzwyczajnie ważne dla zdrowia zagadnienie, oczekuje jeszcze stanowczego rozwiązania, zwłaszcza po następném zawiadomieniu p. Louyet, utwierdzającém doniesienie Gmelina. Chemik powyższy (p. L.) sądzi, że woń wydobywająca się w pokojach wybitych papierem zielonym, pochodzi od szczególnego wodoródka arszenikowego gazowego, zapach wydającego; myśl swoję popiéra on doświadczeniem, które jakkolwiek nie stanowcze, zawsze przy rzeczy tak ważnéj, zdrowie ludzkie obchodzącéj, na uwagę zasługuje. (Treść z pisma *Journal de Chimie Médicale. Novem.* 1846 *r.*).

* P. K. Hermann znalazł w minerale syberyjskim zwanym Itro-tantalitem, kwas szczególnego kruszcu, bardzo podobnego do tantalu, i ten metal nazwał Ilmenem (Ilmenium), od nazwiska góry Ilmen niedaleko Miaska leżącéj, w któréj minerał odkryto. (Toż samo pismo *Decem.* 1846 *r.*).

* *Ogólna przeciwtrucizna przy otruciach istotami mineralnemi i sinnikowemi.* P. Duflos wiele razy miał sposobność przekonać się o skuteczności siarczyku żelaza wo-

drugo (sulfure de fer hydraté), w otruciach przez istoty metaliczne; jednakowoż ta przeciwtrucizna nie robi skutku przy otruciach sinkiem merkuryuszu. Przez dodanie jednak magnezyi, niszczy się działanie trujące i téj soli; niniejsza wszakże mieszanina nie wstrzymuje skutków kwasu pruskiego: potrzeba przeto jeszcze do niéj dodać wodanu niedokwasu piérwszego żelaza (protoxyde de fer hydraté). P. Duflos zaleca więc jako przeciwtruciznę ogólną, w przypadkach otrucia przez związki sinnikowe lub metaliczne, mieszaninę zrobioną z siarczyku żelaza, niedokwasu żgo żelaza i magnezyą; wszystko razem zawieszone w wodzie. (*Journal de Pharmacie et de Chimie. Janvier* 1847).

* W dniu 23 listopada 1846, czytał p. Louyet w akademii umiejętności w Paryżu rozprawę pod napisem: nowe poszukiwania tyczące się wydzielenia fluoru, składu fluorków i wagi atomicznéj fluoru: w pracy powyższéj wspomina autor o usiłowaniach pp. Davy oraz G. Knox i Th. Knox, tyczących się wydzielenia fluoru. Powtarzając doświadczenia pp. Knox, używał p. L. suchego chloru dla rozłożenia fluorków, następnie zaś do tego celu zastosował jod. Obadwa rzeczone ciała dały mu wypadki podobne otrzymanym przez pp. Knox. Na mocy niniejszych doświadczeń sądzi p. L. że fluor jestto gaz bezkolorowy, woniejący, niebielący kolorów organicznych, rozkładający wodę w temperaturze zwyczajnéj, przy przystępie światła słabo działający na szkło, a wtenczas tylko na złoto i platynę, gdy świéżo się wywiązuje. (Treść z pisma *L'Institut n.* 673 *z r.* 1646).

J. B...a.

Obecność miedzi i arszeniku w rudach żelaza, w źródłach mineralnych i w gruntach.

(Journal f. prak. Chem. Erdmanna i Marchanda z 1847 r. Heft. 2).

Prof. Walchner, członek dyrekcyi górniczéj w W. ks. Badeńskiém, z obowiązku swego rozbiérał wiele rud żelaznych,

które huty tamtejsze wytapiają. W badaniach tych, oprócz poznania bogactwa (gehalt), i topliwości rudy, zwracając uwagę szczególniéj na domieszania obce, których pierwiastki mogą przejść do żelaza i dobroci jego szkodzić, przekonał się z licznych doświadczeń w długim ciągu lat zebranych, że miédź i arszenik, uważane za pierwiastki w rudach żelaza rzadkie, i do niektórych tylko miejscowości przywiązane, są w nich nadzwyczaj upowszechnione. Każda ruda żelaza zawiéra je w małéj ilości; niektóre zaś są tak bogate, że do wyrabiania żelaza stają się nieprzydatne, albo tylko przy zachowaniu właściwego postępowania, mogą być użyte.

Bytność obu ciał łatwo się wykrywa, gdy przez roztwór rudy w kw. solnym, strumień wodorodu siarkowego tak długo będzie prowadzony, że chlornik żelaza ($Fe_2 Cl_6$) zamieni się w chlorek ($Fe Cl_2$), i rozciek po kilku dniach spoczynku, wyziewa silny zapach wodorodu siarkowego. Osad przez to strącony, brunatny albo żółty, badany środkami których się używa do odkrycia miedzi i arszeniku, wydaje niewątpliwe ich reakcye.

Walchner wykrył miédź i arszenik w rudzie żelaza brunatnéj (Brauneisenstein), i szpatowéj (Spatheisenstein), następnie w żelazie bobowém (Bohnerz) formacyi Jura, które uważać należy za osady dawnych źródeł, obficie zlewających ziemię w rozmaitych peryodach jéj geologicznego wykształcenia; nakoniec w rudzie darniowéj (Raseneisenstein) która ciągle, pod naszém okiem i widocznie z wód źródłowych osiada. Wypadki te doprowadziły go do badania osadów okrowatych, rozmaitych źródeł mineralnych. Przy użyciu wszelkich ostrożności, w badaniach tego rodzaju koniecznych, przekonał się, że osady źródeł Griesbach Rippoltsau, Rothenfels i Steinbach w Schwarzwaldskiém, źródło Lamschied przy Hundsrücken, Brohlthal, Cannstadt, Ems, Schwarzbach, Wiesbaden i Pyrmont, niezaprzeczenie bytność miedzi i arszeniku okazują. Wszystkie te źródła, między któremi znajdują się oddawna znane i głośne z działań lekarskich, zawiérają miédź i arszenik, lecz w tak małéj ilości, że zapas ich porównać można z homeopatyczném roz-

cieńczeniem do cząstek milionowych. Dlatego nie można miéć obawy szkodliwego ich działania; przeciwnie, ze znanéj skuteczności lekarskiéj obu ciał, na pewne choroby użytych w najmniejszych ilościach, należy przyznać, że skuteczne działania tych źródeł, pochodzą od obecności miedzi i arszeniku.

Lecz dlaczego nie znaleziono ich w źródłach tylokrotnie badanych? Dlatego że ich nie szukano, albo działano na bardzo małych ilościach wody. Osady okrowate, ile wiadomo, nie były w tym względzie badane.

Ponieważ miédź i arszenik poznaliśmy jako stałych towarzyszów żelaza, należało więc spodziewać się ich obecności w gruntach żelazistych, z powodu obfitości rud żelaznych na powierzchni ziemi, ich łatwości wietrzenia, a przez to zamiany na ziemię gliniastą i orną. Piérwsze doświadczenia z gruntem żelazistym z okolic Wiesloch i Nussloch przy Heidelberg, okazały niewątpliwą obecność miedzi i arszeniku. Znaleziono je także w rozbiorze gliny w żelazo bogatéj, w żelazie Pallasa, i w kamieniach meteorycznych. Obecność miedzi i arszeniku w rudach żelaza, zasługuje na uwagę hutników; bytność w wodach mineralnych jest ważną dla ich działania lekarskiego; nakoniec upowszechnienie w glinie żelazistéj, w marglu i w gruntach, nie powinno być bez znaczenia w badaniach sądowo-lekarskich.

Podania Walchnera zwróciły uwagę chemików; wiele osadów źródeł mineralnych badano; w jednych arszenik znaleziono, w innych zaś nie. Wspomnieć tu należy, że w osadach tych arszenik zapewnie jest w stanie kwasu arszennego ($As_2 O_5$), dlatego może być łatwo pominięty, jeżeli przez kw. siarkowy (SO_2), lub inne środki, poprzednio nie był na kw. arszenikowy ($As_2 O_3$) zredukowany. Flandin badał wodę żelazną z Passy około Paryża, i nie otrzymał miedzi ani arszeniku.

Figuier i Mialhe, znaleźli go w wodach mineralnych niemieckich. W pozostałości od dobrowolnego odparowania wody Wiesbaden, Figuier odkrył arszenik sposobem Marsha, i za pomocą wodorodu siarkowego. Sądzi, że w niéj jest

w postaci kw. arszenikowego z sodą połączonego; że kwasorodek żelaza (F_2 O) opadając w stanie wodnianu kwasorodniku (Fe_2 O_3), zabiéra z sobą kw. arszenikowy. Chcąc ściśléj oznaczyć ilość arszeniku w wodzie Wiesbaden, przypuszczał, że pozostałość na brzegach źródła w dobrowolném parowaniu osiadająca, jest jednakowa z pozostałością, którą przez odparowanie otrzymał, i wodą wrzącą wyługował. Sam jednak uważa to za niezupełnie ścisłe; piérwsza bowiem jest bogatsza w kwasorodnik żelaza, a uboższa w krzemionkę.

Woda mineralna źródła Karlsbrunen w Wiesbaden z 1 litra zostawia 0,557 gram. materyi w wodzie wrzącéj nierozpuszczalnéj. W 200 gramach téj pozostałości, wyobrażającéj 353 litrów wody, znalazł Figuier 0,124 gram. arszeniku = 0,165 kw. arszenikowego (As_2 O_3); a zatém 100 litrów wody zawiérają 0,045 kw. arszenikowego. Pytanie, czy te 45 miligram. w 100 litrach wody zawarte, mogą miéć działania lekarskie? Płyn arszenikalny Boudina, używany w febrach, zawiéra tyle arszeniku, że go chory dziennie 5 miligr. zażywa; ilość ta odpowiada 11 litrom wody Wiesbaden. Kto więc ją codziennie pije i w niéj się kąpie, może połowę téj ilości zażywa. Wątpić zatém nie można, że działania terapeutyczne wody Wiesbaden, zależą od małéj ilości arszeniku. Działania innych wód, w których bardzo mały stosunek części stałych znaleziono, może także od powolnego zasobu arszeniku pochodzą.

* *O Saturacyach.* Pod nazwiskiem saturacyi, rozumieją roztwory kwasem węglanym nasycone. Dr. Mohr z Coblenz zwraca uwagę, że zwykły sposób ich wyrabiania jest dalekim od celu, jaki ma lekarz osiągnąć w ich przepisywaniu; ponieważ zamiast napoju musującego który ożywia i rzeźwi, dostaje się choremu napój mdły, papierami lakmusowemi, i mieszaniem w moździerzykach wymęczony. Lekarz i farmaceuta z całą sumiennością przykładają się do chybienia celu; lekarz przez to, że na recepcie żąda: *saturetur exacte*, aptekarz, że sumiennie chce temu zadosyć uczynić (*). Gło-

(*) Annal. der Chemie u. Phar. z r. 1847 nr. 1. czyli Tom 61 k. 81.

wny cel saturacyi został tyle z uwagi spuszczonym, że niektórzy lekarze powzięli przekonanie, iż w gruncie rzeczy jest obojętném, czyli saturacyą albo *kali aceticum* zapisują. Jestto niezawodna prawda, jeżeli lekarz nie poda dokładnego objaśnienia, jak ma być lekarstwo zrobione; jeżeli wymaga doskonałego zobojętnienia, czasami zobowiązuje do badania papierem lakmusowym; gdy nakoniec niewiadomo czy saturacya ma być filtrowana lub nie? Z tego powodu Mohr w aptece swojéj, wprowadził za wiedzą lekarzy nowy przepis robienia saturacyi z takim skutkiem, że ci co ten środek lekarski zarzucali, uważając go za bezskuteczny, teraz chętnie do niego powracają.

Zasady przyjęte są:

1) Każda saturacya, powinna być bez pomocy moździerza i filtru wyrobiona w tém samém naczyniu, w którém ma być do użycia oddana, ażeby wywiązujący się kw. węglany całkowicie albo w największéj części przez rozciek został połknięty. Dlatego kwasy i alkalia używane, powinny być znane co do wartości acidimetrycznéj i alkalimetrycznéj.

2) Przy saturacyi niecała ilość alkali ma być rozłożona; lepiéj jest, gdy zamiast kwasu wolnego, nieco dwuwęglanu przemaga. Już używano ze skutkiem dwuwęglanu potażu zamiast napoju musującego. Ponieważ lekarstwo w téj formie, przepisują przeciw osłabionéj działalności żołądka i przewadze w nim kwasów, przeto dwuwęglan alkali, dwojakiemu celowi odpowiada, tojest, usuwa kwasy żołądka, i wywiązuje w nim kw. węglany.

Na tych zasadach, przyrządzanie saturacyi wykształciło się w sposób następujący:

Naprzód odważa się w fiolce aptecznéj czysty roztwór alkali (węglan potazu, sody lub amoniaku) wiadomej tęgości. *Liquor Kali carbonici* zwykle w aptekach używany, zawiéra $\frac{1}{3}$ węglanu potazu; *Liquor amonii carbon.* ma $\frac{1}{6}$ węglanu amoniaku. Piérwszego więc odważa się 3 części, drugiego 6 cz. ażeby miéć 1 cz. alkali. Węglan sody odważają w czystych kryształach, i w całéj ilości wody rozpuszczają. Po węglanie dodają się inne ingredyencye przepi-

sane np. *Aq. Amygd. amar.*, i syrop. Jeżeli przepisano krople np. *Tinct. opii*, te przedewszystkiém odlicza się do naczynia. Następnie dodaje się całą ilość wody, i wszystko przez kłócenie miesza. Naczynie (flaszeczka do lekarstw) ze wszystkiém co zawiéra, umieszcza się na 5 minut w wodzie świéżéj dla ochłodzenia. Korek już dobrany powinien być pod ręką. Kwas (zwykle dobry ocet winny), poprzednio dokładnie odmierzony dodaje się do flaszeczki, tę natychmiast zatyka korkiem i obwiązuje szpagatem, podobnie jak butelki wina szampańskiego. Po umocowaniu korka, stawia się flaszeczkę w zimną wodę i lekko porusza, co należy powtórzyć po niejakim czasie, ażeby się rozcieki zwolna zmieszały.

Tym sposobem postępując, można bez niebezpieczeństwa taką ilość kw. węglanego w wodzie uwięzić, jakaby przy mocném kłóceniu flaszeczkę rozsadziła. Zawsze jednak flaszeczki do saturacyi użyte, powinny być ze szkła mocniejszego; w braku takich najwłaściwiéj użyć kamionek. Przy otwarciu naczynia, korek z mocnym hukiem wyskakuje; rozcieki wrze, wydaje delikatną mgłę, jak wino szampańskie. Na łyżce srébrnéj osadza obficie i wielkie perełki powietrzne. Przy odnoszeniu lekarstwa, należy ostrzegać, ażeby naczynie w zimnéj wodzie trzymano, bez mocnego wstrząsania. Dobrze jest flaszeczkę grubo obłożyć bibułą i w zimną wodę wstawić.

W końcu Mohr podaje doświadczenia, które w szczególnych przypadkach mogą być i dla lekarzy przydatne. Jeżeli za wiele materyi przepisano, a za mało wody, kw. węglany w znacznéj części odejdzie. Jedna drachma węglanu potazu daje 6 uncyi roztworu, z którego nic nie uchodzi kw. węglanego. Węglanu amoniaku dosyć 2 skrupuły, na 6 uncyi rozcieku. Pomiędzy wodami pędzonemi (aq. destillatae), najlepszą jest do saturacyi *Aq. menth. piper.*; łatwiéj bowiem niż woda czysta przyjmuje kw. węglany, zapewnie dlatego, że powietrza nie zawiéra.

Jakim sposobem saturacya ma być przepisywaną, posłuży wzór następujący:

Rp. *Tinct. opii crocat.* gut. decem.
Syrupi simpl. Unc. semis.
Liquoris kali carb. Dr. tres.
Aq. ment. pip. Unc. tres.
hoc ordine in vitro mixtis adde
Aceti crudi Unc. duas.
Vitrum ex templo obturatum sensim agitetur.
albo:
Rp. *Tincturae* (jakiejkolwiek) Dr. semis.
Syrupi simplicis.
Liquor. Am. carb. ana. Un. tres.
Aquae melissae Un. tres.
Aceti crudi Unc. unam.
hoc ordine caute in vitro forti misce, cavens ne gaz evolet.

W tym wzorze umyślnie zostawiono mały nadmiar węglanu amoniaku, ażeby zarazem diaforetycznie działał.

albo: Potio Piverii:

Rp. *Syrupi saccharati Unc. semis.*
Liquor. kali carb. Dr. tres.
Aquae comm. Unc. quatuor.
Mixtis in vitro adde
Acidi citrici pulv. grana quinquaginta, ante in
Aqu. comm. Unc. una soluta.

Oznaczenie ilości kwasów i alkalów wzajemnie się nasycających, byłoby łatwém, gdyby materyały używane były zupełnie czyste i z właściwym zasobem wody. Lecz nawet *sal. tartari*, jeżeli nie jest świéżo żarzona, nie przedstawia 100% węglanu potażu, ponieważ odparowana w naczyniach żelaznych lub porcelanowych, jeszcze część wilgoci zatrzymuje. *Kali carb. depuratum* z natury swego pochodzenia, zawiéra materye obce, mianowicie sól kuchenną, chlorek potassium i siarczan potażu; potrzeba więc wagę equivalentu téj soli przy użyciu powiększyć o ilość wyrównywającą materyom obcym i wilgoci. Przypuśćmy, że węglan potazu zawiéra tylko 80% czystéj soli, tojest ma $^1/_5$ domieszań obcych; jeżeli więc odważam 5 gram. téj soli, mam w nich tylko 4 gr. czystego węglanu, potrzeba więc ilość téj soli nieczystéj wziąć $^5/_4$ razy, ażeby w niéj miéć

5 gram czystego węglanu potażu; czyli na 100 gr. węgl. potazu czystego, potrzeba użyć 125 gr. materyału nieczystego. Ilość materyi nieczystéj, potrzebną do zastąpienia materyału chemicznie czystego, Mohr nazywa equivalentem farmaceutycznym, w ogóle nazwać go można equiv. technicznym. Equivalent taki musi być zmienny; widocznie bowiem będzie tém większy, im mniéj jest czystem materyał używany, tojest waga jego będzie w stosunku odwrotnym czystości. Jeżeli więc oznaczono stopień czystości materyału używanego, można wynaleźć jego equivalent techniczny.

Objaśniemy to przykładem:

Dajmy, że 5 gr. węglanu potażu, otrzymanego z potażu handlowego, sposobem Fresenius i Willa probowane, wywiązują 1,276 gram. kw. węglanego, a zatém 100 gr. wydałyby go 25,52 gr. Według tablic stechiometrycznych, powinnyby wydawać 31,91. Ilości kwasu węglanego są w stosunku ilości węglanu potażu; ponieważ ilość kw. węglanego wywiązana jest $= \frac{25,52}{31,91} = 0,7997$, a zatém materyał probowany w 100 cz. zawiéra 79,97 czyli 80,0 czystego węglanu; ztąd wynika, że gdy w 100 cz. materyału probowanego znajduje się 80 cz. czystego węglanu, a zatém na 100 cz. téj soli, potrzeba $\frac{100 \times 100}{80} = 125$ materyału probowanego. Mnożąc przeto equivalent chemiczny przez $\frac{125}{100} = 1,25$, otrzymamy equivalent techniczny, ponieważ 100 : 125 = equiv. chem. : equiv. technicznego. Taki sam wypadek otrzymamy, dzieląc equivalent chemiczny przez czystość procentową (ilość materyi czystéj w 100 cz. materyału nieczystego). W powyższym przykładzie ilość czystego węglanu potażu = 0,80. Equivalent chemiczny wodorodowy węglanu potażu jest = 64,42, a zatém $\frac{64,42}{0,80} = 86,7750$. Piérwszym sposobem będzie $64,42 \times 1,25 = 86,7750$.

Z doświadczeń przez Mohra robionych, okazały się następujące wypadki:

Nazwisko materyi.	Formuła.	Czysta procentowa.	Equiv. chemicz. (H = 1)	Equiv. techniczny.
Kali carb. depuratum. .	KO, CO_2	80	69.42.	86.77.
Natrum carb. cryst.....	$NaO\ CO_2 + 10$ Aq.	90.7	143.61.	159.3.
Natr. bicarbonicum....	$NaO\ CO_2 +$ Aq.	94.7	84.64.	89.37.
Acidum tartar.....	$C_8H_8O_{10} + {}_2$ Aq.	94.	$\frac{151.18.}{2}$	80.4.
Acidum citricum.....	$C_{12}H_{10}O_{11} + 3$ Aq.	88.67	$\frac{193.60.}{3}$	72.7.
Amon. carbon.....	$^2/_3$ i $^3/_4$ węgl.	—	—	94.45.

Liczby te wykazują jakie ilości wzajemnie się nasycają całkowicie, albo bardzo blizko. Saturacya nie może być nigdy zupełnie obojętną, dopóki zawiéra kw. węglany; dlatego użycie przy nich papieru lakmusowego, jest niepotrzebną igraszką.

Z powyższéj tablicy obliczono na 1 drachmę następujące stosunki:

1. Drachma Kali carbonicum depuratum, nasyca:
   55 granów kw. winnego
   50 gran. kw. cytrynowego
   2 uncye Acetum crudum
   3 uncye Acetum destillatum albo succus citri.
1. Drach. Natr. bicarb. nasyca:
   54 gr. kw. winnego
   48 gr. kw. cytrynow.
   15½ drach. Acet. crud.
   23 drach. Acet. destil. lub suc. cit.
1. Drach. Natr. carb. crystalisat.
   30 gr. kw. winnego
   27 gran. kw. cytrynow.
   9 drach. Acet. crud.
   13 Dr. Ac. depill. v. succus citri.
1. Drach Amon. carb.
   53 gr. kw. winnego
   46. gr. kw. cytrynow.
   14½ dr. Acet. crud.
   21½ dr. Acet. destil. lub suc. citr.

1. Drach. kw. winnego, nasyca:
65 gr. Kali carb. depur.
66 gr. Natr. bicarbon.
70 gr. Amon. carb.
119 gr. Natr. carb. cristal.

1. Drach. kwasu cytrynowego, nasyca:
71 gr. Kali carb. dep.
75 gr. Natr. bicarbon.
78 gr. Amon. carb.
131 gr. Natr. carb. cristal.

3 Uncye Succ. citri. albo Acet. destil. lub 2 un. Ac. crudum, nasycają:
60 gr. Kali carb. dep.
62 gr. Natr. bicarb.
69 gr. Amon. carb.
110 gr. Natr. carb. cristal.

Wszystkie materye powyżéj wspomnione, przyjęto w czystości zwykłéj, wyrobione według farmakop. pruskiéj.

S. Zdz.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1843.

KRAKÓW.

320. Grammatyka praktyczna języka polskiego przez Józefa Muczkowskiego. Oddział pierwszy. 8ka. Kraków. 1843. W tłoczni Uniwersyteckiéj. Kart IV i 76. Złp. 2.

321. Groby i pomniki Królów oraz sławniejszych mężów Polskich w świątyniach Krakowskich zebrane i odrysowane przez Alexandra Płonczyńskiego, wydane nakładem Józefa Cypcera w Krakowie. 1843. Zeszyt I. zawiéra 3 pomniki litografowane u Santera we Wrocławiu z arkuszowym textem, zeszyt II także 3 ryciny i arkusz textu. Złp. 26 gr. 20.

POZNAŃ.

322. Ułatwiona grammatyka Angielska zawierająca w sobie najpotrzebniejsze reguły z dołączeniem obszerniejszych ćwiczeń, napisana i wydana przez Konstantego Jarnowskiego, byłego Professora w Heriot's-Hospital w Edymburgu. 8ka. Poznań. 1843. Druk Walentego Stefańskiego. Kart 2 i str. 104. Poprawek na końcu kart 2. Złp. 5

1845.

WARSZAWA.

436. Historya Zgromadzeń prawodawczych, Konwencyi narodowéj i Dyrektoryatu, czyli Francya od 1789 do 1800 roku. Z francuzkiego przez Leona Rogalskiego. 8ka. 4 tomy. Warszawa 1845 i 1846. Tom I str. 555. II. 415. III. 377. IV. 434. W każdym kart napisowych 2 i rejestru kart 2. Na okładce rok 1847. Złp. 60.

WILNO.

437. Pisma Michała Krasuskiego. 8ka. Wilno. 1845. Druk T. Glücksberga. Str. 178.

1846.

WARSZAWA.

167. O stanie narodu Polskiego od epoki jego przyłączenia do Cesarstwa Rossyjskiego, kilka słów pod względem moralnym, fi-

zycznym i ekonomicznym. (Autor Ludwik Jamiołkowski). 18ka. Warszawa. 1846. Nakład autora. Druk A. Krethlow. Str. 60.

STRASBURG.

Do nru 77 Kroniki z r. 1846.

Powieści dla dzieci w trzech częściach i t. d. przez Karolinę z Potockich Nakwaską. Część II str. 168, i karta l. III. str. XVI i 157. Trzy części złp. 16.

1847. WARSZAWA.

41. Bajki i przypowiastki dla dzieci Tymoteusza Rodziszewskiego. Wydanie trzecie poprawne i znacznie pomnożone. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 100. Napisów i rejestru kart 4. Złp. 1 gr. 15.

42. Emiliana Rzewuskiego Studya filozoficzno-literackie. Z godłem:

Myślenie jest rzeczą najwyborniejszą, myślenie jest wszystkiém.
Arystoteles.

8ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Henryka Natansona. Str. XVIII i 229. Kart napisowych 2. Z oprawą złp. 8.

43. Małe powieści dla dzieci z dzieł J. Ks. Kanonika Szmidt, dla użytku szkół powiatowych elementarnych i odpowiednich im instytutów naukowych, przełożył z niemieckiego K. L. b. J. S. P. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Merzbacha. Str. 389. Złp. 4.

44. Zabawne zdarzenia pani Wesołowskiéj i jéj pieska. (Po polsku i po francuzku). 16ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Merzbacha. Str. 33. (Z 16 kolorowemi rycinami). Złp. 5.

45. Wybór powieści dla dzieci tłómaczonych z pisma francuzkiego: *Journal des enfans*, przez J. P. 12ka. Warszawa. 1847 Druk Józefa Unger. Str. VI i 323.

WILNO.

46. Odpowiedzi x. Stanisława Chołoniewskiego na dwa pytania: 1. Co znaczy słowo postęp ludzkości w duchu nauki Chrystusowéj?? 2. Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?? Z dodatkiem Legendy Wschodniéj Słowik i Róża. 8ka. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 4, str. III i 240. Rejestru karta 1.

47. Ołtarzyk nowy, czyli zbiór nabożeństwa katolickiego, mieszczący w sobie nabożeństwo poranne, mszalne, nieszporne i wieczorne; nabożeństwo na wszystkie przedniejsze uroczystości całego roku; do Najświętszéj Panny, do świętych i Aniołów Pańskich; nabożeństwo o wszystkich Sakramentach ŚŚ; modlitwy

stosowne w różnych potrzebach; nabożeństwo kompletne za umarłych; także różne nauki duchowne, jako: rady do życia pobożnego..... z różnych ksiąg krajowych i zagranicznych przez Kościół Ś potwierdzonych..... Wydanie drugie, znacznie pomnożone. 12ka mała. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. XXVII i 762.

48. Pomysły o wychowaniu człowieka, przez Florjana Bochwica, autora Obrazu myśli mojéj. 8ka. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 5, str. VII i 134.

49. Zamek w Czarnokozincach, powieść narodowa, przez Władysława Chadźkiewicza. 12ka. 3 tomy. Wilno. 1847. (tom 1 r. 1846). Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 290. II, 241. III. 255.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. Korzeniowski napisał nową komedyą pod tyt: „Majster i czeladnik" która już kilkakrotnie była przedstawioną na scenie tutejszéj.

Nakładem księgarni Ig. Klukowskiego, wyszedł tom 1szy zapowiedzianego dzieła p. t. „Litwa—Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania" i t. d., przez J. I. Kraszewskiego. Tom IIgi wkrótce prasę opuści.

(*Z listu z Krakowa*). Na powszechną uwagę zasługuje nowo zaczęte wychodzić tu dzieło p. t. „Starożytności Krakowskie," pod redakcyą Józefa Łepkowskiego. Jestto prawie dalszy ciąg dzieła Alexandra Płonczyńskiego „Groby i Pomniki" nie w takim wprawdzie formacie, nie takiéj ceny, lecz téjże saméj treści. Piszący, a raczéj zbiérający starożytności krakowskie, założył i oparł pracę swoję jak to z tytułu sądzić można na tém wszystkiém, co nosi na sobie piętno starości; wybrał przedmiot trudny lecz i dostępny. Tu bowiem co krok napotyka oko rzecz jakąś, która zajmuje każdego, bądźto swoją starożytnością, bądź pochodzeniem historycznem. Nie wątpimy, że w drodze którą sobie obrał młody zbiéracz starożytności, znajdzie wiele przeszkód, szczególniéj dla braku prenumeratorów, których liczba dotychczas jest zbyt ograniczoną; lecz spodziewamy się, że pod tym względem troszczyć się wiele nie powinien, bo cena dzieła jest zbyt mała w porównaniu z nakładem. Pismo to wychodzić będzie miesięcznie zeszytami, każdy zeszyt zawiérać będzie arkusz druku z dołączeniem je-

dnéj ryciny, rysowanéj przez Cerchę, litografowanéj przez Balińskiego, krakowianina. Roczna prenumerata wyniesie złp. 12.

Niemniéj ważném będzie dzieło: „*Liber promotionum Universitatis*," które professor tutejszego uniwersytetu Józef Muczkowski wyda wkrótce z rękopisu znajdującego się w tutejszym księgozbiorze akademicznym. Będzie to pierwsze dzieło, które wyjdzie kosztem uniwersytetu krakowskiego.

Szukiewicz, autor dzieła. „Odgłos pieśni czeskich," napisał dramat historyczny wierszem, p. t. „Jadwiga."

Autor Listów z Krakowa Józef Kremer, pracuje nad dziełem treści filozoficznéj, które poprzedzi drugi tom Listów.

Żegota Pauli, znany wydawca „Starożytności Galicyjskich, Pieśni ludu ruskiego i polskiego," ma znakomite materyały do historyi artystów polskich. Pan Kraszewski który ma wydać podobno dykcyonarz artystów w Polsce, i który dopiéro zbiéra szczegóły potrzebne do tego dzieła, nie wytrzyma konkurencyi z bogatym zapasem materyałów Żegoty Paulego. Niech nikt nie sądzi abym chciał odstraszać innych od postępowania na téj saméj drodze, owszem, chciałem tylko powiedzieć, że p. Pauli ma nierównie większe zapasy jak pp. Rastawiecki i Smokowski, lecz jeszcze uważa pracę swoję jako rzecz niewykończoną, i w tym przedmiocie daléj pracuje.

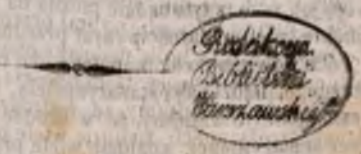
P. Macewicz obywatel tutejszy zakupił wszystkie materyały do „Historyi Literatury Polskiéj" Michała Wiszniewskiego, i zacznie wydawać następne tomy.

Tenże p. Michał Wiszniewski przygotował do druku swą: „Podróż do Włoch, Sycylii i Malty" którą ma wydać jeden z księgarzy warszawskich.

U Czecha drukuje się powieść autora Reja z Nagłowic pod tyt: „Zamek Ogrodzieniec."

Alexander Płonczyński, po dość długiéj przerwie, zacznie znowu dalszy ciąg swoich „Grobów i Pomników."

Rocznik literacki przestał wychodzić dla braku funduszów.



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Luty 1847.

Luty 1847. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku $18^{0}41'25,''5$ na wschód jego szérokość geogr. $52^{0}13'5''$, długość w czasie $1^{s}\ 14^{m}\ 45,^{s}7$ względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0^{0}				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dészczu	śniegu
1		734.81	736.14	739.46	743.02	+ 0°.2	+ 0°.3	+ 1°.7	— 0°.4	96.6	pochmurny	mgła	lek. pochm.	lek. zachm.	—	Z.	Z.	Z.		
2		744.93	745.92	745.94	746.89	— 2.9	— 0.4	+ 2.9	— 1.5	92.5	pr. pochm.	mgła	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	W.	W.		
3		747.07	747.76	747.51	747.49	— 1.5	— 0.7	+ 0.3	— 0.4	97.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	mgła	W.	W.	PdW.	PdW.		
4		747.23	747.71	748.13	749.59	— 0.4	— 0.2	+ 0.1	— 1.3	97.5	pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
5		750.60	751.21	751.63	750.78	— 2.9	— 1.9	— 1.3	— 1.1	95.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
6		747.52	746.38	742.09	736.77	— 1.3	— 0.5	— 1.3	— 4.1	82.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Pd.	Pd.		2.80
7		727.84	726.03	725.11	728.56	— 7.9	— 5.2	— 0.0	— 3.8	97.2	napół pog.	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
8	◑	728.90	730.16	732.78	736.30	— 3.7	— 3.3	— 3.1	— 3.9	78.2	pochmurny	chm. podz.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
9		738.88	739.74	737.51	735.54	— 7.2	— 4.5	— 3.0	— 5.3	76.0	pr. pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdW.	PdW.		
10		735.01	736.31	738.49	739.26	— 4.4	— 4.2	— 5.7	— 6.5	89.7	śnieg	chm. podz.	napół pog.	pochmurny	Pd.	Z.	Z.	PnZ.		
11		739.51	739.50	738.70	739.16	— 6.8	— 6.9	— 4.8	— 6.7	95.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
12		739.54	740.82	742.30	743.05	— 8.1	— 8.2	— 8.0	— 10.4	97.2	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
13		743.51	744.52	746.05	746.89	— 10.5	— 7.6	— 7.5	— 7.4	94.0	pochmurny	śnieg	śnieg	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		1.80
14		746.96	747.72	747.42	744.69	— 7.7	— 7.2	— 5.4	— 5.5	96.0	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	—		
15	◉	739.05	736.77	735.12	734.55	— 4.2	— 1.8	+ 0.8	+ 0.3	95.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	Z.		5.20
16		732.90	732.88	734.80	740.31	— 0.2	+ 2.4	+ 1.9	+ 0.1	90.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdW.	W.	Pn.		
17		743.42	743.36	742.17	743.54	— 0.4	+ 1.3	+ 1.4	+ 0.2	96.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	Pd.	Z.		
18		747.68	749.51	752.02	752.35	+ 0.3	+ 1.7	+ 1.1	+ 0.7	92.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
19		749.02	747.92	743.65	742.67	+ 3.2	+ 4.3	+ 5.0	+ 4.8	90.2	dészcz	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdZ.	PdZ.	Pd	Z.	1.40	
20		744.29	744.57	743.38	744.36	+ 2.0	+ 2.2	+ 3.4	+ 2.3	86.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
21		748.36	750.79	753.79	753.50	+ 1.1	+ 1.3	+ 3.1	+ 0.5	87.2	pochmurny	napół pog.	napół pog.	śnieg drob.	Z.	PnZ.	Z.	PdZ.		
22	◑	746.16	745.92	745.08	744.39	+ 2.9	+ 3.2	+ 3.3	— 0.4	81.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		1.80
23		743.38	743.13	746.78	750.01	— 2.7	— 3.1	— 3.9	— 7.1	89.7	pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		
24		751.28	751.50	751.17	751.58	— 8.6	— 6.9	— 7.1	— 9.1	92.5	pochmurny	pogodny	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnZ.		
25		751.70	752.65	752.41	752.87	— 10.7	— 7.9	— 4.9	— 6.4	88.5	napół pog.	napół pog.	pochmurny	śnieg drob.	Pn.	PnZ.	Z.	Z.		
26		752.94	752.63	755.57	755.78	— 6.4	— 4.8	— 3.6	— 7.9	95.0	pochmurny	pochmurny	napół. pog.	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	—		
27		755.41	755.76	754.85	755.41	— 11.8	— 6.4	— 4.8	— 5.3	87.2	smugi mgła	pogodny	śnieg drob.	pochmurny	—	PdZ.	Pn.	W.		
28		755.58	757.08	757.41	759.39	— 5.8	— 2.6	— 2.3	— 6.4	82.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	PdZ.	Z.	Z.		
Śre.		744.058	744.478	744.654	745.310	— 3°.80	— 2°.42	— 1°.49	— 3°.29	90.7									1.40	11.60

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	744.624	27	6.089
Najwyżéj barometr dochodził d. 28 o g. 10 w.	759.30	28	0.735
Najniżéj barometr dochodził d. 7 o g. 3 w.	725.00	26	9.390
Średnia zmiana dzienna barometru	4.74		2.09
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 10 w.	20.35		9.20
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	6.092		2.699
	750.716	27	8.788
Średnia temperatura Lutego wynosi:	— 2.75 C.		— 2°.20 R.
i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	0.68 „		0.54 „
	— 3.43 „		— 2.74 „
Największe ciepło dochodziło d. 19 o g. 4 w.	+ 5.0 „		+ 4.0 „
Największe zimno dochodziło d. 27 o g. 6 r.	—11.8 „		— 9.4 „
(Termometrograf wskazał Maximum: + 4°.0 R. d. 19; Minimum: — 9°.5 R. d. 27 r.).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.20 „		1.76 „
Największa zmiana dzienna d. 22—23 o g. 4 w.	7.2 „		5.8 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 90.7; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 4.13 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z dészczu spadło 1.4 millim. czyli o 62 lin., z śniegu 11.6 millim. czyli 5.14 lin.; razem 13.0 millim. czyli 5.76 lin. par.

Dni pogodnych było 0; napół pogodnych 9; pochmurnych 19.
— dészczu 3 (d. 19, 20, 22).
— śniegu 12 (d. 4, 7, 10, 13, 14, 15, 21, 22, 23, 24, 25, 27).
— mgły 5 (d. 1, 2, 3, 4, 27).
— krup. 1 (d. 20).

Luty r. b. był niepogodny, suchy i mało w śnieg obfity; o pół stopnia cieplejszy jak zwykle; pierwsze sześć dni były dość łagodne; w drugiéj połowie miesiąca, siedm dni, od d. 16 do 23 były tak ciepłe, jak w porze wiosennéj; ostatnie sześć dni mroźne, wszelako mrozy nad dziewięć i pół stopni, nie przechodziły.

D. 19 wieczór przy cieple 4 stopnie R. wynoszącém, powstał gwałtowny wicher Zachodni. Wody z śniegu i dészczu w Lutym spadło o 5,5 lin. par. mniéj jak zwykle.

Wiatry panujące były: Zachodnie.
Wichrów było 7; t. j. Z.=5; PnZ.=2.

Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącém się do wspólki likwidacyjnéj.

Zacząwszy od zaprowadzenia kodexu handlowego fran. w roku 1808, literatura nasza co do prawa handlowego ogranicza się: na trzech rozprawach w Temidzie umieszczonych; na wydanych w r. 1845 w Warszawie przez J. Ro(zenblat) uwagach nad tłumaczeniem tegoż kodexu przez ś. p. Majewskiego w r. 1808; na tłumaczeniu tegoż kodexu w r. 1845 przez Rzesińskiego w Krakowie; na rozbiorze i krytyce obudwóch tych tłumaczeń, jako też pomienionych uwag, przez Jana Chryz. Sławianowskiego, w Bibliotece Warszaw. w r. 1846 w poszycie z miesiąca lutego umieszczonéj.

Tylko w dziele Flor. Alex. Zubelewicza pod tytułem: Rachunkowość handlowa, w r. 1846 wydaném, znajdują się jeszcze nocye do prawa handlowego należące, zwłaszcza w rozdziałach: VI, o rachunkach co do towarów, w VII, o wexlach i VIII o handlu wexlów.

Lubo rozbiór p. Sławianowskiego i wykład o wexlach przez p. Zubelewicza szczególniéj się odznaczają, jednak-

że wszystkie te ułamki prac literackich handlowych, zaiste żadnéj jeszcze literatury prawniczo-handlowéj nie stanowią. Zapewne ona wywołaną będzie z czasem przez potrzebę praktyczną, gdy ożywiający się coraz więcéj ruch i postęp przemysłu i handlu, stanie się udziałem okolic tutejszych.

Zawsze jednak dziwić się przychodzi małemu krzątaniu się około wytłumaczenia artykułów kodexu handlowego, skoro w praktyce sądowo-handlowéj, liczne nawijają się kwestye prawne, i to częstokroć w punkcie stanowczych pryncypiów.

Kwestye, czy wątpliwości te, pochodzą nieraz z braku dobrego tłumaczenia, a nawet z zadawnionéj rutyny, na mylném tłumaczeniu opartéj.

Otóż potrzebaby literaturę prawa handlowego rozpocząć od wyrobienia i wydania lepszego przekładu textu. Jakoż p. Sławianowski w rozbiorze swym nadmienił o spodziewanych nowych tłumaczeniach kodexu handlowego, nader pożądanych, gdy dotychczasowe pomimo oddawanych im słusznie zalet, zbyt wiele do życzenia pozostawiają, tak pod względem istotnéj myśli prawa, jak pod względem wysłowienia.

W tłumaczeniu kodexu handlowego fran., oprócz zwyczajnych, szczególne zachodzą trudności, a mianowicie: że kodex ten w oryginale, z wielkim pośpiechem był zredagowany; że w nim znajduje się niemało *przysłowiów* prawniczo-handlowych, które z natury swéj jako przysłowia, i nie tak łatwo zrozumiéć, i nie tak krótko i zwięźle jak brzmią w texcie, przełożyć się dają; że nakoniec u nas techniczne wyrażenia w przedmiocie interesów handlowych mało są wyrobione, gdyż stan ku-

piecki, w wielu wypadkach obywa się wyrazami niemieckiemi lub francuzkiemi.

Największa jednakże trudność polega na tém, że prawnicy z powołania, zwykle nie są dostatecznie obznajomieni z różnego rodzaju stosunkami i operacyami handlowemi, do których przepisy prawa handlowego się odnoszą: a tém samém i tych przepisów dostatecznie nie pojmują.

Wielekroć razy, przy czytaniu i zastanowieniu się nad pojedynczemi, a prawie urywkowemi przepisami kodexu handlowego, nasuwa się oczywista potrzeba historycznego badania pierwotnych początków tychże przepisów, lub poznania postępowania, że tak powiém mechanicznego, handlujących, lub osób w jakimkolwiekbądź względzie do handlu wpływających, lub przy nim użytych. Słowem, obok ubóstwa wysłowień polskich, przemysłu i handlu dotyczących, chcąc jako tako kodex handlowy francuzki przełożyć, potrzeba nietylko miéć dobrze w pamięci teoryą prawa cywilnego, ale nadto umiéć prawo handlowe tak ze strony historycznéj, jak i mechanicznéj.

Z powodu spodziewanych tłumaczeń, przedsięwziąłem wyjaśnić przewidziany w artykule 64 kodexu handlowego stosunek handlowy, jako téż sam przepis prawa w nim objęty, zwłaszcza, że dotychczasowe tłumaczenia tegoż artykułu ciemne są a nawet mylne, i że również uwagi nad niemi poczynione nie zaspakajają.

Przedewszystkiém nadmienić przychodzi, odnośnie do tłumaczeń Majewskiego i Rzesińskiego, jako téż do uwag nad niemi poczynionych, że parafrazowanie wyrażeń textowych trudnych do przepolszczenia, nader jest niebezpieczne, i że w artykule 64 wedle oryginału wyraz *non-*

liquidateur wcale nie oznacza wspólnika handlowego czyli raczéj stowarzyszonego, obowiązanego do rachowania się ze współką, ani téż tego który rachunków i wypłat nie uzupełnił.

Z dwóch tłumaczeń niemieckich najlepszych, z których jedno używane jest w prowincyach nadreńskich pruskich, drugie w bawarskich, jedno tak brzmi:

Alle Klagen wider Gesellschafter, die nicht zu liquidiren haben, und ihre Wittwen i t. d.

Drugie zaś:

Alle Klagen gegen Gesellschafter, die nicht Liquidatoren sind, und gegen ihre Wittwen i t. d.

Piérwsze z tych tłumaczeń także jest ciemne; tylko drugie dosłowne, zupełnie z oryginałem francuzkim się zgadza.

O tém przekonamy się z poniższego wywodu, po zamieszczeniu wprzód następującego tłumaczenia artykułu 64:

„Wszelkie sprawy przeciwko stowarzyszonym *nielikwidatorom*, jako téż przeciwko pozostałym po nich wdowom, spadkobiercom, lub wstępującym w ich prawa, przedawniają się pięcią laty od ustania lub rozwiązania współki, skoro tylko kontrakt współki jéj trwanie oznaczający, albo akt rozwiązania, stosownie do artykułów 42, 43, 44 i 46 był wywieszonym i do właściwych ksiąg wciągniętym, i skoro, po dopełnieniu téj formalności, przedawnienie nie uległo przerwie względem nich przez jakie poszukiwanie sądowe."

Artykuł ten dzieli stowarzyszonych *ustałéj* współki, na stowarzyszonych, *likwidatorów* i *nielikwidatorów*. Różnica ta polega na następującym stanie rzeczy: Każda współka handlowa istniéć przestaje albo przez upływ

czasu na który zawartą była, lub przez wcześniejsze jéj rozwiązanie, albo przez ogłoszenie jéj za upadłą.

W ostatnim przypadku, współka znajdując się w stanie upadłości, ulega przepisom księgi III kodexu handlowego o upadłościach i bankructwach. W poprzedzających zaś przypadkach, współka ustała lub rozwiązana zostawać będzie *w stanie likwidacyjnym*; skutkiem tego, wszelkie pozostałe interesa współki ulegną likwidacyi w celu zupełnego ich ukończenia, tak przez zaspokojenie wierzycieli czyli każdego trzeciego, jako też przez zrealizowanie wszelkiego rodzaju aktywów i towarów, przez wzajemne obrachowanie się stowarzyszonych i podzielenie się resztą korzyści.

Taka likwidacya ułatwia się i odbywa przez jednego lub kilku stowarzyszonych *liquidateurs*, likwidatorami zwanych, których stowarzyszeni do téj czynności, bądź w akcie współki, bądź późniéj ustanowili, albo gdyby się na wybór zgodzić nie mogli, wywołany przez nich sąd polubowny, bądź z liczby stowarzyszonych, bądź nawet z osób obcych żadnego udziału w spółce niemających, mianował.

Ustanowieni lub mianowani likwidatorowie, odbiérają *w swe zachowanie i do użytku likwidacyjnego wszelkie księgi i papiéry ustałéj lub rozwiązanéj współki*, podług inwentarza; uważani są za pełnomocników współki w stanie likwidacyjnym będącéj, w celu ukończenia wszelkich interesów, w sposób powyżéj wytknięty.

Ustanie czyli rozwiązanie współki *w niczém praw wierzycieli zmieniać nie może*, i dlatego wolno każdemu trzeciemu należytości swych poszukiwać nietylko przeciwko likwidatorom, ale i bezpośrednio przeciwko innym

byłym stowarzyszonym, którzy nie są likwidatorami, którzy nie trudnią się czynnościami likwidacyjnemi.

Atoli stowarzyszeni, którzy nie będąc likwidatorami, ksiąg i papierów ustałéj wspólki w ręku swych nie mają, nazbyt długo w takim stanie likwidacyjnym, w niepewności względem poszukiwań osób trzecich pozostawieni być nie powinni, ile że im niepewność ta może tamować swobodne przedsiębranie nowych działań handlowych, nowych stowarzyszeń.

Nadto, według zwyczajnego biegu i obrotu interesów handlowych, przypuszczać należy, a ztąd domniemywać się można, iż w piérwszych kilku latach po ustaniu wspólki, stowarzyszeni nielikwidatorowie, wszystko to co od nich dla ustałéj wspólki przypadało, w ręce likwidatorów uiścili.

Z powodu trzech tych przyczyn, tojest: że stowarzyszeni nielikwidatorowie ksiąg i papierów wspólki nie posiadają; że zbyt długo w niepewności względem bezpośrednich poszukiwań osób trzecich pozostawieni być nie powinni; i że za niemi po upływie kilku lat przemawia domniemanie zupełnego wywiązania się względem ustałéj wspólki: kodex handlowy w artykule 64 zaprowadził na ich korzyść przedawnienie *pięcioletnie* przeciw poszukiwaniom bezpośrednim osób trzecich, skoro tylko te osoby trzecie, o ustaniu lub rozwiązaniu wspólki, w miarę przepisów artykułem tym objętych, zawiadomione były.

Przedawnienie to wszakże nie służy stowarzyszonym likwidatorom, i ci tylko na przedawnienie zwyczajne kodexu cywilnego powoływać się mogą.

Jeżeli po ustaniu lub rozwiązaniu wspólki nikt likwidatorem ustanowiony lub mianowany nie był, wszyscy

stowarzyszeni ustałéj współki, za likwidatorów, za trudniących się sami czynnościami likwidacyjnemi uważani być powinni, i w takim razie, żaden z nich przedawnieniem z artykułu 64 zasłaniać się nie może.

Taż sama konsekwencya miejsce mieć powinna, jeżeli nikt z stowarzyszonych współki ustałéj lub rozwiązanéj, tylko osoba obca likwidatorem ustanowioną lub mianowaną została: bo prawo w artykule 64 dozwoliło jedynie przedawnienia pięcioletniego, gdy stowarzyszeni rzeczywiście podzielili się na stowarzyszonych likwidatorów i nielikwidatorów.

Przedawnienie to pięcioletnie zaczyna bieg swój od dnia, w którym współka istnieć przestała, skoro akt ustanowienia współki w swoim czasie był wywieszony; albo w przypadkach rozwiązania współki, od dnia wywieszenia aktu współkę rozwiązującego, chybaby sama należność trzeciego zawisłą była od warunku lub jakiego wypadku, w którymto razie przedawnienie dopiéro od dnia spełnienia się warunku lub wypadku bieg swój poczyna.

Poszukiwanie przez trzeciego w jakiejkolwiekbądź formie przeciwko stowarzyszonym likwidatorom przedsiębrane, za przerwanie przedawnienia pięcioletniego stowarzyszonym nielikwidatorom służącego, uważaném być nie może, gdyż inaczéj artykuł 64, stanowiąc wyjątek od zasady kodexem cywilnym w artykule 2249, w ustępie piérwszym objawionéj, utraciłby całą swą moc, całe swe znaczenie. Przerwa przedawnienia pięcioletniego, przywiązana jest jedynie do aktu bezpośrednio i wprost przeciwko stowarzyszonym nielikwidatorom wyniesionego.

W współkach do uczestnictwa w zysku i stracie *en participation*, artykuł 64, żadnego zastosowania mieć nie może, dlatego, że współki te nie ulegają formalnościom w artykułach 42, 43 44 i 46, przepisanym.

Objaśnień w materyi téj udzielają: *Rogron* w notach do artykułu 64; *Bravard de Veyrières* w *Manuel de droit commercial* nr. 28 *liquidation*; nadewszystko zaś *Pardessus*: *Cours de droit commercial* w tom. II, pod nrami 1090, 1073 i następnemi.

Aug. Heylman.

MAHMUDEK.

Powieść

PRZEZ

Władysława Strzelnickiego.

(Dokończenie).

XIV.

Kyz-Kała.

Tuż pod Szamachą są dwie góry, słabe odrostki Kaukazu, podobne do niego jak gołębie jaja do strusich; na jednéj stérczy wśród burzanu kilka zapomnianych grobowców, druga, po krajowemu Kyz-Kała (dziewicza twierdza), dźwiga na sobie ciekawe zwaliska, ostatki twierdzy, w któréj jakaś Szachówna, nie pamiętam imienia, miała siebie i tron swój od natrętnych zalotników ukrywać. Zpomiędzy gruzów, wysokim chwastem obrosłych, tu i owdzie wyglądają ciemne otwory. Według powszechnego mniemania, miały to być wejścia do podziemnych kryjówek, które późniéj piasek zasypał i gruzy przywaliły, ale podobniejsza jest do prawdy,

że to są samołówki na przyszłych antykwaryuszów; przeto radziłbym każdemu, co chce wzbogacić naukę odkryciem i opisem ciekawości historycznych téj góry, użyć za przewodnika którego z okolicznych *czabanów* (pastuchów). Ci ludzie w rozwalinach Kyz-Kały nie widzą nic jak kupę kamieni, depcą je z wandalską obojętnością, ale za to nie skręcają sobie karków, nie łamią nóg, bo wszystkie dziury tak im są znajome jak własne kieszenie.

Jest wszakże jedna, do któréj i czabanowie boją się zaglądnąć, obchodzą ją nawet zdaleka, jak gdyby była kamieniem piekła. Ma ona prowadzić do jaskini ze szczérego złota, w któréj na łożu dyamentowém spoczywa od kilku wieków królewska dziewica, dziedziczka twierdzy. Milion lamp oświeca jaskinię, a każda z jednéj perły. Bogactwa te razem ze swoją właścicielką mają przejść w posiadanie piérwszego śmiałka, co wlézie po nie i stoczy walkę z duchami, którzy je strzegą. Pokusa wielka, to prawda, ale czabanowie szyrwańscy z łaski Ałłaha nie są tak głupi, żeby dla jakichkolwiek zysków narażać się mieli na zajścia z diwami (duchami).

Ku końcowi zdarzeń któreśmy opisali, dziwne pogłoski zaczęły krążyć o dziewiczéj jaskini. Słyszano w niéj jakieś nie ludzkie wołania, byli tacy, co widzieli ślady w pobliżu, że ktoś wchodził i wychodził. Ślady miały formę prawowiernych pantofli, zkąd niektórzy wnosili, że i wołania musiały być téjże natury, tojest prawowierne; ale mędrsi z uśmiechem słuchali tych rozumowań i wzruszali ramionami. Wiedzieli oni bardzo dobrze, że to sprawa duchów. W ich przekonaniu, pantofle niczego nie dowodziły; każdy co chodzi nogami, a kopyt lub pazurów nie ma, nosi pantofle, taki jest porządek na-

tury, więc i duchy wędrując po ziemi, muszą tegoż prawa się trzymać. Co do owych głosów, te były dowodem, że ospała księżniczka nie doczekawszy się oblubieńca, który ją miał pocałunkiem obudzić, przebudziła się sama.—Zdarzenie ważne i oddawna oczekiwane! Przebudzenie się Szachówny, miało być epoką w dziejach Szyrwanu; do góry nogami przewrócić cały istniejący porządek rzeczy. Derwisz Mustafa mniemania takie najmocniéj popiérał, ale nie radził nikomu zaglądać do niebezpiecznéj jaskini, ani nawet rozprawiać o niéj. Podług niego, najlepiéj było milczéć i czekać końca, spuściwszy się we wszystkiém na Ałłacha.

Sam jednak uchylał się od własnego przepisu; co noc przychodził do Kyz-Kały, opatrywał naprzód górę dokoła czy kto nie szpieguje, i potém właził w jamę tak śmiało, jakby to były drzwi meczetu. Zkąd tyle odwagi w derwiszu? miałżeby mieć zachowanie z dziewicą i duchami? Nie, derwisz nie sięgał tak daleko, przedmiot który go sprowadzał do jamy, był nie inny, jak jego pacyent Harun.

Zdrowie najezdnika polepszało się co dzień. We dwa tygodnie przechadzał się już bez trudności po zakrętach swego podziemnego mieszkania. Troskliwy derwisz nie wypuszczał go jeszcze na wolne powietrze, chociaż i Ali-Aga nastawał na to, i sam chory tracił cierpliwość; ale zaszedł taki obrót rzeczy, że Harunowi niepodobna było dłużéj być nieczynnym.

* * *

Nigdy grzesznik nie dozna takiéj boleści spadając w wieczysty ogień z mostu Syrath, przez który będzie wędrował do nieba, jak Harun, kiedy mu derwisz oznaj-

mił, że nie daléj jak nazajutrz Nizza ma zostać małżonką Mahmud-Bega.

— Konia! zawołał zerwawszy się z pościeli, gdzie koń mój, gdzie moi ludzie!

— Konia ci przyprowadziłem, a co do ludzi....

Harun nie słuchał. Wyskoczył z jaskini, znalazł konia i dosiadł o swojéj mocy z niemałém zadziwieniem derwisza, który nie rachował jeszcze tyle na jego zdrowie.

— Zaczekaj szalony! mam do pomówienia, stój mówię ci!

Krzyczał do głuchego. Puścił się w pogoń powtarzając, że ma do pomówienia, ale przebiegłszy kilka kroków, zaplątał się w zarośli, któréj ciemna noc nie pozwalała mu postrzedz, i upadł. Rozbójnik tymczasem zniknął mu z oczu, słychać tylko było szelest kamieni, usuwających się pod nogami końskiemi.

— Leże na złamanie karku. Ale cóż ja powiém Ali-Adze?

Wsiadł na osła i miał już wracać do miasta, kiedy usłyszał mocniejszy turkot kamieni i krzyk Haruna.

— Otóż go masz, jak życzyłem tak się stało, powiedział wracając w tę stronę. Aj, Harun-Ago! odezwij się przynajmniéj gdzie są twoje kości, żebym pozbiérał i osieroconemu bratu odniósł na pociechę.

— Tędy, tędy! Patrz dobrze czy nie zobaczysz konia, bo mi się wymknął. O jak ciemno!

— Więc żyjesz? Chwałaż Bogu, szubienica nie straciła oblubieńca. Słuchaj, trzeba żebyś się widział z bratem, on ci poradzi.

— Idź do piekła z bratem i z jego radami. Ja sam poradzę sobie. Ale koń mój.... Otóż jest; nogę musiał złamać; na trzech skacze.

— To nic, Ali-Aga da drugiego, siadaj ze mną.

Osioł derwisza, stały nieprzyjaciel szybkiego ruchu, témbardziéj zwolnił kroku, kiedy drugi jéździec usadowił mu się na grzbiecie. Ale Harun dobył kinżała, zaczął go bez litości szpikować; flegmatyczne zwiérzę wbrew przyjętemu raz na zawsze prawidłu, pobiegło trochę kłusem, potém, kiedy i ten środek przestał skutkować, Harun jednym zamachem ręki strącił derwisza na ziemię, a sam podwoił razów.

Pieszy i jezdny razem prawie przybyli na miejsce schadzki, do jednego z ogrodów pod miastem.

Skutek narad był taki: Rozbójnik miał nazajutrz czatować przy drodze wiodącéj z miasta do koczowiska, bo według wiadomości powziętych przez derwisza, Mahmudek z Kyzył-Begiem zamierzali sobie o świcie powracać.

— Jeżeli ich nie zgładzisz, mówił Ali-Aga, Mahmudek ożeni się, i ty choćbyś potrafił potém wydrzéć swoję piękną, cóż ci po niéj będzie! Dostaniesz kwiat bez zapachu, owoc nadgryziony. Wystaw sobie tę śliczną Peri, odpowiadającą na pieszczoty Mahmudka. Niedołęga Mahmudek, ma nastawić swoje czerwone pękate policzki na jéj piérwszy pocałunek!... Zgroza mię przenika kiedy myślę o tém. Mahmudek musi umrzéć, jeżeli ty chcesz być szczęśliwym; Kyzył-Beg także. Resztę ja biorę na siebie.

— Jakże ty reszty dokażesz?

— Nic łatwiejszego: za kilka dni potém, pojadę do Bała-Bega i poproszę jego córki dla siebie. Bądź pewny że on, dziedzic kilku dziurawych szałasów, z ukontentowaniem przyjmie mię za zięcia. Ożenię się, wezmę tę..... jak jéj imię?

— Nizza.

— Wezmę Nizzę z taboru i przywiozę tobie dokąd sam zechcesz.

— Nie zadawaj sobie téj pracy. Ja będę czekał na drodze i zaraz ją od ciebie odbiorę.

— To jeszcze lepiéj. Albo zaczekaj..... przychodzi mi inna myśl.... Wybornie! jutrzejszego jeszcze wieczora będziesz Nizzę posiadał, ma się rozumiéć, że jeżeli ci się uda wyprawa. Przyjeżdżaj tylko do mnie natychmiast po skończeniu z Kyzył-Begiem tu, do tego ogrodu, przyjeżdżajcie oba z derwiszem. Przebierzcie się jakkolwiek żeby was nie poznali na drodze, a tu już niéma niebezpieczeństwa; odkryję wam mój plan, o, jaki plan, że téż mi piérwéj do głowy nie przyszedł! Wszystko się ułatwi za jednym razem, ja będę spokojny, a wy dostaniecie co się wam należy. No, pamiętajcież przyjechać....

XV.

Urzędnik.

Wracając do siebie, Ali-Aga spotkał Kała-Bega (rządcę miasta). Ukłonił mu się niziutko z ręką na sercu, i po zwyczajném pozdrowieniu, rzekł ściskając z uszanowaniem rękę, którą długobrody dygnitarz raczył mu podać:

— Wzrok mój rozjaśnił się kiedym spojrzał na was Ismail-Begu.

— Dawnośmy się nie widzieli Mahmud-Begu.

— Serce moje widuje was w każdéj chwili.

— Jak ci idzie kiejf?

— Dobrze z łaski Allaha. Niespokojny tylko jestem o pomyślność mojego pana. To mię jedynie zajmuje, czy czuwam, czy zasypiam, czy się budzę.

— A twój dom?

— Dobrze z łaski Ałłaha. Dom mój do was należy. Cóż ja posiadam takiego coby nie było wasze? Alboż sam nie jestem waszym niewolnikiem?

— Czy nie słyszałeś czego?

— Którędy się obrócę, wszędzie mówią o was. O czémże więcéj mają mówić? Wy jesteście światłem Szyrwanu, nigdy Szamacha nie miała takiego Kała-Bega.

— Nie byłeś u Naiba?

— Alboż ten pies wart żebym u niego bywał? Co on znaczy w porównaniu do was?—Nic. Słychać że robi zasadzki na Kanly-Haruna, ale daremnie suszy sobie głowę. Powiedźcie swoim ludziom, żeby nas samych zostawili.

Kiedy świta odeszła, potomek Szachów zaczął po cichu:

— Tyś moim panem, Ismail-Begu, nigdy wierniejszy odemnie niewolnik nie rzucał pantofli w przedsionku twojego domu. Nic mię tak nie obchodzi jak twoje dobro. Myślałem długo, czémby się tobie przysłużyć; dni i nocy trawiłem nad tém, aż nakoniec Ałłah wskazał mi właściwą drogę. Gdybyś naprzykład mógł przyjść jutro do komendanta i powiedzieć: oto jest trup Kanly-Haruna?

— Trup Kanly-Haruna? Co ty mówisz! zabiłeś Kanly-Haruna? tu w mieście czy gdzie? O duszo moja Mahmud-Begu!

— Jeszcze nie zabiłem, ale jutro, nie daléj jak jutro, trup Kanly-Haruna będzie w twojém ręku.

— Oj, czy tylko pewno?

— Najnieza wodniéj. Mahmud-Beg nie pokaże się przed swoim panem z czarną twarzą. Robiłem już parę zasa-

dzek, a ilem się narażał, ile kosztów poniosłem.... wszystko to dla twego dobra, Ismail-Begu, bo mnie samemu śmierć rozbójnika nic a nic nie przyniesie. Ale jutrzejszy zamiar nie może się nie udać.

— Ja ci dam kilku essaułów do pomocy.

— Jedno słowo twoje u mnie więcéj znaczy, niż tysiąc essaułów. Obejdę się bez nich; mogliby rozpaplać w mieście jak się rzecz stała, a ja chcę żebyś ty mógł powiedzieć komendantowi, żeś własną ręką wybawił świat od téj poczwary.

— Własną ręką? kochany Mahmud-Begu, bądź pewny moich względów. Ha, Naib pęknie ze złości.

— Pluję ja w brodę Naibowi. Ale jest okoliczność którą muszę poddać pod twój wyrok: derwisz Mustafa ma ciągłe konszachty z Kanly-Harunem, co dzień się widują i jutro będą razem. Jeżeli i on mi się nawinie, co robić w takim przypadku? Powiedz, niech uszy twego niewolnika wypiją słodycz mądrości twojéj.

— Zabij derwisza.

— A co powiedzą o tym w dywanie? przeciwko niemu dowodów jasnych nie mamy.

— Zabij derwisza, ja odpowiedzialność biorę na siebie; przyznam się nawet tobie, że mam na niego chrapkę oddawna. Jestto oszust nad oszustami; co dzień bez litości obdziéra moich mieszczan, to tym, to owym sposobem, a kiedym go poprosił o pożyczenie niewielkiéj summy, cóż ty na to powiész, ani szaja nie dał!

— Ani szaja? To być nie może, to niepodobna! Żartujesz Ago czy co?

— *Wallah, billah* nie żartuję.

— A taki to derwisz, ten pies, ten poganin, syn giaura, syn Ormianina, nie chciał dać pieniędzy Kała-Be-

gowi naszemu? Niechże umiéra kiedy tak. Dziesięć kul w niego wpakuję, wyrzucę wronom na pożarcie, skalam mogiłę jego pradziada. Proszę, jaki syn grzechu! Ktoby się był tego spodziéwał!

XVI.

Nizza.

Po rozejściu się z bratem, Harun miał wrócić na noc do jaskini. Wsiadł na konia Alego, i ufając ciemnemu wieczorowi, pojechał najkrótszą drogą przez miasto. Na rynku przy jednym duchanie (szynkowni), zajęła następująca rozmowa dwóch Ormian:

— Widzę, powiedział jeden, że to niechrzczone bydło zna się także na słodyczach; kilka butelek najlepszego zagranicznego wina, jakie było w sklepie, zabrali. Jaki zuch ten Kyzył-Beg, niedaremnie tak długo ociérał się o chrześcian: mówi, że gdyby był Muhamed skosztował tego wina, pozwoliłby niém upić się każdemu wierzącemu w alkoran. Ale i ten drugi wykosztował także podwójną butelkę.

— Który ma się żenić?

— Ten drugi.

— Alboż ja wiém kto drugi a kto piérwszy?

— Ten co miał siwego konia. Alboż nie znałeś Mahmudka? On to ma się żenić. Ale nie wiém jak dojedzie do swojéj narzeczonéj; ledwie go na konia wsadzili.

— Czy już wyjechali, zapytał Harun skwapliwie, gdzie, w jaką ulicę?

Rozmawiający zdziwieni nagłém zapytaniem spojrzeli na niego, Harun zaciął konia i cwałem pomknął przez

miasto. Pędził nie zatrzymując się nigdzie aż do Kazdy-Czaju; psy czyndarskie przywitały go swojém szczekaniem, widział jak nukiery prowadzili nierozsiodłane jeszcze konie, które przywiozły pana młodego i Kyzył-Bega. Pogoń była daremna! Rozbójnik pojechał do rozwalin Karawan-Saraju, gdzie zwykle przechowywała się jego banda i tam nikogo nie znalazł. Krzyczał, gwizdał, strzelał z pistoletu, echa tylko odpowiadały, odbite od sklepień pustego gmachu.

— Wszystko przepadło! zawołał rwąc odzież na sobie.

Wschodzące słońce zastało naszego dzigita na jednym wzgórku nad Kazdy-Czajem, o parę wystrzałów od koczowiska. Zatrzymał konia, zwrócił oczy w tę stronę, gdzie przebywał główny, wyłączny cel jego życia, otoczony tysiącem przeszkód trudnych do zwyciężenia, a w obecnym stanie rzeczy niepodobnych prawie. Tam wszystko się krzątało i biegało; jedni rozbijali opodal od namiotu dwa duże namioty, dla oczekiwanych gości, inni trzepali kobierce i poduszki, kilku znosiło gałęzie na stos kuchenny, koło którego ogromny kocioł, mający naładować ulubionym płowem sto głodnych żołądków, stał w poważném milczeniu i wyglądał ryżu. Tuż niedaleko lały się zdroje krwi baraniéj. Fatyma-Chanym, czynna, troskliwa i krzycząca jak wszystkie stare Chanym wydające za mąż córki swoje, przebiegała z kąta w kąt; tu dawała rozkazy, owdzie biła służące. Mołła przechadzał się sam jeden między szałasami i dumał głęboko, zapewne o kabinie (ślubnéj intercyzie); on jeden z całego koczowiska, posiadał rzadki talent pisania. W tłumach kobiét i mężczyzn, krzyżujących się bez ustanku wzdłuż i w poprzek taboru, Harun spostrzegł

dwie nieruchome postaci—Mahmudka z Bała-Begiem. Oba siedzieli na ziemi, ciągnęli kilijan po kolei i spoglądali jeden na drugiego w milczeniu. Ale nie tego wypatrywał rozbójnik; oczy jego z gorączkowym ruchem biegały po twarzach kobiecych, póki nie spotkały jednéj.

* * *

Cóż Nizza robi wśród tych przygotowań, które się jéj tak blizko dotyczą? Milczy i patrzy na wszystko obojętném okiem. Nie pytano jéj o zgodę przy wyborze małżonka, nie radzono się względem wyprawy i wesela; w tych rzeczach dziewczyna głosu mieć nie może. Niezadługo zostanie wszechwładną panią swoich cztérech ścian, ozdobionych mnóstwem zwierciadeł i zakratowanemi oknami; wtenczasto ona królować zacznie, będzie się stroić podług swojego gustu, będzie mogła krzyczéć na służące, rozkazywać, bić nieposłuszne, tymczasem matka wszystkiemu zaradzi. Nizzie nic do tego, kto ma jéj mężem zostać. Wiadomo jéj, że wkrótce osiędzie w smutnym haremie, widzi nieznośną czadrę co ją ma okrywać w niedługich chwilach przechadzki, widzi surmę, róż i bielidła które matka dla niéj przygotowała na ten dzień weselny, i nie sprzeciwia się już i milczy. Ale czy milczy jéj serce?

Stanęła nad strumieniem, oparła rękę o duży kamień nadbrzeżny, twarzyczkę położyła na dłoni, i utonęła w dumach głębokich. Rzekłbyś, żywiutkie myśli z główkami i nóżkami, uwijają się jak mrówki po tém białém i wyniosłém czole, po tych oczętach półprzymrożonych, po tych usteczkach podobnych do dwóch nitek pąsowego jedwabiu, że ot ot, nastaw rękę i zgartuj.....

Jestże co trudniejszego, jak zrozumiéć marzenia poetów i młodych dziewcząt! Zaiste, łatwiéj wędrowniko-

wi stepu dostać się na nocleg do oazy albo grodu fatymorgany....

Jakże wam powtórzę, o czém marzyła narzeczona Mahmud-Bega na kilka godzin przed swoim ślubem? Naturaliści, przenosząc w księgi swoje ten Boży świat, rozmaite a przemieszane z sobą cząsteczki jego dzielą, jednoczą, klassyfikują, porządkują; porządek jest u nich wszystkiém; prawda, piękność i życie, to rzeczy mniéj ważne i w księgach nie powtarzają się. Pozwólcież i mnie tak postąpić.

Nizza wywołała przed siebie postaci dwóch oblubieńców; tego co mignął jak błędny ognik żeby zaręczyć się na zawsze z jéj duszą i zniknąć, i tego, co dzisiaj jeszcze ślubnym mężem miał zostać.... Zobaczymy jak każdy z nich sprawę swoję przed nią wytaczał.

— Ja rozbójnik, mówiło widziadło Haruna, mnóstwo plam na sukniach noszę od krwi niewinnéj, chandżał mój z wielu piersi życie wypędził. Nigdy ludzkie oko nie spojrzało na mnie przychylnie. Jedni mię przeklinają, drudzy drżą przedemną. Gorzkie jest życie moje, puste i znojne jak stepy Muhanu, a jednak umiérać nie chcę, bo cóż mię czeka po śmierci? Nie wnijdę do ogrodu rozkoszy, nie spocznę na łożu ze złota i drogich kamieni, ani mię czarnookie Huri przyjmą w swoje objęcia. Wszystko to przeznaczone dla tych, co na ziemi byli szczęśliwi; kto był w piekle za życia, ten będzie w piekle i po śmierci. Ty jedna, o ziemska Huri, mogłabyś los mój osłodzić! na twojém łonie perłowém, zapomniałbym o zbrodniach przeszłych, zacząłbym kochać ludzi i spełniać ustawy proroka!

Przypatrz mi się Nizzo, jestem młody i piękny! Widzisz u mnie ten płomień w źrenicach, na twarzy; przyłóż rę-

kę do serca, jak mocno bije, ile tam płomienia! Wszystek mój płomień przelałbym w ciebie, wpiłbym się w usta twoje długim, nieskończonym, wiecznym pocałunkiem, splotł me ramiona z twojemi, wcielił się piersią w pierś twoję, i omdlał od uroku! Dusze nasze, myśli, czucia, całe życia nasze, zlane w jeden oddech rozkoszy, przeleciałyby do siódmego nieba!....

Przy ostatnich słowach widziadła, lica Nizzy oblał żywy rumieniec. Dlaczegożeś mię z sobą nie uniósł, zapytała z gniewem prawie, ale odpowiedzi nie było.

— Co do mnie, zaczęło występując naprzód widziadło Mahmudka, powiérzchowność moja niewiele obiecuje. Jestem bardzo daleki od miłosnego zapału, jestem sobie niewinny i spokojny człowiek, co okazuje i wzrok mój, ciężki, leniwy, jak zimowy sen niedźwiedzia. Postawę mam dorodną, ale niestety, co do udatności kształtów, każdy wielbląd twojego ojca, Nizzo, lepiéj odemnie wygląda. Nie będziesz miała z czém się cackać, ale za to uważ, ile zkądinąd zyskasz, dostawszy za męża takiego bogacza, a przytém urzędnika! Znajdziesz u mnie na każde zawołanie cukry, szerbety, o jakich nie słyszano u was w koczowisku. Nóżki twoje, przywykłe do kamieni i cierni stepowych, stąpać będą po chorazańskich kobiercach. Żony moich podwładnych, mieszczki szamachańskie, na tacach z czystego srebra znosić ci będą peszkesze, a gdzie się spotkasz z niemi, w łaźni czy w ogrodzie, każda z uszanowaniem ustąpi ci miejsca i powié sąsiadce: oto jest żona Mahmud-Bega, ach, jak bogato ubrana! cała błyszczy od złota!

Takieto ja słodycze przynoszę tobie w zamian urody młodości; poprzestań na nich, bo cóż ci mogę ofiarować więcéj? Wywiędłe uścizgi, uściski leniwe....

Nizza nie dała dokończyć brzydkiemu widziadłu. Przestała marzyć i poszła do namiotu.

— Ostrożnie, ostrożnie, uprzedziła wchodząca matka; nie stąpaj po materacach. Przypatrz się im, widzisz że z czystego dżidżimu, a jakie mięciutkie! weź w rękę, a co, miękko będzie? Powiész mi co ci się przyśni piérwszéj nocy.....

Nizza odwróciła się. Wyraz wstrętu zmarszczył jéj malinowe usteczka, oczy łzami zabiegły.

XVII.

Kanly-Harun.

Dopóki Harun patrzał na Nizzę stojącą nad strumieniem, cały pochłonięty tym widokiem, sam siebie nie widział; kiedy odeszła, przyszedł do pamięci, obudził się, i znalazł pod sobą łoże z rozżarzonych węgli. W duszy rozbójnika zjawiło się uczucie nowe, tłoczące do ziemi: męka jelenia z nogą wyłamaną, orła z podstrzelonem skrzydłem, uczucie własnéj niemocy. A jak straszne ono musiało być dla człowieka, który przez całe życie swoje chylił się za każdym powiewem namiętności! giętki jak trzcina, i nigdy szwanku nie ponosił, który gonił i chwytał każdy dziwotwór własnéj żądzy, słuchał każdego podszeptu imaginacyi, dzikiéj, ognistéj, nieobeznanéj z hamulcem, wykarmionéj niepodległą tułaczką bez żadnego celu! Żądza i niemoc, jak dwa ciała które trąc się jedno odrugie wydają ogień, paliły mu serce, burzyły krew, mąciły myśli! Byłyto piérwsze w życiu preludya rozpaczy.

Spojrzał naokoło, zaciął konia, i prędko jak kamień rzucony wprawną ręką, stanął u podnóża najwyż-

széj góry. Podwaja razy, rzuca się naprzód; po kilku posuwistych skokach, dościga znacznéj wysokości, ale nie znalazłszy stałego gruntu, usuwa się, ścigany powodzią piasku i kamieni. Znowu się wspina, znowu też same przeszkody, oto je przebył, wspina się daléj, coraz daléj, i wyżéj, przepada w mętach tumanu, wynurza się wkrótce i staje na szczycie góry.

Wstrzymał konia, odetchnął całą piersią. Nad nim nic nie było prócz czystego nieba, przy nim sępy z gniazd wypłoszone, a pod nim nizko, bardzo nizko, ludzkie mrowiska. Uczuł się na chwilę jakby szachem potężnym; pogoda nadgórnéj strefy, czy jakieś nierozumiejące siebie uczucie dumy i wyższości, rozjaśniło mu twarz, w źrenicach się odbiło, ale nie było nikogo, ktoby dawał oklaski. Im wyżéj, tém samotniéj na świecie!

Wewnętrzna wojna znowu go rozbudziła; wybrał bok góry najspadzistszy, i zaczął zjeżdżać. Mnóstwo kamieni usuwających się jeden przed drugim, poprzedziło go nim stanął na dole, inne tuż za nim leciały w pogoń, i nad nim kreśliły warczące półkola. Przez środek wąwozu pieniła się rzéka, szumna jak wodospad, bijąc gwałtownie w kilka dużych odłamów co jéj pęd tamowały. Harun wskoczył w rzékę, czy tam nie znajdzie ochłody; tonie, wypływa, rozpiéra fale, co chwila zawadza o kamienie rozrzucone po krętém łożysku, co chwila walczy ze śmiercią.... Już przeciwny brzeg niedaleko: wysoki, spadzisty, opiéra się wszystkim usiłowaniom konia i jeźdźca, odrywa się kawałami i spycha ich nazad do rzéki. A rzéka szumi i pryska, otwiéra paszczę, chce czémprędzéj pochłonąć swoje ofiary, trąca je, podmywa ze spodu, obsypuje z wiérzchu kłębami mokrego żwiru. Koń

płynie daléj, gdzie wstęp na ziemię łatwiejszy, jeździec uporczywie skręca cugle na to samo miejsce.....

Już są na brzegu. Koń ledwie stoi na nogach, chwieje się, drży, robi bokami, para z niego tumanem bucha, jak z kotła. A jeździec?—kołuje oczami i szuka nowych niebezpieczeństw. Postrzega podróżnego w znacznem oddaleniu, na ścieżce łączącéj się z Kazdy-Czajską drogą. Ha, to może gość zaproszony na wesele, niechaj ginie!

Ów podróżny miał niepoczesną minę, i zapewne nie większe usposobienie do bitwy jak spokojny osioł co go dźwigał na sobie. Jakże się zdumiał zobaczywszy, że ktoś pędem leci na niego, z cuglami w zębach, z pistoletem w lewém i szablą w prawém ręku! Sądził, że to jakiś żartowniś chce go nastraszyć tylko, bo któżby chciał nastawać na życie takiego jak on obszarpańca, i to w biały dzień, niedaleko od wielkiéj drogi? Ale na wszelki wypadek, roztropność radziła ubezpieczyć się; zeskoczył z osła i przyległ za dużym kamieniem, żeby sparaliżować przynajmniéj piérwszy impet najezdnika. Wybieg okazał się skutecznym. Harun przeleciał po ścieżce, i byłby daléj pomknął, ale tamten, przypatrzywszy mu się ukradkiem z za swojéj warowni, wstał i zawołał:

— Stój stój! Takżeto sobie żartujesz z przyjaciół? Dobrze żeś nie trafił na tchórza. Komu innemu byłbyś tęgiego strachu napędził.

— A, pokój z tobą. Nikt nie wątpi żeś odważny ile trzeba derwiszowi. Czy nie powiész mi czego nowego? Mów prędzéj.

— Nowego niewiele, jednak powiém ci coś starego, o czém ty podobno nie wiész.

— Mówże, bo nie mam czasu.

— Właśnie po to wybrałem się w tę drogę, żeby ciebie znaleźć i powiedzieć, że twój braciszek Ali-Aga, wierutny *haram-zada*; niegodziwiec większy niż my oba.

— Kłamiesz.

— Nie wierz mi, nie wierz, ufaj jemu, to cię wywinduje dziś jeszcze na wieczerzę do nieba, tak, że ani się spostrzeżesz. Bądź zdrów.

— Stój i wytłumacz się, albo....

— No, no, dosyć tych żartów; wytłumaczę się, ale schowaj pistolet. Myślisz mię nastraszyć, czy co? Alboż nie pamiętasz, ilem się narażał, i to dla kogo? dla ciebie, zawsze dla ciebie! Bo co się tyczy Alego, oby się zapadł o sto łokci w ziemię: temubym w niczém nie dopomógł, owszem mam nadzieję nakarmić go błotem przy pomocy bozkiéj, jak się tylko zręczność nadarzy....

— Tracę cierpliwość!

— Zaraz, zaraz, przystępuję do rzeczy.... Po wczorajszéj schadzce, Ali-Aga udał się do swoich pałaców, ja poszedłem za nim, chociaż zdaleka, bom w ręku prowadził mego osiołka, któremu chciałem dać ulgę po biczowaniu, jakie odebrał od ciebie. Biédne bydlątko! porobiłeś mu rany kinżałem! zobacz, nie prędko się zagoją. O! znowu marszczysz brwi, wracam do Alego. Zatrzymał się na ulicy i zaczął rozmawiać, zgadnij z kim i o czém?

— Nie zgadnę.

— Z Kała-Begiem, o nas. Obiecał mu pod przysięgą, że nie daléj jak jutro, tojest dzisiaj, przyniesie nas obu zarzniętych jego psom na strawę.

— Kłamiesz, kłamiesz! krzyknął rozbójnik chwytając derwisza za ramię. Jakim sposobem podsłuchałeś?

— Z ostrożnym, bezpieczeństwo sypia na jednéj poduszce. Zobaczywszy że Ali-Aga rozmawia z Kała-Begiem,

przyczołgałem się ostrożnie, rzuciwszy osła na wolę losu, pod mur, zkąd wszystko było słychać. Kiedy się rozeszli, dopędzam Alego, kłaniam mu się grzecznie, i mówię, że Mustafa derwisz ma uszy równie dobre jak on język.

— Cóż on na to?

— Zapłacił, cóż miał robić! Jednę garść abazów dał na przeprosiny, drugą, żebym nie wydawał jego jako twego brata i wspólnika, trzecią, żebym ciebie nie uprzedzał.

— Bądź zdrów Mustafo. Jadę do Szamachy.

— Stój, po co?

— Zapłacić starszemu bratu za dobre zamiary. Zajadę prosto do dywanu, i wszystko wyznam.

— Cha, cha, cha! Miałem mego osła za najgłupsze zwierzę, ale pokazuje się, że są jeszcze głupsze, bo on nigdy z dobréj woli nie polezie na szubienicę. Czy ci życie obmierzło?

— Obmierzło, bracie. Szkaradna bo to rzecz, raz wraz mieć do czynienia z takimi oszustami jak ty i Ali-Aga, a dobrych ludzi obdzierać i mordować. Pojadę do dywanu. Nie będę żebrał łaski dla siebie, poproszę tylko, żeby Alego przedemną, w moich oczach powiesili.

— I mnie także?

— Na ciebie szkoda postronka. Żyj sobie, praw duby i wykręcaj młynka na bazarze, jak dotąd, albo zacznij żyć po mojemu, jeżeli ci w mieście niebezpiecznie teraz. Będziesz wojował z wronami po górach, bo ludzie to za gruba zwierzyna dla derwiszowskiéj broni.

— Lepiéj zrobię, przyłączę się do karawany Chadzi-Jusufa, która jutro wyrusza do Mekki. Czas też i o zba-

wieniu pomyśléć. Ale jeżeli tam będą wymagali, żebyś odkrył wszystkich swoich, gdzie się przechowują?

— Ja sam nie wiém.

— A to co innego. Dobrze żem się nie wymówił. Szkodaby było takich zuchów; z nimi możnaby jeszcze wiele dokazać.... Co o tém myślisz Harunie?

— Czy nie wiész ty gdzie oni? Zmiłuj się, mów!

— Zkąd mam wiedzieć? Allah wié, wiedzą prorocy i anieli w niebie.

— O! ty nie prorok i nie anioł, ale do braci swoich djabłów przeniesiesz się natychmiast, jak ci wpakuję kulę pod samo serce....

— Zaczekaj! Tobie, jak widzę, nic odmówić nie można. Ale nie pojedziesz do Szamachy?

— Nie.

— Więc powiém. Wczoraj na rynku słyszałem, jak chłopi z Kunach-Kendu rozpowiadali komuś, że rozbójnicy przechowują się teraz niedaleko od tego miejsca, gdzie Tenga przerzyna dwie góry, w jakiéjś tam dziurze pod skałą. Wymienili nawet Jarym-Sakała. Ty lepiéj odemnie znasz dziury szyrwańskie i kubińskie, to szukaj ich sobie, ja więcéj nic nie wiém.

Myśl o wpraszaniu się na szubienicę ustąpiła z głowy Haruna, kiedy powziął niejaką pewność, że się ze swoimi połączy.

— Bądźże zdrów Mustafo! rzekł wesoło, dzisiaj jeszcze dowiész się o mnie. Hasło, dwa wystrzały.

— Stój, jeszcze ci coś powiém. Ali-Aga zaproszony na wesele, i pewnie będzie, żeby nie dać poznać, że się czego boi. Ja jego znam!

— Bądź i ty, kto wié czy mi się nie przydasz.

— Będę, będę. Wy myśliwi na cudzą własność, zostawujecie zwykle okruszyny ze swego połowu; może i derwiszowi jaki abaz da się ukroić.

Harun nie słyszał już ostatnich słów derwisza.

* * *

Podwładni, a raczéj niewolnicy Kanly-Haruna (był on w swojéj sferze małym wschodnim despotą), nie odbiérając o nim żadnéj wiadomości przez kilka dni, sądzili, że może zginął, albo co gorsza, dostał się w łapy którego z naibów. W ostatnim razie mógł ich wydać, więc odmienili kryjówkę; z rozwalin, w których jak wiémy, Harun nadaremnie ich szukał, przenieśli się w okolice Kunach-Kendu. Żyd z kubińskiego przedmieścia, Jarym-Sakał (pół-brody); tak nazwany od dużéj kosmatéj brodawki którą miał na lewéj szczęce, kiedy reszta twarzy leniwo obrastała, objął dowództwo nad całą zgrają; tę zaś składali trzéj Muzułmanie, drugi żyd kubiński i jeden zbiegły dobosz. Wszystkich to cieszyło, że się nakoniec uwolnili od Haruna; oddawna karmili niechęć ku niemu, a ostatnia sprawa przy Kazdy-Czaju, gdzie tylu ich swojemu kaprysowi poświęcił, najwięcéj bandę oburzyła. Nie śmieli jednak sarkać, dopóki był między nimi; przebieglejszy rozum, odwaga wściekła i ślepa, właśnie taka jakiéj potrzeba w podobnym zawodzie, a nadewszystko wewnętrzna pewność siebie, zdradzająca się w postawie, w ruchu, w mowie, w każdym uczynku, zjednywała mu strach i posłuszeństwo niesfornéj hałastry. Za to nad nieobecnym, długo tajona nienawiść mogła się pastwić bez miary. Jedni żartowali z Haruna, drudzy mu złorzeczyli. Najwięcéj zaś piorunów ciskał na niego następca jego władzy; upewniał nawet, że gdyby Kanly-

Harun jakim cudem zjawił się znowu między nimi, to on, pół-brody, posłałby go niezwłocznie do piekła.

Chłodny, świszczący wiatr wciskał się do jaskini i zmiatał mech po ścianach; grad szumiał na dworze, zlany w jednę muzykę z hukiem pienistéj Tengi. Zacne zgromadzenie ogarnąwszy się w burki, zasiadło około mangału, dużéj misy napełnionéj żarzącemi się węglami, i grzało ręce. W takiém położeniu zastał je Harun.

— Aaaa! powiedział Jarym-Sakał, i nie ruszył się z miejsca. Aaa! powtórzyli inni wstając opieszale.

— Ilu was jest? zapytał Harun.

— Pięciu, a Jarym-Sakał szósty, odezwał się jeden z Muzułmanów.

— Pięciu? szósty? czemuż nie sześciu razem?

Nikt nie odpowiadał.

— Ty byłeś tu starszym bezemnie, Jarym-Sakale, co?

— Byłem, powiedział tamten głosem, w którym się przebijało, że coś innego miał na języku.

— To dobrze.

— Dobrze czy niedobrze, nie twoja rzecz o tém sądzić, wtrącił drugi żyd; Hassan biały, śmielszy od samego herszta.

Harun spojrzał na niego, potém na Jarym-Sakała, potém na innych, i wszystko zrozumiał. Odwrócił się ku wchodowi.

Chwila milczenia. Jarym-Sakał prowadzi walkę z sobą, niepewny czy sam ma scenę zakończyć, czy dać rozkaz. Inni spoglądają na herszta, i nie mogą z jego twarzy zaczerpnąć żadnéj myśli stanowczéj; spoglądają na Haruna, sądzą że zmieszany, i nabiérają otuchy, że się opiérać nie będzie.

Harun obrócił się do nich. Wlepił w Hassana białego oczy żelazne, nieruchome jak gardła pistoletów, i powiedział zimno nie okazując żadnego poruszenia.

— Wypal mu w łeb.

Hassan zatrząsł się cały i machinalnie sięgnął ręką po pistolet.

— Wypal mu w łeb! powtórzył Harun nie zmieniając postawy.

— K... ko... komu? wyjąknął potomek Abrahamów i Dawidów.

— Jarym-Sakałowi, a potém sobie.

Ściany jaskini odbiły grom wystrzału. Jarym-Sakał zwiesił głowę, pochylił się i upadł. Hassan biały stał jakiś czas w piekielnéj niepewności czy ma wykonać drugą połowę rozkazu, ale Harun nie nastawał na to; skinął ręką jednemu żeby wyniósł trupa, drugim giestem pozwolił reszcie usiąść przy mangale, sam zaś obwinąwszy się w burkę, upadł na słomę w kącie jaskini. Po krótkiém milczeniu zawołał:

— Opatrzyć broń, i być w pogotowiu.

XVIII.

Weselne gody.

Nigdy smutne wybrzeża Kazdy-Czaju nie widziały takiéj gali, jak w owym dniu pamiętnym, kiedy syn wymiatacza śmieci, miał się skojarzyć z córką Bała-Bega. Nie zbywało tam na niczém, co tylko mogło zaspokoić apetyt, uradować serca, słowem, odpowiedzieć wszystkim oczekiwaniom sproszonych grandów Szyrwanu. Gosposia, dama jak to wiémy światowa, chciała żeby wesele jéj córki odbyło się miejskim obyczajem, a ten

wymagał zupełnego rozdziału dwu płci; pomieszczono więc gości zacniejszych w dwóch oddzielnych szałasach. Zajrzyjmy do tego, który mieści w sobie płeć brodatą, bo drugi niedostępny jest dla nas, chyba, żebyśmy chcieli zgwałcić wolę gospodyni, grzeczność muzułmańską, a nawet przepisy koranu, od czego niech nas Allah zachowa.

Ściany szałasu wyplecione z tałyszyńskiéj wzorzystéj trzciny, obejmują przestrzeń owalną. Zamiast sufitu, pręciki w półkoła wygięte, końcami umocowane do ścian przeciwległych, przecinając się między sobą, kształcą plecionkę, która podtrzymuje zewnętrzne pokrycie. Przecięcia pręcików poprzecznych z podłużnemi, spięte są sznurkami, od których wiszą kutasy, kutasiki, węzełki różnéj wielkości, ze srebra i czerwonego jedwabiu. Zamiast posadzki, kobierce.

Liczni goście, z założonemi pod siebie nogami, jak u nas mówią, *po turecku*, dokoluteńka obsiedli tę salę, jeżeli się godzi tak ją nazwać, i kształcą jakby wieniec jaki: wieniec bród, wąsów i czapek baranich. Wszyscy jednakowo ubrani, ale to się rozumié co do kroju tylko, bo co do materyału, prowadząc od którego z szarych końców coraz wyżéj, rażące stopniowanie spostrzegać się daje. Tam naprzeciw drzwi, na honorowém miejscu, zajętém przez gospodarza, Mahmudka, Kyzył-Bega, Ali-Agę i jeszcze kilku magnatów i kinżały bogaciéj oprawione, i więciéj srebra na czuchach, i czapki dwa razy wyższe; tam każda broda ufarbowana z dziwnym gustem w czerwone z czarnemi smugi, każde dziesięć palców plącze się niedbale w sznurku korali, albo w bursztynowych paciorkach!

Siedzą nieruchomie, patrzą przed siebie, przytaili języki i zdają się iść w zawody kto kogo przemilczy. Je-

den Kyzył-Beg śmieje się i gada za wszystkich; ci do których swoje żarty obraca, ledwie półgębkiem odpowiadać raczą. Najwięcéj mu dostarczają materyi do ucinków dwaj Mahmud-Begowie, udany i prawdziwy; Ali-Agę nazywa czasem przez omyłkę jego właściwém imieniem, i grzecznie przeprasza, ale ten nie rumieni się i nie okazuje gniewu.

Nukiery przynoszą coraz świéże kilijany i milcząc odchodzą. Przynoszą także słodkie napoje w głębokich pozłacanych miseczkach, podają znaczniejszym z gości, a ci, odwilżywszy cokolwiek usta, wręczają miseczki sąsiadom. Za każdym razem, koléj obchodzi całe zgromadzenie, i za każdym razem, miseczki do połowy ledwie wypróżnione, wracają do nukierów. Ta tylko, którą Kyzył-Beg piérwszy odbiéra, chociaż głębsza od innych, do dna się osusza. Kyzył-Beg oddaje ją Mahmudkowi, a ten jeszcze jednemu z begów. Inni nie wiedzą co się kryje w głębszéj miseczce, domyślają się jednak, patrząc na tajemnicze mrugania i uśmiechy trzech osób które z niéj piją, że to jest jakaś farmazonia.

Przy czwartéj czy piątéj kolei, Kyzył-Beg oddał zagadkowy napój molle, ominąwszy Mahmudka, który już był rękę wyciągnął. Mołła po jednym łyku zarumienił się od ucha do ucha, postawił miseczkę na ziemi i powiedział uroczyście:

— Koniec grzesznika straszny będzie; wrota rozkoszy nie otworzą się dla niego. Biada jemu!

— Biada mu, biada! rzekł Kyzył-Beg naśladując głos i powagę mołły. Nie zobaczy owocu w którego pestkach Huri mieszkają, ani tego źródła zkąd wiecznie wino wytryska.

— Ja nie prosty mołła, ja mówię to com wyczytał w księgach. Ten, co stanie na lewicy w dzień sądu, biada jemu!

— O biada, biada! To się do ciebie stosuje Mahmud-Begu. Mówiłem, nie zaczepiaj Kerim-Mołły, ani jego żony.

— Co? zarzucił niewinny Mahmudek, chcesz na mnie zwalić?

— Wino jestto napój wymyślony od szatana, prowadził daléj kapłan z rosnącym zapałem. Przeklęty kto się upił; przez cztérdzieści dni Allah odwracać będzie od niego oblicze swoje, a przez drugie cztérdzieści nie zechce słuchać modlitwy jego!

Zabrzmiała muzyka.

Skwirczące zurny (*) otworzyły orkiestrę; było ich kilka, a każda z innego tonu zaczęła. Potém odezwały się kamancze (**) i napełniły powietrze piskiem stu gryzących się szczurów. Nie myślano o żadnéj zgodzie, każdy zurnista dął po swojemu, każdy smyk inne trele wycinał. Ale wkrótce z téj ogólnéj kłótni wywiązały się dwie nieprzyjacielskie partye i zaczęły sobie wzajemnie wydzierać panowanie nad uszami słuchaczów; i tak, ilekroć zurny ucichały, kamancze podnosiły się natychmiast do najwrzaskliwszych tonów, jak gdyby wojsko tryumfujące na rozwalinach zburzonego miasta; ale tryumf niedługi, partya zagłuszona na chwilę, wypocząwszy sobie, umiała znowu zmusić tamtę do lamentu, a sama zahuczéć całą mocą szumnego allegro.

(*) Dudy podobne do klarnetów.
(**) Rodzaj skrzypców.

Która którą przemoże? Która otrzyma plac potyczki? Żadna! Padnijcie na twarz dzieci harmonii, oto występuje wasz mocarz i prawodawca, groźny bęben!

Kiedy uszy gości czyndarskich karmiły się urokiem téj wojny muzycznéj, ich żołądkom także nie dano próżnować. Opłukawszy ręce, zasiedli koło kilku ogromnych tac, dymiących się ledwie nie wszystkiemi wyziewami królestw zwierzęcego i roślinnego. Trudno wyliczyć, a jeszcze trudniéj ocenić przysmaki jakie tam były. Na środku każdéj tacy, narodowy *płow* wznosił się majestatycznie jak Elbruz między górami; przy nim w mniejszych naczyniach, mieściły się mleczywa, mięso rozmaicie przygotowane, słodycze z mąki, miodu i łoju i t. d. Garści i palce biesiadników miały nad czém pracować.

Niektórzy porozumieli się z Kyzył-Begiem względem głębszéj miseczki: zakazany szerbet coraz większą koléj obchodził. I sam Kyzył-Beg i ci co się przyłączyli do jego cechu dostali rumieńców, żywszéj wesołości, płynniejszéj wymowy, ale syn wymiatacza śmieci wszystkich zakasował swoim słodkim humorem, nawet z uroczystych ust mołły potrafił uśmiéch wywołać. Przestał się lękać Alego, często zaziérali sobie w oczy; oczy Alego okazywały spokojną powagę, Mahmudkowe bezczelność pijanego winowajcy.

Przywołano tancerki. Najemne piękności weszły i stanęły; niepewne która ma balet rozpocząć. Ale jakież współzawodnictwo może mieć miejsce tam, gdzie się Badysz-Chanym znajduje? Owa gwiazda Sadowéj ulicy w Szamasze, przedmiot tylu westchnień i zabiegów, przyczyna i skutek nie jednéj potyczki nocnéj, celniejsza ozdoba wszystkich biesiad.

Tyś więc zaczęła, o Szyrwańska Taglioni! tyś piérwsza zjednała huczne oklaski! Gdzież jest pióro, coby opisało nieporównane ruchy twoje, łamania się i grymasy! To prawda, że stopki twoje trzymały się ziemi i nie tańczyły bynajmniéj, ale za to inne członki w jakiéj były robocie! Żadnemu nie dałaś próżnować, ani biodrom, ani żebrom, ani plecom..... Rączki twoje opatrzone w małe sztukadełka (*) rozcinały powietrze z niewymównym wdziękiem. I nie przestając na tém, tańcowałaś jeszcze nosem, gębą, uszami, brwiami, oczami....

Muzyka buczała bez przerwy, widzowie klaskaniem w ręce takt wybijali, ale i to i owo nagle ucichło, kiedy baletniczka otworzyła usta. Było to znakiem że ma śpiéwać, jakoż odkaszlnąwszy zaczęła:

„Nie rzucaj na mnie kamieniem,
„Bo ja cię kocham i bez tego" i t. d.

Jestto najulubieńsza w Szyrwanie piosenka.

Po Badysz popisywały się inne, to solo, to w parach, ale żadna jéj nie wyrównała. Widzowie zaczęli pozieważ.

— Precz kuropatwy, zawołał podnosząc się Mahmudek, ja lepiéj od was umiém tańcować. Precz za drzwi.

Bajadery wyszły jak zmyte. Mahmudek zajął ich miejsce na środku namiotu i stanął w pozycyi do tańca.

— Zaczynajże, kiedyś się pochwalił, rzekł Kyzył-Beg, ale szykownie, lekko, żebyś mi wstydu nie narobił. Na jednéj nodze!

Syn Abdułły podniósł ręce do góry, jednę nogę wyciągnął prawie horyzontalnie, a na drugiéj podrygując zwolna, zaczął się kręcić koło siebie.

— Wyżéj noga, wyżéj noga! wołał Kyzył-Beg. Tancerz usiłował być posłusznym, ale w miarę jak podnosił

(*) *Czeng*, ztąd i tancerka *czengi*.

nogę, głowa i reszta budowy podawała się w tył; byłby niebawem stracił równowagę i upadł, czego właśnie chciało się Kyzył-Begowi, wtém z nadworu wbiegł pędem kuli jakiś malutki chłopaczek, wdrapał się z niewypowiedzianą szybkością na Mahmudka i usiadł mu na czapce.

— *Ne-Dyr?* (co to jest), krzyknął Mahmudek stając żwawo na obie nogi.

* * *

Motłoch i plebeje stepowi bawili się na dworze. Nie zbywało tam także na niczém; były i tace obficie zastawione chociaż z mniejszym wykwintem, były i widowiska zajmujące. Tancerz męzkiego rodzaju, zwijał się do upadłego, inny figlarz wykonywał różne powietrzne susy, trzymając w obu rękach kinżały, których końce przykładał sobie do oczu, do serca, w uszy wtykał, tak, że najmniejsze uchybienie śmiercią groziło. Barany i koguty staczały nieustanne walki. Ci, których to nie bawiło, przewracali sobie koziołki, przeskakiwali w pędzie jeden przez drugiego, albo grali w kości. Słowem, duch biesiady swobodniéj i lepiéj rozwijał się na czystém powietrzu, między gminem, niż między panami, ścieśnionymi obrębem szałasu. Wśród powszechnego gwaru nikt nie postrzegł, jak derwisz Mustafa zbliżył się na swoim nieodłącznym ośle.

Derwisz miał z sobą jakiegoś małego koleżkę, tulił go mocno do siebie i okrywał burką, jak gdyby z bojaźni żeby mu się nie wymknął. Kiedy złaził z osła, koleżka wydobył się z jego objęć i odbiegł. Byłto chłopczyk w muzułmańskim ubiorze, jak najzgrabniéj przystosowanym do jego wzrostu: malutka czucha z wylotami, przepasana kusaczkiem złotolitym, wdzięcznie obciskała fi-

gurę, głowę zdobił barani papaszek, sine wzorzyste pantofelki, przymocowane do nóg rzemykami, wyglądały zpod pąsowych szarawarek. Na twarzy miał maskę.

— Rustem, Rustem! wołał derwisz, sam tu mały psotniku, zaczekaj! A, damże ja tobie!

Ale Rustem nie zważał na jego wołania. Derwisz chciał łapać zbiega, wtém usłyszał dwa wystrzały z za blizkiéj góry. Zatrzymał się nie wiedząc co ma począć, czy iść za hasłem, czy Rustema dopędzać; powtórzone dwa wystrzały skłoniły go tamtędy. Wskoczył szybko na osła i pojechał kłusem, zostawiwszy za sobą okrzyki ciekawości, zadziwienia i przestrachu.

Rustem nie zaniedbał korzystać z chwilowéj swobody. Zaczął się wywijać po różnych kątach taboru, tu naczynie z mlekiem wywrócił, tam potłukł miseczki z szerbetem, ówdzie zagrzązł nogami w płowie i zaraz wyskoczył, i ani chwili nie zatrzymywał się nigdzie, dopóki przez drzwi szałasu nie spostrzegł tańcującego Mahmudka.

* * *

— *Ne-Dyr*? wołał wciąż syn Abdułły, a wszyscy obecni toż samo powtarzali. Jął ze strachu miotać się, kręcić, skakać, wybiegł za drzwi i upadł. Nieprzyjaciel musiał opuścić swoje stanowisko.

— *Ne-Dyr*, powiedział znowu Mahmudek podnosząc głowę ostrożnie.

Niedaleko stało naczynie z płowem, Rustem nabrał dwie pełne garści i rzucił mu w twarz.

— *Ne-Dyr*? powtórzył jeszcze raz Mahmudek spluwając i ocierając sobie oczy.

Mołła wystąpił z tłumu, i zagaił:

— Ałłah wié, co to jest. Jeden tylko jest Ałłah żywy i wieczny. Nie skryje się przed nim czarna mrówka

na czarnym kamieniu wśród czarnéj nocy. On początkiem i końcem.

Tymczasem swawolnik Rustem wdrapawszy się z lekkością wiewiórki na wiérzch namiotu, zdarł maskę z twarzy, i spojrzał tryumfalnie na dół.

— To małpa! krzyknął jeden z gości.

— Małpa? tak małpa, potwierdzili inni; ja to zgadłem zaraz, i ja także, i ja także, któż tego nie wiedział że to małpa.

— Albożem nie powiedział zaraz że to małpa, rzekł Mahmudek. Prawda Kyzył-Begu?

— Sameś małpa niebożę. Pozwolić na to, żeby ci siadła na papachu i tłukła po pysku podkówkami swoich pantofli!

— Kto pozwolił, ja? Nie, jako żywo, bez pozwolenia tłukła. Ale dam jéj; przynieście mi tam karabin!.... Ha, córko pogańska!

— Dajno pokój, ty i trzeźwy nie umiész strzelać, a teraz to i do téj góry spudłujesz. Ot, lepiéj łyknijmy sobie!

— Zgoda.

Kobiéty widziały całą tę awanturę przez szpary swojego szałasu, i śmiały się wszystkie do łez. Nizza chciała zobaczyć zblizka psotnicę, co tak ślicznie zabawiła publiczność kosztem jéj małżonka; na jéj rozkaz, rzucili się nukiery z kijami i stryczkami, a po długich obrotach, już mieli schwytać, kiedy nadjechał derwisz. Małpa znalazła ratunek w jego objęciach, z których potém poszła do kobiécego namiotu.

— Ta małpa, powiedział derwisz pozdrowiwszy begów, ma sama jedna więcéj rozumu, niż wszyscy astro-

logowie i mędrcy Szyrwanu. Nikt takich dziwnych sztuk nie umiał od czasów wielkiego czarnoksiężnika Sulejmana syna Dandowego.

— No, no, zobaczymy co ona umié?

— Właśnie w tym celu ją przywiozłem, żeby uprzyjemnić kiejf zgromadzonych w tém miejscu wysoko zacnych begów i mirzów, a osobliwie wasz, Bała-Begu.

— To pokazuje sztuki.

— Nic jeszcze dziś nie jadłem, Ago!

Zastawiono mu półmiski na dworze; derwisz usiadł i jął zajadać, ale tak powolnie, z takiemi przestankami, jak gdyby nigdy skończyć nie myślał, i co moment oglądał się w tę stronę, dokąd jeździł na hasło wystrzałów. Tam były zarośle gęste choć nie wysokie, począwszy od niewielkiego jaru o parę set kroków od koczowiska, ciągnęły się nieprzerwanie pod same góry, i ginęły z oczu okrążywszy jednę nagłym zawrotem.

— Słuchaj Mustafo, co ty zamyślasz? spytał po cichu Ali-Aga. Ze mną żartować nie można.

Derwisz szepnął mu coś do ucha.

— Tu, na tém miejscu, Rustem nie może się popisywać, rzekł do przechadzających się begów. Jemu trzeba miękkiéj ziemi, murawy, ten żwir poraniłby mu nogi.

— To pójdziemy pod krzaki.

— I ja tak myślałem. Każże się zebrać, Bała-Begu, gościom i czeladzi, a ja tymczasem małpę odbiorę.

Idąc po małpę, zbaczał to w prawo to w lewo, i jednych podniecaniem ciekawości, drugich zmyślonym rozkazem Bała-Bega, nęcił na widowisko. Do służącéj Nizzy, która mu na spotkanie wyprowadziła małpę na sznureczku, rzekł po cichu:

— Powiédz swojéj pani, że ją mój Rustem najlepiéj ubawi, niechże go z oka nie spuszcza.

Lud wysypał się rojem ze wszystkich kątów taboru. Derwisz z małpą szedł na czole. O pół wystrzału od lasku, zatrzymał się.

— Rustem, ukłoń się begom. Dobrze; teraz zosobna Bała-Begowi. Tak. Kyzył-Begowi. A, Kazył-Bega nie widzę?

— Kiedy on nie chciał, chory, coś mu niedobrze... jedném słowem, leży jak trup.... wyjąkał zafrasowany Bała-Beg.

— A, to co innego. Ali sułtanowi — tak; Mirza-Jusufowi — tak; Mahmud-Begowi — wybornie. Drugiemu Mahmud-Begowi.

Piérwsze rozkazy wyuczony Rustem ściśle wykonał, ale kiedy go obrócili do Mahmudka, zamiast ukłonu zrobił mu szkaradny grymas.

— Ha córko Ormianina! krzyknął syn Abdułły zniecierpliwiony do reszty, zabiję, na miejscu położę! i dobył kinżała.

— Daj pokój, przecie to małpa, nie człowiek, perswadował chwytając go za rękę Bała-Beg.

— Co mi do tego że małpa! Plunę ja w brodę téj małpie, matkę jéj znieważę, skalam mogiłę jéj pradziada i wszystkich przodków aż do dziesiątego pokolenia!...

— Zaczekaj, przynajmniéj niech nas zabawi, potém się zemścisz.

— No, to czekam.

Zawzięta nieprzyjaciołka Mahmudka drugi raz ocalała od śmierci. Derwisz dał jéj w rękę swoję żelazną pałeczkę i przywiązał do pieńka, a widzów rozsadził tak, że krzaki mieli za plecami.

— Patrzcież z uwagą. Jeżeli choć jeden z was odwróci się, siła moich czarów przepadnie.

Zebrał kilkanaście kinżałów, powtykał je w ziemię naokoło małpy, wydobył z kieszeni i rozłożył jakieś narzędzia niewiadomego nikomu użytku, potém jął krzesać ogień kręcąc się i odmawiając tajemnicze wyrazy. Małpa patrzyła na wszystko okiem zupełnie obojętném; trafniejszy postrzegacz zrozumiałby zaraz z jéj miny, że nie ona będzie w tych figlach działającą osobą, ale obecni, znając derwisza Mustafę jako arcysztukmistrza i człowieka jedynego do konceptów, nie podejrzewali zdrady. Derwisz w ciągu swojéj roboty bez ustanku rzucał okiem na krzaki.

XIX.

Nieproszeni goście.

Krzaki zaszeleściały, i zpomiędzy rozsuwających się gałęzi wystąpił człowiek we zbroi. Słaby okrzyk *aj badzi!* dał się słyszéć w kobiecym namiocie.

— Pokój z wami, powiedział człowiek we zbroi do zgromadzonych. Jak się masz Bała-Begu, poznajesz mię? przyszedłem odnowić z tobą znajomość, rozpoczętą przed kilku tygodniami. Jak się masz Mahmud-Begu! kto ci pozwolił wyłazić z worka? A? odbierzesz karę.

Bała-Beg znajdował się w położeniu człowieka uderzonego w ciemię; kilka minut przeszło nim się zebrał z myślami. Ci z jego chłopów, co poznali Haruna, także nieprędko przyszli do siebie. Rozbójnik tymczasem wlepił oczy w kobiecy namiot.

Tu i owdzie dobyto kinżały, ale każdy patrzał na sąsiada, i trącał go w łokieć; rozpocząć nie było komu.

— Precz kinżały, powiedział stanowczo Kanly-Harun, straszcie niemi barany swoje! Ja mam więcéj kinżałów, mógłbym was na *kabab* posiekać, dzięki głupiéj ciekawości, co was na to miejsce przywiodła. Spojrzyjcie za siebie, a co, straszno? Słuchajcież, kto piérwszy zrobi poruszenie do odporu albo do ucieczki, sto kul go osadzi.

Lasek był w niezwykłéj dekoracyi; mnóstwo czapek wystawało zpomiędzy gałęzi, tu i owdzie widać było długie szyje gwintówek! Szyrwańczycy słynęli niegdyś z odwagi, ale niestety, trudno potokowi wrócić do źródła, trudno dzisiejszym ludziom odzyskać cnoty staroświeckie!..... Każda czapka podwoiła się w ich oczach, w każdéj gwintówce widzieli dziesięć.

— Hej nukiery! krzyknął rozbójnik, pięciu z was naprzód, wziąć na cel i strzelać za piérwszym znakiem. Inni niech na miejscach czekają.

Pięć czapek podniosło się z zarośli, pięciu drabów wystąpiło na czyste miejsce. Stanęli i wymierzyli do skamieniałéj tłuszczy.

Ali-Aga nie mógł pojąć jakim sposobem Harun zebrał tyle bandy. Zbliżył się jednak do niego i rzekł po cichu:

— Kończ prędzéj, bracie. Każ dać ognia, niechby kilku legło, to reszta pójdzie w rozsypkę, a tabor pusty przy nas zostanie. Kończ.

— A, Ali-Aga! byłbym zapomniał o tobie. Z tobą ja skończę najpierwéj. Mów, jakiéj chcesz śmierci?

Potomek Szachów cofnął się zdziwiony.

— Mów, jakiéj chcesz śmierci, bo jedną śmiercią zginiesz, choć jednéj mało dla ciebie! Tyś wart tysiąca! warteś po jednemu tracić krew, ciało, duszę; umiérać

i nie umrzéć, tarzać się po ziemi, w mękach skonania rok, dwa, bez końca!...

Ali-Aga milczał. Harun dobył pistoletu, wymierzył, spuścił rękę. Znowu wymierzył i znowu spuścił. Bratobójstwo nie mogło się pogodzić z nadzieją posiadania Nizzy.

— Żyj sobie, rzekł po krótkiém milczeniu, jeżeli ci, od których będziesz odtąd zależał, pozwolą na to. Słuchajcie, to mój rodzony brat!...

— Milcz! krzyknął Ali rzucając się na niego z kinżałem.

Jeden z rozbójników wystrzelił, Ali raniony w nogę, przysiadł.

— To mój rodzony brat, powtórzył Harun, nazywa się Ali-Aga a nie Mahmud-Beg. Jedne piersi wykarmiły dwa grzechy wcielone. Dwa grzechy prowadziły wojnę z ludźmi i między sobą. Ten, co piérwéj zaczął, powinien piérwéj skończyć. Bała-Begu i wy wszyscy możecie zaświadczyć w dywanie, że co tylko miał Ali-Aga, dom, majątek, nawet żona, należy do tego błazna...

— *Saoł*, *aga*, *saoł*, (dziękuję) powiedział Mahmudek kłaniając się aż do ziemi.

Ali przyczołgał się do Haruna, chciał ugodzić kinżałem, ale nie miał siły. Harun odepchnął go nogą. Potém znowu podniósł głos:

— Tymczasem żebyście mi tu nie przeszkadzali, wiążcie jeden drugiego. No, żwawo do roboty. Słyszysz Mahmud-Begu? Zdejm kuszak i wiąż sąsiada. A, ociągacie się? strzelać do nich.... albo nie: zaczęli.

Rzeczywiście zaczęto wykonywać rozkaz; strach ma wielkie oczy. Ale nikt się tak gorliwie nie krzątał, jak Mahmudek. Rzucił się na piérwszego Bała-Bega, i jął

krępować ze wszystkich sił swoich, pomagając sobie nogami i kolanami.

— *Aj kepe-ogły* (psi synu) mówił, jaż cię tu zwiążę! Oto tak, i tak; a co boli? to nic; jeszcze tak... No, teraz się nie ruszysz bawole mięso.

Bała-Beg sapał i stękał jak żydowski koń.

Po nim Mahmudek wziął się do Ali-Agi, który od silnego upływu krwi omdlał i nie robił oporu.

Za kilka minut wszyscy leżeli skrępowani oprócz Mahmudka, derwisza i małpy. Derwisz przyległ do ziemi i zatail się; syn Abdułły w zapale gorliwości swojéj natarł na małpę, chcąc i nad nią wykonać wyrok. Małpa dała mu policzek.

— Ten się wzbrania, zawołał, strzelajcie.

Harun skinął na swoich żeby mu podali konia, zostawionego w krzakach, oddał go Mahmudkowi i kazał zaprowadzić przed kobiecy namiot. Ludziom swoim zalecił pilnować jeńców, i jeżeli się nie będą buntowali, żadnego gwałtu nie robić.

Grobowa cisza panowała między kobietami. Tuliły się jedna do drugiéj i drżały jak rószczki jaśminu. Ale kiedy rozbójnik stanął między niemi, zapewne nie wydał się takim strasznym. Jego blada twarz, oczy mdłe i wilgotne, świadki niedawnéj choroby, niedospanéj nocy, a może i wzruszenia, nic odpychającego w sobie nie miały. Za piérwszym rzutem oka, bez trudności poznał najpiękniejszą kryjącą się w kącie szałasu na łonie matki. Zbliżył się powoli, spojrzał nieśmiało jak winowajca, i powiedział niepewnym, drżącym, ledwie dosłyszanym głosem: — jedźmy.

Nizza podała rękę.

Wsiadł na konia. Usłużny Mahmudek podniósł i oddał mu drogą zdobycz. Fatyma wybiegła z namiotu, krzyknęła raz tylko i padła zemdlona.

Koń uderzył z kopyta, polecieli jak wicher.

Wyjechali z gór. Miesiąc wyjrzał i rozwidnił obszary stepu. Głucho! na całym stepie dwa duchy ulatujące w szczęśliwsze kraje!...

Nizza płakała w kochanych objęciach. A co się z Harunem działo? Niepojęte rzeczy! Gdzie to pragnienie palące? gdzie ten ogień którym płonął cały kiedy był daleko od Nizzy, kiedy marzył tylko o niéj? Śladu nie zostało! Harun był szczęśliwy, niewypowiedzianie szczęśliwy; cały raj Mohammeda tulił do piersi, i jakiś smutek ściskał jego piersi. I on także gotów był zapłakać! Wstrzymał konia.

— Wrócimy jeżeli ci żal.

Zamiast odpowiedzi, Nizza obie ręce zarzuciła mu na szyję.

* * *

Pięciu rabusiów wpadło do koczowiska, jak tylko Harun zniknął im z oczu. Zabrali co znaleźli droższego i lekszego; Mahmudka, który jeden tylko chodził wolno, skrępowali także, objuczyli kilka koni swoją łupieżą, i odjeżdżając powiedzieli głośno do przytajonych w zarośli:

— Pilnujcież ich dobrze, a który się ruszy albo pisnie, strzelajcie bez miłosierdzia.

Na drodze żyd Hassan-biały zrobił uwagę:

— Nie ma co mówić, zuch nad zuchami ten nasz Harun. Nieprędko Szyrwan będzie miał drugiego takiego *Deri-Basza*.

* * *

Piérwéj jeszcze, nim derwisz wyprowadził publiczność na miejsce widowiska, Kyzył-Beg, który częściéj od in-

nych zaglądał do głębszéj miseczki, spity bez pamięci położył się na ustroniu i chrapnął jak w dobre czasy. Szczęście zdarzyło, że rabusie nie znaleźli go brodząc po taborze. Takim sposobem on jeden ocalał od zelżywych więzów, będzie mógł tryumfować i drwić sobie z innych. Ktoby się był spodziewał, że zakazany szerbet, takie zbawienne skutki poprowadzi za sobą!

Przebudziwszy się około północy, uczuł ból głowy, pragnienie i niesmak. Był on w podobnych zdarzeniach zwolennikiem Hannemana, lubił klin klinem wybijać. Krzyknął na nukierów, żeby mu podali madery. Odpowiedzi nie było. Wstał, spojrzał do kilku namiotów- i nigdzie nikogo nie znalazł. Zdziwiony, zaczął krążyć naokoło taboru, i nakoniec znalazł i swoich gości leżących pod laskiem.

— Osobliwszy nocleg obrali sobie, rzekł. Aj! wstawajcie! Popiliście się czy co?

— Pssst! odezwał się Mahmudek.

— A! ty nie śpisz? Powiédzże gdzie są nukiery, mam do nich interes. Ale co widzę! kto ciebie związał? Inni powiązani, i ty, i ty, wszyscy powiédzcie co to jest? Mów Bała-Begu.

— Pssst! odpowiedział Bała-Beg.

— Nie rozumiém, głowa mi się kręci. Nie musiałem się jeszcze wytrzeźwić. Zmiłujcie się, powiédzcie co się z wami stało, ale głosem, nie psykaniem.

Wszyscy milczeli. Zaczął jednego targać za brodę.

— Ty mi powiész, albo ci brodę oderwę. Kto was powiązał?

Zagabnięty skinął ostrożnie palcem ku zaroślom. Kyzył-Beg zrobił kilkanaście kroków we wskazanym kierunku; rozpatrzywszy się wrócił i zawołał:

I tego nie rozumiém. Kto tam tyle czapek pozawieszał na gałęziach, i na co? Widoczna rzecz, że muszę być jeszcze pijany. Trzebaż się znowu położyć.

* * *

Przed świtem, dał się słyszéć huk wystrzałów, daleko gdzieś za górami. O wschodzie słońca nadjechał niewielki poczet jezdnych, poprzedzony od oficera milicyi. Za oficerem, pięciu nukierów wiozło trofea ze świéżéj potyczki: pięć krwawych głów. Byłyto głowy wspólników Kanly-Haruna. Rzeczy zabrane przez nich wróciły do taboru.

Jeńcy natychmiast odzyskali wolność, oprócz Ali-Agi, z którego w ciągu nocy krew i dusza wyciekła. Mahmudek stanął nad trupem i długo, długo przypatrywał mu się; nakoniec wymówił głosem poważnym i pociągłym:

— *Allа aszekiur!*

XX.

Przejeżdżając przez Szyrwan na wiosnę 184...roku, byłem u Mahmudka w jego wiosce Kiczik-Kend, którą niedawno kupił. Zastałem i Kyzył-Bega. Siedzieli przy kominie i ciągnęli grzane winko.

— Aa, *W..aga!* zawołał podnosząc się gospodarz; jakżeśmy się dawno nie widzieli! jeszcze nie byłeś u mnie na wsi; siadaj, dajcie poduszek, ot tu, koło komina. Podać herbaty, pamiętać o koniu. No, jakże ci idzie kiejf?

— Wybornie.

— Wiész co, smutno na wsi. Co za życie bez bazaru! To jeszcze moje szczęście, że Kyzył-Beg u mnie przesiaduje, bez niego i bez téj zielonéj Huri (t. j. butelki) oszalałbym.

— Musisz żałować żeś przedał dom w mieście?

— Ej nie, tego nie żałuję. Ten przeklęty dom dał mi się dobrze we znaki! Niechno się ożenię, to i tu weseléj będzie. Ale, ale, czy wiész co się stało z Maleką?

— Nic nie wiém.

— Przystała do tancerek, tojest wróciła do dawnego stanu; bo jak się teraz pokazuje, przed wyjściem niebyto za mnie, była tancerką!

— A Nizza?

— Moja synowica? odezwał się Kyzył-Beg, mieszka przy ojcu z mężem.

— Z mężem? Ej Kyzył-Begu, tyś zawsze lubił żartować z przyjaciół.

— Bynajmniéj! krwawy Harun pasie teraz stada Bała-Bega, a Nizza doi krowy Fatymy-Chanym.

— Cóż na to policya?

— Nic a nic. Wkrótce po twoim wyjeździe, ogłoszono nam rozkaz Sardara (wielkorządcy), że każdy rozbójnik i włóczęga, który w ciągu miesiąca powróci i zamelduje się zwiérzchności, otrzyma przebaczenie. Do Haruna to się niezupełnie stosowało, bo na nim ciężyło za wiele grzéchów, ale wzięto na uwagę lata Bała-Bega, moje zasługi jakie takie, a przytém porękę naszę i kilku jeszcze begów; krótko mówiąc, Harun powrócił, ustatkował się i siedzi cichutko jak kania z podstrzeloném skrzydłem.

— Zobaczymy jak to długo potrwa, mruknął z widoczną niechęcią Mahmudek. Mam ja nadzieję, że temu waszemu Harunowi prędzéj czy późniéj nos i uszy obetną; *enszallah*, jeżeli się to Bogu podoba.

— Widzę, rzekłem, żeś mu jeszcze nie przebaczył swojéj urazy, Mahmud-Begu. Prawda że ci niemałego figla wypłatał; drugiéj Nizzy nie znajdziesz.

— Hm, właśnie że nie znajdę, przynajmniéj tu w Szyrwanie nie znajdę. Ale jeżeli gdzieindziéj poszukam, naprzykład u was w Warszawie?

— O, to co innego. Alboż się zbierasz do Warszawy?

— Na parę lat. Zapisałem się do konno-muzułmańskiego pułku i wkrótce wyjadę. Słyszałem już od wielu, że wasze *panny* ładne jak słońca, szkoda tylko że nie można kilku żon pojąć, po naszemu. Kyzył-Beg utrzymuje, że Polki i jednéj za wiele.

— To trochę za ostro — a jednak sprzeczać się nie będę.

— Wiészże co, bracie, napisz do nich list. Napisz, że oto tak i tak, Mahmud-Beg, syn Abdułły-Bega, słuszny człowiek, ma Kierik-Kend i dobry wór gotówki.....

— Więcéj zrobię, całą książkę napiszę.

* * *

Ostatniéj jesieni wracając z gór dagestańskich, byłem znowu w Szyrwanie, ale Mahmudka jużem nie zastał. Powiedziano mi, że już od kilku tygodni jest w Warszawie. Wyjeżdżając, zalecił jednemu ze wspólnych naszych znajomych przypomnić mi o książce.

Obietnica spełniona; dzieje Mahmud-Bega, skréślone sumiennem i bezstronném, chociaż przyjacielskiém piórem, wychodzą na widok świata. Nie pozostaje mi nic, jak polecić go względom waszym, moje piękne rodaczki! Niech was bynajmniéj nie zraża te kilka przywar, których tu przemilczéć nie mogłem; syn Abdułły ma i dobrą stronę: znajdziecie w nim dwa przymioty które podobno najdrożéj cenicie w małżonku: niezazdrosny i bez trudności daje się za nos wodzić.

Z niecierpliwością wyglądam listów od niego. Boję się żeby go tam znowu nie spotkało jakie nieszczęście. Jest on widocznie pod wpływem szalonéj gwiazdy, a wiadomo, że nikt nie uciecze od swego przeznaczenia. Alboż nie napisano:

Człowiek nosi los swój na karku swoim? (*)

(*) Alkoran, rozd. *Ezdra.*

Wspomnienie

O JERZYM BOGUMILE PUSZU

I PRACACH JEGO NAUKOWYCH.

Mąż, którego powołaniem stało się zbadanie kraju w przedwiecznych jego kształtach, i który śledził martwą przyrodę jego we wszelkich kierunkach i odcieniach, a nawet właściwą ziemi téj roślinność i żyjące na niéj istoty; nabył bez wątpienia przez zasługi swoje niezaprzeczonego prawa obywatelstwa, a pamięci jego, kilka słów poświęcić się godzi.

Jerzy Bogumił Pusz, urodzony 15 grudnia 1791 r. we wsi Kohren w Miśnii, kraju niegdyś słowiańskim, zkąd téż w końcu Koreńskiego przybrał przydomek, umarł w Warszawie w d. 2 października 1846, nabywszy przez ciąg pracowitego żywota swego w uczonym świecie sławy, jako znakomitego rzędu geolog i badacz natury; mianowicie zaś przez opisy ziemioznawcze kraju polskiego i liczne dostrzeżenia nad klimatem, aerologią i własnościami roślin i zwiérząt tutejszo-krajowych.

Zaledwie w r. 1806 młody Pusz skończył nauki gimnazyalne w ojczystéj swojéj Saxonii, gdzie górnictwo, jednę z najważniejszych gałęzi przemysłu i bogactwa na-

rodowego stanowi, wszedł do tamecznéj akademii frejbergskiéj, słynnéj wówczas wykładem nauk twórcy geologii Wernera, uczonego Herdera, oryktognosty Frejeslebena i chemika Lampadiusa, oraz prawnika górniczego Koehlera, którym przypisać należy świetny ówczesny stan téjże szkoły górniczéj.

Jako uczeń, odznaczał się nietylko pilnością w naukach, ale nadto rozwijający się umysł i nadzwyczajne zamiłowanie w wyjaśnianiu głębszych pomysłów, uczyniły go wkrótce piérwszym ulubieńcem Wernera, który odznaczając go między innemi współuczniami, do śmierci niezmienną zachowywał dla niego życzliwość i względy.

Professor Lampadius wybrał także Pusza zpomiędzy innych, powierzywszy mu, oraz drowi filoz. Chryst. Berchtowi, ułożenie przez nich w roku 1809 na 1810 wykładu chemii doświadczalnéj, który téż pod ich imieniem został wydany.

Po ukończeniu akademii górniczéj w r. 1810, udał się Pusz na uniwersytet do Lipska, gdzie zapisany w poczet uczniów wydziału prawa i górnictwa, słuchał nauk pod Wielandem, Wenckem, Hauboldem, Junghausenem i t. p.

Zaledwie ukończył te nauki, powstała dla Germanii owa chwila, w któréj z przewidywanym upadkiem Napoleona, Niemcy nową przyszłość sobie obiecywali. Młodzież uniwersytecka szła pod sztandary nowoformowanych wojsk różnych królów i książąt. Wtedyto Pusz zaciągnął się do kompanii saperów saskich, i odbył kampanią przeciw Francyi.

Za przywróceniem atoli pokoju w roku 1815, opuściwszy szeregi wojskowe, wrócił do zawodu górniczego,

a przeznaczony do kopalń i hut w kraju sasko-turyngskim, niedługo potém do Prus odpadłym, dał dowody swéj praktycznéj znajomości górnictwa i hutnictwa.

Gdy w r. 1816 w Kielcach założoną została szkoła górnicza przy Dyrekcyi Głównéj Górniczéj, na wezwanie rządu Królestwa, z wyboru akademii górniczéj frejbergskiéj i naczelnictwa górnictwa saskiego, zalecony na professora chemii i hutnictwa, powołanym został Pusz do szkoły kieleckiéj z tytułem professora i assesora Głównéj Dyrekcyi Górniczéj.

W instytucie tym wykładał Pusz nietylko chemią i hutnictwo, ale téż w następnych latach kopalnictwo i geologią.

Akademia górnicza w Kielcach zwinięta w roku 1826, a wraz z Główną Dyrekcyą Górniczą przeszedł Pusz jako assesor wydziału do Warszawy, gdzie zastępując czasowo, to naczelnika oddziału kopalń, to naczelnika oddziału hut, nareszcie w roku 1832 mianowany został radcą górniczym, naczelnikiem oddziału hut; potém w początku r. 1834 przeniesiony na posadę intendenta mennicy warszawskiéj, a w roku zaś 1842 powierzono mu naczelnictwo sekcyi technicznéj w wydziale górniczym przy Komissyi Rządowéj Skarbu.

Pomijając w zupełności prace jego w urzędowym zawodzie, które mu względy rządu i czdobę orderową zjednały, zwróćmy się do właściwych mu zatrudnień czysto naukowych.

Kraj polski, według dawniejszego stanu nauki geologii, zaledwie powierzchownie tylko opisany, niedość szczegółowo, a tém mniéj krytycznie poznany, dłużéj aniżeli reszta Europy oczekiwał badacza, któryby go ziemioznawczo rozpoznał i określił. Prace Staszica, po

mniéj dokładnych opisach Guettard'a, Karozego, Fichtla i innych, w swym czasie tak słynne, a przedewszystkiém dzieło piérwszego „O Ziemiorodztwie Karpatów i równin polskich", przy postępie nauki geologii i potrzebie dokładniejszéj pracy, stawały się coraz niedostateczniejszemi.

Uczeń ulubiony Wernera, na polskiéj ziemi poszedł za popędem swego zamiłowania ku badawczéj nauce ziemi, aby brak ten zapełnić.

W krainie po obu stronach Wisły rozciągającéj się, i daléj za kierunkiem Karpat zapędzając się aż do ich kończyn, Pusz w kilkunastu kilkomiesięcznych podróżach i w wielu krótszych wycieczkach, badał naturę i własności pokładów pokrywających królestwo polskie i kraje z niém graniczące, które z górutworami Królestwa nieprzerwany zachowują związek, następstwo lub odpowiedniość.

Licznym tym jego wędrówkom po kraju, jużto po większéj części umyślnie przedsiębranym, już téż przy spełnianiu urzędowych zleceń dokonanym, winniśmy jako owoc niezmordowanéj pracy i wytrwałości Pusza, dzieła, jedne wydrukowane, inne w rękopiśmie dotąd pozostałe.

Prace te jego wychodząc na widok publiczny, zjednywały mu coraz ogólniejszą wziętość i poważanie pomiędzy uczonemi Europejskiemi.

Prócz zjazdów na narady zgromadzeń badaczów natury, na które wzywany kilkakrotnie przybywając, chlubnie dał się poznać, liczne towarzystwa uczone zapraszały go do grona swego, a mianowicie:

W r. 1818 towarzystwo mineralogiczne w Dreznie; w r. 1819 towarzystwo farmaceutyczne w Petersburgu;

w r. 1820 towarzystwo nauk przyrodzonych w Bonie; w r. 1823 tow. szląskie postępu krajowego w Wrocławiu; w r. 1824 tow. badaczów natury w Altenburgu; w r. 1829 tow. cesarskie ciekawości natury w Moskwie; w r. 1830 tow. geologiczne Francyi w Paryżu i tow. przyjaciół nauk w Warszawie. Późniéj jeszcze kilka innych, a w końcu w r. 1841 towarzystwo geologiczne Londyńskie, stanowiące najwyższy dowód rozprzestrzenionéj sławy Pusza w świecie uczonym.

Zakończając krótkie to wspomnienie o Jerzym Bogumile Puszu, które mu winniśmy jako w kraju i nauce zasłużonemu mężowi, przytoczymy spis dzieł jego wydanych w porządku chronologicznym, i ważniejszych po nim pozostałych rękopisów, które są niestartą pamiątką jego głębokiéj nauki, rzuconego na poznanie utworów téj ziemi światła, i niezmordowanéj, ciągłéj pracy ku obszernemu przyrodzonych stosunków krajowych poznaniu i opisaniu.

I. Dzieła drukowane Pusza.

1. *Erläuterende Experimente über die Grundlehre der allgemeinen und Mineral Chemie welche in dem freiberger akademischen Lehrkurse von* 1809 *auf* 1810 *durch den Professor Lampadius angestellt wurden, gesammelt und herausgegeben von Dr. Christ. Bercht und G. G. Pusch.* Freiberg bei Cranz und Gerlach. 1810. 8, stronic 592.

2. *Geognostischer Kathechismus, oder Anweisung zum praktischen Geognosiren, für angehende Bergleute und Geognosten, von G. G. Pusch.* Freiberg bei Cranz und Gerlach. 1819. 12, str. 212 z 2 tablicami

3. *Geognostisch bergmännische Reise durch einen Theil der Karpathen, Ober und Nieder Ungarn, angestellt im Jahre* 1821, *von G. G. Pusch.* Leipzig bei Barth. 1824. 8, str. 386 z 10 tablicami.

4. *Jerzego Bogumiła Puscha krótki rys geognostyczny Polski i Karpat północnych, czyli opisanie zewnętrznego ukształcenia i wewnętrznego składu ziemi tego kraju, z rękopismu niemieckiego przez A. M. Kitajewskiego.* (Rzecz wyjęta z Sławianina tomu I i II). Warszawa, nakładem tłumacza. 1830, 8, str. 104, z 3 tablicami przecięć kraju.

5. *Geognostische Beschreibung von Polen und der übrigen Nordkarpathen Laender, von Georg Gottlieb Pusch,* w dwóch tomach. Tom I, Stuttgart bei Cotta 1831. 8, str. 338. Tom II tamże. 1836, str. 695.

Do tego atlas in folio max., z mappą geognostyczną opisanych krajów w cztérech sekcyach i czteréma mappami szczegółowemi gór sandomirskich, olkuskich, Krzeszowic i doliny Nidy, oraz dwiema tablicami różnych przecięć geognostycznych.

6. *Polens Palaeontologie oder Abbildung und Beschreibung der vorzüglichsten und der noch unbeschriebenen Petrefakten aus den Gebirgsformationen in Polen, Volhynien und den Karpathen, nebst einigen allgemeinen Beitraegen zur Petrefaktenkunde, und einen Versuch zur Vollstaendigung der Geschichte des Europaeischen Auerochsen, von G. G. Pusch.* Stuttgart bei Schweizerbart's. 1837, 4, str. 218, z 16 tablicami rycin skamieniałości.

II. Artykuły główniejsze w pismach czasowych przez Pusza zamieszczane.

1. *Ueber die neuesten Aenderungen in Werners Mineralsystem* (w Leonhard's Taschenbuch für Mineralogie z r. 1816, na str. 272 sq.).

2. *Bemerkungen über das Mineralsystem von Berzelius* (tamże z r. 1818 str. 3. sq.).

3. *Ueber Schulzes Beitraege zur Kenntniss des Oberschlesischen Gebirges* (tamże z r. 1818 na str. 291 sq.).

4. Opis 16 nowych lub małoznanych minerałów, po większéj części w Polsce znalezionych (tamże w zeszytach z r. 1821).

5. *Ueber die geognostische Konstitution der Karpathen und der Nordkarpathenlaender. Eine geognostische Skizze* (w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde. Tom I z r. 1829, str. 29); rozprawa czytana w Berlinie, na posiedzeniu badaczów natury i lekarzy niemieckich, dnia 18 września 1828.

6. W Pamiętniku górnictwa i hutnictwa, którego piérwszy poszyt wyszedł w Warszawie w r. 1830: *Historyczno statystyczny obraz stanu i produkcyi górnictwa i hutnictwa polskiego, obejmujący opis kopalń węgli kamiennych, galmanu i hut cynkowych*, stronnic 76.

7. *Ueber die geognostischen Verhaeltnisse von Polen, nach neuen Beobachtungen und Aufschlüssen* (w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde z r. 1838. Tom XII str. 154).

8. *Neue Beitraege zur Erlaeuterung und endlichen Erledigung der Streitfrage über Tur und Żubr (Urus und Bison)*; w Wiegman's Archiv für Naturgeschichte. 1840. 8, stronnic 137. Obszerna, ciekawa i ważna rozprawa.

9. *Uebersicht der auf Bergbau Hütten und Salzwerkskunde bezüglichen Abhandlungen und Aufsaetze, welche sich in verschiedenen periodischen Schriften zerstreut befinden, von* 1740 *bis* 1830. Skorowidz ten nader dokładny i użyteczny, znajduje się w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geogn. Bergbau u. Hüttenkunde z roku 1841. Tom XV, str. 228.

10. *O temperaturze źródeł okolicy Warszawy* (w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1844. Tom III, str. 1).

11. *Uwagi nad rozprawą o temperaturze źródeł Tatrowych* (w Bibl. Warsz. z r. 1844. Tom IV, str. 389).

12. *Wiadomość o nowo odkrytych ogromnych pokładach soli kamiennéj pod Stebnikiem w Galicyi wschodniéj* (w Bibl. Warsz. z r. 1844. Tom IV, str. 205), i toż samo po niemiecku w Leonhard und Bronn: Neue Jahrbücher für Mineralogie z r. 1845, str. 286.

13. *O pomiarach wysokości miejsc przez uważanie spółczesnych stanów barometru* (w Bibl. Warsz. z roku 1845. Tom II, strona 637.

14. *Jeszcze kilka uwag o temperaturze źródeł i powietrza w Krakowie* (w Bibl. Warsz. z r. 1845. Tom II, str. 647), i wiele innych pomniejszych artykułów.

III. Dzieła do druku przygotowane, znajdujące się w rękopisie.

1. Wykład *geologii* przygotowany w języku niemieckim dla użytku szkoły górniczéj, pisany może około roku 1830.

2. *Ueber die Sündfluth und die von ihr abgeleiteten sogenannten Diluvial Gebilde, nach den Sagen der heiligen Mythen der Voelker und den Ergebnissen geologi-*

scher Forschungen. Ein Versuch zur Schlichtung eine alten Streits von G. G. Pusch. Rozprawa ta o potopie dość obszerna, pisana zapewnie między rokiem 1832 a 1836.

3. *Systhematik und Physiologie der metallführender Lager und Ganggesteine, oder die natürlichen Erzniederlagen* (rozprawa).

4. *Allgemeine Palaeontologie oder vollstaendige Versteinerungskunde.* Dzieło wykładające systematycznie całą paleontologią czyli naukę o wszelkich skamieniałościach właściwych wszelkim górotworom. Nadzwyczaj obszerna praca, wystarczyć mogąca na 4 wielkie tomy, z mnóstwem tablic porównawczych i wykazami wszystkich gatunków zwierząt i roślin zaginionych, oraz tablicami synchronistycznemi, wykazującemi okresy do których należą i które cechują.

5. *Polens Aërometrie*, dzieło dwutomowe, opisujące własności ziemi, gruntów, wód, źródeł, klimat, temperaturę, pory roku, roślinność i jéj granice, właściwe zwiérzęta temu krajowi, szczególniéj dzikie, leśne, polne i w ziemi żyjące, ptastwo i t. d. słowem, wszystko to, co na powierzchni Królestwa Polskiego pod względem historyi naturalnéj i fenomenów meteorologicznych spostrzedz się daje. Do dzieła tego należą bardzo liczne tablice oddzielny tom stanowiące, a mianowicie spostrzeżenia meteorologiczne w Polsce, czynione codziennie przez Pusza kilka razy na dzień, od chwili przybycia jego do kraju, aż do śmierci, tojest od r. 1816 do 1846, w Kielcach i w Warszawie przez ciąg lat 30, i inne.

6. *Neue Beitraege zur Geognosie von Polen von Georg Gottlieb Pusch.* Dzieło ostatnie Pusza. Są to uzupełnienia i zmiany odnoszące się do jego opisu geognostycznego Polski, które stanowią oddzielną całość i w ogólności

dzieło wielkiéj wagi, obejmujące 7 rozdziałów czyli rozpraw (*Abhandlungen*) o różnych górotworach, a mianowicie: 1, o utworze szląsko-polskim wapienia muszlowego kruszconośnego; 2, o kejprze w górach sandomirskich i Olkuskiém; 3, o utworze węgla kamiennego; 4, o ogniwach jura czyli ikrowcu (oolit) w Krakowskiém aż do Warty, i w Sandomierskiém; 5, o płycie ikrowcowym baltyckim; 6, o składach soli galicyjskich; 7, porównanie układów geologicznych w Polsce i Rossyi.

Jakże jest do życzenia, aby trzy ostatnie prace jak najprędzéj na widok publiczny wyjść mogły! Wątpićby nie należało, iż pozostała po Puszu rodzina, nie omieszka wywiązać się z téj ostatniéj przysługi dla pamięci zasłużonego ich ojca, a tyle dla ogółu kraju, użytecznéj.

CHARAKTERYSTYKA TAŃCÓW.

PRZEZ

Karola Czerniawskiego.

Spoglądając na rozliczność tańców tak naszych, jako też innych narodów; wpatrując się w ich charakter tak odmienny, odbijający nieraz całą indywidualność stanu, prowincyi, lub narodu który je u siebie wyrobił i w ciągłém ma użyciu: nasunęła się nam myśl bliższego zgłębienia początku, natury i znaczenia tańców.

Początek tańców ginie w pomroce wieków; w najdawniejszych pismach o nich wspominają (1); sam zresztą wyraz *taniec*, jednobrzmiący we wszystkich niemal językach, świadczy o ich dawności (2).

Zdawałoby się napozór, że piérwsza gwałtowna radość wywołała skoki; co zresztą tak jest przyrodzoném

(1) Pismo święte w kilku miejscach o tańcu wspomina. Starożytni utrzymywali, że taniec jest wynalazkiem Minerwy, która tańczyła z radości po porażce Tytanów; inni znowu utrzymywali, że ta chwała należy Kastorowi i Polluxowi.
(Dict. Univ. de Trevoux).

(2) Nietylko w europejskich językach ten wyraz jest jednobrzmiący (ob. Dykc. Lindego), ale nawet w najdawniejszych: po arabsku bowiem zwie się *tanca*, po hebrajsku *duc*.
(Dict. Univ. de Trevoux).

człowiekowi, że i dziś zdarza nam się widzieć, nietylko w dzieciach co tańca nie znają, ale i w dorosłych ludziach, podobne wybuchy radości, objawiane w klaskaniu i skokach. Ztąd może i drugi nasz wyraz *pląsy*, a w starosłowiańskim *plaska*, bierze początek, i oznacza wesołą zabawę połączoną z plaskaniem czyli klaskaniem, służącém za przyrodzoną muzykę, lub wybijanie taktu w skokach i tańcu. Wpatrzywszy się jednak głębiéj w niektóre tańce, bacząc iż one nie są wymysłem pojedynczych ludzi, ale utworem całego stanu, prowincyi lub narodu; ujrzymy, iż one osnuły się na obszerniejszéj myśli, i że do nich prócz wesołości wspólnéj wszystkim ludom, weszły i inne jeszcze czynniki.

Czynniki te są: 1) *pierwiastek religijny*, 2) *miłość* i 3) *pierwiastek wojenny*; które w miarę tego jak wpłynęły, łącznie lub oddzielnie, pośrednio lub bezpośrednio do tańców, wycisnęły téż na nich odpowiednie swéj naturze piętna, i stosownie je wyrobiły.

1. *Pierwiastek religijny.*

Okazywanie czci Bóstwu w poruszeniach ciała, jest wrodzoném człowiekowi: padanie na twarz, pokłony, zginanie kolan, wyciąganie i składanie rąk, jest najpiérwszym widomym językiem uwielbienia i wdzięczności dla Stwórcy, i dotąd jeszcze towarzyszą modłom człowieka. U wielu téż narodów ruchy ciała, skoki i tańce wchodziły do obrzędów religijnych, i były przedmiotem wielu ustaw dawnych prawodawców. Platon uważał muzykę i taniec jako ważną rzecz w ceremoniach religijnych, uroczystościach narodowych i ćwiczeniach wojennych: w swéj księdze o Rzplitéj przepisuje im grani-

ce, których przekraczać nie powinny, by miały cechę obrzędową i w karbach przyzwoitości się utrzymywały. Egipcyanie, Hebrajczykowie mieli tańce religijne; takim był taniec koło złotego cielca dawnych Izraelitów; na cześć bogini Venus u Greków; tańce Druidów u Gallów; u Słowian zaś tańce na cześć *Łady*, bóstwa miłości, zgody i związku małżeńskiego (1), kiedy na *dziewiczych* górach zbiérali się gromadnie w tak zwane *Boże stada*, i tańcem *korowod* (może od *koło* i *wódz, wodzić* zwanym) biegli ku *horodyszczom*, gdzie składając bóstwu ofiary, śpiewali religijne pienia i w gromadnym tańcu cześć bóstwu oddawali (2); oraz tańce tychże Słowian na cześć *Kupały*, bóstwa zbiorów przy ogniach sobótki (3). Tańce

(1) Ob. Kronikę Stryjkowskiego, Prawdę Ruską Rakowieckiego, Hist. P. Naruszewicza.

(2) Ślady tych obrządków i tańców, dotąd na Rusi i Litwie się przechowują, gdzie od końca maja do końca czerwca, ojcowie i mężowie na gościńcach lub w karczmie, a żony, córki i młodzież na ulicach i po gajach pobrawszy się za ręce pląsają i śpiewają: *Oj Łado, Łado, Dejdis Łado*, albo *Łado, Łado, Łado, Dejdis mussu Dewie!* (wielki nasz bożku Ładoo)!

(3) Ślad tych tańców pozostał również i zachowuje się dotąd u nas po wsiach, gdzie wieczorem w wilią śgo Jana, około ognia sobótki roznieconego słomą, bylicą i innemi ziołami, za wsią przy drodze zazwyczaj, dziewczęta pobrawszy się za ręce tańcują, śpiewając rozmaite pieśni. (Zobacz niektóre pieśni sobótki w zbiorach pieśni gminnych, tudzież w Gołębiowskiego *Gry* i *zabawy*). Z tańców tych, jakby przy ofiarach Westalek, wyłączeni są mężczyzni i kobiéty zamężne; tańczą tylko dziewice; chłopaki zaś małe rozpędzając się, przez ogień jakby na psotę przeskakują.

W opisie sobótek przez Kochanowskiego Jana, widzimy także, iż same tylko dziewczęta i małe chłopaki w tańcu tym udział miały:

Dwanaście dziewek jednakowo ubranych,
Bylicą opasanych,
Śpiewać nauczone,
W tańcu niezganione,
Ogień napalono na dworze,
Czekano rannéj zorze.

czysto religijne znajdziesz dotąd u ludów w stanie natury żyjących, lub od cywilizacyi jeszcze oddalonych: i tak, tańce ofiarne dzikich, wróżbitów i zażegnywaczy, kręcenie się derwiszów i taniec wirowy Braminów na cześć Budy, są czysto religijnemi tańcami. Historya starego zakonu naucza nas, że Dawid tańczył przed arką na chwałę Boga i okazania mu swéj radości z przybycia arki do Syonu. Chrześciaństwo również wcierając się do życia bałwochwalczych ludów, dając im światło boskiéj nauki, musiało nieraz dla jéj uzmysłowienia przejmować do swych obrządków i tańce ofiarne, do poważnych wszak-

Od matek miały,
Że na dzień śgo Jana,
Sobótka palana.
Niećmy ogień do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania,
Skokiem taniec najsnadniejszy,
Kiedy w bęben przybijają.
Wystąp ty, coś ciągnął kota,
A na chwilę puść się płota.

Ostatnie dwa wiersze zapewne do malców się ściągają, którzy przypatrując się z płotów tańcom dziewcząt, śpiéw ich podrzeźniali ciągnąc kota za ogon.

Wszakże wyłączenia starszych mężczyzn nie zawsze i nie wszędzie ściśle przestrzegano, jak to widzimy z drugiego opisu sobótek przez Twardowskiego Kaspra p. t. *Bylica* z r. 1630.

„Wszyscy na rozpust jako wyuzdani
Idą, bylicą w poły przepasani.
Świerkowe drzewa zapalone trzeszczą,
Dudy z bąkami, jak co złego wrzeszczą.
Dziewki muzyce po szeląg dali,
Ażeby skoczniéj w bęben przybijali.
Włodarz, jako wódz, przed wszystkiemi chodzi,
On sam przodkuje, on sam rej zawodzi.
Za nim, jak pszczoły, drużyna się roi,
A na murawie beczka piwa stoi.
Co który umié, każdy dokazuje,
Ten skacząc wierzchem płomienie strychuje,
Ow pożar pali, drudzy huczą, skaczą,
Aż ich dzień zdybie, to wzdy się obaczą."
(Upamiętają się nareszcie).

Snadź nie była to czysta sobótka, tylko z jakimeś weselem połączona, jak to widać po *włodarzu* co *rej* wodził.

że ruchów tylko ograniczone i z zastosowaniem ich do pamiątek założyciela kościoła. W początkach chrześciaństwa, widzimy tego ślady w przewodniczeniu biskupów tańcowi dzieci choralnych w czasie wielkich uroczystości, który to zwyczaj ciągnął się aż do XII wieku w krajach południowych (1); niedawnemi zaś czasy w południowéj Ameryce używano tańców przy processyach i innych obchodach kościelnych, tak, iż nawet zakonnice w wilią Bożego Narodzenia ukazywały się publicznie z poza krat klasztoru, i w tańcu objawiały swą radość z powodu narodzenia syna Bożego (2).

W krajach katolickich tańce towarzyskie są liczniejsze i piękniejsze; w krajach zaś protestanckich, których kościół zamyka wrota swoje ozdobom sztuk pięknych, processyom, pielgrzymkom, słowem wszelkim oznakom czci na zewnątrz w ruchach objawianéj, powierzając uczczenie Stwórcy saméj tylko myśli, tańce albo już niknną jak w Anglii (3), lub zupełnie ich niéma, jak w Ameryce północnéj, gdzie zawiązkiem społeczności byli purytanie i kwakrzy (4). Jednakże i tu zdarzają się wyjątki, bo ostateczności czasem się stykają. Jest w Szkocyi jedna sekta kwakrów, która właśnie całe nabożeństwo w śpiéwie i tańcu odbywa. Jéj członkowie zowią się *szelery* (Chaikres). Zbiérają się oni w domu nabożeństwu poświęconym, gdzie śpiéwając hymny i nabożne pieśni, płcią gromadnie na dwie strony rozdzieleni, podchodzą wzajem ku sobie, cofają i całe nabożeństwo w ciągłych

(1) Dict. Encycl. de Charles Saint-Laurent.
(2) Obacz: Manuel de la danse p. Blassis.
(3) Podróże Lacha Szyrmy.
(4) Dém. en Amérique p. Tocqueville.

ruchach, drżeniu i tańcu odprawiają. Niemcy przezwali ich *die Zitterer*, od drżącego ruchu, który ich pobożnym tańcom towarzyszy.

Pierwiastek więc religijny z obrządków wpłynął i do tańców towarzyskich, i w miarę tego jak gdzie był obfitszym, tam też silniéj sprzyjał rozwinięciu się tańców, i tam one są daleko rozmaitsze, piękniejsze i w większéj nierównie liczbie.

2. *Pierwiastek miłości.*

Drugim i najgłówniejszym pierwiastkiem tańca jest miłość, zaczepki i wzajemne ubieganie się młodzieży płci obojga; gonitwa zresztą wspólna całemu jestestwu, magnetyczny pociąg wszech rzeczy, powód ruchu w naturze.

Wszędzie gdzie tylko kobiéta ma wolną wolę oprzéć się mężczyznie, gdzie tworzy równą połowę społeczeństwa, tam wzajemną gonitwę, tam i wspólny taniec znajdziesz; i przeciwnie: gdzie kobiéta nie ma swéj woli i znaczenia w społeczeństwie, tam i tańca wspólnego niéma. U Turków, Tatarów, u wszystkich ludów wielożennych są tylko *samotne* kobiét tańce; tańce zaś *samotne* mężczyzn, mające w sobie przewagę pierwiastku wojennego, znajdziesz znowu u ludów ciągłéj bójce oddanych, i z ustaw swych, lub zatrudnień od kobiét oddalonych.

Tańce wchodzą do obrzędów ślubnych prawie wszystkich ludów jednożennych, i są dotąd nieodłączną częścią skojarzanych małżeństw. U nas dawniéj, każde zaślubiny obchodzono kilkodniowemi ucztami i tańcami; co lud nasz dotąd zachowuje; zwało się to wesele: tak,

że wyraz *wesele*, brany jest dotąd za jednoznaczący z zamęzciem.

Cóż zresztą i dzisiejszych zabaw, tańców, jest pobudką i celem? Oto zbliżenie młodzieży płci obojga, łatwiejsza sposobność wzajemnego zapoznania się i kojarzenia małżeństw.

Czasami do tych celów łączą się inne pobudki, natchnione prawdziwie chrześciańską miłością: tém są bale publiczne, za opłatą na korzyść ubogich i różnych instytutów po wielkich lub okręgowych miastach dawane. Takiemi są np. zabawy w Warszawie w resursach i salach teatralnych; gdzie zarząd balów przyjmując na siebie najdostojniejsze matrony i najpiękniejsze niewiasty, łącznie z gronem nadobnych dziewic i dorodnéj młodzieży, nadają niezwykły urok tym świetnym i z dobroczynnym celem połączonym zgromadzeniom.

3. *Pierwiastek wojenny.*

Trzeci pierwiastek tańca jest wojenny. Obchody radośne zwycięztw, tryumfalne marsze, turnieje, igrzyska, wszystko to wywołało i tańce wojenne. Były one znane starożytnym, i w Europie niegdyś powszechne. Opisy niektórych, jak niemniéj wykazanie wpływu pierwiastku wojennego, i śladów jego w wielu tańcach, znajdziemy poniżéj.

Łagodne urządzenie społecznych stosunków, dobry byt, gościnność i myśl wesoła od trosków wolna, są także koniecznym warunkiem towarzyskich tańców, i na wyrobienie ich silnie wpływają.

Obrządki więc religijne, społeczny zarząd, klimat, stosunki jednéj płci z drugą, ich zbliżanie się do siebie,

miłość, zwyczaje przy oświadczynach i zaślubinach, charakter ludu mniéj lub więcéj wojenny, jego główne zajęcia; wszystko to wpłynąć musiało na wyrobienie tańców narodowych, odpowiednio religii, instytucyom, charakterowi i zwyczajom ludów. Dlategoto tańce narodowe mają głębsze znaczenie, niż napozór się zdaje; a przedstawiając obszerne pole do myślenia, zasługują, aby im się gruntowniéj przypatrzéć, i odkryć powinowactwo jakie mają z całą indywidualnością narodu, który je u siebie wyrobił.

Każda niemal większa prowincya jakiegoś kraju, różniąca się położeniem geograficznem, pochodzeniem, sąsiedztwem, ma oddzielne sobie tańce. Są wszakże i takie, które są treścią, zlewkiem doskonałym różnych tańców kilku prowincyj, naród cały tworzących; albolitéż taniec jednéj prowincyi, przeważnéj wpływem lub znaczeniem, gdy wyrobił ducha, charakter, wspólne całemu szczepowi lub stanowi w narodzie, staje się wówczas albo narodowym, albo téż wyłącznym pewnego stanu, pewnéj klassy ludzi tańcem. I tak: *kadryl* we Francyi, *walc* w całych Niemczech, *galopada* u wszystkich górali, lub z pobliża gór mieszkańców: *mazur* u całéj szlachty naszéj, *obertas* u ludu, stały się powszechnemi. To téż tylko nad tańcami powszechnemi zastanawiać się będziemy; w tańcach wszakże narodu naszego i szczegółowe tańce przejrzymy.

* * *

Tańce pod względem rozwinięcia w ogóle dzielą się: na tańce *samotne kobiét*; *samotne mężczyzn*; tańce *parzyste*; i tańce *gromadne*; a to w miarę jak ten lub ów pierwiastek, wchodził albo wyłącznie, albo w połączeniu.

I. Tańce samotne kobiét.

W krajach, gdzie ustawy lub zwyczaje wyłączają kobiétę z towarzystwa, a zepchnąwszy ją do rzędu zwiérząt domowych, uważają za rzecz, za własność; gdzie odmówiwszy jéj praw, zaprzeczywszy duszy, trzymają w zamknięciu do posług i zabawy; słowem, gdzie tylko jest wielożeństwo, tam wspólnéj gonitwy, wspólnego tańca nie znajdziesz. Gromada kobiét, kupiona jak inwentarz na targu, zamknięta w haremach i strzeżona przez eunuchów, ma jednego tylko pana. Jego więc łaskę zyskać, podbić go li ciała wdziękami, jest wielkiém i jedyném zadaniem kobiét Wschodu; to téż i taniec ich jest samotny i zmysłowy.

Spojrzyj na Wschód: — kiedy mężczyzna z fajką w ustach oddaje się błogiemu Mahometan kejfowi, i drzymiąc na sofie, przymrużonemi na wpół oczyma, spogląda z przesytem na setki swoich niewolnic; one wówczas, jedna przed drugą ubiegają się ściągnąć na siebie uwagę pana, i owładnąć choć na chwilę, nie serce, bo to za wiele, ale fawor jego. Patrz na tę córę Kaukazu, któréj wiotką kibić, wydatne powaby, i cudne rysy twarzy, przykrywają bogate zasłony: gdy drugie bijąc takt w *dżele* i *tamburiny*, czekają aż na nie koléj przyjdzie: ona podchodzi ku swojemu władzcy, i ze złożonemi na krzyż rękoma, głęboki pokłon mu oddaje; szczęśliwa, jeżeli niedbałém skinieniem głowy tańczyć jéj przed sobą pozwoli. Zaczyna więc. W zwinnych ruchach, powaby ciała rysują się niewyraźnie zpod szerokich fałdów tureckich opończy, i nikną jeszcze prędzéj: to niecierpliwi pana; zrzuca więc zasłonę z twarzy i wszystkie jéj wdzięki, naprzemian mu pokazuje.—Patrz władzco. Oczy moje—to

gwiazdy co świecą na niebie Allaha; i oczy jéj się mienią jak gwiazda Saturna. Usta moje—korale, a zęby—to perły twego oceanu; i dzwoni zębami, a usta uśmiechem roztwiéra. Lica moje—to róż i lilij kwiaty; i spłonie jutrzenką, poblednie porankiem. Szyja moja—to szyja łabędzia; i gnie nią jak łabędź. Piersi moje—to jabłka białe z raju Mahometa; ramiona moje, ręce i palce—są to gałęzie drzewa proroka!... Splotami wonnemi ja cię otoczę, ustami memi miód w duszę wleję, spojrzeniem mojém rozjaśnię ci czoło, i ogniem lica serce rozgrzeję!....

I tańcząc roztwiéra ręce; to wpół się zgina, to ręce krzyżem na piersiach składa, i pierś odsłonioną przed nim ukrywa, to jednę rękę nad głową wznosi, jak łuk pałasza albo półksiężyc; to się na miejscu jak wiatr zakręci, jak gdyby chciała wzlecieć w niebiosa: to znowu skoczy jak hyena lub tygrys, to się układa jako łasica, albo też igra jak kotka mała.

Tak lub podobnie tańcują wszystkie kobiéty Wschodu; rzucona chustka jest jéj nagrodą i zwycięztwem; biédne kobiéty!

Hiszpańska *kaczucza*; taniec również saméj kobiéty, jest zabytkiem panowania Maurów, tańcem kobiét Wschodu, złagodzonym europejską cywilizacyą. Ma on swoje odcienia; raz namiętny, znów wesoły, czasem poważny, pełen smętnego powabu. Raz jest zabytkiem Maurów haremu, znowu radosnym wybuchem świéżego powietrza, to tęsknotą rozłączonéj od kochanka dziewicy. *Kastaniety*, to może urywek maurytańskich więzów co jéj obecnie za muzykę służą.

Smutna jest dziewica Andaluzyi, bo jéj oblubieniec ginie może pod murami Grenady lub na polach Tariffy.

Tańczy, lecz taniec jéj ma barwę żałoby. Czemuż nie przybywa drogi Alonzo, pod cieniem wonnych pomarańcz zatańczyć rozkoszne fandango? Wszak dla niego uśmiéch i łza w oku; dla niego serce, co pryska iskrą w czarnéj źrenicy; dla niego powaby dziewiczego ciała, i duszy ognistéj rozkoszne pieszczoty... Gdzie jesteś Alonzo! czy słyszysz grzechotki? jam w piersiach Araba sztylet utopiła i siłą miłości pęta rozerwała!—I raz w tę, drugi raz w ową stronę się zwróci, szuka go wszędzie, szuka go na wschód i południe... Pochyla się ku ziemi, jakby jéj ziemia kochanka wydarła; to znowu w górę ręce podnosi, jakby go chciała z nieba przywołać, i przyjąć w swoje objęcia pragnęła.

Zasadą więc główną *samotnego* tańca kobiét, jest miłość jednostronna. Jeżeli u kobiét niewolnych przeważa w miłości strona zmysłowa, to nic dziwnego: bo przywiązania serdecznego, miłości duchowéj tam być nie może, gdzie duszy odmawiają kobiécie, i kształcenia téj strony zaniedbują; gdzie o jéj przychylność nie stoją, o uczucie nic starają się, całą jéj wartość zasadzając na powabach ciała i strzeżonéj przez eunuchów cnocie.

II. Tańce samotne mężczyzn.

Jak w samotnych tańcach kobiét jednostronna miłość wyłączną gra rolę, tak znowu w tańcach samych mężczyzn pierwiastek wojenny przeważa.

Tańce wojenne znane były starożytnym, i wielu pisarzy o nich wspomina. Spartanie i Kretończykowie szli do szturmu tańcując; tych ostatnich miał wyuczyć tańca wojennego Neoptolemus syn Achillesa; zwano go *Pyrrichia armata saltatio.* Numa ustanowił taniec wojenny

dla Salaryuszów ofiarników bożka wojny Marsa, *Saltatio Saliaris* (1). Dawniéj tańce wojenne w Europie były powszechniejsze. W Polsce naprzykład, kiedy posłannictwem narodu było zasłaniać piersiami Europę od napadów azyatyckiéj tłuszczy, i strzedz kłujące się w niéj światło od pokuszeń Omarowéj dziczy, miałeś dość wojennych tańców, i tak: *sejdak* o którym wspomina Radziwiłł Sierotka w swojéj Podróży do Egiptu, mówiąc, że tańce egipskie są do niego podobne, całe w łamaniach, skokach i pochyleniach, jakby harce na koniu i bitwę przedstawiały. Taniec *hajduk* zwany, o którym napomyka *Światowa rozkosz* z r. 1630:

„Włoch o galardę prosi, żołniérz o hajduka,
„Ale i tego skoczyć grzecznie, sztuka."

Takim również był może taniec *wyrwany*, który z opisu Paska, zdaje się być podobny do mazura, z cechą wszakże czysto-wojenną; dawniéj nawet polonez i szlachecki krakowiak snadź były wojennemi tańcami, przez samych tylko mężczyzn używanemi. Kozak, i do niego podobne tańce czerkieskie i norwegskie, jak powiada Jan Potocki w Podróży do Astrachanu w r. 1797 odbytéj, są niemniéj tańcami wojennemi. Było ich u nas więcéj, lecz opisy ich i nazwy nawet do nas nie doszły; o istnieniu wszakże których, ogólne napomknienia naszych pisarzy domyślać się każą.

Tańce wojenne znajdziesz dotąd u dzikich wyspiarzy, Indyan, Azyatów, w ogóle u ludów, którym promień nauki Zbawiciela nie starł jeszcze z serca zawiści Kaina, i noża z ręki nie wytrącił. W Europie wszakże, gdzie nienawiść ras znika, gdzie duch chrześciańskiéj cywilizacyi wnikając coraz bardziéj w życie i stosunki ludów,

(1) Dict. Univ. de Trevoux.

rozbraja dłoń niegdyś zawsze gotową do bójki, i do bratniego uścisku ją nakłania, z gasnącém życiem obozów, niknie i taniec wojenny. Śladów jego łatwiéj dopatrzysz w tańcach tych ludów, których zbroje piérwszą dopiéro rdzą się pokryły, u ludów, którzy bojowe posłannictwo niedawno co zakończyły; niżeli u tych, co z położenia swego, sąsiedztwa lub zatrudnień, oddawna już broń swoję do pochew schowały. Cząstki zaś narodów, do obrony własnego kraju, w stan wojskowy zorganizowane, mają rewie, manewra i mustry, które chłoną w sobie pierwiastek, jaki się dawniéj w tańcach objawiał.

Z tańców wojennych, moglibyśmy powtórzyć opisane w podróżach Cooka lub Arago, albo opisać tańce dzikich Indyan, które Paryż oglądał na swoich teatrach, przez dwóch dzikich z Luizyany przybyłych wykonywane; gdy wszakże nie mają one wielkiego dla nas znaczenia, odsyłamy więc ciekawych do wspomnionych podróży i do dziełka p. Blassis (1), a sami opiszemy taniec kozacki, jako bliżéj nas obchodzący.

Gdy ustawy wymagały od kozaków odosobnienia od kobiét, ażeby w czasie *potrzeby* nie wstrzymywały ich miłe uczucia i obowiązki rodziny, albo głos lubéj *mołodycy* serca nie miękczył i nie rozżalał; kiedy odosobnieni od kobiét obozowali ciągle w *Siczach*, i tylko za urlopem do żon i rodziny w *futory* odjeżdżali; więc téż treścią ich tańca nie mogła być miłość, ale odbicie w ruchach ich obozowego życia, ich napadów i zwycięztw, zdobyczy lub porażek.

(1) Manuel de la danse p. Blassis. Jest tam opis tańców wojowników indyjskich, wyjęty z pisma czasowego: *Mercure de France*, vol. II.

Nuta kozaka smętna i dzika, ale pełna życia i znaczenia. On tańczy i smutny jest, bo nie tańczy ze swą czarnobrewą; obraz jéj tylko, w myśli mu się przedstawia i rodzi smutek w duszy. Kozak staje naprzeciw kozaka, o kilkanaście kroków od siebie. Naprzód jeden zaczyna: wziąwszy się pod boki, w drobnych skokach, z nogi na nogę, raz prawym, drugi raz lewym bokiem pomyka się do swego towarzysza, jakby się zalecał do kochanki, jakby sądził, że to jego luba: ale spostrzega pomyłkę i w tył się cofa, — już znikło marzenie! Poznaje, że to towarzysz broni, i zaraz napady na myśl mu się nasuwają. Patrz jak się ku ziemi przychylił w *prysiudy*, i nogami to w jednę, to w drugą stronę wyrzuca: — to wiosła! on płynie przyczajony na czajkach przez dnieprowe porohy. Czasem skoczy nagle w górę i jeszcze prędzéj przykucnie do ziemi, jak gdyby chciał tylko ujrzéć, daleko tam jeszcze półksiężyc i meczety. Nareszcie zrywa się z krzykiem wojennym, lub przeciągłym gwizdem, i w nagłych, zwinnych, trudnych do podziwu skokach, doskonale wydaje napad na pohańca. Tu już oba tańczą, naśladując nagły napad, bitwę, rabunek i ucieczkę.... Znów na czajki! płyną, płyną, pieśń wojenną woda niesie, smętną, dziką i radosną. To ze śmiéchem w dłonie klaska: piękna zdobycz, to dla Hanki! méj bohdanki! albo z groźbą pięść wyciąga poza siebie: to, dla ciebie wraży synu!—Ej haba, ha, hur-ra ha! — Siczy, koli, riż, wraha!

Anglicy mają także samotny mężczyzn taniec *matlotem* zwany; taniec marynarzy, których ciągłe podróże również od kobiét odosobniały. Przejęli go od Holendrów. Jest on wizerunkiem ich życia, wojennych i żeglarskich obrotów na okręcie; trochę podobny do koza-

ka, ale ma więcéj daleko kombinacyi i plątaniny, choć nie tyle ognia.

Taniec samotny Hiszpanów *guaracha* z gitarą w ręku, jest zabytkiem miłości platonicznéj, błędnych rycerzy półwyspu.

III. Tańce parzyste.

Głównym pierwiastkiem tańców parzystych jest miłość, w jéj fazach, przechodach i dojrzeniu. W tańcach parzystych, nie napotkasz już upokarzającego łaszczenia się kobiéty: tu już ubieganie się wspólne dwóch płci, w stosunkach swoich i wyborze swobodnych. U jednych ludów jestto miłość kochanków, co się wzajem o uczucie dobijają, niepewnych wszakże wzajemności; dlatego taniec ich wyobraża miłość w zawiązku, uczucie dręczone niepewnością, podsycane nadzieją, pełne ognia, niespokojnych chęci i marzonych rozkoszy: jak w parzystych ale *nie łącznych* tańcach hiszpańskich, włoskich i greckich. U drugich znowu, jestto miłość zaręczonych oblubieńców, pełnych radości, upojenia i młodzieńczéj poezyi: jak w tańcach parzystych już *spojonych* galopujących górali, krakowiaków, mazurów i prawie wszystkich tańców słowiańskich. U innych nareszcie, jestto miłość spokojna, pewna, *zespolonych* już w rodzinne *kółko*: jak w niemieckim walcu, lub w oberku ludu naszego.

Przejdźmy po szczególe te tańce, a wspomnione cechy i odcienia, jaśniéj zobaczymy.

a) Tańce parzyste niełączne.

Tańce hiszpańskie.

Hiszpan uwolniony od rządu Maurów, w stosunkach wszakże z płcią żeńską długo zostawał pod wpływem

wyobrażeń synów Mahometa. Krewkość zmieszanéj rasy, rozgrzewana palącém promieniem afrykańskiego słońca, łatwe stosunki z kobiétami ziem odkrytych i zawojowanych, awanturnicze wyprawy, wszystko to skłania Hiszpanów do wolniejszych i we własnym kraju z kobiétą stosunków, i jest powodem, że miłość w kwiecie, miłość w piérwszym swoim pojawie z zmysłową przewagą, ma największy dla nich powab i znaczenie. Innéj miłości nie pojmują, innéj tam niéma: przechodzi ona tylko rozmaite fazy i stopniowania, od zmysłowych popędów jakiego *metysa*, do platonicznéj miłości błędnego rycerza, od ognistych umizgów pasterza merynosów lub *majosa* Andaluzyi (1), do wykwintnych zalecanek jakiego *novio querido* (2), lub miejskiego *Corteho* (3); stopniuje się tylko i cieniuje, w miarę pochodzenia, zatrudnień i ukształcenia kochanków.

W tańcach téż hiszpańskich widocznie się to przejawia; mają oni mnóstwo tańców, wszystkie jednak noszą wybitną cechę miłości w piérwszym jéj peryodzie; wszystkie téż są parzyste, ale niełączne. Hiszpan w tańcu nie prowadzi dziewicy za rękę, z nieśmiałém dla oblubionéj poszanowaniem; nie trzyma jéj wpół, z pozwoloną za-

(1) *Majos* to samo znaczy co *le lion* albo *le tigre* francuzki, z tą tylko różnicą, że on jest wiejski, nie miejski.

(2) *Novio* jestto kochanek, *novia* kochanka. Obowiązkiem *novio* jest służyć swéj pannie, robić miłe niespodzianki, i wyprawiać gitarowe serenady pod oknem, na co mają techniczne nazwania *rascar el jamon*, co znaczy dosłownie *skrobać szynkę*; zapewne przez podobieństwo gitary do szynki. (Obacz podróż po Hiszpanii: *Tra los montes* p. *T. Gautier*).

(3) *Corteho*, to blady zabytek dawnych rycerzy błędnych; dziś oni nadskakują mężatkom i znaczą prawie to samo co *czyczysbej* włoski. Hiszpanie mają wiele innych jeszcze nazwań kochanków, co dowodzi ich mnogości i rozliczności.

ręczonych poufałością; ani ją oburącz obejmuje, jako swojego życia towarzyszkę; bo go w miłości nie zajmuje myśl obszerniejsza rodzinnych stosunków, małżeńskiego pożycia, i obowiązków chrześciańskiéj familii; on na kobiétę spogląda jeszcze okiem na wpół ucywilizowanego Araba lub Indyanina, przelotném spojrzeniem ruchliwego wędrowca i zdobywcy, albo platonicznym wzrokiem błędnego rycerza. Jeżeli po długiéj w tańcu gonitwie, złączy się z nią nareszcie, będzie to uścisk nieprawy dwojga rozognionych i obłąkanych kochanków, nie zaś połączenie uświęcone błogosławieństwem rodziców i kościoła.

Tańce hiszpańskie nie wymagają gromady, owszem, odosobnione mają więcéj dla tancerzy i dla widzów powabu: zgadza się to z naturą tajemnéj miłości. We wszystkich tańcach Iberyjskiego półwyspu znajdziesz tylko wzajemną gonitwę, napaść i obronę, namiętne zalecanki dwojga młodych i dorodnych kochanków, ale nic więcéj.

Młodzieniec napastuje,—dziéwczę się wzbrania; ona ucieka, — a on ją goni; on znów się zaleca, — a ona się wzdraga lub wzajem zeczepia. Oboje ciągle na baczności, oboje gotowi do polotu, wyciągają ręce jak skrzydła, a trzepocząc grzechotkami, febryczném ich drżeniem zdają się wzajem elektryzować. Drganie grzechotek to termometr dla ucha, ukazujący co chwila napięcie i grę miotającego uczucia, co zmysły ich rozgrzewa i topi. Po długiéj gonitwie i walce, rzucają się w objęcia: jestto koniec dramatu i tańca.

Rozkoszne są tańce hiszpańskie, jak rozkoszna miłość dwojga kochanków. Narodowy ubiór pełen smaku i rozmaitości; wyraziste twarze Hiszpanów, lekkość i zgra-

bność ich dziewic, sławnych na całą Europę z maleńkości nóżek, dusze pełne poezyi i ognia, miłość namiętna i prześliczne melodye towarzyszące a raczéj tworzące ich tańce; wszystko to podnosi piękność plastyczną hiszpańskich tańców, i czyni je pełne życia i niewypowiedzianego powabu.

W największém użyciu są: *fandango* i *bolero*. Piérwszy z nich więcéj zmysłowo-namiętny, afrykańskiego pochodzenia (1), cieniuje się stosownie do prowincyi i charakteru ludu; w południowych stronach tańczą go z większém obłąkaniem; w północnych zaś ma więcéj osłony i przyzwoitości. Tańczy go jedna para uzbrojona w kastanioty. Muzyka dzieląca się rytmicznie na 3, nadzwyczaj szybka, drżenie grzechotek, poruszenia nóg, ramion i ciała, zgadzają się z sobą doskonale. Wszystko jest życiem i ruchem w fandango: krok jego, to sama lekkość, wdzięk i giętkość; w ruchach maluje się charakter Hiszpanów, wyniosłość, duma i miłość; rozkoszne gruppy i pozy, spadki i charakter muzyki, wszystko to upaja patrzących Hiszpanów i w zachwycenie ich wprawia.

Bolero jest tańcem szlachetniejszym i skromniejszym; jestto miłość sfery bardziéj duchowéj. Bolera śpiewane z towarzyszeniem gitary, nazywają się *seguidillas boleras*. Jest tam jeszcze mnóstwo innych tańców jakoto: *El zapateado*, *El zorongo* ulubiony taniec tamecznych cyganów; *Tripili tripola*, *Malague'na*, *jota*, *el jaleo* i t. p., wszystkie parzyste, *niełączne*, z cechą miłości goniących się kochanków.

(1) Pochodzi od tańca Murzynów zwanego *szika*. (Man. de Blassis).

2. *Tańce włoskie.*

Sąsiedztwo i stosunki Włochów ze Wschodem i Hiszpanią, obowiązkowy celibat wielu mężczyzn, zatrudnienia i klimat, które ich po pracy w kółko rodzinne nie skupia, a ztąd i uczucie rodzinnego pożycia nie tak głębokie jak w krajach północnych; wszystko to przy boskiém Włoch niebie sprawia, że miłość jako tylko kochanków, wyłącznie Włocha zajmuje i jest jedyném u niego uczuciem. Miłość taka, pomimo małżeństw, zyskała nawet w niektórych Włoch prowincyach, uświęcenie zwyczajowe w znanym powszechnie czyczyzbejanie (1) i kawalerach serwantach.

Tańce włoskie mają te same cechy i charakter, co hiszpańskie: są parzyste, ale nie *łączne* i nie *gromadne*. Kółka rodzinnego, ani koła stanu w nich nie dopatrzysz. Tenże sam romans dziewicy z młodzieńcem, zalecanki przeprowadzone przez wszystkie fazy.

Oczarować zmysły, skrzesać ogień w skalistém sercu dziewicy, by buchnął wulkanem miłości i gorącą lawą zniszczył co się kryło wewnątrz, co wzrosło na jego powierzchni; sprawić by wyłącznie gorzał dla jednego, a hukiem i grzmotem przerażał śmiałków coby go stłumić chcieli, i był zarazem pogróżką dla samego pana: to usiłowanie jednéj strony;—stawiać tysiące przeszkód, mrozić lodem, straszyć podziemnym gniewem, a ciągle wabić słowiczym głosem, ognistym wzrokiem i przelotnym błyskawic uśmiechem; z zaciętością bronić serca

(1) Czyczysbej jest trzecią osobą w małżeństwie, dopełnieniem męża. Genua jest stolicą tego dziwnego zwyczaju i małżeńskiéj tolerancyi, tak napozór przeciwnéj, znanéj powszechnie Włochów zazdrości.

krateru, w którym tli się ogień Westalki, a wysnuwać z niego czarowne tumany by owionąć niemi podstępnego kochanka; — to taktyka z drugiéj strony.

Znasz-li ten brzeg, gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł, swéj drogi szuka w chmurach,
Gdzie w głębi skał, płomieniem wrą opoki,
A z wiérzchu skał, w kaskadach grzmią potoki?
Znasz li ten kraj?
Ach tam, o moja miła!
Tam będzie raj,
Byleś ty ze mną była!

Tańce włoskie są powabne i wesołe: tak powabne, jak miłość dwojga dorodnych kochanków, obecną tylko chwilą zajętych, których uczucia niepewna przyszłość nie zachmurza, obowiązki nie straszą; a wesołe jak plusk złotych rybek pławiących się w kryształowym wód przezroczu.

Pierś ich oddycha wonném powietrzem; oko się kąpie w czystym błękicie, w rozkosznych widokach, lub w rozkoszniejszém jeszcze spojrzeniu kochanka; spoczywa na dalekim wulkanie, lub śledzi ognia w spojrzeniach wzajemnych; słuch pieści śpiéw ptasząt, szum wonnych gajów, łoskoty kaskad, szmer fontan, i cudna muzyka rzewnych *mandolin*, brzękliwych *tamborinów*, a bardziéj jeszcze magnetyczny chrzęst grzechotek i dźwięczny śmiéch lubéj. Gdy więc przyroda wszystkie zmysły tak rajsko upaja, czyż sięgnąć po jabłko kochankom się nie godzi?

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?
Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa,
Gdzie wieńcem bluszcz, ruiny dawno stroi,
Gdzie buja laur, i cyprys cicho stoi?
Znasz-li ten kraj?
Ach tam o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była.

Każde państwo Włoch dawnych, każda prowincya ma swoje tańce, podobne wszakże sobie charakterem i znaczeniem: powszechniéj jednak znaną jest neapolitańska *tarantella*. Początek jéj niewłaściwie wywodzą od ukąszeń pająka tarantulą zwanego, które miało być zabójczém, a jedyném na nie lekarstwem taniec; dowiedziono bowiem, że zjadliwość ta jest bajeczną (1). Zaprawdę, taniec ten jest zdolniejszym przyprawić raczéj o szaleństwo tancerzy i widzów nawet, aniżeli ich wyleczyć z niego. Jest tam wiele innych tańców jakoto: *sartarella* taniec prowincyj rzymskich, *furlana* ulubiony taniec weneckich gondolierów i t. p. mniéj więcéj podobnych do tarantelli, z temiż samemi co ona cechami.

b) Tańce parzyste złączone.

Tańce górali.

W krajach bardziéj na północ posuniętych, w górzystych zwłaszcza, napotkasz już tańce obszerniejszéj myśli i znaczenia. Tu tańce parzyste już *złączone*; niémasz jednak gromady ani *rodzinnego kółka*: bo prace górali wymagają wydalenia się ich na czas długi z domu: więc społeczność i życie rodzinne nie tak ściśle uorganizowane. Wraz z topniejącym śniegiem spuszczają się szybkim krokiem górale, a raczéj zsuwają się galopadą w doliny i zalewają całe pola podgórne i dalsze równiny; koszenie siana, sprzęt zboża, wymłótka i tym podobne roboty, zajmują im całą wiosnę, lato i jesień; na zimę dopiéro

(1) Doświadczenia wieloliczne lekarzy Neapolu pp. Claritio i Serrao.

zebrawszy nieco grosiwa, zakupiwszy soli i mąki, wracają z radością do swéj ubogiéj siedziby, gdzie ich z tęsknotą oczekują: tu matka, tam żona, tu *narzeczona!*

Góral nie ma czasu na umizgach tracić; niebo zresztą temu nie sprzyja: wichry, śniegi, trzymają w chałupach te jednokwartalne rodziny. Stosunki wprawdzie i tu zawiązują się; ale odwiedziny rzadkie, sposobność zalecanek nie częsta; dlatego téż gdy młody góral sokolim wzrokiem zoczy dziewoję, co mu oko zaprószy i serce poruszy, wnet wysyła orła starostę w dziewosłęby do dziewy; a gdy dziéwczę mu nie krzywe, rodzice przychylni, toć wnet i zrękowiny. A ślub? a wesele? Oho ho! za lat kilka, bo rodzice zdrowi—dzieci jak mrowi—a chałupka ciasna — więc musi być własna! Góral tém się nie zraża; z wiosną, ze śniegiem, znów się zsuwa w doliny; od chaty rodzinnéj wpół ujęty ze swą narzeczoną, w szybkiéj galopadzie staj kilka ją uprowadza..... ale obowiązek i miłość ich rozłącza; tak, miłość rozłącza! Gdy ona smutna wraca do domu, on smutniejszy spuszcza się głębiéj; on smutniejszy—bo rzuca zaręczoną i własny kraj swój opuszcza. Oboje czas długi zdala od siebie ciałem, lecz sercem i myślą blizcy, w uczuciu czerpią energią do pracy; ona przędzie, on kosi, tnie lub młóci; i tak powoli zbiérają razem zosobna, zasiłek na przyszłą chudobę i własną swą chatkę. Zima nadchodzi, zima na ziemi, a wiosna w ich duszy: co wieczór dziewica, po śniegu się zsuwa, a on co rano pnie się na góry, i tak codziennie. Aż jednego ranka, dziewica spostrzega swojego kochanka! Oboje więc razem, ujęci pospołu, znów się spuszczają w szybkiéj galopadzie. I tak co roku! z wiosną w doliny, ze śniegiem w góry, aż póki kalétka pełną nie będzie.

Miłość górali, zawczasu uświęcona błogosławieństwem rodziców, ma dużo napozór poufałości; lecz oparta na wzajemném zaufaniu, choć nie ma udręczeń niepewnéj wzajemności i wybuchów wrzącego uczucia mieszkańców stron południowych, jest wszakże więcéj duchową i głębszą, bo przyszłość obejmującą; ona jest dźwignią moralną w pracy górala i cnotliwym go czyni. Na górach, bliżéj nieba, wśród uroczystych widoków wspaniałéj przyrody, myśl mimowoli staje się wznioślejszą, uczucie czystsze, szlachetniejsze. Znana też jest powszechnie skromność dziewic, czystość obyczajów tamecznych; wierność Szwajcara, poczciwość naszego górala poszły w przysłowie. Góral tęskni za swym ubogim krajem, bogactwa nizin go nie ułakomią; a nawet jeśli potrzeba zarobku zmusi go długo pozostać w dolinach, jeżeli go tam wiatr górzysty owionie i piosnka ojczysta doleci, a obowiązek lub przeszkody wrócić do domu nie pozwolą, to niknie widocznie i śmiercią przypłaca tęsknotę do kraju.

Tańce górali, wypełnione uczuciem tak poetyczném, miłością w drugim swym peryodzie, niebędącą ani walką, ani posiadaniem zupełném, mają też dużo w sobie poezyi i uroku. Wpół ujęci narzeczeni, szybują jak swobodne ptaki przez górne przestworza; uczucie ich potrzebuje przestrzeni, nieskończoności, pierś swobodnego powietrza. W szybkiéj galopadzie, góral zsuwa się z lubą w doliny, jakby chciał mówić: nie mamy domu, nie mamy chleba, lećmy w doliny, znajdziem co nam trzeba! ale ta miłość, złączona z inną, zwraca ich znowu, w siedzibę swoich.

Galopada jest powszechnym tańcem górali. W całém rozgałęziu Karpat i u jego podnóży ją znajdziesz; nasz krakowiak jest także galopadą.

Polka.

Taniec *polka*, nie wziął swéj nazwy od niewiasty polskiéj, ale od pola; na polu bowiem przez lud czeski jest tańczony. To analogiczne jednak pochodzenie i jéj nazwa, być może iż dużo wpłynęło na urok jaki ma ten taniec. Polka jest tańcem Czechów, zamkniętych w okół górami, mających wszakże dosyć równiny. Zarobek łatwiejszy i większy, chléb tańszy, pozwalają Czechowi myśléć wcześniéj o małżeństwie; dlatego polka jest także galopadą, ale już w niéj *kółko rodzinne* walca się błąka. Oblubieni wpół ujęci szybkim biegiem ślizgają się tam i nazad; to znów spojeni oburącz, kółkiem wirowém wkoło się obracają, krokiem wszakże szybkim i posuwistym. Kółko rodziny tam już silniejsze, a raczéj mniéj przerywane potrzebą zarobku; wpływ zresztą germanizmu, gdzie życie rodzinne tak jest rozwinięte i wyłączne, brata pozycyjną miłość Gotów, z poetyczném uczuciem Słowian górali. Śpiéw, nieodłączną jest częścią tańców góralskich, a jakby nawoływanie się po górach, echuje się w powtarzanych zwrotkach i melodyi.

Ani galopada, ani polka, nie są bynajmniéj nowemi tańcami; znane one były oddawna między ludem słowiańskim. Jeżeli puszczone przez Czechy, przednią straż Słowian, przelatują całą Europę, i z zapałem są wszędzie przyjmowane, to znak: że żywioł słowiański, idea jego, elektryzuje zdrętwiałe życie Rzymian, Gallów i Gotów. Wszakże żywioł słowiański wprowadzony gieniuszem Szopena w europejską muzykę, zrobił ogromne wrażenie w świecie muzycznym i napoił dusze nieznaną dotąd, pełną świéżości i potęgi melodyą. Jednak

w utworach Szopena niewszędzie się to pojawia; sąto tylko błyskawice, próbki bogatych zasobów słowiańskiéj muzyki, któréj zbiorem tak skrzętnie dzisiaj się zajmują.

Pieśni gminne to piasek złoty, w którym są i większe samorodki, ale jest dosyć i ziemi. Należycie przepłukane i przesiane, dostarczą one bogatych materyałów gieniuszowi, co stopi je w swéj duszy i wyda pieśń jednolitą!

I w innych tańcach Słowian *miłość narzeczonych*, największą gra rolę: bo u jednych potrzeba zarobku, u drugich ciągłe bójki wydalały młodzież na czas jakiś z kraju; a zaręczyny łącząc tylko duchowo młodą parę, czyniły i miłość ich poetyczniejszą. Zaręczyny są chwilą uniesień, radości, więc i tańców; były one i są dotąd bardzo ważnym u Słowian obrządkiem.

c) Tańce parzyste zespolone.

Tańce germańskie.

Tańce germańskie, a raczéj jedyny ich taniec *walc*, jest ostatecznym rozwojem i zwojem tańców, zasadą których, wyłącznie jest miłość. Nie ma on faz tańców hiszpańskich i włoskich; bo to nie walka uczucia, i nie wrzenie fizycznéj miłości; nie ma tak poetycznego polotu tańców słowiańskich; ale skupia w filozoficznéj całości miłość kochanków, narzeczonych i małżonków, i tworzy *kółko rodzinne*; spokojniejszy jak tamte, bo miłość pewna i śluby zawarte; jestto *matrimonium consumatum*. Ma on wszakże swoję poezyą i jest na granicy tańców gromadnych, równie jak tańce górali: bo jak tu, tak i tam, w jawnéj miłości spoczywa myśl przyszłych obowiązków rodziny, a więc społeczności w zawiązku; mogą zatém być tańczone pojedynczo lub gromadnie.

W walcu, młodzieniec opasuje kibić dziewicy prawą ręką, ona zaś lewą opiéra na jego ramieniu; drugie ręce mają wzajem splecione. Tak ujęci, złączeni z sobą ciałem i duszą, walcują, tojest dwojaki ruch odbywają, wirując koło siebie, pomykają się coraz daléj, daléj, w przestrzeni. Młodzieniec zamawia jednę dziewicę na cały taniec, jak każdy, w swoim narodowym tańcu: tak więc ujęci i zajęci wyłącznie sobą, dają doskonały obraz rodzinnego kółka, które dla Niemca prawie jest wszystkiém. Sto par walcujących, oddzielonych od siebie, zajętych sobą jedynie: to sto kółek rodzinnych; to kolonie; to cały naród niemiecki. Lekko się oni z miejsca na miejsce przenoszą, nie puszczając się nigdy: na koniec świata zalecą, i tam im będzie dobrze: byle we dwojgu, byle w kółku rodzinném. Niéma téż ludu, któryby łatwiéj z ojczystéj ziemi wychodził, jak Niemiec; w każdym narodzie, w każdéj części świata ich znajdziesz. Wytaczają się ze swego kraju w parach, z taką łatwością, z jaką walcują; nie troszcząc się o to, czy zalecą na prawo, czy na lewo, na wschód czy południe; byle dwojgu się nie puścić, a będzie im dobrze. Walc upowszechnił się wszędzie; z taką łatwością przyjęto go we wszystkich krajach, z jaką przyjmują samychże Niemców; jest on tańcem kosmopolitycznym.

Cudne są walce Lannera! Grają *Werber-walc*. Jaka tęskna, poetyczna melodya je zaczyna! Rzędem siedzą familie koło siebie: ojciec, matka i córki. Synowie wyszli już z koła rodzinnego, tworzą oddzielną korporacyą; zebrali się na środek sali: to koledzy! Trzymając się pod ręce, jedni słuchają professora, co im tłumaczy metafizykę tego walca, drudzy paląc sygara, gonią

dym oczyma, i czynią psychologiczne z niego wywody; inni przyśpiewują na nutę tego walca jakąś pieśń rubaszną, i drwiąc z francuzkiéj etykiety, gotują się do tańca; inni przysłuchując się tym boskim melodyom wpadają w extazyę; inni znowu obejmując cały obraz dokoła obwiany dymem, w Hoffmanowskie widzenia. Patrz na tego, co się wysuwa z grona téj młodzieży: młody ideolog opuszcza już kolegów, żegna ich ściśnieniem ręki, i posuwa się ku jednéj rodzinie. Pod poważną niedbałością i powierzchownem opuszczeniem, ukrywa on duszę do marzeń metafizycznych i uniesień poetycznych skłonną; piérwsza część Werber-walca, tak tęskna i poetyczna, rozkołysała serce, rozbujała duszę; myślą goniąc brzmienie głosu, już jest w nadziemskich sferach: widzi jak planety krążą, posuwają się w przestrzeni, widzi tysiące słońc i tysiące planet, wszystko krąży, gra, i wszystko gdzieś biegnie. Gdzież mistrz, pyta, co wzniosłszy się nad światy, wyciągnie swe dłonie i zagra nam na gwiazdach cudne walce Lannera?... I młody zarozumialec z bladém czołem, ze świecącym wzrokiem, zbliża się do dziewicy, wpół ją bierze i mówi: Dziewico! żegnaj ojca, matkę, siostry i braci; żegnaj rodzinną ziemię, ja ci stanę za wszystko! Wpół się weźmy, tak ujęci, wmieszamy się w taniec światów. Będę ci słońcem, ty moją planetą, księżycem i satellitą.... znajdziem dosyć dla siebie miejsca w przestrzeni, tylko się trzymajmy, tylko się nie puśćmy, a będzie nam miło i dobrze! I młoda dziewica żegna spokojnie swoję rodzinę, któréj była cząstką, bo wié, że będzie połowicą, dopełnieniem drugiéj. Z ufnością wsparta na ramieniu młodzieńca, który wpół ją opasuje, słucha z rozkoszą zapewnienia miłości; jego poufałość w ujęciu, nie obraża ją wcale, bo

ona zna prawość germańską. Czas jakiś idą zwolna w téj romantycznéj przechadzce, nareszcie dziewica, przez ramię towarzysza, jeszcze raz zasyła pożegnanie dawnéj swéj rodzinie, wznosi oczy w niebo, i oddaje swą rękę szczęśliwemu młodzieńcowi. Już złączyli się na wieki, złączyli ciałem i duszą; utworzyli kółko. Wir walca uniósł ich daleko!

Taniec węgierski, jest walc z hołubcami, połączenie tańca wojennego madziarów, coś nakształt mazura szlachty naszéj z niemieckim walcem. Wpływ germanizmu widoczny, a nawet przeważny.

IV. Tańce gromadne.

W tańcach gromadnych, przejawia się wyraźniéj układ społeczny; bo wchodzą do nich wszystkie trzy pierwiastki; łączą się one, zlewają i tworzą całość; jakby kłębek, na którym się osnuła cała cywilizacya i historya narodu. Mamy już nitkę, bo mamy pierwiastki: może więc po niéj do kłębka dojdziemy, i kłębek ten łatwiéj rozwiniemy.

1. Tańce francuzkie.

Zanim przejdziemy do rozbioru tańców francuzkich, musimy koniecznie rzucić choć pobieżném okiem na cywilizacyą tego narodu; bo ona i w tańcach jako utworach narodowych, odbić się koniecznie musiała.

Żaden naród nie zwił się tak mocno w jeden punkt, jak Francya w swojéj stolicy. Paryż, to Francya. Dlatego też życie intellektualne tam ogromne, ze szkodą strony serdecznéj cywilizacyi. I nie może być inaczéj: na wsi pośród przyrody, pośród cudownych dzieł Stwórcy, dusza cała mimowoli wznosi się do źródła, z którego

wszystkie te cuda wzięły początek; wiara tam jest głębsza, uczucie rodziny, społeczeństwa silniejsze, miłość poetycznicjsza. W stolicy i w miastach przeciwnie: wiara, rodzina, społeczność jest więcéj abstrakcyą, myślą; człowiek zamknięty w murach, nie może swéj myśli i serca wznieść w przestrzeń nieskończoną, ani ich zatrzymać na dziełach Stworzyciela; wzrok jego mimowoli spoczywać musi na ludzkich utworach, które, jakkolwiek wielkie, wzbudzają tylko podziw czasowy, nie wypełniają jednak całéj duszy tém ciągłém uwielbieniem, jakiego wśród przyrody doznajem. Wspaniałość świątyń i obrządków, budzi na chwilę roztargnione uczucie religijne; ale nie wszczepia téj głębokiéj wiary, jaką ma wieśniak, otoczony Boskiemi dzieły, żyjący pośród rodziny, obok parafialnego kościołka i wiejskiego cmentarza, na którym kości ojców jego spoczywają i jego własne spoczywać będą. W stosunkach towarzyskich miast i stolicy, szybka tylko zamiana potrzeb i myśli: ztąd bogactwo materyalne i umysłowe wielkie; podział zaś uczucia rzadki: ztąd życie moralne ubogie; ludzie i wypadki przesuwają się jak w kalejdoskopie, który, jak w Paryżu, wrodzona żywość Francuzów co chwila obraca; imaginacya więc tam wielka i ona jedynie przejawiać się może w utworach narodowych, w sztukach pięknych, w literaturze, we wszystkiém.

Stolica, jest głową narodu; wieś, jego sercem: a miasta rozdrobnionemi władzami umysłu. We Francyi niéma należnego między niemi stosunku: ona prawie wyłącznie, stolicą swą i miastami żyje. Tę przewagę miast i stolicy przygotowali samochcąc Ludwik XI, Richelieu, Ludwik XIV i Colbert; samochcąc, bo rzeczywiście

chcieli oni tylko zaprowadzić równowagę stanów. Lecz że fakt ten dopełniony został, nie podniesieniem mieszczan do godności praw i bogactw szlachty — wieśniaków, ale zniżaniem tych ostatnich do podwładności piérwszych, i ciągłém stawianiem obudwóch żywiołów w nieprzyjaznéj ku sobie postawie; to téż smutne dla narodu wyniknęły skutki. Z przewagi wiejskiéj Francya wpadła w przewagę miejską. W chwili oscyllacyi zajaśniała ona pod Ludwikiem XIV, blaskiem zachodzącego szlachty słońca, a pod Napoleonem gwiazdą wschodzącéj mieszczan jutrzenki; ale jak po zachodzie nastąpiła noc burzliwa, co zagrzmiała światu całemu okropnościami rewolucyi francuzkiéj; tak po świetnéj jutrzni, nastąpił dzień zasnuty mdławemi chmurami, dzień bezbarwny i smutny: widny on to prawda, ale nie złoci przyrody Francyi tym poetycznym urokiem, jaki rozlewa czysta pogoda, i jaśniejące w całym blasku słońce.

Przeważny wpływ mieszczan w narodzie, i górujące życie miejskie, przytłumiło żywioł poetyczny we Francyi; w życiu więc i utworach tego narodu znajdziesz dużo rozumu, ale poezyi tam niéma. Bo naród jak człowiek: jeżeli władze i przymioty swéj duszy podzieli, jeżeli jedne kształci z pogwałceniem lub zaniedbaniem drugich, jeżeli umysł swój kształci i podnosi choćby do najwyższéj potęgi, a o sercu zapomni; nie będzie poetą. Poeta bowiem, jestto wielkie serce i wielki rozum w jedni, w pełni, w twórczéj sile i mocy; najpodobniejszy wizerunek Boga, który jest wszechmądrym i wszechmiłującym: dzieła jego będą nosiły cechę Boskich utworów; przejrzą z nich rozum i serce, dusza cała. Poezya, to duch, co w zespoleniu myśli i uczucia, przez materyą przegląda: ona jak promień niebieskiego słońca, przez

łzawą chmurę ziemi do nas się przedziera, i siedmiobarwną tęczą, zakréśla nam bramę do nieba! Poezya jest córą głowy i serca: w głowie bowiem mieszka rozum, bogaty w pomysły, wynalazczość, promieniejący wyobraźnią, błyszczący dowcipem; lecz co chwila zmienny i rozszerzający się jak kręgi na wodzie, coraz to większą przestrzeń obejmujące; w sercu zaś, mieszka wiara, miłość i nadzieja, uczucia wrodzone, objawieniem Boskiém uświęcone, i są stałe, niezmienne, jako środek koła. Kiedy więc czyn, lub utwór, nie będzie kołem rozumu, promieniem z serca wybiegłym zakréślony; wówczas taki czyn, nie będzie czynem bohatéra, a utwór nie zabłyszczy gwiazdą gieniuszu — poety!

Francya skupiwszy swe życie w czworokątnych murach stolicy, rozbratawszy się ze wsią, z sercem narodu, do smutnych doszła wypadków; zatraciła bowiem Boską figurę koła, gdyż odrzuciła punkt środkowy: oś około któréj wszystko obracać się winno, i życie duchowe skoncentrowała w czoła kwadracie. I do jakichże doszła rezultatów? Cóż nam dała w miejsce wiary? — filozofią, nieśmiertelność duszy trującą! W miejsce chrześciańskiéj miłości? — filantropią, co gilotynie i dziurawym statkom chłonąć tysiące ludzi pomagała! W miejsce kojącéj nadziei? — dręczącą niepewność, szukającą ulgi w pijaństwie materyalnego użycia, i życie dla obecnéj tylko chwili! Wszystko to są pomysły rozumu, co nie jest kołem opasującém serce, ale kwadratem, ułomną figurą koła, którego punkta obwodowe nie są w równéj od środka odległości. Kwadrat jest symboliczną figurą cywilizacyi francuzkiéj. We Francyi wszystko byle kwadrowato, jest dobre, piękne i wielkie; wszak oni i przyrodę chcieli

skwadrować; cięte w ogrodach drzewa, strzyżone szpalery, były próbką tego pokuszenia.

We Francyi niéma poetów, bo niéma żywiołu poetycznego; niéma tam również wybitnéj narodowości, bo ona jest także kołem. Brak kardynalnych przymiotów serca, nie spaja węzłem miłości braterskiéj wszystkich warstw narodu; tam znajdziesz klassy, ale nie naród; koterye, nie towarzystwo; niéma tam zwyczajów, tylko moda; niéma obyczajów, tylko przestrzeganie pozorów i bojaźń śmieszności. Dlatego też Francuz jest kosmopolitą większym jak Niemiec; bo ten przynajmniéj w ognisku domowego życia, oddaje cześć swoim narodowym bóstwom, i w obcym nawet kraju, nagiąwszy się z łatwością do tamecznych praw i instytucyj, w kółku rodzinném nie przestaje być Niemcem; Francuz zaś przylgnie całkiem do nowéj ojczyzny, i z łatwością zostanie Turkiem, Arabem lub Polakiem, od koszuli do sukmany z łatwością przejmie ich zwyczaje i obyczaje, bo nie ma swoich własnych; ale przejmie je samym umysłem, przejmie same formy; będzie to łupina, któréj napozór nie odróżnisz między orzechami. Wychowaniec miasta nawykłszy wędrować z kamienicy do kamienicy, nie ma on przywiązania do miejsca; coraz to nowe sąsiedztwa, nowe stosunki, nie przywiązują go do ludzi, czynią go tylko dla każdego grzecznym. Przyjmując w stolicy swojéj ludzi wszystkich narodów i wszystkich części świata, z interesu i grzeczności giętki umysł z łatwością nachyla do zwyczajów swego gościa; a że ich zawsze pełno i różnorodnych, więc sam żadnych stale nie zachowuje i co dzień w inną suknię się przebiéra. Tam i w ubiorze, kroje i barwy wszystkich narodów się przewijają i migocą, ale stale narodowego francuzkiego niéma.

Rozum z całym swoim przyborem jest dla Francuza wszystkiém, on drwi z nagany obrażonego serca, a boi się szyderstwa i śmiechu; dla myśli téż, poświęci uczucie; dla systemu, instynkta serca. Wszak on Stwórcę dociekał myślą, i wpadł w ateizm, bo mu w przeświadczeniu nie pomagało serca przeczucie. Francya objęła myślą ludzkość całą, lecz serce niedorosłe czyż mogło ją ukochać? — Nie. To téż Francuz jest tylko obywatelem świata. Miłość i chrzest śto *Jańskí* poezyi, nie zmył jeszcze grzechów ojców jego, i nie przygotował duszy do pańskiego przybytku. Francyi potrzeba wielkich poetów, wieszczów: potrzeba samego twórcy, bo potrzeba miłości, nadziei i wiary, wielkiéj i czynnéj jak jest jéj rozum, by została prawdziwie chrześciańskim narodem.

Brak ten uczucia, brak żywiołu poetycznego, widoczny jest i w narodowych Francyi utworach; zobaczymy go i w tańcach.

Kadryl, kontredans, czyż wyszedł z ludu wieśniaczego, i uszlachetnił się w światlejszych warstwach narodu? — Nie. Ojcem jego stolica: ztamtąd rozsypał się on po miastach, miasteczkach i do wsi się dostał (1). Spojrzyjmy na jego układ. Z iluż to on kroków, poz, figur się składa! Wszystko jest pomyślane i ułożone systematycznie, rozumnie, imaginacyjnie nawet; ale czy jest tam poezya? — Nie. Tancerz nie może iść za swojém natchnieniem, formy go krępują; wszystko tam naprzód przewidziane i ułożone; tworzyć tam nie można, tylko ściśle wypełniać przepisy. Do tego tańca potrzeba metrów: nauczyć

(1) *Quadrille* jest skarlałém dzieckiem dawnych turniejów, ztamtąd wziął on swą nazwę i układ, do zabaw stolicy za czasów Ludwika XIV. Obacz wyraz *Quadrille w Dict. Encycl. de Charles Saint-Laurent, édit. de Paris* 1845.

się na pamięć i pamięcią się kierować. To jest sztuka klassyczna, ale nie utwór poetyczny! Niéma w nim poezyi, bo i pierwiastki jego są bez poezyi.

Mnóstwo kroków, ruchów, figur, to tysiące intryg. Młodzieniec tańczy z jedną, ale musi mieć naprzeciwko drugą, z boku trzecią i czwartą; z wybraną chwilę tańcuje, wnet ją puszcza, by ścisnąć za rączkę drugą; do trzeciéj się obraca i szepcze jéj na ucho miłosne wyznanie, a w przechodzie wsuwa może słodki bilecik czwartéj. Jakażto miłość? oblubionych, narzeczonych, czy małżonków? — Nie. To galanterya dla kobiét, popęd bez względu na związki, uczucie kapryśne, przelotne; coś mahometańskiego, hiszpańskiego i włoskiego razem, w dziwnéj mieszaninie, pokryte poblakłą dworskością dawnego rycerstwa Francuzów. Kawaler bierze się do mężatki, mąż bałamuci dziewczyny; to nie jawny czy czysbejat włoski, ani jawny harem turecki, to Sodoma, na któréj powiewa chorągiew z napisem: *Sauvez les apparances!* Dlaczegoż to? Bo tam i miłość jak wszystko jest bez poezyi; brak w niéj prawdy i serca; brak celu na ziemi, brak wiary kochanków w wieczność uczucia i byt miłości pozagrobowy.

Wchodzi do tego tańca i pierwiastek wojenny, ale prawie zatarty; bo zkądże on wpłynął? Nie z życia obozowego dawnéj szlachty francuzkiéj, ale z paradnych igrzysk, które się skończyły świetnemi turniejami w samych początkach panowania Ludwika XIV, i więcéj się nie podniosły; gdyż dawne zbroje rycerzów Francyi, za ciężkie już były dla zmieszczałéj szlachty, i dziecinna szpadka zastąpiła miejsce dawnéj broni Franków. Pierwiastek więc wojenny, jako z drugiéj ręki, jest prawie dziś niedostrzeżony, i marsowym ogniem nie podnosi tańca.

Wchodzi do niego również pierwiastek towarzyski: napozór zdaje się on być tańcem gromadnym, ale jestże to koło, co obejmuje naród cały, albo cały stan jego? — Nie. To kwadrat. W kadrylu szlacheckim, to partya jakiego możnowładzcy: w kontredansie miejskim, to kraniec lewy lub prawy; w towarzystwie, koterya; to przywiléj nie prawo, to opinia, nie zaś przeświadczenie.

Zasadniczą figurą kadryla jest kwadrat, cztéry pary; kontredansa, także kwadrat, tylko rozszerzony, obejmujący większą liczbę uprzywilejowanych: zwiększyły się wymiary jego boków, ale figura zasadnicza nie zmieniła się wcale; nic się nie zmieniło tylko nazwa, którą od Anglii pożyczono (1); w rzeczy zaś saméj kadryl i kontredans jest jedno i to samo. Ma on 16 kroków, 16 poruszeń, i 6 lub 12 odmian czyli figur. Sama ich liczba *szesnaście* jest kwadratem z kwadratu. Ileżto kombinacyj z tego wszystkiego! Zapewne. Ale każde poruszenie nóg i rąk, ciała całego, jest naprzód ułożone, przepisane, w niezmienne prawidła zamienione i pod karą śmieszności zachowywane. Kroki i poruszenia mają wiele gracyi; nie przeczę; ale gracyą trzeba do formy naginać, nie formę do gracyi; tu duch nie tworzy, lecz w dane formy wlewać się musi; niéma więc poezyi, bo niéma twórczości. A figury, mają poezyą? Są-li one symbolicznym wyrazem narodowéj myśli, obrazem zdarzonego wypadku, lub pomnikiem zagasłych zwyczajów? Wątpię bardzo: bo czegóż obrazem może być np. figura le *pantalon* albo *la poule?* Dziwnie prozaiczne nazwy, niczego domyślić się nie pozwalają; układ ich, domysłu

(1) *Contredanse* pochodzi od wyrazu angielskiego *Countrydance*. Ob. *Dict. Encycl. de Saint-Laurent.*

nie wspomoże; sąto hieroglify, którychby sam Champolion nie przeczytał.

Kontredans został tańcem kosmopolitycznym, i znalazł gościnne przyjęcie we wszystkich częściach świata, u wszystkich narodów; ale tylko w warstwach, co się na manier francuzki ucywilizowały. U nas jest on chwilą wypoczynku po hucznym mazurze, lub poetycznéj polce, i zastępuje potroszce miejsce dawnych polonezów. To pogadanka i spacer więcéj, niżeli taniec; gdyż u nas, nikt prawie ściśle prawideł się nie trzyma, i ledwo piąte przez dziesiąte coś z przemian i kroków się przejawi; figury wszakże są ściśléj zachowane, chociaż i tu często ostatnią figurę zakończają polką, krakowiakiem i słowiańskiém wielkiém kołem; i takie zamęzcia nierzadko się przytrafiają.

Cancan jest zmysłowém tylko połączeniem słowiańskiéj galopady z figurami kontredansa. Francuzi czują gwałtowną u siebie potrzebę poezyi, i nawzajem w naszę stronę się zwracają; ale źle biorą się do rzeczy. Poezyi nie stworzą zmysłowém przedrzeźnianiem, bo ona nie ze zmysłów bierze początek; nie przywabi jéj młodzież, co w epikurejskich excentrycznościach szuka do niéj natchnienia; bo ona jest w blizkiém pokrewieństwie z wiarą, i w krynicach serca, nie zaś w grze zmysłów ma Boskie swe źródło.

2. Tańce polskie.

Żaden może naród nie ma tak pełnych myśli i poezyi tańców, co nasz; bo téż w nasze tańce wpłynęły wszystkie ich pierwiastki i kolisto je wytoczyły. Używanie onych do obrządków religijnych dawnych Sło-

wian w *Bożych stadach*, przy świętach *Łady*, *Kupały*, któregoto pierwiastku religijnego gromadne processye, pielgrzymki i obrzędy naszego kościoła nie zatarły wcale; dużo pierwiastku wojennego; stosunki płci swobodne, ale pełne wzajemnego poszanowania i powagi, miłość żywa, prawdziwa, z duchową przewagą: wszystko to bezpośrednio i w harmonijnéj proporcyi wpłynęło do naszych tańców, i wyrobiło je tak liczne, pełne powabu, znaczenia i poezyi.

Tańce u nas od niepamiętnych czasów były w wielkiém użyciu. Oprócz tańców słowiańskich z obrzędami połączonych, o tańcach dworskich za Popiela II wspomina Bielski. Stryjkowski powiada, że królowa Anna, żona Kazimiérza Wielkiego, tak się kochała w tańcach, iż gdziekolwiek jechała, zawsze koło siebie gromady taneczników woziła. Za Elżbiéty, matki Ludwika, brzmiał zamek muzyką i tańcami. Królowa Jadwiga z fraucymerem i dworzany do klasztoru Franciszkanów przybywszy, z Wilhelmem i Niemcami, tudzież poufalszymi z Polaków, w refektarzu pląsów i tańców sobie dozwalała (1). Olbracht i Zygmunt August lubili tańce; nawet Stefan Batory na weselu swojém trochę tańcował (2). Za następnych panowań, zwłaszcza przy królewnach francuzkich Maryi Ludwiki (3) i Maryi Kazimiéry tańce były jeszcze liczniejsze, a najbardziéj za Sasów (4).

Polonez dawniéj *wielkim*, *pieszym* lub *polskim* zwany (5), krakowiak, kujawiak czyli obertas, szumka, ko-

(1) Hist. Pol. Narusz. T. VII.
(2) Pam. Nieme. tom II.
(3) Laboureur o poselstwie p. Guebriant.
(4) Gry i zabawy Gołębiowskiego.
(5) Obacz niżéj przy polonezie.

zak, okrągły; — i wiele innych prowincyonalnych, z użycia wyszłych, lub pochłoniętych ogólnemi tańcami, są to nasze rodzime tańce. Ujrzysz je pod strzechą ludu naszego i po dworach szlachty: tu więcéj ogłady i wdzięku, więcéj rozwinięcia i powabu; tam więcéj prostoty, więcéj wrzawy i kurzawy; ale tu i tam jędrność i życie, zwinność i ruch: utwory prawdziwie poetyczne.

Charakter i zwyczaje narodu, układ społeczny i jego dzieje, odbiły się w tańcu.

Gromadność w tańcu (nieograniczona liczba par) to *gromada* Słowian. Przodkowanie jednego (przywileje piérwszéj pary) to *głowa* w gromadzie (1). Razem to pszczoły i matka, mistycznéj historyi; to lud i wojewoda dawnych Słowian; koło rycerskie z hetmanem; to wieś i dwór, to państwo młodzi z weselem.

Cywilizacya rolniczych Słowian tak przeważna uczuciem i serdeczną wiarą, karty swéj historyi zapisała szlachetnemi uniesieniami nieoględnego serca i głębokiéj wiary; i symboliczną jéj figurą jest koło od serca wiarą rozpromienione.

Wielkie koło znajdziesz tylko w gromadnych tańcach Słowian; i naszych tańców zasadniczą figurą jest oś i koło (w przodkującym i gromadzie).

Kiedy posłannictwem naszego narodu było, być przedmurzem Europie od napadów Tatarów, i w obronie Chrystusowéj wiary, ciągłe boje zwierać, wówczas pier-

(1) *Przodkowanie jednego* w tańcu, zawsze u nas miało miejsce. Rej z Nagłowic powiada także: „patrzayże na pieszczoszki paniey forthuny, a oni się ubiegają kthо ma *pirwszy w tanku poskoczyć.*" (Ob. Żywot poczciwego człowieka, Reja) i w wielu innych autorach widzieć to możem np. w Twardowskiego Bylicy, któregośmy już na początku cytowali; w Pamiętnikach Paska obacz niżéj przy krakowiaku i t. p.

wiastek wojenny i w tańcach górował: często bowiem sami tylko mężczyzni tańczyli, jeden drugiemu służąc, jak na wojnie szeregowy rycerzowi (1). Niewiasty jednak nie były całkiem wyłączone z tańców; dzieliły one wspólnie zabawy, jak dzieliły nieraz wojenne trudy i niebezpieczeństwa swych braci i mężów (2). Szlachta przywykła do gonitw za niewiernymi, co także tańcem zwała (3), ruch zamieniła w potrzebę życia. Polowanie,

(1) Widzimy to ze wspomnień niektórych pisarzów naszych, i tak Rej powiada: „Przyszli raz *panięta* w maszkarach przed króla, także czyniąc swój taniec parami; obaczy ktoś średnią parę, w której był pan Wolski miecznik z *drugim* nie pomnę *kim bardzo małym* i rzecze: by wiedzieć prawi, co to za para tak bardzo nierymowna; a drugi stojąc podle niego rzekł: zgadnę ja którzy są; a gdy ten za się jął prosić, aby mu powiedział: atoli, prawi, to jest roch, a to piesek" (Wieża i piesek w szachach, albo może kiernos i pies, dwuznacznik ucinkowy; rochą bowiem nierogaciznę zowią).

Pasek zaś w Pam. pisze: „Po wieczerzy poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: *pójdźno mu służyć.*" (Obacz niżéj w krakowiaku obszerniejszy wypis z Pam. Paska).

(2) Górnicki w Dworzaninie tom II, k. 419, dając obraz niewiasty jaką być winna, mówi że jéj nie przystoją zabawy męzkie jakoto: robienie mieczem, konna jazda i polowanie (widać, że i do tego niewiasty nasze rękę przykładały). O tańcu tak powiada: „Ale też w taniec kiedy pójdzie (które jest jedno przystojne białéj głowie ćwiczenie) nie zda mi się, aby ochotę zbytnią, żartkim skokiem, pochutnywaniem z sobą pokazować miała: ale niechaj tak tańcuje, iżby znać było niedużość jéj i jakąś przyrodzoną pieszczotę, téj płci bardzo przystojną."

Tenże sam na k. 477 opisując miłość dwojga osób powiada: „Owo młodzieniec nie mógł jéj daléj wyciągnąć, chyba jeśli mu się czasem z okna widzieć dała, albo iż na weselu (zabawie) szła z nim, jako i z kim drugim w taniec."

(3) Jakób Sobieski kasztelan krakowski, wysyłając za granicę dwóch synów Jana (potém króla) i Marka pod dozorem Orchowskiego, w swojéj instrukcyi na piśmie tak mówi: „Doskonalcie się we wszystkiém, co jest pożyteczne; prócz tańca, którego się w kraju z Tatarami nauczycie." (Obraz wieku Zygmunta III przez Siarczyńskiego).

festyny, zabawy, kuliki, taniec gromadny, wesoły, buczny i pełen życia, były dla niego chwilą wypoczynku i miłéj sercu zabawy (1). Taniec i zabawy zastępowały u nas miejsce teatru. W nich jak w zwierciadle nieraz wiernie odbijały się obyczaje i zwyczaje, i zdarzone w kraju wypadki, tém snadniéj, że ramy tego zwierciadła były obszerne i co chwila zwiększać się mogły jak okrąg koła, w miarę wielkości promienia. Ponieważ w sprawach narodu, całe koło szlachty wpływ miało; więc i w tańcu, który jest także gromadnym i nie cierpi określenia liczby osób, w jego figurach, waryantach, każdy wypadek, zdarzony czyto na wojnie, czy w radzie, dawał się łatwo uobrazić. I tak gonitwy za Tatarami, odbijanie brańców, wojny z bisurmany za wiarę: obrona jednego prawowiernego obsaczonego nieraz chmarą niewiernych, zasadzka na nich i tym podobne zdarzenia, powtarzały się w tańcu jak w zwierciadle (2). Ujrzałeś tam również skromne zalecanki młodzieńca do dziewicy, ich wzajemne przekomarzanie się, swobodę w wyborze, zaręczyny, ślub, obrzędy, pożycie i tym podobnie. Tu z każdym rokiem, miesiącem, można było bądź w samym tańcu, bądź w jego odmianach, figurach, odbić zaszły wypadek szybko i dotykalnie; dlatego téż teatr sprowadzony przez królów z zagranicy, niechętnie był przyjmowany przez szlachtę (3), która zresztą nie

(1) „Tam albo wieńce wijem, albo tańcujemy,
Trafi się czasem z Dyaną polujemy.
To są nasze zabawy..... .....
mówi Jan Kochanowski do króla w pieśni XXVIII Dryas Zamechska.

(2) Ślady obrazów takich widzimy jeszcze dotąd w niektórych mazura figurach i czysto polskich nazwach jakoto: krzyż, odbijany, goniony, młyniec i t. p. jak to bliżéj przy opisie mazura obaczymy.

(3) Obacz w Pamiętn. Paska przyjęcie aktorów francuzkich.

skupiała się w stolicy, lecz będąc w niéj tylko sejmowym gościem, w czasie zapust od dworu do dworu hucznym kulikiem się zjeżdżała (1).

Kto zna dobrze wszystkie nasze tańce, ich waryanty, figury, kto głębiéj w nie się wpatrzy, ten i dziś jeszcze znajdzie dużo w nich myśli, i dużo obrazów pyłem czasu trochę zamglonych, z historyi i życia naszych ojców i dziadów.

1. Polonez.

....

Malowaniem proporzec taki ozdobiony,
Wziął natenczas od króla Olbrycht przerzeczony:
Za tym w trąby i w głośne bębny uderzono,
A zarazem i strzelbę ogromną puszczono.
Jako więc piorun trzaska w niepogodne czasy,
A niebo chmurne huczy, i wzruszone lasy;
Łyskawice z obłoków czarnych wynikają,
A śmiertelne narody gromu się lękają;
Taki huk wstał natenczas;—a kiedy król potym,
Ruszył się z majestatu swego w płaszczu złotym,
Ruszyli się z nim wszyscy:—tam jako więc rany
Zefir, na cichym morzu podnosi bałwany,
Na piérwszym słońca wschodzie, które póki czują
Łaskawy wiatr, leniwo naprzód postępują,
Potym za dłuższym duchem coraz gęstsze wstają,
A płynąc przeciw słońcu daleko błyskają:
Tym kształtem ludzie wtenczas z miejsca się ruszali,
A ku swemu mieszkaniu społem pochadzali.
Ostatek dnia, biesiady sobie przywłaszczyły,
I *tańce* i myśl dobra i dźwięk lutni miły.

(*Jan Kochanowski — wyjątek z opisu hołdu Olbrychta księcia pruskiego, Rzplitéj i Zygmuntowi Augustowi na rynku Lubelskim w roku Unii Koronj z Litwą* 1569 *składanego*).

Polonez jest bardzo dawnym tańcem; musiał on kiedyś wyjść z ludu, tak jak sama szlachta nasza wyszedł-

(1) Obacz piękny i wierny opis naszych kulików w dziele szan. Ł. Gołębiowskiego p. t. *Gry i zabawy*.

szy z korzenia słowiańskiego ludu, w potężne konary się rozrosła. Poloneza zwano dawniéj tańcem *wielkim*, *pieszym* (1), późniéj *polskim*, wreszcie *polonezem*. Znajdziesz w nim układ słowiańskiéj społeczności, wspólną wszystkim naszym tańcom: tojest gromadę i przodkującego. Dawniéj pierwiastek wojenny w nim przeważał; tańczyli go naprzód sami mężczyzni: byłto pochód tryumfalny styranych w boju i sędziwych w radzie mężów, z wspaniałością processyi wiedziony. Późniéj i kobiéty do niego wchodziły, ale tańczyły osobnemi parami; w końcu dopiéro, gdy taniec ten całkiem się rozwinął i wsiąknął inne swe pierwiastki, mężczyzni tańczyli w parach z kobiétami.

Tam już statek; jestto taniec mężów już dojrzałych, senatorów; to téż rozmowa jako wizerunek obrad wchodziła do niego i zastępowała pieśni w tańcach młodszéj braci. Poloneza zaczynała osoba najpoważniejsza; potém szła para za parą po starszeństwie lub nie; tu wszyscy poważni i równi. To król,—za królem senat. To wielki wąż mądrości, co się wił w rozmaite zwroty, zygzagi, pierścienie! Cudny to był widok: sto par! Pod pachą czapka, w tył wyloty, głowa siwa, podgolona, często porąbana; szli poważnie, posuwisto, jednak nieraz usłyszałeś brzęk szabli, stuknięcie podkówki; ujrzałeś na wpół zgięte przed matroną kolano, a na zawrocie, kiedy w tańcach młodzieży, wpół się biorą i kółkiem wirowym je kończą, tu tylko robili półkole, jakby przypomi-

(1) A gdy koniec półmisków zymą i obrusy,
Znowu bąk z miejsca swego młodzików poruszy,
Z których każdy do swojéj ochotnie pośpieszy.
Żeby zaś ponowili wszyscy taniec *pieszy*,
czyli *Polski*, mówi Kasper Miaskowski: Zbiór Rytm.

nek lat młodszych; matrona z prawéj strony na lewą przechodziła, i szli daléj prowadząc stateczną rozmowę; aż któryś z braci pomnąc na owo przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, klaśnięciem ręki dobijał się przodkowania, odbijał matronę piérwszéj parze, i prowadził *nieskończonego* (1). Poprzednik przechodził do drugiéj pary, to jest zchodził w ogólne szlachty bractwo, i tak daléj, aż ostatni wychodził całkiem z koła, jako wdowiec bez towarzyszki, jeżeli nie miał śmiałości odbić piérwszą parę i sam stanąć na czele. Kto zna naszę historyą, ten pojmie znaczenie dawnego polonezu; tego wyobraźni niech pomoże piękny wiérsz Kochanowskiego, na czele za dewizę położony.

Dziś prawdziwego poloneza już niéma; skosmopolityzował się, i jest tańcem zagranicznych dworów, rozpoczynającym wielkie zgromadzenia i festyny.

Z tańcem poloneza, zaginęła i muzyka jego; znajdziesz ją jeszcze rozsianą w pieśniach ludu naszego, jako złote okruchy dawnych bogactw. Proch wrócił do téj saméj ziemi, z któréj ciało powstało. Jedne tylko poloneczy Ogińskiego, choć pełne głębokiego smutku, i Kurpińskiego na marsze wojenne zakrawające, mogą nam dać wyobrażenie dawnéj muzyki polskiego tańca.

2. Krakowiak.

Po polonezie co do starszeństwa idzie *krakowiak*. Był on kiedyś tańcem wielkim; tańczył go lud krakow-

(1) Brodziński mylnie utrzymuje, że odbijanie piérwszéj pary zjawiło się późniéj i było echem owego *nie pozwalam;* gdyż odbicie piérwszéj pary nie zrywało poloneza ani go kończyło. (Ob. art. o tańcach Brodz. w Melitele Odyńca).

ski i szlachta całéj Polski. Wyszedł on również z ludu, a przez szlachtę ukształcony, stał się jéj ulubionym tańcem; z temiż samemi cechami społeczności słowiańskiéj co i polonez, tojest gromadą i jednym przodkującym: był on tańcem młodszéj braci szlachty, i między nimi nabrał z czasem charakteru wojennego; tańczyli go bowiem często sami mężczyzni, jeden drugiemu służąc w parę jak szeregowy rycerzowi.

Krakowiak był kiedyś tak powszechnym jak dzisiaj mazur, i zwano go *wielkim*; początku wszakże jego między szlachtą trudno oznaczyć; być może, iż on wszedł do niéj i rozpowszechnił się za Kazimiérza Wielkiego, tego króla chłopków, ale nie zdarzyło się nam czytać o tém żadnych napomknień. Pewniéj już możem twierdzić, że go tańczyła szlachta za Jagiełłów. Rej bowiem powiada: „patrzayże na pieszczoszki panicy forthuny, a oni się ubiegaią ktho ma *pirwszy* w thanku *poskoczyć* (1)." Wyraz *poskoczyć* nie może się stosować do poloneza, gdyż taniec ten nie był skoczny ale poważny, i zwano go *téż pieszym*; wyraz zaś *piérwszy*, tojest w piérwszą parę, wnioskować każe: iż to nie był żaden z tańców zagranicznych, które za Bony u nas wprowadzono; ale jako mający cechę słowiańską nie był czém inném, jedno krakowiakiem. W drugiém miejscu tenże Rej także użył tego wyrazu *poskoczyć*, ale może to ściąga się już do zagranicznych tańców (2). Wyraźny wszakże opis kra-

(1) Żywot poczciwego człowieka cap. VIII.

(2) W żywocie poczciwego człowieka cap. V opisując: *jakiego ćwiczenia mają życzyć poczciwy rodzice dziatkom swoim*, powiada: „Po tym gdy już téż owa młodość podrastać będzie, nie wadzi mu téż podczedszy (poczytawszy) sobie czego potrzeba, nauczyć się y konika osieść, y jako sobie na nim poigrać, a jakoby gi (go) theż czasu potrzeby (w wojnie) obrócić. A jeżeliby mógł i drze-

kowiaka znachodzimy dopiéro w Pamiętnikach Paska, który opowiadając iż przeniósłszy się z Mazowsza w Krakowskie, musiał znosić nieraz docinki szlachty co go przybyszem zwała, aż póki kilku nie porąbał w pojedynku,—tak mówi:

„Po wieczerzy poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: „pójdźno mu służyć," (*w parę zamiast niewiasty*).— Odpowiem „dobrze." Tańczymy tedy aż skoro już Wielkiego poczęli tańczyć, ów (*Kordowski*) stojąc na trakcie (*w piérwszéj parze przed muzyką*) począł śpiéwać:

Mazurowie naszy
Po jaglanéj kaszy
Słone wąsy mają
W piwie je maczają.

i tak ową piosnkę kilka razy powtarza; mnie téż już gniewno się uczyniło, wezmę owego Żeleckiego na ręce, tak jak dzieci noszą, bo chłopek był mały (goście rozumieli, że ja to czynię z kochania) i idę z nim, a pomijając Kordowskiego śpiewającego tę piosnkę, uderzę go w piersi Żeleckim; ten padł w znak, a że był chłop srogi jak dąb, dosiągł jakoś ławy głową, uderzył się w tył i zemdlał; Żelecki téż, bom nim o drugiego ze wszystkich sił uderzył, nie mógł potém wstać i t. d."

Cały opis tańca i zwrotka śpiewana, jest wyraźnie krakowiak. Pasek nazywa go tańcem *wielkim*; bo on

weczko (drzewce kopiją) znieść, thedy y to nie wadzi z nim sobie potgrać, ręką uważać do pierścionka (w pierścień kopiją trafiać), albo do czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu, coby się i na potym przygodziło. Też mu nie zawadzi czasem z poćciwym a nie z opiłym towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować; bo ztąd y ćwiczenie y zachowanie na potym y znajomość roście. Nie wadzi mu theż czasem pouczyć się y poszyrmować y *poskakać* y na luthence pograć: *wszystko to są poczciwe zabawki.*

wówczas jeszcze był takim, tojest głównym tańcem całéj szlachty; zresztą tańce nie brały u nas, jakeśmy to wyżéj powiedzieli swéj nazwy od prowincyi ani od kraju. W tym opisie widzimy również, iż pierwiastek wojenny wówczas jeszcze przeważał, gdyż Pasek służył w parę Szembekowi zamiast panny. Z tego również widać, że krakowiak, pomimo przeniesionéj już stolicy do Warszawy i przewagi Mazowsza, długo z mazurem o pierwszeństwo walczył. I dziś jeszcze, chociaż taniec ten ustępując wieńca mazurowi, znikł z dworów szlacheckich, jednak w Krakowskiém i Sandomiérskiém jako w swojéj kolebce, a czasem i w innych prowincyach miesza się on do zabaw dworskich, choć pierwszeństwa nie trzyma. W kulikach jednak zapustowych, dotąd eszcze innym tańcom przodkuje; zwłaszcza gdy kulik weselem krakowskiém do dworów zajeżdża.

Prześliczny ubiór krakowski męzki i niewieści, podniesiony wykształconym smakiem i sztuką, śpiewki, wesołość i zjazd gromadny szlichtadą, nadaje kulikowi niezwykłe życie i poezyą.

My sobie jedziem kulikiem;
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie.
Maska nas kryje, a kto chce wiedzieć
Zkąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczéra ochota,
Otwiéra wrota;
Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
Żydzi, cyganki, uderzą w pary;
Wróżki, djabli, nie oszusty,
W puhary.
Lecim saniami,
I jadą z nami,
Wrzawa, śmiech pusty;
Czy znasz ty polskie zapusty?

Krakowiak jak z ludu wyszedł, tak znowu w lud stopiony, zachowuje się dotąd u wieśniaków krakowskich, z całą swą krasą ubiorów, śpiewek i ochoczego Krakowian życia, szlacheckiém wyrobieniem dużo podniesiony.

Co to za życie w tym tańcu! Kilkadziesiąt par, bogato i gustownie ubranych z przodkującym na czele, zawsze zuchem, co to:

Czy to w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele;
Nie da bruździć nikomu,
Zawsze piérwszy na czele!

wali się po odbytym ślubie do karczmy, albo izby ojca nowożeńców. Każda para wpół ujęta splecionemi rękoma, trzyma się szczérze i mocno, jakby z góry galopadą lecąc, obawiała się upadku, i wzajem sobie pomocy udzielała. Cała drużyna świeci się bogactwy krakowskiéj ziemi i jéj poetyczną strojnością. Słychać zdala śpiéw całéj gromady w jeden ton zlany (1): jacy, tacy— tacy, jacy, coraz to bliżéj i głośniéj, aż we drzwiach huknął głos: Wzdyćma Krakowiacy! cerwoná cápecká — na cal podkówecką. — Cerwona cápeckaa — na cal podkóweckaa!

Z saméj harmonii słów: *jaccy-taccy — taccy-jaccy* odgadniesz Krakowiaka suto kółeczkami obwieszonego, który na dobitkę krzesząc podkówkami, szczęk, brzęk wydaje. Ubiór krakowski jaki bogaty i strojny! co za rysunek w wyszyciu, co za rzeźba na pasie, co za krój sukmany, jaka zuchowatość w czapce na bakier z pawiém

(1) Nawet w śpiewach zbiorowych naszego ludu znajdziesz słowiańską zasadę, tojest gromadę i jedność; lud bowiem nasz czyto w kościele, czy na zabawie, nigdy nie śpiéwa chórem rozdzielonym na głosy, ale śpiéwa *unisono*.

piórkiem, jaka fantazya i smak w całém ubraniu! A dziewoje? jakie hoże! Czoło wieńcem otoczone, włosy w kosy zaplecione, a w tych kosach co za wstążki! co za barwy na spodniczkach, co za hafty na koszulkach, a gorsety, a buciki!

Któż nie zna krakowskiego wesela, jeśli nie z natury, to przynajmniéj z ślicznego baletu: *Wesele w Ojcowie?*

My się wstrzymamy od jego opisu, bo go skréśliło wymowniejsze w Wiesławie pióro. Nie możemy lepiéj wypełnić krakowiaka, jak zakończając nasz opis następującym wyjątkiem z Wiesława:

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnéj wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiéwanie.
Parskając konie, biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta zarządzca wesela:

„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela!
Witajcież do nas wy z proszowskiéj ziemi!
Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi,
Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy,
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Wymyślnym tańcom i przecudnym strojom;
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi."

Na to Halina przystępuje młoda,
W całém weselu najpiérwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasto z koszyka i owoc podaje:

„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!"

A przytém uśmiéch jakiś uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie,
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany;
Potém starosta, zarządzca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech téż po swojemu,
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze."
I wybrał druchnę, któréj wdzięk uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje;
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą;
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:

„Niechże ja lepiéj nie żyję
Dziéwczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy,
Serduszko do ciebie!"

Bierze Halinę, i tak wokoło,
Przodkując drużbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak daléj nuci:

„Czemuż ja w proszowskiéj ziemi
Małe zaznał dziécię,
Byłbym między krakowskiemi,
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi."

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce pleszcząc goni dzaleka;

A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w pląsach tak daléj nuci:
„Nie uciekaj ptaszku luby,
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojéj zguby,
I nie puszczę więcéj.
Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia."

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni,
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach, tak przed nią nuci:
„Gospodarzu nie dasz wiary,
Jak konie opłacę,
Wydałem ja twe talary,
Moje serce tracę.
Grajcie skrzypki! bo się smucę,
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie."

Dłoń mu podała, a on wokoło,
Przodkując drużbom tańczy wesoło;
A gdy do nowéj piosenki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania:
Słychać wokoło pokątne szemrania.

Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiéwy i granie;
W sercu niepokój, a myśli jedynie,
Krążą niewolnie przy pięknéj Halinie.

Muzyka krakowiaków jest wesoła, żywa, strojna i bogata, tak jak lud pełen życia i zasobów; jak ziemia krakowska ze swemi górami, kopalniami, żupami, pszenicą i stolicą. Lud się stroi w kruszce, bo je ma w licznych kopalniach; w cienką wełnę, bo ją ma w pięknych

owcach; wdzięczna ziemia obdarza go sławną na całą Europę pszenicą. Ma on dosyć roli i soli, łąki i mąki, są tam ryby i grzyby; czegoż więcéj trzeba? Więc nie dziw, że góruje nad ludem innych polskich prowincyj życiem i wesołością w swoich zabawach i śpiewach.

Nie jedna nuta krakowiaków sama z siebie tak piękna, posłużyła wykształconéj muzyce, za osnowę do prześlicznych utworów; symfonia Dobrzyńskiego, krakowiaki Wysockiego, są dowodem, co z niéj zrobić można.

3. Mazur.

Mazur jako taniec szlachty naszéj, zdaje się nie sięga dalszych czasów, jak panowania Zygmunta III; tojest epoki, w któréj stolica Rzplitéj do Warszawy przeniesioną została; wówczas bowiem Mazury, jak niegdyś Krakowiacy górę w narodzie trzymać zaczęli. Od ludu wyszedł ten taniec (1), ale między szlachtą wyrobiony i dojrzały; szlacheckiego życia, historyi i zwyczajów stał się odbiciem. Tańczono go już za Jana Kazimiérza jak można wnosić ze słów Paska (2); wówczas jednak

(1) I dziś po wsiach Mazowsza można napotkać taniec do mazura podobny; lud go zowie *drobnym*, a w Płockiém *wyrwasem*; w ogóle jednak rzadko on bywa głównym ludu tańcem; rozpoczyna tylko obertasa.

(2) „To też jako owo Mazurowie śpiéwają: cztéry dziéweczki, za korzec sieczki." Może to był *wyrwany*, który z opisu Paska, podobny jest do mazura; kréśląc bowiem jednę bitwę ze Szwedami, tak się odzywa: „a że im nasi fałdów mocno przyciskają, i coraz z lasa wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy owo *wyrwanego* tańczą, poczęła starszyzna uciekać, a wojsko téż poszło w rozsypkę." Oprócz podobieństwa opisu tego z mazurem, mniemanie nasze potwierdza i to jeszcze: że dotąd w Płockiém między Kurpiami jest taniec zwany *wyrwas*, zupełnie do mazura podobny; oraz że tańce nasze nie brały swéj nazwy od prowincyi, ani kraju.

jakeśmy to wyżéj widzieli, krakowiak pierwszeństwo w tańcu trzymał.

Dawniéj i w mazurze śpiéwki zastępowały miejsce dzisiejszych figur, które jako pomysł francuzki, co sam wyraz pokazuje, zdaje się iż dopiéro za królewien francuzkich Maryi Ludwiki (1) i Maryi Kazimiéry (2), do tańca wpłynęły. Gallicyzm wszedł więc i do naszych tańców, tak jak wszedł do zwyczajów i wyobrażeń; tu i tam zwichnąwszy samodzielność naszę, pchnął jednak na drogę postępu i obszerniejszego myśli rozwoju.

Mazur pochłonąwszy poloneza, krakowiaka, trochę gallicyzmu, dziś na nowo wsiąka w siebie w obertasie pierwiastek ludowy; widać to nietylko w samym tańcu i figurach jego, ale nawet w muzyce, któréj część druga była niedawno tęskna, żałosna; dziś zaś ma w sobie dużo obertasa. Żywioł więc ludowy, znacznie go teraz podsyca, a karmiąc go na nowo rodzimemi sokami, rozdmuchuje w nim ogień, który topi wszystkie pierwiastki i wydaje taniec jednolity. Mazur dziś nawet słusznie już może nazwać się wielkim tańcem; tańczy go bowiem szlachta wszystkich prowincyj i tańczy go lud po wsiach.

Cudzoziemiec nie odda go dobrze; bo krok mazura nie cierpi ścieśnień prawidłowych; on potrzebuje swobody: trzeba go improwizować, tworzyć, więc trzeba mieć ducha miejscowości, trzeba być synem i wychowańcem téj ziemi naszéj, by pięknym tchem piękną formę utworzyć.

(1) Marya Ludwika Gonzaga, żona Władysława IV późniéj Jana Kazimiérza.

(2) Marya Kazimiéra z domu markizanka d'Arquien de Bethune wdowa po Zamojskim, żona Jana III.

Do mazura wchodzą wszystkie tańca pierwiastki. Dużo w nim jest pierwiastku wojennego; sam krok jego przedstawia nam dobitnie jeźdźca hasającego na koniu: tupanie nogą,—to bicie niecierpliwego rumaka; hołubce,—to spinanie ostrogą; a żywy, więcéj skoczny jak posuwisty krok tańcującego,—raz cwał, drugi raz kłusa, to znowu stępo, oznacza; poruszenia głowy, tojest toczenie rumakiem. Jeździec raz zręcznie zawraca, to znowu rozbieżony na miejscu osadza, zatrzymując się nagle podkówką w takt palnąwszy.

Młodzieniec trzymając dziewicę prawą ręką, lekko ją za sobą unosi, jakby na koniu uprowadzał; ona zaś trochę się ociąga, tocząc walkę miłości z przyrodzoną kobiét naszych wstydliwością; nareszcie po niedługiéj podróży, rycerz wpół ją chwyta i zakończa kółkiem wirowém,— znak połączenia, — dokonanych ślubów, — to kółko rodzinne! Jest więc w nim i pierwiastek miłości w trzech przechodach: jako oblubieńców, narzeczonych, i połączonych; z wyraźną wszakże przewagą poetycznéj Słowian miłości narzeczonych.

Gromadne zaczęcie, wielkie koło, przodkowanie jednego, to pierwiastek towarzyski, zasada społeczeństw słowiańskich. To są także *korowody* i tak zwane *Boże stado* religijne dawnych Słowian pogańskich.

Figury mazura mają nieraz symboliczne znaczenia, i są wizerunkiem: bądź zdarzonego w narodzie wypadku, szyku bojowego, stoczonéj walki; bądź pochłoniętą cząstką dawnego lub obcego tańca; przypominkiem wygasłych już obrzędów lub zwyczajów; wzajemném przekomarzaniem się młodzieży płci obojga, czasem trudnym hieroglifem do przeczytania, albo téż tylko pięknym rysunkiem tańca.

W mazurze, jak poruszenia młodzieńca płyną z natchnienia i są odbiciem indywidualnego charakteru, tak również figury, nie są jak w francuzkim kadrylu naprzód ułożone i konwencyonalnie przestrzegane, ale są zostawione woli przodkującego; tu i tam poezya i twórczość. Może on dowolnie dawne figury wskrzesić, albo nowe utworzyć, zmienić co, lub dodać; swoboda najzupełniejsza; inne tylko pary muszą święcie przestrzegać przetańczonéj przez wodza figury; gdyż inaczéj ubliżyłyby prawu i obowiązkom. Ten jedyny przymus, jeżeli go tylko tak nazwać się godzi, łagodzony jest tém zazwyczaj: że rej w tańcu wiodący, bywa naprzód za zgodą powszechną obrany z młodzieży pełnéj ducha i najlepiéj tańczącéj; albo téż kiedy kto poczuwając się na siłach, śmiałością i szybkością, sam dobije się tego przywileju, co się rzadko dawniéj zdarzało; to wówczas biorąc na siebie odpowiedzialność dobrego poprowadzenia mazura, dogadza jednak wszystkim, w obmyśleniu ochoczych i do smaku figur. Taki zazwyczaj, dla złagodzenia szemrań, zamawia sobie naprzód do tańca: bądź gospodynią domu, bądź mężatkę jak teraz, albo téż najpiękniejsze dziéwczę.

Od przodkującego dużo zależy; on nadaje życie i barwę tańcowi.

Jeżeli gospodarstwo szczerzy i gościnni, muzyka dobra, dziewice ładne, a przodkujący zuch, to się taki mazur wali, że aż dusza rośnie:

Hejże chłopcy, hejże ha!
Póki wiosna życia trwa,
Hopa, hopa, hopa daléj,
Patrzcie jak się mazur wali:
Bo mazury krzeszą z góry,
Aż patrzéć nie żal!

Muzyka urznęła mazura. Tu wszyscy od razu zbiegają się do koła. Wielkie koło wszystkich obejmuje. W kole niéma szczebli, niéma początku ni końca. Wszyscy trzymają się za ręce jedną pieśnią ożywieni. To koło rycerskie.

Koło się kręci, kręci, aż rozpryśnie się na sto kółek osobnych; każda para wiruje; rzekłbyś słońce na tysiąc planet się rozbiło, a każda planeta krąży w przestrzeni; albo też pszczoły, co świéżo z ula się wyroiły i na matkę swą czekają! Gdzie słońce? gdzie matka? Słońce i matka to piérwsza para!

Któż dowodzi? To pan Szczepan z panną Anną, córą zacnych gospodarzy. No Szczepanie, daléj w tany! Szczepan pędzi, tnie podkówką, w ziemię wali, za nim Jasio i drużyna, ale jaka! Lecą, pędzą, robią *koła, wielkie łuki, różne wieńce i koszyki* (1).

Potém Jan z Maxymem tańczą, i *krakowską* tną figurę; chociaż każdy miał dwie panny, lecz o jednę się sprzeczają, w środku sali je rzucają; sami młyńcem się probują, kto mocniejszy. Jasio przemógł. Wziął Maxyma, lecz by czyny swe uwieńczyć, więc go krasnéj stawił pannie; dwoje dziéwcząt oddał innym, a sam z czwartą rej prowadził.

Potém Karol ze Stefanem, cuda w tańcu wycinali; to *goniony*! to *zwodzony*! Potém znowu Jan z Kazimiérzem wielkim *krzyżem* taniec wiedli. Aż nareszcie pan Tadeusz brat rodzony gospodyni, taniec skończył *wielkiém kołem*, bo wieczerzą mieli dawać: ale jaką? we trzech daniach!

* * *

(1) Znane figury w mazurze. Figury w mazurze często nazwy nie mają, ale je każdy z tańczących zna, lub szybko pojmie.

Opisane wyżéj figury, jak z saméj nazwy wnosić można, są: powtórzeniem wybiegów i sztuk na wojnie używanych, chociaż dziś w wielu miejscach skrzywiono ich znaczenie.

W mazurze, charakter każdego jak oliwa na wiérzch wychodzi. Przypatrz się jak tańczy, a odgadniesz czy on żwawy, czy niemrawy, czy ma ducha, lub czy tchórzem podszyty. — A dziewice? wszakże znacie!

Bo i cóż to tam za żywość,
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczéry, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i szczerocie,
W wiejskim domku uchowane;
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!
Myśl ich cicho w życiu świeci,
Lubią pieśni, tańce, dzieci...
Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!

W mazurze choć jedna muzyka, każdy pędzi jak na harce, jak mu się spodoba, byle żwawo, byle w takt. Jeden pali hołubce, drugi tnie podkówką, trzeci pędząc na miejscu osadza. To Mazowsza równina, na równinie rumak sadzi!

A jakie to koperczaki pali chłopak do dziewczyny! Wziął ją z koła: lewą ręką, prawą trzyma, podkówkami ogień krzesze; spojrzyj w oczy: miłość w sercu, ogień w duszy! Biegną—pędzą—ona za nim się ociąga—niby nie chce — niby żąda; na zakręcie tamten staje — mruga — prosi — o serduszko ładnéj Tosi: ona nie chce— czy udaje — na paluszkach się wykręca, koło toczy na-

około,—to obwódka czarodziejska! Stój zaklęty! Stanął wryty. „Tańczy z drugim: drugi prosi i zaklina; oj! filutka to dziewczyna! — rzuca rękę, klęczyć każe — pajęczyną go osnuwa; od pająka zmykaj mucho! O! już nie czas. Ona biegnie do trzeciego, biegnie—stawa—czegoż stawa? Wodzi zwrokiem—napotkała łzą zabiegłe oko Jasia. Cóż ci Jasiu? wzrokiem pyta. On na brańców okiem rzuca—jakby wyrzut chciał jéj czynić. O! nie zazdrość tego drogi! porzuć żale, porzuć trwogi! i z uśmiechem rękę daje: on z radością rączkę chwyta, i hołubca tnie z kopyta. Radość w oczach, śmiéch na usta—wywołuje Tosia pusta. Ach ósemkę my zrobiemy! Biegną—pędzą—wpół się wzięli; lecą wirem, i wirują naokoło stojącego—naokoło klęczącego. Przystanęli. Dosyć męki! i dotknięciem małéj ręki—uwolnienie brańcom daje. Ten się wzrusza; tamten wstaje—lecz choć wolny, losy łaje! Nie dla Stasia ani Wosia—krasna, luba, miła Tosia!....

* * *

Znowu mazur! Basia w kole,—naokoło wieniec młodzi. Cudny widok! Najpiękniejsze dziéwczę stoi, żywą tęczą opasane; raz poblednie—znowu spłonie. Nie wypuścim! nie wypuścim! aż wybierzesz z nas jednego, i wesoło daléj wkoło! Ona oczy swe podnosi—nic nie widzi—tylko muru czarne ściany, tak się koło rozpędziło. Ha! przepiórko, i tyś w klatce! No! wybiéraj z nas jednego; wszystkich dręczyć już nie można. Weź jednego, wówczas w parkę, wylecicie przez tę szparkę. Spięte ręce w górę wznoszą, i znów szybko je spuszczają. Basia patrzy — nic nie widzi; widzi wszystkich i żadnego — ani Stasia—ani Jasia.... co tu począć?... O! poczkajcie! Kiedy zginąć, to już z chwałą.... i wyrzuca rączką małą—

chustkę w górę. „Kto ją złapie, z tym ja biegnę." Jakby laską czarodziejską—koło prysło—podskoczyło—nad jéj głową łuk zrobiło. Zaczém Basia chyłkiem w nogi! Na sto koni nie dogoni—o! pogoni i dogoni—lotem orła Stasio drogi!

* * *

Mazur, to taniec młodzieży: tu ani mówić można, ani nawet śpiewać; czasem tylko daje się słyszéć okrzyk: hop! hop!—hu ha! W polonezie rozmowa była wizerunkiem obrad: lud zaś w tańcach śpiewa, bo zajęty wyłącznie rolą i życiem rodzinném, zawodząc piosenkę przy pługu, zawodzi ją i w tańcu; lecz z mazura pieśń usunięto: tu już nie dźwięk słowa jest ciałem myśli, ale figury—więc czyn—działanie.

Pieśń wszakże z nutą mazura, choć się od tańca oddzieliła, przecież nie zginęła; owszem stała się ulubioną formą naszych śpiewów i uczuć skarbcem. W nucie mazura wylewa się miłość oblubieńców i nadzieja połączenia; żale i troski; z niéj także płynie balsam pociechy i powiewa wsi rodzinnéj miłe powietrze....

Mazurki Szopena choć bez słów, nie są jednak do tańca. Jestto śpiéw bez wyrazów, lecz nie bez myśli i uczucia. To apoteoza czysto szlacheckich mazurów. Drugie zaś, jako mające dużo obertasa w sobie (wprowadzenie pierwiastku ludowego do mazura, Szopenowi się należy) są raczéj pieśniami wieszczego marzenia, niż nutą pod słowa lub taniec.

W tymże samym rodzaju prześliczne są mazury księcia Lubomirskiego, Dobrzyńskiego i niektóre Kolberga.

Z mazurów do tańca najlepsze są Nowakowskiego, Łodwigowskiego i Kurzątkowskiego; zamykają one szereg czysto-szlacheckich mazurów do tańca. Obertas, do-

piéro od lat kilku wpływa silnie do nuty mazura; lecz jeszcze nie wywołał prawdziwie pięknego utworu.

4. Obertas.

Pomylił się Brodziński utrzymując (1), że lud nasz obertasa przejął od Niemców, i że ten wyrodził się w rodzaj niezgrabnego walca. Brodziński który piérwszy dopatrywał głębszéj myśli w tańcach, a raczéj jako piewca ludowy, przeczuwał w nich piętna historyi, cywilizacyi i społecznego układu, snadź nie zadał sobie należytéj pracy by rzecz tę gruntowniéj zbadać. Lud nasz nie bardzo sympatyzuje z Niemcami. Obertas z walcem mają chyba to tylko wspólnego, że jako odosobnione kółko, jest obrazem rodzinnego tylko koła, gdyż i on duchowe swe życie skupił w ciasnych granicach rodzinnego uczucia i w pracy około roli; ale się wszakże ogromnie różni od walca, samoistną muzyką; charakterem tańca, a nawet jego układem. W obertasie bowiem jest ta sama, co i w innych naszych tańcach, zasada słowiańskiéj społeczności: tojest gromada i przodkujący, tylko nie tak wybitna i wyraźna. W oberku nigdy jedna para nie puści się osobno w taniec. Zawsze jakiś Bartek staje na czele i czeka na gromadkę, lub gromada na Bartka; który wpół ujęty ze swoją dziewoją, prowadzi cały taniec jabby mazurem, którego lud *drobnym* nazywa. Obszedłszy w polonezowéj processyi całą izbę, lub obiegłszy ją skoczniejszym krokiem mazura, nachyla głowę z zadumą jakby sobie coś przypominał, i mijając grajka co wyrzyna na skrzypcach, wykrzykuje dopiéro he hal i puszcza się młynkiem w oberka na lewo, a cała drużyna za nim;

(1) Ob. Melitele, pismo czasowe przez Odyńca wydawane.

potém nagle przed muzyką stawa, dawszy około swéj dziewy ogromnego susa, i całą gromadę zatrzymuje. Czasem jak w krakowiaku coś zaśpiewa np.

Oj zawracaj od komina,
A uważaj któréj niéma,
Jest tu Kachna i Maryna,
Tylko twojéj Basi niéma!

He ha! i znowu daléj młynkiem w tany. Często znowu, w samym tańcu nagle z lewéj w prawą stronę się zawraca, a cała gromada tym zwrotem nieraz potężnie uderzona, czas jakiś się miesza, przystaje, i daléj za Bartkiem na prawo; ale nigdy żadna para nie opuści gromady w środku tańca, choćby się na śmierć miała zatańczyć.

Obertas nietylko tém się różni od walca: różni on się także samym wirem: w walcu bowiem mężczyzna z kobiétą razem się wkoło obracając, posuwają się po linii prostéj, owalnéj lub kulistéj. i mężczyzna zawsze i wszędzie kobiétę prowadzi, zawsze jest osią i słońcem, ona kołem i planetą; w obertasie zaś odbywającym najczęściéj drogi koliste, raz kobiéta obraca się koło mężczyzny, drugi raz mężczyzna koło kobiéty; raz on jest osią, drugi raz ona. Doskonałe pojęcie wzajemnych praw i obowiązków! Tu władza między małżonkami podzielona: on jest panem w robotach gospodarczych, ona zaś panią w zarządzie domowym.

W obertasie ludowym błąkają się wszystkie nasze tańce; boć to źródło z którego one wypłynęły; przeważa zaś rodzinne tylko kółko dla wiadomych już przyczyn.

Muzyka obertasów jest jędrna, ognista i pełna skupionego życia; jest ona obszerniejszą od mazura, bo po nucie obertasa doskonale tańczyć tamtego, po nucie zaś mazura nie zatańczysz oberka, chyba gdy w niéj przeważa jego pierwiastek i charakter.

Schwycono też te skarby do oświeceńszéj muzyki, i są one podstawą i wątkiem do prześlicznych utworów. Pieśni ludu są tém dla miejskiéj muzyki, czém mléko z piersi matek ludu dla dworskich i miejskich dzieci.

Szopen, Dobrzyński, Miączyński i wielu innych, a najwięcéj Kolberg, szczęśliwie użyli obertasa za osnowę swoich utworów. Obertasy wszakże Kolberga (1) są najpiękniejsze, bo najbliższe źródła. I nie dziw: niezmordowanemu zbiéraczowi muzyki ludowéj, łatwiéj przyszło niż komu innemu przejąć się jéj duchem i stworzyć coś prawdziwie pięknego i porywającego. Nam, co muzykę samém tylko sercem pojmujemy, pieśni i obertasy ludu mają niewypowiedziany powab. Tak tam wszystko oddycha wiosenną świéżością i wiejskiem powietrzem, życiem pełném serdecznéj szczéroty, i zwięzłego ognia: że radzi nadstawiamy ucha, tym prostym ale pełnym poetycznego natchnienia, acz nieraz szorstkim utworom, i przekładamy je często nad kompozycye oklaskanych mistrzów. Jako więc miłośnicy muzyki, choć nie jéj znawcy, możemy tylko oddać hołd wdzięczności tym, co jak Kolberg czystą i wiernie ujętą pieśnią, albo żwawym w większe koło rozpromienionym oberkiem, do naszych serc przemówią, i przypomnieniem wiejskiego życia, hałas miasta i sztucznie pogmatwaną muzykę, choć na chwilę z ucha nam oddalą.

* * *

Oprócz opisanych wyżéj tańców naszych, są jeszcze inne w użyciu, tak po dworach jako też u ludu; między

(1) Wyszło ich trzy zeszyty pod tytułem: *Kujawiaki*, nakładem Spiessa i komp. w Warszawie. Krytyczny ich rozbiór przez Sikorskiego, znajdziesz w Bibliotece Warszawskiéj, tom I, z r. 1846.

innemi taniec *okrągły*, w którym się zbiegają wszystkie nasze tańce. Zaczyna się on polonezem, daléj idzie krakowiak, mazur i obertas, wkońcu znowu polski. Lecz taniec *okrągły* jeszcze mało gdzie pojęty i w życie wprowadzony, choć z pięknym zarodkiem myśli, jako dotąd nie wyrobiony, nie może być przedmiotem naszego rozbioru i opisu; jestto bowiem płód niedonoszony i jedną duszą nie ożywiony; w wielu zaś miejscach w samym zarodku skrzywiony i sparodyowany.

Drabant, zaczyna się poważnym marszem, jakby dla dosadniejszego wydania wybryków wesołości, które się w następstwie okazują; idzie potém obertas ze wszelkiemi popisami zuchowatéj i w czubku mającéj młodzieży, pod koniec zabawy zwykle go tańczącéj. Prócz saméj nazwy, ma on w sobie cóś wojennego i hulaszczego, jakby on taniec, o którym mówi Dyalog (1):

Ey! tożby rad poskoczył by nie ludzkie oczy;
Hoyże, bre, bre, tałała, drysz drysz brezylia,
Głowa w czapce, noga w bucie, na sukni delia!

Na tém kończymy naszę charakterystykę tańców.

Niebogaty plon, lecz własną choć niewprawną ręką zebrany, i w jeden kul jako tako związany, chętnie niesiemy w darze tańcującéj młodzieży płci obojga, w przekonaniu: że wesoła drużyna z życzliwością go przyjmie, zmrużonym okiem licznego kąkolu nie dostrzeże, i pożytek nawet z niego wyciągnie. Bo jeżeli ze snopka tego młodzież czyste ziarno wybierze, na żarnach je zmiele i weselny sobie korowaj z niego upiecze, słomę na koszyki i przewiąsła do lepszych snopów wyplecie, a resztą chwastu w czasie święta sobótki ogień podpali i wesoło wkoło niego wieńcem weselnym zatańczy; to klasnę w ręce i powiém sobie: i mój snopek na coś się przydał!

(1) O Stacyi. Dyalog żołnierza z Teologiem z r. 1624. Ob. Hist. Lit. Wiszniewskiego. Tom VII, k. 161 i 162.

O ŻYCIU
I PISMACH DOMINIKA LISIECKIEGO.

Jest w literaturze naszéj okres, lat trzydzieści zawiérający, który same tłumaczenia i naśladownictwa zapełniają; a jeżeli zjawi się jaki utwór oryginalny, to i ten ze swego ducha i kształtu, tak jest naśladowniczym, iż prawie nie stanowi wyjątku.

Starsi pisarze naśladowali i tłumaczyli poetów łacińskich; młodsi czerpali wyłącznie z literatury francuzkiéj; dwóch lub trzech tylko, i to dopiéro przy końcu okresu, przekładać zaczęło Anglików i Niemców. Okres ten, zakończył się między rokiem 1824 a 1825. Wtenczas powstały i wykształciły się nowe talenta; literatura otrzymała nowy popęd i dążenie: owocześni pisarze i tłumacze, prędko zeszli z widowni literackiéj, a płody kilku znakomitych wieszczów, świetniejszy blask rzuciły na odrodzenie się poezyi polskiéj.

Ten okres naśladownictwa i tłumaczenia, obejmuje pisarzy, może zanadto uwielbianych z początku, a teraz skutkiem zwyczajnéj reakcyi, zanadto zapominanych, a nawet niesprawiedliwie ocenianych przez teraźniej-

szych krytyków, którzy, w chwalebnéj może, ale wzbytecznéj gorliwości, uważają tę epokę za straconą dla naszego języka; a zamiast przyznać, że ona była nieuchronną wynikłością kolei i stanu kraju naszego, że była epoką przejścia do wyższéj sfery, gniéwają się na pisarzy ówczesnych, za złe im poczytują, że byli tłumaczami i naśladowcami, a nawet ich obwiniają, że przez te prace swoje, opóźnili postęp literatury ojczystéj.

Im bardziéj oddalamy się od téj epoki, tém bliższa jest ta chwila, w któréj znajdzie się bezstronny i żadnemi względami niehamowany sędzia, który naszym autorom zasłużone miejsce naznaczy. On wskaże, że wszystkie wypadki w życiu narodu, czyto jego dziejową, czy naukową stronę uważać będziemy, są w ścisłym i nieuchronnym związku z przeszłością; tak dalece, iż możnaby nawet z matematyczną pewnością obrachować ich następstwa. Takito bezstronny sędzia, nie odrzuci z pogardliwém milczeniem, albo z jaką szyderską wzmianką prac tych pisarzy, którzy przez długi czas zastępowali przekładami, brak oryginalnych tworów; skarby obcych narodów przystępnemi czynili dla współziomków swoich, a czystym i harmonijnym wiérszem, wykonywając tę pracę, zachęcili może i wywołali, z grona ówczesnéj młodzieży, nie jednego z następnych oryginalnych poetów.

Już przy końcu tego naśladowczego okresu, żył i pisał zmarły w roku przeszłym, Dominik Lisiecki, którego pamięci i pracom literackim ten artykuł poświęcamy. Głównie zajmował się tłumaczeniami. Przekład Nieszporów sycylijskich, tragedyi Kazimiérza Delavigne, i Dumania poety Lamartina, ogłoszone drukiem. Dał na scenę warszawską, tłumaczenie komedyi Delavigne: „Szkoła Starców" i komedyą przełożoną z francuzkiego „Niestały."

W rękopismach zostawił przekład tragedyi „Śmierć Cezara" Woltera, na teatrze Wileńskim, w r. 1821 grany, i Policukta tragedyą Kornela. Oprócz tego, był tłumaczem i naśladowcą kilku pomniejszych sztuk teatralnych, zalecających się dowcipnemi i lekkiemi śpiewkami. Należał w czasie między rokiem 1819 a 1821, do wydawania peryodycznych pism: „Tygodnik Polski" i „Wanda", pospołu z Brunonem hr. Kicińskim, redagowanych. Dowcipny i zabawiający w owym czasie Warszawę „Momus" Żółkowskiego, w sposobie dodatku, przy obu tych pismach wychodził.

Przekłady: Nieszporów sycylijskich, Dumań poety, i Szkoły starców, stanowią główną Dominika Lisieckiego zasługę, i mieszczą go w rzędzie znakomitych naszych pisarzy; wierność tłumaczenia, czystość języka, moc połączona z gładkością, są ich znamieniem. Temi zaletami, szczególniéj odznacza się przekład Lamartina. Dumania poety, zrobiły wielkie wrażenie we Francyi, i były piérwszym hasłem, do przejścia w literaturze tego narodu, z dawnych form i rutyny ośmnastego wieku, do nowych idei i nowéj szkoły. Styl ich świetny, polotny, pełen niezwykłych a zawsze trafnych i pięknych wyrażeń i zwrotów. Myśli filozoficzne i religijne, poetyckim oddane językiem, niemałe trudności tłumaczowi stawiały. Lisiecki zwalczył je szczęśliwie. Ta jego praca, już dawno w księgarniach wyczerpana, mało jest znaną tegoczesnym czytelnikom. Przytaczamy z niéj obszerniejszy wyjątek, jako dowód pięknego talentu tłumacza.

WIARA.

O niezgłębna nicości, ty jedyny Boże!
Którego śmiertelnika rozum pojąć może:

Czemu twa otchłań, ludzi wieczyście nie chłonie?
Jak mocnym snem na twojém spoczywałem łonie!
Jeszczebym się z wiecznego uśpienia nie zbudził,
Ni światłem nienawistnym oczy moje trudził.
Długiéj nocy spokojne kryłyby mię cienia;
Szczęśliwy! snu bym nie znał, nie znał przebudzenia!
Lecz żyję—Niebo chciało.....napróżnobym przeczył,
Tak jest, żyję, niestety!—bym życiu złorzeczył!
Ta jednak piérwsza zorza, ten jéj promień złoty,
To niepewne ocknienie wątpliwéj istoty,
Ten przestwór obcym dla mnie będący widokiem,
Niebo, które ciekawém zapytuję okiem,
To próżne zachwycenie, te nadziei zdroje,
Jeszcze w progu istnienia rażą oczy moje.
Świecie! w którym żyć będę z przeznaczenia woli,
Witaj świadku przyszłego szczęścia lub niedoli!
Witaj święta pochodnio! matko przyrodzenia
Słońce! piérwsza miłości wszelkiego stworzenia;
Świetne niebo! mieszkanie Stworzyciela świata:
Ziemio! kolébko ludzi, w rozkosze bogata,
Śmiertelny, mnie podobny! ty milsza z widoku,
Droższa sercu mojemu, przyjemniejsza oku!
Witajcie! przez was poznam chwil ziemskich rozkosze,
Pełnijcie przeznaczenia, serce wam przynoszę.

Jakże ten sen jest świetnym, lecz jest snem, niestety!
Niedawnom począł zawód, już dobiegam mety;
Boleść grób mi otwiéra, i życie umniejsza:
Witaj chwilo ostatnia, chwilo najpiękniejsza!

Tak jest, żyłem, przetrwałem doli méj niestatek.
Zawsze pod krokiem moim każdy zwiędnął kwiatek,

Zawsze igrając ze mną nadzieja niestała,
W niepewnych mi przestrzeniach szczęście wskazywało;
Zawsze okrutnéj śmierci gorejące tchnienie,
W ustach moich żywotne niszczyło strumienie.
Niech inny gdy go w żalu opuści odwaga,
Chwil zbiegłych, od przeszłości zwrotu się domaga;
Na zwiędłe kwiaty wiosny niech z żalem spogląda,
Niechaj życiem powtórném, żyć na nowo żąda.
Ja zaś, chociażby niebo obdarzyć mię chciało
Tronem świata całego, gieniuszu chwałą,
Choćby mi los bogactwa z mądrością przeznaczył,
I w niezmiennéj młodości utrzymywać raczył;
Nie chcę o dzień być młodszym, owszem kończyć wolę
Pielgrzymkę na tym świecie, na tym łez padole:
Na tym świecie, gdzie wszystko zniknie i przeminie,
Gdzie wszystko, pamięć nawet, omdleje i zginie,
Gdzie wszystko jest niepewném, znikomém, niestałém,
Gdzie dla dnia pomyślności jutra już nie miałem!

Raz zdradzony istnieniem, w dniach w nieszczęścia płodnych,
Nazawsze się nadziei wyprzysięgam zwodnych;
To znów, gdy burzom siły strudzone nie starczą,
Umysł mój zimnéj cnoty zastawia się tarczą.
Znów go zajmuje mądrość Zenona wątpliwa.
Wtenczas płaszczem stoickim niemoc swą okrywa;
Czasem już obojętny, gdy los się nie zmienia,
By uzyskał spokojność wzywa zapomnienia....

Czém jesteś duszo? ogniu dręczący człowieka!
Czyli cię dalsze życie i męczarnia czeka?
Tajemnicza istoto! gdy to ciało rzucisz,
Do wielkiéj dnia pochodni nazad-li powrócisz?

Może jest twojém źródłem silny słońca płomień?
Możeś ty iskra jego, lub zbłąkany promień?
Może też umiérając razem z śmiertelnemi
Czystszym tylko niż oni jesteś płodem ziemi?
Jesteś gliną myślącą, ożywionym pyłem!
Lecz co widzę? tą mową znów cię zatrwożyłem.
Niezdolna znieść nicości, losom się opiérać,
Niestety! żyć się lękasz, lękasz się umiérać!—

Któż cię zdoła odgadnąć straszna tajemnico!
Tak wielką przenikłością mędrce się nie szczycą.
Każdy z nich z ułomnością człowieka się rodzi,
Wysoki więc ich umysł wątpliwość uwodzi.
Gromadząc iskry światła starożytnych wieków,
Sokrates chciał ją zgadnąć w wiośnie chwały Greków;
Nie pokonał trudności i umysł Platona,
Choć tysiąc lat ubiegło i mój nie pokona: —
Tysiąc jeszcze ubiegnie, téjże nocy mrokiem,
Przed późnéj potomności kryć się będziesz okiem.
Trudną prawdę wieczyste zasłoniły cienie,
Sam Bóg tylko połącza rozpierzchłe promienie.

Jako! gdy szybkim krokiem ku grobowi spieszę,
Żadną się już przyszłości nadzieją nie cieszę,
Duch mój, bez przewodnika, światła i pomocy,
Przejdzie w ciemną noc grobu, z tego życia nocy?
W drugi świat, przed najwyższą poniesie istotę,
Nieszczęścia bez nagrody, bez nadziei cnotę?
Odpowiédz Boże srogi! jeźli jesteś w niebie!
Mam-li nieszczęsne prawo narzekać na ciebie?
Wyrobnik za trud dzienny, za staranną pracę,
Spocznie w chłodzie wieczorem i odbierze płacę;

A ja że ciągłe walki z nieszczęściami wiodę,
Kończąc dni opłakane, w śmierci mam nagrodę!

Lecz gdy tchnący bluźnierstwem, okryty żałobą,
Z okiem na grób zwróconém, łzy leję nad sobą;
Jakby słodkie wspomnienie wiara się ocuca,
Na bladą przyszłość moję blask nadziei rzuca:
Zziębłego w cieniu śmierci ożywia, zagrzewa,
I w ciało wiekiem słabe młodość duszy wlewa.
W blask téj boskiéj pochodni cofam się radośnie,
Od jesieni dni moich, ku jéj miłéj wiośnie.
Przeglądam bez trudności przyszłość świata ciemną.
Wszystko ścisłym porządkiem łączy się przedemną.
Wskazując mi obecność, cień przyszłości znika;
Za mną bramę nicestwa nadzieja zamyka;
A otwarłszy widokrąg przed okiem zdumioném,
Trudną życia zagadkę rozwiązuje zgonem.

Wiara na mnie niestety, czekała przy grobie!
Pamiętam: w progu życia już ją czułem w sobie.
Nieśmiertelne dziedzictwo, obiecaną ziemię,
Wiek podaje wiekowi, plemieniowi plemię.
Odbiéra ją natychmiast z piérwszém tchnieniem dziécię,
Jako błogi dar nieba, jak światło, lub życie.
Ten ogień w serce jego, gdy na świat się rodzi,
Jako pokarm dla duszy z ust matki przechodzi.
W życia jeszcze poranku przejmuje człowieka
Blasku jego pochodnia; rozumu nie czeka.
Drobne dziécię, probując zdolności mówienia,
Już święte hasło wiary wcześnie wyszeptenia;
A chowane przy matce w niewinnéj prostocie
Czuje, że wzrasta równo tak w wierze jak w cnocie.

O! gdyby prawda ziemi udziałem być miała,
Bez wątpienia te proste cechy odebrała,
Bez wątpienia winnaby, gdy w każdym widoku
Od młodości naszemu przedstawia się oku,
Niebieskiego płomienia podobna iskierce,
Od przedmiotów przejść w umysł, a z umysłu w serce.
Winnaby duszy naszéj zewsząd się udzielać,
Połączać się z wspomnieniem, w obyczaje przelać;
Winna jak płodne ziarno, które zima chłonie
Długi czas, wprzód nim zejdzie, w naszém wzrastać łonie.
A gdy przebędziem lato, płodne w burze, troski,
Nieśmiertelności naszéj wydać owoc boski.

O słońce które światu jaśniejesz wyższemu!
Tajemniczego światła użycz oku memu!
Zstąp od Boga, promyku darzący pokojem,
Gwiazdo ożywiająca wznieś się w sercu mojém!
Tobie już tylko ufa nad grobem stojący.
Opuszcza mię w ciemnościach rozum bledniejący,
Rozum niegdyś tak dumny! Siły pozbawiona
Blasku jego pochodnia, razem z życiem kona.
Jasności! która niebios oświécasz podwoje,
Zastąp ją, dniem pogody obléj oczy moje!
Jako gwiazda wieczoru na niebios błękicie,
Lub jak słońce przyświecaj kończącemu życie!

Przekład Szkoły Starców, z oklaskami był przyjętym na teatrze warszawskim. Rzecz sama, może nie dość komiczna, liczy się przecież do pięknych tworów tegoczesnéj literatury, a tłumaczenie odznacza się poprawnością, wiernością i gładkim wiérszem. Z téj pracy Lisieckiego, dotąd w rękopiśmie zostającéj, przytaczamy wyjątek:

SZKOŁA STARCÓW.

Komedya. Akt piérwszy. Scena piérwsza.

DANWIL, BONAR.

Bonar.

Ach! jaką czuję rozkosz, gdy po latach wielu,
Znów cię mogę uściskać dawny przyjacielu!

Danwil.

Skorom wczoraj tu przybył, natychmiast znać daję....

Bonar.

Danwilu!

Danwil.

Już w Paryżu na zawsze zostaję.

Bonar.

W Paryżu! z jakich przyczyn i w jakim zamiarze?
Nie pojmuję, żartujesz sobie.

Danwil.

Nie, Bonarze!

Bonar.

Ty morski przedsiębierca, znacznych dóbr właściciel,
Hawru, gdzieś się urodził, nieodmienny czciciel,
Czy przestałeś go lubić?

Danwil.

O! miasto swobodne!
Było moją kolebką: powietrze łagodne,
Rozkoszne okolice, piękne położenie!
Jeden Konstantynopol z nim zarówno cenię.

Bonar.

Z jakiego więc powodu w Paryżu osiędziesz?

Danwil.

Oto!... wprzód daj mi słowo że się śmiać nie będziesz.

Bonar.

Mów śmiało.

Danwil.

Oto...

Bonar.

Cóż więc?

Danwil.

Otom się ożenił.

Bonar.

Widziałem żeś się wahał, żeś się zarumienił:
I zgadłem; druga żona!

Danwil.

Przykro żyć samemu.

Bonar.

Lat sześćdziesiąt!

Danwil.

I więcéj,—nie zaprzeczę temu.

Bonar.

Powinieneś był, jako przyjaciel otwarty,
Donieść mi.

Danwil.

Tak, ażebyś stroił sobie żarty.

Bonar.

Żona ma lat czterdzieści zapewne?

Danwil.

Nie tyle.

Bonar.

Przynajmniéj ze trzydzieści?

Danwil.

Jeszcze nie.

Bonar.

Więc ile?

Danwil.

O! jéj cnoty, powaby jakże ci określę!
Dość, że młodszym się czuję kiedy o niéj myślę.
Ojciec jéj, owdowiawszy opuścił ojczyznę,
A po najdroższéj żonie, jedyną spuściznę
Anielę, wychowała pani Senkler, wdowa,
Blizka krewna; kobiéta przystojna, światowa,
Wesoła, nieco żywa; mimo swoje lata
Niezdolna się oderwać od powabów świata.

Wreszcie, zbyt uprzedzona córki wielbicielka,
Jeśli miłość jéj zalet, może być zbyt wielka.
Skorom poznał Anielę, mych uczuć przedmiotem
Stała się. Odwiédzam ją często, częściéj potém,
Nawet co dzień, i żwawo kończę rzecz zaczętą.
Drżałem, aby lat moich pod krédkę nie wzięto.
Lecz dostrzegłem, że próżna trwoga mię uwodzi,
Że z wdzięczności, z szacunku i miłość się zrodzi;
Że hymen trwogę moję w trwałe szczęście zmieni,
Łącząc kwiaty wiosenne z kłosami jesieni.
Zaślubiłem Anielę. Krewna mojéj żony
Czuje do samotności jakiś wstręt wrodzony.
Mój dom stał się jéj domem; zgadłem tajemnicę,
Że obiedwie pragnęły odwiedzić stolicę,
Że powietrze nadmorskie zdrowiu ich nie służy.
Usilnemi prośbami skłaniam do podróży.
Skłoniłem. Jadą obie. Mnie przez kwartał cały,
Jak na złość, różne sprawy w Hawrze zatrzymały.
Przecież wczoraj przybyłem; zaledwie przywitać,
Zaledwie czas znalazłem o zdrowie zapytać,
Żona bowiem na dworski teatr miała lożę;
Mógłżebym jéj zabawom przeszkadzać? broń Boże!
Była więc na teatrze; ja gdy sam zostałem,
Dla rozrywki mieszkanie nasze oglądałem.

Bonar.

To jest dom księcia Delmar?

Danwil.

Tak.

Bonar.

Wiedzieć wypada,
Iż w Ministeryum Skarbu jego stryj zasiada,
Dziedzic w moim obwodzie: pewno świadom będzie,
Żem jest dziekan poborców, najstarszy w urzędzie.
Książę ma znaczne wpływy, jest człowiekiem modnym.

Danwil.

W domu tym, bardziéj wielkim niżeli wygodnym,
Zajął na piérwszém piętrze wspaniałe pokoje.
Ja, filozof, na drugiém dosyć nieźle stoję.

Bonar.

Świetnością i zbytkami jesteś otoczonym;
Małom cię nie powitał „Jaśnie Oświeconym".
Ale.... jakżeś zostawił syna?

Danwil.

Od jesieni,
Tak, od jesieni przeszłéj, żyjem rozłączeni.
Jego żona jest młoda, i moja jest młoda:
A nawet młodsza nieco; mogłaż zostać zgoda?
Mogłyż wspólnie zamieszkać, wspólnie rządzić obie?
Dom powinien na jednéj polegać osobie.
Aniela lubi.... ja sam lubię świetne życie,
Syn mój, nad wszystko, ciche przenosi ukrycie.
Dziś żyje jak zamknięty. Lecz kocham go stale.

Bonar.

Jednak go nie widujesz? tego nie pochwalę,
Nie pochwalę; bo skoro przestałeś mu radzić,
Może go los zdradliwy w nieszczęście wprowadzić.
Nie dobrze gdy o synu ojciec zapomina!
Ja właśnie znam twojemu podobnego syna,
Którym się, jak ty, ojciec mało opiekował.
Cóż ztąd? zabrakło w kassie, bo syn źle rachował.
Dziś go czeka niesława; w tak ciężkiéj przygodzie
Znalazłby wsparcie w ojcu, gdyby z nim był w zgodzie.
Ale gdy ich domowa poróżniła zwada,
We mnie tylko ostatnią nadzieję pokłada.
Czyli tysiąc dukatów możesz mi pożyczyć?

Danwil.

Sama ci żona moja zechce je wyliczyć.
Przy niéj kassa.

Bonar.

Wybornie. Wcześnie to wyrobię,
Że jéj oddam w obwodzie następstwo po sobie.
Twoja żona! O! kiedym z tobą się rozstawał,
Tyś mi się przyjacielu rozsądniejszym zdawał.
W cieniu drzew rozłożystych, na rodzinnéj ziemi,
Zajmowałeś się wtenczas włościami twojemi.
Przededniem już na nogach; ciągle cię dręczyła
O dobro gospodarstwa niespokojność miła.
Przyjąć kogo, odwiedzić, nigdyś nie był łatwy;
Zjeść smaczno, wypić dobrze, strzelać kuropatwy,
Wieczorem grać w pikietę, gdy złe karty miałem,
Było twoją uciechą, twojém szczęściem całém.
Dziś mieszkaniec stolicy, otoczon zbytkami!
Spasły szwajcar na straży stoi przede drzwiami!
I po co? tak się twojéj żonie spodobało.

Danwil.

Anieli? Przy mnie władzę pozostawia całą.
Lecz mniema, żem powinien mieć w świecie znaczenie.
Że mogę, do zdatności łącząc dobre mienie,
Jeśli już nie najwyższe osiągnąć zaszczyty,
To przynajmniéj sprawować urząd znakomity.
Może ta jéj nadzieja w skutek się zamieni,
I rad jestem, że tyle zdatność moję ceni.
Cóż ty na to?

Bonar.

Nic.

Danwil.

Przecie?

Bonar.

Ja wynurzam zdanie
Wtenczas, kiedy rzecz jaka jeszcze się nie stanie.
Taki jest mój systemat; lecz gdy się co stało
Przez systemat, rzecz każdą mam za doskonałą.

Usłużni przyjaciele zawsze się nadarzą,
Co chociaż nie proszeni małżeństwa kojarzą.
Oni i dla mnie żonę wynaleźli młodą,
Tak uczoną jak książka: z majątkiem, z urodą,
Nawet krewną ministra. Przyznałbyś, iż ona
Jak gdyby naumyślnie jest dla mnie stworzona.
Odmówiłem.

Danwil.

I jakie miałeś w tym powody?

Bonar.

Bo jest młoda, bo piękna.

Danwil.

Odkądże wiek młody
Między odstręczające policzasz przywary?

Bonar.

Od czasu, jak poznałem że jestem już stary.
By dobrane małżeństwo uwieńczyła stałość,
W mojéj żonie chcę znaleźć poważną dojrzałość.
Zbyt stara, nie ma dla mnie ponęt; a wzajemnie
Młoda, żadnychby ponęt nie znalazła we mnie.
Cóżby do ślubnych związków przywieść mię zdołało?
Bezżeństwo moją drugą naturą się stało.
I co dzień się utwierdzam w zamiarze niezmiennym:
Żyć bezżennym jak dotąd, i umrzeć bezżennym.

Danwil.

Nie wiész, że i małżeństwo ma słodycze swoje!

Bonar.

Lecz ma i mnogie troski, tych właśnie się boję.
Nie jestem z owych liczby, co chętnie z rozkoszą,
Zgryźliwego ojcostwa słodkie trudy znoszą;
Co długo wśród dostatku cierpiąc niedostatek
Chełpią się, że to czynią dla szczęścia swych dziatek:
Z liczby tych, co blednieją, kiedy ma na oku
Lada młodzik, siedzące żony przy ich boku.

Tych, co więząc świętoszki zdradzić ich gotowe,
Nieustanną zazdrością suszą sobie głowę.
Nigdy snu nie opóźnię, lub nie śpię za mało,
Że się żonie do świtu tańczyć spodobało.
Nie trwonię zbiorów moich na wymysły mody,
I zawsze od wydatków, większe mam dochody.
O drugiéj jadam obiad; to utwierdza zdrowie:
A tak żyjąc jak nasi żyć zwykli przodkowie,
Cztéry razy jem na dzień. Nie czekam zgłodzony
Na córki toaletę, lub na rozkaz żony.
Wszechwładnie w ręku moim trzymam rządu wodzę;
Kiedy chcę idę z domu, kiedy chcę przychodzę.
Ja sam jestem dla siebie panem, przyjacielem,
Kochankiem, starań moich sam mogę być celem.
O bezżeństwo, bezżeństwo! z tym swobodnym stanem
Cóż w hymenie mogłoby słusznie być równaném?
Godzien jestem zazdrości żem nie pojął żony;
Słowem, czy to mieszczanin świéżo uszlachcony,
Poeta co laur zyskał, generał co pobił,
Bankier który na giełdzie w dwójnasób zarobił,
Każdy próżno odemnie szczęśliwszym się mniema,
A nawet i sam cesarz, chyba żony nie ma.

Danwil.

Ja zaś biorąc na siebie małżeństwa obronę
Twierdzę, że najszczęśliwszy kto poślubił żonę:
Kto wprzód w smutném bezżeństwie długo zagrzebany,
Słodkie, których się lękasz, przyjmuje kajdany.
Kocha,—powstaje z grobu; wraz z chwilą godową,
Pochodnia życia mego zabłysła na nowo.
Nie żyłem; z martwém sercem, z zasępioném czołem,
Wiodłem byt odrętwiały: teraz żyć począłem.

Ileż przyjemnych rozmów, ile starań, względów?
Zbłądzi i ona, powiész: któż wolny od błędów?
Rozumiész że przyjacioł dawnych postradałem?
Mam ich dwa razy więcéj, niźli piérwéj miałem.
Przeciw zbytkom Anieli słyszę głos potwarczy:
Gardzę nim, mój majątek na większe wystarczy.
A wiedząc że tajemnie ociéra łzy nędzy,
Nie żałuję wydanych na stroje pieniędzy.
Żona moja jest żywa, i ja jestem żywy:
Choć do gniéwu da czasem powód sprawiedliwy;
Rozbroi go dobrocią; a tak jest wesoła,
Że w największém zmartwieniu pocieszyć mnie zdoła.
Jestem sam, wnet przybiega. Gdy chodzim oboje
Bawi mnie i mdlejące wspiéra siły moje.
Mam przecie kogoś w domu, co w troskliwéj pieczy
Dręczącéj mnie podagrze wraz ze mną złorzeczy.
Mam przecie kogo w domu, co z sercem ochoczém
Zawsze mię słuchać gotów, gdy rozprawiam o czém.
Dumny jestem z jéj wdzięków: kogoż nie zachwyca
Urok jéj pięknych oczu, i świéżość jéj lica?
Gdy mi rano ta gwiazda przyświeca wesoło,
Już potém do wieczora mam pogodne czoło.
Nie pomnę że czas zwykłe zrządził we mnie szkody;
Kocham, ona mię kocha, jestem znowu młody.

Bonar.

Jaki ogień!

Danwil.

Dziś w wieczór przy wspólnéj rozmowie,
Musisz ze mną Bonarze spełnić mężów zdrowie.
Przymuszę cię do tego; wszak jadasz wieczerzę?
I ten zamiar staraniu Anieli powierzę.
Wyszło z mody wieczerzać; szkoda, wielka szkoda:
Od niéj nowa wieczerzy rozpocznie się moda.

Miło przy nich rozmawiać w przyjacielskiém kole.
Aniela między nami usiądzie przy stole.
Skoro poznasz jéj wdzięki, jéj postać przyjemną,
Należne uwielbienie dzielić będziesz ze mną.
Obojętnością serca naprożno się chlubisz,
Bonarze, tak Bonarze i ty ją polubisz!

Lisiecki Dominik, wolne tylko chwile od obowiązków swoich, poświęcał literaturze. Pochodził z familii oddawna w Podlasiu zasiedziałéj. Urodził się w dniu 6 stycznia 1801 r. W domu rodziców, a późniéj w liceach sejneńskiém i warszawskiém, pierwiastkowe ukształcenie przyjąwszy, w r. 1818 przeszedł na uniwersytet warszawski. Pozyskawszy w téj głównéj szkole stopień magistra prawa i administracyi, w r. 1821 rozpoczął zawód służby publicznéj. Przez lat trzynaście, był urzędnikiem w Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu. Dosłużył się stopnia naczelnika wydziału w Dyrekcyi Generalnéj Kontrolli, i na téj posadzie lat kilka zostawał. Wykładał chwilowo kurs nauk administracyjnych, w byłéj szkole leśnéj; odznaczając się wszędzie znakomitą zdolnością, pracą, gorliwością, nieskazitelnym charakterem i znajomością przepisów służby skarbowéj. Oddają mu to świadectwo wszyscy dawni kolledzy. W r. 1833 usunąwszy się od prac biurowych, osiadł na wsi, w majętności własnéj; lecz i w tym nowym, może nieodpowiednim sobie, zawodzie rolnika, nie przestawał być użytecznym. Zaufanie współobywateli, powoływało go przez lat 14, do urzędów w głównych władzach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, to jest w dyrekcyi i komitecie. Brał czynny udział przy odnowieniu w r. 1838, prawa, o Stowarzyszeniu Kre-

dytu Ziemskiego; a poprzednie oznajmienie się z administracyą i skarbowością kraju, sprawiło, że był przez długi czas, jednym z najpracowitszych i najgorliwszych w tém stowarzyszeniu członków.

A tak, zmarły Dominik Lisiecki, czyto jako pisarz, czy jako urzędnik i obywatel, zasłużył na żal i piękne wspomnienie. W dniu 15tym kwietnia r. z., zgasł zawcześnie, przeżywszy lat 45. Zwłoki pochowane w kotakumbach powązkowskich.

F. S. D.

WSPOMNIENIE

o dwóch odrębnych malarzach Kopeckich, jednym rodem Węgrze, innym Polaku.

PRZEZ

Edwarda bar. Rastawieckiego.

Jan Kopecki czyli raczéj *Kupecki*, a jak go Niemcy piszą *Kupetzky*, przyszedł na świat roku 1666 w Węgrzech w Pössing. Ojciec jego był tkaczem, i syna do swego rzemiosła przeznaczał; lecz piętnastoletni młodzian uciekł od warsztatu, i puścił się w świat żebrząc na życie, dopóki się nie dostał w Lucernie do malarza Klaus. Wkrótce uczynił w sztuce niezmierne postępy, tak, że o wiele mistrza swojego przeszedł. Ztąd udał się do Wiednia, potém do Wenecyi, wkońcu do Rzymu, celem doskonalenia się dalszego. Głównym przedmiotem prac jego były portrety, z których znakomitéj wziętości i sławy dostąpił. W Rzymie zatrudniał go wiele królewicz polski Alexander Sobieski; między innemi robił portret króla Jana III. Po 22letnim pobycie w Rzymie, na zaproszenie księcia Adama Lichtensteina, wyjechał do Wiednia. Wielce ceniony przez cesarzów Józefa I,

Karola VI i Piotra W., mnogie obstalunki od nich i różnych panów niemieckich otrzymywał, a mając niezwykłą łatwość, bo w jednym dniu do dziewięciu głów był w stanie odrobić, znaczne z prac swych odnosił korzyści. Będąc gorliwym wyznawcą sekty braci czeskich, z tego zaś powodu prześladowany w Wiedniu, wyniósł się z rodziną do Norymbergi. Tutaj osiadłszy ciągle pracował, mnóstwo otrzymując coraz nowych obstalunków. Ku schyłkowi życia, doznał nieszczęścia w stracie syna Jana Chrystyana Fryderyka, młodzieńca 17 letniego, pełnego nadziei i już w malarstwie przy ojcu usposobionego. Ten cios tak mu był dotkliwym, iż od zmysłów niemal odchodził, a w lat kilka potém sam na podagrę umarł r. 1740, złożony w ziemię prawie kryjomo, bo jako brata czeskiego, nie chciało go duchowieństwo za członka kościoła uważać. Był przecie człowiekiem prawym, w ostatniéj zaś woli, dla biédnych i uczącéj się niezamożnéj młodzi, hojne zapisy poczynił. O życiu jego bardzo wielu pisało; między innymi Fuessly, Dlabacz, Jäck, a ostatecznie za tamtymi G. H. Nagler (Neues allgemeines Künstler-Lexicon. München, 1839, VII, 214—216). Z powyższego treściwego zarysu jego żywota, okazuje się, iż rodem będąc z Węgier, ciągle we Włoszech i Niemczech bawił i tamże pracował; iż w Polsce ani był urodzony, ani nigdy nawet czasowo nie przebywał: tyle tylko, że dla polskiego królewicza w Rzymie malował. Chęć przeto przywłaszczenia go sobie jako Polaka, tak dalece byłaby nam niewłaściwą, jak jest dla Niemców śmiesznością wywodzenie iż Kopernik był Niemcem.

Piérwsza pani Hofmanowa z Tańskich, w Podróżach po Niemczech dla dzieci napisanych, wspomniała, że *Ko-*

pecki jest Polakiem w Korsuniu urodzonym. Powtórzył tę wiadomość pan S. w Przeglądzie Naukowym warszawskim, z r. 1845, II, 577, twierdząc, że *Jan Kopecki* jest nasz współziomek, w Korsuniu, przedtém miasteczku, dziś wsi nad rzéką Rosią leżącéj, r. 1667 urodzony. Żałować przychodzi, iż tak pani Hofmanowa jak pan S., nie wskazali źródła, zkądby o tém pochodzeniu *Kopeckiego* dowiedzieli się, gdyż przez to wątpliwość dzisiejsza byłaby może od razu rozjaśnioną.

Atoli w galeryi króla Stanisława Augusta znajdował się bardzo pięknie wykonany portret, słynnego wówczas jubilera Dinglingera w Warszawie, przez malarza nazwiskiem *Kopeckiego* malowany. Przedstawiony jest w sukni ciemnéj, futrem wyłożonéj, i czapce futrzanéj. Kiedy po elekcyi król Stanisław miał być koronowany, ów Dinglinger otrzymał polecenie zrobienia do tego obrzędu korony, braknące zaś do niéj elektowi klejnoty, własnemi na czas zastąpił. Król lubiący posiadać wizerunki osób bliżéj mu znanych, lub którym był obowiązany, kazał odmalować portret jubilera, i takowy w galeryi swéj zamieścił. Późniéj przeszedł on na własność księcia Józefa Poniatowskiego, i w galeryi jego przez starego dworskiego bywał okazywany, jako dzieło krajowego malarza *Kopeckiego*, który mu był osobiście dobrze znany. Następnie portret ten nabyty został przez generała Xawerego Kosseckiego, i obecnie w szacownym jego zbiorze obrazów znajduje się. W galeryi kasztelana Józefa hr. Ossolińskiego był inny przez tegoż artystę malowany portret, równie pięknie wykonany, jakiegoś rzeźnika z Pragi, z którym pozostawał malarz w stosunkach przyjaźni, i u niego nawet miał na Pradze mieszkanie. Ma na głowie dużą futrzaną czapkę, a z ogromnéj fajki ty-

tuń pali. Portret ten takoż nabyty został przez gen. Kosseckiego, i do celniejszych obrazów jego zbioru należy. Wiadomości powyższe w pamięci osób współczesnych przechowane, i z ust ich pochodzące, zdają się dowodzić, że w początkach już panowania Stanisława Augusta, był w Warszawie artysta wielce znamienity, nazwiskiem *Kopecki*. Że to nie mógł być ów Węgier *Jan Kupecki* widoczną jest rzeczą, gdyż tamten roku 1666 zrodzony, w późnéj starości, roku jeszcze 1740 zszedł był z tego świata. Musiał być więc inny, Polak, może urodzony w Korsuniu, bo wszakże i rodzina imienia Kopeckich osiadłą jest w kraju naszym. Gdy tedy dwa jego dzieła w Warszawie dziś widzialne, niepośledniego odznaczają artystę: godną byłoby rzeczą wykrycie dalszych wiadomości o jego życiu, gdzie i pod kim tak się usposobił, co się z nim daléj stało, i jakie inne wykonywać mógł obrazy. To co o nim i jego pracach dowiedzieć się zdołałem, z opowiadania jedynie współczesnych było wyczerpane; gruntowniejszych trzebaby jeszcze dowodów. Ogłaszając com wyśledził, wynurzam życzenie, ażeby kto wiadomość tę uzupełnić zechciał; a tak dziedzina sztuk pięknych krajowych wzbogaconą zostanie o jedno znakomite, lubo niewiadomo dlaczego, w ukryciu dotąd zostające imię.

Pisałem w Warszawie 8 marca 1847 r.

KRONIKA LITERACKA.

Codex diplomaticus Poloniae quo continentur privilegia Regum Poloniae Magnorum Ducum Lithvaniae, Bullae Pontificum, nec non jura a privatis data illustrandis domesticis rebus gestis inservitura, adhuc nusquam typis exarata, ab antiquissimis inde temporibus usque ad annum 1506 *editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczkowski Adjutoris Varsaviensis Tabularii Publici Regni Poloniae notis adornatus usque ad N^um CVII ab Antonio Sigismundo Helcel Juris utriusque Doctore. Tomus I. Varsaviae. Typis Stanislai Strąbski.* 1847, *in* 4*to. XXIII et* 367. *Regesta LXXII. Addenda et corrigenda.* 1—8.

Już niemal w swéj połowie będący wiek XIXty, przedstawiając z każdym prawie upływającym rokiem wielkie i nadzwyczajne wynalazki i odkrycia, tak szybko po sobie idące, że gdy zaledwie potrafimy myślą ogarnąć ich ważność i skutki, gdy jeszcze pozostajemy w osłupieniu, już nam nowe i bardziéj zdumiewające nastręcza; zdaje się, że i w dziedzinie nauk historycznych odrębną od innych wieków obrał sobie drogę. Zdążając ku spełnieniu swego zadania, pracuje najbardziéj około tego, jakby sobie uobecnić i ogarnąć prace upłynionych wieków, ażeby zbadawszy przeszłość, jak najdokładniéj oparty na pewnych zasadach, prowadził ludzkość do coraz wyższego udoskonalenia, jakie jéj Opatrzność na-

znaczyła. Ztąd też zwracając się do zjawisk jakie się nam okazują we względzie badań historycznych, widzimy dwa główne punkta, które w teraźniejszym wieku najbardziéj się przedstawiają wydatnie: rozumiemy tu skrzętne poszukiwanie i wydobywanie w ukryciu jeszcze zostających kronik, i ogłaszanie już prawie rozsypujących się aktów urzędowych czyli dyplomatów. Jakoż są to dwa najważniejsze źródła, z których daje się wyczerpnąć czyste i wyraźne pojęcie przeszłości; oba mogą ugasić gorące pragnienie badacza. Wszakże lubo tak jedno jak drugie prowadzi nas do jednego celu, tojest do wyświecenia stanu przeszłości, każde jednak z nich oddzielną w tym względzie postępuje drogą. Różnica i stosunek, jakie między niemi zachodzą, jest (jeżeli się tak powiedzieć godzi) prawie ten sam, jaki dostrzegamy między romansem historycznym a historyą, czyli dziejami. Jak romans historyczny przedstawia nam zdarzenia pod rozmaitymi względami, wdając się w opisanie drobnych szczegółów, tak również kronika opisując dzieje udziela je w związku z licznemi jéj towarzyszącemi okoliczności. Poważne zadanie historyi, nie dozwala jéj rozpatrywać się w szczegółach; dlatego pomija ona drobne wypadki, zbiérając samą treść najważniejszch dziejów, które wpłynęły na polepszenie lub pogorszenie bytu ludzkości. I akt urzędowy mający podać do potomności zwykle tylko jedną chwilę, jeden odrębny wypadek, nie wyłuszcza ciągu zdarzeń, nie przedstawia ich związku i następstwa. Suchą zatém jest osnowa aktu urzędowego i ogołocona ze wszelkiéj ozdoby, gdy tymczasem kronikarz opowiadając wypadki, może je barwić i krasić według zdolności swojéj. Nie podobna z gołéj treści jaką widzimy w dyplomatach, utworzyć sobie jasny obraz upłynionych wieków; kiedy przeciwnie uboczne okoliczności, błahe napozór wzmianki, zawarte w kronikach, są jakby pochodnią oświecającą zapadłą przeszłość. Ale w tych, mamy wyobrażone zdarzenia historyczne według zapatrywania się i sądu pojedynczéj osoby. Jeżeli przy opowiadaniu potocznych wypadków życia, rzadko poprzestajemy na świadectwie jedném, doświad-

czeniem nauczeni jak częstokroć jest niedostateczne, i jak w zupełnie odmiennem świetle okazuje się nam wypadek opowiedziany przez kilka osób; to również i powieść w kronice zawarta może się wydać stronniczą, a tém samém niezgodną z prawdą. Kronikarz uniesiony zbytnią przychylnością lub też pałając nienawiścią, mąci nieraz czyste źródło wypadków. Nie tak się rzecz ma z aktami urzędowemi czyli dyplomatami. Do układu takowych, używani bywali mężowie posiadający wysokie ukształcenie; spisywanie ich odbywało się w przytomności kilku lub kilkunastu osób piastujących godności i urzędy, lub odznaczających się swemi zdolnościami. Wypadki więc objęte i uwiecznione w aktach urzędowych nie są spisane według indywidualnego zapatrywania się pojedynczéj osoby, ale układane przy świadkach (praesentibus testibus fide dignis), po zasięgnieniu światłego zdania najznakomitszych osób i za zgodą tychże (communicato consilio cum principibus, praelatis, baronibus, proceribus et deliberatione praehabita), lub też całego zgromadzenia (cum consensu capituli), przedstawiają czystą i nieomylną prawdę. Nie można w rzeczy saméj zaprzeczyć, że dyplomata mając pewną przepisaną formę, będąc niejako ulane na jeden kształt, dają fałszerzom wypadków historycznych łatwość podrobienia podobnych aktów; a to tém bardziéj, że zamknięte w szczupłych granicach, opisują tylko fakt pojedynczy. Są to niejako podobizny (*fac similia*), które bez wielkiego mozołu naśladować się dadzą. Trudniejsza w tym względzie rzecz co do fałszowania kronik. Obszerność podobnego dzieła, różnorodne okoliczności, na które baczyć powinien jéj układacz, tworzą większą przeszkodę we względzie zmyślenia tychże, i dlatego nie tak łatwo może się ktoś pokusić i puścić na drogę fałszowania kronik.

Pominąć tu nie można, że przy fałszowaniu dyplomatów zwykle mógł zachodzić jakiś interes, korzyść jakiego zgromadzenia, lub też pojedynczych osób; kiedy przy fałszowaniu kroniki może grać rolę tylko chęć popisywania się z erudycyą lub niewłaściwym dowcipem. Fałszowali więc dyplomata Benedyktyni, fałszowali Bazylianie, czyniąc to *ad*

majorem Dei gloriam et ob conventus sui commoda, jak o tém niewątpliwe ślady zaświadczają (*a*). Być może, iż uwiedzeni przewrotną maxymą, że dla osiągnienia dobrego celu mniéj na środki zważać należy, przy nizkim stopniu oświaty wieków średnich, nie robili sobie wielkiego skrupułu z tak ohydnego postępku. Śmieszna chluba okazania starożytności swego rodu, stała się także powodem fałszowania dyplomatów (*b*). I właśnie téż takowe wywołały naukę dyplomatyczną, podającą sposoby, za pomocą których można odróżnić prawdziwe akta od podrobionych. Próżną więc byłaby obawa tych, którzyby mniemali, że łatwość fabrykacyi dyplomatów osłabia i podkopuje wiarę tychże aktów; albowiem nauka i długoletnia wprawa, zawsze potrafią zedrzéć maskę ohydnéj ramocie, która, podobnie jak wszelki występek, zostawia po sobie ślady prowadzące badawcze oko do wykrycia fałszu. Kraj nasz może się słusznie chlu-

(*a*) Znalzł się transumpt dyplomatu kardynała Idziego, pochodzący z czasów Bolesława Wstydliwego, z którego widać, że Szczygielski drukując akt z oryginału r. 1105 sporządzonego, pofałszował go w interesie klasztoru.

(*b*) Posłuchajmy co napisał dotychczas niedość oceniony, a nawet wyszydzony ś. p. Wal. Skor. Majewski, naczelnik archiwum głównego królestwa, od chwili uformowania tegoż aż do roku 1835, w rozprawie swéj: „O sztuce dyplomatycznéj" czytanéj na posiedzeniu publiczném Tow. Król. Warsz. Przyj. Nauk, na stronnicy 37 we względzie fałszowań dyplomatów. „Kraj dawnéj Polski, a mianowicie prowincya Ziem Pruskich, jak dzieła: *Historisch-diplomatische Beiträge* przez *Konrada Oelrichs* w Berlinie 1770 roku wydane karta 82; Konstytucya sejmu 1649; Vol. leg. IV, fol. 272, Titulo: Reces, i akta publiczne poświadczają, miały podobnych podrabiaczów, ale tylko nadań i przywilejów klasztorom i prywatnym służących, w czasie krajowych zakłóceń w latach 1645 do 1652, a to w osobach Stenzla, Janikowskiego obywatela ziemi Pomorskiéj, Krysztofa Unger, Kupnika, Korneliusza Wright i innych téjże ziemi mieszkańców, w Gdańsku połączonych. Janikowski wszystkiém kierował, Wright z powołania miecznik i obywatel gdański wyrzynał pieczęcie, Unger udawał starożytne głosek postaci, inni się trudnili tłumaczeniem i rozgłaszaniem wiadomości, o znalezionéj, jakoby przez książąt Pomorskich dawniéj do Szczecina uwiezionéj, a w roku 1569 przez kilku szla-

bić, iż we względzie pomienionych wyżéj dwóch źródeł historycznych, tojest kronik i aktów urzędowych, bogate posiada zasoby. Pomijając kronikarzy o których już „w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy" str. 547 wynurzyliśmy nasze zdanie, zwracamy się do aktów urzędowych. Nie zbywało Polsce na dyplomatach, bo ona była czasami nader piśmienna. Miały już być za Mieczysława I, jak twierdzi Paprocki; że były za Chrobrego nie ulega wątpliwości, bo Gallus mówi o umowach przez tegoż króla z cesarzem na piśmie zawieranych. To poginęły aż do XI wieku: znajdują się w transumptach w Pradze, o czém wspomnieliśmy już w Pierwotnych dziejach str. 542. Począwszy od XII wieku, napotykamy już wielką liczbę aktów urzędowych tak w oryginałach jako i w kopijach, transumptach, i w rozmaitych dziełach historycznych rozproszone. Ich zebranie, uporządkowanie i ogłoszenie drukiem, uważać należy za przedsięwzięcie najważniejsze w przedmiocie wyjaśnienia npłynio-

chty do zamku Mitterschein sprowadzonéj skrzyni, z samymi dyplomatami i przywilejami, którą Janikowski w piwnicy i zwaliskach tegoto zamku miał znaléźć. Wszyscy zaś do stosownego należeli zysku.

Dla nadania starożytnéj postaci pargaminom, papierowi, pieczęciom, sznurkom, użyto rozmaitéj do nacierania mniemanych dyplomatów mieszaniny; wędzono je w dymie i t. d.

Takowym sposobem podług zamówienia lub okoliczności ukute dyplomata i wszelkiego gatunku nadania, korzystając z powszechnéj nieznajomości sztuki dyplomatycznéj i przywiązanéj wiary do wszelkich bez braku starożytnych szpargałów, samym nawet do znania téj umiejętności z urzędu obowiązanym, drogo sprzedawali, zbogacili prywatne archiwa i pomnożyli spory sądowe. Późniéj nastąpione badania i ważne rozpatrzenia się w mniemanych pomnikach, fałsz odkryły. Okazał się świéżo wyrobiony pargamin, dostrzeżono pod warstwą okopconych sznurów nowości tychże; oznaki ówczesnych papierni na papierze, którego za materyał do odwiecznych dokumentów użyto: niezgodność postaci głosek z postaciami, które w wiekach odpowiadających istniały. Naostatek zeznania sądowe ujętych wspólników, wyjaśniły resztę.

Niémasz śladu o ukaraniu Janikowskiego; ówczesne zamieszania krajowe, rzecz tę pokryły niepamięcią."

néj przeszłości. Z pociechą więc powitaliśmy świeżo wyszły Kodex dyplomatyczny, w tytule na początku niniejszego artykułu przywiedziony. Nie piérwsze to zjawisko w naszéj literaturze. Już w środku zeszłego wieku bo w r. 1754, ksiądz pijar Maciéj Dogiel przejęty ważnością podobnego dzieła, przedsięwziął olbrzymią pracę, któréj owocem są trzy tomy in folio pod tytułem: *Codex diplomaticus Regni Poloniae.* Po nim, prawie po całowiekowym upływie czasu, zjawiły się znów dwa dzieła tego rodzaju, oba wydane staraniem ś. p. Edwarda hr. Raczyńskiego t. j. *Codex diplomaticus Majoris Poloniae,* Posnaniae, 1840 i *Codex diplomaticus Lithvaniae,* 1845; a w tym roku opuściło prasę drukarską dzieło wyżéj powołane.

Rozpatrzywszy się oddzielnie w każdym z tych dzieł i porównawszy je z sobą, nie wahamy się przyznać pierwszeństwa Kodexowi staraniem Leona hrabi Rzyszczewskiego ogłoszonemu. Okażemy to przy rozbiorze osnowy zawartych w tym dyplomataryuszu aktów urzędowych. Dyplomata objęte w Kodexie hr. Rzyszczewskiego, poczynają się od r. 1145 i idą do roku 1506. Ilość wszystkich wynosi 200 sztuk, a między temi większa liczba z oryginałów brana. Liczba aktów z wieku XIIgo dochodzi do liczby 6; większa jest zatém niż w jakimkolwiek innym kodexie; z wieku XIIIgo sztuk 86, z wieku XIV 58, z XV 45, z XVI sztuk 5.

Przy wszystkich dyplomatach obok podania treści, wskazane jest miejsce, gdzie się oryginał wydrukowanego dyplomatu znajduje; nadto opisane są zewnętrzne znaki dyplomatu, a mianowicie: czy jest opatrzony pieczęciami, lub czy téż takowych niedostaje; jakie są sznurki na których też wiszą, czy pargaminowe czy téż jedwabne? jaki wosk, jakie pismo? zgoła są tu wszystkie cechy stanowiące i dające poznać wiarogodność dyplomatu. Przy dyplomatach z XII, XIII i początku XIV wieku, załączone uwagi historyczne, prawne, krytyczne lub téż wskazane bliżéj położenie miejsc w dyplomatach nadarzających się, usuwają trudności, jakie zwykle akta urzędowe z owych wieków nastręczają. Kommentarze te wypracowane przez Z. A. Helcla

Dra O. P., nie są to owe uczonością przesadzone uwagi, jakie napotykamy w dziełach niemieckich, a które zamiast objaśnienia textu, utrudzają jego pojęcie; ale są to odwoływania się do naszych kronikarzy i historyków, zawierające w sobie objaśnienia lub sprostowania tychże, nadto krótkie cytaty z statutów i praw krajowych, niemniéj postrzeżenia zwracające uwagę badacza na najważniejsze okoliczności, niedość jeszcze wyjaśnione w dziejach krajowych piérwszych wieków. Przy dalszych dyplomatach wieku XIV, XV i XVI, nie widzimy już obszernych kommentarzy; ale zdaniem naszém takowe mniéj tu już okazują się potrzebnemi. Dostateczną jest rzeczą, kiedy tylko dyplomata skrupulatnie i z wszelką starannością są wyczytane, treść ich gruntownie pojęta, a następnie interpunkcye należycie pokładzione, i korrekta druku jak najściśléj przestrzegana: i w tymto względzie niniejszemu dziełu najzasłużensze musimy oddać pochwały. Kodex ten więc uważamy za najlepszy ze wszystkich dotąd u nas drukiem ogłoszonych, a nawet i tych, które traktując o rzeczach słowiańskich, w znacznéj liczbie zjawiły się w Niemczech: rozumiemy tu: Codex diplomaticus Prussicus Voigta; Codex diplomaticus Pomeraniae Dregera w nowém wydaniu; kodexa dyplomatyczne śląskie Stenzla; kodexa dyplomatyczne Brandeburgskie przez Raumera i Riedla wydawane, tudzież Codex diplomaticus et epistolaris Moraviae, Antoniego Boczka. Zawiéra nasz Kodex wiele nowego i nieznanego dla dziejów. Zpomiędzy wielu innych okoliczności przytoczymy niektóre. Z dyplomatów ner XII z roku 1223 i ner XX z roku 1231, dowiadujemy się o księciu Ziemomyśle, synu Konrada księcia mazowieckiego, o którym dotychczas w dziełach historycznych nie mogliśmy się niczego doczytać. Ciekawą i nieznaną czytamy wzmiankę o księciu Oświecimskim, a to pod rokiem 1278 w dyplomacie ner LIX. Jestto najwcześniejsza wzmianka o tém księztwie. Nie wspominane dotychczas przez żadnego z naszych historyków układy i rokowania zachodzące pomiędzy Władysławem Łokietkiem, a Wacławem III królem czeskim w latach 1305 i 1306, występują

na jaw w dyplomacie ner XCIX z roku 1306. Lecz nietylko pod względem historycznym znajdujemy w naszym dyplomataryuszu ciekawe materyały: bo szczególniéj ważnym jest ten zbiór dla prawodawstwa. Na poparcie naszego twierdzenia przytoczymy niektóre okoliczności.

Tadeusz Czacki w dziele: O Litewskich i Polskich Prawach, w tomie II, na stronnicy 62 wydania warszawskiego, mówiąc o testamentach wspomina, że najdawniejszy testament prywatnéj osoby jest z r. 1272, zachowany w składzie kapituły kujawskiéj. Dawniejszy nierównie, bo z roku 1190, a zatém blizko o wiek różnicy, znajdujemy w niniejszym Kodexie dyplomatycznym. (Ob. przywiléj nr. VI, str. 15). W tym testamencie, Dyrsko brat Wita biskupa płockiego, zapisuje pewne wsie leżące w ziemi sandomiérskiéj klasztorowi buskiemu. Dokument ten uważamy za nader szacowny zabytek, bo najstarożytniejszy pomnik dotychczas znany we względzie testamentów. Pociąga on nas silnie swoją prostotą, jaka jest po nim rozlana. Osobliwie też zajmującymi wydały nam się wyroki sądowe, jakie piérwszy raz w takiéj liczbie, i to z najdawniejszych czasów, bo z XII, XIII, XIV i XV wieku zebrane tu widzimy. Z nich obznajmiamy się z dawném postępowaniem sądowem, które nam przypomina niejako czasy patryarchalne, tak odmienne od dzisiejszych przedstawiając widoki. Wszystkie obudzają wielkie zajęcie. Tak w roku 1187 Kazimiérz Sprawiedliwy w własnéj osobie zasiada na trybunale, i otoczony piérwszymi dygnitarzami, rozstrzyga spór o kaplicę śgo Benedykta, zachodzący między katedrą Płocką z jednéj, a Krzywosądem i Cetegiem z drugiéj strony, i przysądza ją kościołowi katedralnemu w Płocku. Wyrok krótki, prosty, treściwy i zrozumiały. Daléj z wieku XIII pod rokiem 1220 (dyplom. nr. VI str. 21) widzimy Marka wojewodę krakowskiego, słuchającego sporu o własność wsi Plewa. Strona sama czując, że sprawa jéj nie bardzo słuszna, godzi się z swoim przeciwnikiem. W roku 1251 (dokument nr. XXXVII, str. 58) Kazimiérz książę łęczycki i kujawski, mając wyrokować w processie toczącym się o wieś Łęczną

między zakonem Cystersów sulejowskim a Myśliborem, pilnie roztrząsa przywileje przed sądem pokładane, i dopiéro po należytém zgłębieniu i wyrozumieniu takowych, wydaje wyrok stanowczy. Również w roku 1261, (akt nr. XLIX str. 84), Kazimiérz książę łęczycki i kujawski w sprawie tegoż klasztoru sulejowskiego odracza sprawę o wieś Baldrzychów, i nakazuje komportacyą dokumentów; a dopiéro w nowym terminie po zadosyć uczynieniu woli swéj, spór ostatecznie załatwia. Z wieku XIV dwa są zamieszczone wyroki sądowe; a mianowicie nr. CXIV z roku 1348, i nr. CXXVII z r. 1364. W piérwszym Jarosław arcybiskup gnieźnieński występuje jako sędzia polubowny, i wyrokuje w sprawie między Władysławem księciem łęczyckim i Klemensem biskupem płockim o wsie Ruś i Trambino: w drugim dokumencie, sprawę wytoczoną przez siebie o własność wsi Tłuchowy, król Kazimiérz rozstrzyga. Z wieku XV znajduje się sześć wyroków, t. j. z lat: 1402 nr. CLXX i z roku 1484 nr. CLVI; z 1408 nr. CLVII i CLVIII, z r. 1424 nr. CLXX i z 1484 nr. CXL. Wszystkie powołane wyroki nader ważne obejmują okoliczności, służące do wyjaśnienia stopniowego rozwijania się procedury sądowéj krajowéj.

Słuszna wdzięczność należy się redakcyi Kodexu, że w zbiorze swoim starała się zamieszczać dyplomata rozmaitéj treści, a obok tego zwracała baczność na to, ażeby dyplomata tyczyły się rozmaitych okolic dawnego kraju, przez coby uwaga badaczów mogła czynić postrzeżenia nad różnicami, jakie częstokroć w téj saméj rzeczy w odległych stronach Polski zachodziły. We względzie religijnym postrzegamy od najdawniejszych czasów liczne fundacye rozmaitych klasztorów. I tak zaraz dyplomat nr. I, obejmuje założenie i uposażenie przez Mieczysława Starego klasztoru Lędzkiego z r. 1145, i reszta następnych 5 z XII wieku, tyczą się samych klasztorów. Hojnie uposażali klasztory nietylko książęta i monarchowie polscy, ale i znakomitsi obywatele. Powstawały w różnych okolicach kraju znacznie od siebie odle-

głych liczne zakony Benedyktynów, Cystersów, Premonstrantów, Augustyanów, Dominikanów, Franciszkanów, i inne. Wśród ciemnoty i dzikości obyczajów średnich wieków, były to siedliska religii, moralności i oświecenia. Tak więc zakładanie i bogate uposażenia klasztorów, są najdobitniejszym dowodem, jak gieniusz krajowy co rychléj pojmował drogę, którą mu wypadało postępować, chcąc dojść do ulepszenia stanu ludzkości przez religią, oświecenie i dobre obyczaje. Dziwnie tkliwe i silnie do duszy przemawiają zwykłe wstępy do podobnych fundacyi lub uposażeń duchowieństwa, świadcząc o uczuciu religijném i o obudzonéj duchowości narodu. I pod względem geograficznym i statystycznym znajdujemy nie jeden ciekawy szczegół, tyczący się licznych wsi i miast, zkąd nieraz badacz poważnie potrzebne wiadomości o starodawnych osadach. Śmiało rzec można, że w całém tém dziele złożony jest okwity plon, mogący dostarczyć wątku do rozumowych i stanowczych poszukiwań, i wyprowadzania z takowych korzystnych wniosków i postrzeżeń nietylko dla historyka i prawnika, lecz i dla pracujących na innem wcale polu nauk. Tu albowiem i powieściopisarz byleby umiał w tych aktach czytać, może upatrzyć dla siebie żywo obudzające wyobraźnią przedmioty. Wszak Walter Szkotowi owemu najsławniejszemu tego rodzaju pisarzowi, wiele podobno dopomogły do układu powieści ciągłe szperania i wertowania akt urzędowych, i zatrudnienia archiwalne, przez dwadzieścia i kilka lat sprawowane. Również i badacze przyrody mogą wynaléźć nie jedną okoliczność obudzającą ich ciekawość. Często nader przychodzą wzmianki o bobrach, o sokołach, o turze i o kwiczołach. Kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, stanowiące wielkie bogactwo kraju od najdawniejszych czasów, bywają wspominane.

Być może, że nie jeden wziąwszy to dzieło do ręki, wyczytawszy pokwitowanie Mikołaja Szaksza rotmistrza, zeznającego jako król Władysław wypłacił mu żołd przynależny (dokument nr. CLXIV), lub też znajdując rękojmią, jaką pan z Wisznicy, Mikołaj z Balin i Czyran stawili królowi

Kazimierzowi w przedmiocie arędy cła lwowskiego przez Natkona żyda na dwa lata zawartéj (dyplom CLXXXVI rok 1452), zdziwi się, jak w tak poważném dziele można było zamieszczać te akta błahe i mało znaczące? Wszakże my zgadzamy się zupełnie z tém, co wyrzekł tyle zasłużony i nieodżałowany ś. p. Edward hr. Raczyński w przedmowie do dzieła już pogrobowego t. j. Kodexu dyplomatycznego litewskiego, że: „w kodexie dyplomatycznym wszystko jest ważném; dziejopis jak biegły architekt powinien z niego wybiérać potrzebny dla siebie materyał, niepotrzebny mu albo przezeń odrzucony, może się przydać do skromniejszéj budowy:" bo przekonani jesteśmy, że niéma przedmiotu któryby się napozór wydawał mało znaczącym, a któryby nie wpłynął na objaśnienie zapadłéj przeszłości. Jeżeli w biografii pojedynczych ludzi skrzętnie szukamy najdrobniejszych szczegółów ich sposobu życia, a te dopiéro uzupełniają nam pojęcie opisanéj osoby; tak również w badaniu dziejów kraju całego, najmniejszy szczegół przyczynić się może do złożenia całkowitego i prawdziwego ich obrazu.

Zwracając się do powierzchownéj formy rozbieranego przez nas dyplomataryusza, uważamy za najwyższą zasługę regestra z wielką pracą i skrupulatnością wygotowane; za podjęte około tego, głównie przez hr. Rzyszczewskiego trudy, poczuwamy się do winnéj wdzięczności. Atoli winniśmy zwrócić uwagę na to, że trzeci oddział regestrów, wyrazy techniczne wykazujący, winien być w następnych tomach dokładniéj wypracowany. Wiele bowiem takowych nie mieści regestr niniejszy, a przy wielkiém ubóstwie pomników naszego języka najdawniejszych, błogo jest znaléźć choć pojedyncze wyrazy po dyplomatach porozpraszane, które troskliwie zebrać właśnie do wydawcy należało, czego on nie uczynił (ob. str. 194 wyraz *słyża*). Co do korrekty, wyjąwszy parę niewielkich usterków, jakoto: str. 256 w. 23 *Casimirus* zamiast *Vladislaus* i innych mniejszych, nie przekształcających myśli dyplomatów, a które nadto wytknięte są w korrygendzie, musimy wyznać, że jak najstaranniéj była utrzymywaną. Nie napotykamy na rażące błędy, jakie tak

często zdarzają się w innych dziełach tego rodzaju. *Corrigenda* w końcu zamieszczane nie są to omyłki, ale raczéj waryanty. Nikt więc nie może tego przypisywać nie dość starannemu utrzymywaniu korrekty. Wartość dyplomataryusza polega jedynie na skrupulatném wyczytaniu, należytém pojęciu, a następnie na wiernem wydrukowaniu wyczytanych aktów. Najściślejsza akuratność dyplomatyczna, najwierniejsze oddanie aktu ogłoszonego, jest najwyższém zadaniem, jakiemu przy wydawaniu kodexu zadosyć uczynić należy. Otóż właśnie tego warunku najskrupulatniéj dopełnili wydawcy, i za to słusznie największa im się wdzięczność należy.

Po tak chlubném wywiązaniu się z przyjętego na siebie wydawnictwa dyplomataryusza, można nader pomyślne wyprowadzić wróżby we względzie następnych tomów. Jakoż zważając na to, że jeden z redaktorów t. j. Leon hr. Rzyszczewski, przy swém niezawisłém położeniu, kilkanaście godzin dziennie z najwyższém zamiłowaniem poświęca téj mozolnéj pracy; tudzież że drugi, t. j. Antoni Muczkowski ukończywszy szkoły i uniwersytety w Prusiech, znający gruntownie język łaciński, a obecnie już przeszło od 12 lat będąc urzędnikiem przy Archiwum Głównem królestwa polskiego, obeznawszy się z łaciną średnich wieków i z czytaniem starych charakterów (któreto zatrudnienie należy do jego codziennych obowiązków), posiada jak największą wprawę w wyczytywaniu starych charakterów, możemy mieć najpewniejszą rękojmią, że dalsze tomy dzieła tak ważnego i pomnikowego znajdą zasłużone pochwały.

Kończąc nasze sprawozdanie o powyższém dziele, prosimy wydawców mieć zawsze na pamięci, że praca ich ma dać o nas w obliczu uczonego świata najsumienniejsze i najpewniejsze, bo wolne od uprzedzeń i stronności świadectwo. Poznawszy nas w swych głównych i ogólowych znamionach i cechach, obce ludy zapragną pewno dowiedzieć się o szczegółach przeszłego naszego życia; będą chciały badać w naszych historykach i kronikach, ażali zgadzają się ci z szczegółami niniejszém dziełem o nas objętemi. Lecz

niechaj badają i porównywają z tém co tu się podało; pewni bowiem jesteśmy, że znajdą w nich niewątpliwie poparcie na to, co tu wyrzekliśmy.

W. A. Maciejowski.

List o Pedagogice i odpowiedzi p. Sierocińskiego.

Smutneto położenie wydawców pism czasowych! Każdy redaktor zwykle zawieszonym bywa pomiędzy oczekiwaniami publiczności, a niechęcią sądzonych pisarzy. A do tych sądów jakieżto *dane* jeszcze są warunki? Powszechność nasza chce sprawiedliwości czyli bezwarunkowego wyrzeczenia; pisarze pragną bardzo często samych kadzideł, lub wawrzynów nie zasłużonych. Tymczasem człowiek w dzisiejszym społeczeństwa składzie, żyć musi prawie *tak* i *tam, jak* i *gdzie* powołanie go ciągnie; zmuszonym bywa krążyć po największéj części w kółku, do jakiego przez coś wyższego, albo chęć, lub téż losy wtrąconym został. Tak więc literat, redaktor, professor i t. p. zniewoleni są w biegu codziennego życia spotykać współpracowników, towarzyszy, braci, z którémi ich wiążą rozmaite węzły. Dobry i blizki znajomy A.— przyjaciel B.— towarzysz uniwersytecki C.—poświęcający się D.— prawy człowiek E.— pełen nadziei w przyszłości F.— przepełniony zasługami przeszłemi G.— biédny lub nieszczęśliwy H.— zobowiązał nas I.— przemożny stosunkami lub znaczeniem K.— dawali lub nadal dawać nie będą artykułów L. Ł. M. N. O. P. i t. d. i tak daléj aż do Z i Ż! Cóż dopiéro powiedzieć o płci pięknéj, o literatkach pełnych talentu i nerwów drażliwych? A tymczasem powszechność niecierpliwie czeka sądów, wyroków, zdania. Wydawcy przeto, jak prokuratorowie, powinni koniecznie podać swe bezwzględne wnioski. Lecz tu tyle zawad, tyle niemożności, tyle niepodobieństw! Ztąd wynika, że jedne pisma wcale nie dają zdań o najważniejszych zjawiskach w piśmiennictwie, drugie

bez końca chwalą i chwalą; trzecie obchodzą jak mogą aby prawdy nie powiedzieć, inne rozbiérają lada dziełka, i broszurki pewnéj tylko kasty i t. d. i t. d. Cóż pocznie w tym chaosie barw łudzących ten, co wziąwszy za nazwę swego pisma miano *Przeglądu naukowego*, chcąc nie chcąc musi przeglądać naukowe i pozbawione nauki pisma, pisemka, twory, utwory i potwory? Obrawszy godło: „*Mów prawdę o więcéj nie pytaj*" powinien postępować raz obranym torem. Opponent wszelkiéj niedorzeczności i nieprawdy, musi mieć przeciwników. Jednakże, mimo ciągle spotykanych zaporów, i tysiąca (z któremi nieraz walczyć przychodzi) trudności, dopóki mu tylko sił wystarczy, zawsze w obronie bezwzględnéj słuszności stanie. Lecz aby dojść do tego, ileż przykrości, ile trudów! Wy zacni współzawodnicy wiécie najlepiéj! *Dać zdanie*, gniéwa się literat i wciska na cię całą koronę cierniową, któréj każdy kolec czém inném zaprawny, wszystkiemi rodzajami jadów, wszelkiemi gatunkami obelg, ledwo nie całym arsenałem strzał rozmaitych. A jeżeli redakcya, zmodyfikuje lub osłabi pociski tych grotów, to zdania ustne między twemi znajomemi i obcémi rozsiewane, dopełnią mowy pisanéj. Boć przecie znana i *nie grammatykom* Grammatyka Kopczyńskiego: „*Dwa są rodzaje mowy, ustna i pisana*" i t. d. Otóż los dających zdanie! Gdy chcąc uniknąć tego, *nie dasz żadnego zdania*, wtedy pismo twoje stanie się bezbarwném, bezpożyteczném, zbiorem tylko nowinek, które i Famulus Żółkowskiego umiał nawet nosić. *Nie powiész prawdy*, a wnet cię pognębią (i słusznie) że nie wypełniasz swych obowiązków, że nie chcesz prostować błędów, że niczego w twém piśmie dowiedzieć się nie można i t. d. i t. d. krzyczą i krzyczą. Po cóż więc wydawać pismo, kiedy ono nikomu żadnego nie przyniesie umysłowego pożytku, niczyjego sądu nie sprostuje, ani jednéj prawdy nie wypowié! Lecz jakąż znowu trzeba mieć odwagę cywilną, aby w tę otchłań, gdzie ciągle jamy kopią i truciznę podsuwają, śmiałą wstępować nogą? A wstąpić trzeba, bo lepiéj znieść krzywdę od kilku braci, jak ubliżać powszechności i samemu sobie nie-

wypełnianiem dobrowolnie raz na się włożonych obowiązków; lepiéj ściągnąć obrazę *kilku*, niż *cały* (po największéj części i w najczęstszych razach słuszny) *głos powszechny* obruszyć.

Oświadczamy najsumienniéj, iż tego wstępu, czy tam *ustępu* do nikogo nie stosujemy osobiście, bo, żebyśmy powstając przeciw osobistości, sami w niąż wpadali, bylibyśmy podobni do tego, co napisawszy dzieło przeciw pijaństwu, sam w rynsztoku życie zakończył. To, cośmy w tym liście powiedzieli, jest wyrazem najszczerszego przekonania naszego, jest wynikiem przeszło ośmioletniego redaktorstwa, w którém spełniliśmy już nie jeden kielich goryczą zatruty, a mimo to zawsześmy się chłodzili wodą z rzéki zapomnienia: na tyle odpowiedzi literackich i nie na jednę krytykę, nigdyśmy nie odpowiadali i teraz odpowiadać nie chcemy. Wyjaśnimy tylko powód nieporozumień jakie spowodowały odpowiedź p. T. S. w kwietniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj. Te jednak objaśnienia, w niczém nie mają osłabiać *raz* przez nas wyrzeczonego w Przeglądzie zdania, ani bynajmniéj nie mają nigdy wpływać na dane kiedykolwiek przez nas sądy, ani téż naostatek nie są powodem do dalszych sporów lub odpowiedzi, choćby najdrażliwszych.

Nie znamy wcale szanownego pedagoga, nie mieliśmy z nim żadnych stosunków, nie jesteśmy jego współzawodnikami, bośmy nigdy ani grammatyki, ani pedagogiki, ani żadnych podobnych mu *przekładów*, nie drukowali, nie pisali, i najszczerzéj zaręczamy, że nigdy pisać ani wydawać nie będziemy. Jeżeli więc pan T. S. z żółcią zwykle i octem powstaje na swych współzawodników, to nas, bezstronnych sędziów, przynajmniéj złym miodem traktować powinien. Zkądże to niegościnne, niestaropolskie przyjęcie? Oto ztąd, że przed siedmią laty, redaktor wydając Gazetę Poranną i Piśmiennictwo krajowe, umieścił w nich wyjątki z listów, a niekiedy i całe listy Michała Wiszniewskiego i professora Ż. w których był zarzut, iż *Pamiątka po dobrym ojcu* i tłumaczenie p. t. *Próby wojny Katylinowskiéj* nie są

pióra szanownego pedagoga (1). Wszakże nie moje pismo rzuciło tę kwestyą, ale Magazyn Powszechny jeszcze w roku 1837 (2). U mnie toczyła się tylko polemika i to w parę lat późniéj. Żem tych listów nie pisał, wié o tém dobrze szanowny pedagog. Owszem odpowiedź p. Sierocińskiego (jakkolwiek niewiele przekonywającą) natychmiast po jéj przyniesieniu umieściłem; co więcéj, kilkakroć nawet pisałem dla wyjaśnienia tych zarzutów do M. W. i jeden z listów nieco przychylniejszych dla p. Sierocińskiego umieściłem. Ale najsprawiedliwszy i najdelikatnieszy obrońca drażliwéj sprawy, zawsze niechęć poszkodowanego zyskać musi w udziale nagrody. Tak się stało i ze mną. Szermierstwa ustały, gladiatorowie się zmęczyli, a na arenie gdzie była walka, ślad głęboki pozostał. *Przegląd Naukowy* powinien teraz nie miéć racyi, bo pod krytyką Pedagogiki są głoski H. S.—a ten H. S. wydawał Gazetę i Piśmiennictwo; musi więc być winien, jak ów baran w bajce. A choćbym mógł przekonać szan. odpowiadacza, że on nie zna dobrze spółczesnéj literatury peryodycznéj polskiéj, bo jest dzisiaj 5 podpisów oznaczonych głoskami H. S. z których każdy inną osobę znamionuje, a wszystkich pięciu artykuły od lat kilku mieszczą się w pismach czasowych polskich; jednakże mniejsza o to; nie tu miejsce popisywania się z bibliografią. W piśmie mojém był rozbiór Pedagogiki, ja więc odpowiadać winienem za zdanie Przeglądu. Bardzo rzecz słuszna. Ale czyż autor zbił zdanie Przeglądu?— *Nie! wcale nie!*—Bo z góry zaraz, jako grammatyk z professyi, jakby poprawiacz ćwiczenia, zaczyna od wyszukiwania błędów grammatycznych w recenzyi, zaczyna od strony najmniejszéj wagi, bo w piśmie, które co 10 dni *koniecznie* wyjść musi, przez pośpiech zecera lub korrektora, nie jeden błąd literalny, a często i całowyrazowy niepostrzeżenie wśliznąć się może. Lecz jakże wielkiéj wagi są te błędy? Oto po *r*, jest *i*; zamiast *gdy*, *gdzie!!!* (3). Uwiadamia nas tak-

(1) Patrz Nr. 29 oddziału I Piśmiennictwa krajowego z r. 1840.

(2) Magazyn Powszechny Nr. 16 str. 127, pod red. L. Rogalskiego.

(3) Najbardziéj błahe zarzuty są co do pisowni. Ale żeby przekonać, że szanowny pedagog i tu nawet błędnie utrzymuje,

że autor Grammatyki, iż *teorya* pochodzi z *łacińskiego* języka, o czém ja, nazwany od autora przeglądaczem, mam nie wiedzieć. Pokazuje się jednak, że, aby znać pisownię i źródłosłowy nie koniecznie wydać grammatykę, słownik, lub być uczącym, bo można i bez tego dowiedzieć się, że *teorya* nie z łacińskiego, ale z *greckiego* pochodzi! Zresztą, dziś każdy prawie grammatyk polski, innéj trzyma się pisowni. Kto więc ma za sobą J. N. Kamińskiego, F. Żochowskiego, T. Kurhanowicza i t. p. może nie mieć T. Sierocińskiego lub z nim jednéjże pisowni używających. Jestto spór bardzo ważny, oddzielnéj potrzebujący rozprawy, a we wszystkich recenzyach i odpowiedziach, wyglądający na sprzeczkę *de lana caprina*. Pomijając więc to, równie jak i uszczypliwe odcinania się, które w każdym okresie p. Sierocińskiego spotykamy, bo nigdzie się nie godzi, a tém bardziéj w piśmiennictwie postępować według zniesionych już praw starego zakonu: *oko za oko, ząb za ząb*, powinniśmy tu zwrócić uwagę na kilka przekręceń lub złych zrozumień, jakich się zwykle skrytykowani w obronach chwytają. I tak p. Sier. pisze, zdając się wątpić, że *Kizewetter „ile mu wiadomo, żadnego dzieła pedagogicznego nie napisał."* Myśmy zaś powiedzieli, że p. Sier. żywcem wziął z Kizewettera *Rozbiór władz umysłowych* i część II działu o naukach. Przecież *o władzach umysłowych* bierze się podobno z logiki? Czy autor nam zaprzeczy teraz? Gniéwa się sz. peda-

kilka słów o tém, choć w przypisku powiémy. Pan Sieroc. sądzi, że wyrazy *Julia, Historya, Teorya*, na wzór języka rossyjskiego, Żochowski i inni jego pisowni się trzymający, piszą *Julija, Historyja, Teoryja*. Zapomina jednak, że żadnego niéma wyrazu prawdziwie polskiego, w którymby dla utworzenia oddzielnéj zgłoski *j*. Naprzykład: *mija, szyja, zabija, sprzyja, pijak* i t. d. Jakkolwiek więc nie przeczymy panu Sierocińskiemu znajomości języka rossyjskiego, do któréj lubi się odwoływać, jednakże wyznać musimy, że wniosek jego o pisowni przytoczonych wyrazów, opartéj na naturze języka polskiego, mylnie został przezeń odniesiony do naśladowania mowy rossyjskiéj. (Przyp. aut. art.).

gog że powstajemy na eklektyzm, i powiada że nie jest winien, bo sam się do tego przyznał. Czyśmy już wtedy niewinni, swobodni, kiedy złego dość nabroimy i do winy potém się przyznamy? A cóż dopiéro rzucać błędy w oczy całemu światu, z dewizą: *wiemy o tém że to złe!* Czyto jest piękna zasada a zwłaszcza w pedagogu? — Zarzucaliśmy autorowi, że jak niektóre części swéj Pedagogiki tłumaczył zkądinąd, tak znowu *większą część swego dzieła*, toż samo powtarzamy *większą część dzieła przez siebie wydanego*, zapełnił przedrukiem cudzéj pracy, Ferd. Bronisława T.— P. Sierociński témi wyrazami usprawiedliwić się myśli: „Zarzuca mi przywłaszczenie cudzego dzieła" (str. 173). „Zarzut ten chociaż zgodny z prawdą, jednak jest niesprawiedliwym (str. 179). Na to czcigodny autor (tojest F. Br. Tr.) *dotychczasowém milczeniem* swojém *oczywiście* przyzwolił." Więc mając pożyczyć cudzą własność, nie pytajmy się czy nam posiadacz pozwoli, nie wchodźmy z nim w żadne ugody apryoryczne, ale poprostu weźmy sobie co nam potrzeba, a jeśli w pewnym przeciągu czasu, prawy właściciel się nie upomni, lub dla jakichkolwiek powodów nie może się upomnieć, tośmy wtedy sobie słusznie postąpili, a ten, co nam to *a posteriori* wykrywa, **zarzuca zgodnie z prawdą ale jednak niesprawiedliwie.** Tę zasadę którą autor chciał uczynić prawną, pod sąd prawych oddajemy czytelników.—Kto inny broniący np. prawa własności literackiéj lub powstający na przedruki bruxelskie, możeby na to odrzekł: „A jeśli tamtéj strony byłoto jedyném utrzymaniem, *jedyną* w życiu ostoją? a jeśli pokrzywdzony otoczon jest żoną i biednémi dziećmi? a jeśli dla wydźwignięcia się z tego stanu niedostatku materyalnego i męczarń umysłowych, miał zamiar właśnie inne uskutecznić wydanie swéj pracy mozolnéj, (może kilkoletniéj), którąby nie miała tego zarzutu, jaki pan T. Sier. kładzie, iżby z powodu swéj obszerności i innych względów nie mogła się znajdować w ręku naszych czytelników? i t. d. i t. d." I więcéj możnaby tu podobnych uczynić objaśnień; ale nie do nas to należy. Wcale nie myślimy występować tu w charakterze *obrońcy* trybunału,

i nasuwać myśli, któreby goryczą zaprawić mogły czyn już dokonany; ale tylko odwołujemy się, jakoby prokuratorowie literaccy, do zasady, wyżéj o 17 wiérszy przez nas odmiennémi głoskami przytoczonéj. Chcielibyśmy skończyć te uwagi zdaniem naszéj przeszłéj recenzyi, którego szanowny pedagog nie zrozumiał widać, lub nie chciał zrozumiéć. Lecz ponieważ p. Sierocińskiego jak to widzimy z odpowiedzi, gniéwa nasz domysł, że powinienby, czyli mógłby cóś lepszego wypracować, przeto będziem się starali podobny sąd, dla autora niemiły, z przekonania naszego wygluzować.

Zostaję na zawsze etc. etc.

Hipp. Skimborowicz Red. P. N.

O kosztorysach w budownictwie cywilném, czyli przewodnik obliczania kosztów na budowle lądowe, dla budowniczych, inżynierów, rękodzielników i wszelkich przedsiębierców budowania, służący, przez Stanisława Gołębiowskiego budowniczego w Krakowie.

Pomimo licznych prac literackich, nader rzadkiemi są u nas dzieła, do rzędu ścisło naukowych należące; ukazanie się więc dzieł tego rodzaju, powinno budzić tém większe zajęcie i zniewalać do tém większéj wdzięczności autorom, którzy usilną pracą i wytrwałością przyczyniają się do zbogacenia zasobów umiejętności nietylko pożytecznych, ale nawet i koniecznych w obecnym stanie wszechstronnego postępu. Do tego rzędu słusznie policzyć należy dzieło w mowie będące przez budowniczego Gołębiowskiego wydane. Obejmuje ono w obszerności zasady obrachowania ilości potrzebnych do budowli materyałów, jako téż ich ceny i wszelkie koszta praktykowane w Krakowie. Autor w tym celu rozpoczyna dzieło swoje przez porównanie w krótkości miar długości, powierzchni, objętości i cięża-

ru czyli wagi. Porównanie to nader jest użytecznem i wygodném, ale żałować należy, że do zasad obliczeń, autor przyjął miarę sążnia wiedeńskiego, który w Krakowie jest tylko używanym; a tym sposobem dla królestwa uczynił w pewnym względzie użycie swoich zasad niedogodném, gdyż każdy artykuł czyli szczegół na miarę wiedeńską rachowany, dla oznaczenia go w wymiarach królestwa, musi być piérwéj redukowanym, co z powodu ułomków przy współmierności wymiarów, przedłużać musi i utrudniać rachunek. Z tego względu dzieło autora dla królestwa ma więcéj zalety naukowéj, jak użyteczności podręcznéj w praktyce. Daléj następuje sposób obliczania wymiarów liniowych, powierzchni najpospolitszych figur, jako też ich wymiaru sześciennego. Wskazanie to może być użytecznem dla wielu szczególniéj rzemieślników, którzy nie posiadają rozleglejszych wiadomości matematycznych. W części traktującéj o materyałach budowlanych, starannie objętemi są wszelkie okoliczności potrzebne do ocenienia i obrachowania ilości. Znajduje się bowiem przy każdym materyale nietylko cena miejscowa i koszta dostawy, ale nadto waga pewnych wymiarów, jako też potrzebna ich ilość. Nie byłoby tu stosownem wykazywać każdego w szczególności materyału różnicy ceny krakowskiéj od warszawskiéj; dodać tylko możemy uwagę, iż w ogólności materyały budowlane w Krakowie znacznie tańszemi są od materyałów warszawskich, a szczególniéj kamienie, marmury, gips i wapno. W szeregu materyałów objętych w dziele znajdują się: kamienie dzikie, kamienie wapienne, ciosowe, kamień piaskowy ciosowy, marmury, łupek, cegła, dachówka, drzewo w rozmaitych gatunkach i wymiarach, wapno, piasek, gips, glina, cement, kity, żelazo kute i lane, ołów, cyna, miédź, zynk, mosiądz, szkło, farby, trzcina i słoma.

W drugiéj części dzieła zamieszczone są zasady obliczenia robót i materyałów budowlanych. Autor posunął tu pracę swoję do najmniejszych nawet szczegółów, wykazując w każdym przypadku ile potrzeba materyału na pewien wymiar, i o ile potrzeba użyć ilości dni pracy w robocie każ-

dego rzemieślnika także na pewien wymiar. Oznaczenie robót na ilość dni, stanowi właściwie umiejętność naukową obliczania kosztorysów, a część ta pracy pomimo odmiennéj miary przyjętéj w dziele, posłużyć jednak może i w królestwie do zastosowania do praktyki: bo chociaż pospolicie nie rachujemy na dnie robót, lecz oznaczamy wynagrodzenie od pewnych ilości, czyli od jedności wymiarów, oznaczenie jednakże ceny tychże robót łatwiéj da się ustanowić, mając pewną zasadę potrzebnéj ilości dni pracy. Jak obszernie przedmiot ten autor traktuje, dosyć jest nadmienić, iż sama robota murarska obejmuje zasad obliczenia różnych szczegółów stronnic 72. Podobnież i inne roboty bardzo szczegółowo są wymienione. Umiejętność budownictwa składa się z licznych gałęzi wiadomości naukowych i praktycznych, a pominąwszy tu część estetyczną, czyli część jako sztuk pięknych, sama technika wymaga od budowniczego wielostronnych wiadomości z nauk przyrodzonych i matematycznych; i téjto ostatniéj strony jest częścią umiejętność wyrachowań, tak potrzebnéj ilości materyałów, jako też rozlicznych robót stosujących się do zamierzonéj planem budowli. Umiejętność ta wszakże nie jest prostém użyciem, lub zebraniem pewnych danych ilości stosownie do zasady; oznaczyć je pierwéj musi nietylko plan, ale nadto biegłość budowniczego we wczesném przewidzeniu wszelkich trudności właściwych kombinacyom planu, miejscowości i rodzajowi użyć się mających materyałów. Dlategoto budowniczy przed rozpoczęciem tak planu jako też wykonania, poznać winien dokładnie to wszystko, co wpływać musi do składu wznieść się mającéj przez niego budowy. Dzieło budow. Gołębiowskiego jest bardzo użyteczném w téj części, a byłoby jeszcze daleko korzystniejszém, gdyby wymiary, jak już wyżéj powiedzieliśmy, były rachowane na miarę królestwa.

W zasadach wyliczenia kosztów budowli dwie oddzielne mieszczą się części, tojest: jedna jest znajomością naukową, jaką jest wiadomość potrzebnych ilości materyałów na pewne wymiary, oznaczenie potrzebnych dni pra-

cy i t. p. drugą część stanowi znajomość cen od pewnych wymiarów. Znajomość ta jest tylko lokalną, to jest właściwą miejscowości, i w tym razie robiąc obliczenia kosztów budowli, należy piérwéj zebrać dokładne wiadomości, jakie ceny są praktykowane robót szczegółowych w tém miejscu gdzie budowa ma być wzniesioną. Pod piérwszym względem dzieło p. Gołębiowskiego obejmuje dostateczne wskazania dla każdego trudniącego się obrachowaniem kosztów budowlanych i służyć może za przewodnika naukowego, w drugim widzimy ceny miejscowe jak zwykły być praktykowanemi w Krakowie. Cała praca p. Gołębiowskiego jest nader staranną i może zarzucićbyśmy mogli tylko zbyteczną niekiedy szczegółowość niektórych artykułów, które z ogólnych zasad są tylko prostym wypadkiem, a nie odrębnemi zasadami. Lecz łatwiéj jest w tym razie do darowania zbytek, aniżeli gdybyśmy przymuszeni byli obwiniać dzieło o niedostateczność. Co do nazwań szczegółów czyli wyrażeń technicznych, p. Gołębiowski nie wprowadza przesady w tworzeniu nazwisk, lecz używa albo pospolicie znanych, albo miejscowych, a jeżeli niekiedy daje nowe nazwisko spolszczone, to wyrazy jego nie są dziwacznemi, jak to niektórzy czynić zwykli. Sprawiedliwie więc należy się wdzięczność autorowi, który tak ważną i tak pożądaną pracą przyczynił się do rozszerzenia w naszym języku wiadomości i umiejętności budownictwa w części technicznéj. W dziele tém nietylko bowiem upatrywać należy jego korzystne zastosowanie dla praktycznego użytku, ale nadto można powziąć nadzieję, iż jeżeli autor więcéj podobnemi pracami trudnić się zechce, te zostaną korzystnemi dla części technicznéj sztuki budownictwa.

A. Idźkowski.

Geografia p. Mikołaja Pawliszczewa, członka Rady Wychowania w Królestwie Polskiém. W Warszawie, w druk. St. Strąbskiego. 1847 *r.*

Dziełko to, które na początku b. r. w języku rossyjskim wyszło, składa się z 179 str., i obejmuje wszystkie państwa Europy, oprócz Rossyi. W tak małéj objętości książeczka ta zamyka wszystko, co do dokładnego obeznania się z krajami, które opisuje, nieodbicie potrzebne. Zastosowana zupełnie do programmatu, według którego nauka geografii wykłada się w szkołach, z wielką korzyścią i ułatwieniem pracy dla nauczycieli i uczniów użytąby być mogła. Komu wiadomo z doświadczenia, ile zadaje trudu, ile zabija czasu wyszukiwanie tego, co istotne a co niepotrzebne, w książkach elementarnych obszernych i zamykających mnóstwo szczegółów; ten właśnie w dziele które mamy przed sobą, potrafi ocenić rozsądny wybór oparty na gruntownéj znajomości rzeczy i słusznem ocenieniu zdolności dzieci, którym nic tak nieszkodzi, jak zbytek, które nienależy uczyć nadto, aby się mogły czegokolwiek nauczyć dobrze.

Ta uwaga kierowała autorem, i pod tym względem jeszcze jedno znajdujemy w książce jego ułatwienie. Text dzieła, zamykający że tak powiem, rzeczy obowiązkowe dla każdego ucznia, wybity jest drukiem większym; szczegóły zaś bądź statystyczne, bądź handlowe, bądź historyczne, któremi uzupełnia się wiadomość zawarta w texcie, wydrukowane są przy każdym artykule drobniéj, w tym celu, aby je nauczyciel zostawił ochocie uczniów pilniejszych. Wybieg ten pedagogiczny podnieci ich emulacyą, i poda im łatwy i korzystny sposób pokazania, że do pilniejszych należą. Dodać tu jeszcze wypada, że wiadomości w tych dodatkach zawarte, a wyrażone zwięźle i krótko, są ciekawe, same przez się zajmują i podają nauczycielom materyą do obszerniejszych objaśnień, których dzieci zawsze z taką uwagą i chciwością słuchają.

Co do samego textu powiemy tylko to, że opisanie pojedynczych krajów gruntuje się na najnowszych wiadomo-

ściach i zmianach, jakie zaszły w politycznym układzie Europy; że autor starannie unikał drobiazgów, obciążających pamięć, a obszerność opisów stosował do ważności, siły, wpływu i znaczenia państwa. Między innemi rzeczami, które nam się zdają wydatniéj i z innego punktu pokazane niż gdzieindziéj, jest opisanie Hiszpanii, rzut oka na Rzym, i charakterystyka państw Włochy składających; jest wykazany gruntownie i wsparty liczbami słowiański charakter Austryi; jest uzupełnienie nowemi poszukiwaniami wiadomości o Turcyi, o Serbii, o Mołdawii, i wzmianka dokładna o patryarchalnéj Rzplitéj Czarno-Góry, o któréj w żadnéj geografii niéma, a która, chociaż liczy tylko 100 tysięcy ludności, bez zaprzeczenia jest ważniejsza i ciekawsza, niż Monako i tym podobne kraiki.

Wszystko co powiedziano o przemysłowości różnych krajów, wyczerpnięte z dobrych źródeł i wyrażone jasno i do pojęcia dzieci. Szczególniéj autor zastanowił się nad przemysłem Anglii, i w ciekawym dodatku wykazał jéj siły morskie, które, jak tam liczbami stwierdzono, przewyższają siły wszystkich innych państw europejskich, które mają marynarkę, razem wziętych.

Ludność, a szczególniéj miast, starannie według najnowszych wiadomości wyliczona. Ludność państw wyrachowana nietylko w ogóle, ale w szczegółach co do plemion i wyznań, składających ciało polityczne jakiego kraju. A jeżeli w skład jego wchodzą Słowianie, wszędzie są oddzieleni co do liczby i pokoleń, na jakie się między sobą dzielą.

Równie w texcie jak i w dodatkach, gdzie są nazwiska które język rossyjski inaczéj niż polski przyswoił, stoi oraz nazwisko polskie, lub właściwe słowiańskie, jeżeli się opisuje słowiańszczyzna. Oprócz tego, na początku dzieła są dwie tablice, z których jedna zamyka nazwiska miast, rzék, mórz i t. d. przez inne języki, a szczególniéj niemiecki, wykręcone i zmienione do niepoznania, i obok nazwania właściwe ruskie, polskie, czeskie, iliryjskie i t. d.; druga zamyka też same nazwiska słowiańskie porządkiem alfabetu. Za tę niełatwą pracę i tę restytucyą słowiańszczyzny, pokazu-

jącą jak ona daleko i w jakich kierunkach sięgała, należy się wdzięczność autorowi.

Zakończymy chlubną wzmianką jeszcze o jednéj tablicy, znajdującéj się na samym początku dziełka. Jestto wykaz statystyczny wszystkich państw Europy, wraz z ich posiadłościami w innych częściach świata. Wykaz ten zrobiony pracowicie i oparty na najnowszych badaniach i obliczeniach, ma tę szczególność, że w jednéj z siedmiu kolumn swoich, zamyka wyrachowanie lat, w przeciągu których podwaja się ludność jakiego kraju. Praca ta podaje ciekawe i niespodziane wypadki. Naprzykład: że we Francyi podwaja się ludność w przeciągu 190 lat, kiedy w Niemczech mniéj więcéj w przeciągu 70—90; że we Włoszech, w państwie Papiezkiém na podwojenie się ludności potrzeba 164 lat, gdy tymczasem o ścianę w Toskanii tylko 70 i t. p. Liczby te nasuwają ciekawe kwestye dlaczego tak? Za pośrednictwem téj tablicy, część geografii najbardziéj ruchoma, t. j. ludność, zamienia się na stałe oznaczoną. Jakkolwiek bowiem wyrachowania te, jak wszystkie cyfry statystyczne, są przybliżone, mając jednak znajomą liczbę lat do podwojenia się ludności potrzebnych, można naprzód wyrachować, jaka będzie ludność jakiego kraju w danym czasie.

Taką jest książeczka p. Pawliszczewa, którą uważamy za pracę nierozległą i obszerną, ale sumienną, a przez trafność i wybór rzeczy użyteczną i bardzo interesującą.

J. Korzeniowski.

ROZMAITOŚCI.

Historya starożytnéj rossyjskiéj literatury, przez profesora uniwersytetu w Moskwie S. P. Szewyrewa.

P. *Szewyrew*, jest zaszczytnie znany w świecie naukowym jako professor odznaczający się zajmującym wykładem, pełnym życia i głębokiéj znajomości obranego przez siebie przedmiotu, i jako autor dwóch znakomitych dzieł: *Historyi poezyi* (Moskwa, 1835), zawiérającéj historyą poezyi indyjskiéj i hebrajskiéj, z dodatkiem dwóch wstępnych prelekcyj o charakterze kultury i poezyi głównych narodów nowéj zachodniéj Europy, i *Teoryi poezyi w historycznym rozwoju u starożytnych i nowych narodów* (Moskwa, 1836). Nadto jeszcze głęboki ten krytyk najcelniejszych utworów literatury rossyjskiéj, przepędziwszy wiele lat we Włoszech, gruntownie zna język i literaturę włoską, jak pokazuje się z jego badań nad *Boską komedyą Danta*.

W roku akademicznym 184⅘ w Moskwie p. *Szewyrew* miał publiczne prelekcye o historyi literatury rossyjskiéj. Z pism peryodycznych wiadomo, że lekcye te licznie były uczęszczane i przyjęte z wielkim zapałem. Szanowny professor wykładał je ustnie. Brak w Rossyi stenografów, był przyczyną, że prelekcye te nie mogły być natychmiast oddane na piśmie i w druku, przez co zapewne, utraciły cechę ożywionego ustnego wykładu; dlatego p. *Szewyrew* wydając je na widok publiczny zapewnia, że główna ich

treść i myśli pozostały te same, chociaż sposób wyrażenia się musiał stracić na dokładności. Tytuł tych prelekcyi jest: *Historya Literatury Rossyjskiéj, w szczególności starożytnéj. XXXIII prelekcye Stefana Szewyrewa zw. professora Uniwersytetu Moskiewskiego* (Moskwa, 1846 r., 2 tomy, w 8ce). Kurs ten głównie zajmuje starożytną rossyjską literaturę: jednakowoż, ostatnie dziesięć lekcyj, mają za przedmiot okres nowo-europejski, począwszy od pieśni ludu ruskiego, które stanowią przejście od epoki starożytnéj do nowéj. Gdy druk téj pracy będzie skończony, wydaną zostanie inna praca Szewyrewa, obejmująca głównie nowszą rossyjską literaturę.

Rzućmy okiem na te dwa tomy prelekcyj uczonego professora. Niepodobna w ścisłym zakresie artykułu, przeznaczonego dla pisma peryodycznego, dokładnie objąć całą treść dzieła; zatrzymajmy naszę uwagę przynajmniéj na niektórych wyjątkach, aby dać wyobrażenie czytelnikom o sposobie wykładu professora.

Na wstępie do swoich prelekcyj p. Szewyrew mówi:

„Miałem do wyboru dwa przedmioty, które w równym stopniu mnie zajmują: z jednéj strony wabiły mnie głośne imiona i powszechne znaczenie świetnéj literatury zachodu, z drugiéj, skromna literatura naszego kraju, na którą niedawno, i że tak powiém, od śmierci Puszkina dopiéro, zwróciła słuszną uwagę Europa zachodnia, i nakoniec przyznała jéj istnienie. Obrałem krajową literaturę. Powiém tego wyboru przyczyny. Piérwsza jest bardzo prostą, opowiém ją otwarcie: w jakimże oświeconym wieku ktokolwiek wahał się wyznać przed innemi, że lubi swoję rodzimość? wiedziałem że w naszéj mowie jest nasze życie, nasza myśl, duch naszego ludu; że to my sami, że to nasze niewidzialne ciało i krew. Lecz w nauce, uczucie zamiłowania chociaż może obudzić przywiązanie do przedmiotu (bo bez miłości nic poznać nie można, jak to już uznawały ludy starożytne w nazwie *filozofii*), jednakowoż powinno ustąpić myśli rozumnéj. Nauka wymaga ofiary. Jakaż myśl mnie natchnęła do tego wyboru? — myśl następna:

„Każdy zapewne spostrzeże w spółczesném dążeniu umysłów naszego kraju, że nauka, przeniesiona do nas z obczyzny, zaczyna u nas panować. Ustalenie nauki, jest najznakomitszym wypadkiem w naszém współczesném życiu. Nad świątynią pogańskiéj mądrości był napis: „poznaj samego siebie." Co zastosowano tam do człowieka w ogóle, można zastosować do narodu w szczególności, który szuka wiedzy. Naród nieznający siebie, nie może zupełnie znać innych narodów; odwrotnie, nie znając innych narodów, nie może znać siebie. Jedno dopełnia się drugiém. W konieczności narodowéj samowiedzy, wszyscy mniéj więcéj zgadzają się, lecz wypada tu wskazać różnicę dwóch ostatecznych zdań, których trzymają się u nas ludzie myślący. Jedni myślą, że samowiedza ludu powinna wpoić w nas pychę i doprowadzić do narodowego odosobnienia; inni przeciwnie, wystawiają sobie, że samowiedza ta, powinna przyczynić się do własnéj zagłady naszéj, w obec innych narodów. Nie trzymam się piérwszego zdania; jeszcze mniéj wierzę w drugie, bo podług ruskiego przysłowia: „Uniżenie siebie więcéj znaczy jak pycha." Nie sądzę, aby narodowa samowiedza, będąc zastosowaną do nauki, mogła nas doprowadzić do ograniczonéj pychy; tém mniéj do rozpaczy i do jakiegoś duchowego upadku. Przeciwnie, zdaje mi się, że samowiedza powinna w nas obudzić jasne, rozumne uznanie naszéj narodowéj siły, a z nią razem wywołać otwarte zeznanie naszych narodowych wad, bez czego, ani w człowieku oddzielnie, ani w całym narodzie, niepodobném jest chrześciańskie udoskonalenie (*)."

(*) Bez wychwalania się możemy wyznać, mówi w przypisku p. Szewyrew, że niéma na świecie narodu, który tak otwarcie gotów jest wyspowiadać przed całym światem swoje wady, jak naród rossyjski. Z tego stanowiska usprawiedliwiamy nawet tych Rossyan, którzy zapatrując się tylko na samą czarną stronę naszego życia, przysposabiają cały naród. do takiego zeznania własnych wad. Oby tylko to zeznanie czyniono z zupełną miłością narodu, z gorącém życzeniem poprawienia tych wad, lecz nie dlatego, aby usprawiedliwić swoje odpadnięcie od narodu! Zresztą, z tego źródła może wyniknąć tylko bezczelne kłamstwo na naród, lecz nie pełne, rozumne zeznanie jego wad.

„Co rozumiemy pod imieniem narodowości? Często używamy tego wyrazu, trzeba go określić. Podług mego zdania, jestto połączenie wszystkich duchowych i fizycznych sił, danych od Opatrzności jakiemu narodowi dlatego, ażeby spełnił na ziemi swoje ludzkie powołanie. Naród więc jest tylko naczyniem dlatego, ażeby w niém wrzało wszystko co jest piękném w ludzkości; tak samo, jak ludzkość znowu jest naczyniem Boskości. *W narodowości ludzkość i w ludzkości Boskość*, to jest ideał ziemskiéj doskonałości, to jest cel naszego dążenia. Myśl, że Opatrzność ciągle prowadzi człowieka do tego, ażeby stał się podobnym Bogu, często daje się napotkać w naszych dawnych dziełach. Narodowość, jako naczynie, koniecznie jest potrzebna; bez niéj ludzkość nie miałaby w czém rosnąć i objawiać się przed Boskością. Lecz rzecz jasna, że im naczynie jest obszerniejszém i głębszém tém jest lepszém; w zetknięciu się zaś narodów całego świata, ten naród stanie wyżéj od innych, który więcéj jest zdolnym okazywać współczucie innym, i przyjmować w siebie co jest powszechném, oczyszczając go w Boskości."

P. *Szewyrew* tłumacząc daléj, jak w mowie wyradza się i wyraża duch narodu, objaśnia słuchaczom, że miejscowe przyczyny powodowały go do obszernego wykładu historyi literatury ojczystéj z dawnych czasów; potém wskazuje jeszcze inne ważniejsze przyczyny, które zawiérają się w najnowszém zapatrywaniu się na przedmiot nauki, a więc i na samą naukę. „Okres literatury wyłącznie pięknéj, skończył się, mówi p. *Szewyrew*. Niemcy, kraina wyobrażeń oderwanych, utworzyła dawniéj poezyą zupełnie odłączoną od życia, i wkrótce potém taką samą naukę. Lecz obydwie uczuły swoje odosobnienie, a następnie swoję nietrwałość. Poezya i w Niemczech przyjmuje charakter, jużto religijny, jużto polityczny. We Francyi i Anglii ona porusza kwestye religii i życia społecznego; ten stan przejścia, bez wątpienia niedogodny, jest nader ważnym. Pokazuje on, że oddzielne żywioły człowieczeńskiego bytu, w rozłączeniu z sobą będąc rozwinięte, dążą do wzajemnego połączenia i chcą prze-

niknąć się jeden drugim. Człowiek europejski szuka bytu całkowitego i zupełnego. Co jest rozłączone nie może go zaspokoić. Od drobnéj analizy, już chciałby przejść do ostatecznéj syntezy; w każdém zaś zjawisku życia swego uznawać całkowitość swego bytu."

„Takiemu zapatrywaniu się na literaturę we względzie praktycznym, odpowiada a nawet dopomaga zapatrywanie się na nią w nauce. Wyłączne estetyczne zapatrywanie się przeminęło. Nasz pobratymiec M., niedawno jeszcze na paryzkiéj katedrze wykrywając przed zdziwionemi Francuzami skarby literatur słowiańskich, obejmował cały zakres życia narodowego, o tyle, o ile się wyraża w mowie; i nawet załączał tu pomniki prawodawstwa. Niemieccy krytycy obwiniali go, że zbyt mało zwracał uwagi na literaturę kościelną. Gerwinus w swoim kursie historyi niemieckiéj literatury, chociaż ogranicza się na poezyi, jednakowoż ciągle ją łączy z religijném, uczoném i społeczném rozwinięciem się narodu niemieckiego. Ampère, E. Quinet, Filaret Chasles, w najobszerniejszym zakresie wykładają historyą literatury ojczystéj i cudzoziemskiéj."

„Taki sposób zapatrywania się na literaturę, który można spostrzedz i w jéj pojawach i w saméj nauce, wyraża myśl głęboką, zadanie współczesnéj ludzkości: — wystawić całość bytu ludzkiego, tymczasowo w mowie, nim zostanie wyrażoną w czynie. Wszystkie narody postępujące naprzód, biorą teraz udział w wielkiém ubieganiu się o to, kto najdoskonaléj wystawił ideał ludzkości?"

Z tego wyjątku czytelnicy mogą sądzić, z jakim światłym europejskim poglądem na rzecz, przystępuje uczony professor do wykładu historyi swojéj ojczystéj literatury. Prelekcye jego są owocem długoletnich, niezmordowanych prac, i nie można dość podziwiać, z jakim niepospolitym talentem p. *Szewyrew* umiał połączyć badawczą i mozolną pracę nad obrobieniem suchych faktów, z pełnym życia i zajmującym dla słuchaczów wykładem.

Zrobiwszy podział historyi literatury ruskiéj, p. *Szewyrew* zastanawia się nad mową ustną i piśmienną i mówi:

„Wykładając historyą literatury jakiegobądź narodu, trzeba nasamprzód poznać charakterystyczne rysy języka, którym mówi. Będę się starał dopełnić tego zadania nad językiem ojczystym w trzech względach; ma się rozumiéć, ze stanowiska historycznego. Naprzód wystawię jego stosunek uniwersalny w rzędzie tych języków Indo-Europejskich, z któremi stanowi jednę wielką całość; podrugie: jego stosunek plemienny w téj rodzinie słowiańskiéj, z którą ma najbliższe pokrewieństwo; potrzecie: jego stosunek domowy, jego zetknięcie się z językami plemion, które wywarły na naród nasz wpływ polityczny."

„Od mowy ustnéj przejdziemy do piśmiennéj. Dlatego musimy przenieść się do naszych południowo-zachodnich braci: Bołgarów, Serbów, Morawów i Czechów, do tych oddalonych wieków, kiedy przyjęliśmy za ich pośrednictwem piérwsze nasiona nauki chrześciańskiéj, w języku rodzimym i zrozumiałym, i żyliśmy razem z nimi w styczności z duchem i słowem Bożém. Powinniśmy wznowić w wdzięcznéj pamięci ten najdawniejszy związek z plemionami, który tak niesłusznie zapomnieliśmy. I przejdą przed nami w pokornéj wielkości, święci apostołowie ludów słowiańskich, Cyryll i Metodyusz; skarb odebrany przez nich od tych apostołów, Opatrzność przeznaczyła nam do wiernego zachowania. Zobaczymy tu stosunek języka słowiańsko-kościelnego do ruskiego: zobaczymy jak w samym początku mowa piśmienna oddzieliła się u nas od ustnéj, lecz nie utworzyła żadnego sprzecznego, tamującego żywiołu, owszem, zawiérała w sobie wewnętrzną, duchową siłę; która stale działała na żyjącą mowę ludu, i służyła za przewodnika skarbów, które za jéj pośrednictwem wpływały do nas od innych słowiańskich plemion, wyznawających jednę wiarę z nami."

„Od mowy piśmiennéj przejdziemy do pieśni ludu. Pieśń ruska będzie nam towarzyszyła przez cały starożytny okres, odzywając się o wszystkich najważniejszych jego wypadkach. Jak daje się słyszéć *nieskończona*, podług wyrażenia Gogola, po całéj przestrzeni ruskiego państwa, tak samo

przenika w głąb' naszego historycznego życia, mieszcząc w sobie warstwy rozmaitych epok. Pieśń ta zabrzmi nam na początku i w końcu starożytnego okresu, przed epoką Piotra, odzywając się jeszcze dziś w odłączonéj części prostego ludu, jako dźwięk już prawie miniony. Bohaterskie podania o walce z dzikiemi ludami, które ciągle uderzały na nas z Azyi; o zniszczeniu pogaństwa i czarnoksięztwa; dadzą się słyszéć w naszych historycznych pieśniach. Pierwotny ich rzęd sięga czasów Włodzimierza. Po pieśniach bohaterskich, które wystawiają dosyć ciemną stronę dawnego narodowego życia, nastąpią wzniosłe, światłe pieśni duchowne, gdzie odbije się pierwszy spokojny pogląd na świat i człowieka, natchniony narodowi przez pierwotne chrześciaństwo. Pieśń, jako ogólne wyrażenie narodowego ducha, obejmuje w jednym momencie wszystkie czasy i losy narodu; nauka ma zadanie: oznaczyć w niéj epokę, i w każdém wiecznem jéj brzmieniu wskazać cechę czasu."

Wskazawszy główne piśmienne pomniki dawnéj Rusi, p. *Szewyrew* tłumaczy się, dlaczego największą część swojéj pracy poświęcił starożytnemu okresowi literatury ruskiéj. Zupełna nieznajomość starożytnéj epoki Rusi, która prawie całkiem zasłoniętą została nową reformę Piotra W., powodowała uczonego professora z prawdziwém zamiłowaniem, wziąć się do tego ciekawego i ważnego przedmiotu. Prace Kałajdowicza, Tymkowskiego i Wostokowa, nakoniec Kommissyi Archeograficznéj, przyczyniły się do obznajmienia z wielu pomnikami; jednakowoż te pomniki dotąd nie stały się jeszcze własnością nauki. Drugim ważnym powodem do tego, jest związek kwestyi naukowéj z kwestyą życia społecznego, ponieważ piśmienne pomniki dawnéj Rusi dotychczas należą do téj części ludu, któréj, jak się wyraża p. *Szewyrew*, należy się prawo, cześć i chwała słusznie nazywać się narodem ruskim.

Co do nowego okresu literatury ruskiéj, szanowny professor mówi: „Historya literatury ruskiéj w jéj nowszym okresie od Piotra aż do naszych czasów, nie będzie dokładnie objętą w moim kursie, w teraźniejszym akademicznym

roku, z powodu braku czasu. Przedstawię ją w skróceniu. Jednakowoż czasy Piotra, tak ściśle połączone z epoką poprzedzającą, będę się starał oznaczyć w zarysach dokładniejszych. Pisarze z tych czasów, przez swoje ukształcenie jeszcze należą do dawnego okresu, jeszcze daléj prowadzą wielką sprawę starożytnéj Rusi. Lecz sam Piotr już stoi na czele nowéj epoki. W jego charakterze i czynach, widzimy zarody tego, co się rozwinęło późniéj. Poznamy go jako pisarza. Prawda, treść jego dzieł, stosuje się do życia wojskowego i politycznego; lecz ważne ma w nich znaczenie styl ruski, w którym wybitnie maluje się indywidualność Piotra."

„Czasy Anny, wystawią nam nieszczęśliwą ostateczność jednéj strony w panowaniu Piotra: — wpływ cudzoziemszczyzny. Cały rozwój naszéj literatury od Łomonosowa do Puszkina włącznie, wystawimy w jednym ogólnym obrazie, i ześrodkujemy wszystkie szczegóły naokoło głównych idei, rozwijanych w całości. Lecz szczególną uwagę zwrócimy na znaczniejszych jego reprezentantów. Każdy zpomiędzy nich uosobił dla nas ogólną myśl, naokoło któréj środkują się wszystkie jego działania. Łomonosów i w swojéj biografii, i w akademicznych czynnościach, i w poezyi, wyraził dla nas myśl o nauce; — Derżawin prawnik i poeta, — myśl o prawie politycznem; Karamzin — współuczucie do powszechnéj ludzkiéj oświaty, połączone z głęboką miłością swego ludu; Żukowski — ideał czystéj duchowéj piękności; Puszkin — myśl artystyczną w całym rozkwicie mowy. Tak nasza literatura, w nowo-europejskim okresie, pomimo niedawnego swego istnienia, już zdołała w swoich reprezentantach, szlachetnie wyrazić te ogólne ludzkości myśli, które powinny poruszyć nowe ukształcenie Rusi, przy współdziałaniu dawnéj duchowéj siły. Nienapróżno chwała narodowa okryła imiona najcelniejszych wyobrazicieli naszéj mowy: w mowie téj błyszczy nieśmiertelna myśl, bez któréj opinia powszechna nie uwieńczyłaby ich chwałą. Wszyscy razem, przez swoje utwory, już mogą

godny przyjmować udział w wychowaniu strony ludzkiéj ludu rossyjskiego; a te myśli, które każdy zpomiędzy naszych pisarzy uosobił w swojéj mowie, powinny teraz stać się własnością całego rossyjskiego ludu, i być zaszczepione w tym twardym, niezachwianym gruncie, który sam naród przysposobił sobie w starożytném życiu. Oto jest stosunek, który mieszczę między nowym a dawnym okresem naszego życia i naszéj mowy, a z nim razem zadanie przyszłego rozwinięcia się Rossyi."

Przytoczę tu zakończenie wstępnéj prelekcyi p. *Szewyrewa*, pełne wzniosłéj i pięknéj wymowy:

„Nie utaję przed wami zadowolenia, jakie czuję na myśl, że na mnie wypadła koléj wykładania wam historyi starożytnéj naszéj mowy, tu, w Moskwie, przed świętemi murami Kremla, poza któremi niegdyś wrzało życie narodowe i dawała się słyszéć taż sama mowa. Teraz, z niepojętém uszanowaniem patrzemy na nasze pomniki; lecz jeszcze większe znaczenie będą miały dla nas, kiedy z każdego ich kamienia wydobędzie się dźwięk dawnego życia w nich zatajony. Dźwięki te nie umarły: jeszcze żyją w nas, i tylko drzymią, oczekując przebudzenia się. I zapewne, przyjdzie ten czas, być może wkrótce, kiedy te wymowne odgłosy życia obudzą się jak dzwony w czasie naszéj nocy na Zmartwychwstanie Zbawiciela, i otoczą niewidzialną siecią miłości z początku nas wszystkich, pomimo niezgody w zdaniach, a potém razem z nami wszystkie narody świata"....

Czytając prelekcye p. *Szewyrewa* i przeglądając z nim razem piśmienne pomniki starożytnéj Rusi, nie wiész czemu się dziwić: czy niezmordowanym badaniom uczonego professora, czy téż interesowności samego przedmiotu. Odsyłając czytelników do samych prelekcyj, przytoczymy tu jeszcze niektóre z nich wyjątki. Szczególniéj wiele nowych rzeczy powiedział p. *Szewyrew* o klechdach i pieśniach. Jest jedno cudne podanie o tém, dlaczego na Rusi znikli bohaterowie (*)? Podanie to uosobia wielką myśl, jakim sposo-

(*) *Bohatér* po rossyjsku: *Witjaź*; w polskim języku wyrazy: *zwycięzca, zwyciężać*. *Przyp. Dubr.*

bem siła materyalna na Rusi, zwolna ustąpiła miejsca sile duchowéj. Podanie musi być starożytne: dotychczas jeszcze żyje w ustach mieszkańców Syberyi. Trudno w tłumaczeniu polskiém zachować narodową cechę języka, w którym opowiedziane podanie; jednakowoż będziemy się starali o ile można spolszczyć je, i uczynić przynajmniéj treść jego zrozumiałą:

„Przy zachodzie pięknego słońca, wyjechało na rzékę Safat siedmiu walecznych ruskich bohaterów, siedmiu krzepkich braci, a w ich liczbie: Alesza Popowicz młody, Dobrynia junak i zawzięty kozak Ilja Muromec."

Rzéka Safat bardzo często wspominaną bywa w pieśniach ruskich, które opiewają walkę ludu ruskiego z hordami azyatyckiemi. Jestto niby granica ruskiego państwa, a na niéj odbywają się wielkie bitwy.

„Przed bohaterami zaległo czyste pole: na niém stoi rozłożysty dąb. Idą od niego trzy drogi: piérwsza do Nowogrodu, druga do Kijowa, trzecia do modrego morza."

„Zatrzymali się bohaterowie na rozdrożu, postawili biały płócienny namiot, puścili konie, aby bujały po szerokiém polu. Chodzą konie po jedwabnéj trawie, wyrywają zieloną trawę, brzęczą złotém wędzidłem; w namiocie zaś bohaterowie spoczywają."

„Tak było przy wschodzie pięknego słońca; wstał junak Dobrynia wcześniéj od innych, wyszedł do rzéki Safat, umył się zimną wodą, otarł się cienkiém płótnem, modlił się obrócony na wschód.... Za rzéką Safat spostrzega Dobrynia biały płócienny namiot; w tym namiocie leży Tatarzyn, złośliwy Tatarzyn bisurman: nie przepuszcza ani jeźdźca, ani piątnika. Osiodłał Dobrynia swego dzielnego konia, wziął dzidę bułatną i wsiadł na konia."

„Przeskoczywszy rzékę, Dobrynia piérwszy wyzywa Tatarzyna, aby się z nim bił: Tatarzyn przystał na to. Zjechali się razem; dzidy się połamały, miecze pokruszyły, bohaterowie zsiedli z koni i wszczął się między nimi ręczny bój."

„Dobrynia został zwyciężony i padł na ziemię. Tatarzyn wskoczył mu na piersi, rozszarpał je i wyrwał serce."

„Wstał drugi bohatér, Alesza Popowicz. Widzi za rzéką konia Dobryni. Stoi dzielny rumak osiodłany, ale jest smutny; spuścił jasne oczy w ziemię, snadź stęsknił się za swoim panem."

„Wsiadł Alesza na koń: koń sroży się, wzbija się od ziemi, przeskoczył za rzékę Safat. Wdali widać biały namiot. Alesza zbliża się do Dobryni, ten śpi głębokim snem; Alesza wyzywa Tatarzyna do boju. I Tatarzyn padł zwyciężony; chciał Alesza rozszarpać mu piersi i wyrwać serce; lecz nie wiedziéć zkąd ukazał się czarny kruk. Uwija się koło Aleszy, prosi, aby nie szarpał piersi Tatarzynowi i obiecuje mu przynieść z za morza martwéj i żywéj wody. Alesza usłuchał. Kruk dotrzymał słowa. Alesza skropił Dobrynię martwą wodą, a pozrastało jego ciało, zagoiły się krwawe rany; skropił go żywą wodą, a obudził się bohatér ze snu śmiertelnego. Puścili wolno Tatarzyna."

„Trzeci, Ilja Muromec, wyszedł z namiotu. Widzi, że przez rzékę Safat przeprawia się niezliczona bisurmańska siła. Ilja Muromec zwołuje bohaterów. Stawili się na skinienie, wsiedli na dzielne konie, rzucili się na siłę bisurmańską. Nie tyle bohaterowie rąbią, ile dzielne ich konie depczą wroga. Bili się trzy godziny i trzy minuty; porąbali siłę pogan."

„Zwyciężywszy ją, bohaterowie zaczęli się pysznić i przechwalać w następny sposób:

„Nieutrudzone jeszcze w bitwie nasze silne ramiona, niezmęczone nasze dzielne konie, niestępione nasze bułatne miecze!" I piérwszy Alesza Popowicz oszalał z dumy i mówi: „Stawcie przed nami siłę Nieba, a my, bohaterowie, podołamy walczyć z tą siłą!"

„Zaledwie wymówił nierozsądne słowa, przybiegło dwóch wojowników z nieba, i powiedzieli głośno: „Wstępujcie bohaterowie z nami do boju, chociaż jest nas tylko dwóch, was zaś siedmiu." Zapalił się Alesza Popowicz po tych słowach, puścił dzielnego konia, napadł na wojowników niebieskich, i porąbał każdego na dwoje z całéj mocy. Z dwóch zrobiło się cztérech i wszyscy żywi! Napadł na nich

junak Dobrynia, porąbał każdego na dwoje z całéj siły. Stanęło ośmiu i wszyscy są żywi! Napadł na nich Ilja Muromec, porąbał każdego na dwoje z całéj siły; dwakroć stanęło więcéj i wszyscy są żywi. Rzucili się na siłę wszyscy bohaterowie, zaczęli siłę rąbać; siła zaś rośnie a rośnie, coraz więcéj naciérając na bohaterów."

„Bili się bohaterowie trzy dni, trzy godziny, trzy minuty; strudzone były ich silne ramiona, zmęczone ich dzielne konie, stępione ich bułaty; siła zaś rośnie a rośnie, coraz więcéj naciérając na bohaterów."

„Przestraszyli się waleczni bohaterowie, pobiegli do kamiennych gór, do ciemnych pieczar. Ale jak tylko bohatér podbiegnie pod górę, skamienieje: podbiegnie drugi i skamienieje, podbiegnie trzeci i skamienieje."

„Od tego czasu już niéma więcéj bohaterów na Rusi."

Tak naród ruski, w tém głębokomyślném podaniu, objaśnił sobie, jak w dawném jego życiu, siła cielesna, uosobiona w bohaterach, zwyciężywszy hordy azyatyckie, ustąpiła miejsca sile duchowéj, która powoli rozszerzyła się po wszystkich krańcach ziemi ruskiéj. Lecz poezya ludu w przeszłości przepowiada przyszłość: więc i w tém podaniu przeszłości, naród ruski uznaje swoje przyszłe duchowe przeznaczenie, uznaje że siła ducha powinna w nim zwyciężyć wszelką siłę cielesną.

W ogóle badania p. *Szewyrewa* nad pieśniami i klechdami ludu ruskiego, rzucają wielkie światło na ten przedmiot. Co się tyczy wyjaśnienia piśmiennych pomników, szanowny professor nie szczędził mozolnéj pracy, i śmiało można powiedzieć, że piérwszy z uczonych rossyjskich obszernie i z głęboką nauką tego przedmiotu dotknął. Jakże, np. są ważne i szacowne jego uwagi nad *Słowem o pułku Igora*! Albo pogląd na piśmienny pomnik z początku XII wieku, p. t. *Pątnik, czyli Pielgrzymka do ziemi świętéj Daniela, zakonnika ziemi ruskiéj* (*). Na zakończenie naszego artykułu, przytoczymy tu jedno miejsce z tego pięknego pomnika:

(*) W wieku XII pielgrzymki pątników ruskich do Jerozolimy były bardzo częste.

Opisując przygotowanie lamp na grobie Pańskim w Wielki Piątek, pieczętowanie samego grobu i gaszenie wszystkich świec w kościołach jerozolimskich, *Daniel* opisuje w następny sposób swoje widzenie się z Balduinem i swój ostatni czyn w Jerozolimie:

„Wtedy ja nędzny i nieznaczący, poszedłem w Wielki Piątek w piérwszéj godzinie dnia do księcia Balduina, i ukłoniłem się mu do ziemi. On zaś widząc to, zawołał mnie do siebie z uprzejmością i powiedział:

„Czego chcesz zakonniku ruski?" Poznał mnie dobrze i bardzo mnie lubił, ponieważ byłto mąż dobry, bardzo łagodny i nie dumny. Ja zaś odpowiedziałem mu: *„Mój książę, Panie! błagam cię w imieniu Boga i w imieniu książąt ruskich; chciałbym i ja postawić moję lampę na świętym grobie Pańskim od całéj ruskiéj ziemi i wszystkich książąt naszych, i wszystkich chrześcian ziemi ruskiéj."* Wtedy książę z radością pozwolił mi postawić moję lampę, i posłał razem ze mną swego człowieka, najlepszego sługę, do ekonoma przy kościele Zmartwychwstania, i do tego, który pilnuje grobu Pańskiego. I obydwa, ekonom i zakrystyan grobu Pańskiego rozkazali mi przynieść ze sobą lampę z oliwą. Ja zaś ukłoniwszy się im, poszedłem na targ z wielką radością i kupiłem oliwy czystéj bez wody i przyniosłem do grobu Pańskiego, już był wieczór, i prosiłem zakrystyana, aby szedł ze mną. On zaś otworzył drzwi grobu Pańskiego, kazał mi zdjąć obuwie, i boso zaprowadził mnie samego do grobu Pańskiego z lampą, którą niosłem, i kazał mi postawić ją w nogach, własnemi grzesznemi rękoma; w głowach zaś stała lampa grecka, a na środku z wierzchu Pańskiego grobu, lampa wszystkich klasztorów; i na tymże środku postawiłem i ja, grzesznik, lampę ruską."

Postawiwszy lampę swoję na grobie Pańskim, zakonnik ze łzami ucałował to święte miejsce, gdzie leżało najczystsze ciało pana naszego Jezusa Chrystusa, i wyszedł z grobu tego z wielką radością, i poszedł do swéj celi.

Na siódmy dzień, książę Balduin poszedł do grobu Pańskiego razem ze swoją drużyną; wszyscy boso i pieszo. Opat

św. Sabby z bracią, i w téj liczbie pątnik Daniel, znajdowali się pod ochroną Balduina, który postawił ruskiego pielgrzyma obok siebie. Wojsko rozsunęło tłumy ludu dla wolnego przejścia. Pielgrzymi przeszli do kościoła do samego grobu świętego, pod przewodnictwem Balduina, który sam kazał umieścić Daniela wysoko, nad samemi drzwiami grobu, przeciwko wielkiego ołtarza. Długo oczekiwano na zjawienie się światła świętego. Biskup i dyakon dwa razy wychodzili od ołtarza i chylali się przede drzwiami grobu, czy nie zobaczą światła? Oczekiwania były daremne. Wtenczas wszyscy przytomni ze łzami zawołali: *Kirie eleison.* Gdy zaś zaśpiewano: *Panu śpiéwamy,* nagle przyszła od wschodu mała chmurka i zatrzymała się nad otwartym wierzchem kościoła; lekki deszczyk spadł nad świętym grobem i skropił wszystkich obok stojących. Wtedy w mgnieniu oka zajaśniało światło na grobie Pańskim i powstał z niego blask nadzwyczajny. Biskup i cztérech dyakonów zbliżyło się do grobu i otworzyli drzwi. Wziąwszy świécę od księcia Balduina, biskup wszedł do grobu i zapalił ją od tego świętego światła, potém wyniosłszy ją z grobu, oddał samemu księciu do rąk. Wszyscy potém zapalili swoje świéce u świécy księcia.

Otrzymawszy światło, wszyscy poszli do swoich kościołów, aby zapalić tam świéce i dokończyć nabożeństwo. Nazajutrz, opat św. Sabby wyniósł z grobu swoję zapaloną lampę. Pokazało się, że tylko trzy lampy stojące nad grobem zapaliły się wtedy; w ich liczbie była lampa Daniela. Po trzech dniach, pątnik ruski wziął swoję lampę którą postawił na grobie Pańskim w imieniu ziemi ruskiéj, wszystkich jéj książąt i wszystkich chrześcian, wtedy, kiedy wrzały niesnaski między książętami, kiedy Połowcy niepokoili kraj, i własne dzieci szarpały członki swéj matki!....

Warszawa 28 marca 1847 roku.

P. Dubrowski.

Wspomnienia koncertowe.

Ze wszystkich rodzajów kompozycyi czysto instrumentalnéj, najtrudniejszym jest niewątpliwie ten, który orkiestrę ma za tłumacza. Samo bogactwo środków wymaga i każe się domyślać głębokiego opracowania przedmiotu, wyczerpania go prawie ze stanowiska kompozytora; a im wszechstronniejszym ma być obraz, tém więcéj szczegółów, sprzeczności i podobieństw zawiérać powinien, tém trudniejszym jest wybór barw instrumentalnych, mających niedwuznacznie odcienia przedstawiać: ztąd sztuka instrumentowania tylko przez długą praktykę da się posiąść. Z drugiéj strony możność i potrzeba nawet równoczesnego rozwijania rysów najsprzeczniejszych czasem, a niemożność przekonania się, jakim to lub owo zespolenie części udaruje effektem, niemniejszych trudności jest źródłem. I często zdarzyć się może, że dzieło na orkiestrę podobne jest do obrazu nieznanych nam osób, jaki nam przedstawia imaginacya budująca na niedostatecznym opisie, jednostronnéj znajomości charakteru, przywidzeniu nawet. I znów samo wykonanie może myśl w nową przybrać suknię. Dobroć narzędzi muzycznych, stosowne ich obsadzenie w miarę naznaczonéj im roli i potęgi innych, w miarę natury lokalu, pomieszczenie ich nawet, sąto wszystko szczegóły, na które bez względu na zmienne okoliczności, kompozytorowie i dyrektorowie orkiestry nie przywykli uważać, choć niémi wiele dokazuje ów głośny dziś w orkiestracyi Berlioz. Cóż mówić o zdolności indywiduów, technicznéj i niemniéj ważnéj zdolności poddania się życzeniu autora, trafném pojęciu i wiernem przedstawieniu jego myśli, tém zaparciu się samych siebie dla usłużenia jednemu? Tak więc biédny kompozytor na orkiestrę wiele przewidziéć musi, by ile można najmniéj ucierpiał. Myśli te nasuwają się mimowolnie po przesłuchaniu drugiéj uwertury na orkiestrę p. Maxymiliana Einert, na koncercie pana Dietrich wykonanéj. Mamy powody mniemać, że uwertura ucierpiała prawie ze wszystkich wyżéj wymienionych szczegółów, a przywiedliśmy je

tutaj raczéj jako usprawiedliwienie nie zarzut. Wiadomo zresztą, że świetny i stosowny koloryt nie stanowi jeszcze obrazu, choć doń pociąga; ważniejszym jest pomysł i rysunek, i biédnato być musi muzyka, któréj nic nie pozostaje po odjęciu instrumentacyi. jak się to dzieje z kompozycyami tego samego Berlioza. Mają brzmiéć olbrzymio i suto w orkiestrze, nieznośne są w samym tylko rysunku; to tak zupełnie jak z wielomą ludźmi, wierzchnim błyszczącemi przyborem. Co się tyczy pomysłów muzycznych w uwerturze pana E. zawartych, prawie zupełnie brak im oryginalności, bo nie mają wybitnego charakteru; prawie zawsze wątpliwym do nas przemawiają językiem, bo im brak dążności; autor nie miał zapewne celu do któregoby zmierzał ciągle, nie miał ideału który jak słońce, gdziekolwiek posunie twarz swoję, zawsze ku sobie zwraca tarczę krzewiny chciwéj jego promieni. Sąd ten tém twardszy zdawać się może, że go tu tylko odwołaniem się do pamięci słuchaczów poprzéć możemy, i dodaniem krótkiego objaśnienia, co wedle pojęć naszych jest w muzyce oryginalnością, charakterem, celem. Przedewszystkiém jednak zamieszczamy tę uwagę, że gdybyśmy chcieli zniżyć się ze stanowiska raz za jedynie godne sztuki w sądzie o niéj uznanego, powiedzielibyśmy dosyć zwykłym recenzentom językiem, że: trochę więcéj swobody w formie, a nadewszystko więcéj praktyki umiejącéj drobiazgi do posłuszeństwa przywieść, a pan E. dobrym będzie kompozytorem. Ale wtenczas byłby kompozytorem jak tylu innych, co to powiązawszy mniéj więcéj zręcznie różnorodne kawałki, pysznie kompozytorami nazywać się każą; pochlebny głos niemyślącego tłumu usypia ich po kilku krokach na niezmiernéj drodze ledwie co rozpoczętéj, a historya sztuki puchnie mnogością nazwisk, z których ledwie kilka doczeka się echa w sercach przyszłych pokoleń. Bo zawsze znajdą się ludzie, dla których świętym jest obowiązkiem wszystko notować i głośno krzyczéć ku większéj chwale narodowéj, jak są kompozytorowie, dla których w tańcu puzon koniecznie potrzebny! Zdaje im się,

że co ryczy i nerwy wstrząsa już tém samém dobre być musi, i że było głośno wrzeszczéć, to już ludzie uwierzą że to prawda. Ale gdy przyjdzie sąd ostateczny dla sztuki, a czekać nań długo nigdy nie trzeba, ileżto imion brzmiących oklaskami głupców w proch upadnie! Takiego losu nie obawia się nigdy głębokie rzeczy pojęcie, i ten święty zapał, co ze szczerością ludzkie serce dla ludzi odkrywa. „Miéj serce i patrzaj w serce" to jest godło artysty.

Dzieło sztuki niéma być owym bawiącym dzieci kalejdoskopem, w którego przelotnych obrazkach nic podobnego nie bywa, a cały związek na tożsamości materyału się kończy. Dzieło sztuki musi miéć cel, a jest nim myśl jedyna z przymiotami dla których ją ideałem zowiemy. Uwertura jako obraz instrumentalny ma coś przedstawiać; niekoniecznie treść dramatu, i w takim razie nazwa, tylko swobodę formy a nie treść pokazuje. Symfonie Bethowena *héroïque* i *pastorale*, instrumentalne wstępy do oddzielnych części w oratoryach Hajdena i t. p. są albo obrazem jakiego szczegółu natury, albo (i przedewszystkiém) pewnego usposobienia duszy tamtemi wywołanego. A uczucia wywiązujące się ze stosunku ludzi z ludźmi, ileż przedstawiają obrazów ciągle nowych bo zmiennych w odcieniach niezliczonych? Bogactwo więc nieprzebrane i wybór przedmiotu łatwy, jeśli z całą szczerością ducha zechcemy słuchać wewnętrznego głosu i wiernie go na głos powtórzemy. Taki jeden pomysł, jest ciągłym przewodnikiem w pracy; ciągle zagrzewać będzie, choć przerwa ostudzi. Da charakter, bo wszystko jedną odzieje barwą; da oryginalność, bo spowoduje wpatrzenie się głębokie w przedmiot własném okiem i zmusi do wypowiedzenia własnych spostrzeżeń własnym językiem. Ztąd gdzie oryginalności niéma, tam niéma wrodzonych zdolności do samodzielnego pojmowania przedmiotu, tam niéma wydatnego charakteru w sztuce, tam niéma myśli choć są zdania. Ale oryginalność jeszcze inaczéj pojmowaną bywa choć mylnie. Jeśli nie umiemy powiedziéć, gdzieśmy już tę myśl lub to zdanie słyszeli, nazywamy je oryginalném, choć treść jego dawno nam już jest

znaną. Wybaczamy mu jednak, jak przebaczamy tylokrotnie powtarzanym odwiecznym zdaniom w książkach, bo rozsądnych rzeczy szukamy. Wtenczas tylko one dla nas powab nowości mają, gdy do niezwykłych prowadzą wypadków. Takato oryginalność jednak bez ostatniego przymiotu panuje w uwerturze w mowie będącéj. Większa jéj część zdaje się być zdaniem examinu z tego, cośmy sobie przez długie studya przyswoili; własnymi wyrazami wypowiedziane, ale nie własném pojęciem, bo nie nowe. Taką była piérwsza uwertura tegoż autora; żeśmy jéj motywa oryginalnemi nazwali, to tylko w duchu ostatnim, wiedząc, że niepodobna prawie oprzéć się mnogim trudnościom, z któremi piérwszy raz walczyć przychodzi. Ale dziś widząc siły autora wzrosłe, mamy sobie za obowiązek przypomnieć mu, że naśladować nie jest tworzyć. Bądźto świeżo jeszcze studya, bądź zamiłowanie dobrze skierowane, z prac pana E. wieje przedewszystkiém duch Meyerbeera i Rossiniego (niekiedy jak i w piérwszéj uwerturze Auberа). Duch to dwóch gieniuszów, który naśladowcy może zaszczytne miejsce między kompozytorami zapewnić, jeśli będzie pochwycony w chwili najpotężniejszego działania. Ale p. E naśladował słabsze miejsca których gieniuszom nie brakuje, i lękać się należy, by zamiast ich wzniosłością, maniernością nie przesiąkł. Wtenczas przecież są oni najmniéj sami sobą, i tylko nadzwyczajną zręcznością w przyborze pokrywają niedobór. Od tego wszystkiego chroni ciągły zwrot ku założonemu celowi, on wybiéra i szykuje myśli, daje więc treść i formę. Szczęśliwy, kto samoistnie patrzéć umié.

O panu Dietrich fortepianiście niewiele umiemy powiedzieć; ani pokazał mechanizmu któryby go upoważniał do dania koncertu, ani pamiętał że ma przed sobą ludzi, mających nietylko uszy, ale i serce. Jako kompozytor, daléj niż tylu innych posunął żarty z publiczności: nie zna widać polskiego przysłowia: jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg.

Od czasu jak zagraniczni artyści mniéj na nas łaskawi, zostawili więcéj sposobności do przedstawiania się domo-

wym talentom, nie mieliśmy prawie nikogo do równie pięknych upoważniającego nadziei jak pannę Winnen. Natura obdarzyła ją pięknym głosem altowym, którego nizkim tonom przybędzie jeszcze zczasem potęgi. Nauka wiele jeszcze ma do zrobienia, chociaż wiele już zrobiono nie zaszczepiwszy początkującéj śpiewaczce owych nieznośnych narowów, które powszechnie za metodę uchodzą. Własności dynamiczne w głosie p. Winnen mało są wyrobione, ale nie ma owego szarpania piersi przejściem gwałtownem z idyllicznego *piano* do wojennego *forte*; téj zgubnéj maniery, która zdaniem Fetisa (*) zrujnowała od pół wieku wszystkie głosy na scenach europejskich. Protektorem téj maniery za naszych czasów jest a raczéj był Rubini, a jakże nie naśladować Rubiniego? W głosie p. Winnen niéma owéj nieopisanéj czułości, która na rozkaz śpiewaka kamienne serca porusza, ale niéma téj przesadnéj i udawanéj namiętności niby, co to przy każdém podniesieniu uczucia drżącym odzywa się głosem; rzekłbyś że to z przeziębnięcia; bo czy gniéw, rozpacz, żal, radość lub rozkosz gra w sercu, trzęsienie głosem zawsze dobre. Ach wierzcie mi hipokondrycy! duet w tym rodzaju niemylnym dla was będzie lekarstwem, do łez was rozśmieszy, a wdzięczność za to chowajcie dzisiejszéj metodzie włoskiéj; dawniejsza któréj tradycya nawet już zaginęła, przepadła szczęściem na długo, i nie szkoda; wprawdzie ona także łzy wyciskała — ale wzruszenia; mogliżbyście się wahać w wyborze? I już dzisiaj nikt prawie inaczéj nie śpiéwa. Ale za to śpiéwają z małym wyjątkiem po włosku; przynajmniéj słuchacz niezdolny ocenić muzyki po wyrazach, nie może zarzucić śpiéwakowi niestosowności expressyi; a śpiewający choć sami najczęściéj nie rozumieją, (bo cóż to ich obchodzi?) łatwo budzą przekonanie o niezmiernym czuciu swojém. Obrawszy już raz dosyć zapewne dziwny sposób polecenia panny W. wyszczególnianiem wad których nie ma, nie możemy pominąć owego niby *portamento* (przejście z tonu w ton tak zręczne, że

(*) Révue et Gazette musicale 1845. Sur la décadence du chant.

nie znać gdzie się jeden kończy a drugi zaczyna) z góry na dół, tak podobnego do głośnego ziewania, że nerwowi słuchacze mimowolnie się odzywają: *superbe!* dowodząc zarazem że po włosku nie rozumieją. Panna W. śpiéwała po polsku romans ś. p. Sandmana, dzięki jéj i za to; wyznajemy przecież, choćby to ktoś chciał położyć na karb niezdolności języka naszego do śpiéwu, że ten właśnie romans najmniéj się jéj udał. Jużto sama kompozycya nie jest z najszczęśliwszych Sandmana, a jako obrana ze wszystkiego co prostotę śpiéwu zaciéra, wymaga nadzwyczajnéj zdolności w głosie do cieniowania. Wielki brak tego przymiotu w śpiéwie panny W. wydaje, że mało się zajmowała ćwiczeniem w *messa di voce* (wzmacnianie i zciszanie tonu stopniowe). A jednak ono tylko samo uczy śpiéwaka nieznaczném nagięciem głosu wielki wywoływać effekt, przedłużać oddech, przymiot tak konieczny do dobrego frazowania. Ono to gładzi szorstkość tonów piersiowych zwykłą w głosach altowych, pomnaża massę tonów falsetu piersiowym przyległych i do tego stopnia jest ważne w nauce śpiéwu, że dało powód do zmyślenia, jakoby Porpora ów sławny twórca neapolitańskiéj szkoły śpiéwu, przez piérwsze trzy lata nauki, samego tylko *messa di voce* uczniom swoim dozwalał, zanim rozbiegli się po Europie zdobywać śpiéwem serca, złoto, ministerstwa i mitry książęce.

J. Sikorski.

Bertha z Düsseldorfu.

Czemuż najczęściéj szukamy szczęścia tam gdzie go niéma, wtedy gdy rzuciwszy okiem w siebie albo obok siebie, pewniebyśmy gó znaléźć mogli? Czemuż go szukamy w odmęcie wielkiego świata, w przynętach miłości własnéj, w dumie, pochlebstwach? a nie pytając własnego serca, patrzymy oczyma błędnéj wyobraźni, albo słuchamy niewolniczo rozwagi i rachuby? W każdym stanie, w każdym wieku, szczęśliwym być można, gdy powściągając nasze chęci, zmniejszając

życzenia, przestajemy na małém, umiemy mieć dosyć! A jeżeli to szczęście, które sobie wyobraźnia tworzy, które serce przeczuwa, które się gruntuje na połączeniu dwóch istot dla siebie stworzonych, co się od dnia swojego urodzenia szukają, a często do dnia śmierci napotkać nie mogą; jeżeli to szczęście mówię, jest tak rzadkiém, może dlatego, iż gdyby tak było, byłoby tutaj nadto dobrze, abyśmy mogli przypuszczać że tam lepiéj będzie! Najczęściéj nie osiągamy celu życzeń naszych, nie dobijamy do brzegu, gdyż nie umiejąc przezwyciężyć przeszkód, uchylić zawad, rozegnać przesądy, zatrzymujemy się w drodze, siły nasze wątleją, odwaga nas opuszcza, przedsięwzięcie słabieje, a wola ustaje, gdyż umiejąc pragnąć, chcieć nie umiemy.

I.

Ponad brzegami Renu, o pół mili od Düsseldorfu, mały domek otoczony ogrodem, na wyniosłym pagórku, zdawał się panować nad czarującą okolicą.

Te wsie jakby umyślnie rozsiane, te wieże poblizkich kościołów, te szczątki starożytnych zamków, te mury obszernego miasta, to nurty wspaniałéj rzéki, w zachwycenie wprawiały! I któż się nad temi pięknościami nie zdumiał? któren wędrownik nie zwrócił kroki swoje tam, po nad brzegi Renu?... Szedł uprzedzony pochwałą, a znalazł jeszcze więcéj aniżeli oczekiwał. Tameczny tylko mieszkaniec, nie czuje piękności kraju w którym żyje; oswoiły się oczy jego z tém co drugich uderza, co się drugim podoba; ich zadziwieniu się dziwi, bo nie widząc tego co oni widzą, czuć nie może tego co oni czują. Niechże opuści na czas niejaki domową strzechę, wtedy dopiéro powaby rodzinnéj ziemi, tęsknotą wzniecone, przed oczyma mu staną, wtedy dopiéro zaczyna spostrzegać, rozbiérać, oceniać! Nie widział tego co miał, czuje to co utracił!

Wdowa po niegdyś bogatym kupcu, którego fałszywe spekulacye zrujnowały i o śmierć przyprawiły, pani Schmidt, z całego majątku uratowawszy szczupły i zaledwo do życia wystarczający fundusz, niemogąc się w mieście utrzymać,

osiadła na wsi. Z dawnych dostatków, z przeszłego szczęścia, została jéj siedmhastoletnia córka Bertha! Jéj poświęcić wszystkie chwile życia, czuwać nad nią, zajmować się jéj wychowaniem, marzyć o jéj przyszłości, było codziennem zajęciem, jedyną rozkoszą dobréj matki. Pielęgnowała, chroniła, zasłaniała tę młodą roślinę i od północnych wichrów i od południowéj burzy. W spokojném zaciszu Bertha pędziła życia swojego poranek, każden dzień dodawał jéj nowych wdzięków, bogacił ją nową cnotą. Serce jéj było czyste, tak jak czyste niebo! Lecz i niebo chmura czasami zasłoni, niepokój czasami serce zakłóci! Wychowana bez zbytków, Bertha umiała przestawać na małém, bo nie znała co to jest mieć więcéj, a myśl jéj nie sięgała poza krańce możności. Kto ją raz widział w téj orzechowéj sukience, opiętéj czarnym fartuszkiem, w tym białym staniku z krótkiemi rękawkami, z temi gładko uczesanemi włosami, z tym złotym krzyżykiem na czarnéj wstążeczce na szyi; kto się raz z jéj spojrzeniem spotkał, ten ją długo, ten ją zawsze pamiętał.

Skołatane zdrowie pani Schmidt, nie dozwalało jéj często odwiedzać sąsiadów, a szczupły majątek zabraniał przyjmować u siebie. Bez krewnych, bez przyjaciół, żyła tylko z córką, dla córki! Bertha nie znała świata, nie znała ludzi; starannie wychowana, odebrała nauki; na doświadczenie czekała! Wychowana w wierze katolickiéj, wierzyła i ufała! Co niedziela z matką do miasta na nabożeństwo chodziła: gorąco Boga prosiła, o co? może sama jeszcze nie wiedziała.

Czyli o wschodzie, czyli o zachodzie słońca, najulubieńszą były jéj przechadzką nadbrzeża Renu. Patrząc na to tak piękne przyrodzenie, pojąc się wonią kwiatów, przyszłe te życie stroiła wyobraźni farbami; marzenie trwało jeszcze, trwał sen na jawie!

Razu pewnego wracała z matką z Düsseldorfu. Słońce nachylało się już ku zachodowi. Przy zakręcie góry, pod cieniem rozłożystéj lipy, siedział nieznajomy; badawczém okiem całą przestrzeń przebiegał, teka z papierami leżała przed nim, ołówek trzymał w ręku. Szelest nadchodzących

przerwał jego dumanie, powstał z miejsca, odwrócił się, chciał kilka kroków zrobić, nie mógł, chciał cóś wyrzec, ale mu słów zabrakło; stał jak wryty, jakby zjawiskiem jakiém nagle uderzony! Wtém pani Schmidt zbliżywszy się do nieznajomego:—„Pan jesteś jak widzę malarzem", rzekła do niego, „przynęcony naszą okolicą rysujesz to co twe oko zachwyca."—„Tak jest" odpowiedział, ukłon za ukłon oddając. „od kilku tygodni mieszkam w Düsseldorfie. Od najmłodszych lat życia mojego, mając nieco skłonności do rysunków, przyjechałem do tutejszego miasta doskonalić się w szkole, która tylu sławnych mistrzów wydała. Miłość własna nie zaślepia mię do tego stopnia, abym mógł przypuszczać, że im kiedykolwiek wyrównam. Naśladować dobre wzory było moim celem, zbliżyć się do prawdy, usiłowaniem; teraz ze smutkiem tylko wkoło siebie spoglądam!" —„Dlaczego? przerwała pani Schmidt, czyli oczekiwanie pana zawiedzione zostało?"

—„Nie, lecz przekonałem się, że sztuka, piękności przyrodzenia nigdy oddać nie zdoła",—rzekł i spojrzał na Berthę.

Ta tymczasem, rzuciwszy okiem na rysunek nieznajomego,—„patrz, zawołała z radością, odwracając się do matki, to nasza okolica, nasz domek, nasz ogródek, ławeczka pod jabłonią." Dosyć jeszcze długo rozmawiali z sobą; malarz zebrawszy swoje papiery szedł z niemi, a doprowadziwszy do progu domu, prosił o pozwolenie nawiedzania ich czasami, gdyż właśnie z tego punktu spostrzegał nowe i coraz piękniejsze widoki, które życzył sobie rzucić na papiér.

II.

Adolf Brown urodził się ponad brzegami Elby. Ojciec jego przez lat kilkanaście służąc w wojsku pruskiém, w roku 1807 pod Fridlandem zginął. Zostawił po sobie wdowę i sześcioletniego syna, który po ojcu prócz dobrego imienia nic więcéj nie odziedziczył. Do dwudziestego roku życia swojego Adolf wychowany przez matkę, przy niéj przemieszkiwał, utraciwszy ją, został sam jeden na ziemi. Młody, pełen wyobraźni, zapału i życia, rzucony sam

jeden w odmęt świata, bez przewodnika, bez pociechy, bez rady, kochał i był zdradzony, szukał przyjaciela, przyjaciela nie znalazł. W całéj namiętności, w całym szale żądz młodzieńczych, doświadczywszy niewiary, doznawszy zawodów, zaledwo się poił wonią wiosny, jużci czarę goryczy do dna wychylić musiał!

Straciwszy to wszystko co przywiązuje do życia i rzeczywistość i urok, nie ufając nadziei, nic niewierzący w szczęście, rozumiejąc że zbolałe serce już kochać nie zdoła, sztukom pięknym życie swoje chciał poświęcić. Posiadając wiele zdolności do malarstwa, malarstwu się oddał. Naśladować piękność przyrodzenia, zdawało mu się przedłużeniem tego snu, z którego tak się zawcześnie obudził. Przepędziwszy lat kilka w Berlinie i Dreznie, przybył do Düsseldorfu.

Adolf miał lat trzydzieści. Jeżeli ślady nieszczęść wyryły na nim swoje piętno, moralne cierpienia fizyczną siłą odpiérał. Gęste ciemne włosy spadały na pociągłą a bladą twarz jego; wejrzenie słodkie, ale pełne ognia, obrazem było serca, które wiele ucierpiało, ale czuło jeszcze! Wysokiego wzrostu, trochę pochyło się trzymał, jak gdyby się pod ciężarem uginał, jak gdyby szukał na ziemi tego, co się tylko znajduje w niebie. Słodkiego charakteru, łatwego pożycia, szczéry i otwarty; jakim był dzisiaj, takim i jutro, takim zawsze. Dobry może aż nadto, może za słaby, najczęściéj ulegał, bo się oprzéć nie mógł, szczególniéj tym, co mu do serca trafiali. Często omamiony, łatwo oszukany, mimowolnie jeszcze wierzył, jeszcze ufał, bo po sobie o drugich sądził.

Nie minął miesiąc, a Adolf z początku rzadko, potém częściéj, nakoniec co wieczór odwiedzał mały domek pani Schmidt. Już całéj okolicy widoki pokończył, już rysunkami swojemi pokoik Berthy przystroił, a jeszcze co dzień przychodził! Co wieczór przed zachodem słońca Bertha przed domem czekała na niego, a spostrzegłszy zdaleka, białą go chustką witała. Po zachodzie słońca, to po ma-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

łym ogródku, to ponad brzegami rzéki przechadzali się z sobą. Znużeni przechadzką, siadali na ławce pod jabłonią. To miejsce ulubioném od nich było, tam nieraz Adolf na Berthę czekał, tam Bertha o Adolfie myślała.

Pani Schmidt słabego zdrowia, rzadko kiedy towarzyszyć im mogła. Bertha i Adolf oddani sami sobie, już bez siebie tęsknili. Przybliżał ich wzajemnie ten pociąg dwóch serc, któren z upodobania do miłości wiedzie, któren tak łatwo w namiętność wtrąca!

III.

Minęła wiosna, minęło lato, a jesień pożółciła już liście. Jednego wieczoru Adolf z Berthą szli razem, szli daleko, szli długo w milczeniu. Adolf był smutny, Bertha zamyśloną. — „Adolfie, rzekła nakoniec z niejakiem wahaniem, już oddawna chciałam z tobą mówić z tą szczerością, z tą otwartością, na którą tak zasługujesz. Adolfie, już znamy się dobrze, już się rozumiemy nawzajem, a usta nasze nic jeszcze dotąd nie wyrzekły! Dobrze w twojém sercu czytam, a nie chcąc ciebie w błąd wprowadzić, wolę piérwsza zacząć mówić, aniżeli czekać aż będzie za późno!.... Zamilkła, aż będzie za późno wyrzekłszy. Biédna, nie wiedziała że już było za późno!

Przybliżył się do niéj Adolf, wziął za rękę, wzniósł oczy w niebo, a zwolna potrząsnąwszy głową, spojrzał na Berthę, jak gdyby chciał powtórzyć: — za późno!

— „Adolfie! rzekła daléj, ty mnie kochasz? Nie taję przed tobą że i ja wielki pociąg mam do ciebie, lecz może czas jeszcze; zastanówmy się nad sobą; wstrzymajmy się nad samą przepaścią. Jużeś był tak nieszczęśliwym, nie chcę abyś z mojéj przyczyny jeszcze więcéj cierpiał!

— „Bertho! zawołał Adolf, z twojéj przyczyny cierpiéć? tak jest cierpię! Ale odbierz mi raczéj życie, niż to cierpienie! Bertho! kocham ciebie z całéj duszy, z całą namiętnością, kocham ciebie zanadto, bo ty nigdy nie pojmiesz ile ciebie kochać można! Bertho! bardzo byłem nieszczęśliwy, ale przyzwyczaić się można nawet do tego co boli. Nakoniec zdawało mi się, że tak być musi, że cierpiéć jest prze-

znaczeniem mojém! Odrętwienie do którego doszedłem, ta obojętność na wszystko, ten letarg duszy, w którym człowiek wié że żyje, lecz życia nie czuje, powoli mię wtrącał do grobu; ujrzałem ciebie, serce na nowo bić poczęło. Jak to drzewo, które czasami w jesieni nową się zielonością okryje, uczucia moje na nowo odżyły, uśmiechem nadziei wzniecone! Bertho! spojrzyi na mnie, i ty mnie kochasz? Ubogą jesteś, ja majątku nie mam; odpowiédz, chcesz być moją? Żyć będziemy pracą rąk moich. Bertho! czy pojmujesz to szczęście, żywić przedmiot swojéj miłości pracą rąk własnych? Odpowiédz, chcesz być moją"?

— „Nie mogę", odpowiedziała Bertha.

— „Więc mnie nie kochasz?"

— „Adolfie! czyż niedosyć dla ciebie że nieobojętnym mi jesteś? twoją zaś nigdy być nie mogę. Jest między nami nieprzezwyciężona przeszkoda, jest tama, która nas na zawsze, a może na wieki rozdziela. Adolfie! mara twoja nie jest moją!"

— „A czyż nie w jednego wierzymy Boga? z zapałem zawołał Adolf. Nie, ty musisz być moją; już za późno, już się cofnąć nie mogę. Ty nie wiész Bertho jak ja kochać umiém! Twoje ku mnie przywiązanie może litością wzniecone, ożywia twoje jestestwo, wdzięku twojemu życia dodaje! Nie, ty mnie nie kochasz!" Przestał mówić, spojrzał na Berthę, zalaną była łzami, a głębokie westchnienie było jedynym wyrzutem, który z jej ust usłyszał. Porwał się z miejsca, rzucił się na ziemię wołając przebaczenia!

— „Przebaczam tobie, odpowiedziała, bo wiém że mię bardzo kochasz! Teraz wysłuchaj mię, ale spokojnie, ale cierpliwie. Jeżelim do ciebie może już za późno przemówiła, czemużeś czekał, aż piérwsza mówić będę? czemużeś czekał tak długo! czemużeś wtenczas nie wyrzekł, gdy czas był jeszcze usłuchać rozsądku nie rozdziérając serca? Gdybyśmy się nie byli na tym świecie spotkali, nie byłbyś z mojéj przyczyny cierpiał, a teraz Adolfie, jakżeś nieszczęśliwy przezemnie! Teraz ja przebaczenia żebrzę, abyś nigdy Berthy nie przeklinał!"

— „Ja ciebie przeklinać? prędzéjbym się wyrzekł siebie! Bertho! ponieważ spadła zasłona, ponieważ już głośno czytasz w sercu mojém, o jednę tylko proszę ciebie łaskę, nie odbiéraj zupełnie nadziei. Nie zastanawiajmy się jakimby to sposobem być mogło, lecz myślmy, że to być może. Niechaj dzień będzie dniu podobny, a każden upłyniony, jeżeli nas do szczęścia nie przybliży, przybliży przynajmniéj do grobu." Księżyc już był zaszedł, miliony gwiazd błyszczały; szli powoli ku domowi, oczy mając wlepione w niebo jakby tam przeznaczenia swego szukali!

Pani Schmidt najlepsza i najprzywiązańsza z matek, spostrzegła od niejakiego czasu, że Bertha coraz smutniejszą się stawała. Czasami zapadała na zdrowiu. Szukała przyczyny, szukała napróżno. I któż potrafi czytać w sercu dziewicy, kiedy tajemnicę swoję ukryć pragnie? nawet matka w sercu córki czytać nie zdoła! Już od dawna pani Schmidt życzyła sobie córkę za mąż wydać, bo któraż matka nie pragnie widzieć ustaloną przyszłość swojego dziecięcia! Bogaty kupiec z Düsseldorfu wymówił się przed znajomemi swemi, iż chętnieby pojął Berthę za żonę. Ale nie bywał w domu pani Schmidt, a gdy ta o nim wspominała córce, — niechże go wprzódy poznam, odpowiadała matce, — nie, ja nigdy za mąż nie pójdę, odpowiadała sobie.

On mnie kocha, trochę, bardzo..... razu pewnego głośno powtarzała Bertha wyskubując stokrotkę. Szalenie!... dodał Adolf wyskakując z zakrzaków. Bertha radzi się kabały, radzi się losu jak widzę, kiedy swój los i mój razem w ręku swojem trzyma.

— „Adollie, nie mówmy o tém, proszę, odpowiedziała Bertha.

Szli razem w milczeniu. — „Czy wiész, rzekła po niejakim przestanku, że matka chce mię za mąż wydać."

— „A Bertha cóż na to? mamże powinszować tobie?

— Nie lękaj się dodała, przymusić mię nie przymusi; jeżeli do ciebie należéć nie mogę, do innego należéć nie będę. Mój los już napisany w niebie! Lecz ty Adolfie posłuchaj mojéj rady. Oddal się z Düsseldorfu, czas zatrze kie-

dyś to co cię boli dzisiaj; ty możesz być jeszcze szczęśliwym, bo ja za ciebie będę Boga prosić. Ożenisz się, będziesz dobrym mężem, ojcem, cichym dodała głosem.

— „Wstrzymaj się! przerwał jéj Adolf, niechaj usta twoje nie bluźnią. Nie, ty nie myślisz o tém coś powiedziała! Ja miałbym do innéj należéć? inną kobiétę do serca mojego przyciskać? Na popioły matki mojéj przysięgam ci moję wiarę do śmierci!

— „Odwołaj wyrok, zawołała Bertha, abyś tego nigdy nie żałował!" Powiédz mi, po niejakim czasie zapytała, czybyś wolał mię widziéć zaślubioną innemu, lub umarłą?

— „Widziéć, nie miałbym dość siły, lecz słyszéć żeś innemu zaślubioną, żeś z nim szczęśliwą wolałbym, gdyż śmierci twojéjbym nie przeżył!"...

Już zima koryto Renu lodem okryła, wicher północny w całéj swéj sile panowanie swoje rozpościérał, a Bertha między matką a Adolfem przy małym kominku wieczory swoje pędziła. Rozmowa bez wymusu, bez przesady, szła łatwo; każden mówił co mu przez myśl przechodziło, a jeżeli czasami Adolf niewszystko to co czuł głośno powiedział, spojrzał na Berthę i ona go zrozumiała. Skoro dziesiąta wybiła, Adolf odchodził do miasta, aby nazajutrz powrócić. Od kilku dni Bertha spostrzegała jakąś zmianę w Adolfie; mało mówiący, zamyślony, smutny, gdy się go o przyczynę pytała:—jestem cierpiącym, odpowiadał, ale to przejdzie. Inną przyczynę przeczuwała Bertha, ale nie śmiała się o nią pytać nawet saméj siebie. Jest ptak któren przepowiada burzę; człowiek przeczuwa nieszczęście! Osméj jeszcze nie było, gdy nagle wstał Adolf.—„Zapomniałem, rzekł do Berthy, oddać pani pugilares, któren mi do naprawy dałaś; oto jest. Wziął ją potém za rękę, trzymał przez kilka chwil, oczy miał w ziemię wlepione, jak gdyby się lękał aby w nich nie wyczytała co się w duszy jego działo. —„Już późno, zawołał raptem, porwał za kapelusz, spojrzał na Berthę, westchnął i prędko wyszedł z pokoju. Bertha jeszcze stała na miejscu, a jego już nie było; trzymała pugilares, któren przed kilką chwilami na jego sercu spoczy-

wał, przycisnęła go do ust i zaledwo weszła do swego pokoju, zalała się łzami. Czemu? sama nie wiedziała. Zdawało się jéj, że wyrok swój w ręku trzyma; otworzywszy go nakoniec, na piérwszéj kartce te słów kilka przeczytała: —„Bertho, na parę dni odjeżdżam; wnet powrócę, pamiętaj o mnie, za mnie proś Boga!

Od dni kilku Adolf był powrócił; nie wspominał o swéj podróży, nikt go się o niéj nie pytał. Od jakiegoś czasu pędzle, ołówki na bok odrzucone. Adolf nie rysował, już rysować nie mógł. Coraz większy smutek ogarniał jego duszę, coraz większa bladość okrywała jego lica. Dzień był pochmurny, śnieg gęsty padał; Bertha przy oknie siedziała, otwarta książka leżała przed nią, ale Bertha nie czytała!

Adolf zamyślony po pokoju chodził. Przybliżywszy się do okna, spojrzał na Berthę, długo na nią patrzał, jakby w niéj szukał téj odwagi, na któréj mu brakło. Wziął ją nakoniec za rękę i z témi odezwał się słowy.—„Różność wiary nas rozłącza, onato jest tą niepokonaną przeszkodą, która dwa serca stworzone dla siebie, od siebie odpycha. Bertho, stało się! wyrzekam się wiary ojców moich, na twoję przejść pragnę." Rzekł i zalał się łzami. Widać było ile ofiara uczyniona miłości, kosztowała jego sumienie.—„Czyż i teraz odrzucasz rękę moję? dodał po niejakim czasie."

— „Adolfie! z rozrzewnieniem odpowiedziała Bertha, wyrzekasz się twojéj wiary dla mnie; gdybyś to uczynił z natchnienia, z przekonania, dzisiajbym za ciebie poszła. Ofiara którą czynisz miłości, jakuż ciężarem dla ciebie będzie, gdy miłość ostygnie, albo i téż przeminie; wtenczas, to przeklinać może mię będziesz! Adolfie! z miejsca wstając dodała, pokazując na niebo okryte chmurami,—tam zapadł nasz wyrok, wyrok niecofniony! Żyć z sobą dla siebie nie możemy; szczęście na téj ziemi nie dla nas! Oddal się ztąd, może na czas niejaki, może na długo, może na zawsze! Adolfie, zaklinam ciebie, żebrzę łaski twojéj, uczyń to dla siebie, uczyń to dla mnie! Może kiedyś, może późniéj, może tylko tam.... ale się zobaczemy! Teraz Adolfie wysłuchaj prośby mojéj, miéj dla mnie odwagę!" To rzekłszy spoj-

rzała na niego tém przenikliwém, tém długiém spojrzeniem, w którém była walka, zwycięztwo, pożegnanie! Chciała cóś jeszcze mówić, nie mogła, i śpiesznie z pokoju wybiegła.

Adolf stał jak wryty; i jak uderzony piorunem, serce w piersiach bić przestało, tchu mu zabrakło! Jak i kiedy do Düsseldorfu się dostał, jak go nazajutrz piérwsze promienie słoneczne zastały siedzącym na krześle, z opartą głową na ręku, tego nie pamiętał, tego sobie nigdy przypomnieć nie szukał.

IV.

W roku 1834 pokój w całéj Europie panował, w Portugalii tylko krwawa toczyła się walka. Don Pedro walczył o prawa własnéj córki. Mnóstwo ochotników garnęło się pod sztandary młodéj królowéj, w ich liczbie widziano Adolfa, i zdumiéwano się jego męztwem. Gdzie największe niebezpieczeństwo groziło, tam on był najpiérwszym, tam drogę wskazywał, a za nim szli drudzy. Pod Alanteio gdy zdobycie mostu stanowiło zwycięztwo, Adolf na czele garstki odważnych z bagnetem w ręku rzucił się naprzód; otoczony, przemocą znękany, przeszyty kilkoma razami poległ!

Lat parę minęło! Widywano Berthę ponad brzegami Renu, nie w żałobie, bo się żałoba po kochanku tylko w sercu nosi, ale w téj orzechowéj sukience, okrytéj czarnym fartuszkiem, w tym białym staniku z krótkiemi rękawkami, z témi gładko uczesanemi włosami, z tym złotym krzyżykiem na czarnéj wstążecce na szyi; widywano ją smutną, z tęsknotą w sercu za nim, z tém uśmiechem nadziei: wnet się tam zobaczemy! Widywano ją kiedy przechodząc obok ławki pod jabłonią, zatrzymywała się na chwilę, ale nigdy nie siadała na niéj. Widywano ją, gdy co ranek otwiérała okienko, już całkiem ubrana splatała swoje włosy, a trzymając warkocz w ręku, spoglądając na niego, powtarzać się zdawała: już niemasz dla kogo! Dobroć anielska malowała się w jéj twarzy, niebo odbijało się w jéj oczach, ale już nie w tych farbach pełnych życia, farbach wiosennych; byłoto niebo późnéj jesieni, blade, przedwczesną zapowiadające zimę. Patrząc na te piękne rysy twarzy, jeszcze nie

zmienione, na tę płeć, kędy życie już się zdawało stygnąć, na te usta przez które nigdy skarga lub narzekanie z jéj serca nie wyszły, patrząc na tę szlachetną postawę, na te giętkie i pełne wdzięku ruchy, na tę istotę którą smutek przykuł do życia, któréj nagroda w niebie; każden w niéj znajdował miłość, cierpienie, ofiarę!

Na początku 1837 roku w Düsseldorfie pytano o Berthę: odpowiedziano, od kilku miesięcy umarła. Na cmentarzu prosty kamień pokrywał szczątki téj, któréj życie było przejściem anioła! na nim czytano napis:

Tu leży Bertha, biedna przeżyła Adolfa!

W 1838 roku, wystawa sztuk pięknych w Warszawie wabiła znawców i ciekawych. Przechodząc się po obszernych salonach, przypatrując się pięknym tworom naszych mistrzów—„to Bertha"! zawołałem zatrzymując się przed obrazem wystawiającym dziewczynę w orzechowéj sukience, czarnym fartuszkiem przykrytéj, z gładko uczesanemi włosami, trzymającą w ręku już spleciony warkocz, zdającą się mówić: *Już niemasz dla kogo!* Jak i kiedy młody nasz malarz (*) ten obraz odmalował, dowiedzieć się nie mogłem; codzień na wystawę chodziłem, codzień odwiedzałem Berthę!

Leon Potocki.

(*) *Paszkowski.*

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Pisma czasowe u Słowaków.

Sąsiadujący z nami Słowacy, mieszkańcy północno-zachodniéj strony Węgier, od kilku lat starają się mowę swoję, tyle zbliżoną do naszéj, ustalić, wykształcić i podnieść do godności piśmiennego języka.

Ludność Słowaków rozmaicie podają: Fenyes, statystyk węgierski i Szaffarzyk; piérwszy na 1,687,256, drugi na 2,753,000. Chociażbyśmy przecież mniejszą z tych cyfr za prawdziwą przyjęli, zawsze słuszne wzbudzi podziwienie, iż ludność tak znaczna, jednym językiem mówiąca, tego języka za środek do wzajemnego porozumienia się w piśmiennictwie użyć nie ośmieliła się.

Rzut oka na stan ludności słowackiéj wskaże nam przyczyny takiego zaniedbania mowy krajowéj.

W słowackiéj ziemi wyższe stany częścią zarzuciły rodzinny język, przemieniając go na węgierski lub niemiecki, częścią też pierwotnie już mową i pochodzeniem od massy ludności się różnią. Aż do ostatnich czasów język łaciński był urzędowym na Węgrzech, teraz jest nim węgierski; w szkołach nie uczą po słowacku; gdzież się miał język wykształcić?

Lud tylko prosty pozostał wiernym rodzinnéj mowie. Lud ten jest pracowity i zabiegły; ziemia którą zamieszkał

górzysta i niepłodna często wyżywić go nie zdoła, więc góral lubo do niéj mocno przywiązany, rzuca ją i za lichym zarobkiem spieszy w obce kraje. Znani w całym kraju naszym druciarze np. są synami téj ziemi.

Lud ubogi i od klass wyższych oddzielony, mało ma pojęć, mało też czuje potrzeby ich wymiany. Ztąd dotychczas niewiele pisali Słowacy, a i ci z nich, którym okoliczności lub powołanie pióro w rękę podało, obcym winni będąc swoje ukształcenie, obcego zwykle używali języka. Czaplowicz pisał po niemiecku, Kollar po czesku.

Czeski szczególnie język do słowackiego bardzo zbliżony, a więcéj od niego wykształcony, stał się piśmiennym u Słowaków. Od lat 300 w kościołach ewangielickich (do tego wyznania należy ½ miliona Słowaków), kazania i nabożeństwo odbywały się po czesku. Literatura czeska była jedyną, do któréj Słowak obcego nieznający języka miał przystęp. Ztąd Czesi nawykli uważać Słowaków za gałąź swego rodu, a przy zupełném zaniedbaniu mowy słowackiéj, samo nawet jéj istnienie podali w wątpliwość. Lud zamieszkujący północno-zachodnią stronę Węgier, według nich, mówił różnemi narzeczami, tyleż prawie między sobą, co od czeskiego języka różniącemi się. Narzecza te pozbawione wszelkich cech wspólnych, za jeden język uważane być nie mogły.

Nietylko przecież Czesi, z językiem nieobeznani, i w ściśnionych naturą granicach zamknięty obręb swojéj narodowéj działalności rozszerzyć pragnący, rozsiewali te uprzedzenia przeciw mowie słowackiéj; sami nawet Słowacy, ci zwłaszcza, którzy do czeskiéj przyłączyli się literatury, podzielali niechęć przeciw samoistnemu wystąpieniu słowackiego języka. A przecież czeszczyzna nie poszła na pożytek Słowakom.

„W czeszczyznie" mówi jeden Słowak, lud nasz nigdy nie żył; nie ma ona w nim żywota ani on w niéj. Nic tu nie pomoże powoływać się na to, że czeszczyzna w kościołach naszych, i to tylko w ewangielickich, od wieków panowała. Prawda, mowa ta przeszło już od 300 lat panuje

w kościołach owangielickich, ale też od tych lat trzystu naród nasz gnił tylko i wegietował. Cóż czeszczyzna u nas dobrego sprawiła, czy podźwignęła nas, czy przywiodła ku lepszemu? Czyż na polu literackiém lub społeczném, czy w życiu kościelném w którém weszła w używanie, nie panowały przez wszystkie te czasy oziębłość i odrętwienie?

Naród nasz dziwił się czeszczyznie, lecz pozostał dla niéj, jako obcéj sobie, chłodnym. Kto z nas nie pomni, gdy będąc dzieckiem odmawiał zadaną sobie lekcyą, jak ustami dość się napracował, a do serca nic nie przylgnęło? Tak było z nami w dziecinnym wieku; a ktoby chciał przeczyć, że i naród nasz w dziecinnym stanie zostaje, że jeżeli go pociągnąć za sobą chcemy, tak doń przystąpić, tak z nim sobie poczynać winniśmy, abyśmy do serca jego przeniknąć mogli? Leczli w owych ewangielickich kościołach jakażto, prosimy, była czeszczyzna? Kaznodzieja nie dobrze byłby na tém wyszedł, gdyby chciał przemawiać czystym czeskim językiem, który zresztą znacznéj części kaznodziejów powierzchownie był tylko znany; najczęściéj więc mowa ich była plątaniną słowackiego języka z czeszczyzną. Taki stan rzeczy zaiste jest do niezniesienia; miejsce jego musi zająć coś pewnego, istotnego, wyraźnego. Tém zaś może być tylko mowa krajowa, którą i my doskonale znamy i którą lud nasz najłatwiéj pojąć zdoła. Ani nam co pomoże, że literatura czeska już na znacznym stopniu doskonałości zostaje, że przyjmując ją za swoję do gotowego niejako przystąpilibyśmy. Co jest czeskie to nie jest nasze, a kto sam na co nie zasłużył, ten i użyć tego nie umié. I my prawda zapomagaliśmy czeską literaturę, lecz to od nas innym odpłynęło korytem; na powierzchni tylko nieco się zostało, do wnętrza nic nie przeniknęło; żywot pozostał taki jak za dawnych czasów. Jeśli chcemy być czemsiś, musimy sami coś począć, sami się zasłużyć, inaczéj nigdy wegietować nie przestaniem i nie podźwigniemy się z nicości. Jeśli nigdy nie zaczniemy, nigdy też nic nie zdziałamy, a zdziałać coś chcemy, aby nam do oczu nie wyrzucano, jak to czynią przeciwnicy nasi, że nic własnego nie mamy, że wszystko u nas jest czeskie. To ubó-

stwo i nędzę naszę chcemy raz pokryć, a że teraz do tego czas najstosowniejszy, każdy łacno widzi. Jak sami czegoś dokażemy, ustanie ta czczość i pustka którą nam przeciwnicy nasi wyrzucają, ustanie wegietacya i żywot nasz czerstwiejszym puści się biegiem. Pracy bać się nie trzeba, bo tylko w pracy rozwija się życie; jeśli pracować nie będziemy, nikt nam na świecie nie pomoże, bo ten tylko żyje, kto pracuje i działa."

Nieodzowną jak widzimy była reakcya przeciw czeszczyznie. Zaczęto pisać po słowacku, lecz w braku pewnych prawideł, gdy każdy z piszących dyalekt swój rodzinny za czystą mowę słowacką uważał, język ustalić się nie mógł.

Dopiéro p. Ludwik Sztur, rodem z trenczyńskiego komitatu, stał się założycielem nowego, czysto słowackiego piśmiennictwa. Zbijając upowszechnione mniemanie o istnieniu rozlicznych dyalektów słowackich (których Kollar np. siedm naliczył głównych, nie wspominając już o pomniejszych odmianach) wykazał on, że język słowacki w całéj krainie przez Słowaków zamieszkanéj jest jeden i ten sam, że tylko na granicach kraju, przy zetknięciu się z innemi plemionami słowiańskiemi, z mowy ich cokolwiek zaczerpuje. W zachodniéj części Nitrańskiego np. i w dolnéj części Trenczyńskiego mowa słowacka morawczeje; bliżéj Polski w północnym kącie Orawskiego i Liptowskiego, a więcéj jeszcze na Spiżu i w Saryszu polszczeje, na pograniczu węgierskiéj Rusi rusinieje. Odmiany te nie stanowią przecież osobnych narzeczy; zachowują owszem wszystkie cechy odróżniające język do którego należą, od innych. W środku krainy mowa słowacka utrzymała się w nieskażonéj czystości; tęto mowę wprowadził p. Sztur do piśmiennictwa, dając jéj piérwszeństwo nad narzeczem, czyli raczéj odmianą rodzinnéj swojéj okolicy, trenczyńskiego komitatu.

Odrębne znamiona słowackiéj mowy p. Sztur w następny wykazuje sposób:

„W całém narzeczu słowackiém z jego odmianami", mówi on „znachodzą się głoski *ſ*, *g*, *dz*, *dź*, wyróżniające narzo-

cze słowackie od czeskiego, nigdzie znowu nawet w odmianach polskiéj i morawskiéj niéma *rz*, głoski cechującéj mowę polską i morawską, ani głosek *ą*, *ę*. Jednostajnie mówią Słowacy: czrep, czrewo, lisica, reczjem, klesnuw, zhasnuw, pachnuw, tjekou, wimreli, widreli.

Czesi: strzep, strzewo, lzice, rzknu.

Polacy: klęsł, zgasł, pachł (*), ciekł, wymarli, wydarli.

Mowa słowacka ma wszędzie głębsze i pełniejsze głoski, zachowała stare pełniejsze zakończenia we środku kraju, równie jak na pograniczu.

Słowak mówi np. dusza, kusza, niediela, djetia, djewcze, prasa, kura, pijem, wijem, hiniem, piju, wiju, lamu.

Czech i Czecho-Morawiec, dusze, kusze, nedele, dite, dewcze, prase, kusze, piji, wiji. piji, wiji, lami.

Polak: dziécię, kurze, pije, wije, ginę, piją, wiją, giną, łamią i t. d.

Tę pełnodźwięczność i głębsze samogłoski, zatrzymuje język Słowaków ze wszystkiemi swemi odmianami, w przypadkowaniu imion i innych formach grammatycznych; gdy tymczasem czesko - morawska mowa cieńsze polubiła dźwięki.

Słowacki język ma wszędzie: holuboch, duboch, duszu, duszou, duszam, duszach, slowach, kurata, kuratu, ljetanja, ljetaniu.

Czesko morawski zaś: holubich, dubich, duszi, duszi, duszim, duszich, slowich, kurzete, kurzeti, litâni, litani i t. d.

Używamy (my Słowacy) we wszystkich odmianach naszéj mowy tych samych wyrazów, zaledwie gdzieniegdzie jeden drugim zamieniając; używamy ich w tém samém znaczeniu; składnią mamy tę samą, i też sposoby mówienia; któż obok tego wszystkiego odważy się przeczyć jedności naszego narzecza? czyliż te same formy nie rządzą wszędzie naszym językiem? czy odmiany jego nie zgadzają się z nim w gło-

(*) Myli się tu cokolwiek p. Sztur, biorąc skrócenie w mowie polskiéj używane za formę pierwotną: nikt nie mówi *pachł*, ale *pachnął*.

wnych znamionach, i nie wyróżniają się przez te znamiona od polskiego i czesko-morawskiego języka?

Na pograniczu Moraw, język nasz naśladując w tém czesko-morawszczyznę, stracił pierwotne swoje silne dwugłoski, i obyczajem sąsiedzkim zamienił je na zwyczajne samogłoski; przy zetknięciu się z Polską, język nasz stracił długość syllab zamieniając je przykładem polskim na krótkie; te właśnie dwie odmiany słowacko-morawska i słowacko-polska najdaléj od pierwotnego narzecza odstępują, a przecież wykazaliśmy, że są tylko odmianami i bynajmniéj jedności narzecza nie psują. Ci którzy Bóg wié, ile różnych narzeczy słowackich liczą, okazują tylko nieznajomość, zupełną nieznajomość słowackiéj mowy."

W dalszym ciągu artykułu swego dowodzi Sztur, że język jego ziomków więcéj dochował cech staro-słowiańskiéj mowy niż czeszczyzna. „Charakterem ogólnym słowackiego języka, mówi on, są głębsze głoski, pełniejsze stare zakończenia, dwuzgłoskowość i niełączenie się miękkiéj spółgłoski z miękką samogłoską (*)."

Wprowadzając w życie pomysły swoje, p. Sztur zaczął wydawać w Presburgu dwa pisma czasowe: jedno literackiéj, drugie politycznéj treści. Piérwsze z nich Orzeł Tatrański wychodzi co dni 10, arkusz in 4to, we dwie kolumny. Każdy numer rozpoczyna się od poezyi (w N. 36 jest tłumaczony wiérsz hr. Dunina Borkowskiego p. t. Pieśni Słowiańskie). Potém idą powieści, opisy miejsc, rozprawy w przedmiotach to języka krajowego to dobrego bytu mieszkańców dotyczących. Gdziekolwiek pojawi się oznaka ruchu umysłowego, zaraz ślad jego w Orle się odbije. Tu założono towarzystwo wstrzemięźliwości, tam szkołę, tam czytelnią, tu księgarnią, o wszystkiém Orzeł donosi, starając się rozbudzać życie umysłowe, zachęcać, zgoła uczucie własnéj godności w Słowakach wskrzeszać.

W takim zakresie wydawane pismo, niewątpliwie społeczeństwu dla którego jest przeznaczone pożytecznie słu-

(*) Orzeł Tatrański Nr. 39—40.

ży. Lecz jak społeczeństwo to nie zajęło jeszcze samoistnego miejsca w gronie wielkiéj rodziny ludów, tak i pismo będące życia jego objawem, raczéj do zachęty, niż do uznania rościć sobie może prawo.

Oprócz współczucia przecież które każdemu szlachetnemu usiłowaniu się należy, Orzeł Tatrański, z innéj jeszcze strony zajęcie nasze wzbudzać winien. Już sam fakt utworzenia się a przynajmniéj ustalenia się nowego piśmiennego języka, o granicę od nas, już samo zapowiedzenie nowéj literatury, wyciąga po nas bacznéj uwagi, bo okazuje u ludu w którym się objawiło, podniesioną umysłową działalność i uznanie siebie, do wyższych prowadzące go przeznaczeń. Lecz nadto Orzeł wychodzi w kraju, z którym liczne miewaliśmy stosunki, którego historya wiąże się z naszą, gdzie się przechowały podania dziejów naszych dotyczące. Ztąd zawarto w piśmie tém wiadomości bezpośrednio nas nieraz obchodzą.

Abym na przykładzie okazał rzeczywistość twierdzenia, przytoczę tu wyjątek z opisu miasta Żyliny (po niem. *Sillein*) nad rzéką Wag, w komitacie trenczyńskim położonego, przez ks. Geromettа (N. 37).

„Żylina nasza w 11 wieku czyli już wówczas gdy w panońskiéj ziemi węgierscy królowie panowali, należała do Małopolski z całą Kisucą, gdzie wtedy po większéj części nic oprócz samych gór nie było, bo do owego czasu ściąga się „*donatio Zdenko Comitis*, który dostał, jak w dokumencie stoi, *civitas Krakowa una cum omni regione adjacente ad Vaghum.*" Wskazuje nam to i wcielenie Żyliny do dyecezyi pragskiéj w tych czasach, gdy wodzowie czescy królom polskim całą Małąpolskę z województwami, cieszyńskiém, opawskiem i raciborskiem odjęli. Musiała tedy Żylina należéć do krakowskiéj dyecezyi, z którą razem dostała się pod zwierzchnictwo pragskiéj, wówczas, gdy Małopolska Czechom uległa. Lecz to długo nie trwało, bo kraje pomienione Czechom odebrane zostały, a co do krajów nad górnym Wahem, rozgraniczenie (metacia) nastąpiło, tak, że Żylina przypadła do Węgier i została wcieloną nie do ni-

trańskiéj, lecz jako nowy nabytek do ostrihomskiéj dyecezyi. Znajdujemy o tém wzmiankę w archiwum kapituły ostrihomskiéj. Że granice między Polską a Węgrami w owych czasach nie były te same co teraz, tego dowodzi, iż naprzeciw napadom Polaków (jak to wzmiankuje Anonymus, Belae Regis Notarius, zresztą w historyczne nieprawdy obfitujący), został wysłany Borszod ku Zwoleniowi, gdzie na granicy *wirchów* (*), za Starym Zwoleniem (Alt Sohl) zamek postawił dla bezpieczeństwa. Granica więc musiała iść od wirchów zwoleńskich aż do Żyliny. Wiele zamków stanęło na tym pasie, a między niemi są i takie, które od wieków w rozwalinę poszły i bez ochyby sięgają najdawniejszych czasów naszéj krainy. Na teraźniejszéj granicy niéma wcale zamków.

Bitwa stoczona między Bolesławem Chrobrym królem polskim a Stefanem królem węgierskim, zaszła zapewne pod Żyliną, bo o bitwie téj aż do dnia dzisiejszego krążą u nas podania. Mówi lud, że koń króla Stefana w owéj bitwie stracił złotą podkowę, która głęboko w ziemię się zaryła, i że gdy tę podkowę ludzie znajdą, będą wojny okrutne.

Jest także podanie, że kościół należący do Żyliny przy Zawodziu, na pamiątkę téj bitwy został wystawiony z rozkazu Stefana króla węgierskiego. W rzeczy saméj przecież, kościół ten jest tylko poświęcony ś. Stefanowi."

Drugie pismo wydawane przez p. Sztur p. t. Nowiny Słowackie, politycznéj treści, wychodzi dwa razy na tydzień, we wtorek i w piątek. Każdy numer rozpoczyna się jakim artykułem rozumowanym, po większéj części wewnętrznych ekonomicznych stosunków dotyczącym. Daléj następują wiadomości krajowe, do czego życie publiczne, tak bujne na Węgrzech, zawsze obfitego materyału dostarcza.

Każdy komitat, czyli po słowacku stolica, jest małém niejako państwem; w każdym ściérają się z sobą przeciwne partye; a lubo w tych burzliwych nieraz sporach, Słowacy,

(*) Wyraz ten jako i z téj strony Karpat miejscowy zachowujemy.

jak już powiedzieliśmy z saméj prawie nieszlachty złożeni, udziału czynnego nie biorą, a przynajmniéj osobnéj partyi nie stanowią, przecież niegodzi im się pozostać obojętnymi widzami walki, wywiérającéj wpływ przeważny równie na stan kraju z którym natura i dzieje ich złączyły, jak na ich własne domowe stosunki. Jedna bowiem strona w Węgrzech wszelkiemi siłami do przemadziarzenia ludności niemówiącéj węgierskim językiem dąży, druga w téj mierze więcéj względności i umiarkowania okazuje.

Ostatnią i najmniejszą część numeru zapełniają nowiny zagraniczne, mniéj widać niż krajowe u Słowaków wzbudzające zajęcia. Taka przewaga treści krajowéj nad obcą, jest według nas główną zaletą dziennika. Pisma czasowe zapełnione tłumaczeniami, nigdy rzetelnego nie mają znaczenia, a tém samém i wiele pożytku przynieść nie są zdolne.

F. Z.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Nowy sposób oświecania nitek mikrometrów w lunetach astronomicznych. Narzędzia astronomiczne przeznaczone do mierzenia czasu i łuków, w ogniskach swych lunet, mają siatki ułożone z nitek pajęczych, któremi przedziały czasu i wielkość łuków na drobniejsze części dzielić można. Lunety i narzędzia ustawione na płaszczyznie południka, mają mikrometra złożone z jednego włoska poziomego, i z trzech albo pięciu lub siedmiu włosków pionowych, równoległych względem siebie i zwykle w równych odstępach naciągnionych. Włoski pionowe, służą do oznaczenia czasu przejścia gwiazdy przez południk, włosek poziomy w kierunku którego bieg dzienny się odbywa, służy do wskazania położenia gwiazdy na kole, względem poziomu miejsca lub równika niebieskiego. W innych narzędziach, mogących się poruszać podług biegu dziennego gwiazd, mikrometra zwykle składają się z dwóch włosków pajęczych na krzyż pod kątem prostym w ognisku przecinających się, jednego w kierunku równika, a drugiego w kierunku południka niebieskiego; niekiedy dodany jest i trzeci włosek ruchomy, który za pomocą śruby mikrometrycznéj można równolegle zbliżać lub oddalać od włoska stałego równikowego. Podczas obserwacyi w dzień odbywanych, w powyższych narzędziach włosków mikrometru oświecać nie potrzeba, gdyż

światło dzienne, aż nadto czyni je widzialnemi; w obserwacyach nocnych, oświecenie mikrometru jest koniecznem, gdyż bez oświecenia w polu ciemném lunety widziéćby tylko można samą gwiazdę, a nie moglibyśmy jéj odnosić do środka pola lunety, tojest do przecięcia się włosków. Dlatego dawniéj dla oświecenia mikrometru ocznego, używano zwierciadeł stawianych z boku narzędzia, albo téż umieszczonych przy końcu lunet naprzeciw szkła przedmiotowego, pod kątem 45 stopni; światło od lampy z boku padające, odbite od zwierciadła obrączkowego, wpadało do lunety i oświecało włoski i całe pole widzenia. Sposób ten był w tém niedogodny, iż w miarę poruszenia lunety, i położenie lampy zmieniać należało. Dzisiaj oświecenie mikrometrów odbywa się dogodnie, za pomocą zwierciadła metalowego, mającego kształt pierścienia eliptycznego, umieszczonego w środku narzędzia pod kątem 45 stopni do kierunku lunety. Oś metalowa poziomo leżąca, około któréj narzędzie ruch odbywa, jest wewnątrz pusta czyli wydrążona; światło od lampy na końcu téjże osi umieszczone, przechodząc przez oś, pada na obwód gładki zwierciadła, od niego się odbija i oświeca włoski mikrometru i całe pole widzenia. Ten sposób oświecania powszechnie dziś używany, przy obserwacyach gwiazd, jest bardzo dogodny, gdyż światło od lampy niewiele zmienia blask gwiazdy, gdy przeciwnie komety i gwiazdy obłoczkowe mające bardzo słabe światło, przez sztuczne oświecenie zupełnie w polu lunety znikają; przypadek taki pokazał się widocznym na komecie odkrytéj w r. b. przez astronoma Hind w Anglii, a uważanéj w Paryżu. Okoliczność ta dała powód znakomitemu astronomowi i fizykowi Arago, do wrócenia się na nowo do swego pomysłu przed 25 laty powziętego, oświecania nitek mikrometrów tak słabo i chwilowo, jak tego potrzeba wymaga, zostawując przytém pole lunety w zupełnéj ciemności. Arago z początku użył do tego nitek szklanych bardzo cienkich i przezroczystych, oświeconych z boku światłem lampy; doświadczenia jednak w tym celu czynione, nie odpowiedziały oczekiwaniu. Późniéj tenże uczony powziął myśl

przystosowania elektryczności do oświecania nitek platynowych w mikrometrach lunet, a to w owym czasie, gdy fizyk angielski Wollaston zrobił narzędzie, w którym nitka platynowa bardzo cienka, za pomocą jednego tylko ogniwa stosu Wolty, rozgrzewała się i świeciła niejako w sposób mikroskopowy. Od tego czasu Arago często wracał do swego pomysłu jużto przy wykładzie publicznym swych lekcyi, jużto na posiedzeniach towarzystwa geograficznego; przytém robił uwagę, że prócz sposobu za pomocą którego można dowolnie zmniejszać natężenie światła, należało jeszcze zapewnić się, czy obrazy przedmiotów malujące się w ognisku lunet, blizko nitki rozgrzanéj nie doznają falowania, czyli ondulacyi. Sposób mocniejszego lub słabszego rozgrzewania nitki platynowéj do czerwoności za pomocą stosu, znany teraz w wielu narzędziach Wheatstona, czynił nadzieję pomyślnego wykonania doświadczeń z oświecaniem nitek mikrometrów. Mechanik Froment, któremu Arago powierzył wykonanie stosownego aparatu, okazał w zrobioném przez siebie narzędziu to wszystko, czego się można było spodziéwać po artyście biegłym i razem uczonym. Nitki metalowe przechodzą prawie nagle z ciemności do rozgrzania świecącego i to z równą prędkością jak i łatwością. Sprężynki stosownie połączone z nitką, utrzymują tę ostatnią w wytężeniu i nadają jéj położenie zawsze proste, pomimo wielkiéj zmiany temperatury. Doświadczenia wykonane na lunecie małego powiększenia, okazały, że obrazy w ognisku blizko nitki rozgrzanéj, nie doznawały falowania i zboczenia od osi optycznéj. Narzędzie wykonane przez Froment, przedstawioném było akademii umiejętności w Paryżu przez Arago, przyczém uczony ten zapowiedział, że inną razą pokaże, jak narzędzie to można stosować do wielu ważnych zadań fotometrycznych.

W czasie gdy Froment zajmował się wykonaniem nowego narzędzia, zégarmistrz Breget, zamierzył doprowadzić do skutku rozwiązanie innego zadania przedstawionego mu przez Arago. Znakomity ten astronom chciał użyć drócika platynowego rozgrzanego do czerwoności za pomo-

cą stosu, dla oświecenia włosków pajęczych mikrometrów zwyczajnych; drócik oświecający bardzo cienki, miano umieścić w osadzie ocznéj lunety, tak, żeby oświecał nitki mikrometru od strony obserwatora i tym sposobem wprowadzić światło elektryczne w miejsce światła od lampy tak trafnie zastosowanéj przez Fraunhofera do mikrometrów wielkich lunet. Breget zrobił zmianę w urządzeniu tego oświecenia, tojest przeciął rurkę oczną lunety wzdłuż kierunku osi optycznéj, nad tém przecięciem, pomiędzy szkłem oczném a nitkami mikrometru, umieścił drócik oświecający; środek ten zupełnie się udał, przytém można dowolnie powiększać lub zmniejszać natężenie światła drócika bez najmniejszéj przeszkody dla obserwatora. Z tego wnosić można, iż stos Wolty, którego już do wielu ważnych i pięknych użyto zastosowań, stanie się użytecznym środkiem przy narzędziach astronomicznych. (*Comptes rendus* 1847 *n.* 9).

* *Położenie Warszawy względem pięciu miejsc, których długość geograficzna najdokładniéj jest oznaczona.* Różnica południków dwóch miejsc, czyli różnica ich długości geograficznéj, jest pierwiastkiem w astronomii i geografii bardzo ważnym, ale zarazem trudnym do dokładnego wyznaczenia; dlatego niewiele jest punktów na powierzchni ziemi, którychby położenie co do długości na dziesiątą część sekundy pewném było. Miejsca czyli obserwatorya astronomiczne, których położenia najściśléj za pomocą chronometrów w ostatnich latach wyznaczone zostały są: Pułków, Greenwich, Paryż, Altona, Berlin, Warszawa; położenia względne tych miejsc są następujące:

Obserwatoryum w Pułkowie pod Petersburgiem leży na wschód w czasie:

względem obserwatoryum	Greenwich o	2^s 1^m	$18.^s67$
„ „	Paryża.....	1 51	57. 07
„ „	Altony.....	1 21	32. 52
„ „	Berlina....	1 7	43. 00
„ „	Warszawy..	0 37	11. 32

za pomocą tych wypadków otrzymamy:

Położenie obserwatoryum warszawskiego:

względem Greenwich na wschód w czasie 1ᵍ 24ᵐ 7.ˢ35
„ Paryża „ „ 1 14 45. 75
„ Altony „ „ 0 44 21. 20
„ Berlina „ „ 0 30 31. 68
„ Pulkowa na zachód..... 0 37 11. 32

Warszawa leży względem południka paryzkiego na wschód w łuku o... 18° 41′ 26.″25
względem południka Ferro..... 38 41 26. 25.

J. B.

CHEMIA.

Doświadczenia tyczące się nawozów. Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu, czytał p. Kuhlmann w miesiącu grudniu r. z. rozprawę o teoryi nawozów, której rzecz przywodzi się do następującéj treści:

Autor nasamprzód zdaje sprawę z doświadczeń podjętych w celu przekonania się, jakie mogą być następstwa z przedłużonego użycia nawozów wyłącznie usaletrorodnionych czyli azotowych. Wypadki tych doświadczeń przekonywają, że zastosowanie wyłączne ciał usaletrorodnionych do łąk, pobudza zbyt silnie roślinność kosztem zbiorów następnych, ztąd wyprowadza się wniosek, że wielką stratę ponosi rolnik, skoro przejdzie pewne granice stosunków nawozu usaletrorodnionego do ziemi, gdy jedno nawiezienie może służyć dla wielu po sobie następujących zbiorów. Inna część tych doświadczeń tyczy się wpływu na roślinność istot solnych mineralnych, a wszczególności soli kuchennéj. Wypadki doświadczeń w tym celu przedsiębranych przekonywają, że sole mineralne, a wszczególności sól kuchenna, tylko do gruntów wilgotnych korzystnie użyć się dają.

Również p. Kuhlmann zajmował się wyjaśnieniem, jaki zachodzi związek pomiędzy usaletrzeniem (nitrification) i użyznieniem ziemi. Z tego zaś, że istoty zwiérzęce dopiéro wtedy skutecznie wpływają na roślinność, gdy przez rozkład utworzy się z nich węglan amonii; p. Kuhlmann

wywodzi, że saletrany użyte za nawóz wówczas widocznie działają, gdy w skutek odkwasorodnienia przez fermentacyą zgniłą, ich kwas zmieniony zostanie na amonią. Oto są niektóre doświadczenia popiérające ten sposób widzenia rzeczy.

„Włożywszy kilka kawałków saletry w mieszaninę cynku lub żelaza i kwasu siarkowego, albo jeszcze lepiéj kwasu solnego rozcieńczonego, gaz wodorodny dotąd nie będzie się wydobywał, lub też tylko słabo się wywięzuje, aż wszystek kwas saletrowy saletranu, zostanie zmieniony na amonią. Świéżo powstający wodoród siarkowy tworzy także podobnąż zmianę przy osadzaniu się siarki. Jeżeli do mieszaniny cynku z kwasem solnym dodamy takiego saletranu, którego metal może być strącony przez cynk, np. saletranu miedzi, wtedy na 1 równoważnik (aequivâlent) rozpuszczonego cynku idzie 1 równoważnik osadzonéj miedzi: i 1 równoważnik kwasu saletrowego z saletranu, zmieniony został na 1 równoważnik amonii, a to wszystko bez wydobycia się gazu wodorodnego. Przepuszczając strumień kwasu siarkowego wodorodnego, przez roztwór chlorku antymonu zmieszany z saletranem, kwas z téj ostatniéj soli zmienia się na amonią. Podobne przemiany spostrzegają się przy zetknięciu saletranów z roztworem siarczyku arszeniku w potażu, lub z niedokwasem łym cyny, albo niedokwasem łym żelaza, wodnemi."

Po przywiedzeniu powyższém, p. K. dodaje, że podług jego zdania, jeżeli w ogólności saletrany dopiéro wtedy działają jak nawóz, skoro w pewnéj głębokości gruntu ulegną rozkładowi, w skutku którego powstanie węglan amonii; również i żyzność ziemi polega także na oddziałaniu przeciwném, sprzeciwiającém się ulatnianiu amonii, czyli inaczéj, na przemianie soli amoniakalnych w saletrany; przemiany, która zachodzi w części zwierzchniéj gruntu posiadającego stosowny skład chemiczny, i zupełnie właściwą temperaturę oraz ilość wilgoci.

„Co się zaś tyczy przeistoczenia amonii w kwas saletrowy, okazałem (mowi p. K.) w r. 1838 dostatecznie przy

moich doświadczeniach z platyną gąbczastą, że w téj przemianie szukać należy tłumaczenia najprostszego i najbardziéj zadawalającego powstawania utworów saletrzanych. Widoki moje w tym względzie przez wielu chemików są dziś przyjęte; a jeżeli w nich znajdują się jakie wątpliwości, następne wypadki zaradzić temu potrafią. Ogrzewając w retorcie mieszaninę dwu-chromianu potażu, kwasu siarkowego stężonego i siarkanu amonii, przechodzi do odbieralni znaczna ilość kwasu saletrowego. Rozgrzewając mieszaninę dwu-niedokwasu manganezu lub dwu-niedokwasu ołowiu, z kwasem siarkowym rozcieńczonym, i siarkanem amonii, amonia z siarkanu również zmienia się w kwas saletrowy, który przechodzi do odbieralni. Uważając przemianę gazu amoniackiego w kwas saletrowy, przy zetknięciu tego gazu w temperaturze podwyższonéj z niedokwasem ostatnim manganezu, przekonałem się, że powyższy niedokwas może być uważany za wyborny działacz do nieograniczonego udzielania kwasorodu z powietrza, amonii. Porównywając teraz powolność usaletrzania w strefach północnych, z gwałtownością w któréj się to uskutecznia w okolicach południowych, łatwo okazać o ile więcéj zużywa się amonii lub nawozów usaletrorodnionych w stronach północnych od w południowych.

Rozprawę swą tak kończy p. Kuhlmann. „Zapewne akademia zwróci uwagę na wypadki doświadczeń przezemnie wykonanych, w przedmiocie wpływu jaki wywiéra zsaletrzanie, na użyznianie gruntu: może i przyzna mi, że w skutek ułatwionéj przezemnie przemiany amonii na kwas saletrowy, Europa może się pozbyć zależności morskiéj dla zaopatrzenia się saletranami lub kwasem saletrowym; i że gdyby w skutek wojny, ląd stały został zamknięty, możnaby się wszędzie obejść bez Indyi i Chili, gdzie tylko znajdują się istoty zwiérzęce i niedokwas manganezu. W innych znowu okolicznościach przez działanie odwrotne, znajdziemy w saletranach Indyi i Chili obfite źródło amonii, zużytkowawszy wodoród, a w szczególności gaz siarkowy wodorodny, dzisiaj bezużytecznie w niektórych fabrykach

tracący się, i w skutku tego szkodliwie na zdrowie działający.

„Kończąc nadmienię tylko, że oddziaływania rozmaite, których wypadki opisałem, naprowadziły mię na dwa następne zastosowania, będące naturalnym wypływem prawideł ogólnych przezemnie ustanowionych: 1. Ugruntowałem nowy sposób stosunkowania (dosage) kwasu saletrowego i saletranów, na téj własności powyższych ciał, że one zmieniają się zupełnie na amonią lub sole amoniakalne pod wpływem świéżo wydobywającego się wodorodu. 2. Wystawiając na działanie świéżo tworzącego się wodorodu, rozmaite związki podwójne, lub solne, metaliczne, z wielu z nich czyto rozpuszczalnych w słabych kwasach, czyto nierozpuszczalnych, strąciłem metal w zupełności. Wiadomo, że do tego czasu tylko z chlorku srébra tym sposobem otrzymywano metal. Starając się uogólnić ten wypadek, spodziéwam się zrobić przysługę przemysłowi metalurgicznemu." (*L'Institut* 9 *Decembre* 1846).

* Podług spostrzeżeń Dumasa, otrzymać można bardzo prędko kwas 3ci saletrowy (serwasser), jeżeli na krédę ługiem potażowym zwilgoconą, w temperaturze 100° C., przepuszcza się strumień powietrza atmosferycznego zmieszanego z gazem amoniackim. Po pewnym czasie utworzy się znaczna ilość saletranu 3 potażu. (*Journal für praktische Chemie N.* 3 *z r.* 1847). *J. B...a*

Kwas fosforyczny i metafosforany. Wiadomo, że Gregory podał sposób wyrabiania kw. fosforycznego z kości, wolnego od wapna i magnezyi, co dotąd tylko za pomocą alkoholu osiągano. Sposób jego na tém polega, że po oddaleniu wapna kwasem siarczanym, paruje rozciek do gęstości syropu, i dla wypędzenia nadmiaru kwasu siarczanego, pozostałość lekko żarzy. Kwas fosforyczny tym sposobem w postaci szkła otrzymany, rozpuszcza się w wodzie wrzącéj, roztwór ten na nowo paruje, i przez $\frac{1}{4}$—$\frac{1}{2}$ godz. utrzymuje w temperaturze $+315$, w któréj kwas zaczyna z parą wo-

dy uchodzić; nagle oddziela się proszek biały który rozciek zamąca. Gregory uważa go za niezwykły fosforan magnezyi. Kwas fosforyczny w czasie stygnięcia foremnie krystalizuje; łatwo się rozpuszcza w wodzie, zostawiając sól magnezyi, chociaż przed odparowaniem wszystko było rozpuszczalne. Kwas na nowo rozpuszczony jest zupełnie czysty, jeżeli jeszcze nieco soli magnezyi zawiéra, można go powtórnie odparować i w + 315 wypalić. Postępowanie to ma tę korzyść, że po piérwszém żarzeniu wydaje kwas czysty zupełnie bezfarbny, ślady bowiem materyi organicznéj, ukwasoradniają się kosztem kwasu siarczanego.

Postępowanie to do otrzymania kw. fosforycznego dlatego przytaczamy, że wyrobienie go tą drogą, wydaje kwas czysty do użycia w laboratoryach i aptekach. Jednak pozostaną w nim ślady magnezyi i sody. Sól magnezyi oddzielającą się, bliżéj badał Maddrell w laboratoryum Liebiga.

Robiąc kw. fosforyczny według przepisu Geigera (Handbuch der Pharmacie), w temp. + 316° otrzymał materyą taką samą jak Gregory, lecz znalazł w niéj 22,47% magnezyi, tojest tyle, ile rzeczywiście potrzeba do utworzenia metafosforanu magnezyi = $MgO\ P_2O_5$. Kwas powtórnie rozpuszczony, odparowany i do + 316° przez ½ godz. ogrzewany, osadził powtórnie metafosforan magnezyi i dopiéro w 3ciém powtórzeniu téj operacyi, otrzymał sól Gregorego, z któréj otrzymał prawie tyle co Gregory, tojest: 16,28% magnezyi i 75,25% kw. fosforycznego. A zatém okazała się strata więcéj niż 8%. Maddrell będąc pewny dokładności swéj analizy wnosił, że się inna zasada razem z magnezyą znajduje, i wykrył 8,15% sody. Sól więc Gregorego nie jest niezwykłym fosforanem magnezyi, lecz solą podwójną złożoną z metafosforanu magnezyi, i sody = $3\ (MgO\ P_2O_5) + NaO\ P_2O_5$. Sól ta jest prawie nierozpuszczalna w wodzie, w kw. solnym i w wodzie królewskiéj; lecz rozpuszcza się w kwasie siarczanym.

Rozbiór wykonał Madrell drogą następującą. Sól rozpuścił w kw. siarczanym stężonym; roztwór rozlał wodą; amoniakiem strącił fosforan magnezyi i amoniaku, z któ-

go przez żarzenie oznaczył ilość magnezyi. Do roztworu odfiltrowanego, dodał roztworu soli magnezyi dla strącenia nadmiaru kw. fosforycznego, i tym sposobem w summie obu osadów, miał cały zasób kw. fosforycznego. Do oznaczenia sody użył nowéj ilości soli, rozpuścił ją w kwasie siarczanym, rozlal wodą, nadmiarem amoniaku strącił; w rozcieku odcedzonym kw. fosforyczny oddalił octanem ołowiu; nadmiar ołowiu strącił wodorodem siarkowym, nakoniec sodę w stanie siarczanu oznaczył. Rozbiór okazał:

	I.	II.	
magnezyi	16,28	16,12	16,37.
kw. fosforycznego	75,25	75,69	75,38.
sody	8,14	8,05	8,25.
	99,68	99,86	100,00.

Błąd przez Gregorego popełniony, pochodził z metody w analizie użytéj; ponieważ oznaczył zasób magnezyi, a ze straty obliczył kw. fosforyczny; przyczém nie zważał na zasób sody w kościach.

Kwas fosforyczny sposobem Gregorego otrzymany, z solami metalicznemi wydaje metafosforany, do których składu wchodzi soda. Z siarczanem niklu daje metafosforan podwójny $6\,(NiO,\ P_2O_5) + NaO,\ P_2O_5$. Z solą kobaltu, $6\,(CoO\ P_2O_5) + Na\,O\,P_2O_5$. Lecz czysty kw. fosforyczny z fosforu przez kw. saletrzany wyrobiony, z solami metalicznemi wydaje metafosforany zwykłego składu tojest: $RO + P_2O_5$ albo $R_2O_3 + 3\ P_2O_5$. (*Annalen der Chem. und Phar.* 1847 *r. Heft.* 1).

S. Zdz.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845. KRAKÓW.

438. Rozmaitości historyczne i bibliograficzne, napisał Józef Muczkowski, Prof. i Bibl. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 8ka. Kraków. 1845. Druk Uniwersytecki. Str. 216. Złp. 6 gr. 20.

1847. WARSZAWA.

50. Grammatyka Polska ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, professora języka polskiego i literatury w Instytucie Alexandryńskim. Część 2ga, z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu i o stylu. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Henryka Natansona. Druk Strąbskiego. Str. 160 i kart 3. Dodatków do stylu str. 166 i kart 2. Złp. 5.

51. Kommandor Maltański, przez Eugeniusza Sue, tłumaczył K. T. P. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Merzbacha. Druk Ungra. Tom. I str. 226. II. 220. III. 215. Złp. 12.

52. Nowy Komeniusz czyli pierwiastki konwersacyi francuzkiéj i niemieckiéj, obejmujące 1. Zupełny zbiór wyrazów i wyrażeń najużywańszych w stosunkach towarzyskich. 2. Wzory potocznéj konwersacyi. 3. Grammatyczne początki trzech wymienionych języków; ułożył i wydał W. Zieliński. Wydanie trzecie. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład G. Sennewalda. Druk J. Ungra. Str. 358. Złp. 6 gr. 20.

53. Skorowidz monet Polskich z trzech ostatnich wieków, szeregami lat wykazanych..... Ułożony przez I(gnacego) Z(agórskiego) autora dzieła: O Monetach Dawnéj Polski. 8ka podłużna. Warszawa. 1847. Druk Banku Polskiego. Str. 62. Złp. 3 gr. 10.

KRAKÓW.

54. Hidrografia miasta Krakowa i jego okręgu, skréślił w celu otrzymania stopnia Doktora medycyny w Uniwersytecie Jagiellońskim Franciszek Marczykiewicz. Wyciąg z rozprawy uwieńczonéj nagrodą przez Wydział lekarski w Uniwersytecie Jagiellońskim. 8ka. Kraków. 1847. Druk Uniwersytecki. Str. 103. Złp. 5.

55. Ołtarzyk Złoty, czyli zbiór nabożeństwa dla Chrześcian Katolików, z przydaniem pieśni nabożnych z ksiąg przez Kościół Święty potwierdzonych, dla użytku wiernych ułożony i za zezwoleniem Cenzury Duchownéj i Rządowéj do druku podany. 16ka. Kraków. 1847. Nakład i druk St. Gieszkowskiego. Str. 672. Złp. 4.

56. Zamek Ogrodzieniec. Powieść historyczna z XII wieku, przez X. X. 12ka. Kraków. 1847. Nakład i druk Józefa Czecha. Str. 216 i kart 2). Z ryciną wyobrażającą ruiny Ojcowa. Złp. 6 gr. 20.

WROCŁAW.

57. Pamiętniki Seglasa, przez Fryderyka hr. Skarbka. Drugie wydania (e). 2 tomy. 16ka. Wrocław. 1847. Nakład Z. Schlettera. Druk L. Freunda. Tom I, str. 164. II. 168. Złp. 7.

LIPSK.

58. Kirgiz. Powieść przez Gustawa Zielińskiego. Z pięciu litografiami i drzeworytami rysunku Hr. Alex(andra) R(zyszczewskiego). Wydanie J. N. Bobrowicza. 8ka wielka. Lipsk. 1847. W księgarni zagranicznéj. Druk F. A. Brockhausa. Str. 72, i napisów kart 2. Złp. 13 gr. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Ig. Kraszewski pracuje obecnie nad wykończeniem drugiego tomu „Litwy." Materyały jakie zebrał do słownika artystów polskich, stanowić już teraz mogą do dwóch sporych tomów.

Znany z wielu prac uczonych prawnik August Heylman, wydaje przekład *Kodexu Handlowego* z przypisami. Druk już się rozpoczął.

P. Wacław Alexander Maciejowski wyjechał w podróż naukową, celem zwiedzenia znakomitszych bibliotek, i dopełnienia dzieła nad którém od lat kilku pracuje p. n. „Historya literatury polskiéj." Obecnie wykończył drugie wydanie zupełnie przerobione i znacznie powiększone: Historyi prawodawstw słowiańskich. Między najważniejszemi pomnikami które dołącza w piątym tomie, jest Statut Mazowiecki w narzeczu mazowieckiem pierwiastkowie spisany, a o którego bytności domyślał się tylko Tadeusz Czacki.

Z zapowiedzianych przez nas, a wydawanych w Krakowie staraniem J. Lepkowskiego: „Starożytności i pomniki Krakowa" otrzymaliśmy już dwa zeszyty. Do każdego przydana jest rycina

litografowana. W pierwszym zeszycie jest opis historyczny kościoła ś. Katarzyny na Kazimierzu przy Krakowie, i rycina grobowego pomnika Wawrzyńca Jordana Spytka. W drugim: Ogrojec, płaskorzeźba w kamieniu Witta Stossa, tudzież wiadomość o dziełach tego mistrza w Niemczech dokonanych, pióra znanego w literaturze naszéj Ambrożego Grabowskiego. Piękne to przedsięwzięcie zasługuje na współczucie i wsparcie liczną prenumeratą. Wydanie staranne i bardzo przystępne skromną ceną: jeden bowiem zeszyt z ryciną i textem kosztuje tylko złp. 1 gr. 15.

Także wydano już w Krakowie u Józefa Czecha powieść z czasów Bolesława Krzywoustego p. n. „Zamek Ogrodzieniec" zalecającą się i myślą i obrobieniem. Piękna rycina ruin zamku Ojcowa ozdabia to dziełko.

Tamże w drukarni uniwersyteckiéj Franciszek Marczykiewicz wydał napisaną przez siebie: „Hidrografią miasta Krakowa i jego okręgu," w celu otrzymania stopnia doktora medycyny w uniwersytecie Jagiellońskim. Jestto wyciąg z większego pisma uwieńczonego nagrodą przez Wydział Lekarski przy uniwersytecie Jagiellońskim.

LWÓW.

W Galicyi w r. 1847 wychodzi pism czasowych politycznych dwa, niepolitycznych sześć.

Pisma politycznéj treści:

1). Gazeta Lwowska. Wychodzi trzy razy co tydzień, we wtorek, czwartek i sobotę. Mieści w każdym numerze z dwóch lub trzech kartek składającym się: *a*) Wiadomości krajowe i zagraniczne. *b*) Nowiny. Cokolwiek ciekawego lub pochwały godnego we Lwowie lub na prowincyi zdarzy się, wchodzi w tę rubrykę; jakoto: recenzye teatru, muzyki, balów, uroczystości, wesel, nowych sklepów, cukierni, przechadzek, i t. d.; poczém następują *c*) Korrespondencye handlowe.

Przy Gazecie Lwowskiéj wychodzi oraz Dodatek z kilku arkuszy składający się, w którym następujące rubryki: *a*) Dostrzeżenia meteorologiczne we Lwowie czynione. *b*) Kto z honoratiorów przyjechał do Lwowa lub odjechał. *c*) Kurs na giełdzie wiedeńskiéj i wexlowy. *d*) Kurs lwowski złota, srébra, i listów zastawnych. *e*) Spis osób zmarłych we Lwowie. *f*) Doniesienia sądowe. g) Dziennik urzędowy politycznéj administracyi kraju, w końcu h) Rozmaite obwieszczenia prywatne. Redaktorem Gazety jest Jan Nepomucen Kamiński, a właścicielem spadkobiercy Krattera.

2) *Lemberger Zeitung* (Gazeta lwowska). Wychodzi w niemieckim języku trzy razy na tydzień po pół arkuszyka. Zawiéra wia-

domości krajowe i zagraniczne, kurs wiedeński i lwowski. Redaktorem jest Max. Reinau, a właścicielem Schnejder.

Pisma niepolitycznéj treści:

1) Biblioteka zakładu Ossolińskich. Dotąd wychodziło tego pisma cztéry tomy rocznie Od stycznia roku 1847, ma wychodzić co miesiąc jeden zeszyt. Będzie mieścić w sobie już nie jedynie artykuły historycznéj treści, lecz i beletrystykę. Prenumerata roczna 10 zł. reń. m. k.

2) Rozprawy Galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. Mają od r. 1847 wychodzić w cztérech sporych tomach co roku i zawiérać obszerniejsze rozprawy o handlu, przemyśle i rolnictwie. Roczna prenumerata wynosi w redakcyi 10 zł. reń. m. k.

3) Tygodnik rolniczo-przemysłowy. Wychodzi arkusz co tydzień. Dawniéj redaktorem był T. Kochański. Dziś nowa jest redakcya. Zapełniony bywał po największéj części tłumaczeniami z pism niemieckich. Nowa redakcya przyobiecała same oryginalne, praktyczne rozprawy zamieszczać w Tygodniku. Na tak rozległy rolniczy kraj jak nasz, małoby było i trzech pism rolniczych, z którychby każde do pewnéj klassy gospodarzów stosowało się. U nas, dla braku prenumeratorów i piszących w tym zawodzie, dotąd zaledwie jeden Tygodnik wegietować mógł. Roczna prenumerata tego pisma w redakcyi wynosi 8 zł. reń. 24 kr.

4. Rozmaitości. Pismo dodatkowe do Gazety Lwowskiéj wychodzi arkusz jeden co sobota. Zawiéra w trzech pierwszych kartkach powieści, na czwartéj kartce wykaz treści każdego numeru Tygodnika rolniczo-przemysłowego, Dziennika mód, i rozmaite krótkie wiadomostki z rozlicznych zawodów nauki i życia. W końcu mieści anegdoty.

5. Dziennik Mód Paryzkich. Wychodzi arkusz co dni czternaście. Do każdego numeru dołączone są ryciny mód i rysunki krojów. (Wydawca Tomasz Kulczycki).

6. *Leseblätter* (kartki do czytania), pismo dodatkowe do *Lemberger Zeitung*, wychodzi co tydzień trzy razy pół arkuszyka. Zawiéra krótkie powiastki, daléj jest rubryka *różności* (Miszellen) podobnych do rozmaitościowych, na ostatniéj kartce zamieszczanych. Wkońcu utrzymuje kronikę lwowskiego teatru niemieckiego, opery niemieckiéj i koncertów. Redaktor Max. Reinau. Podobnoby więcéj interesu to pismo obudziło, gdyby zajęło się przekładami, rozbiorem i wiadomościami z literatury polskiéj.

Donoszą z Paryża, że nasz ziomek Szopen coraz mocniéj zapada na zdrowiu; publicznie nie występuje nigdzie, czasem tylko w prywatnych domach słyszéć go można. Bolesne wrażenie sprawia wtedy elegijna gra mistrza o bladéj twarzy i gasnących siłach.

W koncercie, który Thalberg dawał w Tours, wielkie oklaski odbierała panna Witkowska, której śpiów doskonały oddawna podziwiany był w salonach paryzkich.

Znany powszechnie kompozytor warszawski Ignacy Felix Dobrzyński osiadł w Berlinie. Jego kompozycye wielki mają rozgłos w Niemczech. W dawanych w Berlinie koncertach gra jego chwalona była powszechnie.

W Lipsku ma dawać koncerta na gitarze Stanisław Szczepanowski wraz z żoną pianistką. Przybył tam z Anglii, a angielskie i niemieckie dzienniki mówią o nim, że jest bez wątpienia najznakomitszym dzisiaj wirtuozem na gitarze. Również chwalą celującą grę na fortepianie pięknéj żony jego.

W Dreznie i w Lipsku występowała temi czasy w koncertach jako śpiewaczka pani Okólska. Podobał się jéj głos silny, czysty i metoda doskonała. Kształciła się w Paryżu i we Włoszech.

Po Niemczech odprawia teraz podróż artystyczną młody skrzypek Wasilewski. Dawał koncerta w Wrocławiu, Gdańsku, Berlinie, Królewcu, Lipsku i Kolonii. Jednogłośnie wszystkie dzienniki bardzo zaszczytnie wspominają o grze jego.

(*Z Dziennika Mód Paryzkich*).

Biblioteka Warszawska

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Marzec 1847.

Marzec 1847. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morzu, czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ. 14ᵐ. 45,ˢ.7 względem południka paryzkiego.

Dnie	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		759.43	759.92	758.54	757.43	−10°.2	− 5°.0	− 0°.7	− 4°.5	89.5
2	○	755.18	755.61	754.84	755.75	− 5.3	− 1.8	− 1.6	− 2.4	94.2
3		757.46	758.35	758.70	759.45	− 2.1	− 0.6	+ 0.8	− 0.2	92.7
4		758.62	758.64	757.40	756.94	− 2.4	− 3.6	+ 0.3	− 2.2	92.0
5		755.75	756.28	755.99	756.37	− 1.1	+ 1.3	+ 2.0	+ 0.3	94.2
6		754.98	754.64	752.03	750.84	− 0.2	+ 1.1	+ 2.4	− 0.5	89.0
7		748.86	748.61	747.48	746.98	− 1.2	+ 0.5	− 0.2	− 1.9	88.5
8		745.11	744.81	742.79	743.04	− 2.1	− 0.2	− 2.2	− 6.6	92.0
9		742.16	741.63	739.35	735.56	− 6.4	− 4.1	− 1.9	− 2.1	89.5
10	◐	736.31	737.50	739.86	743.50	− 5.4	− 4.5	− 7.5	− 11.2	96.0
11		748.58	750.44	752.73	754.57	− 11.7	− 8.5	− 6.5	− 11.2	84.7
12		755.59	756.23	755.77	754.83	− 9.6	− 6.8	− 2.8	− 8.5	89.2
13		750.75	749.91	751.09	752.72	− 7.1	− 4.5	− 0.0	− 1.0	90.0
14		754.20	755.09	757.10	759.87	− 1.4	+ 2.2	+ 1.3	− 0.3	87.2
15		760.91	761.02	759.98	759.28	− 2.2	+ 1.4	+ 3.6	+ 2.9	87.0
16	●	758.51	759.43	759.78	760.00	+ 0.9	+ 3.4	+ 7.5	+ 1.6	81.2
17		761.74	761.98	761.42	761.00	− 0.2	+ 2.7	+ 10.1	+ 3.2	77.2
18		760.26	760.18	758.29	759.58	− 2.0	+ 4.3	+ 11.7	+ 3.1	79.0
19		757.16	756.75	755.09	754.56	− 1.4	+ 6.7	+ 12.5	+ 3.2	76.2
20		734.27	754.21	752.87	753.06	− 0.9	+ 5.2	+ 13.6	+ 2.0	77.2
21		753.26	753.22	751.43	750.92	− 1.0	+ 2.0	+ 10.4	+ 3.4	83.2
22		750.21	750.10	749.20	749.84	− 0.3	+ 5.4	+ 12.6	+ 3.7	73.5
23	☽	750.04	750.41	750.54	751.72	− 1.5	+ 3.4	+ 12.2	+ 5.2	77.5
24		751.71	751.86	750.62	751.46	− 0.9	+ 3.7	+ 12.2	+ 5.0	78.0
25		750.91	750.92	750.13	750.74	+ 0.5	+ 8.8	+ 11.2	+ 7.1	78.2
26		750.81	751.03	751.01	751.10	+ 3.3	+ 5.6	+ 3.6	+ 1.9	89.0
27		751.24	751.68	750.77	749.29	− 0.4	+ 1.0	+ 0.7	+ 1.4	88.5
28		747.71	747.95	746.65	743.71	+ 1.8	+ 4.4	+ 6.2	+ 1.3	81.5
29		738.43	737.57	736.01	738.36	+ 2.5	+ 11.6	+ 9.7	+ 5.0	82.5
30		738.13	735.87	735.68	738.12	+ 0.8	+ 6.2	+ 2.2	+ 0.0	89.2
31	○	740.53	741.25	740.28	738.08	+ 1.1	+ 1.3	+ 5.5	+ 1.7	81.7
Śre.		751.575	751.713	751.078	751.248	− 2°.13	+1°.34	+4°.15	−0°.08	85.5

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 Godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
pogodny	pogodny	napół pog.	pr. pochm.	PdZ.	—	—	—		
pochmurny	śnieg	śnieg rzad.	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	—		
mgła lek.	napół pog.	pochmurny	deszcz b. dr.	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
mgła lek.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	śnieg pruszy	pochmurny	pr. pochm.	PnW.	Pn.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PdZ.	Z.	Pn.	Pn.		
pochmurny	pr. pogodny	śnieg pada	śnieg pada	W.	PnW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		3.60
pogodny	pr. pogodny	napół. pog.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	napół pog.	napół. pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	śnieg	napół. pog.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		3 20
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	lek. zachm.	napół pog.	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	napół pog.	pr. pogodny	lek. zachm.	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pr. pogodny	napół pog.	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pr. pogodny	pogodny	smugi	smugi	PdW.	PdZ.	Pd.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pr. pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.20	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	PdW.		
chm. podz.	pr. pogodny	pochmurny	deszcz rosi	PdW.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Pd.	PdW.	Z.	PdZ.	1.00	
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	W.	1.60	
								3.80	6.80

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.403	27	9.093
Najwyżéj dochodził — d. 17 o g. 10 r.	761.98	28	1.783
Najniżéj dochodził — d. 9 o g. 10 r.	735.56	27	2.072
Średnia zmiana dzienna	3.20		1.42
Największa zmiana dzienna d. 10—11 o g. 10 r.	12.94		5.74
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzedzających	748.921	27	7.993
Średnia temperatura Marca wynosi:	+ 0.84 C.		+ 0°.67 R.
i ta jest wyższa o	0.22 „		0.18 „
od stanu normalnego tego miesiąca z 21 lat poprzedzających	+ 0.62 „		+ 0.49 „
Największe ciepło dochodziło d. 20 o g. 4 w.	+13.6 „		+ 10.9 „
Największe zimno d. 11 o g. 6 r.	—11.7 „		— 9.4 „
(Termometrograf wskazał Maximum: + 12°.7 R. d. 23; Minimum: — 9°.5 R. d. 11).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.40 „		1.92 „
Największa zmiana dzienna d. 9—10 o g. 10 w.	9.1 „		7.3 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 85.5; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 4.63 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z dészczu spadło 3.80 millim. czyli 1.68 lin. par.; z śniegu 6.80 millim. czyli 3.02 lin. par.; razem z dészczu i śniegu 10.40 millim. czyli 4.70 linii paryzkich.

Dni pogodnych było 9; napół pogodnych 5; pochmurnych 17.
— dészczu 5 (d. 3, 25, 26, 29, 30).
— śniegu 8 (d. 2, 3, 7, 8, 9, 10, 13, 15).
— mgły 2 (d. 3. 6).
— gradu 1 (d. 29).
— grzmotów i błyskawic 1 (d. 29).

Marzec r. b. był dość pogodny, suchy i prawie bez śniegu; w piérwszéj połowie mroźny, w drugiéj łagodny i tak ciepły jak w porze letniéj; dni 18, 19, 20, 23, 24, 25, były tak ciepłe, iż ich temperatura po południu do 12 stopni R. dochodziła; w ogóle miesiąc ten cieplejszy był o 0.18 stopni R. jak zwykle. Wody z dészczu i śniegu spadło trzy razy mniéj niż lat innych.

Wiatr panujący był zachodni; w drugiéj połowie miesiąca częste były wiatry Południowo-Zachodnie.

Wichrów było 6; t. j. Z.=5; PnZ.=1.

D. 22 przed zachodem słońca, widziano dwa słońca boczne.

D. 22, 29 wieczór koła białe otaczały księżyc.

D. 29 po południu błyskawice i grzmoty połączone z gradem piérwszy raz tego roku dały się słyszéć w Warszawie.

ALEXANDER HUMBOLDT

I JEGO KOSMOS.

PRZEZ

Józefa Sapalskiego.

Dzięki nadzwyczajnéj czynności umysłowéj, która cechuje obecny wiek. Ze wszystkich stron liczni i czynni robotnicy garną się do dzieła, i przynoszą ciągle nowe materyały do wspólnego ogniska. Niepodobna w naszych czasach dzielić nauki, jak niegdyś czyniono, na różne części zupełnie od siebie niezależne; albowiem dzieła, które mają być przeznaczone do uporządkowania tysiąca faktów, jakie dostarcza nieprzerwana praca uczonych, stają się coraz więcéj konieczne; powinny zatém mieścić w sobie wszystkie przedmiota chociaż różnorodne i powikłane. Zebrać prace wielu badaczów, ocenić każdy szczegół, ogarnąć cały ogół, pogodzić wypadki napozór sprzeczne, uzupełnić je poszukiwaniami, wyjaśnić związek ukryty między niémi; przechodzić drogą wniosków do prawd, nakoniec sprostować błędy za-

szłe w obserwacyach, powinno być usiłowaniem tych, którzy mają dopełnić przeznaczenia prawodawców dzisiejszéj nauki.

Układ téj pracy w miarę zwiększania się liczby faktów, staje się coraz trudniejszy. Czyż nie pojmujemy, że jeśli zechcemy ogarnąć cały świat zjawisk, usiłując przytém uchwycić prawa ogólne, które rządzą tysiącem cząstek niezmiernéj całości w czasie i przestrzeni stanowiącéj jedność, jest zastraszającém przedsięwzięciem, lecz razem takiém dziełem, do którego umysł ludzki zdaje się być silnie pociąganym? Filozofowie starożytni wyłącznie byli kosmologami; u nich właściwie mówiąc, był jeden tylko cel bezwarunkowy: ażeby rozwiązać zapytanie *co jest świat?* U ludów Wschodnich czyli przodków Zachodu, aż do średnich wieków, których jesteśmy spadkobiercami, widzimy zadania tylko powierzchownie dotknięte, i rozwiązane za pomocą hypotez prawie zawsze mylnych. Wieki nowe, na zasadzie obserwacyi i doświadczeń, obaliły rusztowanie fałszywéj nauki upłynionych wieków, i uznały za konieczny warunek do wytłumaczenia zjawisk, potrzebę nabycia znajomości nauk ścisłych. Tak wielkie przedsięwzięcie podzielone zostało między astronomów, fizyków, chemików, zoologów, botaników, fizyologów; każdy z nich wziął się do dzieła, każdy z nich niezważając na postęp dokonany, myślał ażeby posunąć naprzód swój przedmiot. Tu więc możemy śmiało powiedzieć: tu rozprysły się zupełnie ogniwa, które spajały pojedyncze nauki dawnéj filozofii. *Jedną umiejętność* wieków ubiegłych, zastąpiła wielka liczba *nauk tegoczesnych.*

Uczeni wyszedłszy z rozmaitych punktów w celu zbadania zjawisk napozór od siebie niezależnych, nad spo-

dziewanie zeszli się w wspólnéj krainie wiedzy. *Fizyk* i *chemik* zapatrywali się przedtém ze swego stanowiska każdy z osobna, według swego pojmowania rzeczy; lecz działacze które władają materyą, jakiemi są: światło, cieplik, elektryczność, magnetyzm, zmusiły ich, że tak powiém, do połączenia swych przedmiotów nauki. *Geolog* zasięga pomocy z *fizyki* i *chemii* dla poznania bliższego kształtu skał i ich pierwiastków; on nawzajem dał im swe kryształy, których szczególne własności rzuciły zupełnie nowe pomysły na prawa polaryzacyi magnetycznéj, elektrycznéj i światła. Trzy te gałęzie umiejętności, jedynie przeznaczone na zbadanie materyi martwéj, łącznie zetknęły się z nauką o istotach żyjących. *Botanika* i *zoologia* dawniéj walczyły z sobą o całe klasy istot wątpliwych; teraz podały sobie ręce na polu *fizyologii*, ażeby iść razem drogą tak mało znaną jaką jest *biologia*. *Paleontologia* zaś, która dziś tak wysoko wzrosła, przez zbadanie wykopanych roślin i szczątków zwierzęcych w różnych pokładach ziemi, odsłoniła *fizyologii* nieznany dotąd związek między dwoma królestwami świata organicznego. *Astronomia* długo odosobniona, wspiérała się wyłącznie na wiadomościach matematycznych; najwięcéj wszakże zbliżyła się do *fizyki* przez użycie z jéj oddziału narzędzi optycznych; ale nie koniec na tém; żąda ona jeszcze od téj nauki sposobu poznania zmian zawisłych od światła, przez co przychodzi do wniosków prawdopodobnych o naturze ciał w przestrzeni. Astronomia widzi w księżycu ślady wstrząśnień podobnych do tych, jakie wskazuje *geologia* na naszéj planecie. Astronomia tłumaczy i przepowiada naprzód poruszenia wód, które pod nazwiskiem podnoszenia się i opadania znane są światu.

W dzisiejszém stoleciu, którego są godłem: *odkrycia, wynalazki i zastosowania*; w dzisiejszych mówię czasach, wszystkie gałęzie nauk przyrodzonych wspiérają się wzajemnie, i nietracąc na swéj właściwéj mocy i charakterze, ciągle jedna od drugiéj potrzebują pomocy, coraz więcéj ważnéj, coraz więcéj koniecznéj. Zapatrując się z tego punktu widzenia rzeczy, nikt nie może być specyalnym w wykładanym lub obrabianym przez się przedmiocie; nikt nie może pojąć i nie pojmie dokładnie przedmiotu tego, któremu się oddaje, jeśli nie jest obeznany, chociażby ogólnie, ze wszystkiémi gałęziami nauk przyrodzonych. Ograniczając się ściśle na jednym przedmiocie, pomimo usiłowań, nie dojdzie do położenia zasad pewnych, do zasad, któreby stanowiły niezaprzeczoną rzeczywistość rzuconéj teoryi.

Jeśli jest nauka która potrzebuje prawie uniwersalnych wiadomości, to bez wątpienia ta, która wziąwszy całą kulę ziemską za przedmiot do badania, usiłuje zdać rachunek ze wszystkich zjawisk codziennie wyrabiających się w ogromném jéj laboratoryum. Mówię tu o *ogólnéj fizyce kuli ziemskiéj*. Nauka ta, zawsze jako ulubiony przedmiot teoryków, długo opiérała się na czystych hypotezach, ulegała powszechnym prawom. Teraz zaś, lubo pojmujemy iż postęp jéj nie może być tak szybki, wszelako opiérając się na obserwacyach i doświadczeniach, ciągle postępuje naprzód. Czynność tu i wynalazczy gieniusz, mają wytknięte sobie granice; czas zaś jest jeden z koniecznych warunków dla zebrania faktów pewnych i niepowikłanych. Nakoniec dodamy, że od początku naszego stolecia, *ogólna fizyka kuli ziemskiéj* zrobiła dość znaczny postęp. Nieustannie rozprzestrzeniając swe, że tak się wyrażę, podboje, przeszła prawie za

granicę naszéj planety, i przygotowała drogę do nauki rozleglejszéj: nauki o *ogólnéj fizyce wszechświata.*

Z żalem wyznajemy, iż dotąd nie pomyślano o zebraniu materyałów, tyczących się téj nauki, w jedną całość. Rozrzucone po rozmaitych specyalnych dziełach, po pamiętnikach uczonych towarzystw, po opisach podróży, różnorodne, różnolicowe przedmiota, wiele traciły na powadze, związku i wartości, jedynie przez swe rozerwanie; ztąd więc oddawna dała się czuć potrzeba, ażeby jeden z uczonych zebrał je i uporządkował harmonijnie i systematycznie; ale dla wykonania takowego przedsięwzięcia, potrzeba zdolności niepospolitych, a przytém wielkiego poświęcenia się mozołom i pracy.

W takim przypadku, głęboka nawet nauka staje się niedostateczną, jeśli nie jest tyle wielostronna, ile uzasadniona; w takim mówię wypadku, należy koniecznie być fizykiem, chemikiem, astronomem; słowem, naturalistą. Z pomocą mnóstwa znajomości szczegółów i rozmaitych odcieni nauk ścisłych, należy posiadać umysł wszystko obejmujący; przytém umiejący zręcznie i z łatwością schwycić i zastosować taki fakt, któryby służył za pewnik niczém prawie niezachwiany. Nakoniec do podobnego utworu dzieło, potrzeba iżby autor mówił w imię swych osobistych badań, ażeby wykładał wypadki, fenomena, jako badacz, jako gabinetowy experymentalista; ażeby swemi oczyma widział i pojmował wielkie fenomena, których historyą chce opowiadać. Tak więc, kosmolog winien mieć umysł obdarzony świetnemi przymiotami, a do tego wyłącznie być usposobionym przez systematyczne pobieranie nauk. Tylu trudnym i różnolicowym warunkom, nikt zdaje się nie mógł lepiéj zadość uczynić jak Alexander Humboldt; o czém niektóre szcze-

góły życia tego znakomitego uczonego, mogą nas dostatecznie przekonać.

Życie Humboldta.

Fryderyk Henryk Alexander Humboldt, urodził się w r. 1769 we wsi Tegel, położonéj o dwie mile od Berlina. Rok wspomniony szczególnie pamiętnym jest przyjściem na świat: Chateaubriand'a, Cuvier i Napoleona. Ojciec Alexandra należał do liczby téj szlachty pruskiéj, która poświęcała cały swój majątek Fryderykowi II na pokrycie kosztów wojny siedmioletniéj, a matka jego była rodem Francuzka z owych pamiętnych osad francuzkich, które powstały w Niemczech w skutek zmiany edyktu w Nantes i prześladowań religijnych we Francyi. Koloniści ci chociaż w obcym kraju na zawsze osiedli, święcie wszakże zachowywali rodzinny swój język. Tym więc sposobem, młody Alexander mówił po francuzku jak i po niemiecku; co właśnie wyjaśnia, dlaczego Humboldt mógł pisać w obu tych językach z największą i jednaką łatwością.

Piérwsze lata młodości Humboldta, upłynęły na zajmowaniu się nauką w przedmiotach rozmaitych. Po ukończeniu nauk szkolnych pod przewodnictwem Forstera naturalisty i współtowarzysza podróży morskich Cook'a, łącznie z bratem starszym znakomitym filologiem, poznał teorycznie i praktycznie górnictwo, przytém zajmował się fizyką, chemią, mineralogią, technologią i astronomią. Wszedłszy do akademii górniczéj w Frejbergu, celował nad innych w naukach, tak, iż mając zaledwie lat 23 wieku, wysłano go na naczelnika górnictwa w Góry Sosnowe (Fichtelgebirg), gdzie po upływie

roku wydał dzieło o *roślinach skrytopłciowych* znajdowanych w pokładach podziemnych, przy wykonywaniu robót pod jego dozorem.

Ale zajęcia podobnego rodzaju, nie podobały się wcale uczniowi współtowarzysza podróży morskich Cook'a. Pociągany jakby tajemną siłą do podróżowania, objechał więc i zwiedził szybko Holandyą, Francyą i Anglią, i wydał w dwóch tomach dzieło pod tytułem: *Wycieczki za Ren.* Po powrocie do kraju, udał się do Getyngi; tam zaś pod przewodnictwem Soemmering'a zajął się praktycznem poznaniem anatomii, ćwiczył się w analizach chemicznych, i już po zastosowaniu tych różnorodnych nauk, przeszedł do trudniejszych zagadnień: ogłosił *badania o wegetacyi i oddychaniu roślin; o analizie powietrza; o drażliwości nerwowych i muskularnych włókien w skutek działania galwanizmu.* Ostatnie to dzieło szczególnie zwróciło na siebie uwagę uczonego świata. Ażeby nadać swoim badaniom i wypadkom większą pewność, autor nie lękał się robić doświadczenia na samym sobie: zdejmował on za pomocą wezykatoryi zwierzchnie warstwy skóry, by tym sposobem czułe części ciała organizmu, stykały się bezpośrednio z powietrzem.

Wszystkie te zajęcia i praca, służyły tylko Humboldtowi za środek przygotowawczy do wykonania zamiaru, który był jego jedynym celem w życiu. Opowiadania Forstera podsycały w nim nieograniczoną chęć do dalekich podróży. Rozmowy z bratem, wystawiały mu południową Azyą, jako kraj najwięcéj mogący wynagrodzić trudy i niebezpieczeństwa dalekiéj podróży, bogatém żniwem odkryć. Młody naturalista i badacz niecierpliwie oczekiwał chwili, w któréj będzie mu można

przeniknąć i zbadać tajniki starożytnéj kolébki rodu ludzkiego. Wojna która podówczas pustoszyła Europę, stawiała ciągle nieprzełamane przeszkody w wykonaniu jego zamiarów; jednakże zdawała się mu nasuwać porę, z któréj powinien korzystać.

W czasie oblężenia Moguncyi, walczące strony prowadziły między sobą układy, a Humboldt zostając wtenczas w stopniu sekretarza przy baronie Hardenberg'u, wysyłany był codziennie z poleceniami do armii francuskiéj pod dowództwem generała Moreau. Poznał się tu Humboldt z generałem Dessaix szefem sztabu armii, który odróżniał się wpośród nieokrzesanych i szorstkich obrońców rzeczypospolitéj, uprzejmością i łagodnością charakteru w obejściu się. Odtąd obaj młodzieńcy serdecznie zaprzyjaźnili się. Dessaix powierzył swemu przyjacielowi w tajemnicy będący jeszcze zamiar Bonapartego wyprawy do Egiptu. Dostać się do Indyi przez ziemie Faraonów, dotąd Humboldt nie poważył się nawet pomyśléć! Teraz zaś bez namysłu postanowił opuścić niemiecki obóz; poczém pojechał do Paryża i podał prośbę do dyrektoryatu o pozwolenie należenia do wyprawy egipskiéj. Po długiém oczekiwaniu, otrzymał odmówną odpowiédź. Bynajmniéj nie zrażony taką przeszkodą, pośpieszył z drugą prośbą do tego, który piérwszy powziął i ułożył plan tak sławnéj w dziejach państwa francuzkiego wyprawy; śpiesznie więc udał się do Marsylii, ale Bonaparte ażeby omylić Anglików, przyśpieszył dzień odbicia. W chwili kiedy Humboldt przybył nad brzeg Śródziemnego morza, flota unosząc na swych barkach orężnych rzplitéj francuzkiéj, kryła się za poziom widnokręgu. Humboldt ze smutkiem udał się do Hiszpanii, w nadziei że wsiądzie na okręt w Korunnie, zkąd

podług poprzednio ułożonego planu, przybije do brzegów Barbaryi, a ztamtąd złączywszy się z karawanami idącemi z Trypolis do Kairu, połączy się z armią francuzką. Lecz i tu jego zamiary spełzły na niczém.

Kto inny gdyby widział tyle przeszkód, wyrzekłby się zupełnie swego przedsięwzięcia; ale te przeszkody wzbudziły w Humboldtcie jeszcze więcéj chęci i energii. Śródziemne morze, Azya, Afryka, były dla niego zamknięte; postanowił więc dostać się do swych ulubionych Indyj oceanem Atlantyckim i przez Amerykę. Przez starania i zabiegi brata swego, będącego w wielkiém poważaniu, pozwolił król hiszpański Humboldtowi zwiedzić osady hiszpańskie. Humboldt chciał tylko przejechać przez Amerykę, dostać się do portu Acapulho na Spokojnym oceanie, a ztamtąd odpłynąć na okręcie co rok wyprawianym do wysp Filipińskich. Tym sposobem przebiegłszy $^3/_4$ części świata, dostać się do dawno oczekiwanych Indyj. Ale jak stąpił na ziemię nowego świata i został otoczonym nieznanemi mu dotąd skarbami, na chwilę zapomniał o Indyi, a podróż którą zamierzył doprowadzić do skutku, zamienił na pięcioletni pobyt w Ameryce. Od roku 1799 do 1805, zajmował się Humboldt zbadaniem olbrzymich wiérzchołków i strasznych wulkanów pasma gór Kordillerów; zwiedził równiny rozciągające się u stóp tych gór, poznał kierunek i wielkość rzék, których źródła biorą swój początek w głębokich przepaściach. Zwiedził także znaczniejsze wyspy zatoki Mexykańskiéj. Nakoniec korzystając z neutralności Stanów Zjednoczonych, po tylu trudach i znojach, młody podróżny wrócił do Europy, i przywiózł z sobą mnóstwo zadziwiających materyałów, jako owoc tyloletniéj podróży.

W epoce powrotu Humboldta do Europy, tojest około r. 1805, znaczenie polityczne Prus zostawało w najsmutniejszém położeniu. Państwo utworzone przez zręczność i biegłość Fryderyka II, po bitwie Austerlitzkiéj i klęsce pod Jena zamieniło się chwilowo w prowincyą francuzką. Wszystko więc co się ściągało podczas téj klęski do wewnętrznéj oświaty, wcale rząd nie zajmowało. Z drugiéj strony, taż sama epoka opanowaną była złowieszczym gieniuszem oświaty niemieckiéj; napłodziła ona wiele głów, które ćwiczyły się wyłącznie w dogmatach metafizycznych. Ażeby miéć powagę w świecie uczonym niemieckim, ażeby miéć pewne znaczenie w społeczeństwie, należało być koniecznie abstrakcyjnym, wyrzec się towarzystw, pisać i gadać w sposób taki, by go nikt nie pojmował. Z takimi tylko przymiotami, każdy miał prawo dobijać się o przywiléj na najwyższy stopień godności literackiéj; imię takiego tylko mędrca głoszono po wszystkich rogach szczepu germańskiego. W pośród takiego usposobienia umysłów, czego się mógł spodziéwać Humboldt po pięcioletniéj przykréj, uczonéj podróży? Humboldt jako wyłączny badacz ogólnéj fizyki kuli ziemskiéj? Humboldt który o trascendentalnéj filozofii niemieckiéj ledwie z opowiadania słyszał? Naturalnie przyjęto go obojętnie, sam król nawet nie raczył udzielić mu posłuchania. Udał się więc natychmiast z całym zapasem wiadomości, oraz ze znacznym zbiorem botaniki, zoologii i geognozyi do ogniska cywilizacyi i oświaty, tojest wyjechał z Berlina do Paryża.

Obrawszy więc Paryż na miejsce odpoczynku, ogłaszał płody swych badań i pracy. Miasto to rzeczywiście było dla niego drugą ojczyzną. Laplace, Berthollet, Jus-

sieu, Cuvier, Arago, Biot, Brogniart, Gay-Lussac, Thénard, wszyscy ci znamienici ludzie przyjęli go do swego grona jak brata, jak przyjaciela. W dowód zasług, które uczynił dla nauki i ludzkości, przyjętym został na członka towarzystwa d'Arcueil, odznaczającego się więcéj od innych towarzystw, że członkowie byli razem i uczonymi i przyjaciołmi. Humboldt wkrótce usprawiedliwił, iż godnym jest szacunku kolegów swoich. Przepędzając czas naprzemian, to w gabinecie Cuvie'go, to w laboratoryum Gay-Lussac'a, ogłosił wiele ważnych rozpraw o przedmiotach różnorodnych, a między innemi: *Anatomiczne postrzeżenia nad krtanią u ptaków*; *o języku i sercu krokodyla*; *o analizie chemicznéj gazów zamkniętych w pęcherzu ryb*; *postrzeżenia nad oddychaniem w wodzie*; *cyanometryczne badania nad przezroczystością atmosfery, zebrane na wyniosłościach gór Pichincha i Chimborazo*, 19,000 stóp nad powierzchnią morza, i *opis zwierząt i roślin* do jego czasów nieznanych.

Obok tych rozpraw, Humboldt wydał kilka dzieł, tojest: *Opis historyczny nowéj Hiszpanii*, który poświęcił królowi pruskiemu, podówczas będącemu jeńcem wojennym cesarstwa francuzkiego; *opis historyczny podróży*; tu zebrane są rozmaite i najtrudniejsze pytania, tojest: o geografii roślinnéj, o prawach magnetyzmu i cieple wewnętrznem kuli ziemskiéj, o pochodzeniu plemion amerykańskich, oraz zdania archeologiczne o ich pomnikach; nareszcie dzieło pod tytułem: *Obrazy natury*, w których stylem pięknym i krasomówskim przypominając Buffon'a, starał się uczynić je przystępnemi i zrozumiałemi dla ogółu, a przytém obznajmić nas z płodami międzyzwrotnikowemi.

Ażeby uporządkować wielką liczbę materyałów przywiezionych z Ameryki, nie byłyby dostateczne ani najobszerniejsze wiadomości Humboldt'a, ani niezmordowana jego czynność. Wezwał więc w pomoc ludzi specyalnych, i z rzadką szlachetnością oddał im swe zbiory botaniczne i zoologiczne. Towarzysz jego podróży Bonplan powtórnie odpłynął do Ameryki (1), w miejsce którego wybrał Kunth'a, jednego z najznakomitszych ówczesnych botaników. Znamienity Latreille, ojciec nowéj entomologii, podjął się opisać owady; Valenciennes wówczas tylko co wystąpił w świat uczony, otrzymał na swoję część ryby i mięczaki; niektóre zaś najzawilsze i najmniéj znane przedmiota tyczące się zoologii, poruczone były sławnemu Cuvier, który przez swe badania anatomiczne nad wątpliwemi płazami, piérwszy szczegółowo dał poznać dziwaczną organizacyą *Syrena*, *Proteusza* i *Aksolota*, któreto istoty łączą w sobie cechy organizacyi innych klas zwiérząt (2). Każdemu z tych naturalistów, oddana była słuszna pochwała za trudy i poświęcenie się dla dobra powszechnéj oświaty. Humboldt nie-

(1) Bonplan godny współtowarzysz Humboldta, również uczony, również śmiały jak on, który przedsięwziął nową wycieczkę, postanowił posunąć się aż do Paragwai. Wykonał w istocie swój zamiar, lecz zaledwie tam przybył, schwytany na rozkaz dyktatora Francia, i osadzony w więzieniu. Wiele lat upłynęło nim Francia dozwolił Bonplanowi wrócić do Europy.

(2) *Syren*, ciało ma podobne do węgorza, głowę do suma, oczy małe, farbę czarną. Mieszka w Ameryce mianowicie w Karolinie, przebywa w wodzie i na lądzie, karmi się owadami i płazami, węże jednak najlepiéj lubi. Głos wydaje podobny kaczemu. *Proteusza* ciało długie, wysmukłe, nagą skórą pokryte, trzy dychawki na bokach szyi, nogi bardzo małe. Mieszka w pieczarach wodą zalanych, mianowicie w Karniolii. Największy ma długości 13—15 cali; kolor blado-cielisty. Oprócz płuc, postrzegają się u niego skrzele jak u ryb, lecz te są na wiérzchu, z obu stron

tylko że nie chciał przyswajać sobie cudzą pracę na wzór tych, którzy mają znaczenie i wiarę w opinii publicznéj, ale nadto oznaczył wyraźnie przy każdym rozdziale, co wyłącznie należy do niego, a co do współpracowników.

Jednakże w pośród tak czynnego życia, Humboldt nie zapominał o piérwszych zamiarach powziętych jeszcze w młodości. W towarzystwie Valenciennes (ponieważ Kunth został w Paryżu), udał się do Anglii, ażeby wyjednać pozwolenie koniecznie potrzebne dla wycieczki do Indyj. Ale przeszkody, których istoty zapewne w owych czasach nie domyśliwał się, zmusiły go jeszcze raz odłożyć na późniéj swój zamiar. Kiedy był kongres w Akwisgranie, Humboldt pośpieszył do tego miasta w nadziei, że pomoc tam obecnych panujących usunie nakoniec wszelkie przeszkody. Fryderyk Wilhelm III przyjął Humboldt'a ze szczególném zadowoleniem i względami, oraz przyrzekł ponosić wszelkie koszta przedsięwziętéj przez niego wyprawy; ale ówczasowa polityka angielska lękała się na samo wspomnienie, że tak znakomity badacz zobaczy część kuli ziemskiéj, którą

szyi, farby krwistéj. *Aksolotus* czyli *dychawkowiec*, którego są trzy gatunki, znajdujące się tylko w Ameryce. O ich sposobie życia nic dotąd nie wiémy. Głowę mają dużą, pysk krótki, oczy błoną powleczone, dychawek po trzy na obu stronach szyi; ciało grube, długie, grzebień na grzbiecie skórzany, nizki, z ogonowym złączony; nóg krótkich cztéry, palce bez pazurów. Niektórzy naturaliści utrzymywali, że te zwiérzęta są poczwarkami dotąd nam nieznanych wielkich płazów jaszczurkowatych. Mieszkańcy zaś Ameryki utrzymują, że to są zwiérzęta ukształcone. Największy z tego rodzaju gatunek żył niegdyś w Europie, jak dowodzą szkielety wynoszące po 3 stopy długości, znajdowane w *łupku pisarskim* w kopalni eningskiéj, na granicy szwajcarskiéj. Byli tacy pisarze, którzy upatrując podobieństwo tych szkieletów do szkieletu ciała ludzkiego ogłosili, że znaleźli kości człowieka przedpotopowego (homotestis deluvii); ale zapomnieli zwrócić uwagę, że szkielet Aksolota miał wyraźny długi *ogon*.

ona uważa za swą własność. Po tylu bezowocowych zabiegach, Humboldt ostatecznie widział się przymuszonym, wyrzec się zamiaru, którego doprowadzenia do skutku, żądał z upragnieniem uczony świat.

Humboldt w czasie bytności swéj w Ameryce, odesłał z Guadelupy rzadki zbiór geognostyczny, zawiérający mnóstwo minerałów i kamieni zebranych na wiérzchołkach Andów. Anglicy w drodze przemocą takowe zabrali i odesłali do Londynu. Część tego zbioru zdobi dziś galerye muzeum brytańskiego, reszta zaś leży w pakach w składzie, gdzie przed kilku jeszcze laty można je było widzieć.

Humboldt po przybyciu powtórném do Berlina, powszechnie był lubiony i poważany, jako uczony, jako naturalista i znakomity podróżny. Fryderyk Wilhelm oddając należny hołd uczonemu, osypał go dobrodziejstwy i zaliczył w poczet swoich przyjaciół. Szczególnie ulegając powszechnym życzeniom, postanowił Humboldt zapoznać publiczność z owocami swéj pracy z poświęceniem i mozołem zebrane. Nierównie obszerniéj wykładał w Berlinie swój przedmiot, jak w Paryżu, przez co dawał poznać bliżéj słuchaczom, wiadomości tyczące się ogólnéj fizyki kuli ziemskiéj. Wszystkie stany Berlina tłoczyły się około professora kiedy mówił głosem pełnym wdzięku, powagi i słodyczy, w imię nauki niezaprzeczonéj, w imię osobistych doświadczeń; a opisując wielkie fenomena natury na obu półkolach, mógł powtarzać co chwila: *ja to widziałem.* Lecz w tych samych dniach uroczystych i chlubnych dla siebie, dotknięty został ciosem nieopisanego smutku i boleści. Utracił on brata rodzonego Wilhelma, który dzieląc z nim prace

naukowe, umiał być jednocześnie mężem stanu, filozofem, poetą, filologiem, i historykiem.

Przy wykładaniu na prelekcyach publicznych przedmiotów, tyczących się ogólnéj fizyki kuli ziemskiéj, szczególnie fizyki nowego świata, Humboldt powtarzał z żalem, iż nie miał sposobu osobiście zwiedzić kraje międzyzwrotnikowe starożytnego świata. W roku 1820 zdarzyła się mu sposobność przerwać spoczynek, który zaczynał go nudzić, i nakoniec wejść do Azyi jakby uciekającéj od niego. W Rossyi około tego czasu rozpoczęły się badania naturalistów, którzy odkrywali coraz nowe nadspodziewane bogactwa, nieznane przedtém, i ukryte w łonie rozległego jéj władztwa. Naturalnie, Syberya nie mogła mieć dla Humboldta takiego zajęcia jak Indye, główny jego przedmiot, jedyna myśl całego jego życia. Tam znalazłby obszérne pole porównania krajów międzyzwrotnikowych obu półkuli. Kiedy więc Anglia nie chciała go wpuścić od południa do Azyi, postanowił spojrzéć na tę część świata od strony północnéj. Rząd rossyjski przyjął na siebie wszystkie koszta téj wyprawy, i ustanowił Humboldta na jéj czele. Humboldt usprawiedliwił zaszczytnie powierzone mu dzieło, jak niemniéj trafnie wybrał sobie współtowarzyszy podróży, godnych poszanowania i znanych w uczonym świecie; mianowicie Ehrenberga jako wojażera po nadbrzeżnych okolicach morza Czarnego, którego podziwiamy mikrograficzne odkrycia; drugiego Gustawa Rose sławnego podówczas mineraloga. Owoce zatém téj ważnéj podróży przyniosły szacowne skarby dla Rossyi i oświaty. Przytém Humboldt miał sposobność porównania, chociaż w części, Azyi z Ameryką, stepy Obi z pampasami Brazylii, a wyniosłości rozległych gór Altaii z głę-

bokiemi pieczarami Kordillerów. Poczém wróciwszy do Europy wydał dzieła: *Wspomnienie o Azyi*, i *o środkowéj Azyi*, w których przytacza i objaśnia mnóstwo faktów tyczących się geologii i klimatologii, przytém rzuca nowe światło na wiele zadań ważnych z ogólnéj fizyki kuli ziemskiéj.

Odtąd Humboldt, zostawując młodym uczonym pole do rozprzestrzenienia wiadomości nabytych przez niego w podróżach, wyrzekł się napozór dalekich wycieczek, a całą znajomość nauki poświęcił na nauczanie młodzieży. Przyjaciel teraźniejszego króla pruskiego, jak dawniéj Fryderyka Wilhelma III, stanąwszy u tronu podał rozmaite projekta tyczące się narodowéj oświaty. Za jego wstawieniem się, professorowie dla zachęty otrzymali podwyższenie pensyi, które wynagradzając upłynione trudy, utrwala na przyszłość poświęcenie się swemu zawodowi. Wyjednał summy znaczne u rządu pruskiego na koszta przedsięwziętych i ukończonych budowli. W Prusach powstały bogate instytucye. Berlin posiada zwierzyńce pozakładane umiejętnie i z gustem; założono także ogrody botaniczne. W Szarlottenburgu wzniesiono obserwatoryum magnetyczne, w którém żelazo i stal zastąpiła miédź, zupełnie usuwająca błędy w obserwacyach.

Dobroczynny wpływ Humboldta nietylko rozciąga się na jedne Prusy. Cała Europa patrzy dziś na jego niezmordowaną czynność umysłu, któréj winniśmy wielkie przedsięwzięcia wykonane w celu zbadania tajemnic nadzwyczajnych fenomenów. Od r. 1806 Humboldt szczególnie zajmował się magnetyzmem ziemskim. Nieprzerwane obserwacye wielu dni i wielu nocy, zmieniły system obserwacyj oddzielnych i przerywanych; spostrzegł on w igle magnetycznéj drgania czyli niezwykłe ruchy.

Następnie w r. 1820 Arago dowiódł przez porównanie obserwacyj paryzkich z kazańskiemi, że ruchy te igły magnesowéj w kierunku i w czasie równe są sobie, chociaż różnica odległości miejsc jest niezmiernie wielka; przekonał się nadto, że na podobne ruchy jéj, wyraźny wpływ wywiérają zjawiska zorzy północnéj. Odkrycia Oerstedt'a które stwierdziły zupełny związek magnetyzmu z elektrycznością, nadały nowy kierunek téj nauce, wzbudziły w uczonym świecie chęć do dalszych poszukiwań, i naprowadziły na nieznane przedtém odkrycia. Jednocześnie robione obserwacye w Paryżu i Berlinie przez Arago i Humboldta, powtórnie stwierdziły piérwsze wypadki i dowiodły, iż wiele się można spodziéwać od ścisłych i systematycznych obserwacyj rozpoczętych na całéj kuli ziemskiéj. W r. 1829, Humboldt w czasie podróży po Azyi północnéj obrał stosowne punkta na założenie obserwatoryów magnetycznych, co rząd rossyjski uskutecznił (3). Nakoniec Francya, Szwecya, Włochy, Niemcy, czyniąc zadosyć wezwaniom znakomitego naturalisty, utworzyły towarzystwo magnetyczne, i za punkt środkowy obrały Götynge; wyjąwszy tylko Anglii, która do r. 1836 nie miała w tém przedsięwzięciu uczoném żadnego udziału; jednakże na wstawienie się listowne Humboldta do księcia Sussex prezesa towarzystwa królewskiego w Londynie, życzenia towarzystwa magnetycznego zostały wykonane w zupełności. Poruczono kapitanowi James Clark Ross zebrać obserwacye w południowych krajach, i przytém założono obserwatorya magnetyczne w Kanadzie, na wyspie śtéj Heleny, na Przy-

(3) Obserwatorya te magnetyczne zajmują linie począwszy od Mikołajowa, Ekaterinenburgu, Barnaul, Nerczyńska aż do Pekinu.

lądku Dobréj Nadziei w Kapsztadzie, w Ile-de-France, w Cejlan i Nowéj Holandyi. Tym więc sposobem cała kula ziemska, że tak powiém, została pokrytą siecią, któréj każde oko związane jest ręką Humboldta.

Humboldt liczy dziś lat 78 życia, i zadziwiająca rzecz, że sławny patryarcha oświaty zawsze jest czynny, zawsze dąży do nabycia wiadomości jak w wieku młodym, zawsze szuka prawdy i nigdy nie lęka się wyjść na jéj spotkanie. Jakby na przekor dumnym reprezentantom oświaty, którzy nie są przystępni w celu nadania sobie większéj wagi w opinii publicznéj, z upodobaniem przyjmuje każdego któryby mógł udzielić mu chociażby mały, lecz jemu nieznany fakt z dziedziny nauk.

Następujące zdarzenie przekona lepiéj nad wszystkie dowody, o ile Humboldt pragnie widzieć wszystko swemi oczyma i porównywać, co w najwyższym stopniu znamionuje jego umysł. W czasie pobytu swego w Ameryce, oglądał on niezmierne wulkany w Andach, przyczém uważał liczne trzęsienia ziemi; z uczonych zatém europejskich, żaden zapewne nie mógł gruntowniéj mówić o tych przerażających fenomenach nad niego, który osobiście je widział; wszelako nie ogłaszał nic w tym przedmiocie, dopóki piérwéj nie zwiedził i nie porównał wulkanów europejskich. Daléj, łowił w jeziorach Gujany surynamskiego drętwika elektrycznego, a robiąc na nim doświadczenia przez dotykanie go rękoma, doznawał silnych wstrząśnień, z których jedno jest dostateczne, ażeby na kilka godzin sparaliżować człowieka, a nawet silnego konia; jednak nim objawił publicznie o nadzwyczajnych przymiotach téj ryby, chciał pierwéj porównać je z podobnemi przymiotami niektórych ryb w morzach europejskich. Jakoż w roku 1805, wkrót-

ce po przybyciu do Francyi, umyślnie wyjechał do Neapolu w celu naocznego zbadania wezuwiusza i zrobienia doświadczenia nad drętwikiem elektrycznym.

Z opisu biograficznego widzimy charakter osobisty Humboldta jako uczonego. Nie postrzegamy w nim wyłącznie ani fizyka, ani chemika, ani geologa, ani zoologa. Jeśli w przeciągu wielu lat zajmował się on fizyką, chemią lub astronomią, to przedmiota .te służyły mu tylko za wstępne, przygotowawcze ćwiczenia. Od młodości myślał szczególnie o dalekich podróżach; chciał być podróżnym w całém znaczeniu tego słowa. Żądał on, jak sam wyznaje, objąć umysłem cały świat zjawisk i sił fizycznych. Dla dopięcia tak szczytnego, tak wielkiego celu, który chociażby nawet w stosunku zniżonym, zawsze będzie trudnością dla umysłów podrzędnych; powtarzam dla dopięcia tak wielkiego celu, należy być uniwersalnie uczonym, jakim jest Humboldt; bo bez fundamentalnéj nauki, gruntownych i licznych wiadomości, każde badanie w niezmiernym rozmiarze przyrody, każde objaśnianie faktu, doprowadzić może do rezultatów mylnych lub chymerycznych, nakształt tych, które w przeszłości łudziły i utrzymywały w błędzie nasze pojęcia.

Z takiego punktu zapatrywania się, uczoność Humboldta na piérwszy rzut oka zdaje się być chwiejąca, niepewna; jednakże występuje w zadziwiającym charakterze jedności takiéj, jaka cechuje tylko wyższość zdolności tego, który w przeciągu lat 60 myślał o wszystkich naukach, badał wszystkie jéj odcienia napozór niezależne od siebie. Uczony w gabinecie, i uczony podróżny, mają zupełnie oddzielne obowiązki. Prace umysłowe które żądamy od uczonych w miejscu pracujących,

niezależnie od zewnętrznych wrażeń, nie mogą równać się z témi, które potrzeba, że tak rzekę, podbijać za cenę ciężkiéj pracy, za cenę wielu niebezpieczeństw grożących życiu; bez straży, bez żadnéj obrony zapuszczać się w krainy nieznane pomiędzy ludy dzikie, ażeby zmierzyć wysokość gór, lub głębokie przepaście, albo uważać jakie zjawiska natury. Zostawmy uczonym domatorom wykończenie tworów, dopełnienia, monografie, które z każdym dniem nabiérają większéj wartości. Od podróżującego żądamy wcale innych warunków. Z zapasem ciężko nabytéj nauki, wysyłamy go, jak się zwykło mówić, *na przepadłe*, ażeby utorował drogę ludziom specyalnym którzy mają iść jego śladem. Dla dopięcia takowego celu, potrzeba mocnego postanowienia i wielkiego zamiłowania nauk, by się narażać jedynie dla wyjaśnienia jakiego zjawiska, lub stanowczego oznaczenia jakowego punktu na powierzchni ziemi. Powinien przytém z nadzwyczajną szybkością pojmować wrażenia i wiernie je opisać; być przenikliwym w objaśnieniu jednego faktu za pomocą drugiego; posiadać nadewszystko umysł wielostronny, który umié wykryć z małéj liczby obserwacyj, długi szereg zasadniczych pomysłów. Zapewne, znajdując się ciągle pod wpływem razem wielu zewnętrznych wrażeń, może się czasem omylić w swoich wnioskach; ale za to wykazując fakta uderzające, wskaże je swym następcom, którym nawet błąd jego może posłużyć na korzyść nauki, jeśli zwrócą uwagę na dobrze określone fakta.

Wszystkie te przymioty, Humboldt posiada w wysokim stopniu. Zasługi położone przez niego, ściągają się prawie do wszystkich nauk. Ale to mało jeszcze. On w wielu a w wielu przedmiotach naukowych stał się

specyalnym, a mianowicie: powiększył ogólną fizykę obserwacyami co do podziału temperatury kuli ziemskiéj, i wzbogacił botanikę geografią roślin. To są dwa wielkie twory umysłu jego, które niewątpliwie wywarły wpływ na odkrycie zupełnie nowéj zasady, nowéj drogi; to jedno już może uczynić sławnym autora. Jeśli od czasu wyjścia na świat tych dzieł należałoby zmienić niektóre w nich ustępy, jeśli przytoczone wnioski zbaczają od przyjętéj ogólnéj formy znamionującéj stan nauki w roku 1815 lub 1817, to dlatego, jak widzimy, że w naszéj epoce massa odkryć, wynalazków, zastosowań, wzrasta z nadzwyczajną szybkością. Nareszcie jeżeli Humboldt był kiedy i wyprzedzony, to przez tych tylko, którzy idąc jego torem, równali i rozprzestrzeniali szeroką i wspaniałą drogę wytkniętą przez niego.

Ze współczesnych Humboldta ludzi sławnych o których wspomnieliśmy, Napoleon uniesiony wichrem politycznym, znikł; Cuvier umarł; Chateaubriand wylewając gorzkie łzy po Burbonach, umilkł; jeden tylko Humboldt jeszcze wznosi swój głos, którego uczony świat nietylko słucha z uwagą ale z poszanowaniem, oczekując nowych owoców jego pracy i rozumu. Tak zaszczytne znaczenie i wielki szacunek, nabyte są przez niego prawnie i dostatecznie usprawiedliwione. Jeżeli Newton odkrył siłę przyciągającą, ową duszę świata, *myśląc o niéj nieustannie*; można powiedzieć, że Humboldt zbogacił nauki *nieustannie poświęcając się*. Jeżeli w naukach tych któremi Humboldt zajmował się, są wyżsi uczeni od niego; jeżeli w chemii, botanice, geologii, zoologii ustępuje miejsce Lavoisier'owi, Jussieu'rom, Buch'owi, Cuvier'owi; to jako sławny podróżny, jako fizyk kuli ziemskiéj

zajmuje niezaprzeczone miejsce obok wspomnionych władców uczonego świata.

Ogólny obraz dzieła Kosmos.

Humboldt zdaje się chciał wyrazić, odmalomać całe swe życie w ostatniém swém dziele, które nazwał *Kosmos*, tojest: *Opis Wszechświata* czyli całego *universum*. Ułożyć w należyty system fenomena, przeniknąć władzę siły i ruchu, wyrazić wielkość stworzenia, napisać żywym językiem żywy obraz ruchu powszechnego, zebrać nieskończenie różnorodne żywioły, z których utworzony rys wspaniałéj przyrody nie psułby bynajmniéj harmonii i jedności tego ostatniego przymiotu o jaki powszechnie ubiegają się pisarze, poeci i malarze; taki był plan Humboldta, taki ogólny duch jego dzieła.

Skupiając, że tak powiém, w jedną całość nasze pojęcia, autor zmuszony był czerpać materyały z licznych utworów wielu pisarzy, a w tém drażliwém położeniu, zawsze się trzymał w granicach szlachetnych uczuć. Sam chociaż znamienity podróżny, z upodobaniem jednakże odstępował pierwszeństwo swym współpracownikom, ukazując się zawsze w cieniu. Z uwielbieniem powtarza ciągle imiona Ross'a, Franklina, Bornes'a, Darwin'a. Francuzi, Anglicy, Szwedzi, Niemcy, wspomnieni w texcie i dopiskach bezstronnie, co mówię.... wspomnieni z pewnym rodzajem słodyczy, która daje się postrzegać przy oddaniu im należnéj czci i sprawiedliwości w zasługach.

Nie powołując się na świadectwo czynnego swego życia, kiedy ogłosił Humboldt swą kosmografią, zdaje się że się lękał, ażeby ją nie przyjęli z jakimś niedowiarstwem.

Nie od rzeczy tu można nadmienić, że Niemcy od początku bieżącego stolecia, naplodzili umysłowych wiele niedorzeczności; jednakże dzięki usiłowaniom kilku wybranych, którzy mają wpływ na młode pokolenia, spodziewać się można, iż wyrzekną się z czasem scholastyki średnich wieków. Humboldt mógł się lękać zaciętéj walki ze złośliwemi i uprzedzonemi prozelitami szkoły niemieckiéj; dlatego w samym wstępie spowiada się szczérze, i wyznaje przytém, że w dziele swém trzyma się zupełnie zasady *empirycznéj*. Widoczném tu jest, iż chce przez to uniknąć zaczepek. Nareszcie z rodzajem żartu połączonego ze skromnością oświadczył, że zamierzył iść torem *wyższych umysłów*, które umiały zbudować świat *a priori z liczb i form*. Należy życzyć z całego serca, by słowa Humboldta, znakomitego ich ziomka, były słyszane w całych Niemczech, i żeby autor takiego zdania, zadał ostatni cios szkole filozofów niemieckich, i tak już potężnie zachwianéj przez szkołę Müllera i Ehrenberg'a.

Na samym wstępie Humboldt widział potrzebę postąpić stosownie do ducha charakteru i znaczenia dzieła. Kosmos powinien przedewszystkiém wystawić obraz wszechświata. Ażeby nie zniżyć przymiotu znaczenia tego wyrazu, wypadało autorowi opisać niebo, które jest dla nas wspaniałym widokiem. System nasz planetarny, pomimo ogromnéj swéj rozciągłości, jest tylko cząstką uniwersalnéj całości. Słońce nasze jest jedną z tych gwiazd niezliczonych, które lśnią cudownem światłem nad naszemi głowami, lub kryją się w bezdennych głębokościach przestrzeni. Humboldt zatém znalazł na wstępie taką gałąź ludzkich pojęć, która posuwa się bardzo powolnym krokiem.

Jeśli astronomia matematyczna bez sprzeczki jest najwięcéj nauką udoskonaloną; jeśli dzięki gienialnemu Newtonowi; mozołom geometrów; doskonałości optycznych instrumentów; sposobom obserwacyj za pomocą których, że użyję wyrazu, wykradliśmy przyrodzie tajemnicę biegu ciał niebieskich; jeśli powtarzam za pomocą tego wszystkiego podziwiamy dokładność rezultatów, to wcale nam inny stan rzeczy przedstawia astronomia fizyczna.

Między nami i ciałami krążącemi w przestrzeni absolutnéj, jest odległość którą może tylko pośredniemi drogami pojmować rozum ludzki. Światło przebiega 77,000 lieues (4), czyli 41,518 mil geograficznych na sekundę. Nie wchodźmy w szczegóły téj cudownéj szybkości; zwróćmy raczéj uwagę na promienie światła wychodzące z trzech gwiazd, których odległość zdołano wymierzyć. Naprzykład gwiazdy *Centaura* przebiega światełko do naszego wzroku po latach trzech; *Łabędzia* po latach 9 1/4; *Liry* po latach dopiéro 12. Wyobraźnia ludzka lęka się pomyśléć o podobnych odległościach, gdzie mile liczą się nie na tysiące, lecz miliony milionów. Jednakże nauka umiała je opanować i przebiedz; poważyła się nawet zapytać u tych bezdennych przepaści tajemnicy stworzenia świata.

Teorya obłoczkowa.

William Herschel, jeden z najznakomitszych astronomów zeszłego wieku, któremu astronomia fizyczna winna znaczny postęp, śmiało przystąpił do rozwiązania

(4) Zwyczajna mila francuzka, których liczy się na stopień 25.

w téj materyi wiele zadać. Uzbrojony najdoskonalszym teleskopem jakiego przedtém nie mieliśmy, zmierzył rozległość przestrzeni w któréj błyszczą napozór nieruchome gwiazdy, i przekonał się, że forma systemu planetarnego podobna jest do soczewki, czyli jaśniéj mówiąc, do ziarnka soczewicy. Sięgnął wzrokiem za *sklepienie niebios*, dowiódł istnienie wielu innych systemów, jeśli można powiedzieć, podobnych do naszego; czyli innemi słowy, w pośród tych ciał błyszczących własném światłem, odkrył drugie światy. Wyjaśnił uderzające różnice w obserwacyach swych poprzedników. Wskazał *pojedyncze gwiazdy*, niezawodnie słońca bardzo podobne do tego, które nas oświéca. Określił ze szczególną dokładnością: *obłoczki planetarne*, olbrzymie ciała, których średnica zawiéra miliony mil, a światło nierównie słabsze od światła naszego słońca; *gwiazdy obłoczkowe*, których jądro błyszczy jakby świécąca atmosfera, z obwodem mniéj lub więcéj wyraźnym; *obłoczki rozdzielne*, owe w grupach niezliczone roje gwiazd zamknięte w pewnéj przestrzeni, dla rozróżnienia których potrzeba użyć silnych teleskopów; nakoniec *obłoczki nierozdzielne*, uderzające przedmiota, które podobne są do fosforescencyi, czyli jaśniéj mówiąc, do oświeconéj mgły lub pary zgęszczonéj. Dają się one niekiedy postrzegać w nieokréślonych formach i niejednakowéj rozciągłości, jak naprzykład rozerwana wiatrem w kawałki chmura; niekiedy znów przedstawiają *sferę* lub elipsoidę mniéj więcéj podłużną. Blask zaś ich postępując od brzegów ku środkowi, stopniowo się wzmacnia.

Podług wniosku Williama Herschel, ciała czyli raczéj charakterystyczne mgły, podobne do pary lub obłoku,

o których dopiéro mówiliśmy, zdają się być stopniowém przejściem postaci tworzących się gwiazd czyli słońc. Materya kosmiczna rozlana w przestrzeni, ulegając prawom grawitacyi czyli powszechnego ciążenia, dąży stopniowo do skupienia się środkowego, i daje początek bryłom, to pojedynczym, to zgrupowanym, czyli innemi słowy, połączonym w jeden system, którego części mniéj więcéj zależą od siebie. Od tych różnych położeń brył, od mniejszego lub większego skupienia się ich massy, zależą rozliczne formy, które widzimy naszemi oczyma; naprzykład rozdzielne lub nierozdzielne grupy gwiazd obłoczkowych, planetarne obłoczki, gwiazdy obłoczkowe, gwiazdy pojedyncze. Słońce nasze wraz z planetami ma takiż sam początek. Powstały one stosownie od zgęszczenia się lub skupienia materyi kosmicznéj, albo poprostu materyi pierworodnéj, któréj cząstki przed skupieniem się w jednę zbitą massę, przedstawiały chaos, przedstawiały mgłę lub parę, i zajmowały daleko większy obszar od tego, w którym dziś porusza się i krąży nasz cały system.

Myśl Herschla zamknięta w tych słowach, znana jest pod nazwiskiem: *Nebular theory* (teorya obłoczkowa). Na piérwszy rzut oka zdaje się niepewna; wszelako nie zapominajmy, że za osnowę jéj służą niezliczone jego obserwacye, powtarzane z rzadką stałością przez kilkanaście lat z rzędu. Nadewszystko dotąd za pomocą téj tylko teoryi wyjaśnia się wiele fenomenów, które bez niéj nie miały między sobą żadnego związku i bez żadnego w świecie fizycznym znaczenia. Dlatego powiadam, teorya Herschla ma piérwszeństwo przed wszystkiemi hypotezami, a przynajmniéj jest jedną z tych tegoczesnych prawd, o których już mówiliśmy; jest jedną

z tych zaśmiałych, fantastycznych hypotez, których korzyści przepowiadał sam Bakon.

Potrzeba tu także dodać, że pomysły Herschla otrzymały, jak niżéj zobaczymy, zupełne potwierdzenie uczonego świata. Dowodzą one, że skład ciał należących do jednego systemu jest jednakowy, że stan połączonych żywiołów przybiéra tylko zewnętrznie rozmaity charakter, że wreszcie te same żywioły są jednego pochodzenia, jednym pierwiastkiem, jak liczne doświadczenia przekonywają nas.

Aerolity.

Wiadomo dziś każdemu chociażby z opowiadania, że bryły kamieni lub żelaza, podług wyrażenia gminnego, *spadają z nieba* i przebiegają naszę atmosferę z łoskotem podobnym do grzmotu, lub hurkotu jadącego powozu po drewnianym bruku. Historycy odległéj starożytności spominają o deszczach kamiennych. Niektóre z tych podań sięgają aż do XII, a nawet XIV wieku przed Chrystusem; późniejsza cokolwiek wzmianka znajdować się ma u Chińczyków, według któréj w prowincyi Hanan, na lat 664 przed Chr. spadło pięć kamieni. Livius o takichże zjawiskach mówi przytaczając, że kamienie spadłe na górze Albańskiéj, senatorowie umyślnie chodzili oglądać. Plinius i Plutarch piszą, że około roku 462 przed Chr., spadł kamień nadzwyczajnéj wielkości blizko Aegos-Potamos we Francyi. W wieku VI, Izydorus widział spadające kamienie na górach Libańskich. W roku 1492, dnia 4 listopada, po okropnym grzmocie i strasznéj burzy, w Alzacyi w obecności Maxymiliana cesarza spadł kamień ważący 3000 funtów, który zawieszono w kościele. W państwie mogolskiém za panowania Ihangira

cesarza w r. 1652 d. 26 grudnia dał się słyszéć nadzwyczajny grzmot, poczém spadła bryła żelaza, wryła się w ziemię, i wypaliła trawę na 36 stóp naokoło. Machmud Seida przytomny temu wypadkowi, kazał je wydobyć z ziemi i zrobić z niego szablę, nóż i sztylet, które za dodaniem żelaza zwyczajnego w małéj części (gdyż samo było kruche), były wyborne.

Opuszczamy podobne zdarzenia nierównie liczniejsze w szeregach następnych wieków; znajdzie je czytelnik w wielu tegoczesnych dziełach. Nadmienimy tu tylko, że fizycy XVIII wieku przez niemożność wytłumaczenia, jakim sposobem tworzą się aerolity w atmosferze, zeszli na drogę niedowiarstwa, a nakoniec zupełnego zaprzeczenia; przynajmniéj powinni byli tylko powątpiéwać, lecz dalecy od umiarkowania, woleli stanowczo zaprzeczyć czego pojąć nie mogli, i z uporem odrzucali to wszystko, cokolwiek w tym przedmiocie przedstawiano im. Chladni w r. 1794 ogłosił rozprawę, w któréj usiłował dowieść, że wszystkie podania o spadaniu aerolitów są rzetelną prawdą, jak równie utrzymywał, że są drobnemi planetami krążącemi w przestrzeni naszego systemu słonecznego: „Lecz to moje twierdzenie (są słowa Chladniego), długo za niedorzeczne uważano; dopiéro Pictet we Francyi zwrócił na nie uwagę, jednakże jeszcze wierzyć nie chciano." We dwa lata po nim Vauquelin ośmielił się ogłosić na posiedzeniu akademii nauk, że kamienie w Bènarés są rzeczywiście spadłemi z nieba na naszę planetę; znalazło się jednak i tu wielu powątpiéwających. Dopiéro w r. 1803 kiedy spadł grad kamieni nad wioską l'Aigle w Normandyi, i kiedy Biot wysłany przez akademią na miejsce, zdał o tym wypadku szczegółowy raport, uczony świat przekonał się nareszcie o rzeczywistości tego zjawiska.

Dziś już nikt nie powątpiéwa o istnieniu aerolitów; przeciwnie wszyscy naszych czasów badacze, skłonni są uważać za jedno: kamienie meteoryczne, kule ogniste czyli bolidy, i spadające gwiazdy. A więc bryły te, jak starożytni utrzymywali przez bogów utworzone, odrzucone w przeszłém stoleciu, a w naszém przez długi czas utrzymywano, że tworzą się w atmosferze w skutek połączenia żywiołów będących w stanie gazu; lub jak mniemali Laplace i Biot, że są odłamkami skał wyrzuconych przez wulkany księżycowe na ziemię; są bez wątpienia planety w miniaturze, które przebiegają orbitę naokoło słońca według praw powszechnego ciążenia. Niekiedy jako oddzielne, to znów połączone w nieobjętéj liczbie, stanowią rodzaj pierścienia. Drobne te asteroidy czyli planetki zapalają się wtenczas, kiedy w niezmiernie szybkim swym biegu, zetknąwszy się z ostatnią warstwą naszéj atmosfery, przedstawiają świécące pasy, które podczas widnych nocy jedne po drugich przecinają błękit nieba, lub tworzą dészcz spadających gwiazd, których peryodyczny powrót jest dziś dowiedzionym. Te to właśnie asteroidy kiedy zanadto zanurzą się w atmosferę ziemską, zamieniają się w aerolity: nakoniec zwolnione w swym biegu siłą oporu powietrza, spadają na ziemię.

Jeśli zastanowiwszy się z uwagą, teoryą o aerolitach znajdziemy prawdziwą; teoryą która do rzędu swych żarliwych stronników liczy Arago i Humboldta, to skład chemiczny tych ciał tém więcéj zasługuje na uwagę. W każdym przypadku są one bez wątpienia ciałami obcemi naszéj planecie; mogą być wszakże uważane za istotne resztki tych światów, których poznanie poczytywano długi czas za przystępne tylko z pomocą narzędzi optycznych i wyrachowań matematycznych. Spadające ciała,

sprawiedliwie mówi Humboldt, są jedyną materyą kosmiczną wiążącą planetę naszę z drugiemi częściami wszechświata. Najdokładniejsze analizy wielokrotnie powtarzane przez biegłych chemików dowiodły, że skład aerolitów zawsze jest prawie jednakowy; że w żadném zdarzeniu nie miały one nigdy w sobie nieznanego dotąd, lub obcego naszéj planecie pierwiastku (5). Z tego punktu widzenia rzeczy, fakt ten czyż nie zawiéra w sobie wielkiego znaczenia? czyż nie potwierdza on hypotezy Herszla?

Humboldt wcale nie wahał się przyjąć w całości i bez żadnego ograniczenia teoryą astronoma angielskiego. Niektórzy robili zarzut Humboldtowi, że tym sposobem zmienił swój program; że dla śmiałéj hypotezy, wyrzekł się czystego empiryzmu, którego szczególnie postanowił trzymać się w swém dziele. Zarzut ten zdaje się nie jest uzasadnionym, ponieważ teorya Herszla, jakeśmy poznali, nie jest pozbawioną do tego stopnia zasady, ażeby nie można było jéj wierzyć. Zjednała ona sobie wielu stronników. Między innymi, Arago znakomity tegoczesny uczony i autor wielu prac tyczących się astronomii fizycznéj, potwierdził ją nowemi dowodami; szczególnie w sławnéj rozprawie poświęconéj na uczczenie zasług Wiliama Herszla. Nadewszystko teorya wspomniona dała sposobność Humboldtowi zebrać w jednę systematyczną całość fakta, i sprowadzić do jednéj głównéj zasady małą liczbę przyczyn drugiego rzędu, z których wypływają kolejno wszystkie prawie zjawiska

(5) Podług rozbioru znakomitego chemika Berzeliusza, piérwiastki aerolitów są następujące: metaliczne: żelazo, cyna, nikiel, kobalt, manganez, chrom, miédź, arszenik; ziemne: sól roślinna czyli soda, siarka, fosfor, węgiel, potaż.

świata fizycznego. Teorya obłoczkowa jest, że tak powiém, *duszą* Kosmosa. Wiąże ona wszystkie części z sobą, i nadaje całemu utworowi, niewchodząc w różnorodność przedmiotów, doskonałą jedność i harmonią.

Częstokroć zbyt idealne hypotezy unosiły nas w nieznane krainy, i były powodem wielu błędnych zasad. Wszelako nie powinniśmy odrzucać wszystkie bez różnicy; inaczéj poszukiwania w wyższych poglądach, ograniczyłyby się na samych faktach, a zatém nie potrafilibyśmy wcale wytłumaczyć tego związku, tego porządku, który charakteryzuje różnorodne zjawiska otaczające nas; nie zrobilibyśmy przez to najmniejszego postępu. Każda teorya jeżeli obejmuje wszystkie wypadki znane i spaja je w jedno ogniwo, powinna być przyjęta z wdzięcznością; mylność jéj, nie zrobi, w naszych szczególnie czasach, wielkiéj przeszkody; albowiem po odegraniu dłużéj lub krócéj roli prawdziwéj teoryi, musi koniecznie upaść. Widoczny tego przykład daje nam chemia, w któréj wszystko polega na miarze i wadze. Kilkowiekowa praca alchemików, chociaż niebezpośrednio, wpływała jednak na postęp chemii, dopóki w pośród tego ruchu nie podał Stahl nowéj teoryi, teoryi flogistycznéj. Odtąd zaczęło się wszystko w chemii porządkować; pomysły jedne zrodziły drugie; liczba faktów powiększyła się tak, że w krótkim czasie w miejscu bezładnych i pomieszanych materyałów, stanął wspaniały gmach. Teorya Stahla przez cały wiek prawie wystarczała wszelkim potrzebom w umiejętności i postępie chemii; jednakże pokazało się późniéj, że była zupełnie mylną; w połączeniach bowiem chemicznych gdzie podług jéj zasady następował ubytek, rzeczywiście zachodziło zwiększenie. Wykryto więc jednocześnie i wypadki wielce

ważne, i błędy teoryi Stahla. Wszelako znakomity ten chemik zrobił niemniéj ważny krok: teorya jego zrodziła Bertholleta, Sheela, Pristleya, a nadewszystko, niech nam wolno będzie powiedzieć, zapowiedziała przyjście nieszczęśliwego Lavoisiera.

Gdybyśmy nawet surowo oceniali teoretyków pomysły, to nienależy przecie bezwarunkowo odrzucać je. Wrząca wyobraźnia teoretyków w polocie swym może się częstokroć zwichnąć, może ominąć prawdę; ale mimo to jednakże zbliża do niéj następne pokolenia. Niech tylko teoretycy będą wiernymi zasadom nauki, niech biorą za punkt oparcia się obserwacye i doświadczenia, niech nigdy nie pomijają zjawisk, odgrywających najważniejszą rolę w przyrodzie, a pod takiemi warunkami usiłowania ich będą przyjęte, i staną się godnemi powszechnego uwielbienia. W innym razie byłyby nauki, jak już powiedziałem, wiecznie w stanie dziecinnym, lub stałyby się bezowocnemi. Rzucona teorya w celu wyjaśnienia trudnych pytań, których bezpośrednio rozwiązać niepodobna skutkiem niezmiernéj przestrzeni wiążącéj różnorodne zjawiska, chociażby była najśmielszym pomysłem, powinniśmy, jeszcze powtarzam, przyjąć i zgłębić ją gruntownie. Działać przeciwnie, byłobyto przytłumiać jedną z najpiękniejszych, jedną z najwznioślejszych zdolności rozumu ludzkiego; oznaczyłoby to, że tak powiém, obciąć skrzydła gieniuszowi.

Początkowe tworzenie się kuli ziemskiéj.

Przyjmując za podstawę teoryą Herschla, zobaczymy jakim sposobem utworzył się system nasz planetarny, którego jest punktem środkowym słońce, a ziemia jedną

cząstką jego, zobaczymy jakim sposobem można wyjaśnić przeszły stan, i porównać go z teraźniejszym stanem naszéj kuli ziemskiéj. Materya kosmiczna rozproszona niegdyś w przestrzeni pewnéj, skupiwszy się w momencie danym, przez szczególne wzajemne przyciąganie się, utworzyła naprzód *mgłę* czyli *obłok*, następnie *obłoczkową gwiazdę*, nakoniec *gwiazdę*, tojest słońce oświecające nas. W czasie tego stopniowego ruchu skupiania się, taż sama materya jakby opadające morze, które wraca do swego normalnego łożyska, i zostawia na brzegach w liniach prawie równoległych rozmaite ciała pochodzące z jego łona; taż sama, powtarzam, materya zostawiła za sobą należące do głównéj massy cząstki, które skupiły się około drugiego stopnia punktów środkowych, a utworzywszy te same zjawiska, dały początek asteroidom o których mówiliśmy, i planetom jużto niezawisłym od siebie, jak naprzykład Palas, Cerera, Juno, Westa, Astrea, których orbity krzyżują się między orbitami Marsa i Jowisza; to oddzielnych jak Merkury: to nareszcie otoczonych księżycami jak ziemia, Saturn, Jowisz i Uranus.

Nasza kula ziemska z początku jako mgła, przeszła przez stopniowe zgęszczenie się do stanu płynnego, jak dowodzą nam oczywiste ślady w jéj zewnętrznéj formie, usprawiedliwionéj wymiarami geometrycznemi. Tak więc teorya Herschla bardzo naturalnie prowadzi drogą obserwacyi i badań do pewnych rezultatów. Stan płynny, będący skutkiem wysokiéj temperatury, był tylko przechodnim czyli przemijającym stanem; bo kula ziemska odosobniona w przestrzeni wyrzucając w około siebie promienie ciepła, którego napowrót inne ciała nie przy-

syłały jéj, musiała stopniowo ostygnąć, a najpiérwéj powierzchnia; przez co uformowała się twarda skorupa, i pokryła ognisty ocean wypełniający jéj wewnętrzną część. Od téj chwili między powłoką a lawą ognistą wewnętrzną, wszczęła się straszna walka, któréj niezatarte ślady napotykamy wszędzie. Wszystkie geologiczne zjawiska, wyraźny mają związek z działaniem i oddziaływaniem wewnętrznego stanu płynnego ziemi na zewnętrzną twardą powłokę. W skutek więc takiéj walki, zmieniły się łożyska wód, powstały góry, uformowały się doliny. W naszych nawet czasach, wzburzenia wewnętrzne wstrząsają niekiedy cienką powłoką przez nas zamieszkałą, sprawują trzęsienia ziemi i wulkaniczne wyziewy ognia, na które śmiertelni patrzą z wielkiém zadziwieniem i przestrachem. Tu dopiéro teorya Herschla podaje przyjazną dłoń teoryi Fourier'go o wewnętrznem cieple ziemi, i wielkim pomysłom geologicznym Buch'a i Eliasza Beaumont.

Na téj zasadzie możemy śmiało wnosić, że nasza ziemia jest ostygłe i na powierzchni skrzepłe słońce. Hypoteza o istnieniu wewnętrznego ognia, która zmieniła się przez liczne obserwacye w pewnik, tak jest uzasadnioną, jak następstwa teoryi obłoczkowéj. Dowody zebrane w kopalniach, obserwacye czynione przy wierceniu studni artezyjskich, potwierdzają w zupełności, że temperatura ziemi zwiększa się w miarę zagłębiania się wewnątrz; na każde zaś 26 lub 30 metrów, temperatura podnosi się o jeden stopień. Przypuszczając wraz z Cordier'em, że przyrost ciepła przybywa w stosunku zagłębiania się, wypada więc wnosić, że na 19 mil geograficznych w głąb', najtwardsze kamienie znajdują się w stanie płynnym. Podług najpewniejszych wyrachowań

geometrów i ścisłych obserwacyj fizyków, warstwa ziemi na któréj mieszkamy, ma tylko $^1/_{120}$ część całéj średnicy kuli ziemskiéj. Warstwa ta zatém, poprostu mówiąc, jest skórą któréj grubość w stosunku rozciągłości kuli ziemskiéj, ledwo można porównać do grubości skórki pomarańczowéj.

Biorąc za podstawę takie wypadki, musimy przyznać, że rozpalona massa, od któréj nas przedziela tak cienka przegroda, bez wątpienia ma wielki wpływ na temperaturę powierzchni kuli ziemskiéj; o czém myśleli także uczeni przeszłego stolecia. Mairan, Buffon, Bayli, wnosili, że wewnętrznego ognia ciepło, powiększa summę ciepła otaczającego nas latem o $^{28}/_{29}$, a zimą o $^{399}/_{400}$ części jednego stopnia. Przypuszczali nądto, że ziemia stopniowo stygnie. Buffon utrzymywał, że podług doświadczenia nad rozpaloną kulą, można wyrachować w jakim przeciągu czasu cała organiczność zniknie z powierzchni ziemi, w skutek stopniowego oziębiania się jéj. Fourier dowiódł mylność tego zdania. Znakomity ten fizyk wykazał, że przy mało znaczącém przewodnictwie mass stałych cieplika wewnętrznego, przez twardą powłokę która stanowi skorupę ziemi, dosyć grubości jéj kilka mil, by niedopuścić na 20,000 lat ostygnięcia silnego ognia. „Nadto", mówi daléj Fourier, „do temperatury atmosferycznéj wychodzi ciepła z ziemi tylko $^1/_{30}$ część jednego stopnia: ubytek ten jest tak mały, że jeślibyśmy wystawili bryłę lodu objętości 9 stóp kubicznych na stopienie pod bezpośredni wpływ wewnętrznego ciepła, potrzeba na to nie mniéj jak całego stolecia." Zatém podług energicznych słów p. Arago: wszystkie przemiany którym powierzchnia ziemi mogłaby uledz pod względem temperatury, skończyły się na $^1/_{30}$ część

jednego stopnia; zlodowacenie zaś naszéj planety przepowiedziane przez Buffona za lat 93,291 od dnia jak o tém pisał, jest urojeniem, które nigdy do skutku nie przyjdzie.

W miarę zmniejszania się temperatury ziemi, albo innemi słowy, w miarę jak ogień wewnętrzny jéj coraz więcéj ściskany twardą powłoką, począł wpływać słabiéj na powierzchnią naszéj planety, działanie niegdyś tak potężne, zamieniło się w innego rodzaju zjawiska. Słońce, gwiazda centralna, matka naszego systemu, która utworzyła się z największéj części mgły, owéj materyi kosmicznéj, z każdym dniem rozpościérała swoje wszechwładne panowanie; i teraz możemy powiedziéć, że słońce panuje bezwarunkowo nad kulą ziemską, która przedtém jakby uchylić się chciała od jego potężnego wpływu. Ono massą swoją utrzymuje ziemię na jéj orbicie. Ono jest jedyne źródło światła i ciepła. Ono wszystkiemu daje ruch i życie. Cała prawie meteorologia ogranicza się na pośredniém lub bezpośredniém działaniu słońca. Organiczna zaś przyroda w życiodawczéj sile jego promieni, ciągle przypomina mitologiczną bajkę o Prometeuszu.

Linie równych temperatur.

Meteorologia zawsze była ulubionym przedmiotem pracy Humboldta. Wzbogacił on ją mnóstwem obserwacyj, rozprzestrzenił jéj granicę, wykazał związek jéj z geognozyą i geografią fizyczną. On piérwszy uporządkował rozrzucone fakta, odkrył prawa empiryczne którym one ulegają; a nadewszystko posunął niektóre gałęzie tyczące się meteorologii do stopnia uzasadnionych

nauk. Z tego względu część Kosmosu poświęcona przez autora działowi podobnych fenomenów, jest jedną z najciekawszych i najwięcéj nauczających. Podział słonecznego ciepła, opis klimatów pod względem ich najwięcéj normalnego stanu, szczególnie zwracały uwagę Humboldta. Możemy powiedzieć śmiało, iż nikt o tych przedmiotach nie mówił z większą dokładnością od Humboldta, jako autora poszukiwań *o liniach równych temperatur* czyli *isotermicznych*.

Humboldt dał tę nazwę liniom idealnym łączącym liczne punkta na kuli ziemskiéj, gdzie temperatura średnia roku jest jednakowa. Przedsięwziąwszy naprzód wszelkie konieczne ostrożności, w celu usunięcia działań miejscowych wpływów, wniósł za pomocą obserwacyj, że można oznaczyć średnią temperaturę pod równikiem na 27,5 stopni Cels. wyżéj zera. Przy biegunach zaś, ponieważ obserwacye bezpośrednie są niepodobne, p. Arago drogą porównań średnich wypadków wykonanych w Ameryce i Europie, w celu otrzymania średniéj temperatury u biegunów, przyznał prawdopodobném, że temperatura średnia bieguna północnego wynosi 25° Cels. niżéj zera. Między temi dwoma granicami temperatur, których przedział wynosi 52,5 stopni Cels., można wynaléźć i oznaczyć wszystkie punkta pośredniéj temperatury.

Gdyby powierzchnia kuli ziemskiéj wszędzie była jednakowa, gdyby warstwy powietrza otaczające ją, były wiecznie nieporuszone, natenczas ciepło słoneczne rozlewałoby się wszędzie w jednym stopniu; można byłoby nakréślić na karcie szereg linij równoległych do równika, których wszystkie punkta dałyby poznać średnią temperaturę. Lecz powierzchnia ziemi wcale nie jest równa

i jednostajna. Ziemia i woda wzajemnie walczą z sobą o lądy. Góry, doliny i równiny dzielą między siebie półsferza, które będąc pokrajane na nierówne części, mają kraje wewnętrzne i nadbrzeżne, tojest oblewane poruszającemi się ciągle wodami. Nakoniec samo powietrze jest w ciągłém poruszeniu. Od wszystkich więc pomienionych przyczyn, pochodzi wielka niejednostajność w podziale ciepła. Z temito wypadkami panującemi w pośród mniemanego nieporządku, obznajmia nas Humboldt.

Opiszemy tu więc niektóre ogólne wypadki badań Humboldta. Linie isotermiczne do 30° szérokości północnéj, są względem siebie i względem równika prawie równoległe: przeszedłszy zaś za tę granicę na północ, równoległość linij niknie, i zdaje się coraz bardziéj zagiętą. Zgięcia te posuwając się od równika ku biegunowi północnemu, dają się postrzegać znaczniejsze na starożytnym lądzie, niż na nowym; z czego wynika, że zmniejszanie się temperatury nierównie jest większe na nowym lądzie jak starożytnym; czyli innemi słowy: skutkiem wpływu miejscowych okoliczności, średnia temperatura dwóch punktów, tojest jednego w Europie a drugiego w Ameryce, chociaż położonych pod jedną szérokością geograficzną, jest nierówna, albowiem piérwszego punktu widzimy temperaturę wyższą, kiedy drugiego jest niższa. Dla łatwiejszego pojęcia powyższego objaśnienia, dołączona tabliczka jaśniéj da poznać takową różnicę.

Temperatura isotermiczna nad zero.	Punkta przez które przechodzi linia isotermiczna.	Szérokość geograficzna.	Różnica szérokości.
0° Cels.	Na starożytnym lądzie: *Ulea Enontikes* w *Laponii*.....	67°	13°
	„ nowym lądzie stałym: *Tabl-Bay* w *Labradorze*.....	54°	
5° „	Na starożytnym lądzie: *Stokholm*...	60°	12°
	„ nowym lądzie: *Baie Saint-George* w *Nowéj Ziemi*.....	48°	
10° „	Na starożytnym lądzie: *Belgia*.....	51°	9°
	„ nowym lądzie: *Boston*.....	42°	

Na półkuli południowéj, postęp zmiany w ubywaniu temperatury blizko równika, jest prawie ten sam jak na półkuli północnéj; wszelako ubywanie to w miarę zbliżania się ku biegunowi południowemu, stosunkowo znajdziemy prędsze; wypada ztąd, że z dwóch linij isotermicznych odpowiadających sobie na obu półkulach, północna linia więcéj jest oddalona od równika. Nierówny ten podział ciepła na obu półkulach łatwo tłumaczy nam przyczynę, dlaczego pod 71° szérokości południowéj ocean pokryty jest lodem, kiedy na półkuli północnéj nie zamarza morze aż do 80° szérokości północnéj; co wynosi 10° naokoło bieguna północnego. Wprawdzie niektóre wyspy na półkuli południowéj okazują wypadki przeciwne, lecz tę pozorną sprzeczność, tłumaczy wpływ okoliczności miejscowych.

Dotąd uważaliśmy linie isotermiczne jako odniesione do poziomu morza; lecz wiadomo także, że ciepło zmniejsza się w miarę wznoszenia się nad poziom. Wznoszenie się to coraz wyżéj w górę, sprawia podobne skutki, jak naprzykład kiedy zbliżamy się ku biegunom. Doświadczenia nawet bezpośrednio wykonywane, uzasadni-

ły związek łączący te dwa wypadki. I tak, Humboldt po wejściu na Kordyllery dostrzegł, że zniżenie termometru na 1° Cels., odpowiadało wysokości 180 metrom. Ten sam wypadek otrzymał Gay-Lussac w czasie swéj sławnéj nadpowietrznéj żeglugi odbytéj w Paryżu dnia 16 sierpnia 1804 r., gdzie na dole termometr jego okazywał 27,7° Cels. wyżéj zera, a po wzniesieniu się do wysokości 6,080 metrów, nieustraszony naturalista widział jak ten sam termometr spadł na 9,5° Cels. poniżéj zera. W tak krótkim przeciągu czasu, bo kilka minut wynoszącym, Gay-Lussac doświadczył zmiany w temperaturze na 37°,2 Cels.

Jeśli rzucimy okiem na kartę wyobrażającą linie isotermiczne, przekonamy się, że linie te na półkuli północnéj wznoszą się ku biegunowi na brzegach wschodnich. Zmiany podobne pochodzą głównie od wielkich poruszeń dwóch oceanów oblewających wokoło lub częściowo skorupę kuli ziemskiéj; jak niemniéj od prądów powietrza, które powstając ze zmiany temperatury, ciągle przerzynają wody oceanu i atmosferę. Wiadomo nadto, że wiele wpływa na temperaturę lądów zachodniéj Europy, wielki prąd wody ciepłéj, która płynąc od stref afrykańskich, uderza o brzegi Ameryki, a ztamtąd wraca ku Europie przez ciaśninę Bahama i ginie około wysp Wielkiéj Brytanii. Podobne wypadki postrzegać się dają na oceanie Spokojnym. Bez wątpienia prądy te nie mogą płynąć do któregokolwiek punktu oceanu bez poruszenia massy wód stykających sie z niemi: przez co tworzą się prądy zimne, które oblewają i chłodzą pobrzeża. Takimto sposobem z okolic bieguna północnego wychodzą istne rzéki wody zimnéj, które płynąc w pośród morza Południowego, dochodzą do brzegów Chili i Peru

i sięgają na południe Poyta, zkąd zboczywszy wychodzą w końcu na pełne morze. Między zwrotnikami temperatura wód takowych prądów wynosi tylko 15,5° Cels. gdy tymczasem stykające się z niemi wody oceanu, pokazują gorąco na 27° a czasem na 28°. Różnica ta jak widzimy wynosi 12°. Żeglarze płynąc z południa na północ, gdy nagle wypłyną z wody zimnéj do ciepłéj, postrzegają z łatwością ową różnicę znaczną a razem uderzającą.

Atmosfera ziemska niemniéj podobne przedstawia zjawiska. Wprawdzie wyjaśnienie takowych zjawisk staje się trudniejsze, jednakże postrzeżenia w tym celu robione, lubo zaczęte dopiéro od niewielu lat, doprowadziły do ważnych rezultatów. Różnica temperatury między strefami zwrotnikowemi a strefami biegunowemi, daje początek dwóm wielkim przeciwnym sobie prądom wiatru. Powietrze pod równikiem przez wielkie gorąco rozrzadzone, stawszy się lżejszém, wznosi się do góry, gdzie dochodzi prawie granic oceanu atmosferycznego; zkąd rozlewając się ku biegunom, ciśnie ich warstwy powietrza. Następnie powietrze biegunowe ciśnione ku ziemi, dąży odwrotnie do równika gdzie miejsce przestrzeni rozrzadzonéj zajmuje. Ponieważ chyżość obrotu ziemi pod równikiem jest większa od chyżości obrotu przy biegunach, dlatego jedynie, że obwód jéj pod równikiem jest większy od obwodu około biegunów; a zatém prądom tym bieg obrotowy ziemi niejednakowy. w dwóch okolicach, jak mówiliśmy, pod równikiem i około biegunów, sprawia pewny rodzaj uderzania bocznego; albo innemi słowy: prąd powietrza równikowego porwany obrotem ziemi, dążąc górą w strefy biegunowe, nagina się ku zachodowi i daje początek wiatrom

południowo-zachodnim; prąd zaś biegunowy płynąc przy saméj ziemi ku równikowi, zbacza w kierunku wschodnim i stanowi rodzaj wiatrów północno-wschodnich. Tym więc sposobem prądy powietrza wraz z prądami morza wpływają na zagięcia linij isotermicznych, oraz biorą kierunek taki o jakim dopiéro mówiliśmy.

Linie isotermiczne pokazują nam wprawdzie średnią temperaturę całego roku, lecz ona pochodzić może ze zrównoważenia największéj i najmniejszéj temperatury dwóch pór rocznych często bardzo odmiennych, szczególnie w punktach mających tę samą roczną temperaturę. Weźmy naprzykład Węgry i Irlandyą; leżą pod isotermą 9,5° a jednakże w Budzie temperatura miesiąca sierpnia dochodzi do 21°, gdy tymczasem w Dublinie nigdy nie przechodzi 16°. Przeciwnie, zima w okolicach Dublina jest nadzwyczaj łagodna. W miarę więc coraz większego posuwania się w głąb' starożytnego lądu, różnice te między porami letnią i zimową stają się znaczniejsze, przez co powstają klimata bardzo zmienne, które Buffon słusznie nazwał *klimatami zbytecznemi* (excessive). W środkowéj Azyi: Tobolsk, Barnauł, Irkuck, mają podobną temperaturę letnią jak Berlin, Münster, Cherbourg. Tam podczas lata termometr wskazuje niekiedy przez całe tygodnie 30—31° nad zero, ale zato po gorących latach następują zimy tak ostre, że temperatura ich średnia podług Humboldta dochodzi od 18 do 20° niżéj zera; co większa, czasem nawet tak nadzwyczajne mrozy bywają, że żywe srébro zamarza; z czego można wnosić, iż zimno wynosi w owych okolicach przynajmniéj 40° Cels.

Jeśli będziemy uważać oddzielnie lato i zimę na wszystkich punktach kuli ziemskiéj, oraz weźmiemy każdéj

z osobna średnią temperaturę i złączymy wszystkie punkta gdzie wypadną takowe temperatury sobie równe, natenczas otrzymamy wcale odmienne linie, które Humboldt nazwał, jedne: *liniami równych temperatur lata* (lignes isothers), drugie: *liniami równych temperatur zimy* (lignes isochimènes). Wypada ztąd, że linie te nie mogą się schodzić z liniami isotermicznemi czyli równych temperatur rocznych. Nie są one nawet równoległe do nich; przeciwnie, przecinają je w różnych punktach przez swe zagięcia czyli falistości. Różnica temperatury między latem a zimą nie przechodzi nigdy pewnych granic we wszystkich punktach linij isotermicznych, a linie równych temperatur lata, i równych temperatur zimy, nigdy nie przecinają dwóch isotermów oddalonych od siebie niewięcéj jak na 5° Cels.

Kiedy zastanowimy się na chwilę nad ogólnemi prawami cieplika ziemskiego, i dochodzić będziemy temperatury największego zimna i największego ciepła na powierzchni kuli ziemskiéj, znajdziemy między temi dwoma skrajnemi stanami wielką i nadspodziewaną różnicę. Wprawdzie żaden z podróżnych nie doszedł jeszcze do samych biegunów; jednakże możemy wnosić, że podczas ciągłéj sześciomiesięcznéj nocy, temperatura przy biegunach powinna być prawie równa temperaturze przestrzeni świata między planetami, i wynosić jak Fourier twierdzi, około 60° Cels. niżéj zera. Kapitan Parry podczas przepędzania zimy na wyspie Melville był świadkiem, jak żywe srébro przez pięć miesięcy marzło na otwartém powietrzu. Kapitan Franklin w porcie Au Port Entreprise doświadczał zimna prawie 50° Cels. Chociaż trwa tam tak nizka temperatura z którą nasze zimy nie mogą iść w porównanie, może być przecież znośną dla

człowieka zdrowego, dobrze odzianego; nawet okolice te puste zamieszkują Eskimowie. Kapitan Parry zapewnia, że Europejczycy na 46° stopni mrozu, przy zupełnéj ciszy powietrza, mogą przechadzać się pod gołém niebem: kiedy przeciwnie przy najmniejszym powiewie wiatru, doznają szczypania w twarzy i gwałtownego bólu głowy.

Doświadczenie uczy, że w naszych strefach umiarkowanych, największe ciepło latem, prawie tyle stopni wynosi co i zimno. Arago roztrząsając wielką liczbę spostrzeżeń licznych badaczów przekonał się, że lubo termometr nie przechodzi nigdy 46° Cels. nad zero, ma się rozumiéć wtenczas, kiedy jest wystawiony na otwartém powietrzu i na kilka stóp nad ziemią, przytém zasłoniony od promieni odbijających się, jednakże okoliczności wypływające z położenia miejscowego mogą zrządzić jeszcze wyższy stopień ciepła. Jakoż w Kairze uważano, że ciepło dochodzi do 50° Cels. Ruppel, znakomity tegoczesny podróżny zapewnia, że na brzegach morza Czarnego, w czasie pochmurnego nieba doświadczał ciepła na 42° Reaumura, równych 52,5° Cels. Nakoniec uczeni należący do wyprawy egipskiéj widzieli w Philae powyżéj katarakty Nilu, jak termometr wystawiony na bezpośrednie działanie słońca, pokazywał 70° Cels. A zatém temperatura naturalna, którą człowiek i zwierzęta mogą znosić, zajmuje przestrzeń na podziałce Cels. 120°, tojest 20° więcéj nad przestrzeń objętą punktem lodu topniejącego i wody wrzącéj.

Przydając niektóre szczególne wypadki liczebne do tych wypadków, które są objęte *Kosmosem*, chcieliśmy przez to dać poznać jaśniéj jednę z najpiękniejszych prac Humboldta. Ktoby pragnął poznać wypadki główne,

wyprowadzone jedynie z owych faktów zasadniczych, uważanych jako dane pierwotne, odsyłamy go do samego dzieła Humboldta. Ze wszystkich części składających dzieło, skréślony obraz klimatów przez Humboldta daje jasno poznać, że w miarę postępu naszych wiadomości, takowe odkrywają nam stosunki skrycie powiązane między zjawiskami napozór sprzecznemi. Gdybyśmy naprzykład chcieli wytłumaczyć, dlaczego na wyspach małych bretańskich, śnieg rzadko kiedy leży przez 24 godzin, potrzeba szukać przyczyny tego fenomenu w położeniu lądów i gór, w prądach morskich równikowych, i w poruszeniach atmosfery które słońce sprawia. Daléj jeszcze potrzeba szukać w kształcie ogólnym ziemi i jéj obrocie dziennym.

Geografia zoologiczna i botaniczna.

Humboldt poświęcił tylko kilkanaście stronnic w swém dziele dla organicznéj przyrody, reprezentowanéj na powierzchni kuli ziemskiéj przez królestwo zwiérzęce i królestwo roślinne. Wielu poświęcających się fizycznym zjawiskom, okazują rzeczywistą lub urojoną pogardę dla téj nauki, która stara się zgłębić tajniki organizacyi zwiérzęcéj i roślinnéj. Jednakże Humboldt byłby w stanie zedrzéć zasłonę niesłusznym uprzedzeniom; albowiem zajmując się wyłącznie naukami przyrodzonemi, potrafił dla siebie zjednać wysoką wziętość między uczonymi, którzy obrali za przedmiot swych poszukiwań *ogólną fizykę kuli ziemskiéj*. Geografia botaniczna jest jedną z najpiękniejszych prac Humboldta, która nadaje mu prawo do sławy: i gdyby był więcéj kart poświęcił w swym Kosmos dla téj nauki, któréj słusznie może się nazwać ojcem; gdyby jeszcze przytém dodał swoje po-

mysły o geografii zoologicznéj, jako szczérze oddany swemu powołaniu głównemu, okazałby przez to dla tych dwóch nauk nową usługę.

Humboldt przypuszczając, że rośliny i zwiérzęta podlegają wpływowi téj saméj siły co i ciała martwe, wnosi, że w żyjących istotach siła ta działa podług warunków dotąd nam nieznanych. Czyliż nie są te tajemne warunki działaniem wyłącznéj siły nazywanéj życiem?.... Nie mylmy się tylko w znaczeniu tego wyrazu.... Rzecz tu idzie nie o *źródło życia* Barthez'a; nie o *pierwiastek życia* Van Helmont'a; nie idzie tu powiadam o jakieś jestestwo obdarzone *samowolnością*, *własną wolą*, która częstokroć kieruje ciałem niezręcznie: słowo *życie*, użyte tu tylko dla określenia nieznanéj nam przyczyny widomego fenomenu. Życie to ma takie samo u nas znaczenie, tak samo je pojmujemy, jak naprzykład fizycy wyrażenia: *światło*, *cieplik*, *elektryczność*, *magnetyzm*, które po znanych odkryciach Oerstedta, Melloni, Faradaya, zapewne nikt nie zechce utrzymywać, ażeby każdy z tych działaczy oddzielnie istniał i oddzielną był siłą w naturze; a wszelako w każdém zdarzeniu, ich przymioty także nie są wiadome, ich sposób działania także jest tajemniczy jak *życia*. Humboldt wyraźnie wyznaje, iż uważa je za mythy; a jednakże na każdéj prawie stronnicy wzywa je, jednakże fizycy ciągle tłumaczą nam o zjawiskach *elektrycznych*, *magnetycznych* i *światła*. Proszę mi teraz powiedzieć: czy jest w tém co dziwnego i niewłaściwego, jeśli fizyologowie mówią o życiu jako *tajemniczym fenomenie*?...

Z czasem może być, iż przedmiot ten zupełnie się zmieni; lecz przy teraźniejszym stanie wiadomości naszych, niepodobieństwo zdaje się nie odróżniać życia od

innych działaczów. Patrzaj na tę żyjącą istotę sprzeciwiającą się połączonemu wpływowi ciepła i wilgoci.... ona żyje?.... zabijcie ją, tojest pozbawcie ją jakimkolwiek sposobem *czegoś* co ją ożywia, wnet materyalne jéj elementa wróciwszy do stanu naturalnego, rozłożą się i utworzą inny rodzaj kombinacyi: po kilku dniach pozostanie tylko szkielet z trupa. A przecież gdyby ta sama istota zachowaną była przy życiu, mogłaby jeszcze istnieć wiele lat. To wszakże nie stanowi, iżby w trakcie tego czasu, taż sama istota nie podpadała wpływowi siły fizycznéj. W każdéj żyjącéj istocie, czynność siły działającéj, łączy się nieustannie z siłą życia w celu zachowania jéj lub zniszczenia. Bez wątpienia poznanie podobnych kombinacyj i podobnéj walki, zajmować powinno wyłącznie fizyologów, jednakże i geograficzny podział roślin jak i zwierząt, może udowodnić nam, jakim sposobem i jak dalece wpływa zewnętrzny świat na istoty organiczne, do których należy także i człowiek. Spodziewajmy się, że z czasem odkrycie to zdejmie zasłonę, która pokrywa wiele tajemnych związków między przyrodą żywą a przyrodą martwą.

Ledwie upłynęło lat 30 jak Humboldt wydał geografią botaniczną z dodaniem do niéj ważnych spostrzeżeń o liniach isotermicznych, wnet nowy ten przedmiot nauki doprowadzony został do wysokiego stopnia przez Roberta Brown, de Candolleów (ojca i syna), Schow, i Falemberga. Nie tak się dzieje z geografią zoologiczną. Buffon zająwszy się wyłącznie prawie zwierzętami ssącemi, przeniknął swym gienialnym poglądem niektóre ogólne fakta podziałów, których większą część potwierdzili: Geoffroy, Saint-Hilaire, Desmarets, Geoffroy Izydor. Inni zaś naturaliści rozprzestrzenili rodzaj ten po-

szukiwań, a między innymi: Fabrycius, Latréille, Makleay, Spens, Kirby, Lacorder *o owadach*, Deshayes *o mięczakach*, a szczególnie Milne-Edwards *o skorupiakach*.

Godne jest uwagi, że prawie wszyscy ci naturaliści przyszli do podobnych, co mówię, w niektórych wypadkach do zupełnie tych samych rezultatów, jakie ogłosił nieśmiertelny ich poprzednik. Obeznali oni nas z wieloma oddzielnemi faktami i fenomenami, stanowiącemi niejako rzeczywisty podział istot żyjących na powierzchni kuli ziemskiéj. Ale dotąd nikt jeszcze nie przedsięwziął zebrać w jednę systematyczną całość, rozrzucone w tym ważnym przedmiocie materyały. Słowem, geografia zoologiczna dziś jeszcze nie może się nazwać nauką uzasadnioną.

Botanika więcéj jest przejrzaną i rozwiniętą od zoologii; o czém możemy się przekonać, jeśli zwrócimy uwagę na wszystkie gałęzie obydwóch tych przedmiotów. Nie powinno to nas wcale zadziwiać. Rośliny jakby przykute do ziemi która ich żywi, nie są w stanie jak istoty żyjące, uniknąć naszéj ręki; dlatego katalog roślinny można było prędzéj zbogacić, tém więcéj, że przechowywanie ich i przewożenie, mniéj kosztuje zachodu i pracy (6). Wcale się inaczéj dzieje z gatunkami zwierząt, które nierównie są liczniejsze, a co większa, nie wszystkie nam znane. Między ssącemi mało dotąd zbadano. Wszakże jeśli w dzisiejszych czasach zostaną ukończone dzieła *o rybach* przez Valencienna, a *o pła-*

(6) Linneusz opisał roślin gatunków 8000. W dzisiejszych czasach botanicy liczą przeszło 75,000. Co do klas królestwa zwierzęcego dotąd nic stanowczego powiedzieć nie można. Najbogatszy gabinet zoologiczny paryzki zawiéra ptaków gatunków 3000, kiedy za czasów Buffona rachowano tylko 800.

zach przez Duméril a i Bibrona, będziemy mieli obie te klasy przejrzane i uporządkowane. Ale co się tyczy ptaków, może być że jeszcze długo nie doczekamy się pewnego i na wiarę zasługującego wykończenia; w rzędzie zaś bezpacierzowych, ledwie niektóre gatunki powierzchownie przejrzane, a co większa, podróżni dotąd nie zwracają na nie uwagę. Teraz pojmujemy, z jakiéj przyczyny każdy prawie okres geografii zoologicznéj widzimy niedostatecznym. Wszakże praca uczonych o których mówiliśmy, rokuje nam pewniejsze rezultata, a do tego zgodne z zasadą panującą w kosmografii Humboldta, o któréj tu niepodobna zupełnie zamilczéć.

Dosyć zastanowić się z uwagą dla upewnienia się, że podział istot żyjących na powierzchni kuli ziemskiéj, zależy szczególnie od dwóch przyczyn; tojest: od natury właściwéj każdemu gatunkowi, i od wpływu świata zewnętrznego. Obie te przyczyny są z sobą w rzeczywistym związku. Druga może tylko zadosyć uczynić co do środków utrzymania i rozmnożenia gatunków. Tu właśnie napotykamy udarzający przykład zależności, wiążącéj różnorodne rodzaje istot. Wiadomo, że jedne zwierzęta karmią się mięsem, drugie roślinami. Gatunki mięsożernych pożerają gatunki roślinożernych, które żywią się stosownemi do klimatu płodami, lecz trzeba i o tém pamiętać, że mięsożerne zwierzęta nie pożerają bez różnicy wszystkie roślinożerne; a zatém pewne gatunki ich mogą tylko tam przemieszkiwać, gdzie znajdują się takie gatunki roślinożernych, które służą im za stosowny pokarm. Następnie roślinożerne przymuszone są także z kolei robić wybór w królestwie roślinném, i dlatego niektóre ich gatunki mieszkają w tych tylko stronach, gdzie dla

siebie znajdują stosowne pożywienie. W ogólności zaś podział roślin zależy także od wielu okoliczności, między któremi własność gruntu gra wielką rolę. Tak więc za pośrednictwem królestwa roślinnego, królestwo mineralne ma niezaprzeczony wpływ na geograficzny podział istot żyjących.

Wpływ ciepła tak jest widoczny, iż zdaje się usuwać wpływ wszelkich innych działaczów, nawet przywykliśmy uważać je za jedyną przyczynę geograficznego podziału istot organicznych. „Rośliny i zwierzęta ciepłych krajów, lub krajów zimnych;" sposób ten wyrażenia powtarzany codziennie, zdaje się jest fałszywy przez upowszechnienie swe bezwarunkowe, bo między zwierzętami krajów międzyzwrotnikowych, naprzykład są takie, które mieszkając na wysokich górach w blizkości wiecznych śniegów, znoszą temperaturę nierównie niższą od temperatury naszych umiarkowanych stref. Nareszcie zgodzili się zoologowie razem z botanikami przypisywać tylko wpływowi ciepła niektóre najwięcéj ogólne fakta zależne od geograficznego podziału istot organicznych, dlatego właśnie zwrócimy na nie szczególną uwagę.

Nie znamy dotąd ani jednego zakątka na ziemi, gdzieby nie było ani istot żyjących, ani płodów roślinnych w skutek wielkiego gorąca lub nieznośnego zimna. Im większe ciepło, tém więcéj sprzyja rozwinięciu się organicznego życia; rozumié się, aby tylko dostateczna wilgoć uśmierzała działanie gorąca. Pod palącém niebem zwrotnikowem, królestwo roślinne jest niezmiernie bogate; podobnież i gatunki istot żyjących tak są liczne jak i gatunki roślin. Przeciwnie, wielkie zimno, jeśli nie zupełnie może zniszczyć źródło życia, to przynajmniéj je osłabić. Jeśli wieczne śniegi są nieprzełamaną przeszko-

dą dla wegetacyi roślin doskonałéj budowy, jeżeli krzewy nie mogą róść pod lodami, to bez wątpienia powierzchnia ich jest zasiana miryadami żyjątek mikroskopijnych, znajdujących dla siebie stosowne pożywienie. Różnobarwne śniegi widziane przez wielu podróżnych w stronach przybiegunowych, lub na wysokich górach, sąto mchy, które można uważać za ostatni rzęd grzybów lub za wymoczki (infusoria). Kapitan Parry w czasie podróży swéj około bieguna północnego, daléj za 82° szérokości, znalazł żywą mszycę czyli owad wysysający liście, zapewne przyniesiony wiatrem z brzegów oddalonych prawie na 30 mil. A kiedy przepędzał zimę ten sam podróżny na wyspie Melville, gdzie merkuryusz ciągle był zamarznięty, myśliwi z Hekli i Gripery w okolicach Winter-Harbur upolowali: piżmowców 3, (7) reniferów 24, zajęcy 68, gęsi 53, kaczek 59 i jarząbków 144. Nakoniec owady, szczególnie z familii komarów, zdaje się że są daleko rozprzestrzenione ku biegunom. Lodowate te kraje mają także swe owady skrzydlate; przez co tłumaczy się bardzo dobrze krótkość życia komarów. Zarodki ich jeszcze będące w jajach nierównie są drażliwsze na zimno, od istot mieszkających w nadzwyczajnie zimnych strefach; jednakże za najmniejszym promieniem słońca, wykłuwają się one, i w krótkiém lecie przybiegunowych okolic, doskonale przekształcają się w różne postacie krótkotrwałego życia.

Pominmy sprzeczności o których dopiéro mówiliśmy, a zwróćmy uwagę na takie klasy zwiérząt, które tylko

(7) Piżmowiec piżmorodny bez rogów, żyje samotnie na górach Altajskich Syberyi rozciągających się do Chin i Tybetu. Wielkością równa się młodéj sarnie; sierć brunatna, krucha, uszy długie, nogi tylne dłuższe od przednich, a zaledwie ślad ogona. Koło pępka jest worek od 2—3 cali, w którym znajduje się piżmo.

żyją w pewnych okolicach i strefach. I tak: kiedy koza dzika, lub kozioł skalny (8), płodzą się tylko między lodami gór Pirenejskich lub Alpejskich; kiedy orły, sępy brodate (9), kondory, (10) szybują nad ostatniemi wierzchołkami Alpów i Kordyllerów, to ryby zatrzymują się daleko jeszcze od źródła rzék, biorących początek swój u podnóża wierzchołków tych gór. W jeziorach Pirenejskich położonych wyżéj o 2,240 metrów nad powierzchnią morza, Ramond nie znajdował wcale ryb. Na wysokości téj, temperatura jest 1 ½ stopnia wyżéj zera. Jeziora te, ponieważ przez 9 miesięcy w roku pokryte są lodami, a zatém nie może powietrze odświéżać się w wodzie zamkniętéj pod lodem. Zasadzając się na tym fakcie, naturalista francuzki twierdzi, że jedynie dlatego, ryby nie mogą tam przemieszkiwać. Humboldt zwrócił

(8) Przebywa on na najwyższych górach Włoch, Szwajcaryi, Kandyi, Syberyi; wspina się po najstromszych i dla człowieka niedostępnych skałach. Kozioł ten większy od pospolitego, sierć ma żółto-brunatną, na głowie popielatą; a chociaż w starości do kilku centnarów waży, z niewymowną lekkością ze skał jednych na drugie, przepaścistemi wąwozami rozdzielonych, przeskakuje. W nocy tylko pasie się. Młodo złowiony łatwo się oswaja.

(9) Nazwisko ma od cechy, tojest od twardéj szczeci kasztanowatéj na podbródku, która mu głowę zlekka najeża. Mieszkaniec ten Alp Szwajcarskich i Tyrolskich, gór Kaukazkich i Altajskich, jest największy ze wszystkich ptaków europejskich, gdyż rozpostarłszy skrzydła, do 10 stóp wszérz zajmuje. Gnieździ się w najniedostępniejszych ustroniach. Pastwą jego są kozy, owce, cielęta i t. p.; dzieci nawet ma porywać, i dlatego w Szwajcaryi głowa jego jest oceniona.

(10) Nazywają go także sęp gryf. Żyje w Ameryce południowéj; rozpostarte skrzydła zajmują 12 stóp wszérz. Wznosi się do dwóch mil w górę i ztamtąd upatrzywszy zdobycz, uderza na bydło, jelenie, sarny; rybami wyrzuconemi z morza nie pogardza. Taką ma siłę w szponach i dziobie, że spore cielę, wydarłszy mu wprzódy oczy, łatwo pokonywa; mniejsze zwierzęta unosi, a nawet są podania, że kilkoletnie dzieci porywał.

tu słuszną uwagę, że gdyby była prawdziwa przyczyna przez Ramonda wskazana, należałoby znajdować ryby w Andach na wysokości 4,730 metrów, gdzie średnia temperatura ciągle jednaka, sprawia takież następstwa. W skutku wszakże inaczéj się dzieje. Na Kordyllerach nikną już ryby w rzékach i jeziorach na wysokości 2,700—3,000 metrów. Średnia temperatura tych stref zawiéra około 9 ½ stopni, przez co źródła nigdy tam nie zamarzają. Potrzeba więc w innéj przyczynie szukać tego fenomenu. Być może, iż zależy on od znacznego zmniejszania się ciśnienia atmosfery.

Temperatura pewnéj okolicy działa na istoty organiczne dwoma ostatecznemi kresami, od których głównie zależy podział roślin i zwiérząt. Gatunki niektórych roślin tém więcéj rozwijają się posuwając się ku biegunom, im gorętsze lato. Roczna średnia temperatura nierównie jest wyższa w Szerburgu jak w Budzie; jednakże wina ledwie rosną w Normandyi, wtenczas kiedy pagórki Tokajskie wydają je wyborne. Zwiérzęta w wędrówkach swych, dają nam także poznać podobne wypadki. Humboldt mówi, że latem tygrys królewski zbliża się w północnéj Azyi do téj szérokości, pod którą położony jest Berlin i Hamburg.

Przytém wysoka temperatura ciągle będąc w połączeniu ze światłem, może być że wywiéra znaczny wpływ na organizacyą zwiérzęcą. W gorących nadewszystko strefach, widzimy powierzchowność niektórych ssących i ptaków, przedstawiającą szczególne odmiany; naprzykład sierć jest zastąpiona ruchomą łuską (11), a piérze

(11) Pangolin czyli łuskowiec, którego kościste, ruchome łuski okrywają grzbiet, boki i wiérzch ogona, i zachodzą na się nawzajem jak łupiny na szyszkach jodłowych; brzegi zaś mają ostre i szczecinowatym rzadkim włosem poprzedzielane. Ojczyzną jego są Indye i wyspy przyległe.

ptaków włosami jak u kazuara. Pod równikiem tylko i między zwrotnikami, ptaki, ryby i owady odznaczają się że tak powiém pięknym ubiorem, którego kolorom nie mogą wyrównać nawet drogie kamienie. W miarę zaś zbliżania się ku biegunom, szczególnie północnemu, barwy rażące oślepiającym blaskiem, stopniowo zmieniają się w odcienia spłowiałe i ciemne. Różnicę tę widzimy szczególnie na ptakach. W Europie tylko dzięcioł zielony (12), kląsk (13), pełzacz (14) i zimorodek (15) mają ładne pióra, ale czyż mogą one iść w porównanie ze swą rodziną mieszkającą za morzami, w gorących kli-

(12) Wielkością nie przechodzi drozda. Z wiérzchu jest żółtawo-zielony, ze spodu białawy z tą różnicą, że samiec ma wiérzch głowy karmazynowy gdy samica jest całkiem zielona. Karmi się owadami, mrówkami; szczególnie pszczoły są mu ulubione.

(13) Pochodzi on z gatunku łuszczaków. Piękny ten ptaszek krajom północnym właściwy, niektórych zim i do nas zalatuje. Pokarmem jego są nasiona drzew szyszkowych. U samca głowa, szyja, piersi i kuper są pięknie czerwone, lotki zaś i sterówki czarne. Samica oliwkowa mało ma czerwoności. Jest jeszcze łuszczak kardynał; ojczyzną jego jest Syberya, przelotem jednak z jesieni pokazuje się i u nas. Wiérzch głowy, podgarle, piersi i kuper purpurowo-czerwone, grzbiet i skrzydła brunatne połyskujące się różowo.

(14) Pełzacz zwany także pomornik wielkości zięby; w Europie, Chersonezyi i cieplejszych krajach Kaukazu, trzyma się murów, wież i t. p. Barwy jest sino-popielatéj, z dużą, bardzo piękną różową plamą na skrzydłach a czarną na podgarlu. Lot ma cichy a przytém lekki, jak motyla. W dziurach murów ściele sobie gniazda, a czasem w wyschłych czaszkach głów ludzkich i zwierzęcych.

(15) Zimorodek, zwyczajny na całym prawie dawnym lądzie; ponad stawami, strumieniami i rzékami zimą nawet przemieszkiwa. Jest on wielkości skowronka, z wiérzchu na skrzydłach lazurowy a głowa zielona, ze spodu żółto-brunatny z przepaską na skroniach żółtą, ogon pięknie błękitny. Karmi się wodnemi owadami. Zasuszonym w całości zimorodkom, dawniéj urojone przypisywano własności, które dotąd utrzymują się między Tatarami i Ostiakami.

matach, lub kolibrami, ptacho-muchami, których cudownie kolorowane pióra (16), odbijają od siebie promienie równikowego słońca?!

Sądząc z rezultatów bezpośrednio opartych na licznych obserwacyach, wpływ ciepła gra tu najgłówniejszą rolę. Niektóre miejsca około biegunów tak są zamieszkałe, jak i odpowiednie im pod równikiem. Morza północne mają tyleż mieszkańców, ile morza międzyzwrotnikowe, lecz przypatrzywszy się bliżéj temu faktowi, wnet przekonamy się, iż uderzająca zachodzi różnica. Między zwrotnikami liczba gatunków nierównie jest znaczniejsza, ale zato w morzach północnych wynagradza się ona wielkiém rozmnożeniem się pojedynczych indywiduów. Nietylko widzimy między rodzajami różnicę bez porównania liczniejszą i większą pod równikiem, ale nadto rozciąga się ona i na szczegóły organizacyi, tém więcéj godne uwagi, im daléj posuwamy się w kraje cieplejsze.

Milne-Edwards w zajmujących swych badaniach co do geografii skorupiaków, piérwszy zwrócił uwagę na organizacyą zwiérzęcą; przez co naturalista ten przyszedł

(16) Rodzaj ten obejmuje najdrobniejsze i nadzwyczaj piękne ptaszęta właściwe Ameryce, Kalifornii i przylądkowi Dobréj Nadziei. W różnych odmianach mają kolory: czerwony, zielony, błękitny, złocisto-połyskujący. Pokonywają je snadnie pająki zwane ptasznikami. Do zabicia ich bez uszkodzenia piór, najdrobniejszy śrót służyć nie może, ale tylko tryskanie wodą. Pięknością barwy celują samcy; żadna z używanych dotąd farb, podobnego połysku jak mają kolibry nie wyda. Dawni Peruwianie układali z ich piórek mozajkowe obrazy, a kobiéty nosiły te ptaki zamiast zausznic. Przeszło 70 już gatunków poznano ich, które się dzielą na *kolibry właściwe* i *ptako-muchy*. Niektóre z nich zowią się *kolibry topazowe*, *kolibry rubinowe* i *kolibry najmniejsze*, mają bowiem tylko od 16 do 17 linij długości i nie przechodzą wielkości trzmiela. Wysuszony waży gran. 30. Znajduje się na wyspach Antylskich i Gujanie.

do nierównie ważniejszych rezultatów. Przekonał się on, że skład organizmu wyrabia się jednakowym sposobem, lecz do pewnego tylko stopnia; tojest, w stosunku ilości ciepła i światła; albowiem w miarę oddalania się od biegunów ku równikowi, machina zwiérzęca stopniowo się kształci, i dlatego w gorących tylko morzach znajdują się skorupiaki doskonalszéj organizacyi. Możemy ztąd wnosić, że poznanie i zbadanie innych klas żyjących istot, okażą nam podobne rezultata. Dotąd tylko ssące, ptaki i płazy potwierdzają zdanie tego sławnego naturalisty. Małpy naprzykład, które zoologowie kładą na czele ssących, mieszkają tylko w lasach między zwrotnikami, i różne ich gatunki nigdy nie wydalają się za umiarkowane pasy. Na skałach gibraltarskich widzimy tylko w małéj liczbie małpy bezogonowe magoty, lecz i te podejrzanego są pochodzenia. Czwororęczne zaś małpy, jak naprzykład orangutany i szympansy inaczéj zwane wielkogłowami, zbliżające się najwięcéj organizacyą swą do organizacyi człowieka, żyją wyłącznie w najgorętszym klimacie starożytnego świata.

Fakta powyżéj przytoczone, zdaje się zależą jedynie od połączonéj natury istot z wywieranym na nie wpływem przez otaczające je żywioły; z czego na piérwszy rzut oka można wnosić, że geograficzny podział roślin i zwiérząt jest skutkiem pomienionych przyczyn. Ale w istocie tak nie jest. Nie można wnosić, ażeby dane miejsce zupełnie zadość czyniło potrzebom dla utrzymania jakiegobądź gatunku roślin lub zwiérząt; niekoniecznie ażeby ten lub ów gatunek był w tém tylko miejscu, a nie w inném. W krajach od nas odległych, lubo własność gruntu po największéj części jest jednakowa, lubo klimat jest ten sam, jednakże flora i fauna, bywa bardzo

często różnorodna; przynajmniéj w tém znaczeniu różnorodna, że gatunki jéj są niejednakowe; wszelako dają one z łatwością nam poznać analogią i zarówno ulegają wpływom zewnętrznych okoliczności.

W istocie, rzeczywisty ten fakt wprowadza do geografii organicznéj bardzo ważny element, który zależąc jedynie od obserwacyi, odkryje z czasem zadziwiające wypadki. Przypuśćmy naprzykład, że zoolog obeznany z fauną europejską zwiedzi następnie południową Amerykę, Madagaskar i Nową Holandyą; wnet postrzeże on, że zwiérzęta w każdéj z osobna okolicy, przedstawiają odrębne piętno charakteru; pozna następnie, że niektóre rodzaje, jakby zamknięte były w małéj przestrzeni kraju: nakoniec przekona się, że cała fauna w niektórych rozleglejszych miejscach zasadza się na specyalnym typie, który bardzo mało, albo zupełnie nie ma w swym obrębie podobnego sobie wzoru! I tak naprzykład: małpa długorąk, mnoży się tylko na wyspach Moluckich; w Madagaskarze zaś lubo graniczącym z jednéj strony z krajem obfitującym w małpy, jednakże niémasz tam wcale wspomnionego gatunku, ale znajdują się małpozwiérze (17), których znowu trudno spotkać w innych okolicach. Nakoniec Nowa Holandya i sąsiednie jéj wyspy są wyłączną ojczyzną torbonosiów (18), stanowiących

(17) Rodzaj ten składa się z kilku gatunków, które różnią się prawie tylko ubarwieniem. Ojczyzną wszystkich jest wyspa Madagaskar. Zręczne są w łażeniu i skakaniu po drzewach. Żyją owocami, owadami, jajami, zwiérzętami małemi i rybami. Młodo złapane dają się łatwo ugłaskać i są bardzo łagodne i pieszczotliwe. Twarz u nich jest siercią pokryta, oczy naprzód zwrócone, cyce na piersiach dwa, ręce pięciopalczaste, na palcach paznogcie, dłoń krótsza niż łokiec, ogon znacznie długi.

(18) Torbonosiów wyłącznie jest ojczyzną Nowa Holandya. Naturaliści, a między innymi F. Jarocki dzieli je na *workowate ro-*

w téj części świata prawie zupełny rzęd ssących, z których tylko dwa lub najwięcéj trzy gatunki znajdują się w starożytnym i nowym świecie.

Taki podział zwiérząt nie jest dziełem teraźniejszego geologicznego peryodu. Owen, którego słusznie można uważać za piérwszego paleontologa ze współczesnych, potwierdził ten fakt tyle ważny pod względem historyi kuli ziemskiéj. Znakomity ten anatomik angielski po zbadaniu mnóstwa wykopanych kości, wniósł, że w upłynionych geologicznych peryodach, gatunki zwiérząt w każdym z osobna kraju lub części świata, przedstawiały rysy charakterystycznych gatunków dziś tamże istniejących; że jak piérwsze tak i drugie należały do jednego typu. Naprzykład, wszystkie kości ssących wykopane lub znalezione na powiérzchni w Nowéj Holandyi, należą wyłącznie do oryginalnéj grupy torbonosiów (dydelfów). Owen robi tylko jeden wyjątek. Mammut którego przedstawia dzisiejszy słoń, zdaje się być rzeczywistym kosmopolitą, ponieważ szczątki jego znajdują w Ameryce, Indyi i Europie, a nawet znajdowano je w Nowéj Holandyi. Wszakże widocznem jest, że ów wyjątek w niczém nie nadweręża dowodów Owen'a.

Zupełnie nie można wytłumaczyć powyższy fakt przez założenie, że wszystkie gatunki zwiérząt utworzone zostały w jednéj tylko danéj przestrzeni, z któréj nastę-

kate, workowate skaczące i *workowate latające.* Na szczególną tu uwagę zasługuje znajdujący się u samic worek na brzuchu, który za pomocą muszkułów może otwiérać się i zamykać. Na spodzie tego worka leżą mleczniki, które zjawiają się po piérwszém wyjściu na świat młodych. Potomstwo rodzi się zbyt drobne; chroni je więc matka natychmiast do worka, gdzie póty się mlékiem karmi, póki zupełnego nie nabędzie ukształcenia, i niby powtórnie na świat nie wyjdzie. Wszakże i późniéj zabiéra je matka do worka ilekroć grozi niebezpieczeństwo, i ratuje się z niémi ucieczką.

pnie rozeszły się po całéj powierzchni kuli ziemskiéj. Na takiéj bowiem zasadzie nie pojęlibyśmy, jaką drogą mogły one przejść wielką przestrzeń, nie zostawując po sobie najmniejszego śladu; nadewszystko nie wytłumaczylibyśmy, jakim sposobem szczątki wykopane w jednym obrębie, należą do jednego wyłącznie typu, którego gdzieindziéj wcale nie znajdujemy. Naturaliści więc zmuszeni byli przyjąć za zasadę: że każdy w szczególności gatunek, od samego początku powstania swego utworzony został przez Stwórcę w okolicy najwięcéj sprzyjającéj rozwinięciu się jego, i że ztamtąd dopiéro rozszedł się na wszystkie części świata; wszelako do granic tylko zakréślonych na pewnych warunkach. Milne-Edwards, który w rozprawach swoich *o geografii skorupiaków* rozwinął wyższy pogląd, jak świadczy tu rys przez nas dany, piérwszy nazwał miejsca na kuli ziemskiéj, które zdają się być kolébką wielkiéj liczby gatunków oddzielnych, *ogniskami stworzeń* (centres de création). Wykazał on przez to wiele faktów ciekawych co do podziału geograficznego zwiérząt, wytłumaczył między innémi szczególne odosobnienie kilku gatunków; nadto objaśnił przewagę pewnych typów w okolicach, gdzie miejscowe okoliczności przeszkadzają im do wędrówek dalekich, lub napływowi innych gatunków z drugich krajów.

Ze wszystkich faktów najwięcéj uzasadniających teoryą ognisk stworzenia jest ten, że gatunki zwiérząt, należące do dwóch zoologicznych okolic odpowiednich sobie, aklimatyzują się bardzo łatwo, jeśli przeniesiemy je z jednego miejsca na drugie. Codzienne i liczne tego przykłady, przedstawia nam historya osad amerykańskich. Koń, wół i pies wierne i przywiązane sługi człowieka

nie istniały w Ameryce przed odkryciem jéj. Kilkanaście sztuk bydła przywiezionych do téj części świata i puszczonych na wolność, stały się początkiem dzikich gatunków, których niezliczone stada ożywiają dziś równiny, bagna florydzkie i nieprzerwane łąki Stanów Zjednoczonych. Pszczoły podobnież nieznane były w Ameryce północnéj w epoce, kiedy w skutek prześladowań religijnych pozakładano osady, z których utworzyły się dziś potężne państwa. Teraz jednak znajdujemy je tam w stanie dzikim, począwszy od brzegów morza Atlantyckiego aż w głąb' kraju. Podług słów Warden'a, w roku 1797 jeszcze nie było pszczół na zachodzie Missisipii, dopiéro w r. 1811 przeleciały one przez tę przegrodę i rozprzestrzeniły się w górę Missisipii i Missiury na przestrzeni wzdłuż 200 mil. A zatém rojenie się ich powiększało się corocznie prawie na 14 mil. Pograniczni Anglo-Amerykanie prowadzą dziś obszerny handel dzikim miodem.

Gdyby kula ziemska zamieszkałą była przez istoty kierowane bezpośrednio samym instynktem, w takim razie podział ich gatunków, zależałby niezawodnie tylko od trzech jedynych przyczyn już wyszczególnionych przez nas. Od ich to mniéj lub więcéj energicznego działania, od ich wzajemnego wpływu powstałaby równowaga, która mogłaby tylko być naruszoną przez wielkie zmiany, zmiany burzące cały świat. Ale człowiek przez swą umysłową czynność, pośród tych elementów gra rolę, któréj wpływ częstokroć zmienia stan geografii zoologicznéj. Rozmnożył on gatunki pożyteczne, wyniszczył wiele szkodliwych; te nawet, które nie mogły służyć mu do użytku. W XVI i XVII stoleciu, na wyspach Ile-de-France i Bourbon mnożyły się w znacznéj ilości ptaki

wielkości łabędzia, które nie mogły z łatwością ani pływać ani latać; ale kiedy wyspy te zostały zaludnione, *dronty* do tego stopnia wyniszczono, iż niektórzy naturaliści, nawet sam Cuvier, powątpiéwali o ich istnieniu. Przez jakiś dziwny wypadek unikły pożarcia od owadów dwie łapy i dziób zaginionego dronta, które dziś z wielką troskliwością konserwowane są w gabinecie zoologicznym oxfordskim.

Wszędzie gdzie tylko ukazał się człowiek, widzimy go otoczonym różnym rodzajem zwiérząt, albo z potrzeby, lub dla przyjemności. Wszędzie dla tych użytecznych sług wyniszczył gatunki dzikie i szkodliwe. Koń i pies ukazały się z nim we wszystkich częściach świata. Byk i baran na przylądku Dobréj Nadziei zmieniły się w bawoła i antylopę, w Ameryce północnéj w bizona i jelenia, w Polinezyi w kangurę i inne gatunki należące do rzędu dwukopytnego. Ale ten sam człowiek przesiedlając się choćby w najodleglejsze strony, prowadzi za sobą także wiele szkodliwych istot, od których nie może uniknąć. Myszy plenią się w składach okrętowych. Z ośmiu gatunków szczurów dziś znajdujących się w Brazylii, pięć jest tamtejszych, a trzy przyniesione przez handlujących. Robaki okrętowe dawniéj zupełnie nieznane w naszych morzach, dziś stały się plagą budowli drewnianych w wodzie; a nadewszystko tocząc groble w Holandyi, ciągle grożą krajowi zalaniem. Drugi wróg, może jeszcze szkodliwszy, zagnieździł się we Francyi; od kilku lat zjawiły się *thermity* w Rochefort, nierównie jeszcze straszniejsze. Żadną miarą nie można wstrzymać ich rozmnażania się, a razem zapobiedz wyrządzonemu przez nich spustoszeniu.

Tak więc, czynność człowieka częstokroć wpływa na znaczne zmiany w geograficznym podziale istot organicznych, lecz potrzeba dodać, że i w tych zmianach są pewne, zakréślone granice, gdzie w całéj potędze widzimy wpływ zewnętrznego świata. Dla przyswojenia jakiegobądź gatunku na innym punkcie ziemi, potrzeba iżby natura zwiérzęcia uległa nowym warunkom, w skutek przemiany miejsca. Sam człowiek, władca ziemi, nie jest w stanie uniknąć wpływu fizycznego świata; i gdybyśmy więcéj zwrócili uwagę na ten przedmiot, moglibyśmy bez wątpienia wykazać, do jakiego stopnia może rozciągać się jego panowanie. Zapewne znaleźlibyśmy, jak twierdzi Humboldt, że piérwsze źródło zwyczajów, charakteru, zasad moralnych, urządzeń politycznych, słowem wszelkich okoliczności stanowiących byt towarzystwa, częstokroć zasadza się na położeniu czyli miejscowości kraju i jego klimacie. Naprzykład, mieszkaniec okolic leśnych z konieczności jest myśliwym; mieszkańcy zaś stepowi, zajmują się chowem bydła, kiedy zamieszkali nad brzegami jezior, rzék i mórz, trudnią się połowem ryb. Wszyscy ci trzéj w swoim zawodzie, zostawieni samym sobie, niezawodnie przyjdą do mniéj lub więcéj wyższych pojęć o przedwiecznéj istocie, która kieruje ich losem, wyznacza w przyszłości nagrodę za dobre uczynki, a za złe karę. Wytłumaczy każdy z nich ogólną tę zasadę, stosownie do położenia swego i stanu życia. Każdy z nich zegnie kolana z uwielbieniem lub trwogą przed Fetyszami, utworzonemi przez niego na wzór otaczających go przedmiotów. Zaiste!.. uderzające zespolenie przyczyn i skutków!... Ażeby zadość uczynić warunkom istnienia, łączą się wszystkie odcienia świata organicznego, począwszy od największych aż do naj-

mniejszych zjawisk; od cywilizacyi aż do ostatniego wymoczka łączą się, powtarzam, z całą przeszłością naszéj planety i teraźniejszemi prawami kształcącemi światy!

Dzieło Humboldta niepodobna nie czytać z uwielbieniem dla autora. Jest ono systematycznym rysem ogromnéj liczby faktów i uczonych rezultatów. Ażeby dać o niém bliższe pojęcie, powinniśmy byli wybrać z niego niektóre ustępy dla lepszego pokazania idei całego utworu. Każdy rozsądny człowiek czyto z powołania uczony, czy jako lubownik dzieł poważnych i gruntownych, powinien czytać *Kosmos* Humboldta. Dzieło to w malowniczych obrazach, daje nam poznać trudne zadania tyczące się kosmologii, do których autor przyszedł drogą szczegółowego zapatrywania się na naturę; a wreszcie zdania, wnioski i twierdzenia w niém zawarte zdają się tém pewniejsze, że są oparte na rzeczywistych obserwacyach (*).

(*) Winniśmy tu dodać jeszcze, iż w całéj powyższéj rozprawie, trzymaliśmy się ściśle zdania p. Quatrefages o życiu Humboldta i jego dziele ogłoszonego w *Revue des deux Mondes*. Uważaliśmy tylko koniecznem nieco obszerniéj powiedzieć o *teoryi obłoczkowéj*, *aerolitach* i *liniach równych temperatur* jako o przedmiotach bardzo mało u nas upowszechnionych. Co zaś do *geografii zoologicznéj* i *botanicznéj* w niczém nie odstępowaliśmy od wniosków i twierdzeń p. Quatrefages, dodając tylko przypiski, do tych szczególnie gatunków zwierząt, które są mniéj znane.

J. S.

PANNA POSTĘPOWA.

OPOWIADANIE

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

There are more things in heaven and earth, Horatio,
Than are dreamt of in your Philosophy.
Hamlet.

Z téj strony Chełma, postrzega podróżny na lewo obszerną dolinę zarzuconą wioskami, których ogrody i dwory okazują jeszcze podolską i wołyńską zamożność. Jak tylko oko sięga, widać tam pokrzyżowane drogi, po większéj części wysadzone drzewami, tu i owdzie wysokie i białe kościołki, wieńcem starożytnych lip otoczone, a na polach wszędzie staranną uprawę, żywszą wegetacyą, liczne trzody bydła i owiec, i gdzieniegdzie przesuwający się powóz, który dzielna czwórka od jednego dworu do drugiego przenosi. Okolica to gościnna, obfitująca w dorodne panny, co jak dokwitające róże pochylają zamyślone główki, przeczuwając ową chwilę, w któréj ręka śmiała je zerwie i do wieńca społecznego życia zaplącze.

W jednym z najokazalszych dworów téj pięknéj doliny, mieszkała rodzina złożona z ojca, matki i córki jedynaczki. Major S* dawny wojskowy, bez wielkiéj nauki, z wychowaniem niewykwintném, ale z rozsądkiem i dobrém sercem, był owym zwyczajnym obywatelem, jakich mamy jeszcze po wsiach, i jakich liczba, nie powiém że z dobrem rodzin i kraju, coraz się umniejsza. Prowadził on gospodarstwo z akuratnością szwadronową; polował chętnie, marząc na stanowiskach o młodych latach, które mu przeszły na placówkach i wedetach; lubił czasem puścić się w opowiadanie dawnych czasów w gronie przyjaciół i z kieliszkiem w ręku: od kart nie stronił, ale dobrą polską książkę, dobrą dykteryjkę, przenosił nad wszelką zabawę. Pani S* była to tak nazwana prosta i dobra kobiéta, co u nas w dziwném wykręceniu wyrazów, w dziwniejszém jeszcze rozbiciu głów naszych na różnych kopytach, jest prawie ubliżającym epitetem. Wprawdzie nie lubiła ona mówić po francuzku, nie ubiérała się modnie, nie wprowadziła do domu wieczornych obiadów, płukania ust w ciemno-błękitnych szklaneczkach; nie zrobiła ze swojéj sali labiryntu mebli, i nie kazała sobie na wsi anonsować przybywających gości; ale miała niewyczerpaną uprzejmość dla wszystkich, kochała męża, obchodziła się po macierzyńsku ze sługami, i co oszczędziła czasu nieczytając francuzkich romansów, to łożyła na gospodarstwo, co zostało z wydatków przez nieprzepłacanie wykwintnych strojów, to szło na obfite, przystojne i staropolskie uczęstowanie przybywających w domjéj sąsiadów. Z tych kilku rysów łatwo czytelnicy wniosą, że dom taki miał przyjaciół, że gościnność tak szczéra, tak niezmordowana, tak wylana, napełniała go często liczném gronem, tém bardziéj, że pod tym

dachem, gdzie każdego czekało serdeczne powitanie, rozwijał się i jaśniał kwiat pełen powabu i nadziei. Byłato owa córka jedynaczka, dwudziestoletnia panna, obdarzona od natury śliczném ciałem, okiem dużém, błękitném, pełném wyrazu; uśmiechem cudnym, chociaż najczęściej ironicznym i wzgardliwym, głosem dźwięcznym, który objawiał serce pełne mocy i postanowienia. Ciemne jéj włosy, lśniły się silnym kasztanowym reflexem na czole białém i gładkiém, z którego jaśniał rozum i wybijała myśl męzka i energiczna. Nosiła zwykle długie loki, których cień padał na jéj szyję nadzwyczajnéj białości, i z któremi ręka jéj foremna, przy słuchaniu mówiących, zwykle igrała. Wysoka, giętka, nadawała ciału swemu powabne pozy w staniu i siedzeniu; szczególniéj umiała chodzić z gracyą, co rzadko umieją kobiéty. Taką była p. Salomea S*: która do téj piękności tak głośnéj, tak powszechnie uwielbianéj, żadnéj nie przywiązywała ceny, i przez ten brak próżności, wcale nieudany, tém się niebezpieczniejszą stawała.

Rodzice z miłością i podziwieniem patrzyli na to cudne stworzenie. Ojciec rozważał, rozmyślał, komuby skarb taki oddać; matka w poddaniu się religijném klęcząc i modląc się prosiła Boga, aby przyprowadził do domu dobrego człowieka, w którego rece złożyłaby nadzieję i cel swego życia. Ale i ojciec i matka postrzegali z trwogą, że w głowie p. Salomei zagnieździły się myśli, które mogły ich plany zniweczyć i nawet modły dobréj kobiéty zrobić nieskutecznemi. P. Salomea była filozofka, która w nic prawie nie wierzyła, tylko w sylogizm; była owa dzisiejsza filantropka, któréj się zdawało, że w ewangielii jest myłka, i że miłość bliźniego inaczéj, niż tam wypisano, rozumiéć należy; byłato

śmiała argumentatorka, która nawet w tém żądała postępu, co nie należy do ziemi, co nie jest wyrobem rozumu. Słowem, byłto prześliczny potworek, który najstosowniéj panną postępową nazwać można. Wprawdzie chodziła ona do kościoła, czytała na książeczce ładnie oprawnéj; ale jéj dusza zapomniała szczéréj, dawniejszéj modlitwy. Nie byłato już bowiem owa śliczna i marząca Salunia, która nieraz po godzinie całéj klęczała w swoim pokoiku, białe rączki złożone trzymała przed koralowemi ustami, i oczy błękitne, uperlone łzą poetyczną, wlepiała w obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Byłato dumna rozumem p. Salomea, mająca pełną głowę argumentów przeciw wszelkim przesądom, wszelkiéj wierze w związek nasz ze światem zazmysłowym, śmiejąca się z wszelkiego cudu, z każdego zjawienia, którego wyrozumować nie mogła. Admirowała ona wprawdzie wielkość stworzenia, rozprawiała nawet o Bogu; ale w zadziwiającym ruchu światów pojmowała tylko siłę ciężkości, a na niebie, rozjaśnioném milionami słońc, widziała tylko iskry elektryczne. Ta przesadzona ufność w rozum, odjęła jéj sercu poczuą religii, i zmniejszyła nawet jéj cześć i wiarę w rodziców, co jest drugą religią na ziemi. Gdzie umysł jéj nabrał tego kierunku, wyszczególniać nie będę. Czytelnicy, znający historyą omackowych wędrówek głów naszych, łatwo się domyślą. Powiém tylko, że przez rok cały nie była w domu, i wróciła tam z nowemi myślami, z sercem zupełnie odpoetyzowaném. Wszystko téż wydało się jéj nie takiém, jakiém było wówczas, kiedy ukończywszy pensyą, pod dach rodzicielski weszła. Ojciec teraz tłumaczył się jakoś nielogicznie; matka nie zdawała sobie sprawy z miłości swéj dla męża i córki; słudzy bez żadnéj podstawy ko-

chali swoich panów, których, według ścisłego wyrozumowania, powinni byli nienawidzieć. Piérwszego kawalera, który jéj oświadczył swoje uczucia, zapytała: dlaczego pan mię kochasz? jaką masz zasadę? Objawiła rodzicom pół żartem, pół seryo, aby jéj nie narzucali nikogo, aby sobie nad tém bynajmniéj nie łamali głowy, gdyż minęły te czasy, kiedy ojciec i matka mogli wiedzieć, co do szczęścia ich córek potrzebne; że ona sama sobie wybierze wyższą inteligencyą, co z jéj własnego stanowiska spojrzy na teraźniejszy stan rzeczy, i na ten ważny fakt życia, osnuty jeszcze w dawniejsze przesądy. Ojciec żartował sobie z tego rozumowania, ale matka skrycie płakała. A chociaż szczęściem, p. Salomea nie miała sposobności poprzéć czynem swoich oświadczeń, ale rozumek jéj gotów był do buntu, i leżał w nim zgromadzony cały arsenał argumentów, które w razie potrzeby, do stanowczego oporu posłużyć jéj miały.

Jednego rana, na początku czerwca, stała p. Salomea w otwartém oknie, i chciała sobie zdać sprawę z tego szczęścia, z téj radości, z tego że tak powiém zdrowia duszy, które czuła w swém łonie na widok okrążającéj ją natury. Okno to wychodziło na dziedziniec obszerny, usłany murawą, na którego środku stało kilka lip starożytnych, obsypanych kwiatem. Z lewéj strony widać było gazony, kwieciste bukiety i klomby pięknego ogrodu, który się daleko rozciągał. W środku sztachetów, oddzielających ogród od dziedzińca, stał niewielki murowany kościołek z wychodzącą naprzód wystawą. Wprost przed oknami na drugiém podwórzu, szły budynki gospodarskie i stajnie majora. Na prawo była brama wjazdowa, ubrana prześlicznemi topolami, a wychyliwszy się cokolwiek z okna, można było widzieć drogę

szeroką, równą, ciągnącą się przez wieś; daléj groblę z huczącemi młynami i wielkie zwierciadło wody, nad którą stały wierzby i młode topole. Świeżość ranku, ciepło ożywiające lata, czyste jak szafir niebo, śliczna, zielona, pełna darów bożych ziemia, wciskały gwałtownie w jéj serce fale szczęścia, które p. Salomea powoli przez filozoficzne *dlaczego*, jakby przez śluzę jaką wpuszczała. Wszakże wrażenia, które odbiérała, były silniejsze od téj nienaturalnéj zapory i już ją rozerwać miały, bo p. Salomea czuła, że się jéj łzy zakręcają w oczach, gdy weszła matka blada, strwożona i zapłakana.

— Co to mamie? zapytała córka całując ją w rękę.

— Ach! moja Saluniu! odpowiedziała pani S*, jeszcze drżę na wspomnienie snu, który mię zdręczył nad ranem.—Uśmiéchnęła się p. Salomea, co widząc matka dodała: Uśmiéchasz się moje dziécię! Postrzegam ja to z żalem od niejakiego czasu, że ty w nic nie wierzysz.

— W sny nie wierzę, moja mamo, jak nie wierzę w strachy. Ale cóżto się mamie śniło? niech mama powié, to ja mamie wytłumaczę, co znaczy ten sen, i dlaczego go mama miała.

— Źle to moje dziécię, że zaraz sobie wszystko chcesz wytłumaczyć, i te twoje nieszczęśliwe *dlaczego* często mię trapi.

— Czyż na to mamy rozum, aby go nie używać? Cóżby można powiedziéć o człowieku, gdyby oczy, które mu dano do patrzenia zamknął, i tak chodził omackiem?

— Nie chcę ja z tobą rezonować, boś ty rozumniejsza odemnie, odpowiedziała matka smutno, ale to wiém, że teraz ze strachem zasypiać będę, bojąc się snów no-

wych. O ciebie w nich idzie moja Saluniu, i nie dziw się, że mię widzisz strwożoną i zapłakaną.

— Cóż tedy mamie się śniło? niechno mama powié! Pytanie to było skutkiem dobrego serca p. Salomei; wiedziała ona, że to matce ulży, gdy się wygada.

— Śniło mi się, moje życie, rzekła pani S*, żem chodziła z tobą po łące, gdzie było mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Tyś je zrywała, ale wprzód nim miałaś się niémi ozdobić i ucieszyć się ich wonią i barwą, odginałaś listki i śpilką szukałaś tam czegoś we środku. Zrobiłam ci uwagę, że tym sposobem psujesz tylko kwiatki, któremi Bóg tak cudnie ubrał łąkę. Ty wtenczas uśmiéchnęłaś się tak, jak teraz się uśmiéchasz. Mnie to obraziło, a raczéj zasmuciło: zadrżałam w głębi duszy nie wiém dlaczego, i zdobywszy się na odwagę, zaczęłam ci mówić dużo i głośno, ale już teraz nie pamiętam o czém. To tylko wiém, że słowa moje płynęły bystro jak fala, a w sercu i w głowie zawsze było pełno, chociaż wylewały się potokiem. Widać jednak, żem musiała coś niedorzeczy powiedzieć, boś ty parsknęła ze śmiéchu.

— Ach! moja mamo! zawołała p. Salomea zmieszana i zawstydzona.

— Ale zaledwie rozległ się odgłos twego śmiéchu, gdy go odbiło jakieś szydercze echo; z ziemi gdzieśmy stały podniosła się zjadliwa i gęsta para; okrążyła cię, objęła, osłoniła—znikłaś mi z oczu. Gdym zaczęła krzyczéć, wołać cię po imieniu, wyciągać do ciebie ręce, biedz za tobą, nogi moje były splątane, głos tłumił się w piersiach, tylko łzy płynęły swobodnie—i tak obudziłam się spłakana. Saluniu droga! jutro sobota, pódźmy obie do spowiedzi, dodała matka tuląc w objęciu ukochaną córkę i płacząc rzewnie.

– Niechno mama będzie łaskawa siądzie, rzekła p. Salomea całując jéj ręce.—Usiadły więc obie w otwartém oknie, a córka filozofka, z smutném okiem, z uśmiechem na prześlicznych ustach, tak mówiła do matki strwożonéj i zapłakanéj: Teorya snów, moja mamo, i wszystkich naszych przywidzeń jest następująca. W głowie naszéj jest warsztat, w którym każda władza, jaką obdarzeni jesteśmy wykonywa swoję funkcyą. Czeladź ta póty wszystko robi sfornie i w porządku. póki dozorca tego warsztatu, rozsądek, czuwa i szykuje właściwie rezultata ich pracy. Dlategoto moja mamo, kiedy człowiek pijany bredzi, to znaczy, że wyziewy trunku afektują za silnie rozsądek, odbiérają mu działalność i pozwalają bujać imaginacyi i pamięci. To samo się dzieje w gorączce, to samo w pomieszaniu zmysłów. W tym ostatnim stanie nie imaginacya słabnie, nie pamięć; owszem, są one niezmiernie silne i w ciągłym ruchu, ale niéma regulatora, któryby obrazy w nich złożone i na nowo cisnące się uszykował i każdy z nich w następstwie logicznem umieścił.—Ze spuszczoną głową, ze splecionemi na kolanach rękami słuchała matka téj analizy, a p. Salomea odchrząknąwszy tak daléj mówiła: Otóż widzi mama, sen jest nietylko odpoczynkiem ciała, ale i odpoczynkiem głowy i zatrzymaniem całego w niéj warsztatu myślenia. Póki czuwamy, rozsądek ciągle krząta się i pracuje, dlatego też najwięcéj znużony, najpiérwéj ustaje i spoczywa; późniéj pamięć, a na końcu dopiéro imaginacya, władza najsprężystsza, najrzeźwiejsza ze wszystkich. Przy obudzeniu ona znowu najpiérwéj się zrywa i swawoli, póki nie ocknie się rozsądek i nie przyprowadzi jéj do porządku. Ztądto, moja mamo, sny przychodzą nam tylko przy zasypianiu i przy

ocknieniu; ztąd one nie są niczém inném, jak niesfornem i nielogicznem powtórzeniem i zmieszaniem obrazów, które już były w głowie; ztąd wszystkie wizije zdarzają się tylko w takim stanie pół snu, pół czuwania, lub po gwałtownem jakiém wysileniu uwagi i nadzwyczajném znużeniu rozsądzającéj w nas władzy. Widzi tedy mama, czy można do snów i przywidzeń przywiązywać jaką wagę, jakie znaczenie, kiedy one są wypadkiem naturalnym naszéj organizacyi? kiedy tak poprostu wytłumaczyć się dają? Cudów niéma moja mamo, a w przyszłości to tylko jest prawdą, co rozum może wyrachować.

— Więcéj nic? zawołała matka podnosząc na nią oczy, z których łzy płynęły.

Zaledwie p. Salomea otworzyła usta, chcąc matce stanowczo odpowiedzieć, gdy powstał krzyk na dziedzińcu. Ludzie od bramy uciekali przestraszeni; za bramą zaś, na ulicy rozlegał się tentent straszliwy i hurkot rozpędzonego powozu. Matka i córka porwały się z miejsc swoich, wyjrzały w okno i obaczyły wpadającą na dziedziniec parę rozhukanych koni, które ciągnęły kocz otwarty. Rumaki były kare, okryte potem; dym buchał z ich nozdrzy rozognionych; piana bryzgała z pysków, które już nie czuły wędzidła. Uprząż była także ciemna, kocz podróżny takiegoż koloru, ale dyszel złamany odbiérał możność kierowania. Mimo to, stał w nim młody człowiek ze śmiałą postawą. Jedną ręką trzymał się lekko kozła, drugą ściągał cugle, które mu się co moment wyrywały. Jak łódka na falach, tak powóz bez dyszla rzucał się na prawo i na lewo. Młodzieniec jednak nie chwiał się bynajmniéj. Na twarzy jego pięknéj, ale nadzwyczajnie bladéj, nie widać było ani zmie-

szania, ani przestrachu. Czarne tylko i bujne włosy od wielkiego pędu rozwiewały się z wiatrem, a ciemne wąsy, zapięta pod szyję czarna suknia, odbijały jeszcze mocniéj marmurową bladość téj spokojnéj i wyrazistéj twarzy. Gdy przelatywał koło okna, w którém stały obie kobiéty, obrócił się nagle i p. Salomea ujrzała jego oczy, co jak dwa rozżarzone węgle ku niéj błysnęły. Przysiadła mimowolnie i dziwne zimno przeszło po całém jéj ciele. Ale była to tylko chwila, krótka jak błyskawica. Kocz poleciał daléj rzucany na prawo i na lewo. Niosły go konie prosto ku owemu kościołkowi, o którym wspomnieliśmy wyżéj. Raptem, postrzegłszy taką przed sobą zaporę, zwróciły się na prawo. Tym gwałtownym obrotem powóz zatoczył się silnie, całym impetem uderzył się o wystawę kościołka i rozleciał się w kawałki. Reszty, które się jeszcze trzymały, pociągnęły konie na drugi dziedziniec, zkąd im już wyjście zamknięto, a ów młodzieniec wyrzucony pod powóz, został na miejscu bez zmysłów.

Krzyknęła matka, ale silniéj, głębiéj, przenikliwiéj krzyknęła córka. Gdy się upamiętały, wybiegły obie i zaczęły wołać ratunku. Już na drugim dziedzińcu ludzie ujęli rozhukane konie. Stały one teraz przy sobie ciche, potulne, drżące jakby się téj swawoli i wyrządzonéj szkody wstydziły. Był tam właśnie major. Kazał je wziąć do stajni, i napatrzéć się nie mógł na te cudne stworzenia, których piękność przechodziła wszystko co dotąd widział: a byłto stary kawalerzysta i wielki znawca.

Tymczasem trzeźwiono zemdlonego młodzieńca; opatrywano jego ręce i nogi, i chociaż nigdzie nie było śladów złamania, napróżno jednak wszelkich używano spo-

sobów, aby go przyprowadzić do przytomności. Leżał on na ziemi na wznak przy wschodach od kaplicy, o które się widać silnie uderzył. Matka krzątała się tam jak mogła, a córka stała z zaciśniętemi wargami, wpatrując się z wytężeniem w jego twarz bladą i piękną, i oczekując niecierpliwie aż się otworzą oczy, których chwilowe mignienie tak ją mocno przejęło. Otworzył je nareszcie, spojrzał prosto na p. Salomeę i znowu je zamknął, a pierś jego podniosła się ciężkiém odetchnieniem.

— Będzie żył, szepnęła jakby sama do siebie, a na twarz jéj wystąpił delikatny rumieniec i znikł w téjże chwili.

Nadszedł i major, kazał go podnieść i tak wpół przytomnego, otwierającego oczy i zamykającego je co moment zaniesiono do pokoju. Nim przybył lekarz, za którym w téjże chwili posłano, ojciec, matka i doświadczeńsi słudzy starali się ocucić młodzieńca z tak nadzwyczajnego zemdlenia, do którego ciągle powracał. Przez cały ten czas p. Salomea siedziała w témże samém oknie z założonemi rękami, z okiem wytężoném ku bramie wjazdowéj, nadstawiając ucha, czy się nie da słyszéć hurkot powozu. Nareszcie, w półtory godziny po owém dziwném zdarzeniu zabrzęczały kółka i dzwonki krakowskich chomątów, bryczka wbiegła na dziedziniec i twarz panienki zakwitła jak róża na widok lekarza, który z niéj szybko wysiadał. Porwała się więc z miejsca, i tą razą nie zdając sobie bynajmniéj sprawy, dlaczego serce jéj biło, dlaczego twarz pałała, z szybkością łani wbiegła do sieni i pochwyciwszy za rękę zdziwionego eskulapa, zawołała:

— Ach! mój drogi panie! chodź pan, chodź pan prędzéj! To okropny wypadek!

Poszli więc. P. Salomea ukazała mu pokój, gdzie leżał chory i nie śmiała tam wejść sama, ale wpuściwszy lekarza, usiadła przy drzwiach. Tak czuwając na każde skinienie, przyspieszała skutek dawanych ztamtąd rozkazów.

Stan młodzieńca nie był zdesperowany. Uderzenie gwałtowne wprawiło go w te ciągłe mdłości, z których powoli powracać zaczynał, ale wzburzenie silne całego organizmu, przytém irrytacya, której doznał i którą widać siłą woli pokonywał, gdy się konie zhukały i niosły go nie tam gdzie pragnął, były przyczyną mocnéj gorączki połączonéj z deliryą.

Użył lekarz stosownych środków, został przy chorym do wieczora, ale nakazał zupełną spokojność i zabronił wszelkiego wybadywania, wszelkiéj z nim rozmowy. Gdy wieczorem, już prawie o zmroku wyjeżdżał, uspokoił troskliwą panią S* i jéj męża, że jeżeli jutro nie rozwiną się symptomata jakiéj złéj gorączki, to chory za kilka dni przyjdzie do siebie i będzie mógł wychodzić z pokoju.

P. Salomea nie śmiała mu żadnych robić pytań; słuchała tylko z największą uwagą, co mówił. Gdy po odjeździe medyka, rodzice siedzieli obok siebie i rozmawiali o tém szczególném zdarzeniu, ona chodziła ciągle po pokoju ze schyloną głową niespokojna i zamyślona. W uszach jéj tętnił bez przestanku bieg rozpędzonych koni, a imaginacya przedstawiała żywo, z całą okropną prawdą to gwałtowne uderzenie, które zgruchotało powóz i wyrzuciło z niego śmiałego i pięknego młodzieńca. Wszakże i teraz nie przyszło jéj na myśl zapytać siebie, dlaczego była niespokojna? dlaczego o niczém inném myśléć, innego obrazu przedstawić sobie nie mo-

gła? Zbliżyła się wreszcie noc głębsza, i rodzice urządziwszy pilny dozór nad chorym, udali się do spoczynku.

Położyła się i p. Salomea, i długo, długo zasnąć nie mogła. A gdy nareszcie ciało wzięło górę nad myślą i zamknęły się jéj powieki, sprawdziła się jéj teorya snów, i znowu te same obrazy z niezbędnemi przydatkami i w dziwném zmieszaniu dręczyły pochwyconą tak znienacka argumentatorkę. Widziała ona te same kare konie niesione pędem wichru; ale już nie para, lecz płomienie buchały z ich nozdrzy i otwartych pysków; widziała tego samego młodzieńca stojącego w powozie, kierując niemi podług woli; ale na ustach jego był jakiś szyderski uśmiéch, a oczy błyszczały jakimś dziwnym ogniem. Widziała tenże powóz rozpędzony, ale z pod kół jego warkoczących przeraźliwie, sypały się potoki iskier, i przerzynały się jak błyskawica chmury dymu, który się za niemi podnosił. I wszystko to nie działo się na rodzicielskim dziedzińcu, ale gdzieś na dzikich bezdrożach, wśród skał i nagich kamieni. Konie pędziły nie do owéj miłéj kapliczki, ale leciały prosto nad jakieś strome i straszne urwiska, nad przepaść, która dna nie miała. Przerażona tym ich kierunkiem, rzuciła się ku nim p. Salomea, i wtenczas znalazła się w powozie obok młodzieńca, który ją objął, uderzył lejcami po rozognionych rumakach i razem z nią rzucił się w przepaść. Tak lecieli długo, zawsze na dół, na dół, bez końca: i nic nie było słychać wokoło, tylko świst gwałtownego ich pędu; nic nie było widać, tylko przestrzeń bez granic wpół jasną, wpół ciemną, bez światła, bez koloru. Zmęczona tym snem okropnym p. Salomea, z głuchym jękiem otwarła oczy, i obaczyła przed sobą matkę ze świécą, w jednéj koszuli, z twarzą przelękłą i bladą.

— Co to jest mamo? zapytała siadając i cisnąc serce dłonią. Czy on umarł?

— Kto? moje dziécię.

— Ale ten chory, rzekła spuszczając oczy. Miałam sen okropny.

— Nie kochaneczko! on usnął. Ale ty jęczałaś bardzo. Przestraszyłam się i przyszłam cię obaczyć. Co ci jest mój aniołku?

— Nic mamo, odpowiedziała zawstydzona, jakąś duszność czuję. Niech mama się położy. dodała całując matkę, ja pójdę trochę do okna, na świéżém powietrzu będzie mi lepiéj; tu strasznie gorąco.

— Odziéj się przynajmniéj i nie siedź długo.

— Nie mamo tylko trochę się odświéżę.—Matka poszła do sypialnego pokoju. P. Salomea narzuciwszy na siebie szlafroczek, wsunąwszy białe i śliczne nóżki w miękkie pantofelki, zrzuciwszy czépeczek z głowy i rozgarnąwszy gęste swe włosy na czole białém i zamyśloném, poszła do drugiego pokoju, otworzyła to samo okno, w którém siedziała rano, i patrzyła na świat piękny i széroki. Niebo było błękitne i głębokie; księżyc płynął sobie spokojnie i w milczeniu, gwiazdy rzadko drgały gdzieniegdzie brylantowém światłem na tém polu bez granic. Ciepło było, świéżo, spokojnie w naturze całéj. Cichość zupełna była na ziemi, tylko lipy szumiały zlekka, tylko żabki w dalekim stawie przerywaną między sobą prowadziły rozmowę. Usiadła tam p. Salomea, podparła głowę na dłoni, patrzyła na ten uroczy widok, i widziała kare konie rozpędzone, bladą twarz młodzieńca i oczy jego ogniste ku niéj zwracające się. Dlaczego nie widziała nieba, księżyca, gwiazd? dlaczego nie słyszała szmeru lip tak blizkich, i nie zaję-

ła się melancholicznym gwarem skrzeczących zdaleka żabek? także tą razą nie zdawała sobie sprawy.

Na drugi dzień nowy wypadek powiększył jeszcze zamieszanie tego domu. Zaledwie major oczy otworzył, gdy mu dano znać, że owe cudne rumaki, te karosze, które wczoraj tak admirował, za które byłby chętnie całą swą stajnię oddał, takiéj były rasy, tak piękne i dorodne, w nocy nie wiedzieć gdzie się podziały. Pobiegł major pędem do stajni, i obaczył tylko przy żłobie kawałki powrozów od uzdeczek gładko oderznięte. Szarpał uprzejmy gospodarz włosy na głowie, tak mu było żal koni, i tak mu było przykro, że w jego domu, gość niespodziewany, gość nieszczęśliwy, który leżał bez przytomności, który utracił swoich ludzi niepojętym wypadkiem, którego powóz zdruzgotał się, jeszcze i tak dotkliwą stratę poniósł. Stajenni płakali, zaklinali się że żaden z nich do téj kradzieży nie wpływał, że nic nie słyszeli, tylko nad ranem straszne wycie psów na dworze i we wsi. Zaczęto szukać śladów, i znaleziono znaki kopyt końskich prowadzące do bramy, która jak zwykle dawniéj po wsiach naszych, nie była na klucz zamknięta. Rozesłał natychmiast major ludzi po wioskach okolicznych dla wyszukania dalszych śladów, a zastępcę wójta posłał do Krasnegostawu z uwiadomieniem o przypadku, który się w jego domu zdarzył, o przybyciu nieznajomego, o zaginieniu dwóch ludzi, z których jeden na polu gdzieś przepadł, a drugi na grobli jego, gwałtownem uderzeniem powozu wyrzucony z kozła, wpadł w wodę, utonął, i mimo największe natychmiast czynione poszukiwania, znalezionym nie był. Szczególniéj zaś prosił znajomego sobie dobrze p. naczelnika powiatu, aby w śledzeniu owych nieocenionych koni ściśle zarzą-

dzić kazał poszukiwania. Wydawszy te dyspozycye, wrócił smutny i zamyślony do pokoju z ciężkiém przeczuciem, że ten wypadek jest dopiéro początkiem, od którego zacznie się pasmo przykrych zdarzeń, które miały dom jego dotknąć.

Przybyły z powiatu urzędnik nic nowego nie odkrył. O ludziach żadnego nie znaleziono śladu. Przejeżdżający wieśniacy z drugiéj wsi, wówczas gdy konie unosiły powóz po zagonach, zeznali, że rzeczywiście widzieli rozpędzony kocz i dwóch ludzi na koźle; że jeden z nich nachylił się z kozła mocno, spadł pod konie i pod koła. Ale czy roztratowanym został czy nie, o tém wieśniacy nic nie umieli powiedzieć, gdyż to był powóz pański, a zatém nie czuli się w obowiązku niesienia mu pomocy, i pojechali sobie daléj poświstując. P. Salomea przytomna temu zeznaniu, zarumieniła się cokolwiek, chociaż wieśniacy w rezonowaniu swojém na mocnéj opiérali się zasadzie. Ponowione przy urzędniku poszukiwania w stawie nie odkryły także trupa drugiego człowieka, którego właśnie gdy wpadał do wody, widzieli ludzie przy młynie stojący, i którego kapelusz z szeroką taśmą czarną, oznaczoną czarną stalową cyfrą W. B. złapali. O koniach słuch i ślad zupełnie przepadł.

Ponieważ chory z polecenia lekarza nie mógł być zapytywanym, gdyż gorączka nie ustawała, i ciężki ból głowy dręczył go gwałtownie, widział się przeto zmuszonym urzędnik kazać otworzyć jego walizę i szkatułkę z papiérami, przy uproszonych do tego świadkach. Piéniądze w wielkiéj liczbie oddane zostały za rewersem gospodarzowi domu do schowania, w papiérach zaś oprócz rozmaitych notat, wyciągów z różnych dzieł, o których ani nasz gospodarz ani p. urzędnik nigdy nie sły-

szeli, a których ojciec nie chciał pokazać córce; oprócz kilkunastu książek po większéj części angielskich, nic nie znaleziono. Paszport był wydany w Wiédniu d. 1 maja 1846 r. p. Władysławowi B* obywatelowi cyrkułu tarnowskiego, do Królestwa i do Rossyi, wizowany przez posła naszego rezydującego w Austryi, a podpisywany z największą akuratnością na wszystkich urzędach celnych i na granicy naszéj. Nie miał więc p. urzędnik nic do nadmienienia, ale opieczętowawszy papiéry i paszport swoją pieczęcią, oddał gospodarzowi do schowania, prosząc aby dał znać p. naczelnikowi powiatu, gdy stan chorego poprawi się tak, że można będzie z nim samym się rozmówić.

— Idzie szczególniéj, rzekł wyjeżdżając, o tego drugiego człowieka, który nie wiedziéć gdzie się podział na czystém polu; co jest rzeczą cokolwiek nienaturalną.

— I o te konie panie urzędniku, dodał gospodarz; wolałbym, żeby mi moich dziesięć skradziono.

Po téj wizycie, zwyczajny bieg rzeczy wrócił do domu pana majora S*. Chory miał się coraz lepiéj; lekarz przyjeżdżał akuratnie i coraz bardziéj pocieszających udzielał zapewnień. Pani S* z całą troskliwością dobréj gospodyni czuwała nad wypełnieniem wszystkich jego przepisów. P. Władysław chociaż nie wiedział jeszcze gdzie się znajduje, chociaż nie mógł wiele mówić, kilku słowami pełnemi znaczenia i ściśnieniem ręki dziękował zacnéj kobiécie za jéj czułość i starania. W ciągu tego czasu, sen okropny który tak udręczył p. Salomeę piérwszéj nocy po owym wypadku, powtórzył się raz jeszcze. Porwała się przelękniona i odziawszy się naprędce, poszła do tego pokoju, który poprzedzał pokój młodzieńca. Siedziała tam klucznica posadzona dla straży przez pa-

nią S*, i chrapał służący dodany do usługi. P. Salomea uprosiła starą Urszulę, żeby weszła do pokoju chorego i zobaczyła czy śpi, i czy mu nie gorzéj. Uczyniła staruszka zadość prośbie panienki, otworzyła drzwi i poszła na palcach. P. Salomea stanęła przy drzwiach cokolwiek rozwartych, i z bijącém sercem, z półotwartemi ustami i wytężonym wzrokiem patrzyła na młodzieńca, który całą jéj myśl zapełnił, całą duszę ogarnął i opanował.

Łóżko jego stało naprzeciw pod ścianą, a lampa z prawéj strony na kominku płonąca, lekkie światło rzucała na twarz jego bladą i oczy zamknięte. Przystąpiła Urszula do łóżka; a choć krok jéj był lekki, chory jednak obudził się natychmiast. Ale nie spojrzał na starą kobiétę zbliżającą się do łóżka. Oczy jego zwróciły się prosto ku drzwiom i tamże wyciągnęły się ręce. Postrzegła p. Salomea ten sam blask w jego wejrzeniu, który ją uderzył i na wskróś przeniknął wówczas, gdy go piérwszy raz przelatującego przed jéj oknami ujrzała. Przestraszona, cofnęła się od drzwi, i usiadła drżąc na krześle klucznicy. Wkrótce wyszła Urszula z pokoju, uspokoiła ją, że chory ma się lepiéj, i że spał smaczno. P. Salomea całą mocą swéj woli pokonawszy swe trwogi, udała spokojność i wróciła do siebie, ale zaledwie się położyła, łzy obfitym strumieniem puściły się z jéj oczu; pochwyciło ją potém spazmatyczne szlochanie, które biédna tłumiła w sobie jak mogła, okrywszy się z głową, aby nie zbudzić i nie zatrwożyć matki śpiącéj w przyległym pokoju.

Tymczasem w sąsiedztwie rozeszła się pogłoska o tém zdarzeniu, i przechodząc z języka na język, urosła w najpotworniejszą banialukę. Jeden z młodych utrzymywał, że p. B* przyjechał z Prus i że to jest ksiądz nowego

kościoła; że reputacya p. Salomei jako filozofki, przyjaciołki światła i panny postępowéj doszła i tam, i że dlatego właśnie chciał ją pociągnąć do téj missyi, aby jako kobiéta piękna i mowna była organem nowych wyobrażeń w naszéj okolicy. Upewniał słowem honoru, że wié o tém z pewnością; wątpiących zaś o powołaniu nowo-sacerdotalném p. Władysława B* przekonywał tém, że p. B* przyjechał karemi końmi, w czarnéj uprzęży, w takimże koczu: że na kapeluszu człowieka była takaż taśma z czarną cyfrą, i że sam był czarno ubrany i miał czarne włosy. W innym znowu domu, młody jakiś panicz, z zaczesaną na tył czupryną, szeptał zebranym w kółko sąsiadom, o innym wcale posłannictwie p. Władysława; twierdził on, że p. B* zupełnie nie tak się nazywa jak w paszporcie napisano; że on, narrator, wraca także z zagranicy i wié o tém wszystkiém doskonale. Rozpędziwszy się w sekretném zwierzaniu się swojém, dodał, że p. B* temi samemi karemi końmi powrócił niedawno z Nowego Yorku, dokąd miał tajemną missyą. Gdy obecni parsknęli od śmiéchu, zapyrzony młodzieniec upewniał słowem honoru, że widział to na własne oczy w Marsylii, jak p. B* z okrętu na brzeg wysiadłszy, tymże samym powozem, który tam już na niego czekał, pojechał daléj. Panny w okolicy nie mogły się uspokoić, i kazały sobie opowiadać o cudownie pięknym młodzieńcu, który tak nadzwyczajnem zdarzeniem zjawił się w domu majora, i z p. Salomeą pewnie się ożeni. Rozpytywały najtroskliwiéj czy on hrabia czy nie, a romantyczne jego zemdlenie i zniknienie ludzi tłumaczyły sobie każda po swojemu. Ta utrzymywała że wpadł tak raptem na dziedziniec aby zafrasować; tamta mówiła, że schował ludzi aby zaintrygować, inna znowu

twierdziła, że rozbił sobie umyślnie głowę o schody kaplicy, aby się stać bardziéj interesującym, aby go p. Salomea pilnowała i pielęgnując chorego, zakochała się w zdrowym. Starsi znowu sąsiedzi nie mogli pojąć tak nagłego zniknienia owych prześlicznych koni. Ten dowodził, że to niepodobna, aby złodziéj wkradł się do tak porządnego i militarnie trzymanego domu; drugi rzucił uwagę, że złodziéj musiał miéć kocie oczy, kiedy pociemku właśnie najpiękniejszą parę wyprowadził; inny znowu napomknął, jakto musi niezmiernie boléć majora, który jest takim znawcą i amatorem; inny nareszcie zakonkludował, że się konie pewnie znajdą, jak skoro p. B* wyjedzie; potém niby od niechcenia zaczął mówić o pięknéj i ustronnéj pasiece majora, do któréj przystęp wszystkim obcym jest zabroniony, a na ustach słuchających pokazał się domyślny uśmiéch, pełen miłości bliźniego i przychylności sąsiedzkiéj. Słowem, cała okolica była w ruchu i wszystkie języki w robocie. Przejeżdżano się z jednego domu do drugiego, a wszędzie rozmowa toczyła się tylko o majorze, o p. Salomei, o czarnéj cyfrze na czarnéj taśmie, o karych koniach, o zaręczynach i rychłym ślubie; od ślubu przyszło naturalną koleją do balu, a od balu jeszcze naturalniejszą do wypisywania materyj na nowe suknie i do składek na generalny transport z Warszawy trzewików i białych rękawiczek. Wszakże to silne zajęcie nie przeszkadzało zwyczajnym odwiedzinom w domu majora; dokąd, oprócz znanéj gościnności, obfitego uczęstowania, wdzięków p. Salomei, ściągała jeszcze sąsiedztwo ciekawość, chęć poznania interesującego młodzieńca, a może tajemna nadzieja krążąca w głowie niejednéj matki, i sze-

pcząca cicho w serduszku niejednéj panienki, czy téż nie uda się odciągnąć go od kochanéj sąsiadki—do siebie.

Gdy p. Władysław wyzdrowiał i wychodzić zaczął, podziękował z wyrazem pełnym powagi za przytułek, który mu dali i za starania których doznał. Na wymówki, na użalania się gospodarza domu, że stracił tak piękne konie, odpowiedział obojętnym uśmiechem, i prosił na wszystko majora, aby o tém nie myślał wcale.

Ułożenie jego było pełne godności i dobrego tonu. Ubiór zawsze czarny, ale nadzwyczajnie staranny; głos dźwięczny, rozmowa łatwa ale seryo, wyraz téj bladéj twarzy pełen surowéj melancholii. Nie widać w niéj było miękkiéj tkliwości, ale przebijał się jakiś skoncentrowany i głęboki smutek. Czasem tylko gdy oczy jego zbiegły się z oczami p. Salomei, błysnął w nich nagły, niepojęty, przenikający ogień, który przeszywał ją boleśnie jak iskra elektryczna, a ciągnął ku sobie jak magnes. P. Salomea zrobiła się dziwnie skromna, milcząca i zamyślona. Bała się rozpocząć z nim ulubionych dawniéj dysput; nie śmiała złożyć swych ślicznych ustek do owego ironicznego uśmiéchu, który był im zwyczajnym, a przecież nie mogła się oprzéć niepojętemu pociągowi, który ją porywał ku niemu gwałtownie, boleśnie. Bała się go, drżała jak listek na tę myśl, że jéj przyjdzie kiedyś oprzéć się na téj ręce, oddać jego objęciu, puścić się w świat széroki z człowiekiem nieznajomym, dziwnym, niepojętym. A przecież czuła, że inaczéj być nie może, że będzie posłuszną jego skinieniu, że pójdzie gdy każe, że z zamiérającą duszą uchwyci się jego szyi i rzuci się z nim choćby w tę przepaść, którą w śnie piérwszéj nocy widziała. Kochała go biédna nadzwyczajnie; ale nie byłato owa święta, spokojna tkli-

wość, owo wylanie myśli szczére i ze dna duszy; owo bezpieczeństwo zobopólne kochającéj się po bożemu pary, wierzącéj w siebie i w przyszłość, pewnéj że Bóg łączy ich ręce, że nad ich zbliżonemi do siebie głowami skrzydła aniołów jego czuwają. Jéj przywiązanie było silnym, bolesnym, nieprzezwyciężonym pociągiem, niepodsycanym z jego strony żadnemi zabiegami, nie karmioném żadném staraniem. P. Salomea czuła się niezmiernie nieszczęśliwą; drżała gdy do niéj mówił, bladła gdy się do niéj zbliżał; ale gdy na nią spojrzał, gdy postrzegła w jego oczach ten blask niepojęty, szła ku niemu sama, tuliła się w myśli na jego łonie, i gdyby był tego zażądał, w obliczu rodziców, w obec stu świadków byłaby się rzuciła w jego objęcia.

Tak gwałtownéj namiętności nie mogli nie postrzedz rodzice, nie mogli nie widzieć odwiédzający dom ich goście. Państwo S* nie mieli wprawdzie nic do zarzucenia p. Władysławowi; tak poważném, tak pełném godności było jego postępowanie, tak ujmujące, tak światłe jego rozmowy. Unikał on widocznie zejścia się sam na sam z ich córką, żadnych jéj nigdy nie prawił grzeczności, a przecież w sercach tych prostodusznych i religijnych ludzi tkwił jakiś nieprzezwyciężony wstręt do człowieka, którego całe zjawienie się było tak tajemniczém, tak nadzwyczajném, którego bytu i jestestwa nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie mógł. Wszyscy jednak łamali sobie nad tém głowy. Ta tylko, co dawniéj każdą rzecz rozbiérała i szukała zasady: czemu drży serce przy majestatycznym zachodzie słońca, czemu dziecko wyciąga rączki z kolébki przy zbliżeniu się matki, ta tylko nie rezonowała wcale, nie dochodziła zkąd on, dokąd idzie, ale ślepo bez żadnego zastanowienia, posłuszna była je-

go skinieniu; jak okruszyna żelaza lgnie do magnesu, tak ona lgnęła do jego twarzy, i całą duszą, całą swą istotą powodowała się jego magicznemu wejrzeniu.

— Saluniu droga, ty się gubisz, rzekła raz matka.

— Dlaczego moja mamo! jam szczęśliwa.

— Ale patrz, jaki on dla ciebie zimny, jaki obojętny, dodała matka.

— To nic, mamo, tém więcéj go kocham.

— Ale on ciebie nie kocha wcale.

— Mniejsza o to, ja powinnam mu być posłuszną, odpowiedziała córka drżąc i blednąc.

— Czegoż tak drżysz i bledniesz moje dziécię; ty się go boisz.

— Boję się go mamo bardzo.

— To ja mu powiém, żeby sobie jechał.

— Nie mów droga matko, bo ja umrę, dodała panna Salomea tuląc się na łonie matki.

— O! nieszczęście jakieś dotknęło nas, zawołała pani S* ściskając córkę i mocno płacząc.

Tak przeszło parę tygodni do zupełnego wyzdrowienia p. Władysława, który żadném słowem nie zdradził swojéj tajemnicy, nigdy się nie wymówił dokąd jechał, po co tu przybył, gdzie się daléj uda. Chociaż widział jaką ma władzę nad sercem p. Salomei, ani rodzicom nie wyjawił swoich względem niéj zamiarów, ani jéj, biédnéj, żadném słówkiem nie odkrył swoich uczuć. Czasem tylko wlepił w nią na chwilę wzrok przenikający, i wówczas wszelka wola słabła w tém sercu, niegdyś tak energicznem. W życiu p. Władysława nie było nic szczególnego. Rano pracował, potém przychodził na śniadanie, rozmawiał z ojcem, z matką, rzadzéj z p. Salomeą; dał jéj czasem jaką angielską książeczkę, bo ten język

bardzo lubił; objaśnił czego nie rozumiała, bo nie bardzo jeszcze była w nim biegłą.

W wieczór tylko gdzieś znikał na samotnéj przechadzce, i to zastanawiało wszystkich, dawało powód do rozmaitych domysłów, i przypominało owe nadnaturalne zniknienie ludzi i koni.

Szczególniéj ta okoliczność uderzała każdego i majora i w okolicy, po któréj się to już rozeszło, że chociaż wiedziano, iż go w domu niéma, nikt go nigdzie i nigdy w tych samotnych przechadzkach nie spotkał.

W tym właśnie czasie p. Władysław, który już wyzdrowiał zupełnie i którego kocz był wyreperowany, wspomniał coś o wyjeździe. Państwo S* nie mówili ani słowa; radzi że spadnie z ich serca ten ciężar, który jak kamień ich przygniatał. Ale p. Salomea na samą wzmiankę jego wyjazdu czuła się blizką rozpaczy. Blada, ze ściśnioném sercem chodziła wpół żywa. Nie śmiała sama zacząć z nim rozmowy; a on żadném słowem nie pocieszył jéj, nie zachęcił do otwartego wylania się; nic ani o żalu swoim że ją opuszcza nie powiedział, nic o powrocie nie wspomniał. Miał wyjechać w nocy 19 czerwca w sam dzień imienin pani S*. na który dużo z okolicy zjechało się gości.

Po dość późnym obiedzie, gdy wszyscy zebrani byli w ogrodzie, całe niebo zaciągnęło się nagle chmurami, dalekie odezwały się grzmoty, dészcz zaczął padać i burza nadchodziła. Schronili się więc goście do pokoju, pozamykano okna, i cała kompania usadowiwszy się w różnych grupach, bawiła się rozmową. Tymczasem chmury coraz gęstsze zakrywały horyzont; nasuwały się jedna na drugą mieniąc straszne swe oblicze i przybiérając groźne kolory. Huk jakiś głuchy rozlegał się zdaleka

kiedyniekiedy błyskawica przeszywała ciemne i wzburzone obłoki. Gdy rozmowa prawie ustała pod wpływem téj mimowolnéj trwogi, jakiéj doznaje słaba ziemska istota patrząc na zagniewane niebo, dał się słyszéć tentent na dziedzińcu i wpadł konno jeden z młodych sąsiadów majora, uciekający widać szybko przed nadchodzącą burzą. Gdy wszedł do pokoju i spojrzał na p. Władysława, stanął jak wryty i na twarzy jego wyraził się jakiś przestrach i zadziwienie.

— Czy pan mię piérwszy raz widzisz? zapytał zimno p. Władysław, żeś się tak zadziwił.

— Dziwi mię to, odpowiedział młodzieniec, że pana tu widzę. Przed kwadransem widziałem pana o pół mili ztąd, pędzącego przez pole, na karym koniu, w stronę zupełnie przeciwną temu domowi.—Wszyscy przytomni spojrzeli po sobie; jedni się uśmiéchnęli z niedowiarstwem, inni dziwną przejęci trwogą, odsunęli się z krzesłami, a pani S* uchwyciła za rękę p. Salomeę i trzymała ją przy sobie.

Rzeczywiście, przed kwadransem p. Władysław oddalił się był z kompanii do swego pokoju, zkąd przyniósł angielskie album z portretami najpiękniejszych kobiét Anglii. Obecne damy żądały to widziéć; gdyż jedne spodziewały się tam znaleźć jakieś podobieństwo do siebie, inne bały się czy nie ma jakiego podobieństwa do sąsiadek. Nieobecność ta jednak p. Władysława nie trwała więcéj jak dziesięć minut.

— Przywidziało ci się kochany Auguście, rzekł gospodarz, p. Władysław nie wychodził dziś nigdzie.

— Musiałeś jakiego żyda galopującego widzieć zdaleka, rzekł jeden młody człowiek.

— Niekoniecznie potrzebnym tu był żyd, odpowiedział z powagą p. Władysław. Są w naturze rzeczy nadzwyczajne, które zwykle w stanie wzburzonéj atmosfery objawiają się ludziom. Bo nie jestto próżny i teatralny wymysł, że wszystkim widzeniom nadprzyrodzonym towarzyszy grzmot i błyskawica. Porządek zwykły, codzienny, naturalny, zmienia się tylko dla przestrogi śmiertelnych, zbyt zaufanych we własne siły i zapominających, że ziemia tajemnemi niémi powiązana jest ze światem zazmysłowym i zarozumowym. Przestróg tych udziela natura niechętnie, z musu, a zatém z gniéwem i groźbą; a najwidoczniejszym dla ludzi wyrazem jéj gniéwu jest burza, przed którą najzuchwalszy śmiałek na twarz upada. Dlatego nie mam panu za złe, żeś się strwożył i zadziwił. Twierdzę tylko to, żem był w domu i nigdzie się nie oddalał; ale nie zaprzeczam bynajmniéj, żeś pan mnie widział. To być bardzo może.

Te słowa wymówione z mocą, jak iskra elektryczna rozbiegły się po obecnych i niejedna twarz pobladła. P. Salomea zadrżała w głębi duszy, nie śmiała się odezwać, nie śmiała na niego oczu podnieść. Wszystkie jéj dawniejsze argumenta, jak broń pordzewiała i połamana, leżały bez użytku. Wszakże niektórzy z młodych, nie pokonani tak jak nasza ex-filozofka, ze zwykłą nam chęcią argumentowania na wiatr, wszczęli o tym przedmiocie dysputę. Znaleźli się przeciwnicy, zwłaszcza między starszemi co ich zbijali faktami. Taką drogą od sporów, przeszła rozmowa do opowiadań wypadków nadzwyczajnych, w które nibyto nie wierzymy dla mody, z których uśmiéchamy się dla pokazania rozumu, a które w głębi duszy znajdują interes i jakieś niewytłomaczone i niepojęte echo.

— Gadajcie sobie panowie młodzi co chcecie, rzekł gospodarz, przyjaciel wszelkich dykteryek, ale w tém nikt mnie nie przekona, żem wtenczas spał, gdy mi się zdarzyło, co powiém. W r. 1809 pułk nasz został w Hiszpanii; tylko szwadron jeden odkomenderowano do Niemiec. W tym szwadronie byłem i ja. Wychodziłem bardzo smutny. Nie żal mi było hiszpańskiego nieba i czarnych oczów Hiszpanek, bo niebo nas piekło, a czarne oczy patrzyły nie z miłością, ale z groźbą. Lecz żal mi było przyjaciela jedynego, serdecznego, który zostawał w drugim szwadronie. Byłto człowiek śmiały i dobry, ale zawsze smutny, jakby coś złego przeczuwał. Ten jego stan tém bardziéj mnie trwożył, że to nie był religiant, niezupełnie wierzył w miłosierdzie Boże, i nie szukał pociechy w modlitwie. Gdyśmy przyszli do Niemiec, rozlokowano nasz oddział niedaleko od Erfurtu, a mój szwadron i mnie w maleńkiéj wiosce, gdzie był zamek niezamieszkały, chociaż jeszcze w dobrym stanie i z całkowitém staroświeckiém umeblowaniem. Miałem trzy ogromne pokoje z marmurową posadzką, z wysokiemi krzesłami, ze stołami pokrytemi marmurem. W kolosalnych kominach marmurowych szumiał wiatr, a portrety na ścianach zdały się wytrzeszczać na mnie wielkie i jaskrawe oczy. Mój wiarus układł się sobie w piérwszym pokoju w najutulniejszym kącie, podłożył ładownicę pod głowę, obwinął się płaszczem, i zaczął w najlepsze chrapać; ja zaś, zamknąłem wchodowe drzwi na klucz, przymknąłem dwoje drzwi za sobą, i udałem się aż do trzeciego pokoju, gdzie stało wielkie łoże. Położyłem się także, postawiwszy świécę na stole i pod ręką mając pałasz i pistolety. Ale gdzie tam! sen ani brał się do

moich powiek. Oprócz przypomnień różnych powieści o opuszczonych zamkach, o których kiedykolwiek słyszałem, przeszkadzało mi jeszcze chrapanie mojego wiarusa, rozlegające się najdziwniejszém echem po pustych pokojach, i łączące się w jakąś dziwaczną oktawę ze świstem wiatru, który grał sobie w kominach. Na takiéj męczącéj bezsenności przeszło mi godzin więcéj niż dwie. Już noc była głęboka, gdy nagle zdało mi się, że słyszę stuk zamka we drzwiach wchodowych. Usiadłem na łożu, i chwyciłem pistolet odwiodłszy oba kurki. Po chwili, usłyszałem wyraźnie w piérwszym pokoju chód ciężki i silny, dzwonienie ostróg i brzęk sunącego się po posadzce pałasza. Porwałem się z łóżka, i po chwili namysłu, wniosłem, że to zapewne mój ułan musi sobie wędrować pociemku. Dla przekonania się zbliżyłem się do drzwi średniego pokoju, i usłyszałem harmonią jego nosową, rozlegającą się zawzięcie i dochodzącą najwyższych tonów. Wówczas dreszcz mimowolny przejął mię. Chód i brzęk już był w średnim pokoju, i widocznie ktoś inny się przybliżał. Nie było czego czekać. Otwarłem raptem drzwi, gotów do odparcia napastnika. Ale jakież było moje podziwienie, gdym obaczył na środku pokoju — mojego przyjaciela. Twarz jego była blada, ale spokojna, i uśmiéch na ustach. Widziałem go tak wyraźnie, jak widzę panów. Zapomniałem się na chwilę, rzuciłem pistolet, i z wyciągnionemi rękami chciałem biedz ku niemu. On mi dał znak abym się zatrzymał. Stanąłem jak wryty, i zimno niepojęte zatrzymało bieg krwi w moich żyłach. Mój przyjaciel położywszy rękę na sercu podniósł ją w górę, jakby ukazując niebo, potém przeżegnał mnie zdaleka, odwrócił się i poszedł. Nie słyszałem już jego kroków gdy odchodził, ani brzęku szabli

po posadzce, ani stuku zamka we drzwiach wychodowych. Gdym się opamiętał, wszedłem do piérwszego pokoju; drzwi były na klucz zamknięte, jakem je zostawił, mój wiarus chrapał, a wiatr świstał w kominie. Wróciłem nazad; zastałem swój pistolet na ziemi. Podjąłem go smutny i zamyślony, i klęknąwszy przy łożu, długo, długo modliłem się gorąco. We trzy miesiące odebrałem list z Hiszpanii od innego kolegi, do któregom zaraz nazajutrz pisał, że mój biédny przyjaciel téjże saméj nocy, w jakiejś zasadzce okrutnie zamordowanym został.

— Ale wtenczas, gdyś pan miał to widzenie, nie grzmiało wcale, odezwała się z przekąsem do p. B* jedna z młodych inteligencyi.

— Teraz grzmi, rzekł surowo p. Władysław, spojrzawszy dziwnie na młodzieńca.

Jakoż huk głuchy rozległ się po powietrzu, i grzmot silny, przeciągły, przeraźliwy zdawał się zbliżać ku domowi i nad samym jego dachem przesuwać. Młodzieniec spuścił oczy w ziemię, wszyscy przytomni zsunęli się bliżéj, panienki chwyciły jedna drugą za rękę, a pani S* objęła tulącą się do siebie p. Salomeę, jakby ją chciała macierzyńskiem skrzydłem przed blizkiém nieszczęściem osłonić.

Pomimo wrażenia, jakie opowiadanie to majora sprawiło, zwłaszcza przy towarzyszących mu okolicznościach, powab tego rodzaju legend jest tak wielki, że jedna zwykle wywołuje drugą. Gdy ten i ów wypowiedział swoję, pułkownik T* człowiek poważny i nielubiący płocho powtarzać bajeczek bez treści, rzekł:

— Czy uważacie państwo, że niéma żadnéj powieści o zjawieniach nadzwyczajnych, któraby się nie łączyła

z jakiemś poważném uczuciem przyjaźni, miłości, czci dziecinnéj, któraby nie zawiérała w sobie kary za niedowiarstwo, za nieuczczenie woli rodzicielskiéj, za złamanie przysięgi, za zgwałcenie tych świętych przepisów, które natura tajemniczym palcem w sercach naszych wypisała. I dlatego to one znajdują tak jawną wiarę w prostaczkach, tak głęboką, choć starannie tajoną w mędrkach, bo w każdéj jest coś świętego, jest jakieś echo i wyraz sumienia.

— Masz racyą, masz racyą pułkowniku, przerwała jedna z dam, 60-letnia staruszka, ale jeszcze żywa i mowna. Jako potwierdzenie twojéj uwagi, opowiém państwu co się zdarzyło mojemu znajomemu hr. Ch.* i co mi sam lat temu kilkadziesiąt opowiadał. Byłam wówczas bardzo młodą, ale wrażenie zostało. Widzicie tedy państwo, że to czasy dawniejsze, ale niedowiarstwo, ze wszystkiemi jego konsekwencyami nie jest rzeczą nową. W młodości hr. Ch.* czytywał tylko same francuzkie książki i miał się za wielkiego filozofa. *Le bon sens* był jego Bogiem, i naturalnie sprowadzał go z drogi ewangielii i niektórych punktów dziesięciorga przykazów. Hr. Ch.* miał matkę, starą kobiétę niezmiernie pobożną, cnotliwą, dobroczynną; słowem, wzór matron, ostatek owych dawnych i świętych kobiét, które panowanie Stanisława Augusta wypleniło z Polski, a które jeszcze gdzieniegdzie kryły się po zakątach prowincyi. Otóż zacna ta pani, znając zasady i widząc życie swego jedynaka, niezmiernie się martwiła, i upominała go często słowem i łzami; ale gdy to nic nie pomagało, gdy syn filozof chciał jeszcze starą matkę nawracać, gdy z przekąsem, z ironią jéj odpowiadał, i zarzucał ją argumentami, na które zadrżała w głębi duszy, opuściła go, udała się do

innego majątku koło Sokala, i tam zamknąwszy się w domu, zabroniła do niego wstępu synowi. Nie żyła ona z nikim, oddawszy się całkiem dobrym uczynkom i modlitwie gorącéj, macierzyńskiéj, za to dziécię, które tak zawiodło jéj nadzieje, i taką boleścią serce jéj napełniło. Trwało to lat blizko dziesięć. Po upłynieniu tego czasu hr. Ch.* czy tknięty sumieniem, o czém bardzo wątpię, czy dlatego że się miał żenić, i dla formy chciał zyskać błogosławieństwo matki, czy że się bał aby go nie wydziedziczyła, co najpodobniejsze do prawdy, przez przyjaciół i przez listy zaczął ją błagać o przebaczenie; pisał széroko o swojém nawróceniu, cytował ewangielią, na znak że ją czyta, i wszelkich używał sposobów, któreby tknęły serce matki i wyjednały mu pozwolenie oglądania jéj oblicza. Długo nie odbiérał żadnéj odpowiedzi. Nareszcie odpisała mu, że przejeżdżając do Lwowa, d. 5 czerwca wieczorem zajedzie do jego domu i tam przenocuje. Uradowany syn przygotował się stosownie do przyjęcia tak pożądanego gościa; powyrzucał z pokojów obrazy i kopersztychy, któreby mogły staruszkę zgorszyć, a których było pełno; w bibliotece swojéj książki podejrzane pozasuwał w głąb, a niektóre nawet na strych kazał wynieść; nad łóżkiem swojém powiesił krucyfix i położył na gotowalni ewangielią i jeden tom śgo Augustyna; uprzedził swego proboszcza, że matka przyjedzie 5go czerwca, i prosił aby 6go rano był gotów ze mszą. Starzec ten był przyjacielem i spowiednikiem hrabiny. Ona była jego kollatorką na to probostwo, i nieraz z nim razem użalała się i płakała nad obłąkaniem syna. Radość więc jego była wielka, i w kościołku i na probostwie, którego dom leżał nad szeroką drogą, prowadzącą tylko do dworu, czyniono także wielkie przygo-

towania. Nadszedł nareszcie 5ty czerwca, zbliżył się wieczór, i hr. Ch.* wyglądał co moment przez okna swego domu, z którego widzieć można było tę drogę. Dziwny jakiś niepokój go ogarnął, gdy minęła naznaczona godzina. Wybiła wreszcie dziewiąta, daléj dziesiąta i jedenasta, a nikt nie przyjeżdżał. Utrudzony ciągłém oczekiwaniem hrabia, i zmęczony moralnie, wyglądając tak stanowczéj dla siebie minuty, kazał otworzyć bramę dziedzińca i pilnować przybycia matki; kamerdynerowi polecił aby siedział w otwartém oknie, aby nie spał, i zbudził go natychmiast. Sam zaś udał się do sypialnego pokoju, rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i zasnął. We trzy godziny, bo właśnie była druga, zerwał się równemi nogami, usłyszawszy hurkot powozów, klaskanie z biczów, szczekanie i wycie psów na dziedzińcu. Wybiegł więc do sali. Kamerdyner oparty na oknie spał jak zabity. Zbudził go hrabia i z nim razem pobiegł pędem ze schodów, aby jeszcze w przysionku spotkać przybyłą matkę. Ale w przysionku było cicho, przed gankiem pusto i na dziedzińcu głuche milczenie. Stróże przy bramie spali, żadnéj żywéj istoty nie było widać, żaden pies nie szczeknął, żaden listek nie ruszał się na topolach dziedzińca. Zadziwiony i uderzony tém hrabia, wrócił na górę, usiadł w otwartém oknie i patrzył smutny i zamyślony na drogę, która szła koło domu proboszcza i ciągnęła się w prostéj linii przez wieś wielką i porządną. Ranek już powstawał, i daleko widno było na drodze. W kwadrans dopiéro obaczył hrabia idącego ku pałacowi proboszcza. Spieszył jak mógł starzec, i białe jego włosy rozrzucał wietrzyk, który powstawał także z dniem rozbudzonym.

— Co tu robisz tak rano, księże proboszczu? zapytał go hrabia z okna.

— Moja dobrodzika przyjechała, odpowiedział ksiądz, dawnom jéj nie widział i przyszedłem powitać, nim się położy i odpocznie z drogi.

— Ale mojéj matki niéma księże proboszczu; słyszysz jak tu pusto i głucho.

— Słyszałem przecież, odpowiedział z uśmiéchem proboszcz, jak przejeżdżała koło moich okien. Nie widziałem wprawdzie karéty, bom się właśnie wówczas zdrzymał długo czekając, ale słyszałem wyraźnie hurkot i trzaskanie z bicza, a przecież ta droga prowadzi tylko do pałacu. — Zastanowiło to niezmiernie hrabiego. Poprosił proboszcza na górę, usiedli oba w témże samém oknie i rozmawiali o tak nadzwyczajném zdarzeniu. Już blizko godziny trwała ich rozmowa, już dobrze dnieć zaczynało, gdy nagle usłyszeli tentent, i na drodze za probostwem ujrzeli kogoś wiérzchem w całym galopie rozpędzonego konia. Nie mogli jeszcze rozpoznać ktoby to był taki, bo go otaczała chmura kurzawy, ale widocznie pędził ku pałacowi, i serce hrabiego dziwną ścisnęło się trwogą. W parę minut jeździec stanął pod oknem, i postrzegłszy w niém wychylonego hrabiego, zeskoczył z konia. Byłto kozak hrabiny, dawny wierny sługa.

— Gdzie moja matka, Harasymie? krzyknął hrabia.

— Pani, odpowiedział kozak obciérając oczy siwym wąsem, ztąd o półtory mili przed godziną — umarła.

Proboszcz ukląkł i modlić się zaczął, a hrabia upadłszy na krzesło, zakrył twarz rękami i rzewnie i głośno zapłakał.

Umilkła narratorka i wszyscy milczeli tylko niebo grało. Nowa, straszliwa naciągnęła chmura i coraz silniéj

błyskać zaczęło, po krótkiéj chwili uroczystego milczenia, rzekł niespodzianie p. Władysław:

— Teraz pozwólcie mi państwo, moję własną opowiedzieć wam historyą.

Na ten głos wszyscy mimowolnie zadrżeli, ale niepohamowaną ciekawością zdjęci, zsunęli się jeszcze w cieśniejsze kółko, i z natężeniem słuchali. P. Władysław podniósł twarz bladą i surową, spojrzał w okno na chmurę coraz bliższą, i coraz groźniejszą, rzucił jeszcze raz okiem na p. Salomeę, która z głuchym jękiem przytuliła się do matki, i odezwał się témi słowy.

— O siedm mil od Tarnowa...

Ale zaledwie to wyrzekł, gdy błyskawica tak silna oświeciła pokój, że wszyscy z krzykiem zakryli sobie oczy; w téjże saméj prawie chwili huk gwałtowny dał się słyszeć, wszystkie szyby zadzwoniły, i połowa obecnych kobiét upadła na kolana. Jeszcze zgromadzone w pokoju osoby nie przyszły do siebie, jeszcze nawet najzuchwalsi mężczyzni nie opamiętali się zupełnie, gdy nagle blask jaskrawy, czerwony, uderzył w okna i zalał pokój. Krzyk powstał na dziedzińcu między zgromadzonemi tam ludźmi; hurkot uciekających z dziedzińca powozów obił się o uszy, a odgłos za domem i w domu: pożar! pożar! dopełnił tego obrazu zgrozy i zamieszania.

Rzucili się wszyscy do okien i naprzeciwko nich; za klombem lip, których ciemna postać odbiła się na tle ognistém, ujrzeli dach stajen majora w płomieniu. Na ten widok mężczyzni wypadli pędem na dziedziniec, zaczęli wołać ratunku, i biédz na pomoc majorowi. Pani S* upadła na kolana i modlić się zaczęła; w całéj grupie kobiét panowało milczenie i osłupienie, a p. Salomea, na którą wychodzący p. Władysław ostatni jeszcze raz

spojrzał, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się za nim ku drzwiom.

Napróżno wszystkie kobiéty zastąpiły jéj drogę i puścić nie chciały. Jak lwica rozsrożona, która miała stracić co jéj było najdroższém na ziemi, rozerwała ich słaby zastęp i z bladą twarzą, z obłąkanym wzrokiem wypadła na dziedziniec. Tam schwycił ją pułkownik i gwałtem koło lip przytrzymał.

Tymczasem p. Władysław wyprzedził wszystkich, porwał topór który leżał koło stajni, i grzmiącym głosem, którego brzmienie pokryło huk płomienia, krzyk i wrzawę zgromadzonych tam ludzi, zawołał:

— Precz od stajni. Odcinajcie kommunikacyą innych budowli. Tu niechaj nikt nie waży się wchodzić, za chwilę cały ten budynek runie w popiele.

Téj komendzie nikt się oprzéć nie śmiał. Wszyscy poskoczyli rozrywać dach sąsiedni, o on sam jeden, podniósłszy w górę topór, rzucił się do stajni, z któréj drzwi i okien dym i płomień buchał potokiem. Po krótkiéj chwili z poucinanemi od uzdeczek powrozami, konie ze stajni wybiegać zaczęły, i na przekor swojéj naturze ciągnącéj ich do ognia, z rzeniem i przestrachem uciekały przez dziedziniec na ulicę. Wtenczas na ścieli budynku obnażonego już ze słomianego pokrycia, śród płonących krokiew, pokazał się p. Władysław. Jak duch jaki w czarném nietkniętém odzieniu, z rozwianemi włosami, widny był i straszny. Stał tak czas niejaki nieporuszony i patrzył w to miejsce, gdzie p. Salomea do niego wyciągała ręce. Raptem ogarnął go zewsząd płomień, i niepojęty ów człowiek, zsunął się w głąb', a na głowę jego zwalił się dach potrzaskany, i legły ściany płonące. Puł-

kownik krzyknął przeraźliwie, a u nóg jego leżała biédna p. Salomea zimna i bez ruchu.

Zaniesiono ją do pokoju, i dzielny ratunek przyprowadził nieszczęśliwą do zmysłów. W godzinę potém rozjechali się goście i wyjaśniło się niebo. Zaraz po zapadnieniu się i zniknieniu p. Władysława, dészcz gwałtowny lunął i przygasił prawie pożar.

Strata więc majora była niewielka, ale boleść ogromna; témbardziéj, że mimo największych usiłowań, ani wyratować młodzieńca, ani ciała jego odszukać nie zdołano. Na rozpacz córki, biédny ten ojciec patrzéć nie mógł. O matce cóż powiedzieć? tylko modlitwa ją utrzymywała, tylko korne uchylenie głowy przed wyższą, niepojętą władzą krzepiło nieszczęśliwą. Po p. Władysławie żaden ślad nie został, tylko na jego stole Szekspir otwarty, i te słowa Hamleta, któreśmy w dewizie umieścili, czerwono podkréślone. P. Salomea wzięła do siebie i zachowała tę jedyną pamiątkę.

Przy końcu października tegoż samego roku, karéta sześciokonna ciągnęła się zwolna za Radomskiem po drodze złéj i piaszczystéj. Wieczór już był dość późny, ale pogodny i miły.

Na zakręcie drogi, gdy karéta minęła las i na czyste wyjechała pole, lokaj i furman krzyknęli razem: Jasna góra! Jasna góra! i zdjąwszy czapki, zaczęli się żegnać i modlić.

— Stój! stój! zawołano z powozu, który się w téjże chwili zatrzymał. Trzy osoby z niego wysiadły i poszły na prawo pod krzyż, który stał samotnie o kilkanaście kroków od drogi. A wprost przed niémi we mgle wieczoru wznosiła się wysoka massa świętych murów, a na szczycie wieży zaczęło migać światełko, przyzywające

rozbitków życia do tego portu ulgi i pociechy. Panna szła naprzód blada i schorzała, za nią ojciec z ubieloną głową prowadził słabą i znękaną matkę. Gdy przyszli pod krzyż, wszystko troje rzucili się na kolana i gorąco modlić się zaczęli. Panna pochyliła korną głowę aż do ziemi, ojciec ufném wejrzeniem wzywał pomocy, a matka z serdeczną wiarą wyciągnęła ręce do téj opiekunki wszystkich matek, która wśród chwały niebios pomna swego macierzyństwa, czuwa ciągle nad ziemią, gdzie sama bolała i traciła.

O PRZESILENIU HANDLOWÉM I FINANSOWÉM

W ROKU 1847.

TŁUMACZYŁ

K. L. Wolicki.

Przesilenie handlowe i finansowe objawiające się od niejakiego czasu, zajmuje mocno umysły. Jakie są przyczyny małych zasobów gotowizny w głównych bankach europejskich? przyczyny te czy są przypadkowe lub też stałe? jaką część wpływu na stan takowy przypisać należy kupnom zboża, wykonaniom wielkich robót i przedsięwzięć, oraz ograniczeniu kredytu? jak długo potrwa ten stan rzeczy? jakie przedsięwziąć środki, aby mu jak najspieszniéj koniec położyć? oto są pytania, które każdy czyni sobie z niepokojem. Dziennik angielski *Ekonomista* rozbiérał przedmiot ten z wielką zręcznością, a zdanie objawione przez niego, oświetla ten ważny przedmiot; może więc z zadowolnieniem przyjęty tu będzie ten rozbiór.

Aby zrozumiéć dokładnie przyczynę zmian częstych, zachodzących w stanie monetalnym kraju (monais Marchet), należy, mówi dziennik ten, przedewszystkiém wy-

jaśnić pewne punkta. Punkta te z natury swéj zbyt są oderwane, aby ludzie zajęci szczegółami swych codziennych czynności, mogli w czasie zwyczajnym zastanawiać się nad niemi i one zrozumiéć. Jedyna chwila zwrócenia na nie uwagi publicznéj jest ta, w któréj trudne okoliczności czynią je bezpośrednio interesującemi i łatwiejszemi do pojęcia przez ogół. Chwila ta właśnie teraz nadeszła: niepodobna więc ażeby gdy w niéj wskazują się powody głębokich wstrząśnień zagrażających kapitałowi i finansom krajów, ażeby mówię wtedy, gdy zamierza się okazać, iż powody te nieszczęsne może jeszcze nie wywarły wszelkich swych szkodliwych skutków, rozbiór ich nie miał żywo zająć tych wszystkich, których interes zawisł od powodzeń handlowych i finansowych kraju. Trudności tego przedmiotu zbyt sobie wielkiemi przedstawiono; żeby go więc uczynić przystępnym i zrozumiałym dla wszystkich, użyjemy mowy najprostszéj do wyjaśnienia przyczyn wpływających na położenie monetalne kraju.

Trzy są wiadomości zasadnicze, które o ile można, najjaśniéj wyłożyć trzeba, ażeby dać dokładne wyobrażenie o wszelkich kwestyach dotyczących banków, obiegu i zmienności monetalnéj. Wiadomości te są następujące:

1. Co stanowi kapitał krajowy?

2. Jaka zachodzi różnica między kapitałem stałym a obiegowym?

3. Jaka jest różnica między kapitałem a obiegiem monetalnym?

Naprzód: *Co to jest kapitał?*

Wszyscy ekonomiści zgadzają się teraz na to, że kapitałem jest ta część dochodu z pracy ludzkiéj, która się

oszczędza i zbiéra, aby ułatwić nią przyszłą produkcyą. Człowiek dziki zajmujący się łowami, sposobem wskazanym mu od natury, aby zaspokoić konieczne swe potrzeby, nie posiada żadnego kapitału. Od chwili, w któréj łoży część swego czasu na zrobienie niezgrabnych narzędzi dla ułatwienia sobie polowania lub rybołówstwa i otrzymania większéj ilości pożywienia, narzędzia te tworzą kapitał, którego wartość jest stosowną do pomocy, jaką przez niego otrzymuje w zebraniu większéj ilości żywności. Przypuśćmy, iż ten kapitał składa się z sieci; będzie on miał dwojaką wartość: jedną odpowiednią czasowi i zręczności łożonym na jéj zrobienie, a walor ten stanowi cena, jakąby osoba inna za nią dać chciała; drugą zostającą w stosunku do zysku przez użycie sieci otrzymanego, i wartość ta stanowi cenę, jakąby kto inny za jéj pożyczenie dać był gotów. Piérwszy rodzaj wartości stanowi cenę sprzedażną, drugi zaś, stanowi dochód czyli procent od kapitału.

Gdyby w tym zarodku towarzystwa znalazł się tylko jeden człowiek, któryby umiał zebrać kapitał, tojest któryby się wystarał o wszelką żywność do utrzymania swego potrzebną, i nadto jeszcze robił sieci; rzecz jasna, żeby ich sprzedać nie mógł, gdyż sąsiedzi jego posiadając li tylko niezbędną ilość żywności do swego utrzymania, nie mieliby je za co kupić, ale mogliby je wydzierżawić, płacąc za to część zwiększonéj żywności, którąby przy ich pomocy otrzymali. W końcu, jeżeli ten nadrostek żywności zwiększy się nad potrzebę ich tak, iż przez to pozostanie im czas i możność robienia sieci lub ich kupienia, wtedy zostaną właścicielami tego kapitału, zamiast bycia jego dzierżawcami; a w ten sposób kapitał każdego indywiduum zwiększy się w stosunku

przewyżki jego produkcyi nad zużycie, a walor kapitału tego byłby w stosunku łatwości, jaką praca taka zbiérana i odkładana nastręczyłaby produkcyi przyszłéj.

Gdyby człowiek poświęcił rok czasu na zrobienie machiny, którąby się w niczém nie przyczyniła do przyszłéj produkcyi, wrazie tym, nie zwiększałby on swego kapitału; lecz gdyby praca jego ulepszyła ziemię, lub przyrobiła narzędzi zdolnych tą samą pracą uprodukować większą ilość żywności lub odzienia, wtedy o tyle zwiększyłby on swój kapitał. Ziemię tak użyźnioną i narzędzia tak sporządzone, mogłyby być przez niego sprzedane lub wynajęte.

Co jest prawdą względem pojedynczego człowieka, jest nią i względem towarzystwa całego. Naród który produkuje więcéj aniżeli zużywa, a nadto obraca nadrost swych płodów do ułatwienia przyszłéj produkcyi, zwiększa tém samém swój kapitał. Od dzieciństwa aż do najwyższego szczebla jego ukształcenia, wszelki kapitał przedstawia pracę nagromadzoną; a miarę waloru jéj stanowi łatwość, jaką nastręcza przyszłéj produkcyi. W dzieciństwie społeczeństwa, wartość sieci jest w stosunku łatwości nastręczanéj przez nią w rybołówstwie; w czasie obecnym, machiny, drogi żelazne, okręta i owe tysiące narzędzi w których skupia się praca narodu, zwiększają kapitał jego w stosunku dokładnym łatwości nastręczanéj przez nich produkcyi następnéj, i taniości, która z niéj wypływa. Ta to łatwość stanowi cenę, którą publiczność gotowa jest dać za jéj nabycie, lub dochód, który może płacić za jéj użycie. Rzecz więc jasna, że kapitał narodu składa się:

1. Z ulepszeń dokonanych we wszelkich elementach naturalnych produkcyj.

2. Z narzędzi ułatwiających produkcyą.

3. Z wszelkich przedmiotów do życia potrzebnych, które lubo są przeznaczone do użycia przyszłego, jednak posiadającym je przynoszą dochód.

Tak więc ulepszenia rolnicze, których skutkiem jest otrzymanie przy małéj pracy plonów obfitszych, udoskonalenie biegu wód, budowa portów, kanałów, dróg bitych, kolei żelaznych, ułatwiających obieg i zamianę rzeczy potrzebnych do życia; budowa okrętów, machiny i narzędzia ułatwiające reprodukcyą; wszelkie przedmioty do zużycia jakoto: suknie, zboże, cukier, złoto, srébro, żelazo i t. d. które się produkuje na sprzedaż, a które znów reprodukowane być mają pracą zużywającego takowe, gdy posiadacz tych płodów zużywa tylko dochód od nich; to wszystko stanowi kapitał narodu. Wszystko co pomnaża siłę jednego z elementów produkcyi, zwiększa i kapitał narodu; jak naprzykład: zastosowanie pary w żegludze, w machinach, w kolejach żelaznych i t. d. Wszystko co niweczy lub osłabia tę siłę, umniejsza także kapitał narodu. Powodzie wydarzone we Francyi, zmniejszyły jéj kapitał ilością równą pracy, potrzebnéj do naprawienia szkód. Takież szkody kapitałowi narodowemu zrządza wpływ pór roku na produkcyą zboża, bawełny, cukru, jedwabiu i t. d. W latach obfitości, wszelka nadwyżka płodów pozostająca od potrzeb bieżących, zwiększa kapitał; w latach nieurodzaju o tyle on się zmniejsza, o ile niedostaje na zużycie zwykłe, i o ile z zasobów lat poprzednich dodać potrzeba na pokrycie potrzeb bieżących.

Drugim przedmiotem do rozważenia jest:

Jaka różnica zachodzi między kapitałem stałym, a obiegowym?

Jestto zadanie otoczone większą mgłą i ciemnością, aniżeli to o którém dopiérośmy mówili: a lubo mało jest ważniejszych w zastosowaniu, przecież dotąd nie objaśniono go dostatecznie, ażeby ludzie praktyczni, byli w stanie dokładnie oznaczyć różnicę zachodzącą między temi dwoma rodzajami kapitałów w wielu zdarzeniach, w których znajomość różnicy téj stałaby się nieskończenie pożyteczną.

Wyobrażenia zmącone, istniejące dotąd jeszcze w umysłach pod tym względem, pociągnęły za sobą w ostatnich latach stratę kilku milionów funtów szterlingów dla kraju, w zobowiązaniach lekkomyślnie na siebie przyjętych, któreby nie były nastąpiły, przy dokładnéj znajomości różnicy między kapitałem stałym a obiegowym. Starać się będziemy wyjaśnić ten nader ważny punkt.

Każde uzbiéranie kapitału nastręcza możność wykonania pewnéj ilości pracy: kapitał nie może inaczéj stać się produkcyjnym, jak przy połączeniu się jego z pracą. Praca użytą być może do tworzenia dwóch rodzajów płodów: albo do robienia narzędzi, ulepszenia ziemi, budowy domów, dróg bitych, tojest rzeczy przeznaczonych do ułatwienia przyszłéj produkcyi, albo téż do wyrabiania przedmiotów konsumcyi bezpośredniéj, za które dochód ogólny towarzystwu płaci i te znów reprodukuje. W razie piérwszym, skutek pracy nabiéra cechę charakteru stałego, a zysk z niego wypływający albo się składa z powiększenia łatwości do przyszłéj reprodukcyi, albo téż z dochodu jaki osoba trzecia byłaby skłonną zapłacić za użycie téj zwiększónéj łatwości; w tym razie kapitał nie reprodukuje się sam i nie wraca do rąk swego właściciela. W drugim przypadku, cały kapitał wraca

do rąk swego właściciela zwiększony otrzymanym zyskiem, któryto zysk opłaca fundusz stanowiący dochód ogólny społeczeństwa.

Objaśnijmy to przykładem:

Ktoś zakłada fabrykę i zastawia ją machinami potrzebnemi. Ta fabryka i machiny nastręczą mu sposób wyrabiania łatwiéj sukna albo też płótna. To zwiększenie łatwości stanowi dla niego zysk, tworzący procent od kapitału użytego w ten sposób przez niego. Może on zadzierżawić tę fabrykę z machinami, a dochód ztąd przedstawiać będzie jego zysk, który w obu razach przybiéra charakter dochodu lub procentu; czyli w innych wyrazach: procent tylko pobiérany jest z przychodu rocznego społeczeństwa. Tak więc ile razy kapitał użyty nie reprodukuje się pracą społeczeństwa, ile razy społeczeństwo z dochodu swego rocznego tylko ma do płacenia procent za użycie kapitału, ten mieści się w rzędzie kapitałów stałych; takiemi są: domy, ulepszenia rolnicze, okręty, koleje żelazne, machiny i wszelkie inne przedmioty, które tylko ułatwiają produkcyą przedmiotów zużycia ogólnego.

Przeciwnie ktoś bierze w dzierżawę fabrykę z machinami, używa część swego kapitału na opłacenie téj dzierżawy, nadto kupuje wełnę i płaci robotników, wszystko w nadziei, iż cena sukna wróci mu naprzód wyłożony kapitał i prócz tego da mu zysk, do którego ma prawo za użycie kapitału i swéj pracy; w tym razie cały użyty kapitał i zysk powinien się zwrócić z ogólnego dochodu rocznego społeczeństwa. Fabrykant powinien odebrać cały swój kapitał z tego ogólnego dochodu społeczeństwa, aby go na nowo użyć do takiegoż samego przedsięwzięcia i do opłacenia nowéj pracy; kapitał taki na-

leży do obiegowych kraju, a składają go wszelkie płody rolnicze i przemysłowe, rzeczy wszelkie wprowadzone z zagranicy na użycie wewnętrzne, zgoła wszystko co się winno zwrócić z dochodu rocznego kraju. Tak tedy co do kapitału stałego, społeczeństwo ma tylko do płacenia od niego procent ze swego dochodu rocznego, cenazaś za przewozy opłacona przez publiczność kolei żelaznéj, stanowi procent od kapitału w koleje włożonego i nadwyżkę za ich zużycie; kapitał ten nie wraca się z rocznego dochodu społeczeństwa. Przeciwnie, cena opłacona przez publiczność z dochodu swego rocznego za sukna na swój użytek, za cukier, zboże i t. d., powinna zwrócić cały kapitał użyty na produkcyą tych płodów, tak, ażeby znów mógł być użyty na produkcyą podobną.

Różnica zachodząca między kapitałem stałym a obiegowym zależy na tém, iż wszelkie przedmioty i ulepszenia, za których użycie płaci tylko dochód ogólny kraju, czyli w innych wyrazach: od których właściciele procent tylko pobierają z dochodu ogólnego kraju, stanowią kapitał stały kraju; zaś wszelkie przedmioty, na których uprodukowanie zrobiony wydatek zwróconym być winien z rocznego dochodu kraju, stanowią jego kapitał obiegowy. Kapitał stały w jednéj stoi mierze i przynosi tylko procent, kapitał zaś obiegowy ciągle z ręki do ręki przechodzi, szukając swego zajęcia, bo ciągle zwraca się z dochodu ogólnego kraju, i reprodukuje. Dwie główne cechy odróżniające kapitał stały od obiegowego są następujące: naprzód kapitał stały składa się z przedmiotów których przeznaczeniem wyłącznem jest ułatwienie produkcyi; zaś przeciwnie, kapitał obiegowy produkuje bezpośrednio płacąc pracę robotników.

Powtóre, kapitał stały, nie ma przeznaczenia ożywiania i trzymania w biegu produkcyi; przeciwnie, kapitału obiegowego celem jedynym jest, skoro się tylko zwraca z ogólnego dochodu kraju, służyć do produkowania nowych płodów. Prace fabryczne, uprawa roli poprawnéj, mogą zwiększyć przychód kapitalisty; lecz kapitał użyty na budowę fabryki i na ulepszenie uprawy, nie może posłużyć do opłaty nowych prac i nowéj produkcyi z wyjątkiem przecież tego, coby się dało oszczędzić z powiększonego dochodu kapitalisty.

Przeciwnie, kapitał użyty do produkcyi bezpośredniéj zboża, sukna i t. d. winien całkowicie zwrócić się rolnikowi i rękodzielnikowi, ażeby mógł znów być użytym do tworzenia nowych płodów, opłacania nowych prac niezbędnych do téj produkcyi. Pokazuje się z tego widocznie, iż naród bez narażenia się na niedogodność, wielkie kłopoty i trudności, nie może zwiększać kapitału swego stałego nad tę ilość, którą oszczędził na swéj pracy, po zaspokojeniu potrzeb swego utrzymania.

Kapitał więc stały narodu, tylko o tyle zwiększonym być powinien, ile wynosi oszczędność pozostała po opędzeniu jego potrzeb.

Ważny ten punkt, tém się widoczniéj wykaże, gdy zważemy, iż w gruncie zapłata za pracę lubo uiszczona pieniądzmi, rzeczywiście składa się z pewnéj części żywności i innych przedmiotów robotnikom potrzebnych w ciągu ich pracy. Czyli robotnicy otrzymują pewną kwotę pieniędzy, lub też pewną ilość żywności i odzienia, skutek dla nich zawsze będzie jeden i ten sam.

Praca użyta do produkcyi płodów do spożycia codziennego potrzebnych, bez względu, czyli to na potrzebę wewnętrzną posłużą, lub też za granicę wyprowa-

dzone zostaną w zamian za cukier kawę i t. d., powinna zwrócić przedsiębiercy kapitał cały wyłożony na urobienie tych płodów, tak, aby ten znowu do podobnéj czynności mógł być użyty. Tkacz naprzykład, nie tylko zarabia to co na swe utrzymanie potrzebuje w kraju lub w płodach z zagranicy sprowadzanych, lecz nadto i to, co ma posłużyć do zwrotu kapitału przez fabrykanta wyłożonego, który go zatrudnia. Dochód ze sprzedaży płótna zamieni się na przedmioty inne, czy to w kraju lub zagranicą produkowane.

Przypuśćmy dla wyjaśnienia rzeczy, iż fabrykant urabia rocznie tysiąc sztuk kartonu (calicot). Gdyby zamiast płacenia gotowizną swych robotników, rozdzielał między nich stosowną ilość chleba, mięsa, cukru i innych płodów im potrzebnych, owe 1000 sztuk kartonu zamieniłyby się z rolnikiem, rękodzielnikiem i kupcem za pewną ilość zboża, sukna, cukru i innych rzeczy. W ten sposób, kapitał wyłożony na wyrobienie 1000 sztuk kartonu, odebrałby fabrykant, i mógłby go użyć znowu do wyrobienia następnych 1,000 sztuk kartonu. Tak tedy praca każda reprodukuje kapitał na utrzymanie jéj w biegu potrzebny, i służyć mający do prowadzenia pracy przyszłéj. Zaprowadzenie pieniędzy lub papierów kredytowych, jest tylko środkiem ułatwiającym te czynności.

Wszystko pójdzie dobrze i bez przerwy, dopóki praca użytą będzie do urabiania płodów do zużycia potrzebnych, bo zużycie codzienne wspiérać będzie produkcyą stosunkową: czyli w innych wyrazach: wszystko pójdzie dobrze tak długo, jak długo kapitał narodu pozostanie obiegowym. Lecz od chwili w któréj zaczyna się budować domy, drogi bite, okręty i t. d. wtedy zużyte zboże, sukno, cukier i inne przedmioty przez robotników

do tych czynności obrócone, nie są zastąpione produkcyą bezpośrednio takichże samych płodów lub innych zdolnych do zamiany. Z tego wszystkiego okazuje się widocznie, że prace i przedsięwzięcia takowe powinny się tylko wykonywać za pomocą oszczędności narodu, pozostałéj od niezbędnych potrzeb zwykłéj produkcyi. Ta oszczędność powinna wskazywać zakres, do którego kapitał stały narodu może być zwiększony, a którego to zakresu bez niebezpieczeństwa przekroczyć nie można.

Kapitał obiegowy kraju jest ten, który służy do produkcyi przedmiotów do zużycia potrzebnych, lub z zagranicy na zużycie sprowadzonych. Ogół tych przedmiotów do zużycia jakiekolwiek te być mogą, przedstawia ten kapitał. Odradza on się ustawicznie z dochodów ogólnych kraju, czyli te wypływają z pracy, z dzierżaw ziemskich, lub też z zysku czyli procentu od kapitału. Kapitał zaś stały, składa się z téj części pracy, która nie będąc potrzebną do produkcyi płodów zużycia bezpośredniego, zajmuje się tworzeniem przedmiotów zdolnych przynieść procent, przez nastręczenie nowych ułatwień w pracy produkcyjnéj, i przez zwiększenie siły kapitału obiegowego. Nie trudno więc teraz pojąć, że stanowczym warunkiem rozwijania pomyślności kraju jest, aby kapitał obiegowy, ten bezpośredni działacz wszelkiéj produkcyi, ten nagradzacz prac codziennych, nie był odwracany od zwykłego swego przeznaczenia, i nie był zamieniany w kapitał stały nad miarę, ale tylko o tyle, o ile oszczędności kraju dozwalają. Przesadzona zmiana kapitału obiegowego na stały, ten nieuchronny wywrze skutek, iż fundusze tak uwięzione nieprodukując ani płodów do zużycia wewnętrznego, ani do zamiany zagranicznéj posłużyć mogących, kapitał staje się rzadkim i drogim,

a fundusz przeznaczony na opłacanie pracy zmniejsza się. Osoby które w ten sposób zamieniły swój kapitał obiegowy na stały, są zniewolone do ścieśnienia swéj produkcyi. A jeżeli ją w jednéj mierze siłą się utrzymywać, brak obiegowego kapitału wystawia ich na wielkie kłopoty i niedogodności, jakkolwiek znaczny otrzymują dochód czyli procent z nieruchomości, w którą swój kapitał obiegowy włożyły.

Prawda, iż przez przeciąg czasu w którym się dzieje zamiana kapitału obiegowego na stały, społeczeństwo przedstawia wielką pozorną pomyślność: gdyż produkcya przedmiotów do życia potrzebnych bywa mniejszą od zużycia, skutkiem zwiększenia ceny wszelkich towarów, a przywóz z zagranicy zwiększa się; ale że kraj nie wyrabia tyle płodów aby niemi mógł zaspokajać zagraniczne, trzeba więc płacić co niedostaje kapitałem obiegowym, który tém bardziéj się uszczupla. Wkrótce to przesilenie daje się czuć wszystkim z wielką szkodą całego kraju, a szczególniéj robotnikom, którzy widzą w ten sposób niknący fundusz, przeznaczony pierwiastkowo na opłacenie ich przyszłéj pracy.

Pozostaje nam jeszcze trzecie zadanie do rozwiązania: *Jaka zachodzi różnica między kapitałem, a obiegiem monet?*

Mało jest zadań mniéj zrozumianych jak niniejsze, ściągające się do różnicy zachodzącéj między kapitałem a monetą, owym działaczem (agent) samego obiegu. Zamieszanie panujące w tym względzie jest najobfitszém źródłem błędów tak w prawodawstwie, jako téż w praktyce.

To co się wyżéj powiedziało o naturze kapitału i o różnicy do zrobienia między kapitałem stałym a obiego-

wym dowodzi dostatecznie, że kapitały istniały dawno już przed zaprowadzeniem systematu monetalnego. Przed wynalazkiem monet, kapitał kraju składał się jak i teraz z téj części rzeczy użytecznych, które społeczeństwo tworzy nad swe zużycie i potrzeby. Zamiana ich między różnemi producentami odbywała się wtedy bezpośrednio, nie zaś jak dziś pośrednio przez użycie monety. Wynalazek jéj był tylko środkiem ułatwiającym i przyśpieszającym zamiany. Rzeczami temi użytecznemi do życia było wszystko, co tylko praca ludzka mogła wyrobić; jakoto: żywność, tkaniny, metale i t. d. Ich względny walor ustanawiała ilość pracy potrzebnéj do ich wyrobienia. Jeżeli równéj pracy wymagało urobienie uncyi złota i beczki żelaza (beczka 20 cent. ang.), te dwa przedmioty zamieniano jeden na drugi. Jakie zaś przedmioty żądane i więcéj kupowane były, ku wyrabianiu takowych praca skwapliwiéj się zwracała.

Lecz walor zamienny przedmiotów do życia potrzebnych, mógł podlegać nagłym przypadkowym zmianom. W roku obfitym, w którym żniwa wydały plon dwa razy większy od średniego, korzec zboża przedstawia tylko połowę pracy, jakiéj potrzeba w czasie miernego plonu. Producent zboża, mając go dwa razy więcéj, przy współubieganiu się innych, będzie zniewolony odstąpić go za ilość złota, srébra, żelaza, dwa razy mniejszą jak w roku średniego urodzaju. W czasie zaś nieurodzaju, skutek będzie zupełnie odwrotny. W ten sposób, walor każdéj rzeczy podlega zmianie stósownie do jéj produkcyi, podług tego jak mniéj lub więcéj pracy jéj urobienie wymagać będzie, czyli to będzie skutkiem wpływu pór roku, czyli téż skutkiem wynalezienia nowych na-

rzędzi, bo praca jest jedynym regulatorem wartości wszelkich płodów.

Liczne niedogodności wynikające z położenia, w którém zamiana jest jedynym środkiem obiegu, zbyt są widoczne. Wcześniéj daleko od wynalazku monet złotych i srébrnych, narody więcéj ukształcone od innych, wybrały już metale drogie za sposób porównywania, za miarę wartości wszelkich płodów i za pośrednika zamian ich między sobą. Niémasz prawie przedmiotu, któregoby wyrób zależał od pierwiastków tak mało zmiennych, jak złoto i srébro; któregoby walor był jednostajniejszy a tém samém dogodniejszy do służenia za miarę wartości wszelkich przedmiotów. Nadto złota i srébra najmniéj upada przez użycie, jest najlatwiejsze do przewozu, zawiéra znaczną wartość w małém objęciu, łatwo się dzieli, krótko mówiąc, posiada najwięcéj zalet, ażeby służyć za miarę wszelkich walorów.

Początkowo metale te zamieniano na wagę. Wołu, sztukę płótna, oddawano za pewną ilość uncyj złota lub srébra. Wkrótce uznano dogodniejszém dzielić metale na części pewnéj oznaczonéj wartości i próby, i ztąd wyrodziło się bicie monet. Byłoto nowe ulepszenie, ułatwiające wszelkie zamiany, ale zasada pierwotna regulująca zamiany, dlatego się nie zmieniła. Dopóki zamiany działy się w naturze, walor względny płodów ustanawiała ilość pracy na ich urobienie potrzebnéj: obecnie w sprzedażach, ilością złota lub srébra dawanego za każdy przedmiot, ocenia się ilość pracy zawartéj w tym przedmiocie, w stosunku do ilości pracy potrzebnéj do wyrobienia metalów tych za cenę służących. Jakoż wszelkie postępy odróżniające zamiany najnieokrzesańsze i najprostsze, od obiegu najdoskonalszego monet, są tyl-

ko łatwościami nastręczonemi zamianie płodów między sobą. Ponieważ drogie metale mogą i do czego innego służyć, a nie jedynie za pośrednika zamian, rzecz jasna, że i społeczeństwo tyle ich tylko na cel ten używać powinno, ile konieczna potrzeba wymaga. Ilość ta tworzyć będzie część kapitału narodowego, która sama przez się przestaje być produkcyjną, lecz ułatwi produkcyą reszty. Wystawmy sobie kraj, pragnący przejść z zamian w naturze do systematu monetalnego; jeżeli cała ilość metalów drogich jaką posiada, jest mu potrzebną do ozdób i użytków domowych, będzie on zmuszony wyprowadzić za granicę pewną ilość swych płodów, ażeby za nie dostać dodatkową kwotę srébra lub złota, potrzebnego na obieg monet. Metale te na monetę przebite, nie będą tworzyły kapitału produkcyjnego, ale posłużą za ułatwienie produkcyi reszcie kapitału. Tak więc metale drogie przebite w monety, są częścią kapitału obiegowego, odwróconą od swego przeznaczenia bycia bezpośrednio produkcyjnym, aby ułatwiać zamiany. Rzecz zatém jasna, iż każdy powinien się starać tyle tylko tego kapitału nieprodukującego posiadać, ile go do zamian potrzebuje; tylko miéć go tyle w skrzyni, ile na wypłatę bieżącą koniecznie mu potrzeba. Albowiem gdy summa pieniędzy w obiegu będąca żadnego nie przynosi procentu, takowa strata rozdziela się na każdego po szczególe, w miarę ilości gotowizny którą posiada. Niezmienną zatém zasadą być powinno, nie trzymać więcéj gotowizny nad niezbędną potrzebę. Wynalazek banków, dozwala do ostateczności zmniejszać zasób gotowizny przeznaczonéj do leżenia w skrzyni bez produkowania. Wynalazek biletów bankowych, jeszcze więcéj przyczynia się do zmniejszenia części kapitału narodowego, służącéj

za ułatwienie obiegu, gdyż bilety te zastępują złoto i srébro.

Zasada więc ograniczająca użycie monety do najmniejszéj kwoty niezbędnéj do bieżących wypłat, ogranicza również i obieg biletów kasowych. Bankier nie daje swych biletów ani gotowizny, tylko za przyjęty w zamian inny walor; a ktokolwiek w skrzyni swéj posiada więcéj takich biletów jak wymaga istotna potrzeba, traci od nich procent. Tak tedy ilość ogólną biletów w obiegu, wskazuje potrzeba, a nie ilość ich jaką bankier wystawić może. Bank dyskontując wexle, lub dając zaliczenia na zastawy, może wydać tyle biletów ile zechce; dlatego przecież nigdy ich więcéj nie pozostanie w obiegu nad konieczną potrzebę publiczności. Nadwyżka wróci zaraz do banku, albo celem wymiany biletów na brzęczącą monetę, albo w wypłatach rachunków bieżących, albo w kształcie nowego zastawu, aby na niego odebrać nowe zaliczenie. Ztąd wykazuje się, że bilety bankowe nie są niczém innem, jak tylko znakiem łatwo przekazalnym, dającym prawo żądania wypłaty pewnéj kwoty złota lub srébra od wystawującego bilety. Dopóki są one na każde żądanie posiadacza płacone srébrem lub złotem, dopóty ich więcéj w obieg nie wejdzie nad kwotę, jakąby publiczność potrzebowała, gdyby wszystko monetą płacone było. Zysk otrzymywany przez społeczeństwo z obiegu biletów polega jedynie na możności oszczędzenia części metalów, drogich, które przy systemacie monetalnym odwracają się od kapitału produkcyjnego, czyli obiegowego, ażeby stać się działaczem obiegu. Nadto ułatwiają bilety sam obieg przez łatwiejszy ich przekaz i przewóz. Bilety nie mają żadnego wewnętrznego waloru; sąto proste obligacye

do wypłaty na każde żądanie pewnéj ilości złota lub srébra. Wypuszczanie w obieg biletów, zależy jedynie od kredytu tego, który je wystawia i od zaufania przez publiczność w nim pokładanego. Bilet bankowy jest rzeczywiście téj natury i cechy jak wexel, z tą jedynie różnicą, iż bilet bankowy będąc wypłacalnym na każde żądanie, nie przynosi procentu, kiedy przeciwnie, wexel mając termin pewny wyznaczony do wypłaty, przynosi nabywcy jego procent.

Tak więc każdy przyjmujący bilet banku na 20 funtów, nabywa tylko prawo do odebrania z banku który go wystawił na każde żądanie dwudziestu monet złotych, zwanych funtami szterlingami (souverein). Każda taka moneta zawiéra pewną wagę złota próby oznaczonéj, i przedstawia ilość pracy równą téj, jaka się zawiéra w różnych innych przedmiotach, których cenę mogą zapłacić te 20 funtów szterlingów.

Ustaliwszy raz te punkta, pozostaje jeszcze wyświecić różnicę między kapitałem a monetą. Pod nazwą zaś monety mieścimy nietylko piéniądze metalowe, ale bilety bankowe płatne gotowizną, i wszystko co służy za działacza obiegu. W opinii publicznéj sądy o tych przedmiotach są nader mylne i różnorodne. Istniejące zamieszanie między monetą, papiérem kredytowym (bo dla rozwiązania obecnego zadania te przedmioty są jednoznaczne) a kapitałem, ściąga się tylko do kapitału obiegowego, który ciągle z rąk do rąk przechodzi i reprodukuje się bez przerwy. Publiczność wkładając kapitał w jakie przedsięwzięcie, widzi tylko piéniądze, za pomocą których kapitał przechodzi z jednego użycia w drugie, a nieupatrując żadnego zmniejszenia talarów tak umieszczonych, sądzi, iż dopóki takowe nie wyjdą za-

granicę, kapitał natury swéj nie zmienia, i że siła jego produkcyjna żadnego nie doznaje szwanku.

Okazało się wyżéj, iż kapitał obiegowy narodu składa się z ogółu płodów do życia potrzebnych, które produkcya wyższa nad zużycie dozwoliła nagromadzić, i że kapitał ten odnawia się i reprodukuje ciągle z dochodu ogólnego społeczeństwa. Co do monety, ta przeciwnie jest tylko częścią pewnego płodu (złota i srébra), służącą za miarę wszelkich walorów i za działacza i ułatwiciela obiegu. Posiadanie kapitału nadaje możność jego właścicielowi nabycia wszelkich potrzeb do życia. Przedmioty owe stanowią zasadę każdego kredytu, czy ten otwiéra się w gotowiznie lub towarach; stanowią również zasadę, na któréj polegają depozyta w bankach, dochody rządowe, i zobowiązania osób pojedynczych. Pieniądze są tylko sposobem przelewania szybko z ręki do ręki, owéj możności nabywania przedmiotów do życia potrzebnych. I bez monety istniałyby stosunki między wierzycielem a dłużnikiem, dochody kraju, ruch handlowy; z tą tylko różnicą, że wszelkie czynności załatwiałyby się zamianą rzeczy za rzecz, a nie za pośrednictwem obiegu monet. Płaca zasług, jest rzeczywiście udziałem części przedmiotów potrzebnych do użycia pracownika; gdyby monet nie było, dawanoby mu rzeczy te w naturze. Nawet działania bankowe mogłyby się odbywać bez pieniędzy. Wystawmy sobie kraj, gdzie zamiany tylko się dzieją w naturze. Tam kapitał gromadziłby się zamiast w gotowiznie, jak za dni naszych, w płodach; w tym razie utworzyłaby się koniecznie klasa kapitalistów, których kapitał składałby się z pewnéj ilości uzbiéranych płodów, zamiast jak się to dzieje teraz, z pieniędzy przeznaczonych do kupna tych płodów. Kapitaliści owi pożyczaliby płodów

tych za opłatą pewną, właśnie tak jak dziś pożyczają pieniądze. Łatwo pojąć i to, iż w takowym stanie rzeczy utworzą się między pożyczającym a wypożyczającym pośrednicy czyli bankierowie. Pożyczający znajdzie dogodniéj płody swoje składać u pośrednika czyli bankiera, który mu podpisze zobowiązanie, oddać mu takowe na każde żądanie lub w pewnym oznaczonym terminie, płacąc za użycie pewne wynagrodzenie; bankier znowu pożyczy je innemu pod warunkami podobnemi wypożyczającemu. I teraz dzieje się zupełnie toż samo, tylko że zaprowadzenie monet ułatwia nieskończenie czynności, uchylając zarazem wszelkie niedogodności wynikające z przechowania i zamiany płodów w naturze.

Tak więc wszelkim czynnościom banku, lubo zależą napozór od kredytu osobistego tych, którzy takowe załatwiają, służy istotnie za podstawę pewna ilość płodów do życia przeznaczonych. Bilet banku ma tylko dlatego wartość, że przedstawia pewną ilość płodów, która mając być użytą do reprodukcyi takichże płodów, zwróci się w końcu z dochodów ogólnych społeczeństwa, które ją chwilowo wypożyczyło celem użyznienia pracy produkcyjnéj. Dochód ogólny społeczeństwa jest w gruncie rękojmią wexli, ciągnionych aby niemi płacić cenę płodów do zużycia, sprzedanych akceptującym te wexle. Niezawodność wypłaty z dochodów ogólnych towarzystwa, nadaje w czasie zwyczajnym większą pewność tego rodzaju przekazom, aniżeli zapisy na nieruchomościach ziemskich, kolejach żelaznych lub wszelkich innych przedmiotach, składających stały kapitał kraju, które nie reprodukując się same z siebie opłacają tylko procent roczny. Pożyczka któréj służy za rękojmię ten rodzaj wpływu, który się pobiéra co rok z dochodu ogólnego

społeczeństwa, przedstawia więcéj pewności jéj odebrania w czasie oznaczonym, aniżeli pożyczka na nieruchomość dana.

Dochód z płodów do użycia pobiérany, przydatniejszy jest bankierowi, który przekłada obligacye z krótkim terminem, aby mógł użytkować z kapitałów składanych u niego. Pożyczki dawane na nieruchomości przekłada taki kapitalista, który mieć tylko pragnie przyzwoity procent od swego kapitału.

Pożyczki na ruchomości przedstawiają kapitał obiegowy kraju, gdy przeciwnie pożyczki na nieruchomości zamieniają kapitał obiegowy na stały, a tém samém staje on się niezdolnym do wszelkiéj czynności bankowéj.

Pokazuje się zatém jasno, iż przez wyraz kapitał, rozumié się ogół płodów przeznaczonych na zaopatrzenie kraju i na jego potrzeby; że zamieniając kapitał obiegowy na stały, przez budowę domów, kolei żelaznych i t. d. pochłania się część tych przedmiotów towarzystwa, bez możności odpładniania onych bezpośrednio.

Co zaś do monet i biletów bankowych, których się używa do ułatwienia przejścia z rąk do rąk tych płodów, obieg ten w niczym nie zmienia massy płodów, a użycie działaczy tych i pośredników obiegu, bynajmniéj nie wpływa na mniejszą lub większą obfitość.

W innym artykule postaramy się wskazać skutki praktyczne, wypływające z zasad któreśmy założyli i wytłumaczyli, oraz w jaki sposób przesadzone użycie kapitału obiegowego w budowę kolei żelaznych, zwiększając kapitał stały kraju, wpływało na podniesienie stopy procentowéj, zniżenie kursów giełdowych zagranicą, i na zawikłania niebezpieczne w czynnościach ogólnych kraju. Jest jeszcze inny ważny skutek wynikający z zasad przez

nas wyłożonych, a tym jest wpływ, jaki wywiéra na działalność i walor drogich metalów, konieczność płacenia zobowiązań przyjętych w drogach żelaznych gotowizną w kraju bieg mającą, i sposób w jaki wpływ ten działa na wartość bieżącą płodów, będących podstawą pożywienia i zużycia ogólnego kraju.

(Dokończenie nastąpi).

HISTORYA
CYWILIZACYI WYSPY MADAGASKAR

I PRZEŚLADOWAŃ JAKICH TAM CHRZEŚCIANIE DOZNALI.

Wyspa Madagaskar położona na południo-wschód Afryki, przeszło 20,000 mil kwadratowych mająca, liczy pięć milionów mieszkańców. Piérwszy raz na nią wylądowali Portugalczycy w 1506 r., we 20 lat po odkryciu przylądka *Dobréj Nadziei* (*), a z nimi missyonarze, którzy wkrótce jednak powrócili ztamtąd, gdyż im się zdawało, że Malgachowie (**), tak zwani mieszkańcy Madagaskaru, żadnéj skłonności do nawrócenia nie okazywali. W roku 1640 Richelieu założył tam osadę, która się

(*) Odkrył go w r. 1486 Portugalczyk Barthelemy Dias, i nazwał *Przylądkiem Burzy*. Powtórnie w r. 1497 dostał się tam Vasco de Gama, który piérwszy popłynął morzem do Indyi Wschodnich.

(**) Malgachowie, albo Madekassowie składają znaczną ludność Madagaskaru, i należą niewątpliwie do wielkiego szczepu malajskiego, ciągnącego się od jednego do drugiego końca Oceanii. Przybycie zaś tego szczepu na tę wyspę, przechodzi czasy historyi.

rozmaicie utrzymywała przeszło wiek cały. Dominikanie probowali nawracać tamtejszych mieszkańców, lecz po kilku missyach niepomyślnych, zaniechali przedsięwzięcia. Odtąd zdawało się niepodobieństwem nawrócić Malgachów na religią chrześciańską, i kiedy lat temu 27 angielscy missyonarze przybyli do Madagaskaru ogłaszać znowu słowo Boże, cała Europa wołała: „że to próżne usiłowania, gdyż to są bydlęta prawdziwe, z których nic zrobić nie można." Zastanawiać się nad tém zdaniem nie będziemy, lecz nim przystąpimy do tych missyj, należy obeznać czytelnika z mieszkańcami Madagaskaru.

Mnóstwo osad rozmaitego pochodzenia i koloru, od oliwkowatego do czarnego, zamieszkiwało tę wyspę do początku tego wieku. Jedna z tych osad pokolenia Howasów przemogła nad innemi. Naczelnik jéj człowiek śmiały, zagarnął wiele innych jeszcze pod swoje panowanie, a pod *Radamą*, synem owego wodza, stała się możném państwem, któremu prawie cała wyspa hołdowała. *Tannanariwa* (*Tanane-Arrivou*), czyli co dosłownie znaczy: *Tysiąc miast*, obejmująca blizko 30,000 ludności, była stolicą państwa i tam missyonarze rozpoczęli swe prace.

Radama ostatni król Malgachów, który wstąpił na tron r. 1810 mając lat 18, gienialny młodzieniec, obdarzony rzadkiemi zdolnościami i nienasyconą chęcią kształcenia się, był jedném słowem człowiekiem z sercem i głową; na dowód czego przytoczymy tu zdarzenie z lat jego dziecinnych. Kochał on bardzo swą matkę, i gdy tę pewnego razu w chwili uniesienia ojciec z domu wypędził, niezmiernie zmartwił się młody Radama. Nazajutrz korzysta z nieobecności króla i ojca, łapie kurczę i przywiązuje za nogę do stołka; ojciec wszedłszy do

pokoju, słysząc pisk kurczęcia trzepoczącego się w swych więzach, pyta zdziwiony syna co to ma znaczyć? „To nic," odpowiada dziecię, „to kurczątko piszczy za swoją matką." — Król zrozumiał myśl, i tego samego dnia wygnana matka powróciła do domu.

Żyjąc wśród najrozpustniejszego w świecie ludu, młody Radama skromny, mając dużo mocy nad sobą, wzdychał do wyższych pojęć. Ojciec nie był w stanie go rozumieć, a młodzieniec bez namiętności, wydawał mu się niezdolnym do panowania. Widząc zbliżającą się starość, a nie mając podług swego wyobrażenia komu powierzyć rządów państwa, którego był założycielem i pogromcą, przyobiecał wielkie nagrody urzędnikom, którzyby potrafili skłonić Radamę do rozpusty. Długo opierała się szlachetna natura Radamy rozmaitym ponętom; lecz skoro raz im uległ, zbłąkanie jego było okropne, a śmierć przedwczesna Radamy, dowiodła zgubnych rad pomyślny skutek.

Piérwszém staraniem tego nieszczęsnego młodzieńca, gdy po śmierci ojca objął rządy państwa, było wejść w stosunki z Anglikami, posiadaczami wyspy *Maurycyusza* o sto mil od Madagaskaru odległéj. W tym celu wysłał tam dwóch młodszych braci, aby pobiérali nauki na wzór ucywilizowanych narodów. Ztąd wkrótce ciągłe stosunki zawiązywały się pomiędzy temi dwoma krajami, a *Sir Farquhar* rządca wyspy Maurycyusza starał się korzystać z dobrych skłonności Radamy, aby go nakłonić do zniesienia handlu niewolnikami, który się rozciągał wzdłuż brzegów Madagaskaru.

Malgachom trudno było oswoić się z tak nieludzkim handlem. Z początku potrzeba było długich nalegań ze strony kupców europejskich znajdujących się w portach,

i rozmaitych środków aby ich do tego skłonić; raz bowiem uśpione sumienie, raz wszelkie skrupuły przezwyciężone, a to samo stało się z handlem niewolników co i z Radamą, który z najszlachetniejszemi uczuciami oddał się w końcu rozpuście za usiłowaniem ojca. Malgachowie też tak się poźniéj zajęli tym handlem, iż przeszli oczekiwanie europejczyków, i mieli tym sposobem pole czynić zadość wszelkim namiętnościom, zemście i oszukaństwu. Ktokolwiek miał jaką osobistą urazę lub nienawiść, tysiączne robił zasadzki, aby schwytać nieprzyjaciela swego i sprzedać kupcom cudzoziemskim. Nieraz pośród wesołéj uczty, sala biesiad przybiérała nagle zupełnie odmienną postać; chwytano towarzyszów zabawy, wiązano ich i wywożono nocą do najbliższych wybrzeży. Rodzice sprzedawali własne dzieci, ogólna niewiara i nieufność rozszerzyła się po kraju. Byłoto panowanie okrucieństwa, które kupcy chrześciańscy do Madagaskaru wprowadzili; słusznie więc, aby inni ludzie godniejsi imienia chrześcian, zajęli się zniweczeniem tego złego.

W tym celu wysłał do Madagaskaru *Sir Farquhar* pana *James Hastie*, nauczyciela dwóch młodych książąt, którzy pobiérali nauki na wyspie Maurycyusza. Przybywszy do Radamy, znalazł w nim prostotę dziecinną, właściwą dzikim, połączoną z wyższém usposobieniem i szczególniejszą chęcią cywilizacyi. P. *James Hastie* nie mógł wyjść z podziwienia patrząc na Radamę, który śmiał się do rozpuku z zégara który mu przywiózł w darze, i skakał z radości gdy bił godziny, a przytém wchodził z prawdziwą filantropią i rzadką objętością umysłu w widoki rządcy angielskiego.

Zwołano wielki *khabar* czyli zebranie, w celu przedstawienia wniosku tego ludowi, i pomimo burzliwych rozpraw, rzecz rozwiązano i układ podpisano w ten sposób: iż król obowiązywał się ze swéj strony znieść zupełnie w swém państwie handel niewolnikami, a rządca *Farquhar* miał natychmiast wyliczyć znaczną summę piéniędzy, i dostawić rozmaitych zapasów wojennych. Poczém Radama kazał ogłosić w całym kraju, iż chociaż niewolnicy istnieć będą zawsze w Madagaskarze, bo niewola ich nie jest zniesioną, jednak handel niemi jest zakazany, i ci którzyby się poważyli przekroczyć to prawo, zasłużą na karę, która ich samych wróci do stanu niewolniczego; każdy zaś ktoby się ważył mówić przeciw niemu, karze śmierci podlegnie. Kara ta zasadzała się na strąceniu winowajców w przepaść, a pod tym względem, Tannanariwa smutne przedstawia podobieństwo ze skałą Tarpejską starego Rzymu. Dzieci skłonne do nierozmyślnych rozrywek, bawiły się nieraz rzucaniem kamieni na roztrącone trupy, i p. Hastie z żalem poglądał na dwóch młodych książąt, których wychował, z jakiém oni ukontentowaniem oddawali się téj okropnéj rozrywce.

Radama chociaż bałwochwalca, wiernie dochowywał przysięgi, inaczéj bowiem działo się z mniemanym sługą prawego Boga. Gdy Sir Farquhar przymuszonym był oddalić się na niejaki czas z wyspy, zastępca jego vicerządca zerwał układ zrobiony, jak nazywał, z *naczelnikiem dzikich*. Odwołał natychmiast pana Hastie, nie chciał płacić należnéj summy, zachęcając znajdujących się tamże europejczyków do rozpoczęcia handlu na nowo. Smutny obraz, który nam jednakże nieraz chrześcianie w stosunkach z dzikiemi przedstawili! Patrząc na

takie postępowanie, więcéjby nas dziwić powinien pomyślny skutek wpływu missyonarzy, aniżeli wszelkie trudności jakieby napotkać mogli, i jeżeli udają im się ich przedsięwzięcia, to li z woli Boga samego. Radama był w najwyższym stopniu rozdrażniony, a gdy ze wszech stron nastawali na niego kupcy angielscy i francuzcy, kazał nakoniec powtórnie ogłosić, iż handel niewolnikami odtąd znowu upoważnia.

Podówczas dwóch missyonarzy wysłanych przez Tow. Londyńskie przypłynęło do Tamatawy na wyspę Madagaskar, i pp. Jones i Bowens z familią założyli tam szkołę, do któréj powoli zaczęli uczęszczać tameczni mieszkańcy; złém jednakże okiem patrzyli na to europejczykowie, bo odgadli w panu Jones i Bowens nieprzyjaciół handlu. Wkrótce po osiedleniu się dotyka nieszczęście p. Jones; traci dziecko i żonę wśród cierpień podobnych zupełnie do zatrucia. W parę tygodni późniéj, panu Bowens umiéra córka na taką samą chorobę. Niedługo potém, sam na taką kończy, a w kilka dni późniéj, cierpiący pan Jones odprowadza do tego samego grobu zwłoki pana Bowens! Taki był początek missyj do Madagaskaru!

Nieszczęśliwy p. Jones sam pozostał; sam, w całém znaczeniu wyrazu, bo nawet pozbawiony wszelkiego współczucia, dręczony cierpieniem moralném i fizyczném, narażony na różnorodne prześladowania; wyśmiéwali się z niego, drwili, kradli, napadali, i tysiącznemi sposobami dokuczali, bądź sami europejczykowie, bądź ludzie przez nich podniecani do tego. Wielka była wiara jego kiedy nie zwątpił! Im więcéj nawet widział się opuszczonym na téj ziemi, tém bardziéj zbliżał się do Tego, który daje opiekę i rodzinę sierocie. Wiara jego i ufność nie zawiodły go. Zdrowie powróciło, a ze zdrowiem przyszła

wiadomość, że Radama życzy sobie go widzieć. Zamiłowany w naukach, skoro tylko dowiedział się o przybyciu do Madagaskaru dwóch nauczających ludzi, wysłał natychmiast wywiedzieć się o nich, ofiarując im swą przyjaźń; lecz kupcy czatowali ustawicznie na wszystko coby mogło szkodzić niegodziwemu ich interesowi, i kazali oznajmić Radamie, że obydwa nauczyciele umarli.

W tym czasie, szanowny Farquhar powraca na wyspę Maurycyusza; serce jego miłością chrześciańską przejęte zakrwawiło się, gdy się dowiedział o zgwałceniu umowy. Wysyła natychmiast p. Hastie do Madagaskaru, i poleca aby wynurzył Radamie żal jego, oraz wszelkich dołożył starań do przywrócenia dawniejszych układów. Przybywszy do Tamatawy (*), p. Jones z nim się łączy, i udają się razem do Tannanariwy rezydencyi królewskiéj. W ciągu téj podróży, codziennie prawie napotykali nieszczęśliwe ofiary; po dwóch ludzi związanych i prowadzonych na targ na wybrzeża. Opodal ztamtąd jest pagórek, nazwany w malowniczym języku Howasów: *Pagórek łez*; ztamtądto biédni więźniowie rzucają ostatnie spojrzenia na swój kraj i rodzinę, i patrzą na to groźne morze, które ich na zawsze od swoich oddziela.

Jakkolwiek Radama nie mógł być zadowolony z Anglików, przyjął jednak naszych podróżnych ze zwykłą mu uprzejmością; z początku jednak ani chciał słuchać o traktacie, lecz skoro mu przedstawili i wytłumaczyli jakim się to stało sposobem, rzekł: „To co innego, ja to pojmuję, ale poddani moi tego nigdy nie zrozumieją.

(*) Miasto to było rezydencyą małych królestw Madagaskaru; jestto najgłówniejszy punkt wyspy z powodu najbezpieczniejszej przystani.

Opinia w Madagaskarze nie tak łatwo się odzyskuje. Dlaczegożeście nie dotrzymali słowa? Czyliż nie wiécie, że „*fałszywy jak Anglik*" weszło u nas w przysłowie? W dwóch zebraniach umyślnie w tym celu zwołanych, lud i naczelnicy głośno się odzywali przeciw odnowieniu traktatu, widzicie więc panowie, rzekł Radama do deputowanych angielskich, że ja z méj strony jestem przychylny téj sprawie, lecz czyliż dziś mogę stawać w sprzeczności z całym narodem?" poczém dodał głosem nieco cichszym i z niejakim strachem. „Słyszałemci ja o postępowaniu Francuzów z jednym z ostatnich królów." Lecz na trzecim zebraniu, panowie Hastie i Jones zabrawszy głos, sami dali do zrozumienia, że dopóki tylko istnieć będzie handel niewolnikami w Madagaskarze, nikt im nie zechce przynieść oświaty. Uwaga ta dzielniejszą była nad wszelkie inne, a traktat na nowo uchwalony stanowił: że 20 młodych Malgachów wyślą do Anglii, w celu pobiérania tamże zupełnego wychowania.

P. Jones zachęcony przez Radamę, założył szkołę w Tananariwie d. 3 grudnia 1820 r. Z początku ze wszech stron dawały się słyszéć zdania temu przeciwne; tak ograniczeni ludzie znajdowali się pomiędzy Malgachami, że nie mogli pojąć, aby można za pomocą pewnych znaków nadać mowę papiérowi, i posądzali missyonarzy o czarodziejstwo.

Jednakże do téj szkoły popiéranéj przez samego monarchę uczęszczała pewna ilość dzieci, tak, że z końcem roku mógł p. Jones ogłosić popis publiczny. Wielu bardzo ciekawych, a szczególniéj ludzi w wieku podeszłym, pośpieszyło tamże; między innemi pewien sędzia, który był niezmiernie przeciwny szkole. Rozkazawszy

zbliżyć się do siebie najmłodszemu z uczniów z tablicą i z szyfrem, powiedział mu te kilka wyrazów pocichu „*Fałszem jest ażeby pismo mogło zastąpić mowę.*" Dziecko napisało natychmiast to zdanie, i gdy sędzia kręcił głową przypatrując się tym dziwnym znakom, innego ucznia przywołał z końca sali, wręczył mu tabliczkę, a gdy ten przeczytał wdzięcznym głosem: „*Fałszem jest ażeby pismo mogło zastąpić mowę.*" *O solombara tokoal* (o zastępczyni języka!) krzyknęli wszyscy przeciwnicy, i odtąd pismo znane jest w całym kraju pod nazwiskiem: *zastępczyni języka.* Po czytaniu przyszła koléj na rachunki. Malgachowie doszli do rozwiązywania niektórych zagadnień arytmetycznych, używając do tego kamieni rozmaitéj wielkości; lecz najłatwiejsze zadania wymagały dla nich wielkiéj pracy. Sędzia ów, starzec uparty i uprzedzony, przygotowywał się powoli i do tego zapytania i zawołał nakoniec: „No dzieci, jeżeli poślę do Tamatawy 100 baranów, z tych przedadzą 60 po 4 dolary, 20 po 3, a 20 po 2 dolary, ileż mi niewolnik powinien oddać pieniędzy?" — Zaledwie skończył zadanie, mała dziewczynka mająca szczególniéj rozwinięte władze umysłowe, i która wyścignąć drugie dzieci odpowiedzią chciała, krzyknęła: „340 dolarów." — Tak, tak, 340, 340 powtarzały inne dzieci, a starzy egzaminatorowie wyznali sami, że to jest coś cudownego, i szkoła się utrzymała.

Nie upowszechniły się jednakże szkoły tak prędko. Ojcowie i matki Malgachów, doświadczeniem nauczeni nieufać europejczykom, mieli podejrzenie którego pozbyć sie nie mogli, że dzieci mogą być ztamtąd wzięte, powiązane i wysłane w dalekie strony za morza. W takiém usposobieniu umysłu, ledwie nie powstało zaburzenie w skutek bardzo prostéj i niewinnéj okoliczności.

Pewnego dnia przyprowadzono do szkoły dziewczynkę około 7 lub 8 lat mającą. P. Jones powiedział, że jéj zaraz przyjąć nie może, gdyż czekać musi dopóki więcéj dzieci tego wieku w jeden oddział nie zbierze. Uczniowie którym się postać dziewczynki podobała, zebrali się bez wiedzy p. Jones, poszli w rozmaite strony Tannanariwy ściągać dzieci do tego oddziału. Pogłoska o tém zbiéraniu dzieci przez Anglików, jak mówiono, z ust do ust przeszła. Ludzie massami szli uskarżać się na to przed władzą rządową, a władza wezwała do wytłumaczenia się pana Jones, który sam nie domyślał się o co rzecz idzie; lecz gdy mu ją przedstawiono, zaledwie zdołał lud uspokoić.

W końcu roku 1820, znowu dwóch missyonarzy wyjechało z Londynu do pomocy panu Jones. Radama przyjął ich mile; a gdy go na piśmie prosili o pozwolenie założenia nowéj szkoły, odpowiedział: „Radama mówi: przyjaciele moi żyjcie długo w pokoju! Jeżeli możność moim poddanym pozwoli, wystawią taki dom jakiego żądacie. Tak mówi wasz dobry przyjaciel." Podpisano: Radama.

Powoli znikały przesądy, a na trzeci rok było przeszło 1000 uczniów w 14 szkołach, któremi kierowali najzdolniejsi uczniowie pana Jones. Panujący coraz więcéj niemi się zajmował, i przesyłał niekiedy swoim poddanym następujące rozkazy: „Odtąd ci tylko którzy czytać i pisać będą umieli, mogą miéć prawo do urzędów;" i znowu: „Młodzież wyszła ze szkół powinna się ćwiczyć w nabytych wiadomościach, gdyż tych którzy zapomną czego się nauczyli, król napowrót do szkół odeśle;" albo: „Król zachęca poddanych, aby posyłali swe dzieci do szkoły gdzie dobrych nabiorą zasad, nauczą

się tam pisać, i tym sposobem będą mogli powierzać myśli swoje papiérowi, tak dalece, że odtąd oszukaństwo stanie się niepodobném, a w familiach ani sprzeczek, ani kłótni nie będzie." —Śmiejąc się z téj prostéj illuzyi poczciwego króla Malgachów przypomnijmy sobie, że nie on jeden łudził się dobrodziejstwem oświaty i budował zamki na lodzie! Z jego rozkazu, szkoły Tannanariwy zebrano w jeden gmach główny, gdzie kształcili się nauczyciele, których potém rozsyłano po wsiach na zakładanie innych szkółek. Tak szybki postęp robiła oświata, iż w r. 1828 było w państwie 90 szkół, do których uczęszczało 4,000 dzieci. Corocznie w marcu były tak nazwane promocye Tannanariwy, odbywały się egzamina, na których sam Radama rozdawał nagrody, okazując wtenczas największą uprzejmość i względność dla missyonarzy. Ci zaś korzystali z tego, aby ułatwić wszelkie trudności dotyczące głównego ich celu, tojest zbliżenie im królestwa Bożego. Tym sposobem, jednego roku uzyskali pozwolenie rozszerzania biblii w języku krajowym, a w następnym wzniesienie kaplicy.

Radama wprzód jeszcze kazał sobie wytłumaczyć co to jest religia chrześciańska, i nigdy nie sprzeciwiał się, aby jéj nie udzielano ludowi; ale podobny w tém do niejednego z ucywilizowanych ludzi, jakkolwiek ją przyjął powierzchownie, nie postępował jednakże podług jéj zasad. Gdyby może ojciec jego nie był okropnym wpływem swoim skłonił go do obyczajów narodowych, serce jego nie byłoby głuche na głos ewangielii; lecz podówczas był on już niewolnikiem namiętności, które zupełną sprzeczność z religią Chrystusa stanowią.

Opatrzność chciała, ażeby missyonarze nawrócili kilku z tych młodych ludzi, których Radama wysyłał jako

nauczycieli do odleglejszych wiosek, przez co ewangielia rozszerzała się z niepojętą szybkością. Bałwany poszły w zapomnienie, jak z wielu miejsc skargi o tém dochodziły do króla. Gdy jednego z tych bałwanów, którego lud stroił w kosztowne suknie, zupełnie zaniedbano, kapłan zmartwiony spieszy do monarchy prosząc go o płaszcz dla swego Boga, na co mu w ten sposób odpowiada Radama: „Jakto? on jest tak biédny że sobie płaszcza sprawić nie może? jest Bogiem i poradzić sobie nie potrafi?"

Gdy tak upadała wiara, kapłani starali się ożywiać ją w narodzie przez rozmaite cuda. Od niejakiego czasu w poblizkiéj jaskini Tannanariwy dawał się słyszéć głos szczególniejszy; lud spieszył tłumem w owe strony z tém przekonaniem, że Bóg się tam schronił na mieszkanie, i każdy chciwie chwytał wyrazy jego. Radama udając się tam także z wielką okazałością, wchodzi do straszliwéj jaskini i zaczyna rozmawiać z bożkiem; poczém przerywając mu, rzecze: „Oto masz trochę piéniędzy, które ci przynoszę." Zaledwie to wymówił, jakaś ręka wysuwa się ku niemu bez zastanowienia; król zręcznie ją schwyciwszy wychodzi z groty, ciągnie za sobą i pokazuje zdziwionemu ludowi biédnego człowieka, któremu kapłani taką rolę odegrać kazali.

Innego dnia znowu, król napotkał na ulicy człowieka trzymającego na ręku bożyszcze, i biegającego z niém tu i owdzie jak opętany. „Cóżto ci jest mój przyjacielu?" zawołał, widząc że lud przypatrywał mu się z religijną bojaźnią. „Bóg mnie tak popycha, Bóg mnie tak popycha", odpowiada człowiek biegając ciągle wkółko. „Szczególniejsza rzecz w istocie," rzekł Radama głośno: „radbym sam tego doświadczyć;" i to mówiąc, idzie prosto do

niego, bierze małą figurkę w rękę i przechadzając się z nią rzecze do owego wysmukłego młodzieńca: „Zdaje się, że jestem za ciężki dla tego bożka, tobie lepiéj się to doświadczenie udaje, naści go, ale trzymaj się dobrze na nogach." Poczém młodzieniec szedł z niém równie spokojnie jak król, a lud którego to bawiło, nie myślał podług woli kapłana.

Przytaczamy tu te wypadki jako cechujące naród; nic bowiem nie widzimy pocieszającego w obojętności Radamy dla swoich bożków, skoro serce jego równie dalekie było od słowa Bożego.

Chcąc aby w kraju kwitnęły sztuki i kunszta europejskie, udał się Radama do missyonarzy o radę, jakby sobie w tym względzie postąpić. Na ich żądanie Towarzystwo Londyńskie wysłało do Madagaskaru ludzi utalentowanych i rzemieślników rozmaitego rodzaju, których król przyjął z wielką radością; ci nakłonili do przyjęcia słowa Bożego wielu młodych oddanych im na naukę. Nie będziemy wchodzili w szczegóły dalszych działań missyonarzy w Madagaskarze, a nadmienimy cośkolwiek o obyczajach i stanie duchowym tamtejszego ludu.

Malgachowie są w ogólności bardzo gościnni, uprzejmi i usłużni. Ze wszystkich wad, samolubstwo jest tą którą się najbardziéj brzydzą. Bajki i przypowieści jakie rodzice dzieciom opowiadają, najczęściéj zawiérają treść jakiego brzydkiego czynu, spełnionego przez egoizm, co ma być przykładem i wpływać na znienawidzenie samolubstwa. Bardzo są przywiązani do kraju, i skoro go na długo mają opuścić, uwożą z sobą na piersiach trochę téj ziemi, na któréj się zrodzili, i z żalem często jéj się przypatrują i pieszczą tym widokiem. Dźwięk

Valiha (*), ich ulubionego instrumentu, jeżeli im się obije o ucho, płaczą i dostają *choroby krajowéj*, tak, jak Szwajcarowie gdy na obcéj ziemi swoje *Ranz de Vaches* posłyszą. Powracając do kraju, nie idą ale skaczą i tańcują z radości. Obok tego są mściwi, oszukańcy i tak niedołężni, jak zwykle najdziksi ludzie. Rozwiązłość ich szalona, przypomina biédnych Taiitów przed nawróceniem; przytępia ona szybko zdolności, które rozwinięte dawałyby im wyższość nad wszystkiemi kolorowemi ludźmi w ogólności.

Dzieciobójstwo jest rozgałęzione, lecz powody jego są mniéj ohydne jak u wyspiarzy na morzu Południowém. Skoro tylko dziécię się urodzi, ojciec spieszy oznajmiać narodzenie i płeć kapłanowi, który po pewném wyrachowaniu wyrokuje, czy to dziécię żyć może, czyli zaraz ma być stracone, lub téż na próbę skazane. W ostatnim przypadku kładą niemowlę na drodze przy wejściu do obory, w czasie kiedy bydło powraca z pola. Pastuchowie dochodząc do tego miejsca, a wiedząc już o tém, pędzą raptem bydło przed sobą; czasem, instynktem ominą dziécię, i wówczas ojciec porywa je i zanosi z tryumfem do matki i ze łzami żalu. Najczęściéj jednak bydło przestraszone tratuje najokropniéj niewinną ofiarę, a rodzice starają się pocieszać myślą, że gdyby dziécię było żyło, byłoby nieszczęśliwe i pod wpływem złego ducha; ocalone zaś od śmierci, jest z tém większą czułością pielęgnowane przez matkę, która go karmi najchętniéj do 4ch lub 5ciu lat, i nosi z sobą na plecach w najodleglejsze strony, gdzie ją zatrudnienia powołują.

(*) Rodzaj gitary jednotonnéj, zrobionéj z samego bambusu, z którego nawet i struny są wyrobione.

To też piérwszą sztukę piéniężną, którą to dziécię późniéj zapracuje, oddaje matce, co nazywają: *Fo-damosina* czyli *przypomnienie plecowe*. Wielożeństwo jest dość upowszechnione w Madagaskarze, i niéma bez wątpienia języka, w którymby dokładniéj określone było. Nazywają je *Mamporafy*, tojest *przyczyna niezgody*.

Sprawiedliwość wymierzają, jak w Europie w średnich wiekach, przez próbę niewinności. Dają wypić obwinionemu trochę soku z owocu zwanego *tanghena*, co działa stosownie do natury winowajcy, albo jak emetyk, albo jak trucizna. W piérwszym przypadku ogłaszają niewinność przestępcy, w drugim nieszczęśliwy ginie pod razami strzał. Ponieważ są rozmaite gatunki *tangheny* i różnéj działalności, łatwo pojąć można, że sędzia naprzód wié jakiego skutku spodziéwać się może.

Co się dotyczy wiary religijnéj Malgachów, nic niéma ciemniejszego i trudniejszego do określenia. Istnieje u nich nazwa Boga, ale to imię nie budzi w nich żadnego wyobrażenia. Zapytany o objaśnienie odpowiada: „nie wiém." Zdaje się, że tam jest owa dawna zapomniana religia, która tylko imię zostawiła po sobie, i któréj niepewne wyobrażenia zespoliły się z materyalizmem i zabobonami, które w końcu zastąpiły jéj miejsce. Co się tyczy nieśmiertelności duszy, przedstawiają szczególniejszy i niepojęty przykład. Utrzymują, że wierzą iż dla ludzi również jak i dla zwiérząt wszystko się kończy ze śmiercią, a przy téj wierze, pozostali wiernemi dawnemu zwyczajowi *modlić się do swych przodków*. Wyobrażenie zupełnego zniszczenia sprawia, iż choremu nigdy o niebezpieczeństwie życia nie mówią; owszem, starają się otaczać go przyjemnościami, i łudzić do ostatniéj chwili. To przypomina podobny zwyczaj upowszechniony

u innych narodów, tylko Malgachowie są loiczniejsi. Mają obrząd obrzezania, zresztą mniéj religijnych obowiązków jak u wielu pogan. Wielką cześć oddają bogom, którym przypisują władzę zsyłania dészczu, piorunów, i których kapłani są albo wyrocznią, albo astrologami, albo czarownikami. Nie mają żadnego podania o stworzeniu świata, upadku piérwszego człowieka, potopu i t. d. Szanują prawa ludzkie, ale nie czują się być im obowiązani; strzegą się jednak rzeczy, prawem Bożém zakazanych; słowem, we wszystkiém okazuje się uderzająca sprzeczność w ukształceniu umysłowém Malgachów z ich stanem religijnym. Następujące strofy wzięte z pism angielskich, mogą dać o tém wyobrażenie. Jakiś bard wędrujący śpiéwał je na placu Tannanariwy, gdzie go słyszał missyonarz, który nam tę pieśń przechował.

Człowieku próżny, zwróć uwagę na umarłych,
Niéma już dla nich ciepła, niéma pracy, ani radości,
Nie napotkają już miłych przyjaciół.
Widzę wprawdzie u grobu drzwi wejścia,
Lecz nie spostrzegam wyjścia.
Niestety! któż mi powié, co się dzieje z umarłemi!...

Czytając strofy poety Malgacha, przypomina się tém żywiéj hymn p. *Vinet:*

„Oni nie zaginęli, oni nas tylko poprzedzili."

Takie było pojęcie wiary ludu, pośród którego missyonarze rozpoczęli działania swoje. Przez szkoły torowali sobie drogę do nawrócenia, a najpiérwszy przeszedł na wiarę chrześciańską kapłan, który w celu przypodobania się królowi, posłał syna do szkoły. Pewnego wieczora, dziécię z całą prostotą duszy mówi do ojca, że już teraz wié, iż Bóg nie jestto ktoś taki, o kim potrzebaby miéć staranie, lecz to on sam ma opiekę nad nami wszystkiemi. „Jakto nędzniku? to ty nie wierzysz w *Rakemalasa*?"

(byłoto nazwisko bożyszcza). Dziecko nic nie odpowiedziało. W kilka tygodni prosi ojca aby go ze szkoły odebrał; „a to dlaczego?" zapytał ojciec; „dlatego, iż nie chcę uczyć się daléj tego wszystkiego w co ty nie wierzysz ojcze." „A w cóż ja nie wierzę?" „W to, com ci dawniéj powiedział, a coby ci taką radość jak i mnie sprawiło;" potém coraz więcéj się zapalając rzekło dziécię: „Ojcze! jest inne niebo i inna ziemia z wieczném życiem dla tych co wierzą w Boga; ich odzienie nigdy się nie zużyje, będzie zawsze błyszczało jako słońce."—Wyrazy te i zapał syna zwróciły uwagę ojca, zaczął badać go coraz więcéj, kazał sobie czytywać biblią, i wkrótce wynalazł przyczynę do opuszczenia godności którą sprawował.

Król nie był bynajmniéj przeciwny rozszerzaniu się ewangielii; dzień, w którym biblia opuściła prasę drukarską był dniem uroczystym. Uprzejmie przyjął biblią którą mu ofiarowali missyonarze, a skoro go prosili aby nie uważał na lichą jéj powierzchowność, odpowiedział: „Nie obchodzi mnie powierzchowność człowieka, patrzę tylko na przymioty jego serca, i wasza książka spodoba mi się, jeżeli prawdę będzie w sobie zawiérać." Pięknetо były słowa, lecz niestety nic w życiu jego nie dowodzi, aby przedarła się do jego serca prawda ewangielii! Pod jego opieką wzniosły się kaplice nietylko w Tanuanariwie, ale i w dalszych wioskach. Zgromadzenia pobożne zaczęły się tworzyć po domach niektórych nawróconych Malgachów, i chociaż tam czasem bywali missyonarze, przewodzili im ludzie miejscowi. Prawdziwy duch modlitwy, prawdziwa miłość bliźniego panowała między temi nowemi chrześcianami; nie zaniedbywali najmniejszych środków kształcenia się i rozszerzania biblii. Radama głuchy był na skargi jakie go ze

wszech stron dochodziły, iż wiara bożków upada. Widział jak oświata i kunszta rozszerzały się w państwie, co było przedmiotem jego życzeń; pozwolił więc ludowi chrzcić się i żenić podług obrzędu missyonarskiego, i mniéj go pracy ten edykt kosztował, jak dotyczący pisowni jaką mają przyjąć Malgachowie. Ważne to prawo nakazywało, aby używać w pisowni spółgłosek angielskich, lecz co się tyczy samogłosek, pisać się mają francuzkie; dlatego, jak się sam król wyrażał: „ażeby *a* było zawsze *a*, a nie, raz *o*, a drugi raz *e*.

W końcu roku 1826 umarł p. Hastie, który robił układy względem zniesienia handlu niewolnikami, i ścisłym był przyjacielem Radamy. Żal króla był prosty i rozrzewniający. Przez szczególniejszą delikatność, obawiając się aby rządca wyspy Maurycyusza Sir Farquhar dowiedziawszy się o téj nowinie nie był niespokojny o dochowanie traktatu, król list swój do niego temi słowy zakończył: „P. Jones Hastie umarł, ale ja Radama który zniosłem handel niewolnikami żyję zawsze." Biédny król ufał w długie lata; był wprawdzie młody, bo miał lat 30, a w 18 miesięcy późniéj, zbytek i rozwiązłość wtrąciły go do grobu! Smutny widok, tym smutniejszy, że to własny ojciec gotował tę przepaść synowi.

Dość już powiedzieliśmy o tym księciu, aby okazać co Madagaskar w nim stracił; lubo moglibyśmy tu jeszcze wiele praw przytoczyć, które świadczyłyby o jego mądrości i ludzkości. Czytelnik przypomina sobie zapewne to biédne dziécię, które los ślepy rzucał bydłu pod nogi. Radama wydał więc rozkaz, że wszystkie dzieci przeznaczone na podobną próbę, zostawały jego dziećmi, i jeżeliby którekolwiek straciło życie tak okrutnym sposo-

bem, ci którzyby je wystawili na śmierć, uważani będą jako zabójcy dzieci królewskich i odpowiednio karani.

Również okrutny zwyczaj względem tych, którzy ospy naturalnéj dostawali, został zniesiony. Był zwyczaj, że skoro tylko gdzie początki ospy okazywały się, wyrzucano chorego z domu daleko od wszelkiego zamieszkania, i kamienowano go, albo częściéj jeszcze zagrzebywano go żywcem, ażeby się nie rozszerzyła zaraza.

Radama tworzył prawa i czuwał nad ich wykonaniem. Często wychodził wieczorem z pałacu przebrany jako kalif *Harun al-Raszyd*, i przechadzał się po mieście słuchając co o nim jego lud mówił. Szło mu bardzo o to, aby gościnność z całą swobodą i sercem była wykonywaną. Mówiono, iż jedna z odleglejszych wiosek stolicy wzorową zaleca się gościnnością. Udaje się tam przebrany w nędzne ubranie, i prosi o przytułek. Powierzchowność domu była bardzo przyzwoita; przyjmują go tam grzecznie, opatrują we wszelkie potrzeby, lecz bez najmniejszéj uprzejmości, nawet z pewną cierpkością. Wyszedłszy ztamtąd, udał się do drugiego sąsiedniego domu w tymże samym celu. Tu znowu każdy śpieszy mu w pomoc, i dziękuje jeszcze bogom, że mu gościa w dom przysłali. Serce, odpowiadało przyjęciu. Nazajutrz Radama daje się poznać tym ludziom. Posyła im królewskie podarunki, ale napomina zarazem, aby ojciec piérwszéj rodziny był nadal z większą uprzejmością w przyjmowaniu swych gości.

Wszystkie te zmiany o których mówiliśmy, i wiele jeszcze innych praw cywilnych z niechęcią przyjęto; trzeba było miéć wiele odwagi, aby tak w brew iść przesądom narodu, będąc nawet jego panem. Wśród tych wprowadzonych nowości, te które miały na celu zniesienie han-

dlu niewolnikami i które nakazywały noszenie włosów po europejsku najwięcéj doznały trudności w przyjęciu, a ostatnia smutne skutki pociągnęła za sobą. Szemranie i oburzenie powstało pomiędzy kobiétami, nakoniec 5,000 z nich zgromadziło się w jednéj wiosce niedaleko Tannanariwy, i posłało do króla dość śmiałe poselstwo. Tu napotykamy najokrutniejszy czyn Radamy przy końcu prawie jego życia. Zdaje się, że się obraził, i że do gniéwu swego ze zmienionego zwyczaju wynikającego, kobiéty dołączyły inne spostrzeżenia swoje o mocnych napojach, których używał. Król kazał schwytać pięć najenergiczniejszych, powiedział im ostro że potrafi zaradzić temu, ażeby układ ich włosów nie przeszkadzał im nigdy, i tego samego dnia wydał na nie wyrok śmierci; potém otoczył resztę buntujących się na płaszczyznie gdzie się były zebrały, i dopóty je trzymał obwarowane bez schronienia i żywności, dopóki nie błagały o przebaczenie.

Uknuła się intryga w pałacu królewskim; ukrywano troskliwie śmierć Radamy, głoszono tylko, że był bardzo słaby, i zwołano wielkie zebranie dla uznania następcy którego on sam wskaże. Tym sposobem wybrano na króla *Ranawalonę*, jedną z kobiét, dla któréj nie okazywał był monarcha żadnéj szczególniejszéj przychylności, i w tydzień dopiéro ogłoszono że umarł Radama, i nakazano dziesięciomiesięczną narodową żałobę. Przez ten czas, tak mężczyzni jako i bobiéty powinni byli miéć głowę ogoloną; niewolno było ani tańcować i śpiéwać, ani grać na żadnym instrumencie, ani się witać, ani używać koni i lektyk, ani nawet łóżek i stołków; siedziéć i leżéć na ziemi należało do żałoby. W ogóle ubiór im brudniejszy, tém był większą oznaką smutku; lecz ponieważ Radama lubił czystość, więc królowa nie wymaga-

ła tego ostatniego szczegółu. Podług zwyczaju, wiele przedmiotów chowano razem z ciałem królewskim, jakoto: po kilka tuzinów rękawiczek, pończoch, spodni, butów, zegarków, broni, sprzętów; przytém 10,000 piastrów i tablicę, która mu napróżno nakazywała wierzyć w nowe życie.

Zwyczaj ten u ludu, który nie przypuszczał żadnego istnienia po śmierci, był równie uroczysty i upowszechniony jak uczta z okoliczności pogrzebu. Wiele rodzin aby uczcić swoich umarłych, musiało częstokroć sprzedawać wszystko co posiadały i narobić długów, które nawet sprowadzały je ze stanu wolnego do niewolniczego. Missyonarze zadali tym zwyczajom cios okrutny, otrzymawszy od Radamy prawo, które uznawało za nieprawny i niewymagalny dług, zaciągnięty z tego powodu.

W ciągu piérwszych lat swego panowania, Ranawalona zdawała się chętnie wstępować w ślady swego małżonka. P. Jones i jego towarzysze doznawali od niéj względów, i nigdy missya nie szła pomyślniéj. Drugą i obszerną kaplicę wzniesiono w Tannanariwie, i królowa potwierdziła edykt Radamy, upoważniający sakrament chrztu i pokuty, pozwalający oraz żenić się podług obrzędu chrześciańskiego.

W przeciągu kilku miesięcy, kilkadziesiąt Malgachów przyjęto na łono kościoła, a gorliwość ich, czystość i miłość bliźniego potwierdzały wiarę. Urzędnik wyższego stopnia otworzył u siebie rodzaj szkoły, gdzie wykładał biblią wieczorami, w czasie kiedy niewolnicy najmniéj mieli zatrudnienia, aby i ci biédni ludzie mogli miéć także udział w dobrodziejstwie słowa Bożego. W dzień targowy, dom missyonarzy bywał jakby oblężony przez

ludzi ze wsi przybywających, którzy prosili o objaśnienie miejsc niezrozumiałych biblii; niektóre bowiem miejsca tłumaczyły się im przez własne ich zwyczaje, i tak: przypowieść o talentach w biblii bardzo jest dla nich jasna, gdyż u nich jest w zwyczaju, że panowie gdy się wydalają z domu, zostawiają niewolnikom pieniądze, i żądają ich z procentem za powrotem. Wszystkie miejsca, które mają podobieństwo bałwochwalstwa, zabobonu względem zachowywania pewnych dni, wywiérają na Malgachów wpływ szczególniejszy; pismo święte ponieważ jest równie dla pogan jak i dla nas chrześcian pisane, miejsca więc te, które nam zdają się mniéj potrzebne lub dziwne, są to może właśnie te, które otwiérają oczy niejednemu bałwochwalcy, i nawrócą go.

Biblia stała się powoli tak niezbędną i tak szacowną dla nowo nawróconych wszystkich klas, że prosili czyby nie można zrobić mniejszego wydania, tak, ażeby można zawsze książkę miéć przy sobie i brać ją na częste wojenne wyprawy. Drukarz missyi uczynił zadość temu życzeniu; wkrótce wszyscy żołnierze chrześciańscy mogli zamieniać wielkie wydania na kieszonkowe, i gdy nastąpiła wyprawa przeciw hordom południowym, 50 ludzi znajdowało się w szeregach, którzy mieli z sobą świętą księgę. Drwili z nich, szydzili towarzysze; nie przeszkadzało to jednak do zgromadzenia się każdego wieczora na czytanie i modlenie się razem. Ich wytrwałości błogosławiła Opatrzność! Za powrotem z wyprawy nie 50, ale 600 żołniérzy było nawróconych, i prosiło o nauki missyonarzy.

Tak pomyślny stan nie mógł trwać długo. Trzéj bracia, ludzie pod każdym względem zepsuci, z których je-

den był jawnym ulubieńcem królowéj i stał na czele rządu państwa, nienawidzili chrześcian, i światło ewangielii raziło ich, bo ich czyny złe były. Wylądowanie Francuzów do Madagaskaru (w któreto szczegóły wchodzić tu trudno), wielką obudziło w nich niespokojność, ale dopóki to się nie skończyło, niezdawało im się w porę narażać sobie Anglików; lecz skoro tylko nie mieli się już czego obawiać z téj strony, nie zaniedbali ażeby poburzyć królowę przeciw nowonawróconym; charakter zaś jéj krwi pragnący, sprzyjał aż nadto ich zamiarom. Naprzód najlepsze rozkazy Radamy zniweczono, a w téj liczbie prawo o dzieciobójstwie. Handel niewolnikami napowrót ustalony, a rezydent angielski odesłany. Ponieważ niedość prędko według życzenia królowéj wyjeżdżał, kazała zapełnić w nocy dziedziniec wężami, które są tam uważane jako sługi jednego z bożków najokrutniejszych, a nad rankiem lud nie wątpił już, że Bóg ich kazał Anglikowi wyjeżdżać, i musiał rzeczywiście opuścić Tannanariwę pośród mocnego i zabobonnego rozruchu. Wówczas dopiéro, zaczęły się zatargi i prześladowania z chrześcianami. I tak: powrócili prawo ojca Radamy, mocą którego używanie wina zakazane było w całém państwie, i zastosowali to do sakramentu ciała i krwi Pańskiéj, tak, że odtąd wodą komunikować musiano.

Skoro nowa wojna wybuchła z południowemi hordami, nienawiść rządu miała porę wywrzéć się w zupełności na żołniérzy nawróconych. W wigilią dnia potyczki, wielką ceremonię bałwochwalską ogłoszono w celu otrzymania błogosławieństwa bogów. Chrześcianie prosili aby byli od niéj wyłączeni; uczyniono zadość ich prośbie, dodając, że to bożyszcze mściwe i wszechwładne, potrafi ich za tę wzgardę ukarać. Ażeby pogróżki tém pe-

wniéj się ziściły, każdy z nich nazajutrz został naznaczony na najniebezpieczniejsze miejsce boju, lecz szczególniejszym trafem, żaden z nich nawet rannym nie został.

Missyonarze przeczuwając zbliżającą się burzę, rozszerzali jak najśpieszniéj słowo Boże we wszystkich częściach państwa. Wśród téj trwogi, wypadek jeden do wytrwałości siły dodał: byłato śmierć jednego z nowonawróconych krajowców, śmierć spokojna i prawdziwie chrześciańska. Biédny młody niewolnik, który towarzyszył swemu panu do szkoły, został tam nawrócony; skoro przy chrzcie zapytano go o imię, odpowiedział: „*biédny murzyn*," i pod tém imieniem znany jest w raportach missyonarskich. Nie dlatego tak się nazwał że był czarny, ale przeczytawszy małą biografią pod tytułem: *biédny murzyn*, serce jego tak się tém obrazem rozczuliło, iż pragnął zawsze być podobnym do skréślonego wzoru. Późniéj został nauczycielem szkółki w jednéj wiosce, i wiele robił dobrego. Umarł bardzo młodo, powtarzając ustawicznie: „nie boję się śmierci, nie boję!"

Siostrzeniec tych trzech wielowładnych braci o których wspomnieliśmy, nawróciwszy się i niechcąc składać ofiar bożkom, tak gniéw wujów zapalił, iż podali królowéj prośbę w styczniu 1838 r., zawiérającą w sobie najgłówniejsze punkta zawiści przeciw chrześcianom. Przytoczemy tu z nich te, które tém mocniéj okażą, jak szybki wzrost wziął chrystyanizm w Madagaskarze.

1. Bożków naszych już nie szanują; wiara w czary niknie.

2. Chrześcianie ustawicznie modlą się, nawet przed i po jedzeniu.

3. Uczą czytać swoich niewolników.

4. Kobiéty chrześcianki są skromne, a nawet i mężczyzni zmieniają swoje obyczaje.

5. Niéma rodziny w państwie, któraby nie miała kogoś z krewnych nawróconego.

To podanie przyjęła bardzo dobrze Ranawalona. W parę dni późniéj, gdy ją niesiono podług zwyczaju po mieście, skoro przybliżyła się do kaplicy, w któréj właśnie wówczas śpiéwano pieśni nabożne, z gniéwem zawołała: „Nie uciszą się jak widzę, dopóki kilka głów nie spadnie." W tym czasie także jeden z wysokich urzędników przybył do pałacu i żądał aby się mógł widzieć z królową; uzyskawszy posłuchanie rzekł: „Przychodzę tu prosić Jéj Wysokość o dzidę, dzidę bardzo ostrą."—Będzie na wasze żądanie, ale cóż chcesz z nią robić? zapytała królowa. „Przebić się. Słyszę już brzęk broni wojska europejskiego prowadzonego przez ich wszechwładnego naczelnika Jezusa, którego missyonarze teraz zawezwą aby im przewodniczył, odwróciwszy lud od miłości królowéj monarchini i ich bogów." Po tych słowach, królowa widocznie wzruszona, długo milczała; nakoniec zawołała: „Nie, chrystyanizm musi być zniszczony, chociażby połowa moich poddanych padła tego ofiarą."

Tak jak gdyby się przygotowywano do ważnéj jakiéj sprawy tajemniczéj, bo milczenie panowało u dworu, przez całe dni 15, muzyka i wszelkie zabawy ustały. Nakoniec 26 lutego we czwartek r. 1838, w chwili kiedy bracia chrześcianie rozmyślali właśnie nad témi wyrazami: „*Panie broń nas bo giniemy*," urzędnik policyjny wszedłszy do kaplicy, przeczytał głośno edykt królowéj adresowany do missyonarzy, i który tu w części przytaczamy:

„Dziękuję wam za staranie jakie mieliście w kształceniu mego ludu, życzę nawet sobie, abyście go i daléj uczyli kunsztów i nauk, które mogą mu być użyteczne. Upoważniam was, abyście w zupełności zachowywali religijne zwyczaje przodków swoich, ale moi poddani powinni także zachować swoje; uprzedzam więc was, że ci wszyscy, którzy zgwałcą prawa religijne krajowe, będą surowo karani."

Edykt ten był pełen umiarkowania, lecz wszelkie usiłowania missyonarzy zmienić go nie mogły. Zwołano wielkie zebranie, gdzie przeszło 150,000 osób się znajdowało. Cała siła zbrojna była na stopie wojennéj w czasie téj okoliczności, i pośród wystrzałów z dział, ogłoszono wolą królowéj w tych wyrazach:

„Howasy! wiedźcie że nie jestem królową, która oszukuje. Zmieniać zwyczaje przodków, pogardzać bogami, drwić z wyroczni, tego Ranawalona nie ścierpi, i ukarze niezawodnie tych, co tak działać będą. Chrzcić się przez chrześcian, zachowywać ich święta, zbiérać się na modlitwy w domach swoich i t. d. Ranawalona nie cierpi, nie chce tego wszystkiego, i niezawodnie ukarze tych, którzy tak robić będą. Howasy! tym którzy przyjęli te zwyczaje, zostawiam miesiąc czasu, aby przyszli wyznać winy swoje; jeżeli zaś sami z siebie nie przyjdą, a będą przez drugich oskarżeni, Ranawalona śmiercią ich ukarze. Pamiętajcie, że nie jestem królową, która nie dotrzymuje słowa."

Wysłano posłańców aby ten rozkaz w najodleglejszych częściach państwa ogłosić. Po téj odezwie, pewien wojskowy wysokiego stopnia, który nie był sam chrześcianinem ale miał zdanie proste i zdrowe, odezwał się mówiąc: iż ci którzy przyjęli nową religię zrobili to bez

chęci obrażenia swego rządu, i że prawo każde może obejmować przyszłość a nie przeszłość. Zgromadzenie przyznało słuszność i poleciło mu, aby w tym rodzaju przedstawił prośbę królowéj; ale Ranawalona rozgniéwana, odpowiedzieć kazała, że nagania podobne uwagi, i że zamiast 15 dni, 8 dni tylko przeznacza na uniewinnienie się.

Obawa niejednego wówczas odwagę zachwiała; jeden mówił: przez ciekawość chodziłem na zgromadzenia, lecz przekonawszy się, że tam niéma nic dobrego, więcéj nie uczęszczałem. Inny znowu tłumaczył się, że zachowywał niedzielę ale chrztu nie przyjął; nie wierzył nigdy temu co mówiono, i chodził tam dlatego, że szli i drudzy. Wielu z tych co najlepsze robili nadzieje, mówiło: „Ponieważ Bóg nas już nie wspiéra, musiemy sami sobie radzić, i sami wypiérali się wszystkiego, chociaż ich nikt o to nie badał.

Inni znowu, przychodzili wyznawać wiarę swoję spokojnie i z wytrwałością; byli gotowi znieść wszystko dla niéj. „Jakże jest słodko", pisał z odległéj wioski chrześcianin do missyonarzy, „jak jest słodko pomyśléć, że władza nieprzyjaciela ma przecież granice, i że żadna siła nie potrafiłaby zmusić chrześcianina do odwrócenia uczuć swoich od Boga, aby na martwy kamień przenieść." Pewien starzec, człowiek bardzo godny, poważany między współobywatelami, zapytany o liczbę swoich modlitw, odpowiedział: „Nie wiém sam jak mam odpowiedzieć; gdyż przez te trzy ostatnie lata, nie przepędziłem dnia jednego bez modlitwy, nie prosiłem o złe dla nikogo, lecz tylko o to, abyśmy wszyscy stali się poczciwemi ludźmi." Sędziowie żądali, aby im dał próbę téj modlitwy, co spełnił natychmiast w obec zgro-

madzenia. Wyznawał swe grzéchy Bogu, prosił go o przebaczenie i pomoc aby mniéj grzeszył na przyszłość, i aby dostąpił nieba, bez którego niéma szczęścia wiecznego. Prosił także o błogosławieństwo dla swéj rodziny, przyjacioł, królowéj, jéj poddanych, i to wszystko w imię Chrystusa syna Bożego, który umarł za grzesznych i jedyną jest drogą łaski.—Modlitwa twoja, rzekli sędziowie, dobrą nam się wydaje, ale ponieważ królowa tego nie chce, trzeba jéj zaniechać.—Ten rodzaj rozmowy trwał jeszcze czas niejaki; przytomni tam chrześcianie zapewniali, że nigdy rząd tamtejszy nie mógłby słyszéć silniéj wykładanéj ewangielii, jak kiedy poczciwy starzec wierny swéj wierze, mówił im o stanie ich zatracenia, i o Zbawicielu. Późniéj tenże sam starzec, zebrawszy z niebezpieczeństwem życia wielu braci, musiał z niemi uciekać do lasu.

Po wsiach nie wiedziano jaki los czekał tych, którzy szli się oskarżać do Tannanariwy, i w wielu rodzinach wielka była trwoga. W Zarainie kobiéty czuwały razem, czekając powrotu swych mężów, którzy wyjechali dla uzupełnienia tego smutnego obowiązku. Gdy nie wracali, oczekiwanie kobiét zamieniało się w trwogę. Ah! rzekła jedna, często myślałam sobie, że jak przyjdzie czas prześladowania, nie będę miała siły znieść go; czémże jest nasza wiara, jeżeli to wszystko jest prawda co słychać?—Towarzyszki przywtórzyły jéj, i mówiąc to, ujrzały wchodzącego przyjaciela zamieszkującego w pobliskiéj chacie, i wynurzyły mu myśli swoje z wątpliwością połączone.—„Takżeście to zrozumiały słowo Boże? rzekł im na to; biédne siostry! czyście przynajmniéj stale walczyły modlitwą?" —O! próbowałyśmy bardzo polecać się Bogu, odpowiedziały, ale trwoga przemogła i nie miały-

śmy siły modlić się. „Dziwić się więc nienależy, że wam brakło na odwadze, odrzekł starzec, a wyjąwszy biblią z kieszeni, odczytał im wiérsze z psalmu 46: *„Bóg jest ucieczką i siłą naszą, ratunkiem we wszelkim ucisku najpewniejszym.* Potém wszyscy padli na kolana prosząc Boga gorąco, aby uwolnił ich od trwogi która ich ogarnęła. Kobiéty te zapewniały, iż odtąd nie doznawały nigdy żadnéj trwogi, bo jak tylko przeczuwały najmniejszą obawę, odczytywały psalm 46, i spokojność wstępowała w ich duszę. Jednę nawet z nich sprzedano późniéj jak niewolnicę za wytrwałość w wierze.

Chrześcian którzy przychodzili sami się oskarżać, na kilka klas dzielono stosownie do wielkości winy, jakoto: ci którzy tylko chodzili do kościoła, ci którzy odebrali chrzest i t. d., ale najwinniejsi w oczach sędziów byli ci, których życie zgadzało się najwięcéj z ewangielią. Nic szczegółowo nie obudzało bardziéj wściekłości, jak czystość kobiét nawróconych. Chrześcianie, którzy chrztem odrodzeni często pozwalali brać górę chuciom swoim, uchodzili za wytłumaczonych; 400 osób piastujących najznakomitsze urzędy, potraciło z téj okoliczności miejsca swoje. Wskazano na karę pieniężną tych wszystkich, których w ten sposób dosięgnąć nie można było; a na przyszłość śmiérć, po któréj następowało zajęcie dóbr i własności wszelkiéj, oraz sprowadzenie do niewoli całéj rodziny, była już nieodwołanie zawyrokowaną przeciw każdemu, ktoby jakikolwiek akt chrześciańskiéj religii wykonał. Późniejszy rozkaz wzbraniał używać imion *Jehowy* i *Jezusa*, i nakazywał zapomnieć tego wszystkiego, czego europejczykowie uczyli.

Ciężkieto były próby dla wiernych Malgachów, lecz jeszcze nie uważali wszystkiego za stracone. Missyona-

rze byli jeszcze pośród nich, i szkoły istniały pod ich kierunkiem, chociaż wszelki rodzaj nauki religijnéj był zupełnie zakazany. Odbiérali przytém dowody współczucia, które krzepiły ich dusze; i tak np: pewien pan ze dworu królewskiego, który bywał w kościele nie robiąc żadnego aktu wyznania chrześciańskiéj wiary, przyłączył się do nich otwarcie mówiąc: że niesprawiedliwość któréj doznawali, obudziła całe jego współczucie, i że tyle dobrego zrobili chrześcianie, iż chce aby Bóg ich, był odtąd jego Bogiem. Żona wkrótce poszła za jego przykładem, i oboje byli wielką pomocą cierpiącym braciom. Zebrania chwilowe miały miejsce albo w nocy po domach, albo na szczycie jakiego wzgórza oddalonego, zkąd widać było kraj cały i gdzie chrześcianie mogli śmiało dać popęd głosowi, i śpiéwać chwałę Boga wtorując na swoim krajowym instrumencie. I nigdy więcéj nie doznawali spokoju duszy!

W kilka tygodni nowy znowu wyszedł rozkaz z dodatkiem, ażeby pod karą śmierci przynosić do pałacu królewskiego wszystkie książki europejskie. Smutek tych nieszczęśliwych ludzi był rozrzewniający. Parę dni właśnie przedtém, pewien człowiek chcąc koniecznie nabyć biblią, 30 mil odprawił drogi aby ją mógł dostać, pomimo że tylko co wyszedł był z ciężkiéj choroby. Skoro ta święta księga stała się jego własnością, przycisnął ją do serca mówiąc: „oto są słowa szczęśliwości wiecznéj, pielęgnować je będę jak życie swoje." Nie wszyscy i nie wszystkie śmieli składać księgi; jeden testament zachował, drugi psalmy, lub inną książkę nabożną. Królowa odesłała to wszystko missyonarzom, którzy pozostali jeszcze zaledwie kilka miesięcy, bo w r. 1838 w miesiącu lipcu, odebrali razem ze wszystkiemi rzemie-

ślnikami rozkaz opuszczenia państwa. Pozostała trzódka pocieszała się przesyłając im listy swoje na wyspę Maurycyusza, i wielbili Boga więcéj jak kiedykolwiek że pisać umieli. Oto są niektóre wyjątki z tych listów:

„Ukochani przyjaciele! Bardzo się smucimy, ale niech to was nie martwi, bo my kochamy Chrystusa i Chrystus nas kocha. Czyliż nie powiedział Paweł śty, że *przez wiele cierpień trzeba przejść do Królestwa Bożego*? Zresztą, liczba nasza powiększa się, i zdaje się, że razem z nią i pobożność nasza.... Kiedy przechodzę koło kaplicy, smutny jestem bardzo, kiedy mi dają w niedzielę robotę któréj odmówić nie mogę, smutny jestem także; ale Chrystus mnie kocha i któż nas potrafi od miłości Chrystusa odsunąć?"—I rzeczywiście ani prześladowania, ani głód, ani nędza, ani niebezpieczeństwo, ani nawet i męczarnie nie mogły ich od miłości Chrystusa oderwać.

Niedaleko Tannanariwy, mieszkała znakomita i bogata kobiéta energicznego charakteru, nazwana Rafarawawy, gorliwa czcicielka bożków. Silne na niéj zrobiły wrażenie następujące słowa Izajasza, które usłyszała przypadkiem: (Izaj. r. XLIV. w. 14, 15, 16, 17.) *Narąba sobie cedrów, i bierze cyprys i dąb, albo to, co jest najmocniejszego między drzewem leśnem, i używa tego do palenia: część jego pali ogniem, przy drugiéj części jego mięso jé, piecze pieczenią, i nasycony bywa; także rozgrzewa się i mówi: Hej rozgrzałem się, widziałem ogień; a z ostatka jego czyni boga, bałwana swego, klęka przed nim, kłania się i modli mu się, mówiąc: Wybaw mnie, boś ty bóg mój!!* Od tego czasu jéj fałszywy pokój został zamieszany; pragnęła koniecznie poznać się z missyonarzami, i wkrótce została najgorliwszą sługą Chrystusa. Przez wzgląd na swego starego ojca, nie poszła oskarzyć

się do Tannanariwy w oznaczonym czasie. Jéj niewolnicy wydali ją, jako pozwalającą domu swego na zgromadzenia do modlitwy. Porwana i wtrącona do więzienia, nic nie mogło z niéj wydobyć imion braci. Jéj wytrwałość nie zachwała się ani chwili, całą ufność położyła w Bogu, i tak to p. Jones pisała:

„Przejdę może przez dolinę cierpień, ale ich się nie zlęknę. Bóg jestze mną, każda śmierć tych, których Bóg ukochał, jest drogą w oczach jego."—Dobra jéj zabrano, i dziesiątą część ddano urzędnikom czuwającym nad spokojnością, ale:aden z nich nie chciał miéć ztąd korzyści. Pocieszającjest rzeczą, co i daléj tego znajdziemy dowody, że prześldowań tych nie podzielał lud Madagaskaru. Jednakże iedługo Rafarawawy była na śmierć skazaną. Wyrok te nic ją nie zastraszył, a list który natychmiast do p. Joes napisała, tchnął wielkim pokojem duszy. Poprzediéj nocy, przed wykonaniem wyroku, najokropniejszy pżar wybuchnął w Tannanariwie. Powodowana może zabobonną obawą, królowa odwołała wyrok, ale w kilka tyodni potém, szlachetna i bogata Rafarawawy była wystawioną na targ publiczny, i sprzedaną jako niewolnica.

Niektórzy z jéj braci sióstr w Chrystusie, zebrali się na owym *pagórku tez*, o którym wspominaliśmy, ale spostrzeżeni i schwytani przez stronników królowéj, dali się związać bez oporu, i zaprowadzić do miasta, gdzie także zostali sprowadzeni do stan niewoli jak i ich rodziny, w liczbie więcéj jak sto osób.

Znajdowała się pomiędzyniemi młoda *Rasalawa*, siostrzenica jednego z sędziów który się szczególniéj surowym względem niéj okaz. Zniewagi jego spowo-

dowały odpowiedzi tak śmiałe ze strony młodéj dziewicy, że wskazano ją za karę na rózgi, i ona jednak wśród téj dotkliwéj próby, śpiéwała hymny dla wzmocnienia ducha. Wówczas myśleli wszyscy, że ją missyonarze oczarowali i ogłoszono wyrok śmierci, na którą szła z równym spokojem duszy, jak Rafrawawy. Gdy żołniérze przyszli po nią aby zaprowadić na stracenie, podwójny szereg widzów opasywał drogę; lżące wyrazy bałwochwalców które dochodziły ztamtąd jéj uszu, wzruszyły ją cokolwiek, nogi drżéć zaczęły; lecz skoro spostrzegła kościół, to święte miejsce w którém przysięgała wierność Bogu do śmierci, nabrała sił nowych, i pewnym krokiem postępowała na miejsce wykonania, kośćmi trupów pokryte, gdzie psy zgłodniałe oczekiwały niecierpliwie świéżéj zdobyczy, któ im na placu zostawić miano, albowiem uważano zaświętokradztwo pochować winowajcę. Na ten widok dreszcz przeszedł dziewicę; prosiła o pozwolenie ab klęknąć mogła i polecić Bogu, siebie i braci swoic; pozwolono na to, ale zaledwie dokończyła ostatniémodlitwy, żelazo kata spadło, i piérwsza krew męczeńska skropiła ziemię Madagaskaru.

Patrzał na to zdaleka młody hrześcianin nazwiskiem Rafaralahy, i wiara jego bardzo mu się słabą wydała w porównaniu z odwagą téj męczenniczki; jakaś święta się w nim zazdrość obudziła, odtąd modlił się goręcéj, wyszukiwał nieszczęśliwych by ich pocieszać i ducha wzmacniać wzajemnie; domowój ofiarował na schadzki, i wszyscy wierni zbiérali się tam potajemnie ze wszech stron Tannanariwy czytać blią, któréj tylko jeden mieli egzemplarz, i cieszyli się jéj światłem. Piérwszy który rozmawiał o wierze Chrystusa Rafaralahy, podniecony chci-

wością, wydał go władzy, a szlachetny młodzieniec wolał znieść najsroższe tortury, aniżeli wydać któregokolwiek z braci; i chociaż nie był ochrzczony, szedł na śmierć jak na uwolnienie od wszelkich cierpień, i śpiewał pieśni zwycięzkie mając oczy w niebo wlepione, jakby patrzył na niewidzialnego Boga. Nie miał jak lat 25. Żonę jego, która piérwéj od niego została chrześcianką, wyrwano z domu żałoby, i zmuszano wyznać osoby, które się w nocy zbiérały na ogólne modlitwy; długo stale wytrzymywała głód i męczarnie wszelkie, lecz okropne tortury zachwiały ją; w strachu zapomniała o Bogu, myśląc o sobie tylko, o tych łamiących członki i zwolna zabijających narzędziach, i wydała nakoniec wszystkich przyjaciół. Listy z Madagaskaru często o niéj wspominały, o jéj żalu, wyrzutach sumienia, i głębokim smutku, skoro jéj życie darowano. Bóg jéj może odpuścić, ale ona sobie przebaczyć nigdy nie może, że życie swoje tylą ofiarami okupiła.

Ewangielia tak się upowszechniła w Madagaskarze, że wszędzie można było znaleźć jéj wyznawców, ukrytych lub nieznanych jeszcze. Słyszało wielu o tém, jakim sposobem wydała imiona braci wdowa Rafaralahy (*); jedni drugich uwiadamiali i uprzedzali o tém, doszło to i do Rafarawary owéj wdowy, która przez pożar uwolniona od śmierci niewolnicą została. Znajdowała się ona wówczas z dwiema innemi kobiétami chrześciankami, które równie jak ona odważne były. Piérwszą ich myślą było cierpiéć i cieszyć się nadzieją męczeństwa, aby prędzéj złączyć się z Bogiem. Udały się więc same do Tannana-

(*) Imiona Malgachów bardzo są sobie podobne, co zasługuje na uwagę, i nienależy je mieszać.

riwy, lecz napotkawszy kilku braci w podobném położeniu, rozmawiając razem i zastanowiwszy się trochę, osądziły, że było raczéj ich obowiązkiem starać się ocalić swe życie aby mogły być siostrom i braciom pomocą, i postanowiły uciekać. Byłto nieszczęściem czas, w którym ryż dojrzewa i pilnują go ustawicznie kręcący się ludzie; lecz opatrzność czuwała nad niemi, a dnia następnego znalazły schronienie w domu przyjacielskim, daleko od miasta. Wkrótce ztamtąd wypłoszyli je zbliżający się żołnierze, błąkać się znów musiały cierpiąc głód i zimno; mogli je byli nieraz wydać pastuszkowie lub węglarze, ale ci poczciwi ludzie, starali się o ile można los im słodzić, bo jak już wspomnieliśmy wyżéj, prześladowanie w Madagaskarze nie szło od ludu. Wielu z otaczających królowę niechętnie popiérali jéj stronę, i gdy nieszczęśliwych wydanych przez męczeństwo Rafaralahy schwytano, królowa rozgniéwana tém mocniéj ucieczką wielu, chciała wszystkich od razu na śmierć wskazać. Starsi urzędnicy prosili sami za niémi i wyjednali, że znaczna liczba została ogołoconą tylko z własności wszelkiéj, i sprzedana jako niewolnicy.

Ci jednakże co się ratowali ucieczką, narażeni na różnorodne cierpienia, mieli jedyną pociechę schroniwszy się do jakiéj jaskini, modlić się i powtarzać jedni drugim wyjątki z biblii, błogosławiąc missyonarzy. Słowa Pawła do Hebrajczyków z roz. XII przyszły im na myśl: „Byli w niedostatku, w ucisku, w niewczasie, których nie był świat godzien, tułali się po pustyniach i jamach ziemi."

W pięć miesięcy późniéj, w miesiącu lipcu, jeden z przyjaciół nazwiskiem Jones, także missyonarz, ale nie ten co założył szkoły, dowiedziawszy się o smutném poło-

żeniu chrześcian, przybył na wyspę Maurycyusza, pragnąc ich ocalić i czekał w porcie Tamatawy. Po długiém niebezpieczeństwie życia i trudach ustawicznych, dostali się chrześcianie do tego miasta. Trudno opisać ich radość; krótko zabawiwszy na wyspie Maurycyusza, wsiedli na piérwszy okręt jaki płynął do Anglii, gdzie spodziéwali się tymczasowy znaleźć przytułek.

Okręt wylądował na brzegi Afryki, a tam rozczulającém było powitanie biédnych wygnańców przez chrześcian Hotentotów. Nie mogąc się rozumiéć wzajemnie za pomocą języka, chcieli porozumiéć myślami, i wynaleźli na to sposób bardzo prosty, pokazując sobie wzajemnie ustępy z biblii, które każdy czytał w swym języku. W dzień odjazdu, modlili się oni wzajemnie, polecali Bogu i śpiéwali hymny różnym językiem, ale na jedną nótę. W Anglii przyjęto Rafarawawy i jéj towarzyszów z szczególniejszém współczuciem. Wszyscy razem żyli niedaleko Londynu na łonie pewnéj pobożnéj rodziny, i odpoczywali słodko po trudach i długich cierpieniach. Nie mogli jednak pozostać bezczynnemi i żyć w próżniactwie; chcieli poświęcić się Bogu czynnie, przez coby mogli mu wdzięczność swoję okazać. Wyspę Maurycyusza obrali sobie za najwłaściwsze miejsce do pracy, lecz że łatwiéj im było cierpiéć jak nauczać, musieli się przygotowywać do nauczania. Łagodni i pokornego serca, nabyli wkrótce głębokości prawdy, i mogli dobrze usposobieni odjechać z końcem r. 1841 jako missyonarze na wyspę Maurycyusza, straciwszy jednę z siostr Razafi, która będąc wątłego zdrowia, byłaby może pod cieplejszém niebem jak Anglia przyszła jeszcze do siebie, lecz tam zaledwie 8 miesięcy przeżyła. Byłato dusza prosta, więcéj miłości jak nauki mająca. Krótko przed śmiercią,

gdy jednéj niedzieli zebrani byli wszyscy koło jéj śmiertelnego łoża, przyniesiono list od p. Jones z lipca 1840 r. gdzie im tak pisze: „Szesnastu chrześcian potrafiło ujść przez dwa lata ręki prześladowców, lecz w chwili gdy byli blizko brzegu, zkąd mogli dostać się na wyspę Maurycyusza, schwytano ich i zaprowadzono do więzienia, gdzie ich rozłączono, aby szczegółowo lepiéj badać; ale jakkolwiek pozbawieni byli wzajemnéj rady, nic ich przecież nie wzruszyło w przedsięwzięciu. Dziewięciu z nich skazano na stracenie, i 5 lipca wśród wystrzałów z armat i wyprowadzeniem na plac uzbrojonego wojska dla tém mocniejszego na lud wrażenia, poniosło śmierć z rąk katowskich." Gdy to przeczytano, niebieski uśmiéch rozjaśnił twarz umiérającéj; cieszyła się ze stałości i wiary braci, i że już jest tak blizko chwili złączenia się z niemi. Wkrótce skończyła na ręku Rafarawawy mówiąc te słowa: „Jezu! Jezu! bierzesz mnie do siebie!

Z powrotem na wyspę Maurycyusza, chrześcianie nasi dowiedzieli się, że zamiast ustawać, wzmaga się prześladowanie. Ranawalona widząc że wszelkie usiłowania nie dosięgały celu, obawiając się poniekąd aby chrześcianie nie użyli jakich czarów, nie kazała prowadzić ich do Tannanariwy. Żołniérze dostali rozkaz, ażeby skoro tylko złapią chrześcianina, wykopać dół głęboki, zakopać nieszczęśliwego nogami do góry, i nalać na niego wrzącéj wody. Znudzeni sami wykonywaniem takiéj woli królewskiéj, tysiąc żołniérzy postanowiło uciec na wyspę Maurycyusza. Zdradzeni, byli za to dziesiątkowani, i blizko 100 zginęło w płomieniach. Tymczasem dwieście chrześcian błąkało się w górach pełnych wiary i odwagi. Znajdowali jednakże sposób pisywania do swych przyjaciół na wyspę Maurycyusza, i kilka listów

tam doszło; lecz nie zawiérały one żadnego szczegółu, albowiem biédni ludzie bali się zdradzić, jeżeliby listy zostały przejęte. Prosili usilnie o biblią, i podpisywali się *mała trzódka.* Rozczuliła ta nowina p. Jones, i wyjechał sądząc, iż będzie mógł dać błąkającym się owieczkom jaki środek do ucieczki.. Napróżno przebiegł część wyspy nie należącą do Ranawalony, nie mógł ich napotkać; starał się jednakże przez ten czas zająć się tém, aby uprzedzić pochlebnie względem nich naturalnych nieprzyjaciół Howasów, aby u nich znaleźli schronienie, jeżeliby oszukali czujną straż, która pilnuje granicy.

Król małéj wyspy *Nosimitzio*, położonéj o kilka mil od Madagaskaru ku północy, szczególniéj dobrze przyjął p. Jones, i żądał aby jego lud nauczał słowa Bożego, i otworzył szkółki na wyspie. Missyonarz powrócił uszczęśliwiony na wyspę Maurycyusza, chwaląc Boga za to nowe pole, które się otwiérało przed nim. Znalazł tam właśnie Rafarawawy i towarzyszów, którzy tylko co przybyli z Anglii, pragnąc wrócić pośród swoich krajowców. Rafarawawy szczególniéj prosiła, aby ją wziął z sobą. „Patrz rzekła, tu niebrakuje chrześcian, aby głosić ewangielią; pozwól mi jechać z sobą chociaż jestem tylko biédną kobiétą."—P. Jones wziął ją, i drugiego brata który był imieniem Józef ochrzczony, i gdy powracał na poszukiwanie nieszczęśliwych wystawionych na wściekłość Ranawalony, zostawił ich w Nosimitziu.

Wkrótce tam szkółkę urządzono, do któréj matki prowadziły mnóstwo dzieci; wszystko kwitnęło stosownie do życzenia Rafarawawy, wyspa zdawała się przybiérać inną postać, gdy w skutek politycznych wypadków, w których szczegóły wchodzić tu nie możemy, szkołę zamknięto, a missyonarze Malgascy odesłani ztamtąd zostali. Ze

łzami opuszczali Nosimitzio, i cofnęli się na wyspę sąsiedzką Nossibe, prosząc Boga, aby im wskazał drogę dokądby się następnie udać mieli.

Działo się to w lutym r. 1843. Podówczas przyszedł list ze smutną nowiną, uwiadamiający przyjacioł missyi Madagaskaru o śmierci p. Jones na wyspie Nossibe, w miesiącu sierpniu tegoż roku, o czém niéma żadnych szczegółów. Tłómoczek zawiérający jego rzeczy odesłano na wyspę Maurycyusza, lecz nie znaleziono w nim żadnych papiérów. Zajęto się natychmiast ich poszukiwaniem, lecz to wszystko jest bardzo trudne, i potrzebuje czasu, tém bardziéj, że wyspa Maurycyusza jest bardzo odległą. Dzienniki missyonarskie dotąd nie doniosły skutku tych poszukiwań, a może papiéry zawiérały jakie szczegóły dotyczące tych 200 chrześcian, których zostawiliśmy konających w górach państwa Howas. To tylko wiemy z pewnością z gazet, że Ranawalona zawsze panuje, i że ma postanowienie niedozwolić wstępu zupełnie do swego państwa wszystkim europejczykom (*).

Jeżeli wstecz okiem rzucimy, zobaczymy, że missya któréj skréśliliśmy historyą, niepodobna jest do żadnéj innéj; albowiem to król szczególniéj, obdarzony zdolnościami i wyższy nad lud swój, ściąga usilnie do swego państwa oświatę europejską. Missyonarze obok rzemiosł i nauk, rozszerzają tam przez kilka lat ewangielią w taki sposób, że ich nieprzyjaciele mniemają, jak to widzieliśmy, iż niéma w całém państwie rodziny, któraby nie miała kogo związanego nową religią. Przecież wycieńczony

(*) Rząd angielski będąc obrażony mocno przez nią w osobie konsula, a nie mogąc mieć satysfakcyi, rozpoczął ogólne zamknięcie jéj portów; skutek tego przedsięwzięcia nie był dotąd wiadomy.

Radama zbyt wcześnie namiętnościami, umiéra i pomyślność missyi chrześciańskiéj razem z jego śmiercią się kończy. Nic smutniejszego i okropniejszego, jak patrzéć w Madagaskarze na tę królowę, nieprzebłaganą i na tych chrześcian, z któremi się jak z dzikiemi zwiérzętami obchodzą; lecz zarazem nic nie jest bardziéj pocieszającém, jak ta wiara w Boga, przez którą znajdują spokojność, i która ich czyni: „cierpliwemi w strapieniu, a wytrwałemi w modlitwie."

(Wyjątek z Revue des deux Mondes. 1845*).*

KRONIKA LITERACKA.

Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1847.

Jednym z kroków do porównania zamożności pojedynczych po społecznościach, jest zwykle potrzebowanie, zrazu moralne, daléj fizyczne (majątkowe) ludzi z pracy żyjących, przez ludzi z urodzenia zamożnych. Potrzebowania takie rodzą zobowiązania, a zobowiązania te kończą się nieraz katastrofą, dla mienia potrzebujących. Na Ukrainie i Litwie, gdzie liczba właścicieli dóbr obszerniejszych (panów) była u nas liczniejsza, i katastrofy te były częstsze. Owe dążenie do równowagi w tych stronach, w nowy nawet sposób się objawiało; zaspokojenie łącznych pretensyj uskuteczniało się tu nie przez rozdzielenie *wartości* odłużonych dóbr, ale samychże dóbr. Rozdział ten (nazywany w Litwie *exdywizyą*, na Wołyniu *rozbiorem*), dopełniał się przez lokowanie wierzycieli na odpowiednich ich pretensyom schedach ziemskich; i tym sposobem kilkanaście głów nowych nietylko do porównania majątków, ale też *przywilejów* wprowadzał.

Jeden właśnie z podobnych widoków (jak opowiada powieść któréj napis przywiedliśmy, i któréj tu treść powtórzymy), przedstawiła w roku 1838 *kollokacya* na dobrach Czaplinieckich należących do hr. S. dopełniona. Kilkanaście

głów szlachty bez praw dotąd do tak zwanego państwa i obywatelstwa, przez przyznanie im właścicielstwa na częściach tych dóbr, weszło w te prawa. Wszelki krok ku równowadze stawiony, jestto krok dobry; lecz krok wszelki nie przestaje w sobie być krokiem t. j. dopiéro przejściem. Może następcy tych nowych panów, przyszli wreszcie z zamętu w swym losie do pokoju i ustalenia się; ale los samych tych panów przedstawił zamęt. Panowie Czaplinieccy otrzymali już dziedzictwa większe już mniejsze, ale pretensye równe. Chęć osiągania jedności skutków obok różności środków (chęć jednego pozoru, znaczenia i t. p.) sprawiły: iż *zawiść*, *bezrząd*, *śmieszności* zamieszkały pośród nowych domów i dworów w Czaplińcach. Pośród tych domów i dworów jeden był tylko, który jeżeli nie obszernością odziedziczonéj schedy, to jednak odznaczał się między wszystkiemi porządkiem i dobrym bytem: był to dom pp. *Starzyckich*.

Przy Czaplińcach były dobra *Szyszkowce*; dziedzicem ich był p. *Zagartowski* (nazwisko już samém brzmieniem złowróżbe dla schedaryuszów Czaplinieckich). Majątek p. Zagartowskiego był jak milion, a drugi milion ugruntował on na słabości i potrzebach swoich sąsiadów. P. Zagartowski nie miał już żony, i miał tylko jedyną córkę, p. *Kamillę*.

Dnia któregoś, p. Kamilla i panna *Beldeau* jéj przewodniczka domowa (a raczéj przyjaciółka i prawie sługa), korzystając z pogody przejeżdżały się koło Czapliniec. To korzystanie z pogody oczywiście było po niepogodzie, bo pojazd ich przy wymijaniu któréjś wioski zatopił się w błocie. Byłto wypadek niedobry, lecz „złe wszelkie jest przejściem do dobra," mówi przysłowie. W tymże czasie przybliżył się powóz drugi (*nietyczanka* jak nazywa autor), a młody człowiek, który z niego wysiadł, ofiarował damom swą pomoc. Damy przymuszone były przyjąć nietylko ofiarowaną pomoc, lecz też i jéj warunki, i właściciel powozu sam przeniósł do niego damy, jednę po drugiéj. Ten przypadkowy ratownik, byłto pan *Józef Starzycki*, który wracał do rodziców swych (pp. Starzyckich z Czapliniec) z Wołynia, gdzie

miał także małą ziemską posiadłość. Jedno rzucenie oka na tego młodego człowieka, było stanowczém dla reszty życia p. Kamilli.

Z drugiéj strony Szyszkowiec, sąsiadką p. Zagartowskiego była pani *Włodzimierzowa Podziemska*. Pani Włodzimierzowa Podziemska, była dziedziczką także niemałych wiosek, i matką jedynaka pieszczoszki, pana *Henryka*. Pan Zagartowski przed jakimś czasem robił propozycyą pani Podziemskiéj, połączenia majątków przez związek dzieci; ale pani Włodzimierzowa (księżniczka z domu), z niechęcią słuchała téj propozycyi od syna komisarza. Pan Zagartowski zniósł to, ale zsumował obligi pani Włodzimierzowéj i inne do niéj pretensye, w rok czy prędzéj do wypłaty przynaglił, i dzisiaj pani Włodzimierzowa (którą komisarz upewnił że w kassie nie mają i grosza) przyjechała sama do p. Zagartowskiego, co do propozycyi rzecz kończyć. Czas ten zwłoki, przemienił wiele. Przez ten czas panna Kamilla urosła, i myśl jéj była już teraz zajętą młodym sąsiadem. Blady i wyniszczony, bez sił duszy i ciała, p. Henryk śmiéch tylko i wstręt obudził w pannie Kamilli. Pan Zagartowski nie sprzeciwiał się jéj wstrętowi, nie podzielał jednak wcale i gustu; i owszem, kiedy się o nim dowiedział, zagroził córce wyklęciem, jeśliby śmiała myśléć o związku „z szlachciurą z Czapliniec."

Obywatele Czaplinieccy odwiedzali jednak Szyszkowce, i odwiedzani byli nawzajem przez pana Zagartowskiego. P. Zagartowski pragnął owszem miéć sławę dobroczyńcy Czapliniec. Obywatele ci byli nieraz w kłopocie, że na ich nowe potrzeby dochód roczny im nie wystarczał; możeby wreszcie (tak sądzili) wystarczał, ale czuli niedostatek śród chwili. W kłopocie tym ratował ich zrazu p. Zagartowski, ale daléj znalazł się większy jeszcze niż p. Zagartowski dobroczyńca, t. j. żyd *Mordko*. Żydek ten w samym środku Czapliniec, założył sklep i magazyn wszelkich przedmiotów potrzeb, nawet zbytkowych, i wszystkim WW. obywatelom swoim sąsiadom, dawał (jeśli tego żądali) na *krédkę*. Dnia jednak któregoś, wszyscy ci panowie obywatele otrzymali

o jednéj godzinie *pozew*; pozew od pana Zagartowskiego, w imieniu własnych i przelanych od żyda Mordki pretensyi. Potrzeby w tym czasie pana Zagartowskiego były naglące, i każdy z nich musiał się w krótkim czasie pożegnać z swojém dziedzictwem. Tylko dom pp. Starzyckich nie uległ ogólnemu losowi, lecz opór ten tém więcéj rozjątrzył pana Zagartowskiego. PP. Starzyccy mieli przy swym domku ogródek z ładnemi drzewkami, a stary p. Starzycki (dziadek pana Józefa), który jak się zdaje nie miał już słabości do niczego, nawet do wnuka, miał słabość do tych drzewek. Dnia jednego ujrzał człowieka który w nich robił szkodę; człowiek ten zamiast ucieczki, począł drażnić staruszka, i p. Starzycki ugodził go młotkiem w głowę. Człowiek ten był ze wsi p. Zagartowskiego, i p. Zagartowski zagroził staremu p. Starzyckiemu procesem już nie cywilnym, ale kryminalnym. P. *Hippolit Starzycki* (ojciec pana Józefa), przybył do Szyszkowiec; i przyrzekał już p. Zagartowskiemu uczynienie wszelkich ustąpień; lecz właśnie na chwilę ich rozmowy nadeszła p. Kamilla, i cisnąwszy tysiąc wyrzutów ojcu, oświadczyła stanowczo: iż jeżeli nie cofnie dobrowolnie procesu, wyrzecze się dziedzictwa, i ucieknie na Wołyń do pana Józefa. Pan Zagartowski cofnął proces, lecz scena ta była przesileniem jego fortuny; odtąd opuściło go szczęście, zaczął miewać niepowodzenia, nawet zapadać na zdrowiu, i w krótkim czasie, po jakiéjś nowéj katastrofie (którą uważał za karę niebios), tknięty apoplexyą życie zakończył. Panna Kamilla, która się uważała za winną poniekąd nastąpionych cierpień ojcowskich, rozpoczęła pokutę. Zostawiwszy zarząd majątku p. Hippolitowi Starzyckiemu, sama wyjechała do Lwowa do ciotki. Rozsypała jałmużny, ponawiała nabożeństwa żałobne, wyposażyła córki wyrugowanych właścicieli z Czapliniec, i wreszcie ukończywszy czas żałoby i pokuty, wróciła do Szyszkowiec i została panią *Józefową Starzycką*.

Taka jest treść Kollokacyi, nowéj powieści pana Korzeniowskiego. Treść ta, jeżeli mamy powiedzieć prawdę, niepodobała się nam. Kollokacyi nie życzylibyśmy dawać

z łatwością w rękę młodym osobom. Wyrazem jéj jest: namiętność, namiętność bez podstawy, bez granic; i rzeczby można, że autor chciał cofnąć powieść do czasów, kiedy jedyném a przynajmniéj głównem zadaniem było każdéj: *podsycać namiętność.*

Treścią główną (t. j. treścią około któréj reszta obrazów rozwija się jakby dodatkowo) jest w Kollokacyi: miłość panny Kamilli dla pana Józefa. Ta miłość, jestto mówiąc najskromniéj, miłość ślepa. Młody pan Starzycki (Józef) to postać, któréj nie zna czytelnik powieści. Autor mówi: iż dom jego rodziców odznaczał się między sąsiedzkiemi rządnością; ale to dom *rodziców*. Pan Józef, powiada autor, po poznaniu p. Kamilli bawiąc w Czaplicach, czytał i uczył się „aby się stać godnym anioła, który do niego zstąpił." W ostatnim rozdziale powieści powtarza znowu: że bawiąc na Wołyniu „czytał i uczył się"; czyli się jednak czego nauczył, o tém mógł wiedzieć autor, ale nie wié czytelnik; przez cały ciąg bowiem powieści, nie słyszy jednego roztropnego słowa z ust tego pana Józefa. Czytelnik wnieść téż nie może, zkąd mogła sądzić inaczéj bohatérka. W scenie piérwszego widzenia się z panem Henrykiem, panna Zagartowska aby poniżyć go z góry, zarzuca mu zręcznie zaniedbanie sił fizycznych i sił moralnych; jestto rozdział jeden z celujących sztuką w powieści; czyli jednak pan Józef miał te przymioty, których brak wyrzucała panna Kamilla panu Henrykowi, wiedzieć o tém (wnosi czytelnik) nie mogła, widząc go tylko raz, i to jeszcze w przelocie. Bawiąc w domu rodziców, pan Józef nic zwykle nie mówił, a przyjeżdżając do Szyszkowiec, mówił do panny Kamilli: „mój aniele!" Wyrażenie to „mój aniele!" w powieści, któréj dyalog wszędzie potocznym jest a nie poetycznym, nie skłania nas wcale do uwierzenia w tę męzkość ducha, którą miał celować p. Józef. Jakiż więc był jednak rzetelny powód miłości p. Kamilli? powód czytelnikowi wiadomy?

Czytelniczki *Spekulanta* (poprzednio wydanéj powieści przez autora Kollokacyi) i *Kollokacyi*, nie będą zapewne autorowi zbyt wdzięczne za wynajdywane powody ich wier-

néj miłości. Te powody, jestto tylko zwykłe jakowaś chwila, jakowyś kaprys,—*nic*. W Spekulancie np. bohaterka romansu panna Klara, powzięła owę miłość ku p. Augustowi (spekulantowi) że jechała z nim i matką w jednym powozie; panna Kamilla ku p. Józefowi, że ją przenosił z powozu do powozu.

Cobykolwiek mniemano o konieczności lub mniéj konieczności celu w powieści, jestto pewném, że czytelnik mimowolnie go szuka, i że z każdéj, taki lub inny dla siebie sam wyprowadza. Zarzucano p. Korzeniowskiemu, że w *Spekulancie* matka bohaterki poznawszy iż przedmiot miłości jéj córki nie jest jéj godnym, zgromiła ją, i przymusiła nagle do związku z kim innym; więcéj wszakże zarzucićby można, że w Kollokacyi namiętność p. Kamilli posuwa ją do złorzeczenia publicznie ojcu, że nawet staje się poniekąd przyczyną jego śmierci. *Spekulant* pana Korzeniowskiego, pod względem głównego celu, miał wyraźną przewagę nad Kollokacyą. Wypadkiem obyczajowym z téj powieści, (jestto wniosek ileśmy słyszeli *powszechny*) było: „Wystrzegaj się spekulacyi," i „słuchaj doświadczenia rodziców;" z Kollokacyi przeciwnie: „opiéraj się im do ostatka, dla obudzonéj piérwszéj lepszéj miłości". Być może, iż w istocie autor nie miał tego ostatniego celu wswéj powieści, być może, iż przeciwnie miał zamiar w niéj rzec: „szlachetność i praca, patrzcie, wyższą jest nad próżnowanie i miękkość"; a także: „posłuszeństwo rodzicom dzieci, ma być zawsze uszanowania pełne, lecz niebezwzględne": jeżeli tak jest, tém więcéj mamy prawo wymówić, iż możemy się tylko domyślać że miał te cele, ale *nie ręczyć*.

Co do akcyi, mamy do wyrzucenia szczegół, który rani stanowczo powieściowe tło Kollokacyi. Autor nie miał oczywiście w pamięci praw perspektywy przy budowie swego obrazu.

Jeżeli w *Spekulancie* (powieści téjże barwy i ręki i dlatego nastręczającéj się nam mimowolnie co chwila do porównania) autor nieraz za wiele pamiętał o sobie i czytelniku, uniewinniając się często z tego albo innego układu,

naginając gwałtownie wypadki, i t. p. w *Kollokacyi* przeciwnie zbyt mało na czytelnika pamięta. Autor przez cały ciąg téj powieści nie chce postawić go tak, iżby był w biegu wypadków, iżby wiedział jak ma patrzéć na obraz, czego życzyć? czego wyglądać? i t. p. Przy poznaniu się p. Józefa Starzyckiego z p. Kamillą, czytelnik dowiaduje się, iż to są sąsiedzi, i nie wié dlaczego daléj płaczą i dręczą się a nie widują się z sobą. Kiedy się daléj widują, i dowiaduje się, iż lubo są nierówni majątkiem, są równi stanem, że panna Zagartowska jest jedynaczką i panią domu, nie wié czytelnik znowu dlaczego się bohaterowie dręczą i męczą; kiedy się dowiaduje wreszcie, że pan Zagartowski gardzi swém żebraczém sąsiedztwem, i że córki swéj póki żywy za nikogo nie odda z Czapliniec, następuje téż wkrótce i jego śmierć; już tylko dwie karty do końca, a panna Kamilla i pan Józef tylko się dręczą i męczą, i czytelnik nie wié jeszcze ani powodów, ani rodzajów ich męki. Zajęcie powieściowe w Kollokacyi obudzaném jest w nowy sposób; t. j. z pewném męczeniem uwagi; czytelnik od początku do końca czeka w niéj rzec można nie na *rozwiązanie*, ale na *zawiązanie*; jestto powiedzieć można, widok pejzażu dołem w górę obróconego.

Sprzeczając się wszakże w ten sposób z nową książką pana Korzeniowskiego, wyznajemy, iż mamy przyjemność w téj sprzeczce. *Kollokacya* jak i *Spekulant* to książki. Powieści pana Korzeniowskiego nie są to gadaniny bezkształtne, zbiéraniny obrazków i zdań, kształcenia się i ćwiczenia powieściowe, ale powieści. W autorze ich widzimy wszędzie wytrawną znajomość tego świata towarzyskiego, który ich treścią. Ztąd téż każdy w nich przedstawiany człowiek człowiekiem jest, każdy obraz obrazem, każda rozmowa rozmową i t. p. W *Kollokacyi* o któréj mówimy, prócz figury bohatera (którego charakter miał autor zapewne tak żywo wyrytym przed sobą, iż za zbyteczne uważał zaznajamiać z nim czytelnika), wszystkie inne dobitnie znajdujemy skréślone, żywe, miejscowe. Owo zwłaszcza skréślenie różno stopniowych zamożności w domowém pożyciu, przej-

ścia z bytu tak zwanego szlacheckim do bytu państwa, odcieni charakterów jednostek śród tego przejścia, wzorowém jest w Kollokacyi. (Jako na celujący rozdział w téj sferze, wskazujemy na rozdział opisujący obraz fety u pp. *Plachtów*). Wszystko to nadto, jak w Kollokacyi, tak w ogóle w każdém piśmie autora, jest przy towarzyszeniu estetycznych wdzięków słowa i stylu.

Powieści pana Korzeniowskiego należą do tych, które spółczesny nam świat towarzyski zatrzymują w odcieniach jego i w jego prawdzie go przekażą. Te szczegółowe odbicia prawdy z życia towarzyskiego nam spółczesnego (u nas jak i gdzieindziéj), będą to źródła dla przyszłych dziejopisarzy wieku XIX, jakich nie pozostawiały nam dawne. Te odbicia idące z prawdy, mają nawet (ze swéj natury) dziwne lgnienie do serc i myśli spółczesnych; każdy np. czytelnik *Spekulanta* lub *Kollokacyi* po przeczytaniu w nich karty piérwszéj nie rzuca książki, póki do ostatniéj nie dojdzie. I znowu wszakże staje nam w myśli *cel*. Im szczęśliwszych jest posiadaczem środków autor powieści, tém więcéj odpowiedzialnym zostanie za ich użycie (*).

T.

Pieśni bez słów na fortepian pp. *Dietrich, Chojnackiego i Jenikego*, w Warszawie. Dwa Nokturna na fortepian przez *F. Miładowskiego*, w Wilnie. Uwertura p. *tegoż* i tamże.

Jeśli dotąd, zdając sprawę z płodów któremi nas darzą coraz liczniejsi pracownicy na polu muzyczném spotykaliśmy mniéj udatne, liche nawet; jeśli wypowiadając otwarcie nasze zdanie, najwięcéj ganić zmuszeni, wywołaliśmy uśmiéch politowania nad biédną sztuką naszą: albośmy w kimkolwiek utwierdzili mniemanie dosyć upowszechnio-

(*) Czytelnicy powieści p. Korzeniowskiego wyżéj (w tém piśmie) idącéj, razem z nami zapewne będą mu wdzięczni za cel.

T.

ne, że u nas nic dobrego nigdy nie będzie, to dziś spodziewamy się innych naszych wyrazów następstw. Wprawdzie jak z tytułów wymienionych prac widać, są to zawsze mniéj więcéj drobne rzeczy; ale czyż już z nich nie można pojąć zdolności i nauki? Jeśli jednemu z tych dwóch warunków a szczególniéj téż piérwszemu uczyniono zadosyć, ileżto miłych nadziei w nas nie wstanie, do których spełnienia tylko szczęśliwych okoliczności potrzeba? Boć przecie i w nas ludzkie biją serca, i naszéj ziemi słońce przyświeca, ale niech obojętność publiczna nie zatyka ucha na głos skromnie się odzywający, niech nie będzie chmurą uporczywie przecinającą drogę promieniom, które z czasem, pewni tego jesteśmy, bujny plon wywołać są zdolne ze skiby ojczystéj. Obojętność podobna jest do owych roślin wodnych, które zrazu pokrywają dno jeziora przejrzystego, coraz szerzéj i szerzéj wpijają się że tak powiém w łono wody, wydobywają się na wierzch, i nakoniec piękne zwierciadło w którém się niebo przeglądało, zmienią w trzęsawisko. Obojętność publiczna sroższym jest nieprzyjacielem nad pogardę nawet niesprawiedliwą, bo od wszelkich usiłowań odstręcza tą zabójczą myślą, że praca zła czy dobra nieznaną zostanie. Przed obojętnością nawet gieniusz upadłby, gdyby nie było własnością gieniuszu powszechne zajęcie budzić; ale o gieniusze niełatwo; cóż więc z talentami będzie?

Wymienieni autorowie mają talent; jeden mniéj, inni więcéj rozwinięty; tak lub inaczéj skierowany; na silnéj wspiérający się nauce lub chwiejący się bez niéj, ale mają talent i to najważniejsza. Nauki, wprawy można nabyć, talentu nigdy.

Talent pana Dietrich błąka się po udeptanych już ścieszkach, i tak wydeptanych, że na ztwardniałym i zaschłym ich gruncie ani źdźbło trawki się nie pokaże. Jego melodya choć dobrze utoczona, nie ma barwy; jego harmonia choć dobrze prowadzona nic nie powiada; nawet forma gładka, wymuskana nie ma życia, bo autor jakby to wnosić należało z jego pracy, uważa odblask za światło, konwersacyą za

mowę przekonywającą, cień za przedmiot. Jego pieśń bez słów jest tysiączną kopią o coraz bledszym kolorycie, jakby się lękał, by jego obrazek nie raził oczu niezdolnych znieść światła słonecznego, i przywykłych do zasłon buduaru i lamp astralnych. Dla jego własnéj rozkoszy i naszego dobra, radzimy panu D. sprobować przedstawienia własnéj myśli; choćby była jak krzemień ostra i twarda, niech tylko jak krzemień iskrę w sercu rozbudzi.

Wydatniejsza w dążności jest pieśń p. Chojnackiego; nie dlatego że ją nazwał „tęsknota", ale że jest w niéj kilka energiczniejszych rysów, żywszych przynajmniéj. Czy zaś to jest tęsknota czy nie, nie możemy rozstrzygać; zdaje się nam jednak, że to coś podobniejszego do wspomnienia jakiego walca, wspomnienia może tęsknego, ale napomkniętego tylko. Obraz tęsknoty, jako usposobienia duszy, nie może być nawet tak krótki, albo ma mieć więcéj charakterystyki. Na to trzeba sił wyrobionych, umiejących się do pewnego celu zwrócić, i znajomości gruntowniejszéj swéj sztuki we wszystkich jéj szczegółach, któréj u pana Ch. prawie nie widzimy. Jużto rzecz najpiérwsza, mianowicie w krótkim obrazku konieczna, łatwa do zachowania—jedność; a p. Ch. zaczyna i kończy z innego tonu; potoczystość, a tu wszystko się rwie przesadném zażyciem *ritenuto* i *accelerando*; to nawet psuje rysy mogące być tęsknemi, bo tęsknota jest płynna, spokojna. *Cadenza*, przypuszczać każe potrzebę wypoczynku po długiéj przeprawie, i podobna jest do piany wzburzonego potoku; dlatego téż u pana Ch. widocznie jest niepotrzebna, a przynajmniéj niezręcznie ułożona po dwakroć. I znajomość dokładna znaczenia terminów w muzyce używanych zdać się może; nie mówi się np. *piu lento* na samym początku, bo to znaczy *wolniéj*; od czegóż? To samo się rozumié o *piu accelerando*. Z tego powodu, proponujemy wskazywanie tego rodzaju szczegółów muzycznych polskiemi wyrazami; jeśli one nie będą dobitniejsze jak włoskie, to przynajmniéj zrozumialsze i od pomyłek uchronią. Już Francuzi, Niemcy zaczynają własnym językiem zastępywać włoski; i u nas to już nie nowina: dlaczegożbyśmy nie mieli

z rękopismami za granicę odsyłają, obiecując potém sprowadzić, albo chcą piérwéj muzykę waszego worka posłyszéć; przyjdzie czas a z nim okoliczności, i tak wam się kłaniać będą, jak się dziś kłaniają zdolniejszym na polu lekkiéj literatury.

Jakkolwiek drobne płody muzyki czysto instrumentalnéj o których mówiliśmy wyżéj, mogą być pociągające i znaléźć miłośników, nigdy jednak z taką dosadnością nie tłumaczą pojęć i zamiarów kompozytora, jak pieśni właściwe z textem. Jestto rodzaj piérwotny, i dlatego trudniejszy poniekąd, a przynajmniéj więcéj rodzący wymagań, że mu poezya służy ustawicznie za miarę i sędziego. Do rozbioru rozumowanego, jestto rodzaj łatwiejszy, bo nietrzeba przypuszczań robić co to być może, ale wiedząc z pewnością co być ma, dosyć zapytać: czy jest, i jak? Mamy tu przed sobą trzy śpiewy, których tytuły są:

„Marya" *romans do śpiewu p. Wilhelma Troszel.* „Gołąbek" *i* „Módl się" *Ignacego Komorowskiego; oraz* „Nowe wokalizy na Mezzo-Soprano" *p. Antoniego Tejchman.*
Wszystko wydane w Warszawie.

Te ostatnie, wprawdzie jako do ćwiczenia głosu ludzkiego przeznaczone, wykonywają się zwykle na samogłoskę miejsce textu zastępującą; że jednak do śpiewu są przeznaczone, stosowniejsze w tym ustępie pomieszczenie znajdą. Tego rodzaju dzieła muszą mieć podwójną stronę: dydaktyczną i artystyczną. Ostatnią podobne są do wszystkich pieśni; winny mieć urok, oryginalność i wykończenie. Wokalizy pana Tejchman, zadosyć czynią piérwszemu i ostatniemu z tych warunków; oryginalności sam autor się wyrzekł mówiąc w objaśnieniu: że je napisał dla przygotowania uczniów do wykonywania śpiewów dzisiejszych kompozytorów, chciał więc naśladować ich zwroty, maniery i t. p. (*).

(*) Nie rozumiemy tu przecież przepisywania żywcem, tylko naśladowanie umyślne.

Jestto cel zbyt widoczny i zbyt ważny nauczycielom i uczniom, by się tu o stosowność jego spiérać. Przecież nasuwa się myśli uwaga, czy śpiéw istotnie piękny nie jest w każdéj epoce jednakowy, jako najpiérwszy i najlepszy tłumacz uczuć ludzkich? Jeśli tak jest, niestosowną jest rzeczą uczyć podług dzisiejszéj szkoły; należy uczyć tak, by do wszystkiego przysposobić. I druga myśl się nastręcza: czy p. T. śpiéw dzisiejszy np. w operach, bo tam najwydatniejsza cecha nowożytna, uważa jako śmietanę, że tak powiemy, sztuki kompozytora wokalnego? Jeśli tak jest, to chyba po mnogich wyjątków litanii zgodzićbyśmy się z nim mogli. Ale już dosyć; p. T. odwołuje się do swéj długoletniéj praktyki nauczycielskiéj: i przyznać należy, że okazał wielką znajomość głosu, dla którego pisał. Jego przykłady wyborne są dla zrównania różnicy tonów piersiowych i falsetu, różnicy tak rażącéj w nizkich głosach kobiécych; jego przykłady zdołają zaszczepić gust szlachetny w uczennicy; wyborna przygrywka prowadzi, ułatwia; słowem, zrobiono wszystko co pod względem dydaktycznym zrobić należało. Jeśli jeszcze dodamy, że melodya pana T. jak zwykle skłania się mocno do oczyszczonego z przesady śpiéwu włoskiego, to nie myślemy, żeby to ujmowało wartości pracy w mowie będącéj, i nie podnosiło jéj nawet. Bo jakkolwiek nienawidzimy manier i miękkości i braku charakteru w śpiéwie włoskim, wyznajemy przecież, że bez tych wad nieziemiernych, przekładamy go nad każdy inny. Niektóre drobne szczegóły, w części dla głosu przeznaczonéj nie trafiają w naszo przekonanie. I tak np. w wokalizie piérwszéj, wiérsz ostatni, takt piérwszy, po przerwie chwilowéj, głos zaczyna od *f*; czemu nie od *fis* daleko łatwiejszego do trafienia, jako appogiatura z dołu do następnego *g*? gdy tymczasem *f* ciągnące do niższego *e* (jesteśmy w tonie *C* twardym na akkordzie *c* sekund. sept.) gwałt czyni potoczystości tym większy, że nuty szybko po sobie postępują. W wokalizie drugiéj, wiérsz 13, str. 5 trudność dla głosu nie jest mniejsza, bo musi przebiedz stopniami interwal kwarty zwiększonéj (triton) od *h* (w dół) do *f*; trudność znów tém większa, że

owo *h* piérwszym jest krokiem w modulacyi z *F* do *C*, a po ostatniém *f* głos znów do góry podnieść się musi, zamiast zgodnie z naturą tego *f* spaść do *e*; tam także *fis* byłoby lepsze. Nie możemy dwóch tych uchybień przeciw naturalności śpiewu liczyć do pomyłek tak starannie poprawnego wydania, i przypuszczamy raczéj, że pan T. chciał tym sposobem wprawić uczniów do pokonania trudności; ale to bezkorzystnie, bo nigdy kompozytor wokalny tego sobie pozwolić nie może, nie powinien, co jest przeciwne naturze tak wybitnie czuć się dającéj w głosie i słuchu ludzkim; instrumentalny nawetby dwa razy nad tém pomyślał.

Pan Troszel zrozumiał figury Wacława i Maryi w znanym poemacie Malczewskiego w całym jego rozwinięciu, i jak się zdaje, chciał je w całości przedstawić w krótkim obrazku. Tak sobie tłumaczemy owo ciągłe ubieganie się za barwą smutną, i gonienie za effektami muzycznemi, mającemi do niéj dopomódz. Na krótki romans zbyt wielkie to zadanie; wybrany ustęp poematu kilka tylko daje rysów, a panu T. nieznane są środki muzyczne, mogące prosto do celu poprowadzić; ztąd prawie wszędzie wyszukanie i pokrzywienie naturalnego porządku rzeczy. Autor rozumem nie czuciem rys po rysie dodawał, i dlatego każda chwila pojedynczo uważana jako dobra, w całości źle wygląda. Jego Wacław i Marya, są to figury naznaczone palcem nieszczęścia, nie usiłujące nawet wyłamać się z pod rózgi przeznaczenia, jakby przygniecione ciężarem pod którym skonać im przyjdzie, ale się pod nim ruszyć nie mogą, nie chcą raczéj. Ociężałość ta całości, bardzo źle wpłynęła na przedstawienie obranéj przez autora chwili: „Maryo! czyś ty nie chora" i t. d. Najwięcéj tu zawiniła melodya do śpiewu przeznaczona; nie miłość pełna obawy, niepokoju i troski; nie głos serdeczny przeczuwającego nieszczęście serca tam się odzywa, ale jakaś zimna, jakby udawana sentymentalność; snać autor myślał, ale nie czuł. Sama melodya nie ma kroju wydatnego ani deklamacyi stosownéj, a bardzo podobna jest do owych wiecznie powtarzających się zwrotów w dzisiejszych melodyach włoskich, pełnych surrogatu

uczucia, manierności. Harmonia prawie dobra, że jednak poddać się musiała melodyi, ztąd naturalną a więc i dobrą nie jest. Przygrywka nic pewnego powiedzieć nam nie umié, choć się niekiedy z pretensyą odzywa. Właśnie téj części kompozycyi autor powinien powierzać wypowiedzenie tego, czego sam śpiéw objąć nie zdołał; szczególniéj tam, gdzie tyle było do powiedzenia jak przy obranym przez p. T. texcie. Ale cóż np. znaczą owe *tremolanda*, któremi autor zaczyna? Ich głos jest uroczysty, bo massa brzmiących tonów, a jeszcze pedałem fortepianu rozbudzonych, tylko do wielkich i niezmiernych przedmiotów użytą być może. Rozmowa miłosna, jakiekolwiek byłyby jéj szczegóły jest uroczystą, u Malczewskiego pewnie nie mniéj jak gdzieindziéj; ma jednak tkliwość, któréj *tremolando* groźne i srogie nie odmaluje, a jednak p. Tr. podłożył je pod wyrazy: „czy Marya ciebie kocha," i t. d. I ta to niedołężność przygrywki najlepiéj pokazuje nieznajomość środków muzycznych. Ulana w formułki wszędzie zastosować się dające, pozornie a więc jak gdyby nic nieznacząca oddzielnego, przygrywka przedstawia tylko harmonią mającą melodyi za wsparcie służyć. Rzadko jednak w ten sposób wystarcza do krótkiéj nawet piosnki z wyrazami pospolitéj treści, a ileżto wówczas odpowiedzialności na śpiewie ciąży? zaiste daleko więcéj, niż cała sztuka śpiewającego podoła: tam trzeba jeszcze melodyi oryginalnéj, wyłącznéj. Cóż dopiéro gdy melodya nie zrobiła co mogła i powinna? W końcu, narzucił p. Tr. przygrywce ustęp melodyi do znanéj powszechnie śpiéwki: „Wanda leży w naszéj ziemi" i t. d.; mówimy narzucił, bo między tą melodyą a tém co autora jest własnością, najmniejszego związku, najmniejszego podobieństwa niéma. Ale zapewne autor chciał tym sposobem pomysłowi swemu piętno narodowości nadać? jeśli tak jest, to się bardzo zawiódł w wyborze środka. Brać co gotowe choćby najlepsze, a brać żywcem, nie jest tworzyć; ale jeśli kogo niestać na własny pomysł w duchu żądanym, można użyć obcego, urobić go jako temat, jako myśl

przeprowadzić. W temacie najmniejszym, jest treść prawie nieprzebrana, jak w każdéj myśli wolumina spoczywają. Niedosyć jest ująć temat narodowy i do przedmiotu swego go nagiąć, należy to jednak uczynić w duchu stosownym, by cechy nie stracił; jeśli jéj nie ma, nadać mu ją potrzeba; a więc wiedzieć po szczegółach, jakie są własności zewnętrzne i wewnętrzne tematu narodowego. Myśl przez p. Tr. obrana jestże już narodową dlatego, że niegdyś na scenie posłyszana, zajęła łatwością, prostotą i wyrazami pod nią podłożonemi, i w pamięci utkwiwszy popularną została?

Pan Komorowski w sposób odmienny od poprzedniego autora pojmuje ważność śpiéwu i przygrywki; ta ostatnia jest u niego znacząca, często trafna, zawsze piękna. Jego śpiéw nadzwyczaj prosty, ma wiele wdzięku, ale wkrótce nuży jednostajnością, bo p. K. nie chce mu powierzyć deklamacyi albo tylko bardzo mało, licząc daleko więcéj na przygrywkę. A przecież dowodzenia niepotrzeba, że śpiéw jako bezpośrednio płynący z piersi człowieka, lepiéj niż jakiekolwiek narzędzie muzyczne oddać może niewypowiedziane tajemnice serca ludzkiego. Przygrywka ma go tylko wspiérać o ile jest harmonią, wypełniać o ile jest figurą.

Z dwóch wymienionych wyżéj śpiewów, „Gołąbek" niech bliższemu rozpoznaniu ulegnie, jako więcéj i rozliczniejszych nastręczający nam uwag, i zdaniem naszém piękniejszy. Chociaż to jest drobnostka w dziedzinie sztuki, mieści w sobie warunki znakomitsze utwory obowiązujące, a obszerniejszy rozbiór nietylko uwolni nas na długo od podobnego zachodu przy mniéj zajmujących pracach, ale nadto dając poznać stanowisko z którego na podobne utwory patrzemy, będzie niejako usprawiedliwieniem naszego zdania.

Przytaczamy przedewszystkiém wiérsz Lenartowicza, bo na texcie najwięcéj opiéra się sąd o kompozycyi wokalnéj.

Gdy ranek wiosnowy, pogodny majowy,
Gaj kwiatów po łące rozwija,
Rój ptastwa skrzydlaty, barw tęczą bogaty,
Z piosenką do nieba się wzbija.

To pliszka, kukułka, skowronek, jaskółka
Wybiegłszy z pod liści z ukrycia,
Świegotem, kukaniem, witają zaraniem
Wschód słońca i ciepło, znak życia.

I gołąb zbudzony, z pod skrzydeł ochrony
Swą główkę z srébrzystą koronką
Nachyli w przezrocze, skrzydłami strzepocze,
I daléj! pofruwać nad łąką.

Niewinność wesoła, pogoda, blask czoła,
Są dziewic méj ziemi ozdobą;
Więc kędy chcesz zajdziesz, to w każdéj wsi znajdziesz,
W swéj drodze gołębnik przed sobą.

On jeden przez morze, gołąb lecieć może
Bez żadnych spoczynków wytchnienia,
On jeden znieść zdolny, bo żółci jest wolny,
Przygody i różne cierpienia.

Więc ptaszku kochany, bądź zawsze widziany
Przed oknem méj chatki ojcowskiéj,
Podlatuj do góry, i garnij mi pióry
Słonecznych promieni blask boski.

Ty skrzydłem ze śniegu, gdy w myśli mych biegu
Popadnę w bezsilne cierpienie,
Odpędzaj, ocalaj, od duszy oddalaj,
Ponure o wszystkiém zwątpienie.

Rzeczą jest kompozytora zastanawiać się nietylko nad wewnętrzną wiérsza wartością, ale i nad zewnętrzną jego formą, jeśli chce muzykalnie do niéj się zastosować. Zastanowienie się to potrzebuje gotowéj już i licznemi pracami doświadczonéj nauki, którą tylko natchnienie zastąpić zdoła, a i to do pewnego tylko stopnia, bo natchnienie piérwszego wrażenia się ima, piérwszą myśl wylewa; cóż gdy myśli będzie kilka potrzebnych? A gdy cząstki poezyi albo zbliżają się podobieństwem treści, albo jéj rozmaitością wyróżniają, potrzeba szczegóły dobrze rozpoznać, by podług nich rozumem muzyce plan nakréślić. Niéma się to jednak rozumiéć aż do najmniejszych szczegółów, jak np. rytm, metr, albo tempo, jak tego chce jedno z ostatnich u nas dzieł wyższéj teoryi muzyki poświęconych; bo wtenczas nie byłoby wynalazku, ale obrachowanie, koniecznie zimne.

Pod względem formy, poezya przytoczona jest muzyce jak najdogodniejsza; wiérsz jest krótki, bo sześcio lub dziewięcio-zgłoskowy, a co najważniejsza miarowy. Amfibrachis (⏑–⏑) panuje prawie bez wyjątku, a gdzie go niéma, jak w metrze trocheicznym: „gołąb' leciéć może," innemi wyrazami na amfibrachis zamieniony, albo nawet zostawiony, pod warunkiem przygotowania doń stosownego w mającéj to miejsce uprzedzić muzyce. Takim sposobem przejrzany wiérsz w mowie będący, byłby uchronił kompozytora od błędu w prozodyi języka; bo nie byłby dla miłości przyszłego trocheja powiedział: ♪ ♪ ♩ ♩ bo w wyrazie: *jeden*, piérwsza zgłoska krótką być nie może. Co większa, byłoby to podobno podżegło autora do urozmaicenia zbyt monotonnego śpiéwu, bo niedaremnie jest przyjęte już zdanie, że forma poezyi i muzyce formę narzuca do pewnego stopnia, zostawiając jéj jednak wiele swobody. I tak, amfibrachis tego wiérsza, jako mający piérwszą zgłoskę krótką, nie mógł rozpoczynać taktu, i raczéj jako daktylus z anakrużą (⏑|–⏑) (*), musiał być traktowany, jak to właśnie p. K. zrobił z początku. Gdy jednak zmiana treści w dalszym ciągu wiérsza do urozmaicenia muzyki pobudzała, można było zostawić tę samę stopę, ale ją melodyjnie ubarwić, co tak jest łatwe muzykowi, ale nigdy słabego czasu długiéj zgłosce nie dawać, jak to p. K. tyle razy zrobił od wyrazów: „niewinność wesoła."

Rozkład treści na ustępy muzyczne tak jest dobry, jak tego dozwala niejednolitość jéj w wiérszach średnich. Od początku aż do wyrazów: „i daléj pofruwać nad łąką," mamy w poezyi rzeźwy obraz niedawno rozbudzonego ptastwa, jak się szczebiocąc i świegocąc unosi nad ziemią. Widok taki budzi w sercu uczucie błogie, spokojne, otuchę,

(*) Bo w takcie ¾ z trzech nut równych ♩ ♩ ♩ podług akcentu muzycznego zgodnego z akcentem grammatycznym daktyla, piérwsza tylko nuta jest długa, inne dwie krótkie; i tym sposobem nawet molossus na daktyla z anakrużą zamieniony być może.

radość niemal. Dziwnie pięknie oddaje je p. K. mianowicie przygrywką niewyszukaną a pełną życia, spokojną i chyżą zarazem, giętką i płynną jak lot ptastwa. Nad prostym nader a wdzięcznym śpiewem, opowiadaniem raczéj, przygrywka ta uroczo się unosi jakby radosny hymn skrzydlatego roju, o którym poeta mówi: „leje potoki światła w przestrzenie, strzela promieniami słońca na rozbudzoną wód powierzchnię." Trzeba było muzykowi poezyi zdolnéj rozbudzić wyobraźnię, trzeba mu było talentu by podobny obraz utworzył. Pan K. ma talent, ale nie umié uciekającego zapału zatrzymać. Na tym ustępie skończyło się prawie wszystko co istotnie jest piękne; reszta albo jest powtarzaniem, albo szukaniem. Rzecz uderzająca! nie jestże macaniem reszta poezyi Lenartowicza? O tak! poezya nadzwyczaj ważną jest dla kompozytora rzeczą; jéj polot i znaczenie podnoszą jego zapał; naciąganie jéj, niewierność piérwszéj myśli, zawsze go ostudzą. Ztąd często nieudanie się kompozycyi może być winą poety, a zawsze jest winą kompozytora, bo poezya dobra nawet sama w sobie, nie zawsze muzyce jest dogodną. W nierozległéj pieśni trudno pomieścić muzykę i rozmaitość barw i uczuć; albo tylko wtenczas to zrobić można, gdy rozmaitość szczegółów do jednego głównego obrazu zawsze się odnosi; taki tylko ma być kompozytorowi celem, szczegóły pominąć należy. Wracamy do przedmiotu. Mówiąc szczérze, piękność wspomnianego wyżéj ustępu, tylko do sześciu piérwszych wiérszy (tutaj cztérech) wystarczyła, z dodaniem kilku jeszcze taktów. Ale jeszcze przy wyrazach: „to pliszka, jaskółka" i t. d. przygrywka się odzywa, jakby głos zachęcającéj rolnika do pracy przepiórki (pójdźcie żąć, pójdźcie żąć:



) co lubo z roztoczonym w poezyi obrazkiem nic wspólnego niéma, i jest niejako anachronizmem, mogło być z zamiarem przez autora użyte, i mile przypomina jeden ze szczegółów sielskiego życia i naiwną poezyę naszego ludu. Tę jednak figurę tak żwawą, nadużycie uobojętnia; za wiele się powtarza. W następującym ustępie, wyrazy: „nie-

winność wesoła" dały panu K. pomysł muzyczny (znów w przygrywce) dosyć szczęśliwy, ale nie długo stosowny, bo zbyt szczegółowy. Czuł to zapewne autor, zmieniając go przy następującym zaraz obrazie gołębia, na smętny; to urozmaicenie nie zrobiło go stosowniejszym, i dlatego pewnie znów opuszczony, ustąpił miejsce skaczącym akkordom; nam się zdaje, że one tam taką grają rolę, jak wyraz obojętny dla liczby zgłosek wepchnięty do wiérsza. Powtórzenie ustępu piérwszego, mające tworzyć niejako *trio* muzyczne przy wyrazach: „więc ptaszku kochany" i t. d. lepiéj dało się zastosować, i rozciągnięte aż do końca lepiéjby się wydało, jak wprowadzenie powtórne zużytéj raz już figury  . Przynajmniéj ten peryod ostatni należało ku końcowi nagiąć do tonu A; byłoby zgodne z charakterem trzeciéj części muzyki, i wierniejsze formie muzycznéj.

Przeciw dobréj budowie peryodów, wykroczył autor kilka razy; takt np. ostatni wiérsza piérwszego na str. 3ciéj, nie wypełnia bieżącego peryodu przegrywki. Melodya w ogólności mało znacząca, jakeśmy to już wyżéj mówili, i mało rozmaita; zawadto też się skłania w dolne tony, najpospolitszym głosom jakiemi są soprany i tenory niedostępne albo uciążliwe, i często grzeszy kollizyą z przygrywką. Nie jesteśmy za ową męczącą gładkością i nieprzerwaną zgodnością tonów; pięknemu wód zwierciadłu, trzeba niekiedy marszczek, to je ożywia; ale do tego trzeba mieć powód, nie losowi nie powierzać. Kompozytor wokalny nigdy nie powinien kończyć śpiewu, ani go nawet zawieszać tak chropowato jak u p. K. na str. 4téj, wiérsz 2gi, takt 4ty, bo tam natura przygrywki spoczynku nie dozwala, jako zbyt podżegająca. Prowadzenie harmonii nie jest także bez zarzutu; i tak na str. 2giéj, wiérsz 2gi, takt 5ty i w odpowiednich miejscach dalszego ciągu, cóż znaczy owa niby modulacya do *Fis* i powrót w następnym także do *A*? Przecież każdy krok harmonii zbyt jest ważną rzeczą, by nie miał być potrzebą wywołany i konsekwentnie poprowadzony! Pomijamy nie-

które jeszcze drobne usterki, z których najważniejszym jest nieład harmonii w ostatnim kompozycyi wiérszu.

I druga pieśń „Módl się" także z textem Lenartowicza, piękną ma chwilami przygrywkę; ale śpiéw rzadko się podnosi do jéj wysokości, i znów brzmi monotonnie. Przyznajemy to, że sam text nic trafnego wywołać nie mógł, dla nas przynajmniéj jest niezrozumiały, np:

Oto z świata ideału
Gdzie aniołów harfy brzmią,
Tony jasne jak z kryształu
Przezroczystym dźwiękiem drżą.

to są słowa nie myśli. I znów daléj:

Na jéj licach kwitną róże
Pierś marmurem bieli się i t. d.

jestże to obraz niebieskiéj dziewicy, do któréj modły podnosić mamy? Zaiste to nie mogło natchnąć kompozytora stosownym pomysłem, i dało mu bezbarwny, ale piękny; bo to człowiek z talentem. *J. S.*

ROZMAITOŚCI.

Życiorys Dominika Estreichera malarza z czasów Stanisława Augusta.

Dominik Estreicher (dawniéj Oesterreicher), urodził się w mieście Igławie (Iglau) w Morawii r. 1750. W ośmnastym roku życia swego poświęcił się malarstwu, a wysłany będąc od rodziców swoich do Włoch, uczył się niejaki czas w Wenecyi, a późniéj w akademii śgo Łukasza w Rzymie, wreszcie w Neapolu; ogółem lat 10 za granicą przebywał. Zabrał znajomość z różnemi Polakami, żył w przyjaźni z Smuglewiczem, Sierakowskim, a nadewszystko poznał się w Rzymie z Hugonem Kołłątajem podkanclerzym koronnym i reformatorem szkoły głównéj krakowskiéj, który już to przez osobistą przyjaźń, już to upoważniony od narodu do zbiérania talentów i sprowadzania ze wszech stron ludzi zdatnych na nowo wyznaczone posady, tegoż D. Estreicher r. 1778 kosztem skarbu koronnego z Rzymu do Krakowa sprowadził, a to w celu urządzenia akademii sztuk pięknych, na wzór akademii śgo Łukasza w Rzymie. Gdy atoli takie urządzenie dotąd jeszcze nastąpić nie mogło, powołany został od króla Stanisława Augusta do Warszawy, gdzie aż do końca r. 1781 przebywając, użyty był do malowania portretów familijnych królewskich, i do kopijowania malowideł olejnych w zamku i Łazienkach. W r. 1782 odesłany był do akademii krakowskiéj z obowiązkiem tymczasowego nauczyciela i dawania lekcyi, aż dopóki nowo wyznaczyć się miane fundusze na budowlę i akademią sztuk pięknych, takowéj urządzić nie dozwolą. Smutne okoliczno-

ści krajowe nie dały wykonać tego zamiaru; nastąpił podział drugi i zajęcie kraju przez obce wojska, w któréj epoce wraz z innemi professorami do emerytury podawszy się, takową aż do końca życia t. j. do d. 12 marca 1809 r. pobiérał.

Oprócz lekcyi i obowiązków professorskich, zajmował się ciągle malowaniem obrazów, portretów i dzieł różnych historycznych, zostawiwszy po śmierci swojéj około 60 sztuk malowideł różnego rodzaju i wielkości.

Do celniejszych należą własnego układu i roboty dwie sztuki kościelne wysokości cali 64, szérokości cali 42, wyobrażające na jednym Chrystusa siedzącego w Emmaus wpośród dwóch uczniów Łukasza i Kleofasa i chléb łamiącego. Obraz ten przeznaczono w późniejszych latach do kościoła parafialnego Sandeckiego w Galicyi Austryackiéj. Na drugim znajdujemy téj saméj wielkości śgo Hieronima i Augustyna na puszczy, przy którego nogach uśpiony lew spoczywa. Poważna postawa stojącego mędrca w bogatym stroju kościelnym, obok śgo Augustyna w ubogiéj odzieży siedzącego z uśpionym lwem przy nogach, wiele dodaje mu wdzięku i przyjemności. Obraz ten umieszczony jest w kościele Archipresb. N. P. Maryi w piérwszym ołtarzu po prawéj ręce przy wejściu południową bramą. Również piękny upominek, roboty tegoż samego mistrza jest Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, oraz śty Jan Nepomucen téj saméj wielkości, z głową nader pilnie i wdzięcznie wyrobioną, w pomieszkaniu senatora Kopffa na przedmieściu Piasek pod nr. 94 umieszczony. Toż samo dwa téjże wielkości obrazy historyczne u sukcessora syna, wysłużonego professora uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektora muzeów i ogrodu botanicznego w Krakowie przy ulicy Szczepańskiéj pod nr. 362 zachowane. Na piérwszym poseł perski z Leonidasem w Termopilach, prowadzący Leonidasa na pagórek i wskazujący palcem na perskie wojska, które już wszędzie na wierzchołkach gór rozpostarte będąc, w każdéj chwili garstkę śmiałych obrońców zniszczyć są gotowemi. Na drugim Alexander Wielki z orszakiem, na-

przeciw wieszcza w lesie Delfickim pod rozłożystym dębem, głosu wyroczni cały ze drżeniem słuchający. Obraz ten, zwłaszcza co do wieszcza bez sukni, z czarnym włosem, rysią skórą przepasanego, sprawia skutek niepospolity. Pomijam obrazy inne, jakoto: cztery arabeski watykańskie na papiérze pilnie malowane i gustownie ułożone, ptakami i kwiatami ozdobione, u spadkobierców pozostałe, równie jak portrety i kopije rzymskie i inne, jakoto: portret papieża, Kołłątaja, króla Stanisława, prymasa, śmierć Hannibala, pożegnanie Koriolana, odwiedziny śś. Trzech Króli, pogrzeb Chrystusa, Andromeda do skały przykuta, Polifan i wiele innych są dowodem ciągłéj jego pracy i usilności.

Ale nietylko odznaczył się w malarstwie i rysunku; poświęcając życie swoje ciągłéj pracy i cierpliwości nadzwyczajnéj, wsławił się robotą, któréj nikt w całéj Polsce nie znał i nie umiał, tojest robotą chińskiéj mozajki. Zaprzyjaźniwszy się z missyonarzem chińskim, w Rzymie na starość zamieszkałym, poświęcił się téj mozolnéj pracy z nieporównaną wytrwałością, i zostawił pamiątki które pod względem doskonałości rysunku, symetryi, proporcyi figur i perspektywy, przewyższyły i przewyższają tego rodzaju oryginały chińskie. Już to na miedzi lub na porcelanie, kamiennym lakierem czyli tak zwanym chińskim żelaznym pokostem pokrytych, z drobnych kawałeczków perłowéj macicy, i różnorakich kruszców wykładał bukiety, widoki i rysunki, które po kilkakrotném pociąganiu wyżéj wspomnionym lakierem, wypiekaniu i wyszlifowaniu, przedstawiły robotę nieporównanéj wartości i ozdoby. Za piérwszy tego rodzaju stolik, otrzymał od króla Stanisława wielki medal złoty z królewskiém popiersiem i uprzejmém podziękowaniem. Stolik ten po największéj części metalami tylko wyłożony, dotąd jeszcze w Łazienkach w Warszawie znajduje się. Drugi nierównie kosztowniejszy i okazalszy, na dwa lata przed śmiercią r. 1807 ukończył. Znajduje się on dotąd u spadkobierców. Długość jego wynosi cało 30, szérokość 21, a wysokość 29. Wiérzch sam wystawia polowania na tygrysy, strusie, i tym podobne zabawy chińskie.

Tysiące różnobarwnych cząstek perłowéj macicy utworzyły obłoki i ziemię. Rajskie figi, cykasy i inne palmowe drzewa, wody ptastwem ożywione, domy chińskie z kolumnadami tak zblizka jak i opodal rozweselają tę okolicę. Wszystko opasuje széroka rama, a za nią arabeski Rafaela, których różne postaci, sfinxy, satyry, wyrobione są jak najdokładniéj z perłowéj macicy, a reszta ozdób z kruszców. Tysiące blaszek, listeczków różnego kształtu i wielkości, z niewypowiedzianą pracą i cierpliwością przygotowane z najtwardszych metali złota, srébra, miedzi, mosiądzu lub z perłowéj macicy; każde z osobna w ręku wypiłowane utworzyły dzieło, które tylko w ręku najdoskonalszego artysty w tym stanie pokazać się mogło. Nietylko zaś sam wiérzch stołu, ale nawet krawędzie dookoła i boki, tudzież nogi ze wszech stron pełne są téj mozajki. Do tego należy 12 filiżanek porcelanowych i papiérowych, dwa dzbanki, cukierniczka oraz taca, każde w innym guście wyłożone. Wszakże lustr i nadzwyczajna trwałość lakieru do tego stopnia posunięta, iż w naczyniach, nawet na spirytusie gotować można, powiększają nieskończenie wartość roboty, która o ile jest wielka, dowodzi to, że do ukończenia stolika 12 lat potrzeba było (*). Samo wypiekanie, pokrywanie

(*) Dołączamy tu, wynaleziony w papiérach Dominika Estreichera opis sposobu, jakim on lakier do téj roboty urządzał, i samą robotę wykonywał:

Rozpuszczają się 3 łuty czystego, przezroczystego i jak najdrobniéj potłuczonego bursztynu w naczyniu nowém glinianém, polewaném, na wolnym ogniu lub na węglach. Naczynie musi być wprzódy dobrze rozgrzane i wysmarowane białą czystą kalafonią, a nawet i na dno naczynia dla pokrycia trochę kalafonii należy wsypać; poczém nakrywa się, i obsmarowawszy pokrywkę gliną, albo obłożywszy mokrą bibułą, aby dym nie wychodził i bursztyn tém łatwiéj roztopić się mógł, ustawiamy naczynie na rozżarzonych węglach przez pół godziny, poczém podnosząc pokrywę probujemy czystém drewienkiem, czyli bursztyn równo jest rozpuszczony, i czyli nakształt stopionego laku jednakowo do drewna przylega. Jeżeli jeszcze jest gruzłowaty, zostawia się dłużéj na węglach, uważając pilnie aby się nie przypalił, albo nie przyczerniał. Po należytém stopieniu, odstawiwszy gorące na-

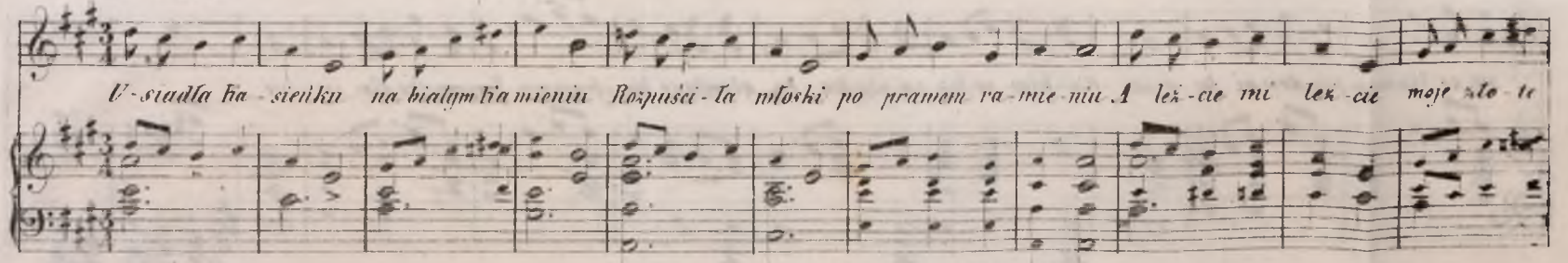
lakierem, szlifowanie i polerowanie cztérnaście razy powtarzane, cały rok zatrudniło artystę. Stolik ten jako najpiękniejsze dzieło w swoim rodzaju, powinien być umieszczony w najcelniejszém muzeum europejskiém, bo tam tylko znawcy oglądać go, poznać i prawdziwie ocenić zdołają.

czynie, dolewamy 1½ łuta dobrego malarskiego pokostu ciągle mieszając, a gdy nieco chłodnąć zaczyna, dodajemy ½ funta oleju terpentynowego, przecedzamy go przez płótno i przechowujemy w słoiku do użycia. Jeżeli jest nieco gęsty lub późniéj zgęstnieje, może być terpentynowym olejkiem rozrzedzony. Używając go do mozajkowéj roboty, gruntujemy czyli pociągamy nim za pomocą pendzla kilka razy przedmiot z porcelany, miedzi, lub inny metalowy, susząc za każdą razą w piecu piekarskim po wyjęciu chleba jeszcze dostatecznie rozgrzanym. Na przygotowany grunt, wkładają się bincetką lub szczypczykami właściwemi przysposobione wprzódy części metali perłowéj macicy i t. p. pilnikami i zegarmistrzowskiemi narzędziami jak najdelikatniéj wyrobione, smarując za każdą razą miejsce tym lakierem, aby należycie przylgnąć i przyschnąć mogły; a gdy już cały widok, bukiet i t. p. w ten sposób ułożony i ukończony zostanie, pokrywa się znowu wszystko razem tym samym lakierem, wysuszając za każdém przeciągnieniem w piecu, i to dopóty, póki nic z wyłożonych metali lub perłowéj macicy się nie pokaże, tojest, aby wszędzie lakierem było wypełnione. Poczém zbiéra się lakier czyli szlifuje się pomexem z wodą tak długo, aż dopóki cały bukiet, widok i t. d. na wiérzch nie wyjdzie, a nareszcie poleruje się tryplem wodą rozrobionym, cienką szmateczkę w nim maczając. Przy suszeniu w piecu, uważać należy ażeby się lakier nieprzepalił, i rzeczy perłową macicą wyłożone nie ucierpiały, co łatwo nastąpić może, jeśli piec jest zbyt gorący.

Lakier ten ze wszystkich jest najtrwalszy, najtwardszy i największe gorąco wytrzymujący; może być użyty do ciemnych kolorów jakoto: na brunatny drzewiasty, szyldkretowy, ciemno-zielony, ciemno-niebieski, a najpowszechniéj na kolor czarny, do czego służy kość spalona, albo angielskie sadze, z dodaniem małéj ilości indyktu; na kolor brunatny dodajemy nieco cynobru, na drzewiasty i szyldkretowy nieco cynobru i żółtego niedokwasu ołowiu, na ciemno-zielony tegoż z ilością indyktu, na ciemno-niebieski więcéj indyktu. Wszystkie te farby z terpentynowym olejkiem jak najdelikatniéj na kamieniu roztarte, mieszają się z lakierem.

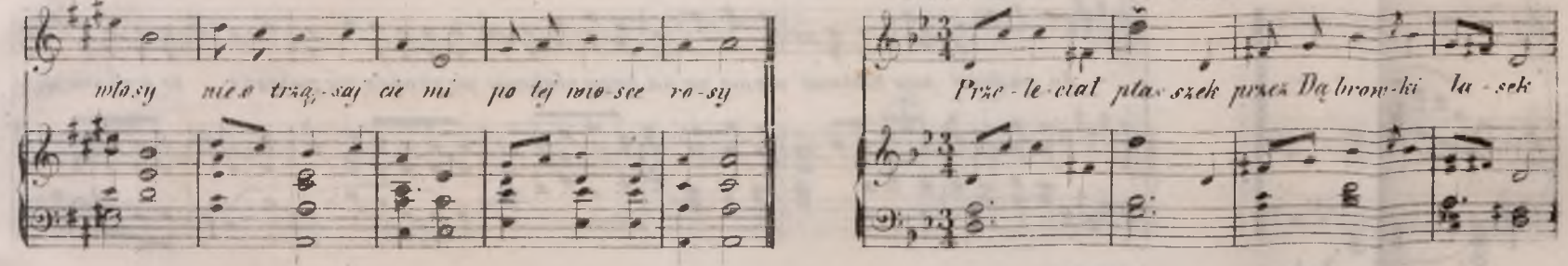
Do. №33.

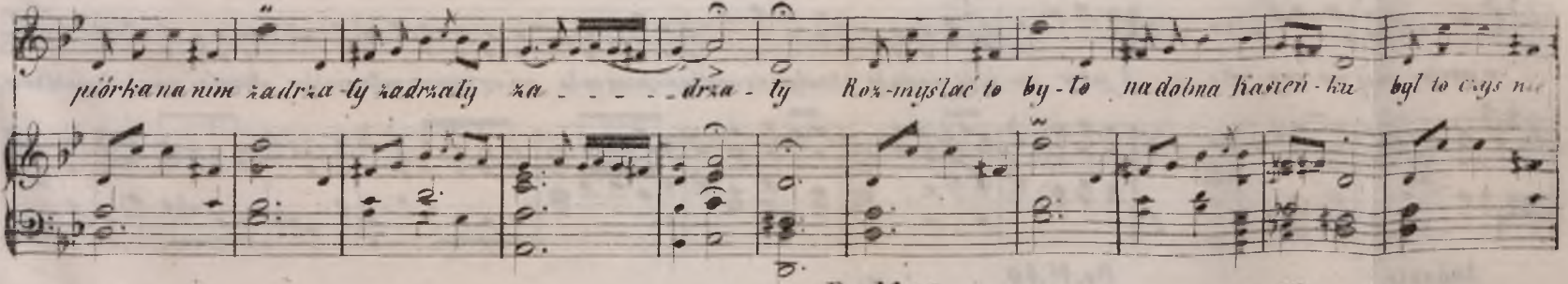
♩ = 120



Do. №35.

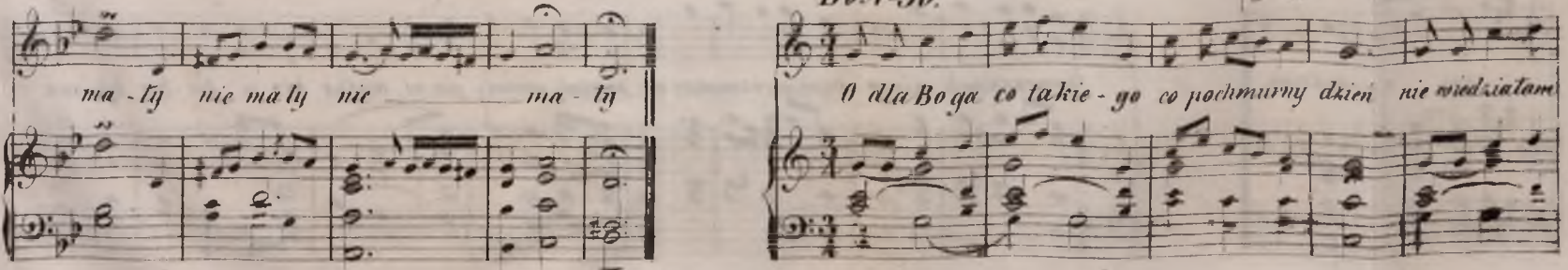
♩. = 108

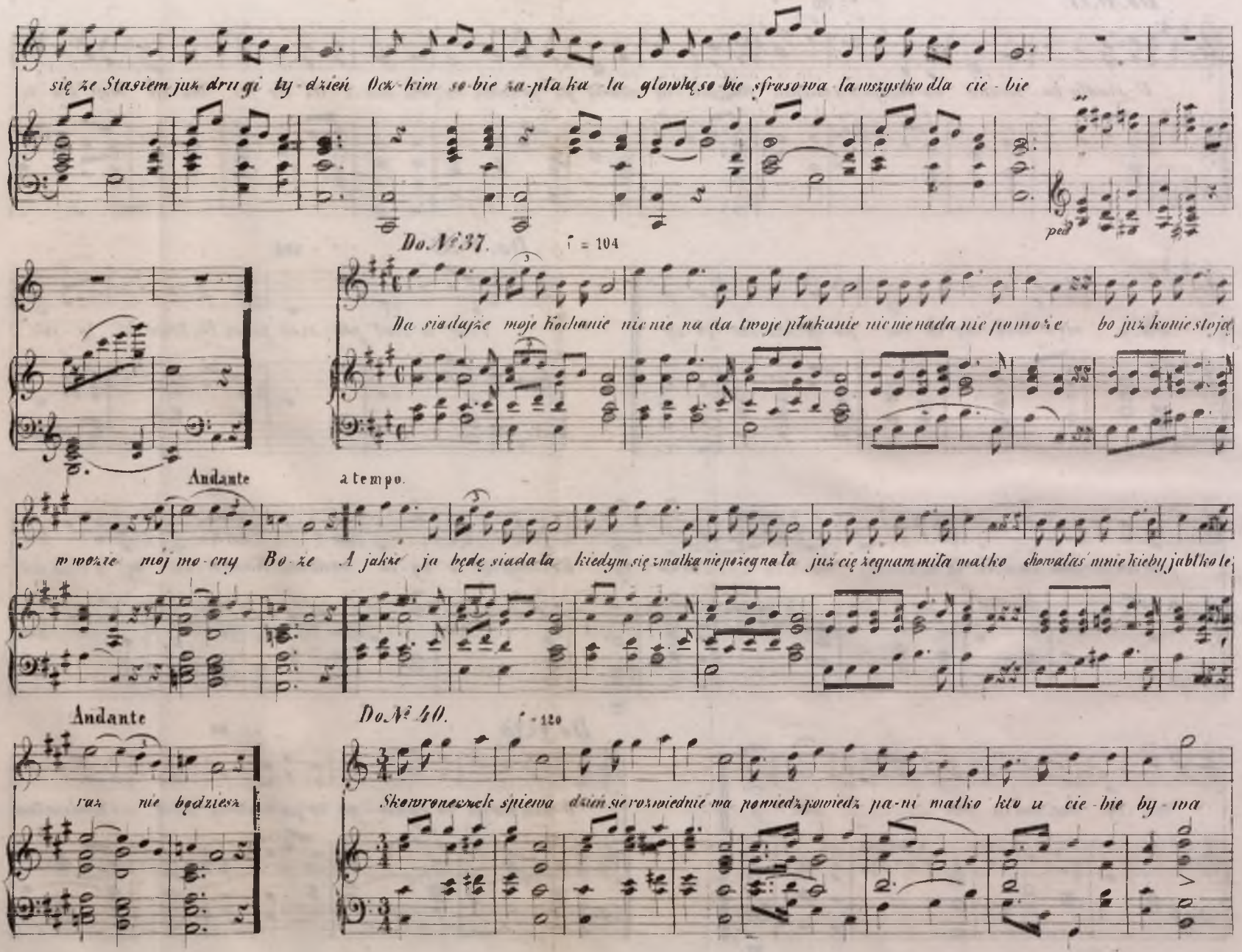


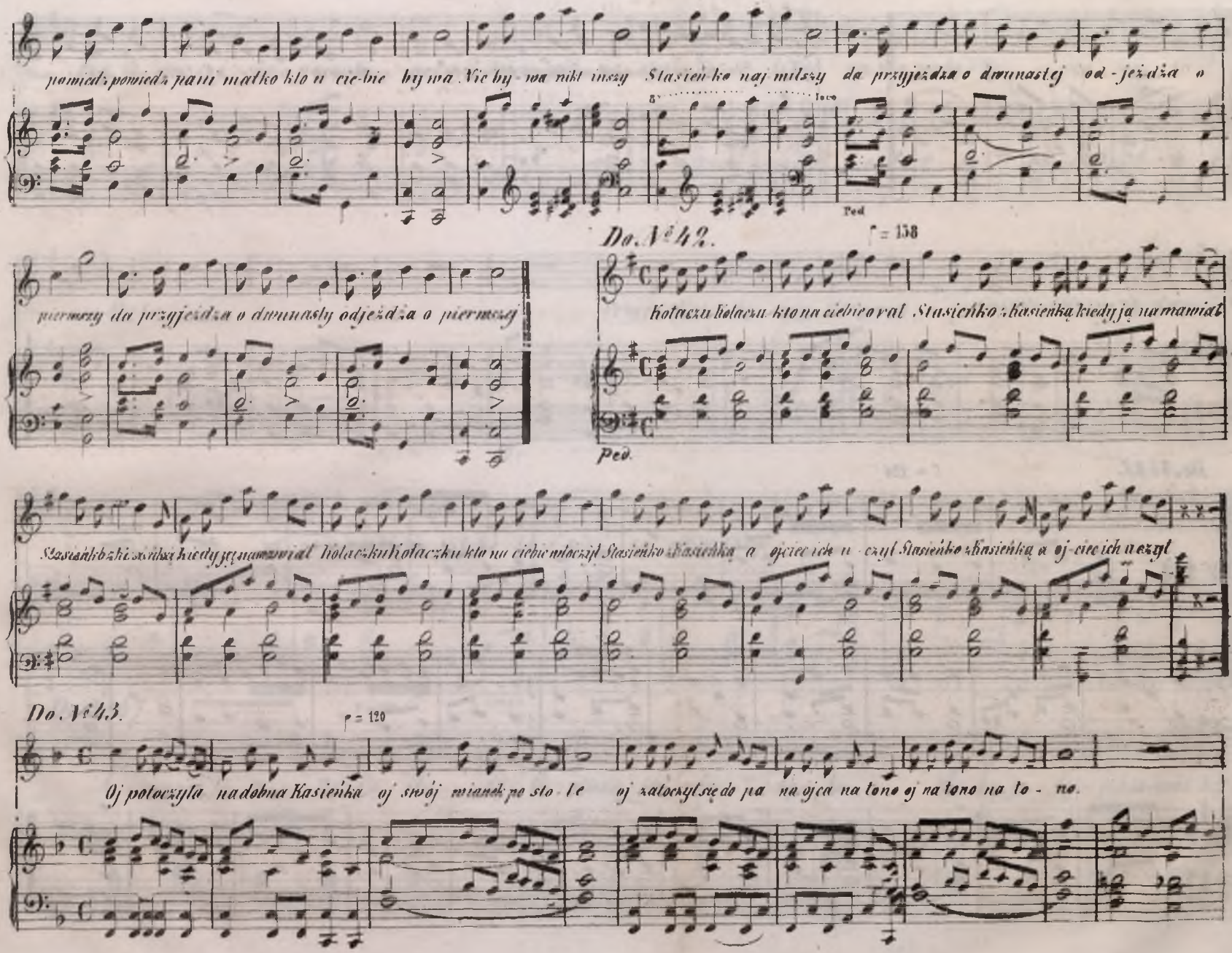


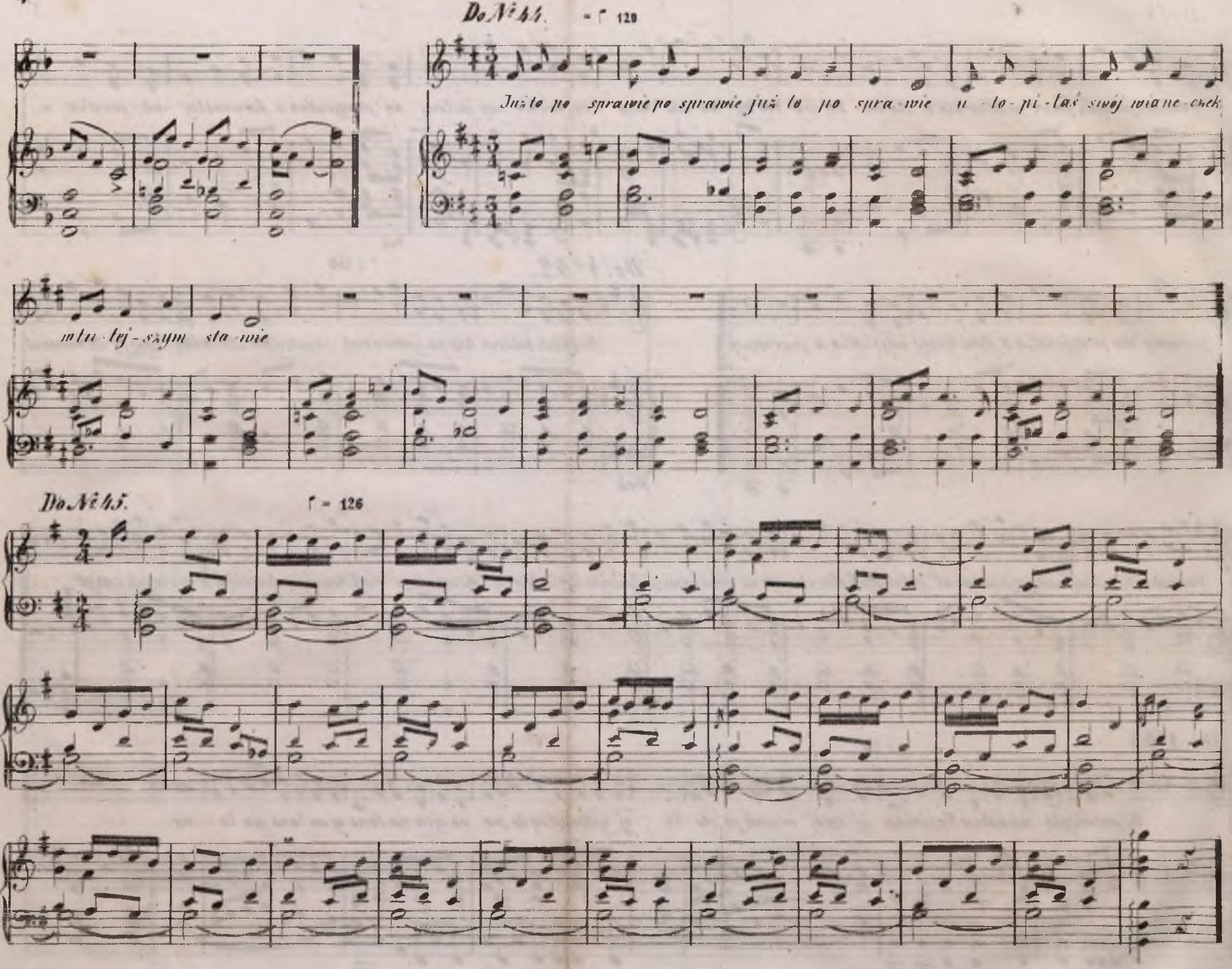
Do. №36.

♩ = 116




się ze Stasiem już drugi ty-dzień Och-kim sobie za-płaka-łam główkę sobie sfrasowa-łam wszystko dla cie-bie
ped
Do № 37.
♩ = 104
Na siadajże moje Kochanie nic nie na da twoje płakanie nic mi nada nie pomo-że bo już konie stoją
Andante
a tempo.
mi może mój mo-ny Bo-że A jakże ja będę siadała kiedym się z matką nie pożegnała już cię żegnam mi-ła matko chowałaś mnie kieby jabłko te
Andante
Do № 40.
♩ = 120
raz nie będziesz
Skowroneczek śpiewa dzień się rozwiednie ma pomiedz powiedz pa-ni matko kto u cie-bie by-wa


pomiedz powieda pani matko kto u cie-bie bywa Nie by-wa nikt inszy Stasieńko naj milszy da przyjeżdża o dwunastej od-jeżdża o
Do. № 42.
♩ = 138
pierwszy da przyjeżdża o dwunasty odjeżdża o pierwszej
Kołaczu kołaczu kto na ciebie czeka Stasieńko z Kasieńką kiedy ją namawiał
Ped.
Stasieńko z Kasieńką kiedy ją namawiał kołaczku kołaczku kto na ciebie miodził Stasieńko z Kasieńką a ojciec ich u-czył Stasieńko z Kasieńką a oj-ciec ich u czył
Do. № 43.
♩ = 120
Oj potoczyła na dobna Kasieńka oj swój wianek po sto-le oj zatoczył się do pa na ojca na tono oj na tono na to- no.


Do Nr 44. ♩= 120
Już to po spraw-ie po spraw-ie już to po spra-wie u-to-pi-tas swój wia-ne-czek
mu-lej-szym sta-wie
Do Nr 45. ♩= 126

Do № 46. ♩ = 126

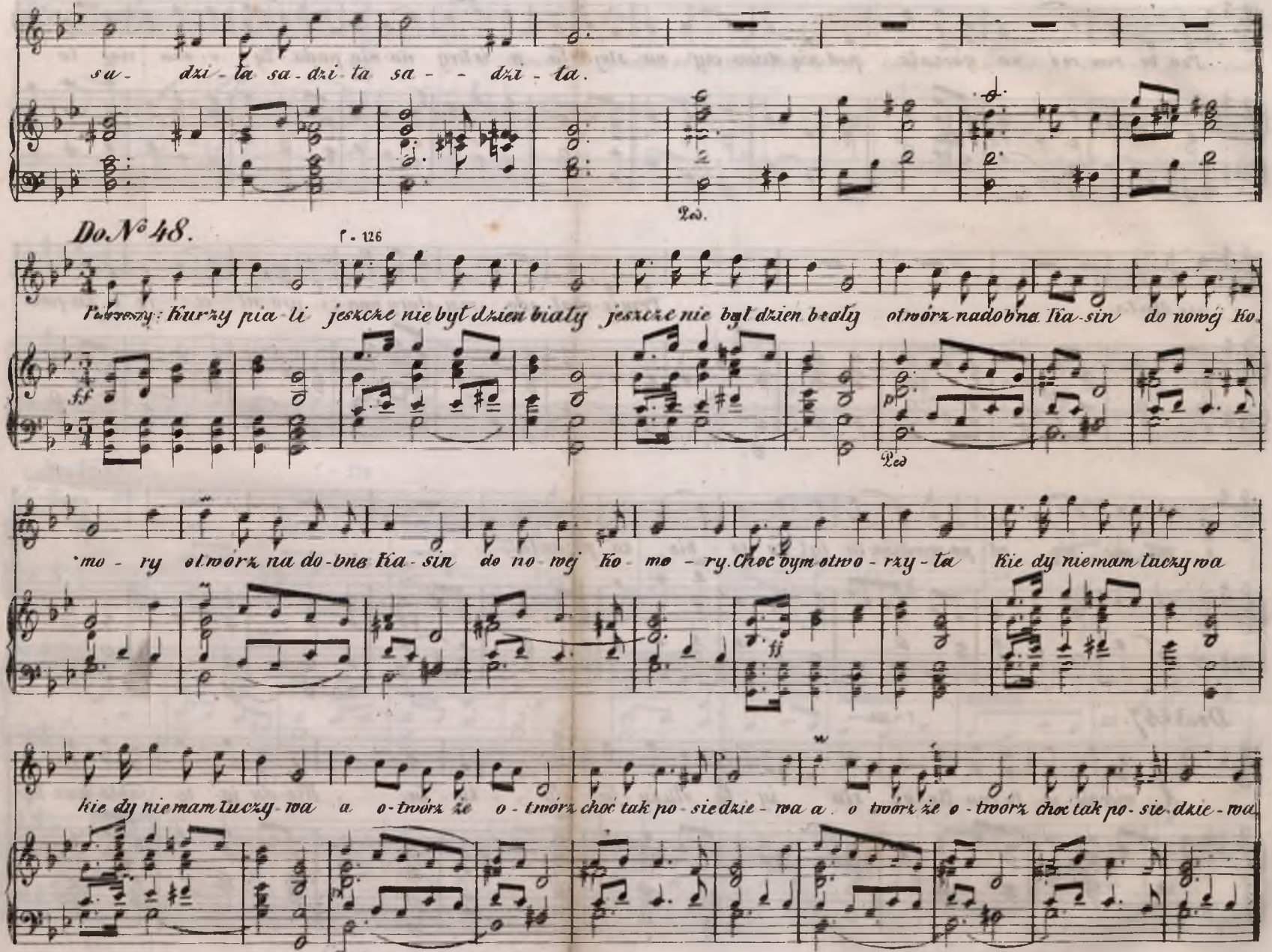
Pod bo rem sos - na gorzała pod nią dziew-czy- na stoja-ła a iskry na nią pada - ły o ona nic to

nie dbała Przyje-chał do niej stary pan i pro sił ci ją o żu-pan

o - na nic nie od po wiedzia ła tyl-ko so - bie za płakała.

Do № 47. ♩ = 100

A wiernie ja Pa-nu Bo-gu słu żyła służyła słu - - żyła Kie-dy ja tę jabło neczkę


su - dzi - ta sa - dzi - ta sa - - dzi - ta.
Ped.
Do № 48.
♩ = 126
Pobrzezny: Kurzy pia - li jeszcze nie był dzień biały jeszcze nie był dzień biały otwórz nadobna Ka - sin do nowej Ko
mo - ry otwórz na do - bna Ka - sin do no - wej Ko - mo - ry. Choć bym otwo - rzy - ła Kie dy niemam tuczy roa
kie dy niemam tuczy - roa a o - twórz że o - twórz choć tak po - siedzie - roa a o twórz że o - twórz choć tak po - sie dzie - roa
Ped

Pieśni ludu weselne.

(Dalszy ciąg.)

Z muzyką.

II.

Z powiatu Łęczyckiego i Gostyńskiego. Wsie Łazin, Orenice, Piekary, Bądków, Ciechosławice, Janków, Orłów, Łęki, Młogoczyn, Krzyżanów, Rustów, Kaszewy. Okolice miast Piątku i Kutna.

Rodzicom swojéj lubéj, oświadcza się pan młody za pomocą swatów prosząc o jéj rękę; nieodzownym do tego wstępem jest wódka, która również otrzymane tychże i dziéwczęcia przyzwolenie pieczętuje. Wtedy swat daje na zapowiedzi, i zaczynają robić przygotowania do wesela. Jakoż we dwa tygodnie późniéj wesele to ma miejsce. Podtenczas są zmówiny; w dniu na nie wyznaczonym, pan młody z przyjaciołmi i grajkiem podchodzi podedrzwi narzeczonéj, gdzie śpiéwają:

29. Otwórzże mi otwórz—kochaneczko piérwsza,
Jak mi nie otworzysz—otworzy mi insza.

Przy lub po uczcie, podochociwszy sobie, kilku z towarzyszów pana młodego z niecierpliwością wyśpiéwują:

30. 1. Jaworowe kółka—dębowa rozwórka,
Spodobała mi się, karbowego córka
Ale mi ją nie chcą dać.
Adyć ci ją dadzą—do dom odprowadzą
Tylko trzeba poczekać.
2. Jechałem na myszy—teraz ledwo dyszy
Ale mi jéj nie chcą dać,
Jechałem na szczurze—uwiązł-ci mi w dziurze,
Jeszcze mi ją nie chcą dać.
3. Jechałem na wole—uwiązł-ci mi w dole,
Ale mi ją nie chcą dać,
Jechałem na koniu—potknął się na błoniu,
Jeszcze mi jéj nie chcą dać.
Adyć ci ją dadzą—do dom odprowadzą,
Tylko trzeba poczekać.

Obchodząc w kilka dni później wieś, zapraszają przy muzyce kumostwo i znajomych na wesele; starszy swat lub druch prawi przy téj okazyi w tych słowach:

31. Do tego domu wstępujemy,
Dnia dzisiejszego czwartkowego.
Nie za mnie się poczęło
Nie na mnie się skończy.
Za Adama świętego,
Co nie słuchał przykazania Boskiego,
Jedna gołębica po niebie se latała,
Rozmaitego ziółka szukała;
Tak téż i pan młody szukał pani młodéj
Do siebie podobnéj.
Miał się do ojca sławetnego, do matki sławetnéj,
Nalazł se wreszcie żonkę do siebie podobną.
A wy gospodarze bądźcie honorni, wymowni,
Abyście tych dwojga ludzi do stanu małżeńskiego doprowadzić mogli.
Od stanu małżeńskiego,
Do domu weselnego.
Będziem tam mieli—cztérech kapeli,
Będziem tam wszyscy weseli.
Będą tam grali skrzypki,
Do tańca hybki,
Drugi na oboi,
Bo się Boga boi.
Trzeci na kobzie,
I ten zagra dobrze;
Czwarty w bas.
Na weselu się naje, napije—pójdzie do dom wczas.
A wy młodzi,
Wiécie co się wam godzi:
Korca owsa odżałować,
I koniczka wypucować.
Do kościoła droga wązka, długa,
Nie zajdzie kobyła chuda.
A wy druchniczki,
Fałdujcie spódniczki,
Pończoszki podwiązujcie tasiemeczkami, grochowineczkami
Abyście przed kościołem państwu młodym wstydu nie zadawali.
Prosiemy na tego wołcu,
Co wisi na krępolcu:
Drugi chodzi po oborze
Ten nam wiele dopomoże.
Na wieprza trzy lata tuczonego,

Naostatku we weselnym domu miotliskiem zatrąconego.
Prosiemy na parę kokoszy,
Co ich nigdy jastrząb nie rozproszy,
Na parę łabędzi
Co ich nikt do dom nie spędzi,
Na parę kuropatw (*),
Żeby pan młody pani młodéj przed ślubem nie dopadł,
A jak pan młody panią młodą dopadnie,
To jéj stanik opadnie.
A wy gospodarze,
Jeśli wam się nie udaje (podoba) w tém słowie albo w całéj mowie,
Bo my się nie uczyli w nijakiéj szkole;
Bo nasza szkoła,
Cepy i stodoła.

Po powtórzeniu kilkakrotném zaprosin, gdy się goście w skutku tychże w sobotę do chaty lub karczmy zebrali, przystępują do rozplecin warkocza. Druchny w imieniu usadowionéj na dzieży oblubienicy rozpoczynają śpiéw:

32. Uboga ja sieroteczka na świecie,
A któż mi ten złoty warkocz rozplecie?
A jestem ja starszy drużba służka twój,
I rozczesę i rozpletę warkocz twój.
Nie będziesz go marny chłopie rozpletał,
A bobyś mnie złote włosy podrapał.
O na stronę szpetny chłopie, na stronę,
Powiadają dobrzy ludzie: masz żonę!
O na śmieci szpetny chłopie, na śmieci,
Powiadają dobrzy ludzie: masz dzieci!
Matka: Siedź-że spokojnie na dzieży,
Niech ci się warkocz rozpierzy,
A jest-ci tam starszy drużka służka twój,
Co zaczesze i zaplecie warkocz twój.

Wśród rozplatania warkocza i wiązania wstążkami włosów, druchny:

33. Usiadła Kasienka na białym kamieniu,
Rozpuściła włoski po prawém ramieniu.
A plećcie mi plećcie moje złote włosy,
Niech nie otrząsają po téj wiosce rosy.

(*) Łabędzie tu wymienione, kokosze i kuropatwy, nigdy jednakże na stole biédnego chłopka niepostaną.

Nie będę ich pletła ani zakładała,
Co spojrzę na Stasia to będę płakała.

Po rozplecinach, ozdobiwszy głowę panny młodéj wiankiem i życząc pozostałym dobréj nocy, rozchodzą się.

Nazajutrz w niedzielę t. j. w dzień ślubu, druchny ubiérając pannę młodą śpiéwają:

34. Zielona ruta, jałowiec,
Lepszy młodzieniec niż wdowiec;
Bo u wdowca dzieci są
A młodzieniec tylko sam.
Zielona ruta żółty kwiat,
Już-ci Kasieńku trzeba w świat.

Całe grono drużbów i druchen stroi się w kwiaty, wieńce, bukiety, wstążki i kogucie lub sójcze pióra; podczas tego nucą:

35. Przeleciał ptaszek—przez Dąbrowski lasek
Piórka na nim zadrżały;
Rozmyślać to było—nadobna Kasieńku
Byłto czas niemały.
Nie tera to tedy—kiedy niéma kiedy
Hej Kasieńku moja.
Chodziła Kasieńka po wysokiéj górze,
Nosiła wianeczek na jedwabnym sznurze;
Nosiła nosiła, aż ci go zgubiła,
Znalazł go Stasieniek jak jechał z Torunia.
Oddaj-że mi Stasiu ubogiéj siérocie,
Szukaj sobie takiéj co chodzi we złocie.
Gdybyś była Kasiu uboga siérota
Nie miałabyś wianka ze szczérego złota.

*

A w tym ogródeczku czerwone makówki,
Moja ty Kasiuniu nie psuj sobie główki.
Jak kwiatki oblecą, pręciki zostaną,
Pamiętáj Kasiuniu żebyś była stałą.
A w tym ogródeczku czerwone gwoździki,
Zakładaj, zaprzęgaj, te kare koniki.
Jakże je zaprzęgać kiedy się plątają,
Ciężki żal dziewczynie kiedy jéj ślub dają.
A widzisz Kasieńku tę Orłowską wieżę
Już tam czterma końmi twój wianeczek wiozą.
A bodaj te konie, bodaj pozdychały,
Za mój to wianeczek, za mój to ruciany.

Kiedy wozy zajadą po państwa młodych i całą ciżbę weselną, druchny śpiewają:

36. O dla Boga co takiego co pochmurny dzień,
Nie widziałam się ze Stasiem już drugi tydzień,
Oczkim sobie zapłakała,
Główkęm sobie sfrasowała,
Wszystko dla ciebie.
Zakładajcie, zaprzęgajcie te siwe klacze,
Niech ja jadę, niech zobaczę jego pałace.
Zaprzęgajcie a czémprędzéj
Oj nie róbcie sercu ciężéj
Matulu moja.
Jak-ci po mnie przyjedziecie, to mnie szukajcie,
A jak-ci mnie nie znajdziecie, matki pytajcie.
Ja wam się będę zdrażała,
Matka będzie prawdę chciała,
Gwałtem mnie bierzcie.
Do kościoła przyjechała, rączkę podała,
Posłuszeństwo i małżeństwo przyobiecała,
Posłuszeństwo aż do śmierci,
Dopomóżcie wszyscy święci,
Sam Panie Boże.
Pocóżeś mnie pani matko za mąż wydała
Kiedy ja się w gospodarstwie nie rozumiała.
W gospodarstwie trzeba robić,
Mało kiedy pięknie chodzić
Matulu moja.
Miło było matuleńce słuchać muzyki,
Kiedy grali pod okienkiem kieby słowiki,
A mnie teraz nic nie miło,
Nie dawać mnie za mąż było
Matulu moja.
Świadomości matuleńce wszystkiego złego
Że za mężem nie użyje żona nic dobrego,
Tylko biédy i niewoli
Od frasunku głowa boli
Matulu moja.

Wtedy drużba i druchny razem podnoszą głos:

37. Da siadajże moje kochanie
Nic nie nada twoje płakanie:
Nic nie nada, nie pomoże,
Bo już konie stoją w wozie
Mój mocny Boże.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z matką nie pożegnała.
Już cię żegnam miła matko
Chowałaś mnie kieby jabłko
Teraz nie będziesz.
Da siadajże moje kochanie
Nic nie nada twoje płakanie;
Nic nie nada, nie pomoże
Bo już konie stoją w wozie
Mój mocny Boże.
A jakże ja będę siadała
Kiedym się z ojcem nie pożegnała.
Już cię żegnam miły ojcze
Wychowałeś dla mnie wołce (wołki)
Teraz nie będziesz.
Da siadajże i t. d.
A jakże ja będę siadała
Kiedym się z siostrą nie pożegnała.
Już cię żegnam miła siostro
Sprawiałaś się dla mnie ostro
Teraz nie będziesz.
Da siadajże i t. d.
A jakże ja będę siadała,
Kiedym się z bratem nie pożegnała.
Już cię żegnam miły bracie
Chowałam ja bata na cię
Teraz nie będę.
Da siadajże i t. d.
A jakże ja będę siadała
Kiedym się z progiem nie pożegnała.
Już was żegnam miłe progi
Bywały tu moje nogi
Teraz nie będą.
Da siadajże i t. d.
A jakże ja będę siadała
Kiedym się z ławą nie pożegnała.
Już was żegnam miłe ławy
Bywały tu moje sprawy
Teraz nie będą.

Rozrzewnienie ogarnęło wszystkich; i wśród przeprosin wsiadają na wozy. Przybywszy na cmentarz kościelny zatrzymują się, a druchy i druchny w imieniu pana i panny młodéj odzywają się:

38. Jeszczem ja nie twoja—jeszczem ja jest wolna.
A jak pójdziesz do kościoła—a tak będziesz moja.
Jeszczem ja nie twoja—jeszczem ja jest wolna.
A jak pójdziesz do ołtarza—a tak będziesz moja.

Przed samém wejściem do kościoła odśpiewują jeszcze:

39. Pod borem sosna—pod nią topola,
Powiédzże mi moja Kasiu czy będziesz moja?
Nie mogę wiedzieć—ani powiedzieć,
Bo ja mała niedorostka—nie umiem robić.
Jest na boru wić—nauczy robić,
W ogródeczku miotełeczka—na rano budzić.
Cożeś ty za pan—co cię kochać mam,
Wszystka twoja krestencyja ten modry żupan.
Coś ty za pani—co gardzisz nami,
Wszystka twoja krestencyja wianek ruciany.
Nad moim wieńcem—winkrate (*veni creator*) grają
A nad twoją żupaniną wrony krakają.
Powiédz Kasiu raz—komu wianek dasz?
Tobieć to tobie najmilszy—w kościele przy mszy;
Tam nam będą grać—tam będą śpiéwać
Tam będziemy razem klęcząc łzy swe wylewać.
Drużki, drużbeczki—dajcie chusteczki
Niech ja wezmę, niech ja otrę Kasiuni oczki.
Ja jéj uciéram—a ona płacze
Dla ciebie ja najmilejszy—swój wianek tracę.

Następuje akt ślubny, potém orszak powraca; niektórzy z gości wstąpili jeszcze na gawędę do karczmy. Starszy drużba popędza swego konia, a w czasie kiedy powracającym muzyka przygrywa weselnego marsza, wyprzedza on całe towarzystwo i biegnie cwałem do domu; przybywszy chwyta chléb w jednę a batóg w drugą rękę, i trzymając czeka na progu przybycia panny młodéj; za zbliżeniem się tejże, pyta: „Co wolisz, chléb czy pana młodego?" Gdy ta odpowié że chélb, uderza ją batogiem, co dopóty powtarza, dopóki ona nie wyrzeknie:

Chleb i pana młodego
Żeby zarabiał na niego.

Poczém wpuszcza ją do chaty, a drużba z panem młodym wyśpiewuje u wrót:

40. Skowroneczek śpiéwa
Dzień się rozwidniwa.

Powiédz, powiédz pani matko kto u ciebio bywa?
Nie bywa nikt inszy,
Stasieńko najmilszy;
Da przyjeżdża o pół nocy—odjeżdża o piérwszéj.
Z tamtéj strony pólka
Zieleni się chójka,
Powiédz powiédz pani matko—kędy twoja córka?
W ogródeczku była
Trzy wianeczki wiła
Jeden sobie, drugi tobie—trzeci powiesiła.
I powiesiła go
W sieni nadedrzwiami,
A co wejdzie ojciec, matka—zalejo się łzami.
Nie płacz pani matko
Nie żałujcie tego
Jadaliście, pijaliście—za talarki jego.
Otwórz do skrzyneczki
I dobądź chusteczki
Srébrem, złotem haftowane—w drobne listereczki.

Po prześpiewaniu tych zwrotek wchodzą do chaty: Niech będzie pochwalony, i t. d. Śniadają, gwarzą, a niekiedy i tańczą aż do obiadu, który z różnego mięsiwa, jako wołu, drobiu, flaków, kapusty i pasternaku się składa. Najważniejszą wszelako potrawą jest groch; kiedy go dadzą na stół, przyśpiewują popijając piwo:

41. Zasadziłem grochu
Tam przy przełogu;
Przy przełogu—przy dolinie
A w tym grochu wieprzak ryje,
I wyrył-ci złote ziarno,
Już ci pilno moja panno.

W końcu druchny wnoszą ogromny kołacz i rozkrawają go. Drużbowie przy téj okazyi wyśpiewują:

42. Kołaczu, kołaczu—kto na ciebie orał?
Stasieńko z Kasieńką—kiedy ją namawiał.
Kołaczu, kołaczu—a kto ciebie włóczył?
Stasieńko z Kasieńką—a ojciec ich uczył.
Kołaczu, kołaczu—kto ciebie podsiewał?
Stasieńko z Kasieńką—kiedy się tam kiwał.
Kołaczu, kołaczu—kto ciebie z pola wiózł?
Stasieńko z Kasieńką—popsował się im wóz.
Kołaczu, kołaczu—kto cię do młyna wiózł?
Stasieńko z Kasieńką—popsował się im wóz.

Kołaczu kołaczu—kto cię na kosz nosił?
Stasieńko z Kasieńką—ojciec o to prosił.
Kołaczu, kołaczu—kto cię ze młyna wiózł?
Stasieńko z Kasieńką—popsował się im wóz.
Kołaczu, kołaczu—kto na cię rozczyniał?
Pani matka rozczyniała—a drożdży nie miała.
Kołaczu, kołaczu—kto na ciebie palił?
Stasieńko z Kasieńką—a ojciec ich chwalił.
Kołaczu, kołaczu—kto z pieca wymiatał?
Stasieńko z Kasieńką—po brzuszku ją drapał.
Kołaczu, kołaczu—kto ciebie rozkrawał?
Starsza druchna rozkrawała—ludziom rozdawała.
A wy ludzie pożywajcie
Po kieszeniach nie chowajcie.

Po uczcie towarzystwo podziękowawszy panu Bogu i gospodarzowi idzie w taniec lub rozchodzi się do domów. Nazajutrz w poniedziałek przed lub po obiedzie, zabiérają się do oczepin, czego dopełniają przy śpiewie:

43. Oj potoczyła nadobna Kasieńka,
Oj swój wianek po stole,
I zatoczył się do pana ojca na łono
Oj na łono na łono.
A weźże go, weźże—mój panie ojcze,
Oj weźże go, weźże go.
Oj nie chcęć go,—ty moja córko
Oj ni ciebie, ni ciebie.
Oj potoczyła nadobna Kasieńka
Da swój wianek po stole.
I zatoczył się do pani matki na łono,
Oj na łono, na łono.
A weźże go, weźże—moja pań-matko
Oj weźże go, weźże go.
Oj nie chcęć go, nie chcę—ty moja córko
Oj ni ciebie, ni ciebie.
Oj potoczyła nadobna Kasieńka
Oj swój wianek po stole.
I zatoczył się do pana młodego na łono
Oj na łono, na łono.
A weźże go, weźże—mój panie młody
Oj weźże go, weźże go.
Oj wezmęć go, wezmę—ty moja kochanko
Oj i ciebie, i ciebie.

Wtedy druchny rozrywają i dzielą między siebie wieniec zdjęty z głowy panny młodéj, i zatykają po kilka kwiatów każda za swój gorset; a przy obcięciu warkocza nucą jéj:

44. Jużto po sprawie po sprawie—już to po sprawie,
Utopiłaś swój wianeczek w tutejszym stawie.
A sięgaj-że go sięgaj—prawą rączką do dna,
A jeśli go dostaniesz—toś go jeszcze godna.
Dostała, dostała—ale już nie cały,
Cztéry kwiatki rumianeczki z niego wyleciały.

Podczas oczepin, starszy drużba a za nim inni sprzeciwiają się panniemłodéj; co który podejdzie to jéj czépek zdejmie z głowy a natomiast swoją czapkę kładzie; ta zaś wśród ciągłych żartów i śmiechów gości zdziéra ją i rzuca o ziemię; poczém (gdy ta igraszka kolejno się odbyła) swachny już ostatecznie i bez przeszkody wdziewają i przypinają jéj czépiec.

Nie chciała chodzić w wianeczku
Niechajże chodzi w czépeczku.

A starsza swachna obchodzi z talerzykiem w ręku, prosząc obecnych o datek dla panny młodéj.

45. A trzeba dać pani młodéj, trzeba dać,
Nietrzeba jéj sto talarów żałować.
Trzeba jéj dać na korytko
I na sitko, i na wszytko.
A trzeba dać panimłodéj trzeba dać,
Nietrzeba jéj sto talarów żałować.

Po oczepieniu i prześpiewaniu znanéj piosenki o chmielu, starszy drużba ująwszy pannę młodą do tańca, przez swawolę porywa z komory prześcieradło ze świéżo usłanego małżeńskiego łoża, obwija się niém w różne kształty, i nie puszczając pannymłodéj, wśród tańca zarzuca na nią ciągle i zręcznie takowe prześcieradło, z którego ona zapłoniona pośród śmiéchu obecnych wywikłać się usiłuje. Zadowolenie maluje się wówczas na wszystkich twarzach; tany, pijatyka, gwary i swary wzmagają się; każden się bawi, nikt nie hamuje swojéj wesołości. Pan młody nie tańczy tego wieczora ze swoją nowo poślubioną; dopiéro koło północy, wykupuje ją piwem i wódką z rąk swachen i druchów.

Po północy, przed wyprowadzeniem panny młodéj do komory celem rozebrania jéj, druchny nucą:

46. Pod borem sośnia gorzała,
Pod nią dziewczyna stojała,
A skry na nią padały,
Ona na to nie dbała.
Przyjechał do niéj stary pan,
I prosił ją o żupan.
Ona na to nic nie odpowiedziała,
Tylko sobie zapłakała.
Przyjechał do niéj młodzieniec,
Prosił ją ślicznie o wieniec.
Jest-ci ich tam w ganku sześć,
Wybierz sobie który chcesz.

Przy rozbiéraniu panny młodéj w komorze, druchny nucą gasząc świéczkę po świéczce:

47. A wiernie ja panu Bogu służyła,
Kiedym ja tę jabłoneczkę sadziła,
Sadziłam ją w ogródeczku przy drodze,
A którędy mój Stasieńko pojedzie.
A nie wyszło jabłoneczce godzina,
Już się moja jabłoneczka przyjęła.
A nie wyszło jabłoneczce pół roka,
Już-ci moja jabłoneczka wysoka.
A nie wyszło jabłoneczce dwie lecie,
Już-ci moja jabłoneczka biało krzcie (kwitnie).
A nie wyszło jabłoneczce trzy latka,
Już na mojéj jabłoneczce są jabłka.
Czerwone mi jabłuszeczka rodziła,
Zielonemi listeczkami okryła.
Urwała ich panna młoda dwanaście,
I zaniosła do komory starościc,
A starosta, pan starosta, mocny pan,
Zasadził-ci pannę młodą za swój stół;
Pan starosta po pokoju wywija,
Szabeleczką jabłuszeczka rozcina;
Starościna się dowiedziała,
I Kasieńkę wygnała.

Ledwo to prześpiewali, drużbowie z panem młodym odzywają się pododrzwiami komory (na co im druchny wewnątrz będące odśpiéwują):

48. 1. Piérwsi kurzy piali,
Jeszcze nie był dzień biały.

Otwórz nadobna Kasiu, do téj nowéj komory.
Choćbym otworzyła,
Kiedy nie mam łuczywa (*poświecić*).
A otwórz-że otwórz, choć tak posiedziewa.
Stojał Stasio godzinę,
Stójże jeszcze chwilę;
Aże ja tu panu ojcu koszulki doszyję.
2. Drudzy kurzy piali,
Jeszcze nie był dzień biały.
Otwórz nadobna Kasiu— do téj nowéj komory,
Choćbym otworzyła,
Kiedy nie mam łuczywa.
A otwórzże otwórz—choć tak posiedziewa.
Stojał Stasio godzinę,
Stójże jeszcze chwilę,
A jeszcze ja pani matce czépeczka doszyję.
3. Trzeci kurzy piali,
i t. d. i t. d.
A jeszcze ja młodszéj siostrze chusteczki doszyję.
4. Czwarci kurzy piali,
i t. d. i t. d.
A jeszcze ja panu bratu—porteczek doszyję.

—

A przecież się Boga bójcie,
Dyć nas poczęstujcie:
A jeżeli nie gorzałką,
To za plecy pałką.

—

A zasztukaj-że zapukaj,
Do téj nowéj budki,
Przecież się nas użałują,
To nam dadzą wódki.

Wtenczas otwiérają i wpuszczają pana młodego i męszczyzn częstując wódką. Panna młoda żegna druchny:

49. Bądźcie zdrowe druchny moje,
Oddaję wam szczęście swoje.
Żeby wam się tak szczęściło,
Jako i mnie panną było.
Bądźcie zdrowi wy swachowie,
Przyjmijcie mnie białogłowie (*zamiast białogłowy*).

Swaty, swachny, druchy, druchny, i całe grono weselne, poleciwszy nareszcie nowo-zaślubionych opiece Najwyższe-

go, i łyknąwszy na dobitkę sporą miarkę wódki, opuszcza chatę i rozchodzi się po wsi. Pieśń o jabłoneczce N. 47 śpiewają niekiedy na drugi lub trzeci dzień po ślubie. Wesele trwa jeszcze kilka dni; jednak w kilka tygodni dopiéro pan młody wchodzi do swoich praw jako małżonek.

Uwaga. Melodye do śpiéwów pod liczbą 30, 34, 38 i 39, znajdują się w dawniejszym zbiorze moim, wyd. w Poznaniu u Żupańskiego pod Nr. 28, 47, 83 i 98. Zobacz również Nr. 59, 121 i 125.

(d. c. n.)

Oskar Kolberg.

Zwyczajna historya.

W dzisiejszéj rossyjskiéj literaturze romans, szczególniéj zaś powieść, zajmuje bardzo wysokie stanowisko, i w ogóle przedstawia głębokie rozwinięcie kwestyj socyalnych i psychologicznych. Wielu znakomitych pisarzy odznacza się niepospolitym talentem w tym ważnym rodzaju literatury (Gogol, Pawłow, książę Odojewski, Weltman, Grebionka, hrabia Sołohub, Panajew, Dal i in.). Pomimo tego, ukazują się czasami autorowie jeszcze nieznani i po raz piérwszy występujący z swojemi utworami, które śmiało można policzyć do pięknych zjawisk w literaturze. Niedawno w petersburskiém peryodycznem piśmie p. t. *Współczesnik* (*Sowremennik*, N. 3 i 4, 1847 r.), przeczytaliśmy bardzo zajmujący romans: *Zwyczajna Historya*, w 2ch częściach, przez autora zupełnie dotąd nieznanego, p. *Gonczarowa*. Zastanowiła nas sztuka z jaką napisane jest to dzieło, i wielka znajomość serca ludzkiego. Treść tego romansu nader jest prostą, bez nagromadzenia i zawikłania cudownych wypadków; autor wystawia dwa, że tak powiém typy: młodego człowieka z ukształceniem, wychowanego na prowincyi, który przyjeżdża do Petersburga pełen zapału młodocianéj duszy, zachwycony poezyą i pragnący poznać świat;

drugi, wuj jego, człowiek ukształcony, jeszcze w sile wieku, człowiek praktyczny i obeznany ze światem. Na starciu się tych przeciwnych sobie charakterów, oparty jest romans, czyli inaczéj mówiąc: treścią jego jest walka między porywczém, młodém uczuciem, a silną i doświadczoną wolą. Taka jest podstawa téj *Zwyczajnéj Historyi*, jak nazwał ją sam autor, a cała zawarta jest w myślach i spostrzeżeniach psychologicznych. Jak np. pięknie oddał autor prawą miłość matki, i w ogóle kobiéty, w następującém miejscu:

„Matki nie oczekują nagrody. Oczekuje i żąda nagrody ta miłość, która się nie daje darmo, lecz którą, Bóg wié dlaczego, nazywają bezinteresowną; bo musisz wszystko jéj poświęcić, wsławić się lub poniżyć dla niéj, pracować lub być nieczynnym; musisz dla niéj roztoczyć skrzydła i lecióć lotem orła, lub zwinąć się jak piesek u nóg pięknéj kobiéty, a w przypadku trzeba oddać i życie. Wszystkie te blade, zamyślone, *wybrane dziewice*, które mówią o tajemniczéj *sympatyi dusz*, *o przeczutém naprzód spotkaniu się z kochankiem*, które w tchnieniu wietrzyka i szemraniu strumyków słyszą jego głos; i te ogniste czarnookie brunetki, które w popędliwéj zazdrości chwytają sztylet; i te łagodne, wiecznie uśmiechające się piękności, z zamyślonym wzrokiem i jasnemi włosami, wszystkie kochają w swoim przedmiocie blask chwały, rozumu, kształtną powierzchowność, lub przynajmniéj blask — pieniędzy. Przed niémi trzeba błyszczéć, wywyższać się nad tłum, dokazywać cudów, ażeby piękna kobiéta mogła być dumna z ciebie; lecz jeżeli tém zaślepić jéj nie podołasz, trzeba zaślepić podarunkami. Wtedyto obsypią cię mirty i zaczarują łaski, łzy; wtedy to zaczną się *przechadzki przy księżycu*, *rozmowy nie mające związku*, *lecz pełne powabu*, i wszystkie tajemnice miłości! Gdy zaś nie masz tego wszystkiego i niczém nie błyszczysz, daj pokój: jesteś niepotrzebny; zdradzą cię, zobojętnieją dla ciebie..... wezmą innego, który błyszczy."

„Tylko miłość matki, nie zmienia się i nie obojętnieje; nic nie jest w stanie ani zmniejszyć, ani przekupić jéj. Cały wiek jest jedna i taż sama. Matka kocha prostodusznie

i bez zastanowienia się. Czy jesteś wielkim, sławnym, pięknym, dumnym; czy imię twoje przechodzi z ust do ust, czy grzmią chwałą czyny twoje w świecie; głowa sędziwéj matki trzęsie się z radości; ta matka płacze i śmieje się, i szepcze: „To mój!" A potém zapali lampkę przed obrazem Zbawiciela i modli się długo i gorąco. Syn zaś po większéj części ani myśli podzielić się chwałą ze swoją matką. Czy ubogi jesteś duchem i rozumem, czy natura odznaczyła cię piętnem niekształtności, czy żądło boleści gryzie twoje serce lub ciało, czy nakoniec powszechna wzgarda ciąży nad tobą, czy ludzie odpychają cię od siebie i niémasz między niemi miejsca dla ciebie,—tém więcéj jest miejsca w sercu matki. Jeszcze mocniéj przyciska do piersi szpetne, nieszczęśliwe dziecko, i jeszcze dłużéj i gorliwiéj modli się za niego."

Ażeby czytelnikom dać wyobrażenie, z jakim talentem autor, przejęty postępowym duchem wieku współczesnego, skréślił uderzający swoją oryginalnością charakter p. P*** wuja młodego egzaltowanego człowieka, wystawionego w tym romansie, przeczytajmy następne miejsce:

Pan P*** zastał swego siostrzeńca piszącego list do przyjaciela, w którym ten młody człowiek opisywał swego wuja. Pan P***, przeczytawszy ten list powiedział:

— Myślisz, że napisałeś prawdę?

— O, wujaszku!... Bez wątpienia, omyliłem się... Zmienię ten list... Przepraszam.

— Chcesz? podyktuję ci prawdę.

— Bardzo proszę....

— Siadaj i pisz.

Alexander dostał arkusz papiéru i wziął pióro; pan P*** patrząc na dopiéro przeczytany list siostrzeńca, dyktował:

„Kochany przyjacielu!"

— Napisałeś?

— Napisałem.

„Petersburga i wrażeń moich opisywać ci nie będę."

— Nie będę, powtórzył Alexander napisawszy.

„Petersburg już oddawna jest opisany, co zaś pozostało nieopisaném, trzeba to widzieć samemu; wrażenia moje na nic ci się nie przydadzą. Niewarto napróżno tracić czas i papiér. Najlepiéj zrobię, gdy ci opiszę mego wuja, albowiem to obchodzi mnie osobiście."

— Wuja, powtórzył Alexander.

— Widzę, piszesz tu, że jestem dobry i rozumny; być może i nie, weźmy lepiéj środek między tém; pisz.

„Mój wuj nie jest głupim i złośliwym, życzy mi dobrze."

— Wujaszku! umiem cenić i czuć, powiedział Alexander i chciał go ucałować.

„Chociaż nie wiesza mi się na szyję," daléj dyktował pan P***. Alexander nie mogąc dostać się do niego, aby go uścisnąć, prędko usiadł na swojém miejscu.

„Życzy dobrze dlatego, że niéma przyczyny i pobudki życzenia złego, i dlątego, że za mną prosiła moja matka, która niegdyś i dla niego była dobrą. Mówi, że mnie nie kocha, i to bardzo słusznie: przez dwa tygodnie nie można pokochać osoby, i ja go téż jeszcze nie kocham, chociaż zapewniam go przeciwnie."

— Jak to można pisać? powiedział Alexander.

— Pisz, pisz:

„Lecz zaczynamy przyzwyczajać się jeden do drugiego. Wuj nawet mówi, że można wcale obejść się bez miłości; nie siedzi przy mnie od rana do wieczora, nie pieści się ze mną, bo uważa to za rzeczy wcale niepotrzebne, prócz tego nie ma czasu."

— „Nieprzyjaciel serdecznych tłumaczeń się." To miejsce w twoim liście można zostawić, to jest dobrze. Czy napisałeś?

— Napisałem.

— Cóżeś tu napisał: *umysł prozaiczny, zły duch*..... Pisz.

Nim Alexander pisał, pan P*** wziął ze stołu jakiś papiér, zwinął go, dostał ognia i zapalił cygaro; papiér zaś rzucił i przydeptał.

„Mój wuj nie jest ani złym duchem, ani aniołem, lecz takim człowiekiem jak wszyscy," dyktował pan P***, „lecz

tylko niepodobny do mnie i ciebie. Myśli i czuje po ziemsku; powiada, że skoro żyjemy na ziemi, nie trzeba odlatać z niéj do nieba, dopóki nas tam nie zawołają, lecz trzeba zajmować się ludzkiemi sprawami, do których jesteśmy powołani. Dlatego wuj zastanawia się nad wszystkiém, co jest ziemskie, a między innemi rzeczami nad życiem, jakie jest, lecz nie takie, jakbyśmy je sobie chcieli wystawiać. Wierzy w dobre i razem w złe, w piękność i szpetność! W miłość i przyjaźń także wierzy, tylko nie myśli, aby one spadły tu z nieba w błoto, lecz utrzymuje, że stworzone są razem z ludźmi i dla ludzi, że właśnie tak je trzeba rozumieć i w ogóle uważać rzeczy zblizka, z prawdziwéj ich strony, lecz nie unosić się Bóg wie gdzie. Przypuszcza, że między ludźmi poczciwemi może istnieć wzajemna przychylność, która przy częstych stosunkach i przyzwyczajeniach obraca się w przyjaźń; lecz utrzymuje także, że w rozłączeniu się przyzwyczajenie traci siłę, i ludzie zapominają jeden drugiego, i że to wcale nie jest występkiem. Dlatego wuj zapewnia, że ja zapomnę o tobie, ty zaś o mnie. Bez wątpienia, i mnie i tobie zdaje się to być niedorzecznem, lecz on radzi przyzwyczaić się do téj myśli, w skutek czego obydwa nie oszukamy się. O miłości ma takież same zdanie z małemi odcieniami: nie wierzy w niezmienną i wieczną miłość, jak nie wierzy w domowych djabłów, i nam nie radzi wierzyć. Zresztą radzi mi jak najmniéj myśléć o tém, ja zaś tobie to radzę. Mówi, że to przyjdzie samo z siebie, lecz nie na zawołanie; mówi, że nasze życie nie na tém zależy, że na to, jak na wszystko, jest właściwy czas; cały zaś wiek marzyć o saméj miłości, jest głupstwem. Ci którzy jéj szukają i nie mogą się ani chwili bez niéj obejść, żyją sercem i jeszcze czemsiś gorszém na rachunek głowy. Wuj lubi pracować, radzi mi to samo, ja zaś tobie: należemy do społeczeństwa, powiada on, które nas potrzebuje; pracując, wuj pamięta i o sobie; praca dostarcza mu pieniędzy, pieniądze zaś dostarczają wygód życia, które bardzo mu się podobają: prócz tego może ma zamiary, w skutek których, zapewne ja nie będę jego spadko-

biercą. Wuj niezawsze myśli o służbie i o swojéj fabryce; umié na pamięć nie samego Puszkina....

— Jakto, wujaszek? z zadziwieniem zapytał Alexander.

— Takjest, kiedykolwiek przekonasz się o tém. Pisz.

„Czyta w dwóch językach wszystko, co wychodzi godnego uwagi w rozmaitych gałęziach ludzkiéj wiedzy; lubi sztuki piękne, ma śliczny zbiór obrazów flamandzkiéj szkoły, jestto jego upodobanie; często bywa w teatrze, lecz nie kręci się, nie rzuca się, nie zżyma, nie wykrzykuje, nie stęka; bo myśli, że to jest dziecińśtwem, i że trzeba wstrzymywać siebie, a nie narzucać nikomu swoich wrażeń, albowiem nikt ich nie potrzebuje; nie mówi nigdy przesadzonym językiem, co i mnie radzi, a ja tobie. Bądź zdrów, pisz do mnie rzadko i nie trać napróżno czasu. Przyjaciel twój *taki a taki*. Teraz napisz datę."

— Jakże można odesłać taki list? zapytał Alexander: „*pisz rzadko*," jak można to powiedzieć człowiekowi, który naumyślnie o 160 wiorst przyjechał, aby powiedzieć mi ostatnie: żegnam! „*Radzę to, drugie, trzecie.*" On niejest głupszym odemnie; wyszedł z uniwersytetu drugim kandydatem....

— Nic nie szkodzi, zawsze poślij go; być może twój przyjaciel będzie rozumniejszym; to naprowadzi go na różne nowe myśli. Chociaż skończyliście kurs nauk, lecz wasza szkoła dopiéro się zaczyna.

— Nie mogę odważyć się, wujaszku....

— Nigdy nie mieszam się do cudzych spraw, lecz sam prosiłeś, abym uczynił co dla ciebie; staram się wyprowadzić cię na prawdziwą drogę i ułatwić piérwszy krok, a ty się opiérasz. Jak chcesz, powiadam tylko swoje zdanie, lecz zmuszać cię nie będę; nie jestem twoją niańką.

— Przepraszam wujaszku, gotów jestem słuchać, powiedział Alexander, i natychmiast zapieczętował list. Potém zaczął szukać innego listu do Zofii (w któréj zakochał się będąc na wsi). Spojrzał na stół — niéma, pod stołem — także niéma, w szufladzie — ani śladu!

— Czegoż szukasz? zapytał wuj.

— Szukam drugiego listu.... do Zofii...

Wuj także zaczął szukać.

— Gdzież jest? mówił pan P***. Dalibóg nie rzuciłem go za okno.

— Co wujaszek zrobił? zapalił tym listem cygaro! smutnie powiedział Alexander, i podniósł opalone resztki listu.

— Doprawdy? wykrzyknął wuj, jakim to się sposobem stało? i nie spostrzegłem, no proszę, spalić taki skarb.... Zresztą, wiész co? z jednéj strony nawet jest to dobrze.

— Ach wujaszku! dalibóg z żadnéj strony nie jest dobrze, powiedział Alexander w rozpaczy.

— Istotnie dobrze: na dzisiejszą pocztę już nie zdążysz napisać do niéj; na przyszłą zapewne już odłożysz, zajmiesz się służbą, nie będziesz miał czasu, i takim sposobem popełnisz o jedno głupstwo mniéj.

— Cóż ona pomyśli o mnie?

— A co jéj się spodoba! Lecz myślę, że to i dla niéj jest korzystne. Wszak z nią się żenić nie będziesz? Pomyśli, że zapomniałeś o niéj, nakoniec sama o tobie zapomni, i mniéj się będzie rumienić przed swoim przyszłym narzeczonym, gdy będzie go zapewniać, że nikogo prócz niego nie kochała.

— Wujaszku, jesteś człowiekiem zadziwiającym! Dla niego nie istnieje stałość, niéma świętości obietnic.... Życie jest tak piękne, tak pełne powabu, rozkoszy; jestto niby gładkie, zachwycające jezioro.....

— Na którém rosną żółte kwiaty, czy co? przerwał wuj.

— Jak jezioro, daléj mówił Alexander, pełne jest czegoś tajemniczego, zajmującego, ukrywającego w sobie tak wiele...

— Mułu, mój kochany, dodał pan P***.

— Dlaczegoż wujaszek zaczerpuje muł, dlaczego obala i niszczy wszystkie radości, nadzieje, szczęście.. patrzy z czarnéj strony.

— Patrzę ze strony prawdziwéj, i tobie to samo radzę: nie zawiedziesz się. Z twojemi wyobrażeniami, życie jest piękne tam, na prowincyi, gdzie go nie znają; tam nawet nie ludzie żyją, tylko aniołowie...."

O jakże głęboka nauką życia odbija się w słowach paną P***, jakie trafne myśli, jaka znajomość świata!

Posłuchajmy jeszcze ciekawych spostrzeżeń tego rozumującego człowieka. Raz między wujem a siostrzeńcem była mowa o ożenieniu się.

— Jakto, ty chcesz się żenić? zapytał się pan P***.

— I cóż?

— W twoim wieku!

— Mam 23 lat.

— Sam czas! któż się żeni w tym wieku? tylko wieśniacy, kiedy potrzebują robotnicy w domu.

— Lecz jeżeli jestem zakochany i mogę się ożenić, a więc podług zdania wujaszka, nie trzeba,...

— Nigdy nie radzę żenić się z kobiétą, w któréj jesteś zakochany.

— Jakto wujaszku? to nowość, nigdy nie słyszałem.

— Wieluż to rzeczy ty nie słyszałeś!

— Ja zawsze myślałem, że małżeństwo bez miłości być niepowinno.

— Małżeństwo małżeństwem, a miłość miłością, powiedział pan P***.

— Jakże żenić się? podług rachuby?

— Z wyrachowaniem, lecz nie podług rachuby. Tylko wyrachowanie to niepowinno zależéć na samych piéniądzach. Życie jednemu sprzykrzy się: mężczyzna tak jest stworzony, aby żył w towarzystwie kobiéty, a więc trzeba mu zastanawiać się, jakbyto się ożenić; powinien szukać, wybiérać między kobiétami....

— Szukać, wybiérać! z zadziwieniem powiedział Alexander.

— Takjest, wybiérać! Dlatego właśnie nie radzę żenić się kiedy się zakochasz. Wszak miłość przejdzie, jestto już spowszedniała prawda.

— Jestto wierutne kłamstwo i potwarz!

— Teraz trudno cię przekonać; z czasem sam zobaczysz, teraz tylko pamiętaj moje słowa. Miłość przejdzie, powtarzam ci, i wtedy kobiéta, która zdawała ci się ideałem do-

skonałości, być może, będzie zdawać się bardzo niedoskonałą, wtedy niéma co robić. Miłość zasłoni przed tobą brak przymiotów potrzebnych dla żony; gdy zaś będziesz wybiérał, wtedy z zimną krwią zastanowisz się, czy taka a taka kobiéta posiada przymioty, jakie chcesz miéć w żonie; oto na czém zależy główna rachuba. Jeżeli znajdziesz taką kobiétę, niezawodnie zawsze będzie ci się podobać, bo odpowié twoim życzeniom. Z tego wynikną między nią a tobą blizkie stosunki, które potém tworzą....

— Miłoć? dodał Alexander.

— Takjest..... przyzwyczajenie.

— Żenić się bez pociągu, bez poezyi, miłości, bez czucia; rozumować jak i po co?!

— Ożeniłbyś się nie rozumując i nie pytając siebie po co, tak samo, jak przyjechałeś tutaj, nie zapytawszy siebie po co?

— Więc wujaszek chce ożenić się podług rachuby? zapytał Alexander.

— Wyrachowaniem, odpowiedział pan P***.

— To wszystko jedno.

— Nie; podług rachuby znaczy ożenić się dla piéniędzy, — to nikczemnie; lecz ożenić się bez wyrachowania, — to głupio! Tobie zaś teraz wcale nie wypada się żenić."

W tym romansie jest mnóstwo podobnych miejsc, które czytając, mimowolnie człowiek zamyśla się, i niby staje doświadczeńszym w trudnéj nauce życia. Autor żywemi kolorami odmalował trwożliwą i uczuciową młodość Alexandra; wystawił, jak on kochał i był zdradzony, zapomniany, co go wprawiło w rozpacz i smutek; nakoniec pokochał się raz drugi, lecz płomienna i silna miłość ze strony kochanki znudziła go i stała mu się ciężarem, i tą razą Alexander sam zdradził. Takato natura ludzka! Jakże dojmowały go zimne i rozsądne wyrazy nieubłaganego wuja! Zawiedzione nadzieje i niczém niezaspokojone namiętności doprowadziły go do rozczarowania. Alexander postanowił porzucić Petersburg i wyjechać na wieś do matki. Wyjeż-

dżając z miasta i wyglądając z okna pocztowéj karéty, starał się przybrać na siebie smutną postać, i nakoniec wylał myśli swoje w następującym monologu, gdy karéta mijała perukarzy, dentystów, modniarki, arystokratyczne pałace: „Żegnam cię, mówił Alexander, kiwając głową i biorąc się za swoje przerzadzone włosy:—„żegnam cię, miasto fałszywych włosów, sztucznych zębów, watowanych imitacyj natury, okrągłych kapeluszy; miasto grzecznéj pychy, udanych uczuć, bezdusznéj próżności! Żegnam cię wspaniały grobie głębokich, silnych, tkliwych i płomiennych wzruszeń duszy! Takjest! przez dziesięć lat ubiegałem się tylko za życiem chwilowém; odwrócony byłem od natury, i ona odwróciła się odemnie; utraciłem siły i zestarzałem się w 29 roku życia, jednak był czas.....

Żegnam cię, żegnam cię miasto!

„Gdziem cierpiał, gdziem kochał,

„Gdziem serce postradał!"

Do was wyciągam ręce, o szérokie pola! do was, błogosławione wioski i niwy rodzinnego kraju! Przyjmcie mnie na swoje łono: niech ożyję i wskrzeszę moję duszę!"

Na zakończenie przytoczę tu list Alexandra, pisany ze wsi do wuja, w cztéry lata po wyjeździe jego z Petersburga. W liście tym po części rozwiązuje się główna myśl romansu.

„Najukochańszy wujaszku i razem jaśnie wielmożny generale!"

„Z jakąż radością dowiedziałem się, że wujaszek dostąpił wyższego szczebla godności; co się zaś tyczy fortuny, ta oddawna z wujaszkiem jest w zgodzie. Wujaszek już został rzeczywistym radcą stanu i dyrektorem kancelaryi! Ośmielam się przypomnieć jaśnie wielmożnemu generałowi uczynioną mi obietnicę, przed moim wyjazdem: „Kiedy będziesz potrzebował posady, zatrudnienia lub piéniędzy, udaj się do mnie!" powiedział wujaszek. Właśnie potrzebuję teraz posady i zatrudnienia, zapewne zbywać mi będzie i na piéniądzach. Biédny parafianin ośmiela się prosić o miejsce i pracę. Jakżeż będzie przyjętą moja prośba?

czy nie tak, jak niegdyś list Zajeżdżałowa, który w swoim prosił interesie? Co zaś do *twórczości*, o której wujaszek nielitościwie napomknął w jednym ze swoich listów, to..... Ale czyżto wujaszek nie boi się Boga, budząc dawno zapomniane głupstwa, wtedy, gdy sam rumienię się za nie?... Aj, wujaszku! aj, jaśnie wielmożny wujaszku! Któż nie był młodym i w części głupim? kto nie miał jakiegokolwiekbądź dziwacznego, tak nazwanego *świętego* marzenia, które nigdy nie może urzeczywistnić się? Naprzykład, mój sąsiad, po prawéj stronie, wystawiał sobie, że jest bohaterem, olbrzymem..... chciał zadziwić świat swoimi czynami; a skończyło się na tém, że wyszedł dymissyowanym podporucznikiem, nie będąc na wojnie: i teraz spokojnie uprawia rolą na kartofle, i sieje rzepę. Drugi, po lewéj stronie, marzył, że podług swojéj fantazyi przerobi świat cały i Rossyą, sam zaś spędziwszy niejaki czas na przepisywaniu aktów w rządzie gubernialnym, zamieszkał nakoniec w naszych stronach, i dotąd nie może przerobić starego parkanu. Myślałem, że z woli nieba obdarzony jestem twórczym talentem, i chciałem opowiedzieć światu, nowe, nieznane tajemnice, nie domyślając się, że już nie są tajemnicami i że ja nie jestem prorokiem! My wszyscy jesteśmy śmiesznymi, lecz wyznaj sam wujaszku, kto bez zarumienienia się splami hańbiącém przekleństwem te młodociane, szlachetne, płomienne, chociaż niezupełnie umiarkowane marzenia? Kto kiedyś nie żywił w sobie nadaremnego życzenia, nie widział w sobie przyszłego bohatera świetnego czynu, godnego pieśni uroczystéj i powszechnego rozgłosu? Czyja wyobraźnia nie uganiała się za mitologicznemi, bohaterskiemi czasami przeszłości? Kto nie płakał, okazując współczucie dla przedmiotów wzniosłych i pięknych? Jeżeli znajdzie się taki człowiek, niechaj rzuci na mnie kamieniem, nie zazdroszczę mu. Ja się rumienię za moje młodociane marzenia, lecz je szanuję: są one poręką czystości serca, oznaką duszy szlachetnéj, usposobionéj do przyjęcia dobrego. Wiém, że dowody takie nie przekonają wujaszka: bo dla wujaszka jest potrzebnym dowód

stanowczy, ale otóż i jest; proszę mi powiedzieć, jakby mogły być poznane i wykształcone talenta, gdyby młodzi ludzie przytłumiali w sobie te wczesne skłonności, gdyby swobodnie nie marzyli i tylko niewolniczo poddali się wskazanemu kierunkowi, nie probując sił własnych? Nakoniec, czy to nie jest ogólném prawem natury, że młodość powinna być popędliwą, pełną ognia i zapału, niekiedy nawet szaloną i pustą, i że wszelkie uniesienia z czasem uspokoją się, jak uspokoiły się teraz moje? A młodości wujaszka czyż obce były te grzechy? Proszę sobie przypomnieć. Widzę wyraźnie, jak wujaszek z swoim spokojnym, nigdy niewzruszonym wzrokiem kiwa głową i mówi: bynajmniéj! Niechże wujaszek pozwoli przekonać się przeciwnie, choćby mówiąc, naprzykład, o miłości..... A co? wujaszek jéj się wyrzeka? ale wyrzec się trudno; *corpus delicti* mam w ręku..... Niech wujaszek sobie przypomni, że mogę zbadać sprawę na miejscu czynu. Teatr miłosnych awantur wujaszka mam przed memi oczyma: jestto jezioro. Na niém jeszcze rosną żółte kwiaty; jeden z nich, wysuszywszy go jak należy, mam honor dołączyć dla jaśnie wielmożnego wujaszka, jako pamiątkę słodkich wspomnień. Lecz jest jeszcze skuteczniejszy oręż przeciwko napaści wujaszka na miłość w ogóle, a na moję w szczególności: jestto dokument..... Wujaszek chmurzy się? i jaki jeszcze dokument! pisany własną krwią wujaszka!!! A co, wujaszku, zbladłeś? Porwałem ten szacowny stary zabytek u ciotki, wyrwałem go z jéj niemniéj staréj piersi, i wiozę z sobą, jako wieczny dowód przeciwko wujaszkowi, i jako obronę samego siebie. Niech wujaszek drży! To jeszcze nic; znam dokładnie całą historyą miłości wujaszka: ciotka codzień mi opowiada, z rana przy herbacie i przy kolacyi, nim pójdzie spać interesujące fakta, ja zaś wszystkie te nieoszacowane szczegóły zapisuje w osobnym dzienniku, który nie omieszkam osobiście wręczyć wujaszkowi, razem z mojemi rozprawami o gospodarstwie wiejskiém, któremi się już od roku zajmuję. Ja z mojéj strony uważam za obowiązek upewnić ciotkę o *niezmienności uczuć* wujaszka dla niéj, jak ona sa-

ma wyraża się. Skoro odbiorę od jaśnie wielmożnego wujaszka przychylną na moję prośbę odpowiédź, wtedy będę miał zaszczyt stanąć przed nim i złożyć mu w ofierze moje suche maliny i miód, z dołączeniem kilku listów, w które obiecują zaopatrzyć mnie moi sąsiedzi z prośbą o załatwienie ich spraw: prócz Zajeżdżałowa, zmarłego przed ukończeniem swojego procesu."

P. Dubrowski.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Wspominając dawniéj o aparatach przeznaczonych do samodzielnego notowania klimatologicznych obserwacyj, mówiliśmy, iż w tych instrumentach na papiérze zwolna przesuwającym się, zwykle ołówek złączony z barometrem lub innym instrumentem, kréśli linie krzywe przedstawiające oscyllacye różnych fenomenów. Ronalds dawniéj jeszcze wpadł na szczęśliwą myśl wprowadzenia do meteorografów papiéru photograficznego, na którym samo światło znaki wybija; teraz udoskonalił on swój instrument przez wprowadzenie mikroskopu. Po raz piérwszy użyto takiego instrumentu do zapisywania zmian elektrometru atmosferycznego Volty w r. 1845, a to w taki sposób: Słomki elektrometru stosownie odosobnione, zawieszone były we wnętrzu mikroskopu od strony objektywy; soczewka zbiérająca promienie światła, utwierdzoną była na końcu mikroskopu, a za nią lampa. Światło lampy oświécało tę połowę powiérzchni słomek, które były obrócone ku lampie, drugie zaś połowy zupełnie były w cieniu. Ze strony szkła ocznego, do mikroskopu przystawione było pudełko długie na dwie stopy i zamknięte ekranem, mającym wycięty otwór wązki, będący częścią obwodu koła; promień tego łuku był równy długości słomek elektrometru. Nakoniec między elektrometrem i ekranem ustawioną była kombinacya soczewek,

przeznaczonych do tego, aby ognisko chemiczne elektrometru padało za ekramem w miejscu gdzie ustawione były szkła, o których zaraz wspomniemy.

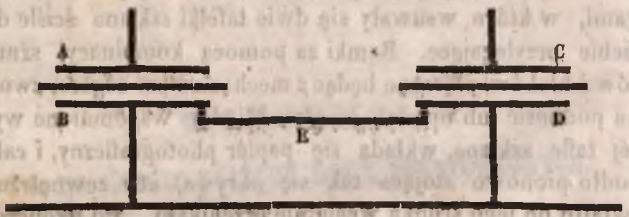
W pudełku czworościennym podłużném, pionowo stojącém, w połowie jego długości zawieszone były ramki z fugami, w które wsuwały się dwie tafelki szklane ściśle do siebie przylegające. Ramki za pomocą kombinacyi sznurów i bloków, złączone będąc z mechanizmem zégara, zwolna podnosić lub opadać mogły. Między wspomnione wyżéj tafle szklane, wkłada się papiér photograficzny, i całe pudło pionowo stojące tak się okrywa, aby zewnętrzne światło do jego środka wcale nie przenikało. Po ukończeniu tych działań, ramki wprawiają się w ruch, wówczas papiér photograficzny przesuwając się przed otworem łukowym ekramika, wystawionym jest na mocne działanie światła lampy; papiér który doznał wpływu światła, po zmyciu stosownym roztworem, zmienia swój kolor; te tylko miejsca na które padał cień, pochodzący z końców słomek elektrometru, zachowują swój pierwotny kolor jasny.

Niekiedy używano do oświecenia mikroskopu światła dziennego. P. Airy proponuje zamiast elektrometru Volty, użyć znanego elektrometru złączonego ze stosem suchym; przez to bowiem i natężenie i rodzaj elektryczności na papiérze wskazywaćby można. Ronalds powyżéj opisane urządzenie zastosował szczęśliwie do notowania stanu termometru, barometru i pochylenia igły magnesowéj.

Dodamy w końcu, że wielka liczba photografów tym sposobem otrzymana i porównana z obserwacyami magnetycznemi i meteorologicznemi w Greenwich czynionemi w oznaczonych dniach, okazała zupełną zgodność. (*L'Institut nr.* 687. *Mars.* 1847.)

* P. Svanberg urządził następujący nowy instrument, nazwany przez niego *kondensatorem multiplikatorem*, który elektrycznością otrzymywaną przez proste stykanie miedzi z cynkiem, może być naładowany do tego stopnia, że wydaje mocne iskry i sprawia silne wstrząśnienia. W skład jego wchodzą dwa zwyczajne kondensatory, mające swe dolne

tafelki połączone drutem miedzianym; pomiędzy taflami każdego, stale utwierdzone są znacznie od nich większe tafle szklane, przeszkadzające zetknięciu się metalowych krążków; nadto górne tafle opatrzone są rękojeściami odosobniającemi, a dolne stoją na takichże postumentach.



Usilenie jego działania odbywa się przez taką manipulacyą: Przypuśćmy, że tafla A piérwszego kondensatora otrzymała małą ilość elektryczności dodatniéj, a wtedy podnosząc taflę A i dotykając jednocześnie palcem górnéj części C drugiego kondensatora, tafla D staje się odjemnie, a C przez wpływ dodatnio-elektryczną. Następnie przenosząc palec na tafelkę D, przyłóżmy napowrót do szkła taflę A, która nie utraciła swéj pierwotnéj elektryczności przez poprzednią manipulacyą. Ponieważ elektryczność na D jest związaną z elektrycznością tafli C, przeto przybywająca elektryczność, przez przyłożenie powtórne tafli A, z tafli B, rozejdzie się przez drut E na D, i tam się przez wpływ związuje. Powtarzając kilkakrotnie tę manipulacyą, można przenieść wszelką elektryczność z B na D. Trzy takie działania potroją natężenie elektryczności na D.; całą zaś tę ilość można następnie przenieść na B, podnosząc za rękojeść taflę C i dotykając się jéj palcem. Jeżeli np. takich potrójnych manipulacyj wykonamy n, to ostateczna elektryczność na tafli D będzie $3^n a$.

Taki kondensator multiplikator znajduje się w gabinecie uniwersytetu Upsalskiego, którego tafle są 6calowéj średnicy; może być naładowanym elektrycznością otrzymaną przez proste stykanie cynku z miedzią przy pomocy 24 opisanych manipulacyj do tego stopnia, że daje mocną iskrę, i sprawia silne wstrząśnienia aż w łokciu czuć się dające. (*L'Institut*, 682. *Jan.* 1847.)

* Ponieważ ziemia obraca się na swéj osi od zachodu na wschód, przeto każdy punkt jéj powierzchni lub wnętrza zakréśla łuk, którego długość jest proporcyonalną do oddalenia tego punktu od środka kuli ziemskiéj. Ztąd wypada, że ciała spadające ku środkowi w chwili rozpoczęcia swego biegu, muszą miéć udzieloną większą prędkość ku zdążaniu na wschód, aniżeli punkta ziemi na jednéj z nimi pionowéj leżące; a zatém ciało wolno puszczone, kończąc swój bieg pionowy, zawsze upadać winno w punkcie leżącym cokolwiek ku wschodowi od pionowéj. Zdaje się, iż piérwszy p. Guglielmini w r. 1795 zajmował się zbadaniem téj okoliczności, towarzyszącéj spadkowi ciał po pionowéj linii z znacznych wysokości.

Uchylenie od pionu w podobnych doświadczeniach są wszakże tak małe, że znaczne wysokości zaledwie parę linii różnicy okazują. Guglielmini odkrywając bytność powyższego zboczenia, znalazł przytém, że ciało wolno spadające, posuwa się cokolwiek i na południe. Laplace te rezultata przypisał niedokładności obserwacyi.

Benzenberg powtarzając doświadczenia z wysokością 240 stóp przekonał, że zboczenie na wschód średnio wyniosło 399 linii, lecz i ten znany z dokładności obserwacyj autor, znalazł oprócz powyższego zboczenia jeszcze uchylenie na południe większe od poprzedniego wschodniego.

Oprócz tych, znane są jeszcze w tym przedmiocie z swéj dokładności prace p. Reich, w kopalniach Frejberskich na 540 głębokości czynione; wypadłe z nich zboczenie wschodnie, zgadza się zupełnie z rachunkiem, lecz i ten obserwator znalazł znaczne południowe uchylenie od pionowéj linii. Oersted, który powyższe prace nad zboczeniem wschodniém uważa za niezostawiające nic do życzenia, poczytuje je za niedostateczne do pewnego zawnioskowania o bytności i wielkości zboczenia południowego. Godną więc byłoby rzeczą fizyków, zostających w sprzyjających potemu okolicznościach, przedsięwzięcie nowych w tym ważnym przedmiocie poszukiwań. Jedyny środek i rękojmią ostateczne-

go rozpoznania tego punktu fizyki, podać mogą towarzystwa uczone rządowe. Dlatego Oersted zwrócił swe wezwanie do Towarzystwa Angielskiego (Ass. Brit), a to z tych powodów: że metody podobnych doświadczeń w ostatnich czasach, poczyniły znaczne udoskonalenia większą dokładność zapewniające; że w Anglii gdzie prace mechaniczne słyną ze swéj dokładności, łatwiejszém będzie budowa rury nieprzepuszczającéj powietrza, np. metalowéj, długiéj na kilkaset stóp, dozwalającéj powyższe doświadczenia powtórzyć w powietrzu, w różnych gazach i w próżni; nakoniec że jednocześnie poznać będzie można dokładnie prędkość spadku ciał, opór różnych środków &c. Aparata galwaniczne sławnego przez swe pomysły fizyka Wheatstona, dozwolą najmniejsze chwilki czasu wymierzyć. W razie potwierdzenia bytności zboczenia południowego, Oersted podaje następujące jego tłumaczenie:

Wiemy, że strumienie elektryczne krążą po ziemi w kierunkach równoleżników; w ciele poruszającém się w atmosferze strumieni elektrycznych, wzbudza się także strumień elektryczny, z wzajemnego więc odpychania tych strumieni, wyniknie zboczenie ciała spadającego na południe. Gdyby prędkość spadku ciała była jednostajną, odpychanie byłoby chwilowe; ponieważ zaś prędkość spadku wzrasta z czasem, i z większą prędkością biegu rośnie proporcyonalnie siła wzbudzonego w ciele strumienia elektrycznego, przeto i siła odpychająca ciało na południe jednostajnie rosnąć winna. To więc tłumaczenie przypuszcza, iż zboczenie południowe wzrastać winno z wysokością spadku. Obserwacye zawyrokują o prawdziwości tego tłumaczenia. (*L'Institut. Nr.* 679. *Janvier* 1847).

* Dawniéj nadmieniliśmy o sławnym odkryciu Faradaya, wykrywającém nowy związek zachodzący między światłem i magnetyzmem. Polaryzowany promień światła, jeżeli przechodzi przez ciało przezroczyste stałe lub płynne, lecz niezałamujące podwójnie światła równolegle od linii krzywych, przedstawiających natężenie siły magnetycznéj, wówczas płaszczyzna polaryzacyi tego promienia bywa zbaczaną

w lewą lub prawą stronę, stosownie do kierunku siły magnetycznéj. Zjawiska zbaczania płaszczyzny polaryzacyi promienia, niebędącego pod wpływem magnetyzmu, jak wiadomo ukazują niektóre ciała, jak np. kryształy kwarcu, olejek terpentynowy i t. d.

Dwa te zjawiska napozór jednorodne, wielce są jednak różne; piérwszy rodzaj zboczenia obserwowanego zawisł jedynie od kierunku siły magnetycznéj, drugi zaś wyłącznie od położenia obserwatora względem kierunku promienia.

Roztrząsając przyczyny tych zjawisk, Faraday wniósł, że zboczenie płaszczyzny polaryzacyi za pomocą magnetyzmu, zwiększać się winno, skoro zwiększonym zostanie wpływ magnetyzmu na promień światła.

Wniosek ten w zupełności następne doświadczenie stwierdziło: Równoległościan z ciężkiego szkła, mający za podstawę kwadrat długości 0,7 cali, a za wysokość 2,5 cale, dokładnie wypolerowany, został na obu podstawach posrébrzony, tak jednak, że przy krawędziach przeciwległych dwóch podstaw, pozostawiono przestrzeń széroką na 0,1 cala. Tym sposobem wewnętrzne ściany równoległościanu, przedstawiały płaszczyzny odbijające światło. Promień puszczony ukośnie przez jednę szparę, mógł więc po kilku odbiciach wewnątrz szkła, wyjść przez drugą szparę przeciwległą.

Gdyby materyał równoległościanu posiadał własność samoistnego zbaczania płaszczyzny polaryzacyi, np. kwarc, wtedy promień polaryzowany wpuszczony w środek kryształu przez szparę, przed odbiciem od ściany wewnętrznéj doznałby pewnego zboczenia; lecz po odbiciu się wewnętrznem, tenże promień doświadczy także zboczenia co do siły równego poprzedniemu, lecz co do kierunku przeciwnego, tak, że te zboczenia przeciwne wzajemnie się zniszczą. Ztąd np. promień polaryzowany przechodząc ciało pięć razy, posiadać będzie zboczenie zupełnie równe temu, jakie doznaje po jednokrotném tylko przejściu.

Przeciwnie zjawisko zajdzie, skoro ciało z którego wyrobiony równoległościan będzie djagmetyczne, to jest, zdolne

dopiéro pod wpływem magnetyzmu zbaczać płaszczyznę polaryzacyi promienia światła. W saméj rzeczy, ilekolwiek razy promień odbijając się wewnętrznie, przechodzić będzie przez równoległościan, zawsze jego położenie względem kierunku linii magnetycznych będzie jednakie; ztąd po dwukrotném przejściu dwukrotne, po trzykrotném trzykrotne i t. d. zboczenie wskaże.

Doświadczenie przekonywa o tém jak najdokładniéj. Opisany powyżéj co do wielkości równoległościan ze szkła ciężkiego, poddany na działanie silnego magnesu, po jednokrotném przejściu zboczył płaszczyznę polaryzacyi o 12°; nachyliwszy go w ten sposób, aby za pomocą odbicia wewnętrznego promień trzy razy przebył odległość podstaw; zboczenie było 36°; po pięciokrotném 60° i t. d.

To więc doświadczenie jawnie przekonywa, iż kierunek zboczenia przy przejściu promienia polaryzowanego światła, przez ciało diagmetyczne, jedynie zależy od kierunku siły magnetycznéj. Jestto więc najważniejsza cecha dla odróżnienia tych ciał od innych, jak np. kwarcu, terpentyny, syropów cukrowych i t. d. obdarzonych sposobnością samoistnego zbaczania płaszczyzny polaryzacyi światła.

Nadto to doświadczenie naucza, iż wielkość tego zjawiska, jest w ścisłym związku z długością promienia światła wystawionego na działanie magnesu; albowiem różne bywają rezultata, przy jednakowém natężeniu siły magnetycznéj.

Chcąc się przekonać do jakiego działu policzoném być winno powietrze, pod względem sposobności zbaczania płaszczyzny polaryzacyi, Faraday na biegunach magnesu umieścił dwa reflektory z wypolerowanych tafelek stalowych, i te bieguny w różnych odległościach ustawiał. Znalazł, że jeżeli między biegunami znajduje się powietrze, to nawet po sześciokrotném odbiciu najmniejsze zboczenie w płaszczyznie polaryzacyi dostrzedz się nie daje. Podobnież przeczące wypadki dały ciała podwójnie łamiące światło, jakoto: kryształ górny, spath wapienny, i t. p.

* Faraday dawniéj okazał, że wszystkie ciała podległe są wpływowi magnesu, lecz że w różny sposób objawiają swą zależność; jedne jak żelazo stale przyciągane, inne zaś zawsze odpychane bywają. Drugą gromadę ciał nazwał diagmetycznemi. Cechą odróżniającą piérwsze i po któréj najmniejszy ślad tych ciał wykryć można, jest przyciąganie, cechą drugich odpychanie. Bequerel nie przyjmuje podobnego rozdziału ciał, twierdząc, że własności magnetyczne wspólne wszystkim ciałom, są tegoż samego gatunku zjawiska; że zaś igiełki z ciał niektórych, np. niedokwasu żelaza, drzewa, gummilaki, przez magnes nie są przyciągane ale odpychane, gdyż ukośnie lub poprzecznie do niego stoją, uważać należy raczéj jako kierunki wypadkowe wielu bardzo sił magnetycznych, kierunki zależne od kształtu ciał i stopnia ich magnetyczności. Faraday zbija to mniemanie dowodząc, że jakkolwiek np. rurka z niedokwasem żelaza (peroxyde de fer) przybiéra między biegunami różne poprzeczne położenia, zawsze jednak jest ona przyciąganą przez bieguny, albowiem wszystkie jéj położenia ukośne są w równowadze niestałéj, i za najmniejszém poruszeniem ku biegunom się zwracają. Przeciwne zjawiska widzimy na ciałach diamagnestycznych; te stanąwszy w kierunku poprzecznym do linii łączącéj bieguny magnesu, znajdują się w równowadze stałéj, gdyż wyprowadzone z swego ukośnego położenia, po licznych oscyllacyach napowrót do niego wracają.

W odpowiedzi Bequerelowi, Faraday na poparcie swéj hypotezy, przytacza wiele trafnych i przekonywających doświadczeń. (*Annalen der Physik, Pogendorf.* 1847. *nr.* 29.)

S. P.

CHEMIA.

O bytności kwasu krzemionkowego w piórach ptasich, przekonał się Dr. Gorup Besanez. Ilość jego nawet jest dosyć znaczna, a zapewne jest on tam tak potrzebny, jak

fosforan wapna w kościach. Średnio, chorągiewka pióra ma 4 na sto popiołu, w którém jest 30 do 40 także na sto, krzemionki.

W pieńku pióra, znajduje się tak istot organicznych, jak i kwasu krzemionkowego daleko mniejsza ilość.

Wszystkie powyższe popioły zawiérały w sobie żelazo, a wszczególności pióra papugi weń obfitowały. Oprócz tego, też popioły miały fosforan wapna, fosforan sody, a brakowało w nich siarkanów i chlorków. (Treść z *Journal für praktische Chemie N.* 19 *i* 20 *z r.* 1846).

* Na posiedzeniu paryzkiéj akademii umiejętności 21 grudnia r. z. przedstawił p. Pelouze pracę p. Schloesing o nikotynie, i oznaczeniu jéj ilości w tytoniu; rzecz ta stanowi część piérwszą rozprawy, o składzie liści tytoniowych i fermentacyi; treść zaś jéj jest następująca:

Jakkolwiek starano się oznaczyć główne własności nikotyny, niepoznano jednak, nawet przybliżonym sposobem ilości tego alkali zawartego w liściach tytoniowych; dopełnieniem tego braku zajął się p. S. Samę nikotynę otrzymywał on następnie: Na liście tytoniowe nalewał wody, rozciek parował, i resztę wytrawiał wyskokiem, a po zlaniu z wierzchu, znowu ciecz wyskokową parował, wyciąg pozostały mieszał z potażem, a daléj rozcieńczał go eterem, która to ostatnia ciecz, rozpuszcza w sobie nikotynę i istoty obce; te ostatnie oddzielają się, strącając nikotynę kwasem szczawiowym. Po przemyciu szczawianu eterem, nalewał na to potażu, rozpuszczał na nowo nikotynę w eterze, i wszystko przepędzał; pozostałość zawiérać będzie nikotynę, wodę, eter i amonią. W cieple 140° przez dzień utrzymywaném, z pomocą strumienia suchego gazu wodorodnego, wydzielają się trzy ostatnie ciała w ten sposób, że przy podwyższeniu temperatury do 180°, nikotyna przechodzi czysta i niezafarbowana. Kilogram dobrego tytoniu z departamentu Lot, wydaje 50 do 60 gram nikotyny.

Znamię nikotyny jest $C^{20}\ H^{14}\ Az^2$; ciało to jest dzielną zasadą; być może, że w liściach tytoniowych znajduje się ona w postaci soli, ponieważ roztwory wodne, wyskoko-

we i eteryczne téj rośliny, tak się zachowują, jakby były wnich sole nikotyny. Oprócz tego przyciąga ona wilgoć z powietrza.

Ilość nikotyny oznacza się w tytoniu przez wytrawienie, np. 10 gram liści tytoniowych w eterze amoniakalnym; amonią wypędza się przez zagotowanie cieczy nikotynowych, a po wyparowaniu eteru zobojętnia się nikotyna cieczą zakwaszoną wiadomą ilością kwasu siarkowego.

Z doświadczeń robionych przekonano się, że różne gatunki liści tytoniowych, różną także posiadają ilość nikotyny, a im więcéj jéj jest, tém liście są właściwsze do wyrabiania tabaki. W departamencie Lot na 100 liści tytoniowych, znajduje się 7,96 nikotyny.

W tabace suchéj, średnio znajduje się 2,04 nikotyny na 100; z czego się pokazuje, że w skutek fermentacyi liści, około $^2/_3$ nikotyny zniszczonéj zostało. Amonia w tabace jest w postaci soli, nikotyna w części także w postaci soli obojętnéj, w części wólna, alboli téż wszystka w postaci soli zasadowéj. Od tychto przeto dwóch soli nikotynowych, tabaka zapewne nabiéra własności drażnienia tkanki szluzowéj nosa. (Treść z pisma *L'Institut z grudnia*, 1846 r.).

* P. Henneberg jeden z uczniów Liebiga, znalazł w krwi kur krzemionkan sody (lub potażu), co objaśnia bytowanie wielkiéj ilości krzemionki w piórach tych ptaków. P. Bensch pomocnik Liebiga przekonał się, że mléko trzech suk żywionych mięsem przez 12, 15, do 27 dni, zawiéra cukier mléczny zupełnie krystaliczny. Naostatek p. Gugelberger także uczeń Liebiga, otrzymał przez przepędzanie twarogu, lub kléju z niedokwasem ostatnim manganezu i kwasem siarkowym, aldehyd czysty i olejek migdałów gorzkich; i to obadwa te ciała w takiéj ilości, że można je było jawnie wykryć. (*L'Institut z lutego* 1847).

* P. Dumas zawiadomił akademią umiejętności paryzką, o doświadczeniach p. Louyet tyczących się kwasu fluorowego bezwodnego (*).

(*) Wiadomość o fluorze zamieszczona była w B. W. z m. kwietnia.

* Podług tego ostatniego chemika, kwas fluorowy wodorodny bezwodny, jest gazem w temperaturze — 12° i ciśnieniu zwyczajném; i pod tym względem nie różni się od innych kwasów wodorodnych bezwodnych, i od kwasów fluorowo-krzemionkowego, i fluorowo-borowego; oprócz tego gaz fluorowo-wodorodny jest nadzwyczajnie dymiący, z powodu swego wielkiego powinowactwa do wody: mało działa na szkło, a być może, że potrafią go zebrać na merkuryuszu w dzwonek szklany zupełnie suchy; gaz ten jest bardzo gęsty, gdyż pary z niego powstałe są znacznie ciężkie (*L'Institut z marca* 1847 r.). *J. B...a*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844. WARSZAWA.

337. Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone Naukom, Sztukom i Przemysłowi. Warszawa. 1844. 4 tomy w 8ce, (obejmujące 12 miesięcznych zeszytów). W drukarni pod firmą Juliana Kaczanowskiego przy ulicy Długiéj, ner 543. Tom Iszy, kart napisowych 2, przedmowy redakcyi str. VII. i 692. Spisu rzeczy kart 2. Do zeszytu na m. luty dodana jest mappa dróg żelaznych w Europie, nakréślona przez Wilhelma Kolberga, litografowana przez S. Oleszczyńskiego. Tom IIgi kart napisowych 2, i str. 728. Spisu rzeczy kart 2. Do zeszytu na m. kwiecień dodana jest tablica wypadków dostrzeżeń meteorologicznych w r. 1843 robionych. Tom IIIci kart napisowych 2, i stron. 720. Spisu rzeczy i prospektu na Paleontologią Polską L. Zejsznera kart 3. Tom IVty kart napisowych 2 i str. 730. Spisu rzeczy kart 2. Do stron. 162, dołączona jest tablica drukowana: w półarkuszu „Dostrzeżeń ornitologicznych pod względem przylotu i odlotu ptaków wędrujących", a do str. 388, dwie tablice pomiarów barometrycznych Bieskidów, Tatrów i t. d. Oprócz tego przy każdym zeszycie miesięcznym, dołączona jest tabelka meteorologiczna z dostrzeżeniami robionemi w obserwatoryum warszawskiém w poprzedzającym miesiącu. Do zeszytów na m. wrzesień i grudzień, dodane są 6 tablic lit. Flecka, i arkusz textu: „Paleontologii Polskiéj" Ludwika Zejszuera, która miała wychodzić nakładem redakcyi w przerwach kwartalnych po 3 tablic najmniéj, ze stosowną ilością ark. textu, i dodawała się bezpłatnie prenumeratorom Bibl. Warsz. Cena roczna złp. 60.

338. Gazeta Codzienna. (Pod redakcyą K. Krupskiego. Druk Banku Polskiego.) Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 349, czyli od 1go stycznia do 31 grudnia włącznie. Cena roczna złp. 32.

339. Gazeta Handlowa i Przemysłowa. (Wychodziła arkuszami dwa razy na tydzień przy Gazecie Codziennéj, i była do niéj dodawaną bezpłatnie). Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 100, czyli od dnia 3go stycznia do 28 grudnia.

340. Gazeta Warszawska. (Wychodziła codziennie pod redakcyą Antoniego Lesznowskiego w drukarni tegoż, przy ulicy Śto Jerskiéj). Warszawa. 1844. 4ka wielka. Nr. 1 do 348, czyli od dnia 1go stycznia do 31 grudnia. (Stosownie do potrzeby, dołączane były dodatki bez nrów z ogłoszeniami rządowemi, na prostéj bibule w 4ce małéj). Cena roczna złp. 48.

341. Korrespondent Handlowy, Przemysłowy i Rolniczy. (Wychodził dwa razy na tydzień półarkuszem 4wym przy Gazecie Warszawskiéj, i był dodawany bezpłatnie). Warszawa. 1844. Nr. 1 do 100, czyli od dnia 3 stycznia do 28 grudnia.

342. Kmiotek, pismo czasowe do czytania dla wiejskiego i miejskiego ludu przeznaczone, obejmujące: Nauki religijno-moralne, przestrogi i objaśnienia usuwające przesądy i zabobony: obowiązki i powinności względem panów i zwierzchności: wiadomości i wyciągi z rozporządzeń i przepisów rządowych, tyczących się wszystkich mieszkańców kraju: naukę zdrowia ludzi i zwierząt i łatwiejsze sposoby jego ratowania: naukę i przepisy dla różnych gałęzi wiejskiego i domowego gospodarstwa, wreszcie powieści, anegdoty i wiadomości nauczyć, zabawić i ciekawość ludzi zająć mogące i t. d. Redaktor E. P. Leśniewski. Rok IIIci. Warszawa. 1844. 4ka mała. Nakład i druk S. Orgelbranda. Nrów 52, str. 208. Napisów i rejestru kart 4. Złp. 8.

343. Kurjer Warszawski. (Wychodził codziennie pod redakcyą Ludwika Adama Dmuszewskiego, w drukarni tegoż przy ulicy Senatorskiéj ner 473 lit. C.) Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 349. Stron. liczb. 1668. (Stósownie do potrzeby, dodawany jest jeszcze „Dodatek" nieliczbowany). Złp. 32.

344. Magazyn Mód. Dziennik przyjemnych wiadomości, redagowany przez Joannę Widulińską. Rok dziesiąty. 4ka. Warszawa. 1844. Nakład i druk J. Glücksberga. Karta napisowa 1 i rejestru 1. Nrów 50, zawierających 294 str., ze 100 rycinami kolorowanemi. Cena roczna złp. 40.

345. Pamiętnik religijno-moralny. Czasopismo ku zbudowaniu i pożytkowi tak duchownych jako i świeckich osób. (Wychodził poszytami miesięcznemi pod redakcyą Antoniego Hlebowicza). 12 zeszytów, czyli ogólnego zbioru Tom VI i VII. 8ka. Warszawa. 1844. Druk J. Glücksberga. Nakład redakcyi. Tom VI. str. 576. T. VII, 582. W każdym napisów i rejestru kart 4. Złp. 30.

346. Pielgrzym. Pismo poświęcone Filozofii, Historyi i Literaturze. (Wychodził miesięcznie poszytami, pod redakcyą Eleono-

ry Ziemięckiéj). 12 zeszytów, czyli 4 tomy. 8ka. Warszawa. 1844. Nakład redakcyi, druk Banku Polskiego. Tom I, str. 370. II, 334. III. 348. IV. 344. W każdym napisów i rejestru kart 3. Złp. 30.

347. Przegląd naukowy, literaturze, wiedzy i umnictwu poświęcony. Redaktor główny Hippolit Skimborowicz. (Rok 3ci). Warszawa. 1844. 8ka. 4 tomy. Nakładem redakcyi, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego, (teraz S. Orgelbranda) przy ulicy Senatorskiéj Ner 463. Tom I, str. 304. II, 304. III, 336, IV, 312. W każdym kart napisowych 2 i rejestru 2. Złp. 30.

348. Roczniki Gospodarstwa Krajowego. (Wychodziły co kwartał, który się zaczynał od lipca), pod naczelną redakcyą Kajetana Garbińskiego). Rok trzeci. Tom V, 1844 ner 1. 2. Tom VI, 1845, ner 1. 2. 8ka. Warszawa. Nakładem redakcyi. Druk Strąbskiego. T. V. n. 1. str. 173, n. 2. str. 203. T. VI n. 1. str. 184, n. 2. str. 367. Cena roczna złp. 20.

1847. WARSZAWA.

59. Daguerotypy Warszawy, romans obyczajowy przez Edwarda Bogusławskiego. 6 tomów. 18ka. Warszawa. 1847. Druk Stanisława Nowakowskiego. Tom I, str. 202. II, 208. III, 229. IV. 173, V. 190. VI. 178. W każdym rejestru karta 1. Złp. 18.

60. Urządzenie szczegółowe o zabezpieczeniu dochodów dożywotnich przez przyjmowanie wniosków częściowych. 8ka. (Warszawa 1847. Druk Strąbskiego). Gr. 10.

WILNO.

61. Pamiętniki o dawnéj Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendoni do Karola Borromeusza. Z biblioteki Barberińskiéj zebrał Jan Albertrandi Biskup Zenopolitański. Z rękopismów włoskich i łacińskich wytłómaczył Józef Krzeczkowski. Wiadomość o życiu Commendoniego tudzież potrzebne sprostowania i objaśnienia dodał Mikołaj Malinowski. Tom Iszy. 8ka. Wilno. 1847. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk J. Zawadzkiego. Napisów kart 2. i str. 208. Z prenumeratą na tom 2gi złp. 24.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

W tych dniach wyszedł z druku nakładem księgarni I. Klukowskiego, tom piérwszy dzieła, które od lat dawnych w języku polskim oczekiwane, spełni nadzieję niejednéj rodziny, i stanie się

nierozłącznym pomocnikiem matek i przewodniczek poświęcających się umysłowemu kształceniu dzieci. Dzieło to wydane jest pod napisem: „*Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowém wychowaniu panien.*" Autorka panna Żmichowska, znana już zaszczytnie w polskiém piśmiennictwie pod pseudonimem Gabryeli Z., poświęca czas téj, może mniéj wdzięcznéj, lecz pełnéj zasługi pracy. Jéj świetne i bogate w ozdoby pióro, zniża się tu do prostoty dziecinnego pojęcia, nie tracąc nic na mocy, ani na gruntowności swoiéj; to téż imie autorki jest dla nas dostateczną rękojmią, że pismo jéj, nietylko przeznaczeniu swemu odpowié, ale nadto stanie w rzędzie dzieł, które na długi czas użytecznemi pozostaną. Wydany obecnie tom piérwszy dzieła, jest tylko częścią przedwstępną, tojest książką przeznaczoną dla najmniejszych dzieci dopiéro rozpoznawać zaczynających świat zewnętrzny. Im mniejszy zakres, tém trudniejsze, szczęśliwe i trafne onego pojęcie i przedstawienie. Dla dania zaś dokładniejszego czytelnikom wyobrażenia, o celach jakie sobie autorka zamierzyła, i o środkach jakiemi przedsięwzięcie swe wykonać usiłowała, przytaczamy wstęp przez nią na początku ogłoszonego piérwszego tomu umieszczony:

„W ręce matek i nauczycielek oddajemy piérwszy tom dzieła, które może im choć cokolwiek ulży w ich świętéj a ciężkiéj pracy.

Od czasu jak przyjęto i uznano wykształcenie naukowe za część niezbędną do dobrego wychowania kobiéty, ciągle daje się czuć w tym względzie brak pomocniczych w domowém wychowaniu książek. Dla zastąpienia tego niedostatku, udawano się do dzieł obcych, francuzkich najczęściéj, albo z mozołem, a bez pedagogicznego porządku składano naprędce pozbiérane tu i owdzie w mowie naszéj zasoby. Przedsięwzięty *wykład*, ma na celu częściowe przynajmniéj tym niedogodnościom zaradzenie. W swojskim języku napisane, obliczone więcéj na gruntowność i systematyczny rozkład, niż na bogactwo i rozmaitość przedmiotów, zastępujące znaczną liczbę książek, a tém samém wygodniejsze i przystępniejsze dla wszystkich, — takiém jest to dzieło w zamiarach naszych.

Starać się szczególniéj będziemy, aby w niém najważniejsze pewniki ludzkiéj wiedzy, składały ciągłą, stopniowo rozwijającą się całość; żeby sposób ich wykładu posłużył kiedyś za sposób samodzielnego nabywania dalszych wiadomości, lub za katechizm wystarczający dobréj wierze tych, którzy na nim poprzestać będą chcieli, czy téż musieli. Zawsze albowiem wszyscy zpod wpływów edukacyjnych wychodzący, stosownie do usposobienia indywidualnego, stosownie do różnych towarzyskich okoliczności na dwa rozstępują się działy: na tych, którzy wtedy kończą, i na tych

którzy wtedy właśnie zaczynają się uczyć. Głównêm przeto zadaniem udzielanéj nauki powinno być zawsze to: aby sama przez się jako pewna całość, zaspokoiła najgwałtowniejsze umysłu ludzkiego potrzeby, i aby w miarę zdolności, uczyniła mu przystępném wszelkie dalsze rozwijanie, łatwiejszemi wszelkie późniejsze nabytki; lub krócéj mówiąc: aby jéj było *dosyć*, i aby mogło zawsze jéj być *więcéj*.

Odpowiadając dwóm owym na przyszłość względom, chcemy, aby w zamierzoném dziele, przewodniczył nadewszystko porządny rozkład, odpowiedni nieocenionym korzyściom klassowego stopniowania kursów szkolnych, które dziś we wszystkich pedagogicznych zakładach przyjęto. Taki porządek, najlepszym bywa przygotowaniem, podmurowaniem, rzeczby można narzędziem coraz dalszych, coraz wyższych wiadomości: gdy zaś sam sobą ograniczony zostanie, ma na swoję korzyść doświadczenia i téj maksymy powagę: że lepiéj mało a dobrze i gruntownie, niż bardzo wiele, a źle, bez ładu, i pozornie tylko.

Jeśli nie wspominamy o żadnym innym celu téj pracy, jeśli nie obiecujemy w niéj żadnego do przeznaczenia kobiéty zastosowania, to dlatego, że zbiór wiadomości jest sam przez siebie rzeczą zupełnie bezwzględną; że np. nazwiska geograficzne, albo cztéry działania w rachunkach, albo chronologia w historyi, nie mogą być inne dla kobiéty, jak dla mężczyzny; tylko późniejsze ich zastosowanie w życiu inném być powinno, ale to działem jest moralności; my zaś oświadczamy wyraźnie, że przeznaczając tę książkę na pomoc dla tych, którzy z niéj uczyć będą, uczenie, bierzemy w jego najściślejszém znaczeniu, jako materyał, nie zaś jako część lub ustęp wychowania. Zresztą, nie odważamy się wcale na utwór stanowczy, na pomysł osobisty, formą nauczania przeprowadzony; jak na ten raz, jestto skromny zbiór i układ faktów stałych, prawd pamięciowych jedynie. Religia z niego jest usuniętą nawet, jako świętość bardziéj uczuciu, niż lekcyom przynależna.

Gdyby jednak poszczęściło się zupełnie pracy naszéj, toby mogło nietylko encyklopedyczne przyniosła wsparcie, ale jeszcze znalazłaby się w niéj sposobność do potrzebnéj władz młodocianych uprawy. Mówimy tu, li o władzach umysłowych, które są w człowieku sposobami tworzenia dobrego, ale nie samém już dobrém, np. uwaga, pamięć, wyobraźnia i t. p.; przez uprawę zaś rozumiemy władz tych wzmocnienie, zahartowanie, a nie kierunek; bo kierunek, od wpływów moralnych, od nauk żywych zależy.

Część którą dzisiaj przedstawiamy, jest częścią zupełnie przedwstępną; jest tém, co u nas zwykle *Elementarzem* zowią.

Umieściliśmy w niéj rys najogólniejszy wiadomości, którym w dalszych tomach, coraz obszerniejsze zakreślać będziemy koła. Obraliśmy pięć przedmiotów jako pięć głównych działów wszechstronnéj wiedzy ludzkiéj:

Nauki przyrodzone, które tłumaczą naturę.

Arytmetykę, która oznacza przestrzeń i czas.

Geografią, która wskazuje miejsce.

Historyą, która wypełnia i naturę i czas z przestrzenią i miejsca wszelkie, a nakoniec:

Naukę mowy ustnéj i pisanéj, która tego wszystkiego jest ostatecznym głosem i znakiem.

W książeczce niniejszéj zaledwo piérwsze tych ważnych nauk rzucono wyobrażenia; żadnéj z nich nawet nie śmiano jeszcze nazwać dziećięciu. Teraz dopiéro każda z tytułem swoim ma w osobném stanąć dziele i w szczegółowym rozwinąć się wykładzie.

Część piérwsza wykładu każdéj z tych nauk, powinna dać ogólne zarysy, niby rysunkowe obwody jéj. Część druga uzupełni te obwody odznaczającemi się szczegółami, a część trzecia połączy te szczegóły z ogółem w całość pełniejszą i wyższą; np. w Historyi zaczniemy najpiérw od rysu historyi powszechnéj, przejdziemy go potém zastanawiając się trochę więcéj nad szczegółowemi dziejami tych narodów, które wśród ludzkości ważniejsze zajęły miejsce jakoto: Greków, Rzymian, Niemiec, Francyi i t. p. a w części trzeciéj damy historyą ogólną, tojest powszechną, w jéj zastosowaniu do ogólnych, cały ród człowieczy obchodzących wypadków.

W nauce mowy zaś część piérwsza da grammatykę powszechną czyli grammatykę wszystkim językom wspólną. Część druga da grammatykę właściwą językowi polskiemu, a część trzecia przeprowadzi znajomość kształtu mowy w znajomość treści jego, t. j. w literaturę.

Tym porządkiem wszystkie inne nauki rozwijać się będą, i taki jest rozkład naszéj pracy. Jéj ogrom przestraszyłby nas samych zapewne, gdybyśmy pod ręką nie mieli ku pomocy wielu jużto w naszéj mowie, jużto w obcych językach nagromadzonych zasobów i dzieł temu podobnych, a nadewszystko gdybyśmy nie mieli nadziei, że światłych osób rada, któréj w każdéj wątpliwości wezwiemy, dobre chęci nasze wesprze i niedokładność osobistych naszych wiadomości uzupełni."

W drukarni St. Strąbskiego ukończono druk dramatu w pięciu aktach Józefa Korzeniowskiego pod tyt. „Dymitr i Marya."

P. Edward bar. Rastawiecki nie przestaje pracować z całém zamiłowaniem i poświęceniem nad ważnym pomnikiem do historyi

sztuk pięknych u nas. Jego „Słownik malarzów Polskich i obcych w Polsce osiadłych," z którego z wdzięcznością umieściliśmy kilka wyjątków w naszém piśmie, ozdobią wizerunki znaczniejszych artystów, wykonane z najpodobniejszych portretów rylcem P. Piwarskiego. Dotychczas wykończone są następne wizerunki: Marc. Bacciarellego, M. Płońskiego, Plerscha, Zygmunta Vogel, Antoniego Brodowskiego, Fr. Smuglewicza, Szymona Czechowicza, Wojniakowskiego, Alexandra Orłowskiego, i Norblina.

P. Karol Moycho rozpoczął druk: „Rocznika religijnego na rok 1847. Ozdobiony będzie portretem papieża i wizerunkami polskich biskupów.

U Orgelbranda mają wkrótce wyjść: Pamiętniki krajowe p. Karola Milewskiego, i ma także zamiar wydawać od czerwca w tłumaczeniu polskiém poszytami: „Hiszpania i Afryka", przez Alexandra Dumas.

Księgarz Merzbach nabyty we trzech tomach rękopism ś. p. Tomasza Święckiego: „Historyczne wspomnienia znakomitych rodzin w Polsce," powiększony znacznie przypisami jednego z literatów naszych, wkrótce zacznie drukować. Ozdobią to dzieło wizerunki znakomitszych mężów i sławniejszych pisarzy.

Zeszyt 5ty dzieła „W Alpach i za Alpami" p. Ł. z G. Rautenstrauch, wydawanego nakładem Fr. Spiess i Spółka, wyszedł w tych dniach z druku.

W drukarni J. Tomaszewskiego wyszło zpod prasy dziełko: Upominek rolniczo-przemysłowy, zebrany przez Teofila Rybickiego.

W Krakowie Wincenty Gorączkiewicz dyrek. muzyki i organista katedr. krak. ogłosił przedpłatę na „Śpiewy choralne kościoła rzymsko-katolickiego, ułożone w harmonii na organy." Autor trzymał się ściśle w téj pracy głównych źródeł, jakoto: Gradnału, Antyfonarza, Rytuału, Psałterza i t. p. a kilkudziesiątletnia wprawa, jak mówi, posłużyła mu do tego, że nie odstępując nigdzie od pierwotnych utworów dotąd używanych w kościele rzymsko-katolickim, przecież mógł ułożyć nuty w sposób najłatwiejszy. Gdy zaś w naszym kraju kilka śpiewów w ojczystym języku w powszechném bywa użyciu, przeto i te umieścić było jego obowiązkiem. Wydaniem zajął się księgarz D. E. Friedlein, i ogłosił przedpłatę na dwie części złp. 20, która w całém Królestwie Polskiém zbieraną być może.

W pierwszych nrach z r. b. „Dziennika Mód Paryzkich", który pod każdym względem nierównie jest wyższym od wszystkich

innych w tym przedmiocie u nas wydawanych, ogłasza Józef Dzierzkowski nową swą powieść p. n. „Salon i ulica."

Zawadzki w Wilnie już ukończył druk tomu 2go „Listy o Szwecyi" Eust. Tyszkiewicza.

Słusznie przez znawców podziwianego obrazu: Obrona Trębowli w r. 1675, malarza Alex. Lesser, wyszła w wielkim arkuszu litografowana kopia w Monachium w litografii Frejmana. Cena złp. 18.

---

† Stycznia 31, 1846 roku. W Warszawie: ksiądz Maciéj Jeżowski kanonik metrop. warsz. proboszcz w Jadowie. Żył lat blizko 50. Filolog biegły w znajomości staréj greczyzny.

† W lutym t. r. w Niemenczynie: ksiądz Floryan Bobrowski, dziekan, emeryt, proboszcz w Niemenczynie. W młodości wstąpił do Zgromadzenia S. J. i nowicyat odbył w Dynaburgu. Ofiarowanych sobie wyższych godności kapłańskich nie przyjął. Zasłużony autor Słownika łacińsko-polskiego, wydanego po dwakroć u J. Zawadzkiego w Wilnie. Żył lat przeszło 70.

† Marca $^{12}/_{24}$ t. r. w Wilnie: Ignacy Szydłowski b. prof. gimnaz. wileńskiego, emeryt. Oprócz wydanych „Przykładów stylu Polskiego", których tylko część I wyszła, był redaktorem przez lat 11 pisma literackiego p. n. „Wizerunki i roztrząsania naukowe", a przedtém, głównym współpracownikiem słynnych w swym czasie „Wiadomości brukowych." W wielu dawnych pismach wileńskich, jakoto: w Dzienniku Wileńskim, Tygodniku Wil. zamieszczał wielką ilość artykułów znakomitéj wartości.

† Kwietnia 4 v. s. t. r. w Wilnie: Leon Borowski, wysłużony professor b. uniwersytetu wileńskiego. (Obszerną wiadomość o życiu jego i zasługach skréślił Dominik Chodźko w Athenaeum oddział VII, zeszyt 1. z r. 1847).

† Maja 20 t. r. w Warszawie: Floryan Boguszewski urzędnik b. komisyi wojny. Zasłużony zbiéracz rycin krajowych, których kilká tysięcy zostawił.

† Czerwca 2. t. r. w Warszawie: Juliusz baron Holte von den Brinken, b. Jeneralny Nadleśny, emeryt. Żył lat 54.

† Sierpnia 21. v. s. t. r. w Janowie na Wołyniu: ksiądz Stanisław hr. Chołoniewski prałat katedr. w Kamieńcu Podolskim. Ur. 23 marca 1791 w zamku dziedzicznym w Janowie. (Żywot jego i prace naukowe opisał obszernie Józ. Ig. Kraszewski w Athenaeum na r. 1846, zeszyt 6ty).

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Biblioteka Warszawska

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Kwiecień 1847.

Kwiecień 1847. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ʰ 14ᵐ 45,ˢ7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		736.26	737.09	739.67	742.90	+ 0°.5	+ 1°.3	+ 2°.5	+ 0°.7	94.7
2		742.63	742.35	739.68	735.55	+ 0.8	+ 2.7	+ 8.6	+ 5.0	83.5
3		729.00	727.88	728.99	730.93	+ 5.5	+ 9.4	+ 12.0	+ 4.2	84.0
4		731.29	732.73	736.09	737.87	+ 2.3	+ 3.1	+ 5.6	+ 1.7	73.7
5		737.54	737.41	737.44	737.56	+ 2.3	+ 3.9	+ 1.5	+ 2.1	79.2
6		738.81	739.53	740.24	741.16	+ 0.1	+ 3.4	+ 3.1	− 0.2	93.7
7		741.27	741.75	740.88	739.91	− 0.4	+ 2.8	+ 5.3	+ 2.9	70.7
8	☽	739.83	740.43	741.07	740.11	+ 1.1	+ 4.4	+ 5.3	− 0.2	88.7
9		734.00	729.97	730.02	731.78	− 0.4	0.0	+ 2.3	+ 0.8	98.0
10		731.03	730.80	734.57	741.02	+ 2.4	+ 3.7	+ 3.6	+ 1.8	90.2
11		746.08	747.50	749.20	751.07	− 1.8	+ 0.3	+ 0.8	− 1.7	91.0
12		751.56	751.94	750.28	749.33	− 1.4	+ 1.6	+ 2.9	− 0.9	86.7
13		745.72	743.77	740.48	740.63	− 2.2	+ 4.2	+ 7.3	+ 2.1	78.0
14		742.64	744.29	745.83	745 73	+ 1.3	+ 3.3	+ 2.5	− 1.1	77.2
15	○	744.05	743.43	741.87	741.19	+ 0.9	+ 2.7	+ 0.6	+ 1.1	86.2
16		740.69	740.93	740.76	743.61	+ 1.8	+ 4.0	+ 11.0	+ 4.0	92.0
17		744.40	743.29	739.47	738.03	+ 2.7	+ 5.3	+ 14.9	+ 14.5	82.7
18		743.48	745.65	747.46	747.85	+ 8.6	+ 10.7	+ 6.7	+ 4.9	80.7
19		749 84	750.80	750 21	750.40	+ 4.3	+ 10.6	+ 14.8	+ 10.4	59.2
20		749.47	749 82	749.00	749.38	+ 7.6	+ 12.7	+ 17.0	+ 9.1	70.2
21		747.93	747.59	745.65	745.55	+ 9.4	+ 15.4	+ 20.2	+ 11.2	64.7
22	☾	745.70	745.70	745.28	746.32	+ 6.1	+ 12.3	+ 15.2	+ 6.7	77.5
23		747.03	747.25	747.25	748.24	+ 5.5	+ 9.5	+ 11 0	+ 4.5	72.5
24		749.24	749.21	748.93	750.18	+ 0.5	+ 4.2	+ 8.0	+ 4.0	54.5
25		750.80	751.15	750.94	751.42	+ 3.4	+ 6.8	+ 12.0	+ 5.6	61.7
26		752.15	752.26	750.26	750.63	+ 4.4	+ 10.4	+ 12.1	+ 5.1	58.2
27		750.56	751.01	749.36	748.43	+ 4.9	+ 10.5	+ 16.4	+ 6.8	63.2
28		746.90	747.21	747.09	748.46	+ 9.4	+ 10.7	+ 15.6	+ 7.8	68.2
29		748.04	747.85	746.02	745.29	+ 8.9	+ 13.9	+ 12 4	+ 10 8	82.5
30	☽	745 56	746.27	746.44	746.43	+ 10.4	+ 14.3	+ 14.4	+ 10.2	79.2
Śre.		743.450	743.556	743.348	743.898	+3°.32	+6°.59	+8°.85	+4°.45	78.0

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dészczu	śniegu
śnieg gęsty	śnjég rzad.	dészcz z śn.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		2.60
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	chm. podz.	pogodny	W.	Pd.	Pd.	PdZ.	2.5	
pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		2.00
pochmurny	śnieg drob.	pochmurny	pr. pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	—		3.90
napół pog.	smugi	napół pog.	pochmurny	—	PnW.	Pn.	—		
śnieg	napół pog.	napół pog.	pr. pogodny	PdW.	—	—	Pd.		
smugi	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	Z.	Z.		4.00
dészcz	dészcz dr.	dészcz drob.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pn.	PnZ.		4.00
śnieg	śnieg	pochmurny	śnieg drob.	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.		3.60
chm. podz.	pochmurny	napół pog.	napół pog.	—	PdW.	Pd.	—		
pogodny	napół. pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	Z.	3.20	
napół pog.	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	pochmurny	śnieg i desz.	pochmurny	W.	W.	PnW.	PnW.		1.40
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	—	4.70	
pochmurny	dészcz rzad.	napół pog.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PdW.		
napół. pog.	pochmurny	dészcz	pochmurny	Pd.	Z.	Z.	PdW.	4.10	
pochmurny	pogodny	smugi	pr. pogodny	PdW.	Pd	PdW.	W.		
pr. pochm.	smugi	smugi	smugi	Z.	—	Pn.	Pn.		
smugi	smugi	smugi	pr. pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	PdZ.		
pogodny	pogodny	napół pog.	smugi	Z.	Pn.	PnW.	Pn.		
smugi	pochmurny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PnW.	PdZ.	Z.	—		
pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	—	—	Pn	—		
pogodny	napół. pog.	pr. pogodny	pr. pogodny	—	Pn.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Pd.		
chm. podz.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
dészcz drob.	chm. podz.	pochmurny	dészcz	Z.	PdZ.	Z.	Z.	7.60	
								6.50	
								28.6	21.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	743.564	27	5.620
Największa wysokość — d. 26 o g. 10 r.	752.26	27	9.511
Najmniejsza — d. 3 o g. 10 r.	727.88	26	10.666
Średnia zmiana dzienna wysokości barom.	3.77		1.67
Największa zmiana dzienna d. 10—11 o g. 10 r.	16.70		7.40
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzedzających	5.261		2.329
	748.825	27	7.949

Średnia temperatura Kwietnia wynosi:	+ 5.80 C.	+ 4°.64 R.
i ta jest niższa o	1.75 „	1.40 „
od stanu normalnego tego miesiąca z 21 lat poprzedzających	+ 7.55 „	+ 6.04 „
Największe ciepło dochodziło d. 21 o g. 4 w.	+20.2 „	+16.2 „
Największe zimno d. 13 o g. 6 r.	— 2.2 „	— 1.7 „
(Termometrograf wskazał Maximum: + 18°.1 R. d. 21; Minimum: — 3°.0 R. d. 13 r.).		
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.93 „	2.53 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 31 Marca—1 Kwietnia o g. 10 r.	13 0 „	10.4 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi: 78.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 5.85 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 3; napół pogodnych 16; pochmurnych 11.
— deszczu 10 (d. 3, 10, 13, 15, 16, 17, 18, 28, 29, 30).
— śniegu 7 (d. 1. 5, 6, 8, 9, 11, 15).
— mgły 2 (d. 6. 15).
— grzmotów i błyskawic 1 (d. 29).

Wody z deszczu spadło 28.6 millim. czyli 12.68 lin. par.; z śniegu 21.5 millim. czyli 9.33 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 50.1 millim. czyli 22.01 lin. par.; to jest o 6.51 lin par. więcéj od ilości wody, jaka zwykle w Kwietniu spada.

Kwiecień r. b. osobliwie w piérwszéj połowie był niepogodny, słotny, śnieżny; zimniejszy o 1.4 stopnie R. jak zwykle; w deszcze i śniegi obfitszy od Marca. Piérwsze dni piętnaście przy częstych wichrach i zadymkach śnieżnych stan pory zimowéj przedstawiały. Przy zmianach powietrza osobliwie w dniach w których śnieg padał barometr nadzwyczaj nizko się utrzymywał; dlatego wysokość średnia miesięczna barometru jest o 2.33 linie par. niższa od normalnéj.

Wiatry w tym miesiącu były zmienne, w ogólności panującym był Zachodni; częste były także: Południowo-Wschodnie i Północno-Wschodnie

Wichrów było 6; t. j. Z.=3; PnZ.=1; PdW.=1; Pd.=1.
D. 20, 26, 27 wieczór, koła białe otaczały księżyc.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1847.

Historya.

Stron

Obraz wieku panowania Zygmunta III, czyli obraz stanu narodu i kraju wystawiający, przez ks. *Franciszka Siarczyńskiego*. 1

O przymierzu Rzymian z Sabinami. Przypis do księgi I. rozd. 13. Historyi rzymskiéj Liwiusza, przez *Alexego Nendzyńskiego* 129

Historya cywilizacyi wyspy Madagaskar i prześladowań jakich tam chrześcianie doznali 582

Biografia.

Wspomnienie Alexego Nendzyńskiego, przez *A. W.* 124

Wspomnienie o Jerzym Bogumile Puszu i pracach jego naukowych, przez *A. M. Pą* 283

O życiu i pismach Dominika Lisieckiego, przez *F. S. D.* .. 355

Wspomnienie o dwóch odrębnych malarzach Kopeckich, jednym rodem Węgrze, innym Polaku, przez *Edwarda* bar. *Rastawieckiego* 373

Stron.
Alexander Humboldt i jego Kosmos, przez *Józefa Sapalskiego* 461
Życiorys Dominika Estreichera malarza z czasów Stanisława Augusta..... 644

Nauki ekonomiczne.

O przesileniu handlowém i finansowém w r. 1847, tłumaczył *K. L. Wolicki*..... 561

Prawo.

Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącém się do współki likwidacyjnéj, przez *Augusta Heylmana*..... 233

Literatura.

Pieśni ludu weselne, przez *Oskara Kolberga*. (Z muzyką) 188, 649
Historya starożytnéj rossyjskiéj literatury, przez professora uniwersytetu w Moskwie S. P. Szewyrewa. Przez *P. Dubrowskiego* 402
Pisma czasowe u Słowaków, przez *F. Zielińskiego* 433

Dramat.

Dymitr i Marya, dramat w pięciu aktach wierszem, przez *Józefa Korzeniowskiego* (dokończenie)..... 70

Powieści.

Mahmudek, powieść przez *Władysława Strzelnickiego*, (dokończenie)..... 32, 241
Bertha z Düsseldorfu, przez *Leona* hr. *Potockiego*..... 421
Panna postępowa, opowiadanie przez *Józefa Korzeniowskiego*..... 524

Sztuki piękne.

Charakterystyka tańców, przez *Karola Czerniawskiego*.... 293
Wspomnienia koncertowe, przez *J. Sikorskiego*..... 416
Pieśni bez słów na fortepian pp. Dietrich, Chojnackiego i Jenikego. Dwa Nokturna na fortepian F. Miładowskiego. Uwertura, przez tegoż. Marya, romans do śpiewu p. Wilhelma Troszel. Gołąbek, i Módl się, Ignacego Komorowskiego. Nowe wokalizy na Mezzo-Soprano p. Ant. Tejchman. Przez *J. Sikorskiego* 629, 634

Rozbiory dzieł.

Stron.

Moje wędrówki po obczyznie. Paryż, przez Kajetana Niepowie. Przez *K. W.* 162

Odpowiedź autora na artykuł umieszczony w Przeglądzie Naukowym pod napisem: Pedagogika, czyli Nauka Wychowania, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego.. 169

Mappografia dawnéj Polski, przez Edwarda barona Rastawieckiego. Przez *F. B.* 180

*Lettre à Mr. le docteur Enoch à Varsovie sur le traitement des maladies chronique par la purification du sang, au moyen d'un procédé inventé par Jean Schroth à Lindewiese près de Freiwaldau, par ***. Varsovie.* Przez A. W. 186

Codex diplomaticus Poloniae quo continentur privilegia Regum Poloniae Magnorum Ducum Lithvaniae, Bullae Pontificum, nec non jura a privatis data illustrandis domesticis rebus gestis inservitura.... editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczkowski. Varsaviae. 1847. Przez *W. A. Maciejowskiego.* 377

List o Pedagogice i Odpowiedzi p. Sierocińskiego, przez *Hipp. Skimborowicza.* 389

O kosztorysach w budownictwie cywilném, czyli przewodnik obliczania kosztów na budowle lądowe, dla budowniczych, inżynierów, rękodzielników i t. d. przez Stanisława Gołębiowskiego. Kraków. 1847. Przez *A. Idźkowskiego* 395

Geografia p. Mikołaja Pawliszczewa. Warszawa. 1847. Przez *J. Korzeniowskiego* 399

Der Starost und sein Nachbar i *Die Reise ohne Ziel*, powieści Fr. hr. Skarbka, niemiecki przekład przez E. v. Lossow. Przez *Ig. S.* 206

Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1847. Przez *A. T.* 622

Zwyczajna historya. Przegląd *P. Dubrowskiego* 661

Nauki przyrodzone.

Alexander Humboldt i jego Kosmos, przez *Józefa Sapalskiego* 461

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Astronomia, p. *J. B.* 442

Fizyka, p. *S. P.* 209, 674

Chemia, przez *J. B....g.* i *S. Zdz...* 213, 215, 446, 449, 681

Stron.
Kronika bibliograficzna..... 225, 452, 685
Doniesienia literackie..... 227, 453, 687
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:
za miesiąc luty r. b..... 229
— — marzec r. b..... 457
— — kwiecień r. b..... 693

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

Stron.	*Wiérsz.*	*Zamiast.*	*Czytaj.*
177	2 od dołu	ograniczonéj	organicznéj
179	17	cudnego	cudzego
475	7	1820	1829
485	1	zadać	zadań
507	2 od dołu	Geoffroy,	Geoffroy

